



**BRIAN  
HAIG**

**POLOWANIE**

# BRIAN HAIG

# POLOWANIE

Z angielskiego przełożył  
ZBIGNIEW KOŚCIUK



Tytuł oryginału: THE HUNTED

Copyright © Brian Haig 2009 All rights reserved

Published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

Polish translation copyright © Zbigniew Kościuk 2012

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracje na okładce: Nik Merkulov/Shutterstock (f/o), Katerina K./Shutterstock *{gwiazda}*

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-717-1

*Dystrybutor*

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t.f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

2012. Wydanie I Druk: Opolgraf S.A., Opole

*Lisie, Brianowi, Pat, Donnie i Annie*  
*Pamięci Jeleny*

## Podziękowania

Kiedy książka trafi w końcu na półki księgarskie, jest zwykle spore grono ludzi, którym trzeba za to podziękować. Z całą pewnością chciałbym wyrazić wdzięczność członkom mojej rodziny – Lisie, Brianowi, Paddie, Donnie i Annie, którzy zawsze dostarczali mi natchnienia, szczególnie gdy wyjechali do college'u i zaczęli mi przysyłać rachunki za czesne. Dziękuję również moim rodzicom, Ałowi i Pat Haigom – pod każdym względem są wspaniałymi rodzicami i szczerze kocham ich oboje.

Oczywiście składam podziękowania wszystkim pracownikom Grand Central Publishing, od góry po sam dół – niezwykle zespołowi utalentowanych ludzi, którzy nie mogliby być bardziej pomocni i profesjonalni. Dziękuję Jamie Raab, uroczej, serdecznej wydawcy, i mojemu niezwykle utalentowanemu redaktorowi Mitchowi Hoffmanowi. Dziękuję ogromnie wyrozumiałej parze, Mari Okudzie i Rolandowi Ottewellowi, którzy poprawiali ułomne szkice przesyłane przeze mnie do redakcji, jakimś cudem sprawiając, że nadawały się do czytania. Dziękuję Anne Twomey i George'owi Cornellowi, którzy zaprojektowali wspaniałą okładkę.

Wyrazy szczególnego podziękowania chciałbym złożyć mojemu serdecznemu przyjacielowi i zaufanemu agentowi literackiemu, Luke'owi Jankłowi oraz jego rodzinie. Każdemu pisarzowi życzę takiego agenta jak Luke.

Na koniec chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi i ulubionemu pisarzowi, Nelsonowi DeMille, który oprócz bycia najlepszym (moim skromnym zdaniem) i najbardziej zabawnym amerykańskim autorem, robi więcej od innych, aby pomóc i zachęcić młodych twórców. Kiedy go poznałem,

wspaniałomyślnie udzielił mi następującej rady: „Napiszesz wiele książek tylko wówczas, gdy będziesz się starał, aby każda była najlepszą, na jaką cię stać”.

Wiem, że obaj się staramy. Mam nadzieję, że docenicie moje ostatnie wysiłki.

Księga pierwsza

SKOK

# 1.

*Listopad, 1991 rok*

Ostatnie dni imperium przypominały przedśmiertne drgawki i rżenie. Jego szef stał przy oknie, patrząc w mrok. Mieli coraz mniej czasu. Od następnego posunięcia zależał los narodu, może nawet całej planety.

Szef w każdej chwili mógł zostać wezwany na górę, do gabinetu sekretarza generalnego Michaiła Gorbaczowa, aby usłyszeć wieść o zbawieniu lub wyrok śmierci.

Jaką jednak radę dałbyś lekarzowi, który przed chwilą otruł własnego pacjenta?

Wiedział, że niespełna pięć kilometrów dalej Jelcyn otwiera i opróżnia do sucha trzecią butelkę szampana. Wstawiony polityk był jeszcze bardziej nieugięty. Judzkój podejrzewał, że zorganizowali bankiet z jakiejś okazji, choć nie przypominał sobie jakiej. Tajny agent KGB w stroju kelnera nalewał gorzałę, czujnie obserwując starego Borysa, którego między kolejnymi toastami informowano o rozwoju sytuacji.

Siedemdziesiąt lat zamętu i zmagañ dobiegało końca – los największego ze współczesnych imperiów zależał od wyniku tytanicznej walki, którą toczyli ze sobą dwaj ludzie: skazany na porażkę, żałośnie naiwny sekretarz generalny KC i odpychający, hałaśliwy moczymorda.

Obaj wiedzieli, że Gorbaczow czuł się sfrustrowany i upokorzony. Odziedziczył królestwo zbudowane na kłamliwych ideach i niebotycznej górze



ludzkich zwłok. Państwo uważane za raj robotników spoglądało z zawiścią na kraje Trzeciego Świata, dumając, czemu wszystko tak fatalnie się skończyło. Ileż w tym było ironii...

Aż żalność brała.

Mimo przerażającej potęgi – największego arsenału broni atomowej, najliczniejszej armii wśród wielu państw „zaprzyjaźnionych” rozrzuconych chaotycznie po całym globie – w ojczyźnie narastała niedola i ubóstwo.

Dwa piętra wyżej, w swoim przepastnym gabinecie, Gorbaczow zachodził w głowę, jak skłonić dzinna, aby wrócił do lampy. Wiedział, że jest na to ciut za późno. Gorbaczow uwolnił przyprawiające o ból głowy liberalne idee – najpierw durna głośność, a później pierestrojka – sądząc, że blitzkrieg oparty na prawdzie i świeżych pomysłach zapobiegnie nieuniknionemu upadkowi. Bo Judzkój nie miał wątpliwości, że jest nieunikniony. O co Gorbiemu chodziło?

Historia Związku Radzieckiego była tak ponura – naznaczona mordami, ludobójstwem, zdradą, korupcją i skrajnym egocentryzmem – że musiała spocząć na materacu kłamstw, aby choć w niewielkim stopniu okazać się strawna. Bojaźń, brednie i bajki – trzy B – były spoiwem, które utrzymywało imperium.

Dziś wydawało się, że wszystko szlag trafi – republiki groziły, że opuszczą związek, państwa bloku wschodniego otwarcie do tego zmierzały, a sam komunizm zamieniał się w ponure szaleństwo.

Pora odejść, Gorbi.

Na ulicy jakiś mówca, machając rękami, próbował zapanować nad motłochem, który z każdą sekundą stawał się coraz bardziej hałaśliwy. Grube kulo odporne szyby odbijały echem jego słowa, jakby ludzie powinni je słyszeć. Jakby tego chcieli. Inni uliczni agitatorzy wykrzykiwali slogany i zagrzewali motłoch od Petersburga po Władywostok. Czas na demokrację, pora na kapitalizm. Komunizm jest wstydliwym błędem, który trzeba spuścić w toalecie dziejów wraz z innymi dawnymi błędnymi ideami. Poprzyjcie Borysa! Poślijcie do diabła Gorbiego i tych jego pomarszczonych starych aparatczyków!

- Co mam powiedzieć Gorbaczowowi? – spytał cicho jego szef.
- Że jest idiotą i wszystko zaprzepaścił.
- To już wie.

Iwan Judzkój miał ochotę powiedzieć, aby doradził Gorbaczowowi, by

poczęstował się kulką. Albo jeszcze lepiej, wyświadczył im wszystkim przysługę i wyrzucił przez okno tego idiotę z płamą na głowie, tak aby na środku placu Czerwonego powstała wielka krwawa kałuża. Przyszli historycy nie mogliby wyjść z podziwu dla takiej cezur.

Siergiej Golicyn, zastępca szefa KGB, spojrział na niego gniewnie.

- Dowiedzieliście się, skąd Jelcyn ma pieniądze?
- Tak.
- W samą porę. Skąd?
- Trudno wam będzie w to uwierzyć.
- W dzisiejszych czasach uwierzę we wszystko. Przekonajmy się.
- Od Aleksandra Koniewicza.

Zastępca przewodniczącego rzucił mu złośliwe spojrzenie. Po roku wzruszania ramionami, daremnych trudów i kiepskich wymówek zirytował go triumfalny ton podwładnego.

- Skąd niby mam wiedzieć, co to za jeden? – burknął.
- No... nie twierdzą...
- Opowiedzcie mi o nim... Możecie powtórzyć jego nazwisko?
- Aleks Koniewicz. – Judzkój wetknął nos w teczkę i przejrzał kilka kartek, aby zatrzymać wzrok na jakimś dokumencie. – Młody. Dwadzieścia dwa lata. Urodził się i wychował w zapadłej wsi w górach Uralu. Rodzice byli nauczycielami. Matka umarła. Ojciec pracował jako dyrektor małej, drugorzędnej uczelni. Aleks studiował fizykę na Uniwersytecie Moskiewskim.

Judzkoj przerwał, czekając na spodziewaną reakcję.

– Dwadzieścia dwa lata – rzucił szef, z wściekłości marszcząc czoło. – A wodził was za nos, jak idiotów!

– Mam zdjęcia – powiedział, ignorując wybuch gniewu przełożonego i wyciągając kilka powiększonych kolorowych fotografii z grubej teczki i rozkładając przed szefem niczym talię kart. Golicyn przeszedł pokój i pochylił się nad zdjęciami, mrużąc oczy i poprawiając okulary.

Fotografie zostały wykonane z bliska przez agentkę o olśniewającej urodzie, która zaledwie wczoraj weszła do biura Koniewicza pod pretekstem, że szuka pracy. Specjalnością Olgi było zastawianie pułapek – zwabiała swoje ofiary w zasadzkę lub uwodziła tych, których łózkowe zwierzenia uznano za cenne.

Potrafiła odgrywać nieśmiałą japońską uczennicę, zalotną megiere, chłodną nauczycielkę, a jeśli potrzebne było odwrócenie ról – lekarzkę, pielęgniarkę lub nieokrzesaną pasterkę – jednym słowem, umiała stać się kobietą, o której mężczyźni marzyli w najdzikszych snach. A nawet więcej...

Olga nigdy nie zawiodła. Ani razu.

Idealna blondynka w niezwykle skąpym mini i bluzce z głębokim, choć nie za głębokim dekoltem, bez stanika. W tych sprawach miała idealne wyczucie. Nie wątpili w jej instynkt. Skromna, niewyzywająca, a jednocześnie cudownie sugestywna.

Kilka taktownych sygnałów, żadnych grubych aluzji.

W końcu Aleks Koniewicz był biznesmenem, człowiekiem sukcesu, a biurowe gierki zaczynały być w modzie.

W torebce ukryła miniaturowe urządzenie podsłuchowe. Judzkój wyjął z teczki magnetofon. Taśma była w środku, przygotowana do odtworzenia.

– Otrzymała polecenie zatrudnienia się u niego – rzucił mimochodem, bez zbędnych ceregieli. – Gdyby przekształciło się to w coś więcej, tym lepiej.

Golicyn skinął głową na znak aprobaty, a Judzkój postawił urządzenie na biurku i wcisnął klawisz odtwarzania.

Golicyn pochylił się, aby nie uronić ani słowa, najdrobniejszego szczegółu.

Usłyszeli, jak sekretarka Aleksa Koniewicza, nieatrakcyjna kobieta w średnim wieku, wprowadza Olgę do jego gabinetu. Później nastąpiło zwyczajowe powitanie i gra się zaczęła.

– Czemu chciałaby pani u nas pracować? – spytał rzeczowo Koniewicz.

– A któż by nie chciał? – odpowiedziała Olga. – Dawny system jest do cna zepsuty, w każdej chwili może runąć. Wszyscy to wiemy. Prowadzi pan najbardziej prężną z nowych firm. Będę mogła się tu wiele nauczyć.

– Jakie ma pani doświadczenie zawodowe?

– Byłam sekretarką, zajmowałam się też przetwarzaniem danych statystycznych. Przepracowałam dwa lata w Urzędzie Transportu, próbując ustalić, ile osi autobusowych będziemy potrzebować za rok. Autobusowych osi... Da pan wiarę? Omal nie umarłam z nudów. Później pracowałam w Rolniczym Urzędzie Statystycznym. Tkwię tam do dziś. Czy potrafi pan sobie wyobrazić, żeby przez miesiąc ustalać popyt na sprowadzane z zagranicy kumkwaty?

– Nie potrafię.  
– Nie radzę próbować. – Roześmiała się, a on jej zawtórował.  
– W porządku, czemu miałbym panią zatrudnić? – zapytał Koniewicz, wracając do rzeczy.

Długa, intrygująca pauza. Głupie pytanie, otwórz oczy Aleks. Odrobinę wyobraźni, chłopie.

– Umiem pisać na maszynie z prędkością osiemdziesięciu słów na minutę – odpowiedziała Olga głosem, którego szczerość nie budziła żadnych zastrzeżeń. – Potrafię rozmawiać przez telefon i jestem bardzo, ale to bardzo lojalna wobec swojego szefa.

Kolejna intrygująca pauza.

– Mam bardzo dobrą sekretarkę – odrzekł Koniewicz, jakby nie pojął aluzji.

– Nie taką jak ja, zapewniam pana.

– Co to znaczy?

– Będzie pan ze mnie bardzo zadowolony.

Chyba nie, bo Koniewicz zadał bardzo poważnym głosem kolejne pytanie:

– Co pani wie o finansach?

– Niewiele, lecz szybko się uczę.

– Skończyła pani uniwersytet?

– Nie, podobnie jak pan.

Kolejna pauza, długa i niefortunna.

– Skąd pani to wie? – spytał nagle Koniewicz, nie kryjąc zaniepokojenia.

– Ja... pana recepcjonistka... – Kolejna długa pauza, a po niej z osobliwym wahaniem: – Tak, chyba ona mi o tym wspomniała.

– On, ma na imię Dmitrij.

– W porządku... on. Przejęzyczyłam się. Jakie to ma znaczenie?

– Czemu pomyślała pani, że szukam pracowników? – spytał Koniewicz zdumiewająco obojętnym tonem.

– Może pan nie szuka. To ja potrzebuję roboty. Mama jest poważnie chora. Choruje na raka gardła i płuc. Radziecka służba zdrowia ją zabije. Muszę zarobić na prywatne leczenie. Od tego zależy jej życie.

Sprytna zagrywka, pomyślał Judzkoj, podziwiając spontaniczną zmianę

taktyki swojej agentki. Wśród skąpych informacji na temat Aleksa Koniewicza, które udało im się zdobyć, było to, że jego matka zmarła na raka kości w wieku trzydziestu dwóch lat w państwowym sanatorium. Radziecka służba zdrowia była koszmarna, jak wszystko inne w tym kraju. Judzkój wyobraził sobie matkę Koniewicza leżącą na nierównym łóżku zasłanym brudnym prześcieradłem, wijącą się i krzyczącą z bólu. I małego synka przyglądającego się cierpieniom mamy.

W głowie Aleksa Koniewicza z pewnością zaświtało ponure wspomnienie, gdy wyobraził sobie nieszczęsną dziewczynę i jej niedomagającą matkę. Okaż odrobinę serca, Aleks. Możesz uratować jej mamę od potwornej, niechybnej śmierci. Będzie się szarpać z bólu, wypluje płuca, a to wszystko z twojej winy.

– Przykro mi, nie sędzę, aby się pani nadawała.

Otrzymała polecenie zdobycia tej pracy, niezależnie od kosztów. Wykorzystała swój najlepszy atut, a później sięgnęła po więcej. Nienaganny przebieg służby Olgi legł w gruzach.

Judzkój pochylił się i wyłączył magnetofon. Golicyn wydał niski pomruk, ni to rozczarowania, ni to podziwu. Pochylili się nad zdjęciami, analizując uważnie portret Aleksa Koniewicza wykonany przez Olgę. Twarz na fotografii była szczupła, ciemne włosy i oczy. Przystojna, choć nieco dziecinna. Uśmiechał się, lecz jego uśmiech wydawał się daleki i wymuszony.

W towarzystwie Olgi nikt nie musiał się zmuszać do uśmiechu. Żaden facet.

– Może powinieneś wysłać do niego jakiegoś przystojnego młodzieńca? – warknął Golicyn.

– Nic na to nie wskazuje – odparł Judzkój. – Przesłuchaliśmy kilku jego kolegów z uczelni. Gość lubi kobiety. Nie ma też nic przeciw znajomościom na jedną noc.

– Może uległ jakiemuś wypadkowi w pracy? Może został wykastrowany? – rzucił Golicyn; takie wytłumaczenie rzeczywiście miało najwięcej sensu.

A może podejrzał Olgę?

– Spójrzcie na niego, nosi się jak amerykański japiszon – prychnął Golicyn, stukając pogardliwie w fotografię. Fakt, Koniewicz mógłby wyglądać na każdego, tylko nie na Rosjanina. Brązowe spodnie i jasnobłękitna, importowana, bawełniana koszula, z rękawami podwinętymi do łokci, brak krawata.

Zdjęcie było ziarniste, lekko przekrzywione, a mimo to Koniewicz wyglądał jak żywcem wzięty z amerykańskiego żurnalu – ucieleśnienie młodego, zblazowanego, raczkującego kapitalisty. Siergiej Golicyn z miejsca poczuł do niego nienawiść.

Śledzili go na okrągło trzy ostatnie doby. Zrobił na agentach duże wrażenie. Wół roboczy, tak go nazywali. Byli wykończeni samym deptaniem mu po piętach. Gość pracował sto godzin w tygodniu, cały czas w biegu.

Barcysty, o płaskim brzuchu, najwyraźniej trenował, aby znajdować się w świetnej formie. Olga usłyszała od recepcjonisty, że ma czarny pas w jakiejś nieznannej azjatyckiej sztuce zabijania. Codziennie chodził na siłownię i godzinę ostro trenował. Oczywiście przed pójściem do pracy. Zjawiał się w biurze punktualnie o szóstej i pracował do północy. Sen nie był dla niego priorytetem. Olga zwróciła uwagę, że Koniewicz ma przeszło metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Uznała go za osobliwie pociągającego i po raz pierwszy nabrała ochoty, by przespać się z obiektem.

Judzkój podał szefowi małą teczkę, w której zebrano wszystko, co do tej pory wiedzieli o Aleksie Koniewiczu.

– Inteligentny facet. – Golicyn zmarszczył brwi, przejrawszy pobieżnie papiery. Na to wskazywały skąpe materiały.

– Bardzo. Uniwersytet Moskiewski. Fizyka. Na egzaminie wstępnym miał drugi wynik w kraju.

Dowiedzieli się o jego powiązaniach zaledwie trzy dni temu, wcześniej przeprowadzono jedynie standardowe rozpoznanie. Później poszukają dokładniej i dowiedzą się więcej. Znacznie więcej.

Uniwersytet Moskiewski był przeznaczony dla wąskiej elity, najlepszych studentów nauk ścisłych – matematyki, chemii i biologii. W państwie uważanym za raj klasy robotniczej marszczono pogardliwie brwi na myśl o książkach, poezji i malarstwie, które uznawano za bezużyteczne brednie niewarte tego, by marnować na nie choćby odrobinę cennego intelektu. Prawdziwych jajogłowych zaprzęgano do społecznie użytecznych zadań np. konstruowania potężniejszych głowic atomowych lub raket o większym zasięgu i celności.

Golicyn odłożył zdjęcie i podszedł do okna. Ten okrągłutki mężczyzna o krótkich, grubych nogach i obwisłym podgardlu wiecznie chodził naburmuszony. Miał łysą, błyszczącą głowę i czarne oczy, które błyszczały ogniem zawsze,

gdy był wściekły, czyli niemal ciągle.

- W jaki sposób Koniewicz zdobył majątek? – spytał.
- A jak sądzicie?
- W porządku, od CIA? Amerykanie zawsze posługiwali się pieniędzmi. Judzkoj potrząsnął głową. Golicyn strzelił knykциями.

– Nie marnujcie mojego czasu.

– Dobrze, sam zarobił. Wszystko.

Wąskie brwi Golicyna uniosły się pytająco w górę.

– Powiedzcie jak.

– Okazało się, że już był w naszych aktach. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku został przyłapany na tym, że prowadził prywatną firmę budowlaną w swoim pokoju w akademiku. Niewiarygodna sprawa. Facet zatrudnił sześciu architektów i ponad stu robotników różnych specjalności.

– Pewnie trudno było to ukryć. Działalność przestępcza prowadzona na taką skalę... – zauważył przytomnie generał. Jak się okazało, miał rację.

– Właśnie. – Skinął głową podwładny. – Jak zwykle ktoś zadencjonował. Zazdrosny kolega z roku.

– Widać od początku ten Koniewicz był chciwym przestępcą.

– Na to wygląda. Powiadomiono dziekana Uniwersytetu Moskiewskiego, nakazując, aby ten kapitalistyczny złodziej, Koniewicz, przemaszerował przed kolegami, został publicznie upokorzony i w trybie natychmiastowym usunięty z uczelni.

– Dobry pomysł.

– Okazuje się, że wyświadczyliśmy mu wielką przysługę. Koniewicz poświęcił się bez reszty działalności budowlanej, zatrudnił więcej pracowników i zaczął wznosić domy w całej Moskwie. Ludzie byli skłonni płacić pod stołem za jakość. Koniewicz wyrobił sobie reputację z powodu dotrzymywania terminów i jakości pracy. Wieści się rozchodziły, przed jego drzwiami ustawiały się kolejki klientów. Kiedy nastąpiła pierestrojka i wprowadzono reformy wolnorynkowe, facet się obłowił.

– Zbił fortunę w budownictwie?

– To był tylko początek. Słyszeliście o arbitrażu?

– Nie, cóż to takiego?

– To... taki instrument finansowy, którym posługują się kapitaliści. Kiedy te same towary mają różne ceny, arbitrażysta kupuje je tanio i sprzedaje drożej, chowając różnicę do kieszeni. Trochę przypomina to hazard, trzeba ostrożnie grać... Dzięki swojej pracy Koniewicz doskonale znał rynek materiałów budowlanych, więc skoncentrował się na tym sektorze.

– Z powodzeniem?

– Nie uwierzylibyście. Kiedy Gorbaczow wprowadził zasady wolnego rynku, w sferze cen wytworzyła się próżnia. To idealne warunki dla arbitrażysty, więc Koniewicz wykorzystał sytuację. Duży popyt na usługi budowlane i żadnego mechanizmu regulowania cen.

– Zrozumiałem.

Judzkaj domyślił się, o czym myśli szef.

– Powiedzmy, że dyrektor fabryki w Moskwie wycenia tonę stalowych gwoździ na tysiąc dolarów. Inny dyrektor w Irkucku może za te same gwoździe zażądać dziesięciu tysięcy. Wszyscy biorą ceny z sufitu. Nikt nie ma pojęcia, jaka powinna być cena gwoździ.

– Nasz przyjaciel kupował tańsze gwoździe? – spytał Golicyn, w końcu pojmując, o co chodzi.

– Tak, coś w tym stylu. Kupował całe ciężarówki. Płacił tysiąc dolarów za tonę w Moskwie i znajdował kupca w Irkucku, który był gotów zapłacić pięć. Różnica trafiała do jego kieszeni.

– Zatem chodzi o gwoździe... – powtórzył Golicyn, wykrzywając twarz z pogardą.

– Gwoździe, drewno, drut stalowy, okładziny ścienne, beton, dachówka, ciężki sprzęt... śledził ceny wszystkiego. To rozległe przedsięwzięcie. W krótkim czasie niepozorna firma przerodziła się w giganta.

Choć Golicyn przepracował trzydzieści lat w KGB, nigdy nie opuścił radzieckiego imperium, nigdy się nie wyrwał z prowadzących do nędzy objęć komunizmu. Zajmował się bezpieczeństwem wewnętrznym. To była jego działka. Przez wszystkie lata swojej kariery zawodowej gnębił i torturował współobywateli. Nie miał zielonego pojęcia o arbitrażu i nic go to nie obchodziło, więc kiwnął głową i skwitował:

– Facet zajmujący się arbitrażem to złodziej.



- Można to i tak ująć.
- Niczego nie wytwarza.
- Absolutna racja.
- Żeruje na cudzym pocie i pracy. Wielka, tłusta pijawka.
- Wykorzystuje system wolnorynkowy. To powszechna praktyka stosowana na zachodzie. Wysoko ceniona. Nikt na Wall Street niczego nie wyprodukował. Większość najbogatszych ludzi w Ameryce nie potrafiłaby zbudować koła, a co dopiero prowadzić fabryki, nawet gdyby miało od tego zależeć ich życie.

Golicyn nie był do końca pewny, jak to wszystko działa, lecz czuł, że mu się to nie podoba.

- Ile ten... Koniewicz... dał Jelcynowi?
- A któż to wie? Dużo. W amerykańskiej walucie może dziesięć, może dwadzieścia milionów dolarów.
- Miał tyle?
- Tyle i jeszcze więcej. W sumie z pięćdziesiąt milionów dolarów. Proszę pamiętać, że to jedynie przybliżone szacunki.

Golicyn spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Chcecie powiedzieć, że w wieku dwudziestu dwóch lat został najbogatszym człowiekiem w Związku Radzieckim?
- Nie, tego bym nie powiedział. Ludzie zarabiają teraz mnóstwo pieniędzy. – Spojrzał w dół i chwilę przebierał palcami. – Nie będzie jednak przesadą twierdzenie, że znajduje się w pierwszej dziesiątce.

Obaj utkwili wzrok w czubkach butów, pogrążeni w ponurych myślach, których żaden nie miał ochoty zwerbalizować. Jeśli komunizm upadnie, ich ukochane KGB pierwsze trafi w ogień. W ogromnym państwie, gdzie ludzie posługiwali się czterdziestoma językami i dialektami, w którym było niemal tyle samo grup etnicznych, istniał tylko jeden czynnik spajający, jedna wspólna nić – niemal każdy obywatel Związku Radzieckiego w taki lub inny sposób był prześladowany przez ich urząd. Może nie osobiście, lecz z pewnością ucierpiała z powodu KGB ich ukochana, a przynajmniej bliska osoba. Ich dziadkowie ginęli w stalinowskich czystkach, ojcowie nagle znikali i całymi latami gnili w gułagach za Breżniewa, ciotki i wujowie byli zabierani na surowe przesłuchania za Andropowa. Każdy chował do nich jakąś urazę. Niemal każde drzewo

rodzinne miało przynajmniej jedną gałąź, która została okaleczona lub odrąbana przez chłopców z Łubianki. Lista uraz była nieskończona i pełna goryczy.

Judzkoj miał ochotę uśmiechnąć się do szefa i powiedzieć: Mam nadzieję, że to wszystko szlag trafi. Pięć lat byłem u ciebie za wazeliniarza i nienawidzę każdej minuty. Jesteś kompletnie pokrecony, ty odrażający stary dziadzie.

Golicyn doskonale wiedział, o czym myśli jego podwładny, i był gotów udzielić mu odpowiedzi: Takich jak ty jest wielu, dziś jesteś trzeciorzędnym pacholkiem, a jutro staniesz się głodującym pacholkiem. Tylko w naszym systemie tacy lizusi i nieudacznicy jak ty mogli przetrwać. Jediną rzeczą, na której się znasz, jest wrywanie paznokci bezbronnym ofiarom, lecz nawet w tym nie jesteś dobry.

Jestem młody i energiczny, przystosuję się, myślał Judzkoj. Ty jesteś zaszuszoną jaszczurką, pomarszczonym starym dziadem, lodowatym anachronizmem. Wnuki robią w pieluchy na twój widok. Zatrudnię cię do czyszczenia butów.

Oszukiwałem, zadawałem podstępne ciosy i schlebiałem, aby awansować na trzygwiazdkowego generała w starym systemie, dam sobie radę i w nowym, niezależnie od tego, jaki będzie, myślał Golicyn. Ty na zawsze pozostaniesz nieudacznikiem.

– Dlaczego to zrobił? – zapytał, jakby był ciekaw, czemu Aleks Koniewicz dał Jelcynowi tyle pieniędzy.

– Może chodziło o zemstę.

– Chciał się odegrać na systemie, który próbował go zrujnować? Jakie to niskie...

– Myślę, że przede wszystkim zabiega o wpływy – ciągnął Judzkoj. – Jeśli Związek Radziecki się rozpadnie, Jelcyn zostanie prezydentem nowej wolnej Rosji, a wtedy będzie winien facetowi ogromną przysługę. Wiele państwowych zakładów zostanie sprywatyzowanych i trafi pod młotek. Koniewicz otrzyma swój udział. Ropa naftowa, gaz ziemny, banki, firmy motoryzacyjne – dostanie to, czego zapragnie jego chciwe serce. W końcu może stać się tak bogaty jak Bill Gates. A nawet bogatszy.

Golicyn odchylił się do tyłu i spojrział w sufit. Ta myśl była zbyt przykra. Niebawem mieli rozdać dorobek siedemdziesięciu lat pełnych krwi, znoju i

potu – kto pierwszy, ten lepszy, największa wyprzedaż majątku państwowego na świecie. Padlina największego światowego imperium miała zostać podzielona, stać się obiektem bezpardonowej walki. Zwycięzcy staną się niewyobrażalnie bogaci. Zapowiadała się paskudna, chaotyczna przepychanka.

– Czemu dopiero teraz dowiedzieliśmy się o istnieniu tego Aleksa Koniwicza? – prychnął Golicyn.

Dobre pytanie. Kiedy trzy lata wcześniej Borys Jelcyn zaczął otwarcie atakować Gorbaczowa i partię komunistyczną, KGB zbytnio się tym nie przejęło. Jelcyn był wówczas jeszcze jednym wygadany malkontentem. Mieli ich wtedy na pęczki.

Pod jednym względem okazał się inny od pozostałych niezadowolonych – kiedyś był członkiem politbiura, więc doskonale wiedział, jak zniedołężniali, głupkowaci, niekompetentni i przerażeni byli starzy towarzysze z wierchuszki.

Już samo to czyniło go groźniejszym od typowego chwalipięty.

Kiedy ogłosił, że będzie się ubiegał o urząd prezydenta Rosji – największej i najpotężniejszej republiki Związku Radzieckiego – KGB natychmiast zmieniło swój stosunek do Borysa, postanawiając traktować go bardzo serio.

Jego biuro i dom były obserwowane przez elitarną grupę agentów dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nagrywano wszystkie rozmowy telefoniczne, a jego gabinet i dom naszpikowano tyłoma urządzeniami podsłuchowymi, że można było usłyszeć pierdnięcie muchy. Kilku agentów wkręciło się do jego sztabu wyborczego, powiadamiając towarzyszy z KC o wszystkich pogłoskach i plotkach, które dotarły do ich uszu. Każdy, kto wszedł do biur Jelcyna lub z nich wyszedł, był śledzony, a następnie zaczepiany przez grupkę zbirów, którzy paskudnie wyglądali i jeszcze paskudniej się odzywali. Jeśli dasz Borysowi choć jednego rubla, ostrzegali, wygrasz główną wygraną na loterii – bilet w jedną stronę na najbardziej jałową, odludną i skutą lodem wyspę u wybrzeży Syberii.

Grube ryby z KGB nie okazywały zmartwienia, a jedynie zatroskanie. Ci ludzie byli dobrzy w tej grze. Po siedemdziesięciu latach niszczenia demokracji na całym świecie wiedzieli, jak osłabić i powstrzymać Jelcyna. Udział w wyborach wymaga pieniędzy, dużo pieniędzy. Trzeba mieć forszę na podróże, na utrzymanie sztabu i ludzi roznoszących ulotki w gotującym się, zróżnicowanym państwie

o powierzchni niemal trzykrotnie przekraczającej obszar Stanów Zjednoczonych.

Borys nie otrzymał ani rubla. Ani jednej kopiejki. Mógłby pomstować i wymachiwać rękami w pustych salach, zupełnie ignorowany przez obywateli. Po dostaniu tęgiego łupnia w sondażach, wczółgałby się pod jakąś skałę i zapił na śmierć. Na tym koniec, Borysie, ty idioto.

To ludzie, których wprowadzili do środka, pierwsi przekazali im alarmujące nowiny. Borys zaczął sypać garściami twardą walutę pracownikom swojego sztabu, biurom podróży, firmom reklamowym i organizatorom kampanii. Konkluzja była niepokojąca i nieunikniona. Jakiś rycerz na białym koniu potajemnie przekazywał Jelcynowi forszę, kupę forsy. Borys wydał fortunę na podróżowanie po Rosji wynajętym odrzutowcem, zatrzymywał się w luksusowych hotelach i by zaczęto go traktować jeszcze poważniej, wybrał się nawet w podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie chciał zostać przedstawiony amerykańskiemu prezydentowi. Gorbi był zmuszony poprosić Amerykanów o wielką przysługę. Udało mu się doprowadzić do tego, że Borys został spity przez niższego szczebla urzędnika Białego Domu, zanim znalazł się w pobliżu Gabinetu Ovalnego. Nawet pieniądze, które wydawał na alkohol, przyprawiały o zawrót głowy.

Jelcyn wydawał miliony, dziesiątki milionów. Skąd się brała ta tajemnicza forsa?

W pośpiechu zorganizowano grupę operacyjną, ekspertów od finansów i bankowości, którzy zaczęli rozglądać się wokół, zaglądać pod wszystkie znane kamienie.

Nie znaleźli niczego.

Zespół speców od komputerów włamał się do biur wyborczych Borysa, badając najgłębsze pokłady każdego twardego dysku.

Ani śladu.

Prowadzili długie, burzliwe spotkania, aby ustalić, co robić. Narady pełne typowych uszczypliwości, wskazywania palcem i spychania odpowiedzialności na kolegów. Sprytny rycerz na białym koniu, kimkolwiek był, wiedział, jak usunąć po sobie ślady. Musiał być niezwykle pomysłowy, aby nie dać się wykryć ludziom stosującym wyjątkowo zaawansowane techniki szpiegowskie. Taki poziom wyrafinowania wzbudzał intrygujące pytania i mroczne domysły.

Po nieodłącznej długiej i gorącej dyskusji główne podejrzenie padło na obce służby wywiadowcze. Zwiększono obserwację wybranych ambasad i znanych zagranicznych agentów. Potrojono liczebność zespołu obserwującego Jelcyna. W większości zagranicznych ambasad i tak założono dawno podsłuch. Po siedemdziesięciu latach wążsania się obcych szpiegów po stolicy Kraju Rad, KGB wiedziało o każdej skrzynce kontaktowej i potajemnym spotkaniu w Moskwie.

Ponownie *nicziewo*.

Wzrostowi poparcia dla Jelcyna w sondażach towarzyszyło nasilenie się frustracji. KGB miało awersję do tajemnic – jeśli pozostawały zbyt długo nierozwiązane, przeradzały się w problemy zawodowe. Skontaktowano się z szefem rezydentury KGB w Waszyngtonie, aby zaprzął do roboty ogromną siatkę kretów, wtyczek i zdrajców w CIA, DIA, FBI, NSA i innych agencjach, do których sięgały jego brudne macki. Pieniądze, forsa, szmal – taką bronią posługiwano się w Ameryce. Gdyby winowajca był w Stanach, CIA lub NSA, ze swoim ogromnym, nowoczesnym arsenałem podsłuchów elektronicznych, z pewnością by o nim wiedziały.

I tym razem *nicziewo*. Jeszcze więcej zmarnowanego czasu i wysiłku, jeszcze więcej milionów dolarów napływających z niewiadomego źródła i zwolenników gromadzących się pod sztandarem Borysa.

– To cud, że wpadliśmy na jego ślad – zauważył Judzkój. – Koniewicz jest bardzo, ale to bardzo sprytny.

– Jak bardzo?

– W prywatnym sektorze budowlanym niemal za wszystko płaci się gotówką. Zwykle nieoficjalnie. Na dodatek mamy teraz połączenie dwóch gospodarek, komunistycznej i wolnorynkowej. Goście od wolnego rynku wiedzą, że nie panujemy nad sytuacją. Wymyślają różne sprytne gierki, których jeszcze nie znamy. To...

– Jaką grę prowadzi ten Koniewicz? – Golicyn przerwał mu niegrzecznie, zmęczony ciągłymi wymówkami.

– Wszystko załatwiano za granicą. Forsę szmuglowano z kraju, prano pod fałszowanymi nazwiskami w bankach na Karaibach, gdzie zamieniały się w pieniądź elektroniczny. Koniewicz przepuszczał forszę przez wiele banków w

Szwajcarii, Afryce i Stanach. Dzielił ją i ponownie gromadził, przemieszczając tak długo, aż straciliśmy ją z oczu. Nie mogliśmy nadążyć za transferami.

– Jak przekazywał pieniądze ludziom Jelcyna?

– Właśnie to jest w tym wszystkim najpiękniejsze. Ani jeden rubel nie przeszedł przez nasz system bankowy. Dlatego nie mieliśmy o niczym pojęcia. Przypuszczamy, że pieniądze szmuglowano z powrotem do kraju i przekazywano w dużych walizkach.

– Kto mu pomagał? – warknął Golicyn, łypiąc na Judzkiego gniewnie. Kolejne dobre pytanie. Obywatele radzieccy nie mieli zielonego pojęcia o międzynarodowej bankowości, praniu brudnych pieniędzy, transakcjach elektronicznych i tym, jak unikać wykrycia. Radziecki sektor bankowy był zacofany i zdumiewająco prymitywny. W końcu nikt nie miał tyle forsy, aby bawić się w takie dyrdymały.

No, prawie nikt. Mafia miała góry pieniędzy. Byli prawdziwymi mistrzami finansowych przekrętów. Wyróbowali i doprowadzili do doskonałości wszelkiego rodzaju pokrętne sztuczki i kanty. W państwie stosującym największy ucisk na świecie przetrwanie zależało od umiejętności sprawienia, aby gotówka stała się niewidzialna.

– Macie na to jakieś dowody? – zapytał Golicyn, wskazując palcem teczkę dostarczoną przez podwładnego.

– Nie, jeszcze nie. Nie oznacza to, że nie maczali w tym swoich lepkich paluchów, a jedynie, że nie znaleźliśmy dowodów.

– Szukajcie dalej, musi coś być.

Po chwili milczenia Judzkiej zauważył nieoczekiwanie:

– Czytałem jego pracę semestralną z pierwszego roku. Miała coś wspólnego z teorią względności Einsteina.

Szef wrócił do okna, niespokojnie obserwując rozwrzeszczany tłum gromadzący się na ulicy. Jeszcze kilka lat temu większość tych chuliganów siedziałaby już w furgonetkach więziennych bez okien, dygocząc ze strachu w drodze na plac Dzierżyńskiego. Po krótkiej obróbce wstępnej wysłano by gnojków do jakiejś kopalni uranu na Uralu, gdzie pracowaliby dopóty, dopóki nie wypadłyby im wszystkie włosy i zęby.

Golicyn nagle zatęsknił za starymi, dobrymi czasami.

– Właściwie to... próbowałem ją przeczytać – przerwał miłą zadumę Judzkój. – Prawie nic nie zrozumiałem... – wymamrotał. – Same skomplikowane równania... – przerwał, jakby poczuł się zakłopotany.

– Jaki był jej temat? – spytał nieobecny głosem Golicyn. Motłoch pod oknem zaczął tańczyć i śpiewać. Generał poczuł się zmęczony.

– Wysłałem jego pracę szefowi laboratorium termojądrowego w Instytucie Kurczatowa. Powiedział, że to jedna z najbardziej błyskotliwych rozpraw, którą czytał w ostatnich latach. Chciał ją opublikować w kilku prestiżowych międzynarodowych pismach naukowych. Wiecie, towarzyszu... aby udowodnić, że radziecka nauka nadal pozostaje na najwyższym poziomie. Kiedy mu powiedziałem, że autorem jest osiemnastoletni student pierwszego roku, nazwał mnie kłamcą.

Szef obejrzał się przez ramię.

– Mówiliście już, że to inteligentna sztuka.

– Wiem, teraz mówię, że jest więcej niż inteligentny.

Patrzyli na siebie chwilę.

– Ma tylko dwadzieścia dwa lata – powiedział Golicyn.

– Właśnie o to chodzi. Nie jest zepsuty przez starą ideologię. Nie żył wystarczająco długo, aby jego mózg i ambicje zamieniły się w papkę, jak u każdego radzieckiego obywatela, który ma ponad trzydzieści lat.

Żadnemu z nich nie umknęła ponura ironia faktu, że to oni i ich bandycka instytucja się do tego przyczyniali. Przeciętny Rosjanin ledwie potrafił rano zwlec się z łóżka. Jedynymi rzeczami, którymi mógł się poszczycić ich kraj, były największy odsetek alkoholików na świecie i najkrótszy okres ludzkiego życia wśród krajów rozwiniętych. Pasowało idealnie.

Judzkój zaczął pakować dokumenty i zdjęcia do teczki. Po chwili odchrząknął i zapytał:

– Co poradzicie Gorbaczowowi?

Golicyn udał zaabsorbowanego, jakby nie dosłyszał pytania. Judzkój był wścibski, uważano go za urodzonego plotkarza. Gdybym teraz puścił parę z ust, wiadomość do północy rozeszłaby się po całej Moskwie, pomyślał generał. Czy to by coś zmieniło? Tak ważnej wiadomości nie da się utrzymać w tajemnicy. Jaką różnicę sprawi kilka godzin?

Odwrócił się od okna i spojrzął na swojego współpracownika.

– Na biurku Gorbaczowa leży uchwała rozwiązująca Związek Radziecki. Ten drań, Jelcyn, chciał, aby Duma przegłosowała ją dziś po południu.

– Przeszła?

– Przytłaczającą większością głosów. Jeśli Gorbaczow ją podpisze, będzie to oznaczać koniec Związku Radzieckiego. Kraj Rad przejdzie do historii. Kaput.

– A jeśli tego nie zrobi? – zapytał Judzkój, wiedząc już, co świętuje Jelcyn tej nocy. Było to wydarzenie o historycznym znaczeniu. Sympatycy Jelcyna będą musieli zanieść Borysa do łóżka. – Co wtedy?

– A jak myślisz, idioto? Rozpędzimy zbuntowaną Dumę i policzymy się z wrogami. – Wskazał zakrzywionym paluchem w stronę motłochu na ulicy. – Wsadzimy do paki kilka milionów dysydentów i malkontentów. Wyślemy milion do gułagów. Rozstrzelamy lub powiesimy sto, dwieście tysięcy, aby ludzie zwrócili na nas uwagę.

– To nie będzie zabawne – wybełkotał Judzkój.

Golicyn wzruszył ramionami.

– Zostawcie teczkę Koniewicza, chcę się z nią dokładnie zapoznać.

Judzkoj wstał i zaczął się szykować do wyjścia, gdy starszy mężczyzna chwycił go za ramię.

– Informujcie mnie na bieżąco o wszystkim, czego się dowiecie na jego temat. Nie szczędźcie środków. Chcę wiedzieć wszystko o tym cudownym dziecku. Powtarzam, wszystko.



## 2.

### *Sierpień, 1993 rok*

Pierwszy zespół przejął go, gdy razem z żoną minął metalową bramę otaczającą rezydencję i z piskiem opon ruszył w kierunku lotniska Szeremietiewo. Na czele kolumny jak zwykle jechał wóz migający niebieskimi światłami. Lśniący, czarny opancerzony mercedes sunął bezpiecznie w środku konwoju, a w samochodzie zamykającym kolumnę siedzieli uzbrojeni po zęby ochroniarze.

W dyskretnej odległości za nimi mknął sfatygowany żił, który cudownie zlewał się z otoczeniem, bo wyglądał jak inne graty krążące ulicami Moskwy.

Wierzcie mi, przesadne środki ostrożności. Bilety lotnicze zarezerwowano elektronicznie. Znali numer rejsu, czas odlotu oraz numery miejsc Aleksandra Koniewicza i jego żony. Wiedzieli, dokąd zamierzają się udać i jak długo tam pozostać.

W raporcie nie podano celu podróży. Nie miało to żadnego znaczenia i nikogo nie obchodziło. Wiedzieli, czemu mają go śledzić.

Tylko to miało znaczenie. I nic więcej.

Koniewicz i jego żona wykupili miejsca w pierwszej klasie, obok siebie. Drugi zespół przejął ich w chwili, gdy przeszli odprawę celną i wkroczyli na pokład samolotu. Kiedy tylko opadli na wygodne, rozkładane fotele, zamówili dwa kieliszki szampana. Popijali bąbelki, rozmawiając i trzymając się za ręce. Członkowie drugiego zespołu przyznali, że stanowią uroczą parę.

Nowy zespół, mężczyzna i kobieta, siedzieli dziesięć rzędów dalej, wtłoczeni w ciasne fotele klasy turystycznej, skąd mogli bez przeszkód obserwować obiekty. Żaden z pasażerów pierwszej klasy nie odwrócił się w stronę ograbionych z luksusu nieszczęśliwców podróżujących w bydlęcym przedziale. Chociaż nie obawiali się, że zostaną zdemaskowani, podjęli wszelkie środki, aby temu zapobiec. Gryźli suszone śliwki, popijali wodę mineralną z butelki, siedzieli cicho i bacznie obserwowali, co się dzieje.

Kolejne przesadne środki ostrożności. Czy obiekt mógł im uciec podczas lotu na wysokości sześciu tysięcy metrów nad ziemią?

Poza tym trzeci zespół, znacznie liczniejszy, złożony z ośmiu do dziesięciu ludzi, miał się zjawić godzinę przed wylądowaniem na lotnisku Ferihegy pod Budapesztem.

Nużąca robota, lecz obserwatorzy byli zawodowcami i zachowywali ciągłą czujność. Cierpliwie spędzali czas, odnotowując w myślach fakty, które mogły mieć później znaczenie. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, mimo starannego planowania, ćwiczeń i podjętych środków ostrożności.

Aleks Koniewicz miał na sobie idealnie skrojony, dwuczęściowy niebieski garnitur z wełny. Zagraniczny, przypuszczalnie angielski. Na pewno drogi. Jego żona, Jelena, włożyła elegancki czarny spodniom z wełny, także świetnie skrojony i zdecydowanie droższy od jego garnituru. Przypuszczalnie pochodził z jednego z tych pedalskich pretensjonalnych europejskich butików. Luksusowe ciuchy były poważnym błędem taktycznym z ich strony. Rosjanie i obywatele krajów Europy Wschodniej fatalnie się ubierają, co powodowało, że wyróżniali się wśród innych pasażerów.

Po przestudiowaniu niezliczonych zdjęć Aleksa Koniewicza uznali, że stanowi doskonały obiekt. Nie sposób było go zgubić lub pomylić z kimś innym. Także wzrost Aleksa przemawiał na ich korzyść. Facet wyróżniał się nawet w gęstym tłumie.

W aktach nie było żadnego zdjęcia Jeleny, co z zawodowego punktu widzenia trzeba uznać za poważne niedopatrzenie. A jeśli się rozdziela? Jeśli pojedą dwiema taksówkami? On na spotkanie biznesowe, ona do centrum handlowego, aby pomyszkować w sklepach?

Właśnie dlatego skoncentrowali się głównie na niej, odnotowując w myślach użyteczne spostrzeżenia, zapamiętując charakterystyczne cechy jej

wyglądu. Była mniej więcej w jego wieku. Dwadzieścia dwa, góra dwadzieścia cztery lata, znacznie niższa od męża. Jasne włosy opadające na ramiona, swobodnie rozczesane. Delikatny makijaż. Oboje zgodzili się, że właściwie go nie potrzebowała. Cudne błękitne oczy, duże, gołębie i niewinne. Lekko zadarty nos, zgrabna figura, choć uznali, że jest trochę za szczupłą. W sumie bardzo ładna i zmysłowa kobieta. Co najważniejsze, takiej babki nie można przeoczyć.

Otrzymali niewiele danych na jej temat, pewnie dlatego, że ich informatorzy sami mało wiedzieli, a może dlatego, że nie miało to większego znaczenia.

Była z nim.

To stanowiło klucz.

Po trzydziestu minutach lotu Aleks rozłożył fotel, rozpiął kołnierzyk, poluzował krawat i zapadł w drzemkę. Ona wręczyła stewardesie kilka dolarów, założyła słuchawki i zaczęła z uwagą oglądać amerykański film akcji z napisami, pewnie o porwaniu samolotu lub czymś w tym rodzaju.

Aleks Koniewicz obudził się godzinę później, wypoczęty i gotów do pracy. Zrezygnował z posiłku, wyciągnął z teczki gruby plik papierów i zabrał się do roboty. Z akt wynikało, że był pracoholikiem, człowiekiem pełnym determinacji, skoncentrowanym na pracy i chciwym. Na takiego też wyglądał.

Byli niemal pewni, że na pokładzie samolotu znajduje się ochroniarz. Może nawet dwóch, lecz nie więcej. Nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. W Moskwie, gdzie trwał właśnie sezon polowań na bankierów, przedsiębiorców i bogatych biznesmenów, życie Aleksa Koniewicza było nieustannie zagrożone. Tylko w tym roku zastrzelono, wysadzono w powietrze lub porwano niemal siedmuset bogaczy. A ich czekały jeszcze cztery godziny lotu.

Dziki Wschód został daleko w tyle, a przynajmniej tak mu się wydawało. Pewnie jego czujność osłabła, jak zawsze, gdy *Matuszka Rossija* odpływała w siną dal. Zleceniodawca poinformował ich w zaufaniu, że duża grupa ochroniarzy budzi niesmak Aleksa Koniewicza, rzuca się w oczy i, co gorsza, źle wpływa na interesy. Cała wataha zbirów o grubych szyjach zdenerwowałaby zachodnich inwestorów i przedsiębiorców, z którymi miał do czynienia.

Wiedzieli jednak, że gdzieś na pokładzie samolotu siedzi jeden lub dwaj ochroniarze, spokojni i nierzucający się w oczy, jak oni, czekający i obserwujący rozwój wydarzeń. Nie liczyli, że uda im się ich zidentyfikować w czasie trwania lotu. Ci faceci to pracownicy bogatych zagranicznych firm cieszących

się znakomitą renomą. W większości byli to dawni agenci wywiadu i policjanci, którzy zarabiali zbyt dużo forsy, aby popełniać głupie błędy. Inwigilujący odsunęli na bok ponure przypuszczenia, pamiętając, że kazano im dołożyć wszelkich starań. Może szczęście dopisze i coś zauważą. Wcześniej zdecydowali, że będą bacznie obserwować każdego rzucającego zbyt zaborcze spojrzenia na Aleksa i jego śliczną panią.

Co jakiś czas przechadzali się leniwie między fotelami, udając, że muszą skorzystać z toalety. Zauważyli kilku młodych umiędzionych mężczyzn o surowych twarzach, ale raczej członkowie elitarnej grupy ochroniarzkiej nie chcieliby rzucać się w oczy.

Wiedzieli, że ochroniarze nie są uzbrojeni. Przynajmniej to było pewne. Przeszmugłowanie broni na pokład samolotu było bardzo trudne. Jej wykrycie spowodowałoby powszechne zamieszanie – a tego nie chciała prestiżowa firma, twierdząca, że przestrzega zasad etycznych. Nie byliby tacy głupi.

Poza tym, czemu ryzykować wykrycie, skoro istniały lepsze metody. Znacznie łatwiej było spotkać się z kimś w Budapeszcie i dyskretnie odebrać broń.

\* \* \*

Dziewiętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku stara gwardia wykonała ostami rozpaczliwy ruch, aby ocalić padające imperium. Gorbi, który spowodował tyle zniszczeń swoimi daremnymi próbami reform, bawił właśnie na wakacjach w uzdrowisku nad Morzem Czarnym, kiedy grupka twardzieli z KGB przeprowadziła szturm i wzięła go jako zakładnika. W Moskwie klika złożona z szefa jego gabinetu, wiceprezydenta, premiera, ministra obrony i przewodniczącego KGB miała przejąć kontrolę nad najważniejszymi organami państwa.

Kilka tysięcy żołnierzy wyruszyło w kierunku Kremla. Zajęto stacje telewizyjne i zabezpieczono zbiorniki wody. Przed punktami wydawania żywności ustawiono uzbrojonych po zęby ochroniarzy, aby zdławić rozruchy. Czołgi zajęły strategiczne skrzyżowania wokół dzielnicy rządowej. Typowe oznaki narodzin nowej republiki bananowej.

Następnie uczestnicy puczu zwołali transmitowaną na żywo konferencję prasową, przedstawiając się jako wybawcy komunizmu i Związku Radzieckiego.

Pucz okazał się katastrofą. Jego przywódcy byli pomarszczonymi, sklerotycznymi staruszkami, nieprzyjemnymi, odpychającymi i wystraszonymi. Wszyscy widzieli to jak na dłoni. Ręce im drżały, mówili łamiącym się głosem, na twarzach widać było jedynie gniewny grymas.

Nigdy przedtem nie uśmiechali się do narodu, więc czemu teraz mieliby to robić?

Co gorsza, wydawali się niezorganizowani, słabi, zdenerwowani i starzy. Instykt podpowiadał, że nie byli to właściwi ludzie, którzy mogliby zapanować nad podzielonym, niespokojnym narodem w decydującym momencie.

Oczywiście, zupełnie inny był Borys Jelcyn, urodzony oportunistą i nałogowy podżegacz. Skupił wokół siebie gromadę do siebie podobnych i wydał odezwę do Rosjan, aby zjednoczyli się w walce o wolność. Rosyjską Dumę otoczył wielki tłum, wszczynając zamęt, śpiewając pieśni i drwiąc z puczystów. Przywódcy puczu byli absolutnie przekonani, że praworządni obywatele zachowają się zgodnie najlepszą radziecką tradycją, czyli niczym wystraszone, potulne owieczki. Gwałtowny spektakl zgotowany przez opozycję całkiem zaskoczył starych towarzyszy.

Połowa opowiedziała się za urządzeniem rzezi i powieszeniem ciał zdrajców na latarniach. Byłby to doskonały przykład, ojcowskie ostrzeżenie, choć znacznie spóźnione. Ten żaloszny mięczak, Gorbi, rozpieścił naród. Obywatele zmiękli, byli zepsuci. Dobra masakra, oto lekarstwo, którego potrzebowali, aby odzyskać dawną formę. Im więcej zabitych mięczaków, tym lepiej.

Druga połowa obawiała się, że krwawy spektakl wzbudzi jeszcze silniejszy bunt. Oczywiście nie mieli żadnych oporów moralnych. Jakby ktoś tego potrzebował, jeden z nich stale powtarzał święte słowa towarzysza Lenina, że przyrządzenie omletu wymaga rozbicia kilku jaj. Ostrzegali jednak, że naród zaczął groźnie łypać na tyranów. Gdyby wykonali niewłaściwe posunięcie, sami mogliby zadyndać na latarniach. Przekonywali, by zignorować zbiegowisko. Po jednym lub dwóch dniach spędzonych na dworze obwiesie się znudzą, zgłodnieją i rozejdą w ciemności.

Nie osiągnęli zgody. Zabić czy zignorować? Rozdeptać niczym szkodniki czy przeczekać? Starzy towarzysze byli podzieleni, więc siedzieli w swoich pozłacanych kremlofskich gabinetach, awanturując się, przeklinając i pijąc na umór, przytłoczeni tym, że ukradziono im władzę.

Świat wstrzymał oddech i obserwował Moskwę przez dwa bezsenne dni. Zwolennicy Borysa z godziny na godzinę stawali się coraz bardziej hałaśliwi. Przygotowali transparenty. Śpiewali i obrzucali przekleństwami żołnierzy, których posłano, aby nad nimi zapanowali. Wznosili obozy, gromadzili żywność i szykowali się do dłuższego oblężenia. Przywódcy puczu spirali się jeszcze gwałtowniej i jeszcze więcej pili.

Mimo prób niedopuszczenia prasy mała armia uprzykrzonych reporterów przeniknęła do tłumu, nadając denerwujące relacje za pośrednictwem satelity, szmuglując zdjęcia i zgarniając na kopy nagrody Pulitzera. Całkowity chaos ukazany w żywych barwach całemu światu.

Jelcyn uwielbiał światła reflektorów. Niemal zakręciło mu się w głowie na myśl, że będzie miał za widownię cały świat. Ekipy telewizyjne koczowały w gmachu Kremla okrągłą dobę, siedem dni w tygodniu. Staruszkowie musieli siedzieć i patrzeć, jak Borys – który nagle cudownie wytrzeźwiał – paraduje przed kamerami, ogłaszając, że są skończeni, że marzy im się despotyczna władza, że wypędzi ich z miasta. Ten klaun grał im na nosie.

W imperium, w którym panował wszechobecny terror, to było poniżenie, a nawet gorzej, ściągało na nich poważne niebezpieczeństwo.

Jedna trzecia starych towarzyszy nie wytrzymała. Wydali rozkaz, aby czołgi ruszyły, rozpędziły tłum i rozjechały Borysa. Kiedy trzech nieszczęśników zostało rozgniecionych na miazgę, armia straciła ducha. Jak to bywa z błędnymi kalkulacjami i ta okazała się fatalna w skutkach. Poniewczasie zrozumieli, że powinni byli posłać zbirów z KGB. Trochę żal, trochę za późno. Chcesz pogruchotać kilka kości, upuścić nieco krwi – chłopaki z Łubianki chętnie pomogą. W odróżnieniu od nich żołnierze nie mieli ochoty upokarzać swoich bezbronnych rodaków. Garstka zde gustowanych generałów opowiedziała się za Jelcynem. Za nimi masowo poszli inni.

Przywódców puczu wyprowadzono w kajdankach – zmęczonych, pokonanych, zgorzkniałych starych ludzi, którzy zaprzepaścili swoją ostatnią szansę. Jelcyn, w amoku zwycięstwa, popędził przed kamery, aby ogłosić rozwiązanie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Był to odważny gest, ostatnie namaszczenie udzielone staremu systemowi, którego istnienie dobiegało końca. Tłum owacyjnie przyjął słowa Jelcyna. Posunięcie to okazało się szalone, a

wkrótce po nim nastąpiła kolejna krótkowzroczna decyzja – rozwiązanie Związku Radzieckiego.

Jeden ruch pióra sprawił, że ogromne imperium rozleciało się na kilkanaście odrębnych państw.

Przez siedemdziesiąt lat komunizm stał na straży ładu w całym regionie – tworzył kościec systemu prawnego, rządu i aparatu gospodarczego największego mocarstwa świata. Żyłami i tętnicami oplatającymi cały kraj byli leniwi, do cna skorumpowani i żałośnie nieskuteczni urzędnicy oraz partyjni funkcjonariusze. To dzięki nim wszystko jakoś działało. To oni rozdzielali żywność i mizerne wypłaty, przydzielali mieszkania, niewłaściwie zarządzali fabrykami i gospodarstwami, utrzymywali porządek, dzielili towary i usługi, dbali o to, aby jeździły pociągi. Paskudny, potwornie skażony system, a jednak system.

Jelcyn nie zastanawiał się nad tym, co zastąpi ten system i radzieckich urzędników. Przez głowę przemknęło mu kilka niejasnych myśli o demokracji i kwitującym wolnym rynku. I *eta wsio*. Najwyraźniej sądził, że nowe instytucje wyłonią się spontanicznie z urodzajnej próżni, którą wytworzył.

Co gorsza, szybko stało się jasne, że Jelcyn, tak skuteczny w rozbijaniu dawnego systemu, nie miał zielonego pojęcia, jak ponownie skleić rozrzucone kawałki. Był rewolucjonistą, radykałem, utalentowanym burzycielem i, jak większość ludzi jego pokroju, nie bardzo wiedział, co robić po wielkim wybuchu.

Aleks Koniewicz nie miał w tej sprawie najmniejszych wątpliwości. Do tego czasu zdążył już zbudować dużą firmę budowlaną, stworzyć szeroką sieć domów brokerskich zajmujących się arbitrażem, najpierw materiałów budowlanych, a później wszelkich dóbr, które wytwarzała *rodina*. Założył Rosyjski Bank Dewizowy, aby zapewnić finansowanie swoim głodnym kapitału firmom. Co zdumiewające, dokonał tego pod nosem represyjnego aparatu komunistycznego. Wymykając się KGB i prowadząc zakulisowe operacje, jakimś cudem posiadał wiedzę z alchemii bankowości i finansów, poznał zasady działania na rynku światowym.

Naród nie był przygotowany, aby w ciągu jednej nocy rzucić się w objęcia kapitalizmu. Aleks był nie tylko przygotowany, lecz czekał na tę chwilę z utęsknieniem.

Instynkt zabójcy podpowiedział mu, aby czym prędzej wystarać się o pozwolenie na prowadzenie wymiany obcej waluty. Jeszcze niedawno takie pozwolenia wydawał rząd Związku Radzieckiego. Firmy, które miały licencje i zezwolenia wydane przez niesławną władzę, były niewypłacalne, niewarte splunięcia. Teraz duch czasu nakazywał naśladowanie Zachodu, sprywatyzowanie wszystkiego, rozwalenie państwowej biurokracji tłamszącej gospodarkę.

Po przeprowadzeniu krótkiego dochodzenia okazało się, że banki Aleksa były jedynymi funkcjonującymi instytucjami o odpowiednim doświadczeniu i z wyszkoloną kadrą menedżerów oraz wystarczającą ochroną, aby strzec transakcji wartych miliardy dolarów. Aleks nie tylko otrzymał zezwolenie, lecz wręcz monopol – każdy dolar, każdy jen, każdy frank, które wpływały do Rosji lub z niej wypływały, przechodziły przez jego bank dewizowy. Przez skarbcę bankowe przepływały ogromne strumienie gotówki. Transfery napływały ze wszystkich stron – od zachodnich firm pragnących założyć filie w nowym kapitalistycznym państwie i zamożnych Rosjan chcących wywieźć forszę z kraju, oszukać fiskusa i ukryć swoje nielegalne fortuny za morzami.

Miliony wystraszonych obywateli ustawiało się w długich kolejkach, aby powierzyć swoje oszczędności bankowi Aleksa, który z ochotą wymieniał tracące na wartości ruble na stabilne dolary, jeny lub niemieckie marki, na dowolną walutę, pozwalając przetrwać im zawieruchę.

W krótkim czasie Aleks i jego dyrektorzy zaczęli dyktować kurs wymiany wszystkich zagranicznych walut, który de facto obowiązywał na obszarze całego kraju. Taka władza mogła przyprawić o zawrót głowy młodego mężczyznę, który nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat. Tak się też szczęśliwie składało, że była to kopalnia złota.

Aleks zabierał dla siebie ułamek każdego rubla przepływającego w jedną lub drugą stronę. Zadowalał się marnymi dwoma procentami, ponieważ jednak gotówka, którą obracał, szła w miliardy, zgarniał miliony. A później dziesiątki milionów.

Niebawem dostrzegł inną ciekawą możliwość i obiecał dwudziestoprocentowe odsetki każdemu Rosjaninowi, który założy roczny depozyt w jednym z jego banków. Reklamy ukazały się we wszystkich stacjach telewizyjnych. W spotach pojawiła się piękna rosyjska modelka. Kołysała ramionami i kręciła



zgrabnymi biodrami, oznajmiając zmysłowym szeptem, że jej chłopak jest seksownym geniuszem – zarabia na odsetkach. Każdy facet nabrał przekonania, że wystarczy zarobić na odsetkach, by ją zaliczyć. Aby przemówić do innej grupy obywateli, pokazano sympatyczną starszą parę stojącą przed rozpadającą się wiejską chałupą. Małżonkowie łamiącym się głosem dziękowali bankowi Aleksa za to, że pieniądze, które odłożyli na starość, są nie tylko bezpieczne, lecz pomnażają się z każdym dniem. Następnie pokazano, jak po upływie roku ta sama starsza para energicznie wsiada do lśniącego mercedesa zaparkowanego przed piękną nadmorską daczą.

Niesłychane. Żaden radziecki bank nie reklamował swoich usług. Żaden nie proponował odsetek, nawet jednej kopiejki! Czy nie wystarczyło, że pilnowali forsy klientów? Czemu jakkolwiek bank miałby hojnie sypać gotówką?

Reklamy były wulgarne, a obietnica odsetek graniczyła z celowym wprowadzeniem w błąd. Radzieccy bankierzy gniewnie pomrukiwali między sobą i wygłaszali krytyczne uwagi przed każdym reporterem, który chciał słuchać ich biadolenia. Dwadzieścia procent odsetek? Jeden lub dwa, w porządku, ale dwadzieścia? Koniewicz porządnie beknie za swoje przechwałki. Zbankrutuje, nim minie miesiąc.

A jednak przed bankami Aleksa ustawiły się kolejne miliony inwestorów. Napłynęły kolejne miliardy. Aleks przyjął środki, zabezpieczył je i postawił wszystko na niestabilnego rubla, a następnie patrzył, jak inflacja sięga poziomu tysiąca procent. Pod koniec roku inwestorzy odebrali swoich dwadzieścia procent, uważając się za szczęśliwców. W każdym razie oszczędności całego życia nie stopniały do pół kopiejki, jak to się przydarzyło milionom tych, którzy nie mieli tyle szczęścia. Reszta śmietanki spłynęła do Aleksa. Niemal dziewięćdziesiąt kopiejek z każdego rubla ulokowanego w jego bankach pozostało w kieszeni Koniewicza. Facet się obłowił.

Gospodarka szła od jednej katastrofy do drugiej, a gdy trudności zaczęły się piętrzyć, Borys rozpaczliwie potrzebował pomocy. Na prośbę prezydenta założono gorącą linię łączącą gabinet Borysa z biurem jego zaufanego cudownego dziecka, Aleksa, który znał kapitalizm od podszewki, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Długie nocne rozmowy stały się rutyną. Wystarczyło jedno naciśnięcie guzika, aby prezydent mógł się wyzalić, wygłosić długą, łzawą diatrybę zakropioną dużą ilością alkoholu. Aleks był chłodnym, inteligentnym

słuchaczem, a typowa dla matematyka miłość do liczb czyniła go ekspertem.

Jelcyn nie miał doświadczenia w dziedzinie finansów, nie znał się na nich. Szczerze mówiąc, cała ta paplanina ekonomistów na śmierć go nudziła. Aleks prostym językiem objaśniał mu ostatnią katastrofę i podsuwał rozsądne rozwiązanie. Następnego ranka Borys gnał do swojego gabinetu, wydawał kilka opryskliwych poleceń i zapobiegał całkowitej katastrofie, a przynajmniej odsuwał ją o kolejny dzień.

\* \* \*

Pewnej nocy, w trakcie długiej rozmowy o topniejących rezerwach dewizowych, Jelcyn przerwał, aby nabrać tchu, po czym spytał nieoczekiwanie:

- Jak tam twój nowy dom?
- Jest ładny, bardzo ładny.
- Duży?
- Całkiem spory, panie prezydencie. Czemu pan pyta?
- Słyszałem, że jest ogromny.
- Nie zaprzeczę. To prawda.
- Ile w nim sypialni?
- Sześć, o ile pamiętam. Może siedem. Dlaczego to pana ciekawi?
- To jak, sześć czy siedem?
- Szczerze mówiąc, nie wiem. Z tego, co mi mówili, może być dziesięć. Obejrzałem większość pokoi, lecz niektórych nie widziałem. Kiedy go kupiłem, był w ruinie. Stara ceglana rezydencja zbudowana przed tysiąc dziewięćset siedemnaście lat. Miejscowi powiadają, że został wzniesiony dla jakiegoś barona lub zamożnego właściciela fabryki, który miał dziesięć dzieci. Biedak został wywleczony z domu i rozstrzelany przez bolszewicki pluton egzekucyjny trzy dni po wbiciu ostatniego gwoźdźca.
- Nabierasz mnie, co?
- Na zachodniej ścianie do dziś widać ślady po kulach, to dodaje rezydencji szczególnego uroku. – Co się później stało?
- Nie znam wczesnej historii rezydencji, choć wiem, że przez dziesięć lat dom zajmowało Ministerstwo Edukacji. Była tam też szkoła dla dzieci partyjnej wierchuszki i ośrodek szkoleniowy dla dyrektorów szkół. Oczywiście doprowadzono rezydencję do zupełnej ruiny. Od czasu jej zbudowania nie

odnowiono instalacji elektrycznej i wodno-kanalizacyjnej. Rury wykonano z żeliwa. Zatkaną się, a woda przypominała zawieszoną brązową breję.

- Mimo to polubiłeś to miejsce?
- Czemu miałbym nie polubić? – Aleks zachichotał.
- Ty mi powiedz – odparł Borys.
- Szczerze mówiąc, nic mi się tam nie podobało. Zleciłem firmie budowlanej rozebrać cały dom i postawić na nowo, używając najlepszych materiałów i wyposażenia. Oświetlenie reagujące na głos, sauna w każdej łazience, dwie windy wyłożone mahoniowymi panelami, różności. Kazałem nawet zbudować kryty basen i dobrze wyposażoną siłownię. Na strychu urządziliśmy salę kinową na dwadzieścia miejsc, z prawdziwym urządzeniem do prażonej kukurydzy i dużym ekranem. Francuski kucharz i trzech służący mieszkają w piwnicy i dbają o wszystko.

Po dłuższej chwili milczenia Jelcyn spytał podejrzanie znaczącym tonem:

- Podoba się żonie?
- Chciałaby zmienić kilka rzeczy – przyznał Aleks, co było jawnym niedopowiedzeniem. Jelena nie znosiła tego domu. Kupił go i urządził, zanim się poznali. Był to prezent, który sobie sprawił po zarobieniu pierwszych stu milionów. Gest przypominający poklepanie po plecach. Sprowadzono samolotem paryskiego dekoratora wnętrz, geja, każąc mu nie skąpić środków. Facet sprawił się na medal. Wyczarterował odrzutowiec i latał po całym świecie, śpiąc w pięciogwiazdkowych hotelach i kupując antyki w Azji, na Bliskim Wschodzie i w Europie. Ręcznie szyte kotary przywieziono z Egiptu, a meble zostały wykonane przez najlepszych koreańskich rzemieślników.

Kiedy stos rachunków zaczął rosnać, Aleks przypominał sobie, że nie jest rozrzutny. Były to koszty prowadzenia interesów – koszty, których nie mógł uniknąć. Grube ryby z Wall Street, Fleet Street i Frankfurtu nie rozmawiały o interesach z ludźmi, którzy się od nich różnili, którzy nie byli na tyle zamożni, aby się pokazać. Dom był ogromny, każdy zakamarek i szczelina pełne przepychu. Jelena lubiła rzeczy proste i małe – mniejsze pokoje, aby nie trzeba było krzyczeć do osoby siedzącej po drugiej stronie. Nie lubiła też służby. Woląla robić wszystko sama, tak jak chciała. Tu, gdy tylko pomyślała o filizance kawy, nie wiedzieć skąd zjawiała się srebrna taca z zastawą. Gromadka służby zakłócała ich prywatność. Służący sprawiali, że czuła się winna i zepsuta.

Rezydencja stała na rogu dwóch ruchliwych moskiewskich ulic, co było kolejnym minusem. Kierowcy i piesi co chwila przystawali, aby rzucić okiem na okazały stary dom. Niektórzy rzucali na teren posiadłości listy z przekleństwami i pogrózkami. W stolicy zamieszkiwanej głównie przez dawnych zubożałych komunistów – słoczonych w ciasnych mieszkaniach wraz z rodzinami i nielicznym dobytkiem – nuworysze i ich zbytki nie były mile widziane.

Elena obawiała się, że w każdej chwili przez okno wpadną do jej pokoju koktajle Mołotowa.

Po otrzymaniu wielu anonimów z pogrózkami Aleks kazał zbudować małą budkę wartowniczą obok bramy. Pracujący całą dobę ochroniarze odpędzali zde gustowanych turystów. Nie dało się wszak ukryć, że była to okazała rezydencja przyciągająca niczym magnes moskiewskich przestępców wszelkiej maści. Po dwóch próbach włamania postawiono kolejną budkę z tyłu domu i zatrudniono dodatkowych ochroniarzy, jednego z nich umieszczono na dachu. Wokół rozmieszczono tyle supernowoczesnych urządzeń monitorujących, że wytwórnia porno mogłaby dostać szału zazdrości.

Elena zaczęła nazywać ich dom „twierdzą”, lecz czyniła to bez cienia czułości. Mimo to nikt nie miał wątpliwości, że system bezpieczeństwa rezydencji nadal miał poważne braki.

Rozmawiali o tym. On i ona. Nie kłócili się, lecz wiedli spokojne spory nie prowadzące do porozumienia. Jelena była coraz bardziej zaniepokojona bezpieczeństwem męża. Był teraz sławny, a właściwie, niesławny. Dziecko z plakatów obiecujące złote góry, pływające się w luksusie, gdy większość Rosjan montowała w drzwiach drugi zamek, aby nie wpuścić do mieszkania komorników próbujących odebrać należność za niezapłacone rachunki.

Ich dom stał przy ulicy. Biuro Aleksa znajdowało się w odległości pięciu minut drogi. Spacerkiem. Koniewicz pracował po dwadzieścia godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Każda sekunda była cenna, każda minuta bezcenna. A przecież wszystko, czego potrzebował, było tutaj, jedno lub dwa piętra wyżej. Wyśmienita ucztą na skinienie ręki, wspaniale wyposażona siłownia do porannych ćwiczeń i basen z podgrzewaną wodą, w którym mógł się odprężyć po długim dniu wypełnionym obracaniem grubymi milionami dolarów.

Jelena wychowała się na wsi. Gardziła miastem i tym, co się z nim wiązało – brutalną przestępczością, ulicznym ruchem, wszechobecnym hałasem,

smrodem i zanieczyszczeniami. Najbardziej nie lubiła wkurzonych moskwian, spluwających z obrzydzeniem i wygłaszających wściekłe uwagi na temat jej domu.

Brakowało jej długich spacerów bez asysty całej watahy umięśnionych ochroniarzy podążających za nią krok w krok.

– Czemu pan o to pyta, panie prezydencie? – zainteresował się w końcu Aleks.

– Chciałbym, abyś zamieszkał bliżej – odparł Borys. – Potrzebuję cię.

– To zaledwie czterdzieści minut drogi. Jeśli pan zadzwoni, natychmiast wszystko rzucę i przyjadę.

– Nie, to się nie sprawdzi. Martwią mnie rezerwy dewizowe państwa, a już za chwilę zastanawiam się, jak odzyskać nasze rakiety z głowicami jądrowymi, które zostały w Kazachstanie. Jestem spontanicznym człowiekiem, Aleksie. Mam czas koncentracji uwagi dzikiego Kozaka.

– Wiem, w takim razie proszę po mnie przysłać helikopter, panie prezydencie. Nasza armia nie ma co robić. Mają dosyć helikopterów, a piloci potrzebują ćwiczeń. Sam pokryję rachunki za benzynę. Wystarczy dwadzieścia minut i będę u was.

– Nadal za wolno.

– A co byłoby wystarczająco szybkie?

– Chcę cię mieć na wyciągnięcie ręki. Byłeś dla mnie bardzo dobry. Z wdzięczam ci więcej, niż zdołam wyrazić. Wyświadcz mi przysługę, pozwól, abym choć trochę ci odpłacił.

– Niech pan postawi na nogi ten cholerny kraj, skończy to, co rozpoczął. Proszę mi wierzyć, będę bardziej niż szczęśliwy.

Jelcyn zachichotał.

– Zniedołężniejesz i zestarzejesz się, zanim cokolwiek w tym kraju znacznie działać. Będę już wtedy od dawna gnił w grobie, a tłumy ludzi będą się zbierać, by na niego naszczać za wywołanie całego tego bałaganu. Wiesz co, Aleks, podaruję ci dom.

– Przecież mam już dom. Czy nie rozmawialiśmy o nim przed chwilą?

Prezydent go zignorował.

– Nie jest tak okazały jak twój, lecz wystarczająco wielki. Wierz mi, polubisz go. Jest tutaj, na wsi, na terenie kompleksu prezydenckiego. Dwie minuty

spacerkiem ode mnie, jedną, jeśli ruszysz sprintem. A liczę, że to uczynisz, gdy zadzwonię. Z siłownią i krytym basenem. Sześć osób służby i kucharz. Mam coś jeszcze, wiem, że ci się spodoba. Wszyscy mieszkają gdzie indziej.

Jelcyn przerwał, dając Aleksowi czas do zastanowienia, a następnie wymienił kolejne argumenty.

– Teraz dowiesz się najlepszego. Całego kompleksu strzegą agenci prezydenckiej ochrony. Nawet dysponując swoimi środkami, nie zapewnisz rodzinie takiej opieki.

Aleks zachichotał.

– Czy to wyzwanie? – Nie mógł przecież powiedzieć, że dostaje mdłości na myśl o mieszkaniu w odległości krótkiego spaceru lub sprintu od Borysa. Prezydent codziennie pił i ucztował do czwartej rano. Podczas urządzanych z rozmachem bachanaliów wypijano ogromne ilości alkoholu. Jelcyn był z natury towarzyski, a tankowanie w samotności uważał za grzech. Myśl o konieczności uczestniczenia w orgiach trwających do białego rana napawała Aleksa Koniewicza odrazą.

Jelcyn też zachichotał, a po chwili chichot przerodził się w głośny, dobywający się z głębi brzucha rechot. Co on plecie? Przecież Aleks mógłby kupić połowę rosyjskiej armii. Może nawet całą. Po chwili śmiech ucichł.

– Mówię poważnie, Aleks. Moi doradcy ekonomiczni to nudni idioci. Nawet profesorzy z Harvardu, którzy tu obozują, aby podpowiadać, jak stworzyć w tym kraju kapitalistyczny raj. Mówię ci, to jeszcze sztywniejsi kretyni.

– W takim razie niech pan weźmie innych.

– Nie słuchałeś uważnie. Właśnie staram się to zrobić.

Jednak Aleks słuchał uważnie, bardzo uważnie. Tydzień temu razem z Jeleną brał udział w nudnym państwowym obiedzie wydanym na cześć osobistości z jakiegoś kraju, w którym wszyscy byli niscy i korpulentni, mieli zepsute zęby, oddech zbijający z nóg i takie maniere przy stole, że człowiekowi zbierało się na mdłości. Po typowych nużących przemowach o wiecznym braterstwie i zjedzeniu rozgotowanego obiadu goście udali się do sali balowej, gdzie Jelcyn zaprosił Jelenę do tańca.

Borys miał słabość do kobiet, a Jelena nawet w luźnym dresie mogła każdemu zawrócić w głowie. Ubrana w czerwoną suknię wyszywaną złotem wywarła piorunujące wrażenie na mężczyznach. Trzy czwarte życia spędzone w

szkole baletowej zrobiły swoje. Była znakomitą tancerką, która wiedziała, jak sprawić, aby jej partner wydawał się pełen gracji, lepszy niż faktycznie był. Jelcyn i Jelena śmiali się i rozmawiali, wirując po parkiecie. Wszyscy śledzili ich wzrokiem – byli jak Fred i Ginger. Po pierwszym tańcu nastąpił drugi i trzeci.

Aleks wiedział, że dzisiejsza rozmowa jest echem tamtego tańca. Najwyraźniej Jelena szepnęła Jelcynowi na ucho, że coraz bardziej lęka się o bezpieczeństwo męża. Gdyby jej posłuchał, uwolniłaby go od wielu zmartwień. Był jej wdzięczny za wysiłek i podziwiał za to, że spróbowała. Oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru spełniać zachcianek żony.

Zatrudniłby kilku dodatkowych ochroniarzy, mając nadzieję, że to ją uspokoi.

– Mam coś jeszcze, Aleks – dodał Jelcyn, jakby o czymś sobie przypominał. Ot, taki drobiazg na zakończenie. – To dawny dom Gorbaczowa. Oficjalna rezydencja sekretarza generalnego. Kazałem mu się wynosić, gdy tylko się wprowadziłem. Nie dałem mu czasu na spakowanie manatków. Cha, cha, cha! Przesłałem je później z miłym osobistym liścikiem. Dostałem cały kraj, możesz zatrzymać ciuchy.

Aleks nagle zaniemówił. Czy dobrze usłyszał? Tak! Jelcyn mówił o rezydencji Gorbaczowa! Jego rezydencja była ogromna, może nawet większa i piękniej urządzona od rezydencji sekretarza generalnego. W końcu pieniądze dawały mu ogromną przewagę. Wiedział jednak, że pewnych rzeczy nie można kupić. Jelcyn proponował mu najsławniejszy dom Rosji.

Czy naprawdę mógłby w nim zamieszkać? O ilu sypialniach wspomniał Jelcyn? Jakie to ma zresztą znaczenie? Myśl o tym, że on i Jelena mogliby się kąpać w wannie sekretarza generalnego, kochać w jego sypialni, odbywać długie spacerunki po posiadłości, ścieżkami, którymi stąpali niezliczeni prezydenci i światowi przywódcy, przyprawiała o zawrót głowy. W takim domu nawet spuszczenie wody w toalecie wywoływało dreszczyk emocji.

Z pewnością nie przeszkodziłoby mu to w prowadzeniu interesów. Wyobraził sobie podziw zachodnich inwestorów, których zaprosiłby do siebie na lekki lunch biznesowy. Mógłby im powiedzieć z porozumiewawczym uśmiechem, aby nie uszkodzili porcelanowej zastawy pierwszego sekretarza.

Co z tego, że od biura dzieliło go czterdzieści pięć minut drogi? Ogromny mercedes 600 miał z tyłu mały gabinet, wysuwane mahoniowe biurko, telefon satelitarny, dość gadżetów, aby czterdziestopięciominutowy okres samotności nie był stracony. Właściwie tak byłoby nawet lepiej, pomyślał. Czterdzieści pięć minut samotności w jedną i drugą stronę. Mógłby uporządkować myśli, zapomnieć o codziennym zgiełku.

Na dodatek byliby bezpieczni. Jakby tego było mało, rezydencja znajdowała się na wsi. Jelena pokocha to miejsce.

Jelcyn paplał dalej, biorąc przedłużające się milczenie za oznakę niezdecydowania. Jak rasowy polityk uderzył w ton ojcowskiego humoru.

– Coś ci powiem, chłopcze, sam chciałbym tam zamieszkać. Czasami Nina i ja przechadzamy się po nim, marząc, że pewnego dnia się przeprowadzimy. Same żyrandole kosztują więcej, niż zarobię w rok. Oczywiście, ci biedacy, którzy muszą przeżyć za sto rubli miesięcznie, prędzej czy później by się o tym dowiedzieli. Mielibyśmy kolejną rewolucję. Wiesz, co ci powiem? Nie sądzę, aby tym razem poszło mi tak dobrze jak poprzednio.

– Z samego rana przyślę wóz z naszymi rzeczami – wybełkotał Aleks.

Jelcyn zareagował równie szybko:

– Znakomicie, jestem rad, że doszliśmy do zgody.

– Oczywiście. Proszę nie składać tej propozycji nikomu innemu do dziewiątej jutro rano. Później Jelena i ja ulokujemy się wygodnie na werandzie z dubeltówkami, aby odpędzić intruzów.

– Jeszcze jedno. Od tej pory chciałbym, abyś towarzyszył mi we wszystkich podróżach zagranicznych. Rosja potrzebuje tyle pieniędzy i zagranicznych inwestorów, ilu się da. Kiepsko mi idzie, a mam wrażenie, że ty nie masz żadnych problemów w tej dziedzinie.

– Jasne, kiedy tylko pan zechce – wymamrotał Aleks, myśląc, kogo najpierw zaprosić.

Kiedy się rozłączyli, pobiegł na górę i obudził Jelene, aby przekazać jej wiadomość o ich wspaniałym nowym domu.

– Czy to nie cudownie, kochanie? – odpowiedziała, udając zaskoczenie.

\* \* \*



O trzynastej Bernie Lutcher połknął trzecią tabletkę pobudzającą i popił wodą z butelki, którą zabrał na pokład samolotu.

Po dwudziestu pięciu latach owocnej pracy w komórce wywiadu nowojorskiej policji przeszedł na emeryturę jako szanowany przez wszystkich porucznik. Dziś mijał piąty rok jego nowego życia. W ciągu tych pięciu lat zrealizował niemal wszystkie marzenia.

Malcolm Street Associates, angielska firma ochroniarska, która go zatrudniła, płaciła mu sto tysięcy dolarów rocznie plus czynsz, oddała do dyspozycji samochód i nadto dawała okazję zarobienia dodatkowych dwudziestu tysięcy tytułem rocznej premii. Dostał ją cztery razy. Obecny rok dobiegał końca, a kolejny był już zaplanowany. Wynagrodzenie powiększone o policyjną emeryturę sprawiło, że w końcu udało mu się odłożyć niezłą sumkę na czarną godzinę.

Może nie wszystko ułożyło się tak, jak sobie wymarzył. Pięć lat temu rak zabrał mu ukochaną żonę, wcześniej pozbawiając marnych oszczędności, które udało im się zaoszczędzić ze skromnej policyjnej pensji. Polisa medyczna pokryła koszty zabiegów, lecz w ostatnich miesiącach i tygodniach, gdy Ellie uparcie marniała w oczach, zrozpaczony Bernie wydał wszystko na przeróżne niekonwencjonalne leki i szarlatańskie terapie, od cudownych meksykańskich tabletek po dentystę dziwaka, który twierdził, że usunięcie srebrnych i rtęciowych wypełnień spowoduje całkowitą remisję choroby. Wszystko na nic. Ellie odeszła nafaszerowana fałszywymi lekami, z wielkimi dziurami w zębach.

Teraz Bernie zaczął odbudowywać swoje życie. Przestał żyć koszmarną teźnię i zaczął ponownie dostrzegać obiecującą przyszłość zamiast mrocznej przeszłości. Dwójka dzieci dorosła, pokończyła szkoły i była na swoim. Lada dzień miał mu się urodzić wnuczek, a Bernie już czekał na kolejne.

Na dodatek mieszkał w Europie. Tak, w Europie! Marzył o tym od czasu, kiedy Wujek Sam upomniał się o kilka lat jego życia, gdy dobiegał dwudziestki. Służył w żandarmerii wojskowej w Heidelbergu – wspaniałym mieście w pięknym kraju, który podbił jego serce. Inni nowojorscy policjanci marzyli o Florydzie, o wygrzewaniu się na stare lata w tropikalnym upale i graniu w golfa na wypielęgnowanych trawnikach. Bernie nienawidził golfa, gorąca i myśli o spędzeniu ostatnich dni wśród emerytowanych gliniarzy. W otoczeniu przywołującym wspomnienie starych dobrych czasów. W końcu cóż w nich było

takiego dobrego? Zawsze marzył o powrocie do Europy. Wiadomo, wolniejsze tempo życia, duże możliwości podróżowania, delektowania się egzotycznymi gatunkami kawy i, oczywiście, fantastyczna forsa.

Pochylił się do przodu, widząc pomarszczoną staruchę, która kolejny raz wstaje z fotela i drepcze między rzędami do toalety. Dawno temu nauczył się, by niczego nie lekceważyć. Choćby wydawało się nie wiadomo jak niewinne i nieszkodliwe. Chłopaki z nowojorskiej policji nie bez powodu nazywali go mistrzem obserwacji. Wsadził za kratki sporą garstkę *banditos* tylko dlatego, że zwracał baczną uwagę na samochody lub pieszych, którzy zbyt często się pojawiali w jakimś miejscu. Później okazywało się, że to spece od napadów z bronią w ręku lub rabusie bankowi lustrujący teren planowanej akcji. W jego fachu nazywano to obserwacją schematów zachowań. Bernie napisał całą książkę na ten temat.

Z jego obliczeń wynikało, że była to jej trzecia wyprawa do kibla. Odrobinę podejrzana sprawa. Damulka wyglądała na starą, więc osłabione nerki mogły faktycznie szwankować. Może lekarze zalecili jej spacer, aby poprawić krążenie krwi, lub dziwne zachowanie wynikało zwyczajnie ze starczej nerwowości.

Aby mogli się należycie przygotować do wykonania roboty, eksperci firmy zebrali grubą teczkę materiałów, w których szczegółowo opisano wszystkie znane i możliwe zagrożenia. Była to bogata firma z ogromnym ego, która mogła sobie pozwolić na wszechstronne rozeznanie i sięgnięcie po samo dno.

Przeprowadzali wstępne sprawdzanie każdego potencjalnego klienta, jednak tym razem, w odróżnieniu od innych firm, wywiad wykonano przed podpisaniem umowy. Oczywiście głównym przedmiotem zainteresowania było to, czy klient zdoła zapłacić astronomiczne rachunki, które mu wystawią. Zbadano również, na czym polegają jego interesy, z jakimi typowymi zagrożeniami ma do czynienia, jakich ma wrogów, w jakich szczególnych okolicznościach musi działać i jakie są jego słabe punkty.

Ostatecznie o wszystkim decydował brytyjski snobizm. Podejrzanych klientów unikano niezależnie od tego, jak usilnie błagali i ile chcieli zapłacić.

W niezwykle konkurencyjnej branży reputacja stanowiła wartość bezcenną. Koniec końców wszystko sprowadzało się do dwóch prostych pytań – ilu przeżyło, a ilu zginęło?

Firma uniknęła kilku wpadek, grzecznie, lecz stanowczo spławiając klientów, którzy mieli nikłą szansę przeżycia. W ponad trzydziestu procentach takich przypadków facet był martwy przed upływem roku, co było doprawdy uderzające. Kilku aktuarialnych czarodziejów, zwabionych z najlepszych firm ubezpieczeniowych obietnicą małej fortuny, przeprowadzało żmudne analizy i sięgało aż do samego dna. Stworzono nawet program komputerowy, istny labirynt skomplikowanych algorytmów, który przetwarzał góry informacji, wyrzucając z siebie przyporządkowując o zawrót głowy melanz procentów i szans.

Co roku tracili jednego lub dwóch klientów, co w tej robocie oznaczało wynik wyższy od przeciętnej. Firma nie omieszczała tego reklamować.

W przypadku obecnego klienta głównym źródłem zagrożenia byli typowi wrogowie rosyjskiego magnata: mafijne zbiry, płatni mordercy oraz wszelakiej maści oszuści lub ludzie pragnący posłużyć się szantażem lub wykonujący zlecenie strony trzeciej. Byli skuteczni, a często morderczy. Oprócz tego cechował ich prymitywizm, odrażająca brutalność, notoryczna nieostrożność i pajacowate upodobanie do czarnych dżinsów i czarnych skórzanych kurtek, które rzucały się w oczy. Bernie dwukrotnie zlustrował pasażerów pod tym kątem. Żadnych podejrzanych wspomnianego rodzaju.

Kolejną grupę, na którą należy zwrócić uwagę, stanowili konkurenci biznesowi, którzy odnieśliby zysk z wyeliminowania tak groźnego rywala jak Koniewicz. Po nich szli niezadowoleni inwestorzy. Facet miał prywatną firmę. Dwóch wspólników o niewielkich udziałach. Posiadał osiemdziesiąt procent wszystkich akcji, lecz z tego, co wiedzieli, żaden ze wspólników nie był niezadowolony. Bo i czemu? Koniewicz uczynił obu wielokrotnymi milionerami.

Jego majątek, ostrożnie licząc, szacowany na blisko trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów, rósł z każdą godziną mimo hojnych datków na działalność dobroczynną i różne akcje polityczne. Koniewicz miał poważne udziały w czterech lub pięciu potężnych firmach, a niebawem dołączą do nich kolejne dwie lub trzy. Przedsiębiorstwo budowlane, od którego zaczynał, przekształciło się w firmę zajmującą się arbitrażem. Początkowo handlowali jedynie materiałami budowlanymi, a później różnego rodzaju towarami. Potem pojawił się znakomicie prosperujący bank, duża firma inwestycyjna, udziały w kilku przedsiębiorstwach naftowych, firma zajmująca się importem samochodów, całe imperium handlu nieruchomościami, dwie gazety o zasięgu krajowym, kilka sieci

restauracji i całe miriady mniejszych przedsięwzięć, które miały się rozwijać w postępie geometrycznym, kiedy Rosja przekształci się we w pełni rozwinięte społeczeństwo konsumpcyjne.

Kiedy Aleks zarobił jakieś pieniądze, lokował je w kolejnym przedsięwzięciu, kolejnym nabytku, następnej obiecującej inwestycji. Wszystko, czego dotknął, przynosiło zysk. Firma zawdzięczała niezwykle wzrost głównie jego osobistej błyskotliwości, nieomylnemu instynktowi i dotykowi, który zamieniał wszystko w złoto.

Wystarczyło go wyeliminować, a całe imperium ległoby w gruzach. Może nie natychmiast, może dogorywałoby w bólu kilka lat, jak ciało pozbawione mózgu w końcu ulega zanikowi. Firmy Koniewicza uschłyby i zostały sprzedane za marne grosze. Aleks był maszynką do robienia pieniędzy, a jego wspólnicy doskonale o tym wiedzieli.

Następnym zagrożeniem dla nuworyszów byli wrogowie polityczni, a na koniec, choć pod żadnym pozorem nie wolno ich było lekceważyć, członkowie rodziny czyhający na spadek i/lub przyływ gotówki z polisy na życie.

Niemal wszyscy zamożni ludzie w mniejszym lub większym stopniu bawią się w politykę. Ten facet tkwił w niej po uszy. Z dostarczonego dossier wynikało, że Koniewicz był bardzo blisko związany z Jelcynem. Najwyraźniej pomógł mu sięgnąć po urząd prezydenta i nadal szczerzełożył na nienasyconą maszynę polityczną prezydenta i kilka reformatorskich partii, które brały udział w wyniesieniu go do władzy.

Starzy towarzysze, którzy kiedyś rządili ZSRR, byli niechętnie nastawieni, wściekli i niezwykle liczni. Koniewicz sprytnie rozegrał sprawę, kryjąc się w tle – mennica za tronem, podziemne źródło forsy – podejmując daleko idące kroki, by zapewnić niewidzialność swoim wspólnikom, a przynajmniej zadbać o to, aby pozostali anonimowi. Mimo to pewni ludzie ich znali. Zakładano, że znajdowały się wśród nich potężne i wpływowe osoby, które mogłyby pragnąć wyrównania historycznych rachunków. Nie można było wykluczyć gorzkich politycznych urazów.

Koniewicz wykupił w londyńskiej firmie Carroythers & Smythe terminową polisę na życie opiewającą na kwotę dziesięciu milionów dolarów. Firma ubezpieczeniowa podzielała z troską Malcolm Associates o stan zdrowia Aleksa, potajemnie informując partnera, że jedynym beneficjentem jest jego

żona. Gość nie miał braci ani sióstr, jedynie kilku dalekich kuzynów – gniewnych, zapalczywych, wrogich komunistów. Matka zmarła dawno temu. Ojciec został sam. Emerytowany nauczyciel o niewielu pragnieniach i potrzebach, który spędzał całe dni na czytaniu książek zakazanych radzieckim obywatelom.

Wykorzystując swoje ogromne środki, Aleks kupił staruszkowi ładną daczę w kurorcie nad Morzem Czarnym i założył przyzwoity fundusz powierniczy, aby zapewnić mu wygodne życie do końca jego dni. Łapówka przekazana miejscowemu szpitalowi pozwoliła ustalić, że staruszek cierpi na nieuleczalnego raka trzustki, który po pewnym czasie dał przerzuty na inne narządy. Leczone go najlepszymi lekami sprowadzanymi ze Stanów, nie znano jednak nikogo, kto pokonałby raka trzustki, a czas z pewnością nie był jego sprzymierzeńcem. Poza tym co stary człowiek miałby zrobić z fortuną syna? Mało prawdopodobne, aby chciał ją zabrać do grobu.

Co kilka miesięcy Aleks, jak należy, składał ojcu wizytę. Spędzali razem wiele godzin w garażu, majstrując przy starych gruchotach i żłowiąc importowane piwo. Dziwna relacja, zważywszy na ogromną różnicę dzielącą ojca i syna. A jednak byli ze sobą bardzo blisko związani.

Wszystko sprowadzało się zatem do jednego bezpośredniego zagrożenia – jego żony, Jeleny.

Firma dyskretnie obserwowała ich małżeństwo. Wszystko wskazywało na to, że Koniewiczowie to szczęśliwe, zdrowe i kochające się stadło. Żadnych romansów, flirtów, żalonych jednorazowych wyskoków. Z jej lub jego strony. Poznali się półtora roku temu. Od razu wpadli sobie w oko. Pobieżne dochodzenie wykazało, że Jelena była tancerką teatru Bolszoi. Chociaż niezwykle utalentowana i dysponująca doskonałą techniką miała jedynie niecałych sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Brakowało jej długich kończyn i dużego torsu, których domagała się publiczność. Zaproponowano jej pracę pedagoga uczącego chodzące żyrafy, obdarzone połową jej talentu, jak kręcić piruety i stąpać tanecznym krokiem. Odrzuciła ofertę, wyrzekając się spódniczki baletnicy. Rzuciła taniec i ukończyła ekonomię na Uniwersytecie Moskiewskim jako piąta na roku. Bystra dziewczyna.

Po trwającej miesiąc znajomości Aleks poprosił ją o rękę i został przyjęty. Zaproponował jej szybki i skuteczny ślub cywilny, lecz nie chciała nawet

myśleć o zrezygnowaniu z tradycyjnej uroczystości w kościele. Wygrała i oboje połączyli się węzłem małżeńskim, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Cichego ślubu udzielił im brodaty pop w małej, uroczej wiejskiej cerkwi.

W firmie uznano gwałtowne naleganie Jeleny na ślub kościelny za pomyślny znak – najwyraźniej wychowano ją na potajemną chrześcijankę w długich mrocznych latach bezbożnego komunizmu. Miejmy nadzieję, że szóste przykazanie miało dla niej jakieś znaczenie.

Gusta Jeleny nie były ekstrawaganckie ani przesadne. Trochę drogich ciuchów i kilka kosztownych błyskotek. Przypuszczalnie nie z własnego wyboru, a już na pewno nie z osobistej skłonności. Zewnętrzne oznaki bogactwa były konieczne w prowadzeniu interesów, przekonywał mąż, zachęcając Jelenę do wykupienia połowy Paryża. Na co dzień wołała obcisłe amerykańskie lewisy i obszerne dresy, ograniczając garderobę do kilku eleganckich strojów, które gryzły mole, gdy nie brała udziału w imprezach biznesowych. Małżonkowie nigdy się nie kłócili ani nie sprzeczali. Mieli udane pożycie seksualne. Nic perwersyjnego, dziwnego. Współżyli często. Nie było co do tego wątpliwości.

Dom Koniewicza został okablowany i nafaszerowany tyłoma pluskwami, że wystarczyłoby ich na cały gmach opery. Oczywiście wszystko zrobiono dyskretnie, dzień po tym, jak Aleks skontaktował się z firmą Malcolm Street Associates. Wszyscy żonaci potencjalni klienci byli elektronicznie monitorowani, przynajmniej w pierwszych tygodniach lub miesiącach kontraktu. Nie informowano ich o tym, a lubieżność firmy ochroniarskiej nigdy nie wyszła na jaw. Ponieważ jednym z obowiązków firmy było sprawdzanie, czy w domu klienta nie umieszczono urządzeń podsłuchowych i innej elektroniki, nigdy jej nie przyłapano na takiej działalności.

Z danych statystycznych wynikało, że duża liczba zamożnych ludzi ginie zamordowana przez własne żony, konkubiny i kochanki. Powody były oczywiście – zaniedbywanie w małżeństwie, zazdrość i, najczęściej, zwyczajna chciwość. Ponieważ najtrudniej było ustrzec klienta przed takim zagrożeniem, chłopaki z działu aktuarialnego domagali się przeprowadzenia skrupulatnego śledztwa. Prywatni detektywi firmy wykonywali tę robotę z entuzjazmem, wędrując po sypialniach sławnych i bogatych, co było zdecydowanie zabawniejsze od uciążliwego śledzenia i pilnowania obiektu.

Wszystko wskazywało na to, że małżeństwo Koniewiczów było silne i zdrowe. Uznano, że w dającej się przewidzieć przyszłości Jelena Koniewicz stanowi niewielkie zagrożenie.

\* \* \*

W styczniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku w „Moscow Times” pojawił się pierwszy z całej serii artykułów poświęconych osobie zdumiewającego i tajemniczego Aleksandra Koniewicza. Podczas gdy inni moskiewscy nuworysze błagali, aby ich dostrzeżono, wręcz żebrali o uwagę, Aleks rozpaczliwie pragnął pozostać anonimowy. Inne grube ryby afiszowały się kasą i za łapówki załatwiały zaproszenia na modne wydarzenie w mieście, podjeżdżając pod drzwi szpanerskimi nowymi mercedesami lub bmw, z jedną lub dwiema oszałamiającymi modelkami uwieszonymi na ramionach – najczęściej wynajętymi na taką okazję – łakomie pragnąc poszczycić się owocami sukcesu, podkreślić swoje nagłe i nieoczekiwane znaczenie.

W Moskwie jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać firmy zajmujące się publicytnością. Magnaci przemysłowi i ludzie, którzy marzyli o tym, aby nimi zostać, ustawiali się w kolejkach, nie szczędząc grosza ani przywilejów nikomu, kto mógł sprawić, aby zostali zauważeni, przez kilka sekund znajdowali się w świetle lamp, zostali choć pobieżnie wymienieni w miejscowych szmatławcach. Za czasów dawnego systemu wszyscy byli biedni, nie mieli więc czym się chwalić, a tym bardziej z czym obnosić. Wystarczyło nieco wyżej wytknąć głowę, aby ją stracić. Teraz z popiołów wylaniał się nowy świat. Stare pragnienia, które były tak okrutnie tłamszone, nagle wyzwoliły się z łańcuchów i zaczęły im zuchwale dogadzać. Ego niejednego człowieka zaczęło pęcznieć i rozkwitać, a on dostawał zawrotu głowy od chęci pokazania się. Ich idolem był Donald Trump. Tęsknili za tym, aby prowadzić jego życie, mieć jego wybujałe ego, być znanymi tylko po to, aby stać się odrażająco sławnymi.

W przeciwieństwie do nich Aleks wiódł żywot pustelnika. Słyszeli o nim nieliczni, a nikt nie znał go dobrze. Stronił od przyjęć i nocnych klubów, rzadko widywano go w miejscach publicznych, a na dodatek stanowczo odmawiał udzielania wywiadów. Tak bardzo pragnął pozostać anonimowy, że każdy pracownik Koniewicz Associates oraz sieci siostrzanych firm musiał podpisać uroczyste zobowiązanie prawne, że nie piśnie ani słowa o swoim tajemniczym

pracodawcy. Prowokowało to jedynie do badania jego historii. Nazywano go jednym z najbogatszych ludzi w kraju, dzieckiem milionerem. I taki gość chciał pozostać anonimowy?

Po kilku nieudanych próbach dziennikarz „Moscow Times” dotarł potajemnie do urzędnika średniego szczebla banku inwestycyjnego i zaproponował mu pięć tysięcy dolarów za krótką pogaduszkę o szefie. Urzędnik wyznał, że nie tylko nie zna Aleksa osobiście, lecz widział go jedynie dwa razy. Przez dwie krótkie chwile widział szefa pędzącego do swojego biura na najwyższym piętrze. Zapewnili go, że nie ma to większego znaczenia. Z pewnością w firmach Koniewicza aż huczy od plotek, pogłosek i anegdot, zmyślonych lub prawdziwych. Kiedy podbito cenę do siedmiu tysięcy, bankowiec zaczął nagle przejawiać entuzjastyczną gotowość do zdradzenia kilku poufnych sekretów. Oczywiście, jeśli czek okaże się prawdziwy, a jego nazwisko nie zostanie ujawnione.

Jak można się było spodziewać, artykuł, który demaskował Aleksa, nosił tytuł *Mały Midas*. Czytelnicy mogli się z niego dowiedzieć wszystkiego, a nawet ciut więcej. Napisano, że Aleks jest najbogatszym człowiekiem w Rosji, pierwszym miliarderem. Że ma całą armadę luksusowych jachtów, dwieście rzadkich, oryginalnych wozów sportowych trzymany w podziemnym garażu z automatycznie regulowaną temperaturą i codziennie polerowanych. Że jest właścicielem floty smukłych prywatnych odrzutowców, które wożą go do rozległych rezydencji w Paryżu, Londynie, Rzymie, Nowym Jorku i Hongkongu. Gadatliwy pracownik skończył niedawno lekturę nowej nieautoryzowanej biografii opowiadającej o cudownie perwersyjnym życiu Howarda Hughesa, więc użył wyobraźni i pełnymi garściami zaczął czerpać z tej przyprawiającej o zawrót głowy opowieści, by zarobić na swoje siedem tysięcy.

Przedstawił Koniewicza jako totalnego schizoidalnego paranoika. Aleks miał przesiadywać nago w swoim biurze, licząc ruble. W przerwach między obmyślaniami nowych interesów i pilnowaniem starych, oglądał czarno-białe filmy z Katherine Hepburn. Miał mnóstwo pięknych kobiet, do których mówił „Katherine”, i tak bał się zarazków, że mył te kobiety wrzątkiem, zanim poszedł z nimi do łóżka. Koniewicz, aspołeczny antysemita, odżywił się surowymi warzywami, pił wyłącznie przegotowaną wodę i był leworęczny. Krążyły plotki, że jest biseksualny i że cała gromada krzepkich asystentów musi



usypiać szefa chloroformem, aby obciąć mu włosy i paznokcie.

W rezultacie powstał dziwny artykuł pełen absurdalnych kłamstw, choć z drugiej strony bardzo fascynujący.

Chociaż zmyślony, wywołał powszechne szaleństwo, skłaniając całe rzesze reporterów do wyruszenia na łowy. Sensacyjne, najczęściej zupełnie wyssane z palca opowieści o Aleksie szybko stały się codzienną strawą mediów. Jeden z co bardziej przedsiębiorczych tygodników zamieścił nawet kolumnę zatytułowaną „Kto widział małego Midasa”, aby wszyscy obywatele mogli się przyłączyć do zabawy. Oferowano pięćset dolarów nagrody każdemu, kto dostarczy fotografię Aleksa, i pięć tysięcy za zdjęcie, na którym będzie nagi.

Prawnicy Aleksa błagali, aby pozwolił im pozwać redakcję do sądu. Obiecywali, że sterroryzują branżę wydawniczą tak, jak tylko oni potrafią, lecz Koniewicz stanowczo i uporczywie odmawiał. Podkreślał, że wywołałoby to jeszcze większy skandal. W końcu ludzie się tym znudzą, jak każdą nowinką. Mimo to natychmiast zatrudnił pierwszych członków ochrony osobistej. Sześciu prywatnych ochroniarzy. Wszyscy wywodzili się z jednostek Specnazu, groźnie się prezentowali i przysięgali służyć swojemu szefowi wiernie do końca.

\* \* \*

Aleks nadal kreślił notatki w grubych teczkach, kiedy po czterech godzinach lotu pilot oznajmił nosowym głosem, że zaczynają podchodzić do lądowania. Fotele ustawiono pionowo i złożono stoliki, a kilku pasażerów wstało, aby rozprostować kości. Para obserwatorów spojrzała na siebie i mrugnęła porozumiewawczo.

Zabawa się rozpoczęła.

Ruszyli za panem i panią Koniewicz, którzy opuścili pokład samolotu. Aleks niósł ich bagaże, zawiesiwszy je od niechcienia na szerokich barczystych ramionach. Żadne niczego nie przeczuwało. Niewielki bagaż na krótką i przyjemną podróż w interesach. Przylot i wylot, najwyżej jedna noc. Lepiej się dobrze zastanów, Aleks.

Na szczęście mieli bagaż podręczny. Polecenia, które otrzymali, były jasne i stanowcze: wszystko dokładnie obserwować, nie robić niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia władz. Węgierska policja nie słynęła ze wścibstwa i skuteczności działania. Mało prawdopodobne, aby ktoś im przeszkodził. Mimo to

nieodebrany bagaż z przywieszką informującą, do kogo należy, mógł stworzyć nieoczekiwane problemy.

Krótki przystanek obok stanowiska odprawy celnej. Pan i pani Koniewicz uśmiechnęli się przyjaźnie do celników w zielonych uniformach i pokazali rosyjskie paszporty. Żadnych komplikacji. Chwilę później przeszli przez ruchome szklane drzwi do przestronnej hali.

Samo południe. Pasażerów było niewiele, więc nie mieli problemu ze śledzeniem obiektu, ale członkom zespołu przechwytyjącego trudniej było wtopić się w tłum i ukryć.

W tej sprawie otrzymali jednoznaczne polecenia: towarzyszyć Koniewiczom cały czas, każdą sekundę i minutę. Ani chwili wytchnienia, dopóki grupa przechwytyjąca nie weźmie sprawy w swoje ręce. Wykonywali tę robotę setki, a może tysiące razy w ciągu minionych pięćdziesięciu lat. Zawsze z powodzeniem. Ich podeszły wiek sprawił, że nieco zwolnili, lecz teraz było to bardziej niż wskazane. Nikt nie podejrzewał pary starych, trzęsących się staruszków.

Celnik ledwie rzucił okiem na ich paszporty, każąc przejść dalej. Pewnie uznał, że nieszkodliwa stara para nie stwarza zagrożenia dla Republiki Węgierskiej. Gdyby znał prawdę! Mieli na swoim koncie trzydzieści potwierdzonych zabójstw. Uparcie przypisywali sobie sześć kolejnych, choć ciała zostały spielone lub opadły na dno rzeki i zostały porwane przez nurt.

Pan i pani Koniewicz szli energicznym krokiem przez hol, w kierunku postoju taksówek obok terminalu. Śledzili ich z bezpiecznej odległości, dygocząc i kuśtykając przy każdym kroku.

Na przystanku taksówek przed Koniewiczami ustawiły się trzy osoby: kobieta o ostrych rysach twarzy, taszcząca duży bagaż i dwie inne, których twarze rozpoznali natychmiast. Władimir i Katia.

Władimir był dowódcą zespołu przechwytyjącego, człowiekiem, którego się bali i którym głęboko gardzili. Katia była bezwzględna, opanowana i pozbawiona emocji, podobnie jak cała reszta. Zabójczym weteran z długą listą godnych pozazdroszczenia sukcesów, które zawsze traktowała z zawodowym dystansem. W przeciwieństwie do niej Władimir był sadystycznym draniem o perwersyjnych skłonnościach. Wykonałby tę robotę przypuszczalnie nawet wówczas, gdyby mu za to nie zapłacili. Najbardziej zatwardziali zabójcy z zespołu czuli współczucie dla jego ofiar.

Grupa z samolotu wycofała się, ignorując Koniewiczów i starając się wysledzić prywatnych ochroniarzy. Zapamiętali tylu pasażerów lotu, ilu zdołali. Rozdzielili się, stając w odległości około dwudziestu metrów od siebie i udając, że szukają czegoś w bagażu. W rzeczywistości wypatrywali znajomych twarzy.

\* \* \*

Kiedy zadzwonił o czternastej trzydzieści siedem, sekretarka natychmiast przełączyła go do gabinetu szefa.

Golicyn spojrzął na zegarek. Punktualnie. Podniósł słuchawkę i warknął:

– Jak tam?

– Wylądowali – oznajmił głos w słuchawce. – Wszystko pod kontrolą.

– Macie ich?

– Nie, jeszcze nie. Czekają na taksówkę. Dwa kroki od Władimira i Katii.

Wszystko idzie zgodnie z planem, wszystko jest na swoim miejscu. Zadzwonię za kilka minut, kiedy załatwimy sprawę.

– Tylko niczego mi nie spieprzyć! – warknął Golicyn.

– Proszę się nie denerwować, nie spieprzymy.

Golicyn milczał dłużej chwilę, aby w końcu zapytać, nie kryjąc podniecenia:

– Podśluch gotowy?

– Tak, te urządzenia to istne dzieło sztuki. Będziecie wszystko słyszeli. Godzinę temu sprawdziłem z waszą sekretarką. Wszystko w porządku. – Po chwili dodał: – Władimir to załatwi. Będzie głośno i paskudnie.

– Mam nadzieję. – Golicyn zaniknął oczy, uśmiechając się do siebie. – Chcę słyszeć każdy dźwięk.

### 3.

Starsza pani na początku kolejki podała dwie walizki kierowcy i z bolesnym grymasem wgramoliła się do granatowego bmw z napisem TAXI na drzwiach.

Para stojąca przed Alekssem i Jeleną zrobiła krok naprzód. Czarny mercedes zaparkowany obok przeciwległego krawężnika nagle wyprzedził inne taksówki, zatrzymując się z piskiem opon. Władimir ubrany w sutannę i koloratkę katolickiego księdza nerwowo spojrział wokół, a następnie otworzył tylne drzwi. W tej samej chwili Katia przebrana za zakonnicę wyjęła paskudny czarny pistolet ukryty w fałdach obszernego rękawa i wycelowała Aleksowi w twarz.

Jej współnik odwrócił się ku nim błyskawicznie.

– Masz prosty wybór – oznajmił spokojnie po rosyjsku. – Włóż do środka albo umrzesz tu i teraz.

Aleks spojrział mu w oczy i wiedział, że tamten nie żartuje.

– Dobrze – odparł po chwili. – Pojadę z wami. Zostawcie tę młodą kobietę. Nie znam jej. Nie jest ze mną.

– Nie udawaj głupka, Koniewicz. Katia zabije ciebie lub twoją żonę, albo sprzątnie was oboje.

Twarz Aleksa zastygła. Tamten znał jego nazwisko i wiedział, że Jelena jest jego żoną. Od trzech lat przygotowywał się na taką chwilę. Marzył o niej, a jednocześnie się jej obawiał. Teraz, gdy wszystko rozgrywało się naprawdę, nie potrafił trzeźwo myśleć ani reagować.

Grube dłonie Władimira chwyciły Jelenę za szyję, obracając ją niczym kukłę.

Jedna ręka znalazła się pod brodą, druga z tyłu głowy. Jelena wykręciła się, próbując stawiać opór, lecz Władimir był zbyt duży i silny. Zwiększył uścisk tak, że krzyknęła z bólu.

– Wiem, że masz czarny pas – powiedział do Aleksa. – Znasz tę pozycję. Wystarczy, że przesunę ciężar ciała, a jej kark pęknie jak sucha gałązka. Będziesz łaskaw wsiąść do taksówki?

Wsiadł bez oporu, bez jednego słowa, tak jak się spodziewali. Po chwili Jelena wylądowała u jego boku. Tamten dobrze wiedział, co robi, chroniąc się za nią przed dłońmi Aleksa i wciskając się na tylne siedzenie obok nich. Kobieta w przebraniu zakonnicy, o której można by powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest jedną ze służebnic bożych, usiadła na przednim fotelu, ale wciąż celowała w twarz Aleksa.

Kierowca, zaufany szofer bandy, zręczny w gubieniu pościgu, wcisnął pedał gazu i ruszył z głośnym piskiem opon. Nikt nie powiedział ani słowa. Jakby na komendę, kobieta z przodu skierowała lufę w twarz Jelena, a facet w sutannie powiedział do Aleksa:

– Wyciągnij ręce przed siebie, razem.

Aleks wykonał polecenie, a tamten pochylił się nad Jelena i sprawnie zapiął plastikowe kajdanki na nadgarstkach Koniewicza, a następnie, z równą zręcznością, skuł jego żonę.

– Czego chcecie? – spytał po chwili Aleks.

– Zamknij się – warknął Władimir, wyciągając dwa czarne kaptury i niezdarnie nakładając im je na głowę.

\* \* \*

W marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, po serii artykułów prasowych na temat Aleksa Koniewicza, pojawiły się pierwsze ataki na jego firmy.

Ktoś podejmował niezwykle wyrafinowane próby włamania się do sieci komputerowej Koniewicz Associates. Początkowo wydawało się, że zostały one uwieńczone powodzeniem. Rosyjski Internet, jak wszystko odziedziczone po systemie komunistycznym, był szokująco zacofany i nieskuteczny. Aleks zatrudnił amerykańską firmę komputerową i wydał grube miliony na stworzenie sieci dla swoich firm, zamkniętego labiryntu serwerów, przełączników i

prywatnych kabli światłowodowych łączących wszystkie elementy jego finansowego imperium. Jedynym słabym punktem były miejsca styku prywatnej sieci Aleksa z rosyjskimi przedsiębiorstwami telekomunikacyjnymi, ale tego nie można było uniknąć. Właśnie w tym punkcie przeprowadzono atak.

Odkrycia dokonano kilka minut po zainstalowaniu nowego amerykańskiego programu antywirusowego – cudownego filtra oddzielającego złoto od pirytu. Wykryto dziesiątki tysięcy małych programów szpiegujących – które przeniknęły i podziurawiły całą sieć. Programy te nie tylko śledziły przepływ strumieni informacji, lecz powielały każdą wiadomość, przesyłając kopię na zewnętrzny adres internetowy.

Prywatni śledczy bez trudu połączyli adres internetowy z małym mieszkaniem na przedmieściach Moskwy. Kiedy włamali się do niego, było zupełnie puste i wysprzątane. Nie znaleźli niczego prócz małego stolika i zakurzonego komputera. Wtyczka była wyciągnięta z kontaktu, a dysk twardy – usunięty.

Aleks niecierpliwie wypytywał swoich specjalistów, co się dzieje. Ktoś śledzi twoje firmy i dokonywane transakcje, odpowiedzieli. Od jak dawna, zapytał. Od tygodni, a raczej od miesięcy. Ten, kto przypuścił zmasowany atak, miał mnóstwo informacji na temat jego szybko rozrastającego się imperium. Wiedział, jak łączą się ze sobą poszczególne elementy, dokąd płyną strumienie pieniędzy oraz kim są główni gracze pociągający za sznurki. Komputery działu zarządzania zasobami ludzkimi były nafaszerowane programami szpiegującymi.

Programy te usunięto, wydano kolejne pieniądze na lepsze oprogramowanie ochronne. Wszystko sprowadzono z Ameryki – niezwykle zaawansowane, o cenie zapierającej dech w piersi – nie otrzymano jednak żadnej wiadomości od tego, kto przypuścił atak. Spodziewali się próby wyłudzenia lub defraudacji. Jeśli zapłacicie, przestaniemy przechwytywać informacje, ataki ustaną. Kiedy po długich tygodniach pełnego napięcia oczekiwania nikt się nie odezwał, zatrudnieni przez Aleksa specje komputerowi doszli do bardziej optymistycznej konkluzji. Pewnie sprawcą był jeden z coraz liczniejszej rzeszy irytujących maniaków komputerowych, orzekli. Nie ma powodu do nadmiernego zmartwienia. Powiedzieli Koniewiczowi, że to powszechny problem w Stanach Zjednoczonych, gdzie hakerzy ślęczą po nocach, obmyślając sposoby

uprzykrzania innym życia tylko po to, aby utwierdzić się w przekonaniu, że są kimś więcej od nic nieznaczących małych popaprańców.

Ostrzeżono go, że mogło być znacznie gorzej. Hakerzy mogliby przeniknąć do systemu, niszcząc go i pozbawiając jego firmy całego mnóstwa niedających się odzyskać informacji. Na szczęście, w porę przekazano ostrzeżenie, aby zwiększyć środki ostrożności, wydać tyle, ile trzeba i jeszcze więcej. Musimy pozostać czujni. Dzięki Bogu wykryliśmy problem stosunkowo wcześniej i usunęliśmy go, oznajmił Aleksowi szef informatyków – Amerykanin, którego sprowadzono ze Stanów i któremu płacono małą fortunę za jego wiedzę w tej dziedzinie.

## 4.

W pierwszej chwili Bernie Lutcher uznał, że starsza pani jest głucha.

Zastąpiła mu drogę, powtarzając coś głośno po rosyjsku. Uznał, że to rosyjski. Nie rozumiał ani słowa i wzruszył ramionami. Wtedy zaczęła mówić w innym języku. Trajkotała coraz szybciej, wyrzucając z siebie nieznane słowa – może był to węgierski – podczas gdy Bernie wzruszał ramionami, próbując odsunąć ją na bok. Widząc jego zniecierpliwienie, wzmocniła uścisk i nasiliła nieskładną paplaninę.

Leciała z nim samolotem. Starsza pani odbywająca niekontrolowane, powtarzające się wycieczki do toalety. Może pytała go, gdzie jest damska ubikacja. A może była szalonym, samotnym utrapieńcem, których można znaleźć w każdym mieście na świecie.

Podjął kolejną próbę wyzwolenia się z jej uścisku i ze zdumieniem stwierdził, że jest niezwykle silna. Spojrzał przed siebie na Aleksa i Jelenę wychodzących ruchomymi drzwiami i ogarnął go nagły lęk. Jeśli kolejka do taksówki będzie krótka, za kilka sekund wejdą do samochodu i znikną w przepastnym i krętym labiryncie uliczek Budapesztu.

Wiedział, jakie mają plany i gdzie się zatrzymają, więc zawsze mógł ich tam odnaleźć. Niestety, był człowiekiem patologicznie uczciwym i obowiązkowym, więc w raporcie składanym po wykonaniu każdego zadania skrupulatnie odnotowywał wszystkie uchybienia. Zaplanował już, że roczną premię przeznaczy na miłe wakacje w Grecji, spędzone na pokładzie luksusowego statku wycieczkowego pływającego pomiędzy skąpanymi w słońcu wyspami.



Teraz wszystko zaczynało się rozwiewać jak dym.

Próbował sobie przypomnieć nieliczne obce słowa, które znał, bełkocząc do staruszki:

– *Excuse me... entschuldigen... excusez-moi... por favor...*

Po chwili zaczął go otaczać coraz gęstszy tłum zniecierpliwionych podróżnych, którzy przeszli odprawę celną i zmierzali w kierunku postoju taksówek. Słyszał ich głosy, jednym okiem obserwując starszą panią – która coraz mocniej trzymała jego ramię i sprawiała wrażenie coraz bardziej zrozpaczonej – a drugim szklane drzwi, którymi przed chwilą wyszli Aleks i Jelena. Ani razu się nie odwrócił, więc nie zauważył starszego mężczyzny, który zbliżał się z tyłu.

Staruszka nie przestawała trajkotać. Stawała się coraz bardziej zaniepokojona, coraz bardziej tajemniczo natarcywa, uparcie trzymając go za rękę. W takich sytuacjach firmowe procedury były jasne: za wszelką cenę uniknąć zwracania na siebie uwagi, publicznych awantur i kłopotliwych sytuacji. Wyciągnął rękę, próbując delikatnie uwolnić ramię z uścisku starej wiedźmy, kiedy starszy mężczyzna podszedł z tyłu, z każdym krokiem coraz bardziej agresywnie wymachując ramionami. W zaciśniętej prawej dłoni trzymał niemal całkowicie osłonięte długim rękawem ostrze, specjalny długi sztylet.

Staruszek stanął w odległości kroku od ochroniarza i zamachnął się z całej siły. Ostrze przeszło plecy Berniego Lutchera piętnaście centymetrów poniżej lewej łopatki, zmiażdżyło żebro, a następnie rozpruło serce.

Starszy mężczyzna z chrzęstem przekreślił ostrze, stosując technikę opracowaną kilkadziesiąt lat temu, z której był bardzo dumny. Przeciął przynajmniej dwie komory serca, co gwarantowało niemal natychmiastową śmierć. Na wszelki wypadek ostrze było powleczone łatwo rozpuszczalną trucizną, która miała natychmiast ulec rozpuszczeniu i przeniknąć od krwiobiegu Berniego.

Bernie wybałuszył oczy i otworzył usta ze zdumienia. W tej samej chwili starsza pani wymierzyła mu silny cios, mistrzowsko wycelowany w splot krzyżowy, aby pozbawić go tchu. Runął ciężko na plecy, rozpaczliwie łapiąc powietrze i chwytając się za pierś, jakby miał atak serca, co rzeczywiście nastąpiło.

Zabójcy natychmiast się rozproszyli, zmierzając energicznym krokiem do hali odlotów, gdzie za trzydzieści minut mieli wsiąść na pokład samolotu

odlatującego do Zurychu.

\* \* \*

Do pierwszych zabójstw doszło pod koniec sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Przerażeni pracownicy Koniewicz Associates nazwali je „letnią masakrą”.

Pierwszym w kolejce okazał się Andriej Kaliniczeckij, szczęśliwy kawaler, *bon vivant*, bardzo popularny w firmie wiceprezes do spraw działu relacji inwestorskich. Cierpiący na wieczną bezsenność, opuścił swoje ciasne mieszkanie o drugiej nad ranem. Chciał odbyć krótki spacer, mając nadzieję, że chłodne moskiewskie powietrze wygna demony z jego głowy. Oddał się trzy przecznice od domu, gdy trzy kule wystrzelone z odległości około metra dosłownie oczyściły mu łepetynę. Andriej przestał oddychać, zanim jego ciało osunęło się na chodnik.

Pięć godzin później Tania Nadiszewa, rozwiedziona matka dwojga dzieci, specjalistka od spółek znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej, przekreśliła kluczyk nowego czerwonego volkswagena, detonując potężny ładunek wybuchowy. Jej głowa wylądowała pół przecznicy dalej. W chwili wybuchu ofiara otwierała szyberdach.

O dziesiątej rano w kostnicy leżało już sześciu pracowników Koniewicz Associates – jeden został zabity strzałem z dużej odległości, drugi z bliska, trzeciego zlikwidowano ręcznym granatem, następny wyleciał w powietrze od wybuchu bomby ukrytej w samochodzie, a kolejnemu paskudnie rozplątano gardło. Inny pracownik, najwyraźniej człowiek pobożny, został poczęstowany zatrutym opłatkiem, gdy przed pracą zgodnie ze swoim zwyczajem przystępował do komunii.

Sześć ofiar. Sześć różnych sposobów dokonania morderstwa. Żadnej nieudanej próby, żadnych ocalałych, żadnych świadków. Z wyjątkiem rozplątanego gardła i śmiertelnego opłatka zabójcy – było ich bowiem z pewnością kilku – uderzali z odległości, bezpieczni i anonimowi. Nie znaleziono żadnych śladów zostawionych na miejscu przestępstwa, oprócz kul i fragmentów bomby. Elementy ładunku wybuchowego zostały zbadane na miejscu przez doświadczonego technika kryminalistycznego. Uznał je za tak prymitywne, że mógł je

skonstruować byle idiota.

Kilka godzin później w centrali Koniewicz Associates pojawiła się nieoczekiwane para śledczych ze specjalnego oddziału dochodzeniowego. Mignęli odznakami, z ponurą miną oznajmili, jaki jest cel ich wizyty, i zostali popiesznie zaprowadzeni na górę. Weszli do gabinetu prezesa, gdzie wyraźnie zaszokowany i zaskoczony Aleks naradzał się z kilkoma dyrektorami wyższego szczebla nad pomocą dla rodzin zmarłych przyjaciół i pracowników. Jeden z dyrektorów, Nadia Pleszinko, wydmuchiwała nos w białą chusteczkę, nie mogąc powstrzymać łez.

Pierwszy z funkcjonariuszy, w średnim wieku, był gruby i miał wąsy. Drugi był niezwykle młody i szczupły, o ponurej twarzy, nawet wówczas, gdy się uśmiechał. Chłopcy z komisariatu z pewnością nazywali ich Flip i Flap – podobieństwo było tak wielkie, że nawet oni śmiali się z tego żartu.

Przedstawili się jako porucznicy stołecznej milicji, informując zebranych, że przyszli, aby przekazać, co wiedzą o porannej rzezi.

– To mafia – oświadczył na wstępie otyły starszy funkcjonariusz. – Sądzimy, że za morderstwami stoi mafia. Nie chodzi wyłącznie o was. Podobne rzeczy zdarzają się w całej Moskwie. W ciągu ostatniego miesiąca w mieście dokonano ponad sześćdziesięciu zabójstw. Sześćdziesięciu! – Przewrócił nabiegłymi krwią oczami, wyraźnie zmęczony i zdegustowany. – Niemal wszyscy to biznesmeni, bankierzy, oprócz tego jeden lub dwaj reporterzy, którzy znanadto zbliżyli się do jednego z gangów lub skorumpowanego polityka znajdującego się na mafijnej liście płac.

Chudy podjął w miejscu, w którym skończył kolega.

– Za czasów Związku Radzieckiego w Moskwie dokonywano przeciętnie trzech morderstw w miesiącu. W najgorszym razie. Niemal zawsze mordercami były rozwścieczone żony lub mężowie próbujący wyrównać rachunki za zdradę. Zabici byli ofiarami sprzeczki małżeńskiej.

– Sądzicie, że za wszystkimi sześcioma morderstwami stoi mafia? – spytał Aleks, którego nie interesowały nudne dzieje zbrodni w stolicy. Ważne było tylko to, co się stało z jego ludźmi tego ranka. I to, co może wydarzyć się jutro. Czy mordercy skończyli, czy była to jedynie rozgrzewka? Czy zakończy się na sześciu ofiarach? Może powinien kupić kamizelki kuloodporne i wznieść

grube bunkry dla swoich pracowników?

Obaj funkcjonariusze poważnie skinęli głowami.

– W dawnych czasach gangsterzy zajmowali się handlem narkotykami, prostytutką i czarnym rynkiem, tego rodzaju sprawami – powiedział chudy. – Kapitalizm otworzył przed nimi nowe horyzonty. Dzisiaj duża forsa jest w takich firmach jak wasza. To...

– Czego chcą? – przerwał mu Aleks.

– Trudno powiedzieć – odrzekł gruby, smutno marszcząc czoło. – Zwykle chodzi o wymuszenie. Jeśli zapłacicie kilka milionów lub będziecie im oddawać część miesięcznych zysków, przestaną mordować waszych ludzi. Obawiam się, że jest to najbardziej optymistyczny scenariusz.

– A najbardziej pesymistyczny?

Chudy potrząsnął głową.

– Może jakiś konkurent zapłacił, aby was zniszczyli albo zmiękczyli przed próbą wrogiego przejęcia. Tak czy owak będą zabijać, dopóki nie zaprzestaniecie działalności lub nie uznają, że jesteście gotowi przyjąć ich warunki. To ambitni, pomysłowi ludzie. – Spojrzał na grubego, który skinął potakująco głową. – Podam przykład – ciągnął. – Przed dwoma miesiącami zaatakowali bank. Zanim zdążyliśmy się zorientować, zamordowali dwunastu dyrektorów.

– Mafia – powtórzył Aleks z obrzydzeniem. – Czy gangsterzy nie są zorganizowani w rodziny i gangi? Przecież nie stanowią jednej wielkiej organizacji?

– Ma pan rację. – Chudy skinął głową, wyraźnie się ożywiając. – Jeszcze dwa lata temu moglibyśmy powiedzieć, który syndykat za tym stoi i kto nim rządzi. Moglibyśmy podać szczegółowy skład grupy i schemat organizacyjny. W dzisiejszych czasach jest tyle gangów, że... – urwał w pół zdania, patrząc na znękaną twarz zebranych. – Nawet te, o których wiemy, mnożą się, łączą ze sobą i dzielą tak szybko, że straciliśmy rachubę. Przewyższają nas pod względem liczebności i uzbrojenia. Co gorsza, szczerze mówiąc, są od nas sprytniejsi.

– Możecie nam zapewnić ochronę? – spytał nerwowo jeden z dyrektorów, zabierając głos w imieniu wszystkich zebranych.

Było to dobre pytanie, więc funkcjonariusze spojrzeli na siebie. Na koniec

odwrócili się do Aleksa i jego ludzi, spoglądając na nich nieśmiało. Gruby odchrząknął raz lub dwa.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Powiększymy zespół dochodzeniowy, zasięgnemy języka u miejscowych informatorów, kilku tajniaków będzie obserwowało wasze biuro. Proszę pamiętać, że nie działamy w branży ochroniarskiej. Mówiąc bez ogródek, macie zbyt wielu pracowników, abyśmy mogli wszystkich chronić. W przypadku banku, o którym wspomniałem, robiliśmy wszystko co w naszej mocy. – Przewrócił oczami i westchnął. – Dwunastu zginęło.

Zanim zdążyli się zastanowić nad jego słowami, chudy spojrzął na Aleksa i zapytał:

– Dostawaliście ostatnio jakieś listy z pogroźkami? Czy mordercy skontaktowali się z wami w jakiś sposób?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Najwyraźniej był to zły znak, bo obaj milicjanci jednocześnie zmarszczyli brwi. Jakby na umówiony sygnał gruby potrząsnął głową i oznajmił:

– To niedobrze. Zwykle ostrzegają, zanim uderzą. Zróbcie to i to, bo zrobimy tamto.

– Czasami ich sposób działania przypomina chińską torturę wody – dodał chudy, popisując się swoją znajomością zagadnienia. – Innym razem, dwuręczny młot. Dzisiejsze morderstwa mają wszystkie znamiona tego ostatniego. Ci ludzie są zawodowcami. Decydują, kiedy i jak zaatakować.

Jeśli zamierzali wystraszyć Koniewicza i jego pracowników, trzeba przyznać, że im się udało. Kilka krzesel zaszurało, jeden lub dwóch dyrektorów wydało głośne westchnienie.

Po cichej przerwie gruby kontynuował:

– Dostrzegamy pewną prawidłowość. Po pierwsze, znają nazwiska waszych pracowników, ich adresy i styl życia. Nie muszę wam tłumaczyć, co to oznacza. Wasza firma była obserwowana od dłuższego czasu, może nawet została spenetrowana. Kto wie, ilu waszych pracowników jest na ich liście płac lub ilu wybrano na cel ataku? Po drugie, sposób zabójstwa jest starannie ułożonym przesłaniem: mogą was zabić, kiedy i jak zechcą, gdziekolwiek jesteście i cokolwiek robicie.

Milicjanci kontynuowali prezentowanie swoich teorii i mrozących krew w żyłach spekulacji, jakby nie zdawali sobie sprawy z przerażenia, jakie wzbudzają ich słowa. Aleks i jego dyrektorzy tylko wymieniali ze sobą ostre spojrzania. Koniewicz wzruszył ramionami i zaczął się gapić na białą ścianę, wyraźnie skonsternowany. Nikt nie musiał niczego mówić. Atmosfera niechęci była tak gęsta, że można było niemal ciąć ją nożem. Aleks miał osobistą ochronę – sześciu potężnych goryli, dom z najnowszymi systemami bezpieczeństwa dostępnymi na rynku, opancerzonego mercedesa, a na dodatek nie chodził ulicami i nie był narażony na takie niebezpieczeństwo jak oni.

Czterej dyrektorzy obecni w pokoju oraz cała reszta pracowników Koniewicz Associates byli bezbronni jak kaczki. Pozbawieni jakiegokolwiek obrony. Mięso armatnie.

Gliniarze mieli rację. Niecały rok po rozwiązaniu Związku Radzieckiego Moskwa pogrążyła się w chaosie. Codziennie dochodziło do brutalnych mordów, żołnierze za kilka marnych rubli sprzedawali broń i amunicję na rogach ulic, bezrobocie rosło w zastraszającym tempie. W niezdarnym pędzie do prywatyzacji ceny sięgnęły astronomicznego pułapu. Poziom usług publicznych, które nigdy nie stały na przyzwoitym poziomie, sięgnął dna. Długa, ciężka zima oznaczała początek niedoli. Setki tysięcy moskwian nie mogło sobie pozwolić na ogrzanie mieszkań oraz kupno jedzenia i ubrania, podejmowali więc działalność przestępczą, aby związać koniec z końcem.

Gazety aż huczały od opowieści o ekstrawaganckich popisach sławnych nowobogackich, którzy za wszelką cenę pragnęli nobilitacji, gdy setki ludzi umierały z głodu i zimna podczas siarzystej moskiewskiej zimy. Nikt nie pożałuje pracowników Koniewicz Associates. Niezależnie od tego, ilu dobrze odżywionych dyrektorów zostanie zastrzelonych, wysadzonych w powietrze lub uduszonych, nikt nie okaże odrobiny żalu. Opowieści o lśniących zabawkach i pałacach nowobogackich działały jak ogłoszenie kuszące przestępców: „Oto oni, chłopcy! Chodźcie i bierzcie, co chcecie”.

Kiedy milicjanci zakończyli prezentowanie możliwości, Koniewicz spytał oskarżycielsko:

- Nie możecie zapewnić nam ochrony?
- Szczerze mówiąc, nie – odparł gruby, smutno potrząsając głową. – Mamy ledwie tylu ludzi, aby odwozić ciała do kostnicy.

– Co pan radzi? – zwrócił się do milicjanta, unikając kontaktu wzrokowego z dyrektorami, gotowymi wybiec z pokoju, by ratować życie.

– Mówimy to wszystkim, którzy pytają. Prywatna ochrona, panie Koniewicz. Ma pan bogatą firmę. Może pan sobie pozwolić na zatrudnienie najlepszych.

Chudy spojrział, jakby chciał coś powiedzieć, więc Aleks zwrócił się w jego stronę.

– Jeśli ma pan coś do dodania, chętnie posłucham.

– Dobrze, proszę potraktować to, co powiem, poufnie. Niech to pozostanie między nami. Mówiliśmy o mafii. Jeśli pan jeszcze nie zrozumiał, powtórzę, że to twardzi, bezwzględni i uparci ludzie. Są jednak tacy, którzy nawet ich wprawiają w przerażenie.

– Proszę kontynuować.

– Mam na myśli funkcjonariuszy dawnego KGB. Od pięćdziesięciu lat toczyli wojnę z mafią. Pamięta pan przysłowie „ciągnie swój do swego”? Wielu świetnie wyszkolonych agentów znalazło się na ulicy. Nie mają pracy, rozpaczliwie poszukują jakiegoś zajęcia i są gotowi ciężko pracować. Wielu z nich to bardzo utalentowani ludzie. Mają odpowiednie kwalifikacje, doświadczenie i nastawienie. Szczerze mówiąc, dawni agenci KGB są groźniejsi od mafiosów.

Aleks dumiał krótką chwilę nad sugestią oficera. Miał jak najgorsze wspomnienia o KGB i cieszył się, że nie zatrudniał w swojej firmie dawnych agentów. Doprowadzili do usunięcia go z uczelni i niemal zniszczyli mu życie. Mało brakowało, a zrujnowaliby jego kraj. Za czasów komunizmu mafia była jedynie źródłem przykrej irytacji, małą nieszkodliwą garstką przestępców zajętych prowadzeniem ciemnych interesów – prawdziwym gangsterem było KGB. Zyskało sławę największej organizacji stosującej wymuszenia na świecie, było watahą anonimowych zbirów, którzy wiecznie nadużywali władzy, żyjąc jak zepsute książęta, podczas gdy przerażony lud cierpiał biedę.

Nie, zdecydował. Ani dziś, ani jutro. Nigdy. Niezależnie od tego, jak będzie źle, nigdy nie zatrudni byłego agenta KGB.

Gruby dostrzegł wyraz dezaprobaty na jego twarzy, więc wyciągnął z kieszeni wizytówkę i przesunął ją po stole.

– Gdyby pan zmienił zdanie, proszę zadzwonić do Siergieja Golicyna. Był numerem dwa w KGB. Obecnie jest trzy gwiazdkowym emerytowanym generałem. Proszę mi wierzyć, że Siergiej Golicyn potrafi się zatroszczyć o wasze bezpieczeństwo.

Kiedy następnego ranka czterech kolejnych pracowników Koniewicz Associates znaleziono na chodniku i przewieziono do kostnicy, Aleks zadzwonił do generała.

\* \* \*

Usłyszał głośny zgrzyt otwieranych drzwi i donośne głosy. Kilku mężczyzn i jedna lub dwie kobiety rozmawiało ordynarnie po rosyjsku. Aleks nie miał pojęcia, gdzie jest – jechali samochodem prawie pół godziny. Szybka podróż pełna nagłych ostrych skrętów, przypuszczalnie dla zdezorientowania Aleksa i Jeleny oraz zgubienia ewentualnego pościgu. Wyciągnęli ich z wozu i wepchnęli do jakiegoś pokoju o twardej betonowej posadzce, cuchnącego naftą. Sądząc po głuchym odgłosie kroków, była to duża, przestronna, niemal pusta sala.

Opuuszczony magazyn, pomyślał Aleks. Być może porzucony warsztat.

Natychmiast ich rozdzielono i zaprowadzono do oddzielnych pomieszczeń. Aleks znalazł się w środku innego, mniejszego pokoju. Położyli go na twardym stole lub szpitalnym łóżku i przystąpili do pracy. Para silnych dłoni rozsznurowała mu buty i zdarła z nóg. Upadły na posadzkę z głośnym hukiem. Nóż zręcznie przeciął spodnie i koszulę. Ponieważ miał kaptur na głowie, nie wiedział, co zrobili z Jeleną ani dokąd ją zabrali. Jednego był pewny: to nie przypadek, że do porwania doszło podczas jednej z rzadkich wspólnych zagranicznych podróży służbowych. Przerażało go to tym bardziej.

Zacisnął powieki i z najwyższym trudem zmusił się do myślenia. Kimkolwiek byli, wyprowadzili w pole, a następnie wyeliminowali jego ochronę. Co więcej, proste, a jednak sprawnie zorganizowane porwanie wskazywało, że wiedzieli o ich podróży do Budapesztu. Czekali na niego. Dokładnie znali jego plany. Domyślał się, że byli zawodowcami.

Jakimi zawodowcami? Porywaczami liczącymi na ogromny okup? Zabójcami? Pytanie wymagało pilnej odpowiedzi.



Wiedzieli, że nad tym duma, bo zostawili go samego, aby skruszał. Cierpiał w odosobnieniu niemal pół godziny.

Później usłyszał dźwięk zbliżających się kroków. Dwóch osób. Jedna z nich stąpała lekko, druga – głośno i ociężale. Facet miał przypuszczalnie podkute buty. Mimo kaptura wyczuł, że ktoś na niego patrzy. Aleks ciężko dyszał, serce waliło mu jak młot. Z każdą chwilą opadały go coraz mroczniej sze myśli. Umysł podpowiadał, że tego właśnie pragnął, że powinien nad sobą zapanować, lecz nie pozwalało na to przerażone serce.

Nagle poczuł nieoczekiwany cios w środek tułowia. Powietrze wyszło mu z płuc z głośnym sieknięciem. Zacerpnął oddechu, pragnąc spytać, co robią, gdy poczuł kolejny cios, tym razem w pachwinę. Nie mógł się nawet zwinąć lub skręcić z bólu. Krzyczał, a bicie trwało nadal – metodyczne i nieustanne. Słychać było jedynie odgłos uderzeń w ciało i kości oraz Aleksa wyjącego i jęczącego.

\* \* \*

Władimir wyszedł z pokoju i ściągnął skórzane rękawiczki, które był niemal nasączone krwią. Krwia Aleksa. Podniósł słuchawkę i usłyszał Golicyna niemal tak, jakby ten znajdował się w sąsiednim pokoju i przeżywał orgazm.

- To było wspaniałe! Po prostu wspaniałe! Dziękuję!
- Słyszeliście wszystko?
- Tak, każde uderzenie, każdy jęk. Cóż za ucztą! W jakim jest stanie?
- Początkowo był zaszokowany. Nie wiedział, dlaczego go biję. Teraz wygląda żałośnie, jest całkiem zdezorientowany. Sami słyszeliście.
- Wszystko. Jakież pogruchotane kości?
- Kilka żeber, może noga. Grzmotnąłem go krzesłem. Wybiłem mu lewy bark. Musieliście słyszeć chrzęst. Był całkiem głośny.
- Tak... zastanawiałem się, co to takiego. – Golicyn zarechotał. – Mam nadzieję, że nie uszkodziłeś jego drogocennej prawej ręki.
- Nie, jakżebym mógł – obruszył się Władimir. Czekał cierpliwie, wiedząc, że Golicyn tu rządzi. Jeśli poleci jeszcze raz dać mu wycisk, w porządku, choć Władimir potrzebował przynajmniej dziesięciu minut, aby złapać oddech i dać odpocząć mięśniom.

- Jest przytomny? – spytał po chwili Golicyn.
- Nieco mniej niż na początku. Kilka razy musieliśmy go cucić. Za dwadzieścia minut siniaki spuchną, a zakończenia nerwowe odzyskają czucie.
- Świetnie. Daj mu dwadzieścia minut, a później go napiętnuj. – Po dłuższej przerwie dodał: – Nie spiesz się, przeciągaj to.

\* \* \*

W chwilach mglistej przytomności powtarzał sobie, że go nie zabiją. Po między odgłosami ciosów słyszał kobiecy głos. Głęboki i pogardliwy, upominający człowieka, który go torturował. Bij słabiej, ostrzegają. Nie uszkodź ważnych narządów. Dwukrotnie głośno warknęła, aby przestał dusić Aleksa, bo ich cenny zakładnik zostanie wyniesiony w trumnie.

Zatem potrzebowali go żywego. Nie mieli zamiaru go zabić. Czegoś chcieli, dlatego pozwolą mu oddychać, dopóki tego nie otrzymają. Czymkolwiek to jest.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i kroki dwóch osób. Te same co wcześniej: jedno lekkie, drugie ciężkie. Czy znowu będą go bili? Zapomniał o swoich wcześniejszych przypuszczeniach i pomyślał, że być może mimo wszystko go zabiją.

Zdjęli mu kaptur. Zamrugął.

– Czego chcecie? – wycharczał przez obolałe gardło. Żadnej odpowiedzi, ani jednego słowa. Próbował skupić wzrok, lecz obraz był zamazany. Wiedział, że mgliste postacie, które przed nim stały, to mężczyzna i kobieta, których widział na postoju taksówek. Pewne ci sami, którzy tak brutalnie go pobili.

– Błagam, powiedzcie, czego chcecie...

Mężczyzna, do którego kobieta powiedziała wcześniej „Władimir”, pochylił się nad jego twarzą. Facet uśmiechnął się i podniósł mu jedną powiekę, uważnie oglądając źrenicę. Następnie sięgnął po dwa grube skórzane pasy, unieruchamiając klatkę piersiową Aleksa, i zapiął klamry pod stołem, tak jak zapina się pas. Naciągnął je z całych sił, aby wpijały się boleśnie w skórę. Przyniósł do twarzy Aleksa jakieś narzędzie, które trzymał w ręku. Aleks ze zdumieniem zobaczył, że urządzenie przypomina małe podrózne żelazko.

– Widzisz? – zapytał Aleksa.

- Tak... co to takiego?
- Za chwilę się dowiesz.
- Gdzie Jelena? – spytał.

Władimir zachichotał.

– Błagam – jęknął Aleks. – Nie mieszajcie jej do tego. Nic wam nie zrobiła.

– Ale ty tak – poinformował go Władimir z ponurym uśmiechem.

– Nawet cię nie znam. – Wyczuł, że to, co powiedział, nie było właściwe, bo natychmiast dodał ze słabą nutką nadziei: – Jeśli chcecie pieniędzy, zapłacę. Wypuście ją. Zatrzymajcie mnie jako zakładnika. Jelena dopilnuje, aby wam zapłacono.

– Jesteś dumny z tego, co zrobiłeś? – spytał Władimir, odsuwając się. Splunął na żelazko, z zadowoleniem wsłuchując się w gniewny syk.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Większość z nas służyła w dawnym KGB – odpowiedziała kobieta. – Byliśmy patriotami, służyliśmy *Matuszce Rossiji*. Broniliśmy ojczyzny. Zniszczyłeś całe nasze życie.

– Jak? – zdziwił się Aleks.

– Nie udawaj. Przekazałeś miliony Jelcynowi, zniszczyłeś kraj.

– Skąd o tym wiecie?

– Wiemy o was wszystko, Aleksie Koniewiczu. Obserwujemy was od lat, patrzymy, jak niszczysz *rodinu*, jak się obławiasz. Nadeszła pora odpłaty.

Aleks zamknął oczy. Sytuacja była zła, a stała się jeszcze gorsza. Nie tylko go znali, lecz dużo o nim wiedzieli. Jakby porwania było mało, dodatkowo w grę wchodziła zemsta. Władimir i Katia dali Aleksowi chwilę, aby zastanowił się nad tragizmem swojego położenia.

Władimir uniósł żelazko, tak aby Aleks je zobaczył. Metalowa rozgrzana do czerwoności powierzchnia oświetliła mroczne pomieszczenie. Podsunął ją pod nos swojej ofiary.

– Amerykańscy kowboje piętnują bydło. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że napiętnujemy ciebie.

Nałożył na uszy przemysłowe słuchawki, naciągnął grube gumowe rękawice i powoli, pewnym ruchem przysunął żelazko do klatki piersiowej Aleksa.

Widząc rozgrzany metal, Koniewicz zaczął się wić, lecz pasy utrzymywały go w miejscu. Gorąca stopka dotknęła wrażliwego ciała pod lewą brodawką sutkową. Władimir przesunął krawędź żelaza po skórze, powolnym, zręcznym ruchem.

Kiedy Aleks zawył z bólu, docisnął mocniej, odciskając na ciele wyraźne piętno. Wypalił jedną, a następnie drugą krzywą, nadając im kształt sierpa. Pomieszczenie wypełnił swąd spalonego ciała. Następnie zaczął odciskać kwadratowy kształt. W końcu powstał znak sierpa i młota, groźny symbol potęgi dawnego Związku Radzieckiego. Najwyraźniej Władimir robił to już wcześniej. Zachowywał się jak rzemieślnik dumny ze swojej roboty. Wszystko trwało pół godziny. Aleks wrzeszczał z bólu, aż ochrypl. Przeszywający jęk odbijał się echem od ścian magazynu.

Katia stała obok i obserwowała, lecz po dwóch minutach poddała się i uciekła przerażona.

## 5.

O piętnastej trzydzieści Eugene Daniels dopił ostatni łyk trzeciego kufła bawarskiego piwa, gęstego niemieckiego dunklebeera bez środków konserwujących, które warzono tylko w pewnych porach roku. Takiego piwa w Stanach nie uświadczysz. Po drugiej stronie stolika siedziała jego żona, Maria, delikatnie sącząc drugą lampkę wina. Przed chwilą po raz kolejny wyjaśniła mu, że to gruziński pinot o wspaniałym bukiecie. Może odrobinę za delikatny, lecz o pięknym, trwałym aromacie i innych przymiotach, o których wyczytała w jednej z tych snobistycznych książek na temat win. Jak to możliwe, aby tyle dało się wycisnąć z głupich winogron? Piękna węgierska kelnerka podeszła do stołu, gdy Eugene nie patrzył, lecz Maria dyskretnie skinęła dłonią, by odeszła.

Bawiąc się nóżką kieliszka, przypomniała mężowi:

- Spotkania biznesowe najlepiej prowadzić na trzeźwo.
- Gdyby Aleks chciał mnie widzieć trzeźwego, zjawiłby się punktualnie.
- Może chowa coś w zanadrzu. Idzie o setki milionów, Eugene. Może chce, abyś był wstawiony i głupi, kiedy się zjawi. – Pewnie nie marzył, że mu się uda, pomyślała z chłodnym uśmiechem.

– Nie znasz Aleksa.

Zamiast ryzykować kolejną sprzeczkę, Maria uniosła wypielęgowane brwi.

– Ciągle to samo. Sugeruję, abyś przeszedł na kawę.

Eugene trzydziesty raz z rzędu spojrzął na zegarek i dwudziesty raz powtórzył:

- Aleks nigdy się nie spóźnia. Zawsze jest punktualny co do minuty. Zawsze.

– Może ma rosyjski zegarek. Słyszałam, że są fatalne.

Miał ochotę spytać: skąd to, u licha, wiesz, idiotko? Na szczęście się opanował i odrzekł:

– Nie, stało się coś złego. Czuję to.

– Masz rację, wszystko jest nie tak. My przylecieliśmy z Nowego Jorku, on miał przylecieć z Moskwy. My jesteśmy, a jego nie ma. To niegrzeczne i nieprofesjonalne zachowanie. Powinniśmy iść.

Eugene spojrział gniewnie na żonę, walcząc z pokusą wetknięcia jej serwetki do gardła. Była jego czwartą małżonką, bez wątpienia największym błędem ze wszystkich. Był jeszcze z trzecią żoną i całkiem nieźle im szło, kiedy Maria, dorodna brunetka o połowę młodsza od niego, przepadająca za obcisłymi skórzanymi spódniczkami, została jego sekretarką. Kilka razy gonił ją wokół biurka. W końcu w odpowiednim momencie stanęła, powodując, że pogoń się opłaciła.

Kiedy ich romans wyszedł na jaw – Maria miała w tym spory udział, o czym dowiedział się po fakcie – żona numer trzy odjechała w siną dal z pięćdziesięcioma milionami i okazała rezydencją w Hamptons kojącymi jej zranioną dumę. Doszły go słuchy, że miała teraz nowego, lśniącego czerwonego rollsa i przystojnego ogrodnika, który pocieszał ją w okresach załamania.

Jakby utrata domu i pieniędzy nie wystarczyła, Eugene stracił jedyną wykwalifikowaną sekretarkę, którą miał. I tego żałował najbardziej. Maria była bezczelna, szorstka i upierdliwa. Pilnowała porządku, przypominała o punktualności i po nim sprzątała. Te cechy powodowały, że jako żona stała się nieznośna.

Teraz, kiedy zgodnie z umową małżeńską, miała dostęp do jego forsy, całą przyjemność diabli wzięli. Nawet seks stał się sporadyczny i do niczego. Wyciągnął komórkę i wybrał numer moskiewskiego biura Koniewicza. Po drugim dzwonku połączył się z Sonią, miłą i energiczną sekretarką Aleksa. Eugene i Aleks zrobili kilka bardzo dobrych interesów. On załatwił amerykańskich inwestorów i zielone, a Aleks ulokował je w rosyjskich przedsiębiorstwach, które okazały się żyłą złota. Chociaż nigdy nie poznał osobiście jego sekretarki, Sonia nie zapominała głosu klientów. Zanim skończył mówić „cześć”, zwróciła się do niego po nazwisku.

Szybko wyjaśnił w czym problem. Był umówiony na spotkanie z Alekssem tutaj, w restauracji hotelu Aquincum, dwie godziny temu. Sonia odparła, że o tym wie. Nagle stała się zaniepokojona i gadatliwa. Aleks nigdy się nie spóźnia, oznajmiła z wyraźną dumą. Tak, osobiście wszystko załatwiła. Nie, Aleks nie poinformował jej o spóźnieniu lub jakichkolwiek problemach. Kiedy szybko wyczerpali listę możliwości, połączyła go z szefem ochrony Aleksa, dawnym generałem KGB, Siergiejem Golicynem.

– Czym mogę służyć? – spytał szef ochrony z ciężkim rosyjskim akcentem.

Eugene odstawił piwo i przeszedł do rzeczy.

- Otrzymaliście jakąś wiadomość od Aleksa?
- Nie.
- Spóźnił się ponad dwie godziny na spotkanie.
- Dwie godziny?
- Tak, przecież powiedziałem.
- Co z tego?
- Aleks nigdy się nie spóźnia, ot co!
- Może tym razem zrobił wyjątek.
- Może. Czy wiedziałby pan, gdyby zmienił plany? Spóźnił się na samolot? Miał wypadek samochodowy? Wpadł do króliczej nory?
- Nie.
- Nie powinien pan o tym wiedzieć?!
- Nie, nie powinienem. Podczas podróży zagranicznych pan Koniewicz korzysta z usług zagranicznej firmy ochroniarskiej. Wielokrotnie mu odradzałem, to niebezpieczna praktyka. Po opuszczeniu Rosji nie mam wpływu na jego plany i ochronę...

Eugene był poirytowany znudzonym tonem głosu rozmówcy. Jeśli taki gość jest szefem jego ochrony, Aleks powinien sobie kupić porządną kamizelkę kuloodporną.

– Niech pan posłucha – powiedział, próbując ukryć zdenerwowanie. – Aleks i Jelena mieli zjeść z nami późny lunch. Planowaliśmy sfinalizowanie ważnego interesu. Sprawę trzeba zakończyć do wieczora. Możemy stracić miliony.

- Obawiam się, że to pański problem.
- Odpowiada pan za osobiste bezpieczeństwo Aleksa, to pana problem.
- Nie – odrzekł z przekąsem Golicyn. – To problem Koniewicza.
- Mógłby pan przynajmniej zadzwonić do firmy zewnętrznej, która go ochrania? Mam lepszy pomysł, proszę podać mi ich numer. Sam zadzwonię.
- To poufna informacja, nie mogę jej udzielić.
- W porządku. Zatem z pewnością nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że zadzwonię na policję i powiadomię ich o zniknięciu Aleksa.

Nagle ton głosu generała zmienił się z szorstkiego i burkliwego na pojednawczy.

- Nie... nie ma takiej potrzeby. Proszę pozwolić, że sam się tym zajmę.
- Nie ufam panu.
- Zrobię, jak powiedziałem. Proszę podać mi swój numer. Zadzwonię, gdy tylko będę coś wiedział.
- Proszę zadzwonić, nawet jeśli niczego się pan nie dowie. Wpakowałem w ten interes dwadzieścia milionów, a czterech chciwych współników po siedemdziesiąt milionów każdy. – Spojrzał na zegarek. – Jeśli nie sfinalizujemy sprawy, będę musiał wycofać transfer. Najpóźniej o piątej.
- Rozumiem... to oczywiste. – Kiedy Eugene podał mu swój numer, w słuchawce zapadła cisza.

\* \* \*

Dali mu godzinę, by odpoczął. Przynieśli duży przemysłowy wentylator i włączyli na wysokie obroty, aby usunąć swąd spalonego ciała. Władimir przytknął żelazko na tyle silnie, aby najlepszy chirurg plastyczny na świecie nie zdołał całkowicie usunąć lub ukryć jego dzieła. Aleks do końca życia będzie nosił na swoim ciele symbol tego, co tak bardzo pragnął zniszczyć.

Władimir i Katia wrócili pięć po czwartej, prowadząc udręczonego lekarza i prawnika o przetłuszczonych włosach, specjalizującego się w rosyjskim prawie gospodarczym, które zmieniało się w zawrotnym tempie. Stanęli z obojętnym wyrazem twarzy w nogach łóżka. Lekarz zbadał tętno i oddech Aleksa, a następnie ostukał i pomacał różne części ciała.

W końcu podniósł głowę i ciekawym głosem poinformował Władimira po rosyjsku:



– Tętno odrobinę za wysokie, bez wątpienia z powodu przeżytej traumy i lęku. Co najmniej dwa żebra złamane. Paskudne stłuczenie nogi. Bez prześwietlenia nie potrafię ocenić, co ma złamane.

Pomieszczenie nie było ogrzewane. Zapadła noc i z każdą minutą robiło się coraz chłodniej. Aleks, który miał na sobie jedynie slipy, zaczął szczcękać zębami. Ramiona i nogi trzęsłyby się z zimna, gdyby nie zostały skrępowane pasami. Lekarz spojrział ponownie na skatowane, krwawiące ciało, a następnie wyszedł z pomieszczenia, odwracając się do Władimira z grymasem przerażenia na twarzy.

Władimir i Katia przysunęli długą drewnianą ławkę i usiedli obok Aleksa. Wcześniej uzgodnili, że będą udawali dobrego i złego glinę.

Władimir zdążył już sugestywnie odegrać rolę złego gliniarza. Odgrywanie dobrego gliny nie było najmocniejszą stroną Katii, lecz dopóki siedziała obok Władimira, wyglądała jak anioł. Władimir wolno zapalił cuchnącego francuskiego papierosa, głośno odetchnął i najbardziej zblazowanym tonem, na jaki było go stać, powiedział:

– Pewnie się zastanawiasz, o co nam chodzi.

W pierwszej chwili Aleks chciał mu odpowiedzieć, lecz się powstrzymał. W końcu przeszli do rzeczy. Zrobili z niego krwawą miazgę, omal nie pozbawili życia – teraz chcą mu powiedzieć, za ile nie dokończą roboty.

Władimir zaczął bez ogródek.

– Przepiszesz na nas wszystkie swoje pieniądze i firmy – oznajmił rozkazującym tonem.

– Co? – Aleks był pewny, że czegoś nie dosłyszał. Oczekiwał, że zażądają pieniędzy. Właściwie, biorąc pod uwagę skalę operacji i brutalny profesjonalizm porywaczy, spodziewał się, że żądania będą ogromne, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa niedorzeczne. Będą mu grozić i nalegać, on wskaże, do kogo mają się zwrócić, a wówczas negocjacje zaczną się na dobre. Później do gry wkroczą specjaliści od okupu zatrudnieni przez drogą angielską firmę ochroniarską, którą wynajął. Będzie trochę targów, małe ustępstwa z jednej i drugiej strony, lecz prędzej czy później dojdzie do ustalenia rozsądnej ceny i przekazania pieniędzy. Ale przepisanie firm? To czysty absurd!

Ci ludzie byli głupi lub szaleni. Albo jedno i drugie.

– Dobrze usłyszałeś – powtórzył Władimir bardzo spokojnym i poważnym tonem. Wstał i pochylił się nad nim, przysuwając twarz do oczu Aleksa. – To proste. Podpiszesz list, który napisaliśmy. Nic skomplikowanego. Jesteś zmęczony, wypaliłeś się. Czujesz się sfrustrowany ogromem pracy i obowiązków. Później podpiszesz prostą umowę z pustym miejscem na nazwisko osoby, która zostanie wyznaczona na twojego następcę. Nie martw się, już my się tym zajmiemy. Musisz jedynie złożyć podpis u dołu strony.

– Nic więcej?

– To wszystko. Nasz prawnik ją potwierdzi, a wówczas ty i twoja żona będziecie mogli bezpiecznie odejść. – Kręta, o którym wspomniał, stał cicho w kącie. Skinął głową i uśmiechnął się energicznie, jakby był piorunsko rad, że może im służyć pomocą.

– A jeśli odmówię? – spytał Aleks.

– Zginiesz ty i twoja żona. Lepiej się zastanów. Tak czy owak stracisz firmę.

W tym momencie do rozmowy wtrąciła się Katia, próbując udawać dobrego glinę.

– Władimir z ochotą zabije ciebie i twoją żonę – poinformowała. – Możesz mi wierzyć, zrobi to z przyjemnością. Nie bądź głupi. Na dawaj mu pretekstu.

Aleks wpatrywał się długo w ciemny sufit. Zatem o to im chodziło. O jego pieniądze, firmy i majątek. O cały jego dorobek – chciwi dranie żądali wszystkiego, nad czym się trudził i co stworzył w ciągu sześciu ostatnich lat. Odetchnął głęboko i powiedział tak stanowczo, jak potrafił:

– Możecie dostać pieniądze. Dużo pieniędzy. Tyle, że starczy wam do końca życia, lecz firm nie oddam.

Władimir oczekiwał takiej odpowiedzi, właściwie był na nią przygotowany. Uśmiechnął się i spojrzał na Katię.

– Przyrowadź jego żonę – polecił.

Katia wyszła z pokoju. Władimir usiadł na drewnianej ławie, leniwie wydmuchując kółka dymu, podczas gdy Aleks dumał nad swoim położeniem. Przynajmniej wiedział, czego chcą. Co zrobili Jelenie? Czy ją skrzywdzili? Na chwilę stracił przytomność. Wyobraźnia zaczęła mu podsuwać straszne obrazy.

Mężczyzna siedzący na ławce był potworem, człowiekiem zupełnie pozbawionym sumienia. Może Jelena także została napiętnowana. Może ją zgwałcili? Torturowali?

W Moskwie roilo się od sadystycznych zbirów pokroju tego faceta, których deprawacja i okrucieństwo nie znały granic. W dawnych czasach byli używani przez państwo jako narzędzie zniewolenia i terroru. Dzisiaj stali się taką samą częścią rosyjskiego wolnego rynku jak ziemniaki i wódka. Nie zawahają się przed ukaraniem żony bogacza. Właściwie sprawi im to przyjemność. Wyobraził sobie przerażające możliwości.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Katia brutalnie wciągnęła do środka Jelenę. Żona Aleksa miała skrępowane ręce i sprawiała wrażenie przerażonej, lecz najwyraźniej jej nie okaleczyli. Kiedy ujrzała leżącego na łóżku Aleksa, straciła panowanie nad sobą.

– Dranie! – wrzasnęła w kierunku Katii i Władimira. Szarpnęła za sznur, próbując się uwolnić i podbiec do skatowanego męża.

Katia chwyciła ją za włosy i pociągnęła do tyłu, omal nie zwałając na ziemię. Wiecie, jak to dobry glina.

Władimir wstał i podszedł do Jeleny. Włożył jej knebel do ust i związał z tyłu.

– Zostawcie ją – zaprotestował słabo Aleks.

– Kiedy cię zabiję, dam ją chłopakom, którzy czekają na zewnątrz. To bardzo atrakcyjna kobieta. Nieźle się z nią zabawią– poinformował go z okrutną obojętnością Władimir.

\* \* \*

Eugene dopijał siódme piwo, gdy zadzwoniła komórka. Była szesnasta dziesięć.

– Mam dobrą wiadomość – oznajmił uspokajającym tonem Golicyn. – Znalazłem Aleksa.

– Tak?

– Tak, wszystko w porządku.

– Doskonale. Gdzie jest?

– Musiał pojechać na bardzo ważną naradę. Prosił, abym poinformował

pana, że musi przełożyć spotkanie.

– Przełożyć?

– Tak, tak powiedział. Zasugerował jutrzejsze popołudnie. Co pan na to?

– To wykluczone. Aleks o tym wie. Jest pan pewien, że rozmawiał z Alekssem?

– To mój szef, znam jego głos.

Eugene oglądał chwilę własne palce. To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Jeśli nie sfinalizują transakcji do siedemnastej, mogą się pożegnać z inwestorami. O siedemnastej jeden będzie po sprawie. W Nowym Jorku grupka prawników i księgowych zebrała się wokół długiego stołu konferencyjnego na górze ogromnego wieżowca, niecierpliwie czekając na telefon Eugene'a. Siedzieli tam całą noc, pijąc zwietrzałą kawę, przeżuując wyschnięte kanapki, opowiadając nieświeże dowcipy, bębniąc palcami o stół i z każdą chwilą popadając w coraz bardziej gburowaty nastrój.

Trzy miesiące znoju i mozolnej pracy. Trzy długie miesiące ciągłego uspokajania wylęknionych inwestorów, że z Alekssem Koniewiczem mogą bezpiecznie wkroczyć na chory rosyjski rynek. Nie krył, że był to dziki Wschód, groźny i niepewny, lecz na ludzi odważnych czekały tam ogromne fortuny. Trzy miesiące sporządzania obszernych planów biznesowych, przygotowywania ofert, ocen ryzyka, długich nudnych narad i innych nużących bzdur.

Trzy miesiące podlizywania się facetom o największym ego w Nowym Jorku.

A teraz wszystko miało pójść na marne?! Na samą myśl o tym dostawał mdłości. To niemożliwe. Ponad trzysta milionów elektronicznych dolarów czekało na wpompowanie do skarbców Aleksa. Inwestorzy byli zaniepokojeni i nieufni. Ich oddanie w najlepszym razie było połowiczne i niepewne. Jeśli coś pójdzie źle, szeptali chórem do ucha Eugene'a, jeśli zawiedzie choćby najdrobniejszy szczegół, wycofają szmal i nigdy więcej nie zechcą z nim gadać.

– Nie wierzę, że Aleks prosił o przełożenie spotkania! – wykrzyknął do telefonu najbardziej oskarżycielskim tonem, na jaki potrafił się zdobyć. – Kłamie pan! Nie mam pojęcia dlaczego! Aleks dobrze wie, że zrobimy ten interes do siedemnastej lub nie zrobimy go wcale!

Zapanowało dłuższe milczenie. Golicyn zrozumiał, że niezdarnie to rozegrał. Ten nachalny Amerykanin mógł im narobić poważnych problemów. Gdyby zawiadomił budapeszteńską policję o tajemniczym zaginięciu Aleksa Koniewicza, cała operacja mogłaby zakończyć się fiaskiem. Nie wolno zapominać o martwym ochroniarzu na lotnisku. Miejskowa policja już rozpoczęła dochodzenie, o czym zawiadomiły go dobrze poinformowane źródła. Na szczęście Węgrzy byli najbardziej niefrasobliwymi i niespiesznymi ludźmi na ziemi. A trupy się nie poskarżą.

Jeśli jednak Węgrzy się dowiedzą, że Aleks zaginął na lotnisku Ferihegy w tym samym czasie, w którym doszło do popełnienia morderstwa, nawet ci leniwi idioci dodadzą dwa do dwóch i wyciągną odpowiednie wnioski.

Aleks był bogatym i wpływowym człowiekiem. W Rosji uchodził za gwiazdę, słynnego PB – przyjaciela Borysa. Z pewnością Węgrzy nie życzyliby sobie dyplomatycznej awantury i paskudnej reklamy, którą byłoby zniknięcie Koniewicza. Rozpoczęliby oblławę w całym mieście. Policja przeczesałaby lotnisko w poszukiwaniu świadków, którzy coś widzieli. Koniewiczowie stanowili atrakcyjną parę, więc z pewnością zostali zauważeni. Kto wie, do jakich wniosków mogliby dojść gliniarze?

Z ostatniej rozmowy z tym maniakiem, Władimirem, wynikało, że będzie potrzebował kolejnej godziny. Ukrycie zwłok Aleksa i Jeleny tak, by nigdy nie zostały odnalezione, zajmie im jedną lub dwie kolejne. Po prostu znikną, a Golicyn rozpuści po Moskwie plotkę, że Koniewicz zdefraudował pieniądze swojego banku i rozplynął się bez wieści. Błyskotliwy plan, bo sam zamierzał przejąć jego forszę, grube miliony, a martwy Aleks idealnie nadawał się na winowajcę.

Aż tu nagle jego intryga została przejrzana. Przekłęci Amerykanie! Najbardziej chciwi i nachalni ludzie na świecie! Nie, facet z drugiej strony nie zdoła go przechytryć. Stawka była zbyt wysoka, aby w tej fazie operacji popełnił błąd.

– Proszę nie nazywać mnie kłamcą! – odpowiedział Golicyn najgroźniejszym tonem, na który potrafił się zdobyć. – Przekazuję jedynie to, co Aleks mi powiedział. Zadzwoń do niego ponownie, jeśli pan nalega.

Eugene pomyślał, że facet próbuje go wykołować.

– Niech pan się nie trudzi, proszę podać mi jego numer. Sam zadzwonię – zaproponował.

– Powiedział, aby mu nie przeszkadzać – odparł ostro Golicyn. – Powtarzam panu to, co od niego usłyszałem.

– Rozumiem. Może powinienem zawiadomić policję?

– Proszę tego nie robić. Wywoła pan tylko niepotrzebne zamieszanie, wytworzy się kłopotliwa sytuacja. Aleks będzie wściekły.

– W takim razie niech do mnie zadzwoni. Czekam pięć minut i dzwonię na policję. – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, a następnie zamówił kolejne piwo u dorodnej młodej kelnerki o pięknym uśmiechu.

Maria wróciła do ich apartamentu, dając się i pakując manatki. W połowie szóstego piwa Eugene zirytował się i wyładował na niej. Wściekła się i zrobiła awanturę, a następnie opuściła restaurację, grożąc mu rozwodem, przy którym trzy ostatnie będą wyglądały jak niewinne sprzeczki.

\* \* \*

Toporny telefon satelitarny na pasku Władimira zadzwonił w chwili, gdy ten zamierzał oddać panią Koniewicz chłopakom. Osobiście zaplanował każdy krok, który miał doprowadzić do ostatecznej kapitulacji Koniewicza. Był dumny z tego powodu. Zamierzał pozwolić chłopcom bawić się z nią godzinę, zachęcając, aby robili, co im się spodoba, byle tylko głośno wrzeszczała i nie zginęła. Koniewicz miał cierpieć, słuchając jej krzyków, jęków i skowytów, wiedząc, że przyczynił się do tego swoim uporem. Później zamierzał ją przyprowadzić i torturować na jego oczach.

Nie znosił, gdy przeszkadzano mu w pracy, lecz natrętny telefon nie przestawał dzwonić. Podniósł słuchawkę z głośnym przekleństwem, słuchał chwilę, a następnie wyszedł z pomieszczenia. Chciał odbyć tę rozmowę z dala od wścibskich uszu.

– Nie – odpowiedział Siergiejowi Golicynowi. – Jeszcze nie. Już powiedziałem, jesteśmy w kulminacyjnym momencie. Przeszkadziliście nam w postępach.

– Jak długo jeszcze będzie to trwało? – syknął Golicyn.

– Trudno powiedzieć. Był wstrząśnięty, kiedy mu powiedziałem, że chcemy wszystkiego. Sądził, że chodzi jedynie o pieniądze. Przeżył szok.

Szkoda, że nie widzieliście jego oczu, gdy mu powiedziałem, czego chcemy.

Golicyn rzeczywiście bardzo nad tym ubolewał.

– To kwestia godzin czy minut?

Władimir pomyślał chwilę, aby precyzyjnie odpowiedzieć na to delikatne pytanie. Aleks Koniewicz został brutalnie pobity, napiętnowany i poddany niszczącemu psychikę stresowi. Władimir miał rozległe doświadczenie w tej dziedzinie i chlubił się tym, że potrafi stwierdzić, kiedy ofiara się załamie. Koniewicz był twardszy od większości ludzi – przypuszczalnie zbyt twardy, co nie służyło jego własnemu dobru. Jeśli Władimir miał pięć godzin, potrafił złamać każdego, sprawić, aby błagał i skomlał jak pies. Niestety, tym razem pięć godzin nie wchodziło w grę.

Trudno, trzeba będzie pominąć kilka kroków i przyspieszyć. Chłopcy z tyłu magazynu będą musieli poczekać na swoją kolejkę. Ta jego śliczna żoneczka odegra główną rolę w przedstawieniu. Władimir myślał o tym z przyjemnością, lecz do obróbki trzeba było przystąpić natychmiast. Z drugiej strony, jeśli wszystko pójdzie za szybko, Aleks wpadnie we wściekłość i zaprze się. Emocjonalna linia oddzielająca furję od kapitulacji była cienka, a Władimir musiał urobić, sterroryzować i pchnąć Koniewicza we właściwym kierunku. Oczywiście, początkowo będzie rozgniewany. Będzie groził, pienił się z wściekłości i wykrzykiwał przekleństwa. W końcu ból i poniżenie żony spowodują, że pograży się w rozpacz i całkowitej bezradności, ulegając każdemu żądaniu Władimira.

Spektakl musi być długi i przerażający.

W końcu Aleks stanie przed prawdziwym wyborem: pomiędzy tym, co mu zostanie z żony, a tym, co pozostanie z jego majątku i firm.

– Trzy godziny – odpowiedział stanowczym tonem. – Dwie, jeśli szczęście dopisze.

Słyszac to, Golicyn zaczął wrzeszczeć i wyzywać Władimira od niekompetentnych idiotów i kretynów. Władimir odsunął telefon od ucha, pozwalając, aby szef wyładował gniew, obrzucając go inwektywami. Od ponad roku musiał znosić szyderstwa starego generała. Był zmęczony, lecz starał się zignorować tę tyradę. Miał ogromną pokusę, by powiedzieć staruszkowi, aby się odpieprzył. W końcu przyłożył słuchawkę do ucha, uśmiechnął się i rzekł:

- Może chcecie przyjechać i sami to zrobić?
- Nie podoba mi się twoja impertynencja! – wykrzyknął Golicyn.
- Nikomu się nie podoba. – Przerwał, by po chwili powtórzyć z naciśnięciem: – Dwie, może trzy godziny.

- To niemożliwe.
- Dobrze, co jest możliwe?

Władimir słuchał w milczeniu, podczas gdy Golicyn pośpiesznie wyjaśniał mu sytuację.

– Trzeba go zmusić, aby zadzwonił do tego Eugene'a i podał jakąś wymówkę. Ten Amerykanin to niebezpieczny drań. Trzeba się go pozbyć.

– Podajcie numer – powiedział Władimir tonem wyrażającym pewność siebie. – Jeśli Koniewicz piśnie choć jedno niewłaściwe słowo, jego żona zginie. Zdajecie sobie sprawę z ryzyka?

- O co ci chodzi? Gadaj!
- Jeśli będę musiał ją sprzątnąć, stracimy poważny argument.
- Jestem pewny, że sobie bez niej poradzisz.
- Koniewicz myśli teraz wyłącznie o jednym. O własnej niedoli. Jeśli uwolnimy go od tej myśli, choćby na krótką chwilę, niewykluczone, że trzeba będzie zacząć wszystko od początku.
- Masz na myśli, że... trzeba go będzie ponownie bić i torturować?
- Niemal od początku.
- A cóż w tym złego?

\* \* \*

Szybko rozpięli pasy i pomogli mu usiąść na krześle. Katia przyłożyła mu komórkę do ucha, trzymając palec wskazujący nad klawiszem rozłączenia. Otwarcie i brutalnie wyjaśnili mu, co ma robić.

– Zrób coś, aby facet się odczepił, bo... no, wiesz – powiedział Władimir. Aby uzmysłwić mu, co się kryje pod słowami „no, wiesz”, przyłożył wielki nóż do tętnicy szyjnej Jeleny.

Eugene odpowiedział po drugim dzwonku.

– To ja, Aleks – zaczął Koniewicz, próbując nadać swojemu głosowi przepraszający, a nie przerażony ton. – Przepraszam za spóźnienie, Eugene. Wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Wierz mi, nic nie mogłem na to poradzić.



– Popatrz na swój cholerny zegarek, Aleks – odparł wściekły Eugene. – Mam w teczce umowy, które czekają na twój podpis. Jeśli za trzydzieści minut nie sfinalizujemy transakcji, będę skończony.

– Rozumiem, Eugene.

– Czyżby? W takim razie gdzie, u licha, jesteś?

– Nie mogę nic zrobić – odpowiedział Aleks. – Mam związane ręce – wyjaśnił z bolesną dosłownością.

– Jesteś w Budapeszcie?

– Tak.

– W porządku, przyjadę do ciebie.

– Nie, nie uznalbym tego za wskazane, nawet gdyby było to możliwe.

– Lepiej się o to postaraj, Aleks. Jeśli interes nie wypali, będę musiał zapłacić współnikom dziesięć milionów kary. Tylko w ten sposób mogłem ich do tego namówić. Sam wiesz.

– Nic nie poradzę, Eugene. Pomógłbym, gdybym mógł, wierz mi.

– Ostatnia żona odeszła z pięćdziesięcioma milionami, Aleks. Zabrała mi rezydencję i psa. Maria jest na górze, zastanawiając się, ile zdoła mi wyrwać. Jestem w rozpaczliwym położeniu. Nie stać mnie teraz na stratę nawet jednego miliona. Utrata dziesięciu mnie zrukuje.

Zapadła długa cisza, w której obaj rozważali możliwości. Eugene był utalentowanym i błyskotliwym facetem, lecz, jak u wielu innych jego pokroju, zdolnościom biznesowym dorównywała wprost niewiarygodna nieudolność w miłości. Dorobił się trzech byłych żon, a za chwilę mogło dojść do czwartego rozwodu. Przez trzy już przebrnął. Płacił ogromne alimenty na siedmioro potrzebujących dzieci, z czego czwórka studiowała na nieprzyzwoicie drogich prywatnych college'ach, a trójka uczyła się w równie ekskluzywnych szkołach prywatnych. Trzeba też było uwzględnić jego wystawny tryb życia, nie wspominając o Marii, która sądziła, że ubrania najslawniejszych projektantów rosną na drzewach. Eugene wydawał pieniądze szybciej, niż je zarabiał – niemal szybciej, niż je drukowała państwowa mennica. Od tej transakcji zależało jego życie.

Aleks spojrział na Jelene, której Władimir przykładał nóż do szyi. Patrzyła

na niego szeroko otwartymi oczami, śmiertelnie przerażona. Poczuł przejmujące ukłucie winy. To on ją w to wpakował. Odpędził tę myśl, próbując zorientować się w sytuacji. Kiedy nie przyszedł na umówione spotkanie, Eugene musiał zadzwonić do jego biura w Moskwie. Przymuszczałnie rzucił jedną lub dwie groźby i spotkał się z zatroskaną reakcją. A później jakiś człowiek, ktoś z Koniewicz Associates, przekazał tę wiadomość Władimirowi, który przyłożył nóż do gardła jego żony. Nagle zrozumiał, co to oznaczało. Była to robota kogós z wewnątrz. Jeden z jego pracowników był zdrajcą.

Nic dziwnego, że wiedzieli, którym samolotem polecą, że będzie podróżował z Jeleną. Wiedzieli też, jak wyprowadzić w pole jego ochronę.

Po raz pierwszy zrozumiał, że od początku zamierzały zabić jego i Jelenę. Mógł im przepisać swoje firmy i miliony, domy i samochody, nawet ubranie, które miał na grzbiecie. Równie dobrze mógł odmówić i powiedzieć, aby się odczepili, że nie dostaną ani kopiejki.

Nie zrobi to żadnej różnicy. Absolutnie żadnej. On i Jelena i tak byli już martwi.

Wziął długi głęboki oddech.

– W porządku, powiem ci, co robić – powiedział do słuchawki. – Pamiętasz klauzulę specjalną? Jeśli Jelena i ja nie będziemy w restauracji za trzydzieści minut, odwołaj wszystko. My oboje albo...

Katia wyrwała mu słuchawkę odrobinę za późno, kończąc połączenie.

– Co to miało znaczyć? – warknęła, spoglądając na niego morderczym wzrokiem.

Aleks zignorował go, patrząc na Władimira i nóż przytknięty do gardła Jeleny.

– Na Boga... poczekaj! – krzyknął, a następnie wrzasnął do wszystkich, którzy go słyszeli: – Jeśli ją zabijesz, jeśli przelejesz choć kroplę jej krwi, nie dostaniecie niczego. Przysięgam. Ani kopiejki.

Władimir przycisnął ostrze do gardła Jeleny, lecz Katia warknęła:

– Nie! Nie teraz! – Najwyraźniej była inteligentniejsza, a przynajmniej mniej socjopatyczna od niego. Obrzuciła Aleksa twardym spojrzeniem i zapytała: – Co mu powiedziałeś?

– To proste. Eugene jest amerykańskim inwestorem, który ma trzech lub

czterech bardzo zamożnych nowojorskich partnerów. To wspólne przedsięwzięcie. Zgromadzili setki milionów na tę operację. Wykładają kasę, a ja ją inwestuję, biorąc część zysku za fatygę. W zamian muszę dać zabezpieczenie.

Władimir i Katia działali w innej branży, więc nie mieli pojęcia, co to takiego jakieś zabezpieczenie.

– O czym ty gadasz? – prychnął Władimir.

– To znane rozwiązanie stosowane w biznesie. W zamian za zaufanie i za ryzykowanie kapitału daję gwarancję w postaci swoich firm. Wszystko jest wyszczególnione w umowach, które są w teczce Eugene'a. Jako zastaw dałem swoje firmy, wszystko, do ostatniego gwoźdźcia. Jeśli nie zrealizuję umowy, przejmą przedsiębiorstwa.

– Łże – syknął Władimir do Katii.

– Doprawdy? – spytał Aleks, który faktycznie kłamał. Zwrócił się do prawnika, który schował się w cieniu, nerwowo obserwując rozwój wydarzeń. – Słyszałeś kiedyś o umowie bez zabezpieczenia?

Facet zmarszczył brwi i pogładził brodę, udając, że myśli. Ściągnął małą twarz, która przypominała mordę cierpiącego na hemoroidy mopsa. Czuł się całkiem zagubiony. Za czasów Związku Radzieckiego specjalizował się w prawie karnym. Jego wiedza prawnicza była taka, że nie kiwnął palcem ani nie otworzył ust, gdy jego klienci byli piętnowani przez sądy i miażdżeni przez państwo. Ponieważ w ostatnich czasach duże pieniądze można było zarobić na prawie gospodarczym, założył nową firmę, z zapalem próbując uszczknąć trochę kasy.

Człowiek leżący na łóżku wrzucił kamyk do pustej studni. Wymowna cisza zaczęła się przedłużać.

Cóż, może nie mam zielonego pojęcia o umowach handlowych, lecz wiem, jak przeżyć, powiedział sobie prawnik. Jeśli zaprzeczę i powiem, że tamten kłamie, a okaże się, iż nie miałem racji, wszystko będzie stracone – setki milionów dolarów. Naturalnie, powiedzą, że to moja wina. Przez ponad godzinę był w magazynie, słuchając jęków Aleksa i krzyków odbijających się echem od ścian. Nagle przeszedł go dreszcz na myśl, jak mogą go ukarać.

Z kolei, jeśli powie, że Aleks mówi prawdę, niezależnie od tego, co się później stanie – dobrze, złego lub najgorszego – nie będą mogli go winić.

Pewnym głosem przedstawił swoją fachową opinię, jakby wygłaszał sąd salomonowy.

– Nie, nigdy. Zwykle w takich umowach ustanawia się zabezpieczenie.  
– Czy o to chodzi w specjalnej klauzuli, o której mu wspomniałeś? – spytała Katia.

– Tak, za trzydzieści minut wszystko przejdzie na własność Eugene'a i grupy inwestorów z Nowego Jorku.

Prawnik podszedł do łóżka i pochylił się nad Alekssem.

– Musi istnieć jakiś sposób jej obejścia, prawda?  
– Byłbym idiotą, gdyby go nie było.  
– Dobrze. Powiedz jaki – poprosił prawnik, upojony swoim nieoczekiwanym znaczeniem.

– Skontaktujcie mnie z człowiekiem, dla którego pracujecie, a mu powiem.

– Nie ma mowy – odrzekł Władimir, przyciskając nóż do gardła Jeleny.

– W porządku, jak chcecie – odpowiedział Aleks, próbując ukryć przerażenie i wyglądać na pewnego siebie. Miał za sobą setki godzin trudnych i pełnych napięcia negocjacji biznesowych, dramatycznych rokowań, w których szło o wiele milionów dolarów. Ta gra wymagała pozerstwa i blefu, a Aleks był mistrzem w tej dziedzinie. Tym razem jednak przedmiot negocjacji stanowiło ich życie. Przelknął ślinę i powiedział: – Za niecałych trzydzieści minut będzie po wszystkim. To nowojorczycki. Chciwi dranie, co do jednego. Jeśli przejmą mój majątek, będziecie mogli mnie bić i torturować, lecz nigdy go nie dostaniecie.

– Może powinienem pojechać do hotelu i załatwić tego Eugene'a – zasugerował Władimir, mając na myśli swój ulubiony sposób rozwiązywania problemów.

– Jak chcesz, lecz nic to nie zmieni – odparł Aleks. – Jego wspólnicy w Nowym Jorku mają kopię umowy. Właściwie ich to ucieszy. Będzie o jednego mniej do podziału.

Władimir skinął głową. No tak, to miało sens.

– Na dodatek – zwierzył się Aleks, jakby dopiero teraz pomyślał o tym drobnym i nic nieznaczącym szczególe – kiedy podpiszę umowy Eugene'a,

jego trzysta milionów zostanie przekazanych drogą elektroniczną na rachunek mojego banku inwestycyjnego.

- Co? – spytała Katia, przysłuchując się nagle każdemu słowu.
- Słyszeliście. Kiedy podpiszę umowę, Eugene i jego inwestorzy dokonają natychmiastowego transferu kapitału. Trzysta milionów trafi na rachunek mojego banku inwestycyjnego.

Władimir oblizał wargi i spojrzał na Katię. Próbowali udawać, że nadal panują nad sytuacją. Oboje byli jednak wyraźnie zagubieni i rozpaczliwie rozglądali się za jakimś wyjściem. Kiedy Golicyn się o tym dowie, wpadnie w szal. Z drugiej strony, jeśli do niego nie zadzwonią, a firmy i majątek Koniewicza wyślizgną im się z garści – na dodatek zaprzepaszczą możliwość zgarnięcia trzystu milionów w gotówce – cóż, woleli nie myśleć, co z nimi zrobi. Oboje wiedzieli, że czekałby ich powolny i straszny koniec.

Władimir skinął w stronę Katii, odsunął nóż od gardła Jeleny i wyszedł z pomieszczenia. Otworzył telefon satelitarny i wprowadził numer Siergieja Golicyna.

– Czemu dzwonisz? – spytał generał z nutką nadziei w głosie. – Załatwienie? Przepisał majątek?

– Nie, pojawiły się pewne przeszkody – odparł Władimir, krótko opisując problem.

Kiedy skończył, Golicyn spytał:

- Mówi prawdę?
- Skąd mam wiedzieć? Prawnik twierdzi, że to ma sens. Kapitałiści nie ufają jeden drugiemu. Cóż w tym nowego?

Władimir przerwał, pozwalając, aby nowe fakty dotarły do świadomości Siergieja Golicyna. Pomyślał, że dobrze zrobił, przekazując problem w górę. Mieli tylko jedną taką szansę, jedną okazję, aby stać się niewyobrażalnie bogaci. Zaledwie krok dzielił ich od przeprowadzenia największego skoku w historii Rosji. Golicyn drobiazgowo wszystko zaplanował, przewidując wszelkie ewentualności i dające się wyobrazić scenariusze... z wyjątkiem tego.

Golicyn wiedział, co robi Władimir, lecz nie był do końca przekonany, co zamierza Koniewicz. A jeśli to podstęp? Czyżby Aleks trzymał coś w zanzardzu?

Można było jednak zgarnąć dodatkowych trzysta milionów. Trzysta milionów dolarów!

Pomyślał o rozkosznej sumce, przez długą chwilę rozważając możliwości. Wystarczył jeden mały krok, aby łup uległ niemal podwojeniu – co więcej, była to czysta gotówka, którą mógłby wydać na szybkie samochody, duże domy, okazały jacht, a nawet prywatny odrzutowiec. Na wszystko, czego dusza zapagnie.

Zrobiło mu się przyjemnie na myśl o okantowaniu watahy chciwych nowojorczyków. Niemal słyszał ich bolesny skowyt, kiedy dowiadują się, że pieniądze przepadły, zostały ukradzione. Nie potrafił myśleć o niczym więcej.

– Zawieź go do hotelu i dopilnuj, aby podpisał umowę – rzekł w końcu. Pomyślał o dodatkowych trzystu milionach i z wyraźnym entuzjazmem dodał: – Tak będzie lepiej. Znacznie lepiej. Nie pogardzę taką gotówką.

– Rozumiem, nikt z nas nią nie pogardzi.

Siergiejowi Golicynowi nie przypadła ta uwaga do smaku, lecz nic nie powiedział.

– Załatw sprawę jak należy, a zgarniesz dodatkowe dwieście tysięcy. Ilu ludzi macie z Katią?

– Ośmiu, aż nadto.

– To finansowy geniusz – powiedział Golicyn nie wiadomo do siebie czy do Władimira. – Mimo to nie może nam uciec, to kompletny amator.

– Nie martwcie się – odparł Władimir pewnym głosem. – Zatrzymanie go był dziecinnie proste, poza tym ledwie może chodzić.

– Mimo to, jeśli zrobi coś nie tak... choćby najdrobniejszą rzecz... nawet jeśli wyda ci się podejrzany, zabij jego żonę.

\* \* \*

Lekarz wbiegł pospiesznie do pokoju, aby obmyć Aleksa i doprowadzić go do porządku na spotkanie z bogatym nowojorczykiem. Oczywiście, do względnego porządku, bo choć większość ciosów Władimira trafiło w tułów Aleksa, na czole widniała brzydka otwarta rana, miał złamany nos oraz obrzęki i siniaki na twarzy. Medyk założył sześć szwów i zasłonił ranę bandażem. Inne skaleczenia przemył spirytusem i zabandażował.

– Powiesz mu, że miałeś wypadek samochodowy – poinstruowała Aleksa

Katia. Ponownie okazało się, że to ona jest lepszym obserwatorem i na dodatek myśli. – Wypisałeś się ze szpitala i przyjechałeś.

– Rozumiem.

Władimir pochylił się nad nim.

– Będziemy was obserwować w restauracji. Blisko i osobiście. Jeden fałszywy ruch... jeśli dostrzegę w twoich oczach choćby jedno podejrzanego spojrzenie, twoja śliczna żona zginie.

– Czy jeśli wszystko pójdzie dobrze i podpiszę umowę, Jelena i ja będziemy mogli odejść wolno? Dobrze zrozumiałem?

– Tak, taka jest umowa – odparł Władimir, udając szczerłość.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? – spytał Aleks. Nie miał wątpliwości, że tamten kłamie. Wzięliby jego pieniądze, firmy, domy i samochody, a następnie zabili ich oboje.

– A masz wybór?

Lekarz nałożył maziowaty żółty balsam na klatkę piersiową Aleksa. Preparat miał słabe działanie przeciwbólowe. Oparzenie było głębokie i zajmowało niemal całą górną połowę piersi. Na zaognionej skórze utworzyły się bąble. Minie wiele dni, zanim rana się zagoi, a obnażona tkanka zostanie osłonięta. Kiedy włożą mu koszulę, materiał będzie ocierał o ciało, powodując silny ból.

– Wstań – powiedział lekarz. – Zobaczmy, czy możesz chodzić.

Aleks powoli zwałował się z łóżka, wydając przenikliwy jęk bólu, gdy poruszył wybitym barkiem i naciągnęła się skóra wokół rany na piersi. Wolno postawił lewą stopę na podłodze, a po niej, nieco ostrożniej, prawą. Prawą nogę, w którą Władimir grzmotnął drewnianym krzesłem, przeszył potworny ból. Miał wrażenie, jakby do mózgu dotarł prąd o napięciu tysiąca woltów. Z trudem złapał powietrze, czując, że za chwilę zemdleje. Byłby stracił przytomność, gdyby nie jedna myśl, na której się skoncentrował. Jeden kategoryczny imperatyw: nie otrzyma drugiej szansy, nie będzie czasu na powtórkę. Musi wytrzymać, choćby nie wiadomo ile go to kosztowało. Zapanuj nad bólem, nie pozwól, aby okazja wymknęła ci się z rąk, powtarzał bezustannie w duchu.

Władimir sięgnął po bagaż podręczny Aleksa, otworzył go i wyjął świeżą koszulę oraz zapasowy garnitur.

– Ubieraj się! – polecił, rzucając je od niechcenia na łóżko. – Szybko!

Lekarz podał Aleksowi garść tabletek przeciwbólowych i butelkę wody, nakazując, by połknął je wszystkie

– Twoja żona będzie czekać w samochodzie przed wejściem do hotelu. To nasza polisa ubezpieczeniowa. Jeśli dam znak, chłopcy zrobią jej bułgarski krawat. Wiesz, co to takiego?

Aleks potrząsnął przecząco głową. Cokolwiek to oznaczało, nie zabrzmiało zbyt przyjemnie.

– Rozetną jej gardło i wyciągną język przez ranę – wyjaśnił Władimir, nikiemnie chichocząc.

– Popęnilibyście wielki błąd – powiedział Aleks, opanowując gniew i ostrożnie wciągając koszulę na poturbowane ramię. – Nie możecie nas rozdzielić. Jelena musi być ze mną.

– Masz nas za głupców? – spytała Katia.

Tak, nie miał co do tego wątpliwości. Za głupich, prymitywnych i niewyobrażalnie okrutnych ludzi. Wiedział też, że obawiają się wykonać jakikolwiek ruch bez skontaktowania się z szefem, który najwyraźniej siedział w Moskwie. Zamiast powiedzieć, co myśli, odparł:

– Nie, jesteście inteligentni. To oczywiste. Mimo to zapomnieliście o czymś.

– My? – burknął Władimir.

– Zastanów się. Eugene oczekuje, że Jelena przyjdzie ze mną. Jeśli pojawię się w takim stanie... na dodatek bez Jeleny... wyczuje, że coś nie jest w porządku.

– Co z tego?

– Aby umowa była prawnie wiążąca, obie strony muszą być przy zdrowych zmysłach i działać z własnej nieprzymuszonej woli. Ludzie nie stają się bogaci, postępując w nieudolny i głupi sposób. Eugene jest bardzo bogaty. Wie, że umowa mająca wady prawne jest pozbawiona wartości. Jeśli wyczuje, że działam pod przymusem lub że coś nie jest w porządku, wycofa się. – Spojrzał znacząco na dobrego gliniarza, czyli Katię. – A wraz z nim przepadnie trzysta milionów dolarów.

– Powiesz mu, że została ranna i jest w szpitalu – wtrącił prawnik, pragnąc dorzucić swoje trzy grosze.



– Głupi pomysł – odrzekł Aleks, rzucając mu miażdżące spojrzenie. – Miałbym zostawić poważnie ranną Jelenę w szpitalu i przyjechać, aby sfinalizować transakcję?

– Jasne – odpowiedział Władimir, nie łapiąc, o co chodzi. Czemu nie? Jaki mąż nie zostawiłby żony dla pieniędzy? – Nie widzę żadnego problemu.

– Eugene wyczuje, że kłamię. Spyta, czemu nie poprosiłem, aby przyjechał do szpitala. Przecież moglibyśmy podpisać umowy w szpitalu.

Spojrzeni na siebie. W pierwszej chwili nie byli zachwyceni. Po namyśle doszli do wniosku, że niczego to nie zmieni. Może nawet tak będzie lepiej. Mogli przecież stuknąć ją w restauracji, zamiast poderznąć jej gardło w samochodzie czekającym na zewnątrz. Właściwie to upraszczało sprawę. Ponieważ mieli do dyspozycji tylko ośmiu ludzi, łatwiej będzie upilnować tę dwójkę razem niż oddzielnie.

Oprócz tego w towarzystwie ukochanej żony Koniewicz nie zapomni, o jaką stawkę toczy się gra, i nie będzie próbował żadnych sztuczek.

– Musimy zabrać bagaże – dodał Aleks, niezdarnie zawiązując krawat zdrową ręką.

Władimir kopnął blat stołu.

– Nie ma mowy – warknął.

– Zastanów się. Eugene wie, że nie zameldowałem się jeszcze w hotelu. Sądziłem, że chcesz, aby nam się udało. Musimy wyglądać tak, jakbyśmy dopiero co przylecieli.

– Myślisz, że jesteś taki cwany, co? – spytał Władimir, uśmiechając się podle i podnosząc dwa paszporty. – Możesz sobie wziąć te walizki. Mam wasze paszporty i portfele. Nie uciekniecie. Nie wydobędziecie się z Węgier, choćby nie wiem co. A nawet gdyby wam się udało, będę na was polował. Nie otrzymacie drugiej szansy.

– Chcę, aby się udało, tak samo jak ty. Nawet bardziej. Chcę żyć – odpowiedział Aleks. – A trzysta milionów dolarów to kupa forsy – przypomniał, jakby o tym zapomnieli.

– Poradzimy sobie bez niej – odparła Katia, udając obojętny ton. Wypadło załośnie. – Zanim postawisz stopę w restauracji, wyświadczysz nam małą przysługę.

– Czyżby?

– Tak. Podpiszesz list, w którym rezygnujesz z prowadzenia firm i przepiszesz je nowemu właścicielowi.

Pozorna pewność siebie wyparowała w jednej chwili. Był przybity.

– A jeśli odmówię?

– Twoja sprawa – oznajmiła Katia, spoglądając na Władimira. – Policz do pięciu, a później ją zabij – powiedziała, wskazując brodą Jelenę.

– Jeden... dwa...

Zanim doliczył do trzech, prawnik podsunął Aleksowi pod nos plik dokumentów, wskazując, gdzie ma podpisać.

## 6.

Czarny mercedes i dwa wynajęte fordysa fiesta zajechały przed wejście hotelu Aquincum. Z identycznych fordów wysiadło dwóch osiłków i weszło do środka szybkim krokiem. Przeszli duży hol, kierując się wprost do znajdującej się na parterze restauracji Apicius.

Ostentacyjnie minęli uczynnego szefa sali i usiedli przy stoliku obok wyjścia. Wyciągnęli gnaty i położyli je na kolanach pod serwetkami. Następnie wezwali kelnerkę, zamawiając dwa gorące gulasze. Czekali.

Trzy minuty później z mercedesa wysiadła Katia i sprawdziła, czy jest bezpiecznie. Po chwili skinęła na Aleksa i Jelenę. Jelena wysiadła pierwsza, a po niej z grymasem bólu na chodnik wygramolił się Aleks. Zarzucił torby podróżne na zdrowe ramię i czekał. Chwilę później na chodniku stanął Władimir. Rozprostował kości i wsunął pistolet, który trzymał przy głowie Jeleny, za pasek na plecach.

Weszli do środka. Katia pierwsza, Aleks, Jelena za nim, Władimir na końcu. Udali się wprost do luksusowej restauracji na parterze.

Katia nieco ich wyprzedziła. Oschłym głosem oznajmiła szefowi sali, że chce stół dla czterech osób. Na środku. I to szybko. Żaden problem. Węgrzy późno wstają i późno siadają do obiadu. Ludzi było niewielu, głównie zagranicznych gości hotelowych, którzy nie mieli pojęcia o miejscowych zwyczajach.

Katia podeszła za szefem sali do stolika i usiadła. Po chwili weszli Aleks i Jelena. Aleks rozejrzał się wokół i spostrzegł Eugene'a przy stole w prawym

rogu, obok dużej szklanej szyby. Amerykanin obserwował przechodniów, aby czymś się zająć. Aleks ujął Jelenę za rękę i wolno przeszli przez salę. Każdy krok powodował, że jego klatkę piersiową i nogę przeszywał ostry ból. Zwolnił tempo, wlokąc się jak starzec.

Dopiero teraz mogli zamienić ze sobą słowo.

– Zabiją nas, niezależnie od tego, co się stanie – szepnął Jelenie.

– Wiem, to nie twoja wina – odpowiedziała.

Jego wina nie ulegała wątpliwości, nie był to jednak odpowiedni czas ani miejsce, by o tym rozmawiać. W obecnej sytuacji wina, przeznaczenie ani ślepy trafnie miały żadnego znaczenia. Ścisnął ją za rękę i powiedział:

– To nasza jedyna szansa. Musimy ją wykorzystać.

– Masz jakiś plan?

– Myślę. – Próbował uśmiechnąć się zachęcająco. – Jeśli przyjdzie ci coś do głowy, daj mi znać. – Ścisnęła go za rękę, nie odpowiadając ani słowa.

Kiedy Eugene ich spostrzegł, skoczył na równe nogi. Skamieniał na widok siniaków i skaleczeń na twarzy Aleksa oraz jego utykania.

– Dobry Boże, Aleks, co się stało?

– Miałem wypadek samochodowy – odparł Aleks, siląc się na obojętny ton. Postawił bagaże podręczne na podłodze, by uwolnić zdrowe ramię i wymienić słaby uścisk dłoni. Noga bolała go nieznośnie. Lewe ramię zwisało bezwładnie, całkiem bezużyteczne. Żółty balsam, którym posmarowano poparzenie, zaczął prześwitywać przez białą koszulę. Uśmiechnął się z trudem i niezbyt przekonująco powiedział: – Powinieneś zobaczyć tamtego.

Eugene uprzejmie zachichotał.

– Czy dlatego się spóźniłeś? – Głupie pytanie. Nie miał oczu? – Widzę, że była to poważna kraksa. – Nagle poczuł się winny, że nalegał, aby Aleks mimo wszystko przyjechał.

– Musieliśmy złożyć zeznania na policji – wyjaśniła Jelena. – Zajęło nam to prawie godzinę. Taksówkarz przejechał na czerwonym świetle. W zderzeniu brały udział dwa inne wozy. Prawdziwy karambol. Później pojechaliśmy do szpitala.

– Do szpitala? – powtórzył jak echo Eugene, oszołomiony stanem przyjaciela. Jelena wyglądała na zdrową. Pewnie nie odniosła żadnych obrażeń.

Była roztrzęsiona i zrozpaczona, lecz wydawało się to całkiem zrozumiałe, zważywszy na przerażający stan jej męża.

– Nie jest tak źle, jak myślisz – zapewnił go Aleks. – Wszystkie kości są całe. Tylko kilka skaleczeń, paskudnych siniaków i zranionej dumy.

Eugene wbił wzrok w podłogę. Rozumiał przyjaciela i współczuł sobie, wiedząc, co go czeka, jeśli Aleks nie podpisze umów. Rany i siniaki się zagoją, a dziesięć milionów przepadnie z kretesem.

Trzydzieści minut temu Maria zbiegła po schodach z walizką w dłoni, oznajmiając, że zarezerwowała bilet do Nowego Jorku i umówiła się z najbardziej krwiożerczym prawnikiem od rozwodów ze Wschodniego Wybrzeża. Hałaśliwym krzykaczem i rzezimieszkiem z doskonałymi referencjami. Eugene wiedział, że z pewnością poradziły go jej jego poprzednie małżonki, których rozwody ten facet przeprowadził z imponującą skutecznością. Przysłowie głoszące, że ćwiczenie czyni mistrza, okazało się ponuro prawdziwe. Trzecia otrzymała dwukrotnie więcej od drugiej. Eugene wzdrygnął się na myśl, ile może go kosztować czwarta.

Aleks spojrział mu przez ramię i dostrzegł dwóch facetów siedzących przy drzwiach. Zauważył też, że Władimir wślizgnął się do sali i dołączył do Katii, która siedziała na środku. Władimir i Katia zasłaniali mu częściowo osiłeków przy wyjściu.

Nie miało to większego znaczenia. Rozlokowali się bezbłędnie, zamykając jego i Jelenę w potrzasku.

Potrzebował więcej czasu.

– Zadzwon do swoich przyjaciół w Nowym Jorku i powiedz, że potrzebuję dodatkowych trzydziestu minut – powiedział, spoglądając na Eugene'a.

– To niemożliwe, Aleks.

– Zrób coś, aby stało się możliwe. Proszę.

– Dobrze wiesz, o jaką stawkę chodzi! Jeśli nie sfinalizujemy transakcji do siedemnastej, znajdę się w poważnych tarapatkach.

Spojrzeli na siebie, czując napięcie, które zawisło w powietrzu.

– Jestem pewny, że wasza umowa zawiera klauzulę siły wyższej?

– Czy ja wyglądam na głupka?

– Wykorzystaj ją, Eugene. Jestem niewinną ofiarą, nieszczęsnym uczestnikiem wypadku drogowego. To klasyczny przypadek działania siły wyższej – zapewnił przyjaciela.

– Aleks, pracujemy nad tymi umowami od miesiący.

– Wiem.

– Przetaksowałem je do twojego biura tydzień temu.

– Jestem ci za to niewymownie wdzięczny.

– Miałeś siedem dni. To dość czasu, aby je przestudiować.

– Wolno czytam.

– Do cholery, Aleks...

– Posłuchaj, Eugene. Pozwól, że będę z tobą szczery. Kiedyś podpisałem umowę, którą przejrzałem z prawnikami zaledwie dzień wcześniej. W międzyczasie, bez powiadomienia, druga strona dodała kilka klauzul, bardzo drogich klauzul. Miałem do tych ludzi zaufanie, Eugene. Podpisałem umowę, nie zauważywszy zmian. To drobne niedopatrzenie kosztowało mnie dwa miliony dolarów.

– Żartujesz.

Nie, nie żartowałem. Kłamałem. Z żalem wrzuciłem ramionami i kłamałem dalej.

– Przysięgam sobie, że nigdy więcej nie podpiszę umowy, jeśli nie przeczytam jej na miejscu. Sięgnij po słuchawkę i zdobądź mi trochę czasu.

– Nie poznajesz mnie? To ja, Eugene Daniels!

Aleks pochylił się i spojrzał na niego uważnie.

– Tak, nie mam żadnych wątpliwości.

– Ile transakcji zawarliśmy? Pięć? Sześć?

– Cztery.

– W porządku, cztery. Czy choć raz cię oszukałem? Zapewniam cię, że nie dodaliśmy ani nie usunęliśmy ani jednego słowa z tych cholernych umów, które ci przesałem. – Spojrzał na Aleksa całkiem zdezorientowany. – To identyczna umowa, Aleks. Nie zmienił się nawet jeden przecinek. Nie ufasz mi?

– Ufam.

– Dobrze, w takim razie załatwione. Kolejna przerwa.

– A ty mi ufasz, Eugene?

– Przecież przyjechałem, nie?

– Dobrze, w takim razie zapomnijmy o umowach. Po co tracić czas? Przyjaciele nie potrzebują umów, prawda? Przypieczętujemy przekazanie kilkuset milionów uściskiem dłoni.

Eugene spuścił głowę, wyraźnie zrezygnowany.

– Dobrze już, dobrze. Spróbuję – powiedział, marszcząc czoło. – Tamci to skończeni dranie.

– Teraz dybią na dziesięć najłatwiejszych milionów, jakie w życiu zarobiłi. Twoich milionów, Eugene.

– Jeśli powołam się na siłę wyższą, nie dostanę ani centa, prawda? – spytał Eugene, nie mogąc się powstrzymać. Ponury grymas zaczął słabnąć. – Nic, ani centa – rzekł, odpowiadając na własne pytanie, i nagle się rozpromienił. Ileż się musiał naharować i naprosić, by doprowadzić do zawarcia tej umowy. Spełnił niezliczone egoistyczne wymagania, wysłuchał wielu hałaśliwych kłótni o najdrobniejsze szczegóły i znosił przykre nowojorskie maniery, aby na koniec dać swoich dziesięć milionów jako zabezpieczenie? Nagle pomyślał, jak wspaniale będzie wyciągnąć im dywan spod nóg. Ależ ubaw!

– Właśnie – odparł Aleks, czytając w jego myślach. – Jedynymi ludźmi, którzy odejdą od stołu bogatsi i bardziej szczęśliwi, będą prawnicy i księgowi, którzy przygotowali ten kontrakt.

Eugene nie był pijany, lecz nawdychał się tyłu ciężkich oparów niemieckich pomyj, że dobrych kilka godzin temu stracił zdolność trzeźwego myślenia. Aleks jednak miał rację. Każde jego słowo miało sens.

Jeśli po tym wszystkim, co kazali mu znosić przez ostatnie miesiące, rekiny z Nowego Jorku nie zechcą dać mu dodatkowych trzydziestu minut, pośle ich do diabła. Dajcie wielkiego susa i pocałujcie się w dupę, zanim grzmotniecie o podłogę.

– Proszę, zadzwoń do nich. – Ton Aleksa stał się nagle przepraszący. Obejrzał się szybko przez ramię. Władimir i Katia śledzili każdy jego ruch. Kiedy zobaczyli, że Eugene wyjmuje komórkę i wykręca numer, zaczęło się robić nerwowo. Aleks położył dłoń na ramieniu Jeleny i uśmiechnął się uprzejmie do Eugene'a.

– Wybaczcie, w całym tym zamieszaniu nie miałem okazji skorzystać z toalety.

Nie czekając na odpowiedź, wstał i zostawił Jelenę z Eugene'em, który wprowadzał grubymi paluchami numer telefonu.

Podszedł do stołu, przy którym siedzieli Katia i Władimir. Byli wściekli, miotali w jego stronę groźne spojrzenia. Lepiej niczego nie próbuj. Mogliby nałożyć kostium klauna i popijać różową margaritę przez słomkę w paski, a mimo to biła od nich groźba. Aleks spojrzął na Władimira i skinął palcem.

Katia była mądrzejsza, wolał z nią nie zadzierać. Władimir myślał pięściami, więc łatwiej go było wyprowadzić w pole. Nie łatwo, lecz łatwiej.

Władimir patrzył, jak otyły amerykański biznesmen wyjmuje komórkę i zaczyna wprowadzać numer. Nagle, ku swojemu zaskoczeniu, zauważył, że Aleks wstaje! Idzie w jego stronę! Odwrócił się do Katii. Wzruszyła obojętnie ramionami. Życie bogaczowi niemiłe? Co on sobie myśli? Władimir odepchnął krzesło, wstał, położył dłoń na pistolecie za paskiem i ruszył śladem Aleksa.

Para zbirów przy wejściu zaczęła podnosić leżące na kolanach pistolety, gdy ujrzeni, że Władimir idzie za Alekssem. Postanowili siedzieć spokojnie i czekać.

Aleks skinął im przyjaźnie głową i przeszedł obok. Zatrzymał się obok kolumny w rozległym holu, czekając na Władimira. Także tu było niewielu gości. Aleks bez trudu rozpoznał tamtych – groźnie wyglądającą parę siedzącą w fotelach obok wejścia. Palili papierosy i przyglądali się każdemu, kto wchodził. Za szklaną szybą dostrzegł dwóch innych stojących pod fantazyjną latarnią – kolejnych facetów w czarnych dżinsach i czarnych skórzanych kurtkach.

– Co, do diabła, wyprawiasz? – syknął Władimir, kiedy zbliżył się do niego.

– A co miałem robić? Facet musiał zadzwonić do Nowego Jorku. Nie miałem wyboru. Nie chciałem, abys wyciągnął niewłaściwe wnioski. – Władimir otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz Aleks mu przerwał: – Jego wspólnicy zażądali dodatkowych trzydziestu minut. Chcą dodać kilka warunków. Nic niezwykłego. Może powinienem był was ostrzec. Nerwowi inwestorzy w ostatniej chwili wynajdują problemy, stawiają żądania i warunki. Dzwoni, aby ich uspokoić.



Władimir przyjrzał się mu uważnie. Aleks był zdenerwowany. Ręce mu dygotały, a kolana drżały tak mocno, że niemal o siebie uderzały. Też mi gruba ryba! Taki szmal. Takie interesy. Jeden z najbogatszych ludzi w Rosji! A teraz stoi przed nim i nerwy mu puszcza. W każdej chwili gotowy pęknąć. Cóż za rozczarowanie. Władimir postanowił wstrząsnąć nim jeszcze raz.

- Jeśli zadzwoni na policję, wyda na ciebie wyrok śmierci – zagroził.
- Dlatego o tym powiedziałem. Wiedziałem, co sobie pomyślisz.
- Naprawdę? Mądry z ciebie gość, Koniewicz. Nie myśl, że uda ci się nas przechytrzyć. Miejscowa policja natychmiast da nam znak, jeśli ogłoszą alarm z twojego powodu – ostrzegł. – Nie ukryjesz się przed nami. Wszędzie cię dopadniemy.

Nie blefował. Po kilkudziesięciu latach pracy w KGB Siergiej Golicyn stworzył siatkę kontaktów i informatorów w całej Europie. Teraz wszyscy próbowali rozpocząć nowe życie w nowym świecie. Pragnęli, aby ich brudna przeszłość została wymazana, głęboko ukryta lub zapomniana. Golicyn, drobiazgowy biurokrata o instynkcie zabójcy, przechowywał wszystkie obciążające dowody. Kilka godzin po otrzymaniu informacji, że zostanie wysłany na „zasłużoną emeryturę”, przed jego gmach zajechały trzy duże ciężarówki. W pośpiechu załadowano do nich teczki, w których znajdowała się wiedza gromadzona przez czterdzieści lat. Pudło po pudle. Nazwisko po nazwisku. Było ich tyle, że wystarczyłoby do zapełnienia książek telefonicznych kilku dużych miast. Przewieźli je do tajnego magazynu na przedmieściach Moskwy. Było w nich dość brudu i kompromitujących materiałów, aby zmusić do współpracy i zaszantażować wiele tysięcy ludzi.

Wśród nich znajdował się wiceminister spraw wewnętrznych Węgier oraz dwaj kapitanowie i trzech starsi inspektorzy budapeszteńskiej policji. Wszyscy otrzymali wyraźne polecenie zawiadomienia Golicyna w razie zniknięcia lub śmierci Aleksa Koniewicza lub zainteresowania się policji jego osobą.

Władimir wycelował groźnie palec w czoło Aleksa.

- To nie twoja liga, chłopcze. Jeśli chcesz się wykaraskać z problemów, przepisz na nas pieniądze.

- Wiem. Chcę tylko przeżyć... zająć się własnym życiem.

Wyraz twarzy i spojrzenie Aleksa wskazywały, że nie kłamie. Władimir na wszelki wypadek postanowił odświeżyć mu pamięć.

– Twoja piękna żonka umrze pierwsza. Pamiętaj. Będziesz patrzył, jak krew tryska jej z głowy, słuchał, jak żałośnie jęczy. Wtedy zrozumiesz, że to twoja wina. Później zabiję ciebie.

– Lepiej już wróć do stołu – powiedział Aleks, jakby sparaliżował go strach.

– Masz dwadzieścia pięć minut na zakończenie sprawy. Ani sekundy więcej. – Wskazał zegarek Aleksa. – Za dwadzieścia pięć minut i jedną sekundę spiszę forszę na straty i zacznę strzelać. A teraz zaczerpnij kilka głębokich oddechów, idź i przynieś nasze pieniądze.

\* \* \*

– Udało się – oznajmił Eugene, triumfalnie uderzając dłonią w stół na widok Aleksa. Nowojorscy prawnicy – konsorcjum zabójców, którzy zwęszyli dziesięć łatwych milionów dla swych klientów – szczekali i warczeli, obrzucając go groźbami, dopóki Eugene nie wspomniął o klauzuli siły wyższej. Wtedy przekleństwa i groźby ustały. Zapadło milczenie. Tak ich zamurowało, że nie mogli wydusić z siebie ani słowa. Zgodzili się dać Aleksowi tyle czasu, ile potrzebuje. Nagle zapałali współczuciem, zaczęli wypytywać o jego zdrowie. Zgodnie przyznali, że to strasznie niefortunny wypadek. Nie mogli być bardziej szczerzy.

Eugene radośnie zatrzasnął komórkę i położył ją na stole.

– Dali nam dodatkowych trzydzieści minut na sfinalizowanie sprawy.

– Moglibyśmy najpierw zamówić coś do jedzenia? – spytał Aleks, siadając delikatnie na krześle. – Nie jedliśmy cały dzień. Umieramy z głodu.

– Ależ oczywiście! – odparł Eugene, czując wyrzuty sumienia, że przyjaciel musi cierpieć z jego powodu.

– Na co masz ochotę, kochanie? – spytał Aleks, zwracając się do Jeleny.

Spojrzała pobieżnie na kartę dań i zamówiła sałatkę oraz danie z pikantną niemiecką kielbasą. Aleks poprosił o letni rosół i ciepłą colę. Umierał z głodu, lecz wargi miał tak pokaleczone i wyschnięte, że stały pokarm nie wchodził w

grę. Przynajmniej trzy zęby były pęknięte lub złamane. Odslonięte nerwy powodowały, że nie mógł przełknąć niczego zimnego ani gorącego.

Eugene gromkim głosem zamówił kolejne ciemne piwo, aby uczcić zawarcie umowy.

– Mógłbyś zajrzeć do papierów? – Już raz kusilem los z twojego powodu, do roboty, kolego.

Aleks zaczął przeglądać gruby plik kartek, próbując udawać skupionego. Głowę przeszywało mu pulsujące klucie. Ciało zwijało się z bólu. Potrzebował całej siły woli, aby skoncentrować się na jednej najważniejszej myśli: Jak wybrnąć z tego cało? Jak wyprowadzić w pole bandę zawodowych zabójców siedzących zaledwie piętnaście metrów od niego? Zaciskających palce na rękojeściach pistoletów, gotowych w każdej chwili otworzyć ogień.

Udało mu się przynajmniej kupić dwadzieścia cztery minuty względnego spokoju, aby przeanalizować położenie – dwadzieścia cztery minuty, w których nikt nie będzie okładał go pięściami, wypalał mu piętna na ciele lub szeptał do ucha nikczemnych gróźb.

Pod jego nieobecność Eugene i Jelena ucieli sobie małą pogawędkę. Czy Budapeszt jej się podoba? Ma śliczną starówkę, prawda? Tak, naprawdę uroczą, odpowiedziała ze sztucznym uśmiechem, zdecydowanie kiwając głową. Po tym, co spotkało Aleksa, będzie przeklinać to miasto do końca życia. Czy lubi podróżować z Alekssem? Cóż, zawsze traktowała to jak przygodę, odparła, w ostatniej chwili gryząc się w język. Jak się żyje w Moskwie w ostatnich czasach i tak dalej.

Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była banalna rozmowa, lecz wiedziała, że musi dać Aleksowi czas do namysłu, więc kontynuowała ją ze sztucznym uśmiechem. Eugene wydawał się sympatycznym facetem, jeśli nie liczyć kilku uciążliwych nowojorskich przymiotów. Czy nie mogliby po prostu siedzieć i w milczeniu cieszyć się swoim towarzystwem? On mógłby sączyć z przyjemnością swoje piwo, a ona rozmyślałaby o koszmarnej sytuacji, w której się znalazła. Czowała, że serce jej wali. Musiała mocno zacisnąć dłonie, aby nie drżały.

Chociaż siedziała odwrócona plecami do Władimira i Katu, zdawała sobie sprawę, niemal wyczuwała ich złowrogą obecność.

Przyniesiono jedzenie. Między kolejnymi ostrożnymi łykami zupy Aleks udawał, że studiuje dokumenty, od czasu do czasu robiąc notatki, zaznaczając uwagi to tu, to tam, podczas gdy w rzeczywistości wysilał umysł, szukając sposobu ucieczki.

Może zanadto komplikuje sprawę? Może jego pomysł był kiepski? Może powinni po prostu wstać i wyjść? Zagrać gangsterom na nosie i uciec? Może jego blef był zbyt skomplikowany? Jednak im dłużej się zastanawiał, tym bardziej kuszący mu się wydawał. Czy porywacze mogliby otworzyć ogień tutaj, w wielkiej restauracji najświetniejszego z luksusowych węgierskich hoteli?

Zgoda, w Moskwie takie rzeczy zdarzały się nagminnie. Tam bez chwili wahania wysadziliby wszystko w powietrze. Jednak w Budapeszcie, sławnej stolicy obcego państwa, na terenie spokojnego, pięknie odrestaurowanego starożytnego miasta znanego z wyrafinowania i egzotycznego uroku, obowiązywały inne reguły gry.

Spojrzał przez ramię na dwóch tępych osiłków przy wyjściu, otoczonych gęstym obłokiem papierosowego dymu unoszącego się nad stolikiem. Później jego wzrok zetknął się przelotnie ze wzrokiem Władimira. Zrozumiał, że miał głupie wątpliwości. Załatwiliby Jelenę, jego, może nawet Eugene'a, kelnerów i kelnerki oraz innych gości. Dla pewności sprzątnęliby portiera i uciekli z uśmiechem na twarzy.

Urządziliby masakrę, krwawą łaźnię, a on, Aleks, by za to odpowiadał.

Już przepisał wszystkie firmy i cały majątek. Zrobił to pod przymusem. Gdyby przeżył, dokument nie miałby żadnej wartości. Po powrocie do Moskwy zatrudniłby najlepszych prawników, i wszystko unieważnił, a później użył swojej ogromnej fortuny, aby wytropić po kolei każdego z nich.

Oczywiście, wiedzieli o tym. Wiedzieli również, że istnieje tylko jeden sposób, aby do tego nie dopuścić.

Nawet gdyby trzeba było urządzać masakrę, wywołać potworną awanturę w miłym, spokojnym mieście, przekonałoby to jedynie kolejnego milionera, którego wezmą na cel, że nie rzucają słów na wiatr.

## 7.

Kiedy do końca ultimatum Władimira pozostało zaledwie osiem minut – a Eugene oznajmił z podejrzeniem hałaśliwym bełkotem, że pije dopiero trzecie piwo – Aleks wpadł na pomysł, który miał szansę powodzenia. Przeanalizował go pod wieloma kątami, odrzucając przynajmniej tuzin innych rozwiązań, od niebezpiecznie skomplikowanych po śmiesznie proste. Od skoczenia na nogi i zawołania „pali się!” po rzucenie się na podłogę i udawanie, że dostał rozległego zawału.

Inteligencja nie była silną stroną porywaczy, lecz to, co wydawało się jego przewagą, jak na ironię przypominało obosieczny miecz. Nie można było liczyć na to, że socjopata Władimir będzie zdolny do trzeźwego, racjonalnego myślenia w stresie. Lepiej, aby to, co wymyśli, nie spowodowało, że pochopnie chwyci za broń.

Podniósł głowę znad umowy i spytał rzeczowo Eugene'a:

- Jak przyjechałeś z lotniska do hotelu?
- Samochodem, czemu pytasz?
- Jak? Zamówiłeś taksówkę? Wynająłeś limuzynę z szoferem?
- Prowadziłem sam.
- Wynająłeś wóz?
- Tak, starego zardzewiałego pomarańczowego trabanta – odpowiedział, mając na myśli pojazd produkowany masowo w NRD za czasów dawnego reżimu. Samochody te były znane ze złej jakości, zawodności i niewygody. Ot, taki samochodowy odpowiednik zużytej maszynki do golenia, co i tak można by uznać za komplement. Nie chcieli ich przyjmować nawet w składnicach

złomu. Eugene przechylił się do tyłu i zachichotał, ubawiony własnym dowcipem.

– Co w tym zabawnego? – spytała Jelena. – Nie mieli lepszych samochodów?

– Racja. W tym mieście roi się od lśniących mercedesów i szybkich bmw.

– Czemu w takim razie...

– Ponieważ Maria jest typową, zepsutą Amerykanką niemającą zielonego pojęcia, jak się tu żyło za komuny. – Podróż trwała czterdzieści pięć minut. Maria cały czas jęczała i narzekała. Przyzwyczała się do jego forsy i wygod, które można za nią kupić. Jeśli zachowała jakieś wspomnienia z dawnego, skromnego życia sekretarki, usilnie starała się do nich nie wracać. Była przerażona, gdy nagle ponownie zagroziło jej ubóstwo. W przeciwieństwie do niej Eugene rozkoszował się każdą chwilą. Żałował jedynie, że nie kupił magnetofonu, aby móc słuchać do woli jej zawodzenia.

– Oryginalny pomysł – rzekła Jelena, nie wiedząc, co sądzić o małżeńskich umiejętnościach Eugene'a lub jego zdrowiu psychicznym.

– Zostawiłeś samochód na hotelowym parkingu? – zapytał Aleks.

– Boczny, czemu pytasz?

– Chciałbym go wypożyczyć – powiedział, ze zbolałym grymasem pocierając bandaż nad okiem. – Jelena i ja mamy dość jeżdżenia taksówkami. Kiedy skończymy, trzeba będzie wrócić do szpitalnej apteki po środki przeciwbólowe i świeże bandaż.

– Jasne.

– Słuchaj – ciągnął Aleks, zastępując zbolały grymas przeproszającym uśmiechem. – Gdzieś mi się zawieruszył portfel. Sanitariusze rozebrali mnie w szpitalu, aby opatrzyć rany. Musiał mi wypaść z kieszeni. Mógłbym pożyczyć od ciebie trochę forsy?

– Ile?

– Trzeba będzie zapłacić rachunki za leczenie. Ile masz?

– Dwa tysiące w gotówce, kolejny tysiąc w czekach podróżnych. Wszystko dolary. Wymieniłem dwieście na węgierskie forinty, lecz Maria je zabrała.

– Mogą być dolary. Dwa tysiące powinny wystarczyć.

Eugene sięgnął do kieszeni. Po chwili wyciągnął klucze, a następnie gruby zwitek studolarowych banknotów. Przysunął je Aleksowi po stole.

– Co do samochodu, tylko silny podmuch wiatru może spowodować, że rozwiniesz ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nie ma amortyzatorów, z siedzeń wystają sprężyny, a wycieraczki klekoczą. – Uśmiechnął się przełomie. – Poza tym to wspaniały wóz.

– Przed upadkiem muru trzeba było zapisywać się na listy, całymi latami czekać na przywilej kupienia trabanta – zauważył Aleks, ironicznie wzruszając ramionami. – Niektórzy ludzie byli tak sprytni, że zapisywali się co roku.

– Co roku? – zdumiał się Eugene.

– Jeśli dbałeś o wóz i jeździłeś jak najmniej, tyle wytrzymawał.

Podnieśli szklanki, wznosząc milcząco toast za nowy wspaniały świat.

Aleks skinął na kelnerkę, tę samą piękność, którą Eugene podziwiał całe popołudnie. Kiedy podeszła, wychrypiał coś niskim głosem, tak że musiała się nad nim pochylić. Mówił trzydzieści sekund, a następnie wsunął jej do ręki banknot studolarowy – tyle, ile zarobiła przez dwa tygodnie z pensji i napiwków. Entuzjastycznie skinęła głową i odeszła rozpromieniona.

Spojrzał na zegarek. Za pięć minut ci z Nowego Jorku zadzwonią do Eugene'a. Za sześć Władimir i Katia zaczną strzelać. Miał ochotę się odwrócić i spojrzeć na nich, lecz zamiast tego sięgnął po kolejne strony, udając, że czyta.

\* \* \*

– Co on wyprawia? – spytał Golicyn przez telefon satelitarny.

Na jego biurku leżały faks z listem Aleksa i umowa, w której przepisał im cały majątek. Niecały metr od niego. Tak blisko, że mógł sięgnąć ręką i przesunąć po nich pieszczotliwie palcami.

Przeczytał dokumenty sześć razy. Nie sposób było się od nich oderwać.

Jutro nocny kurier z Budapesztu dostarczy mu oryginały w walizce przykutej do nadgarstka. Wystarczy, że wpisze nazwisko, wyznaczając siebie na dziedzica imperium Aleksa i *voilà* – on, Siergiej Golicyn, przejmie trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów. Albo jeszcze więcej.

Lata intryg i podchodów, mozolnego składania elementów układanki, już wkrótce się opłaca. Wystarczy kilka kropli atramentu, a stanie się jednym z najbogatszych ludzi w Rosji. Jeśli dodać do tego kolejnych trzysta milionów z Nowego Jorku... cóż, może nawet najbogatszym. W nowej Rosji forsa czyniła

królem, a on, Golicyn, będzie siedział na górze szmalu.

– Nadal czyta umowę – odpowiedział Władimir, wyraźnie poirytowany tonem szefa. Miał po dziurki w nosie ustawicznego sprawdzania. – Jego żona i bankier rozmawiają.

- O czym?
- Skąd mam wiedzieć? Kogo to obchodzi?
- Nie słyszysz, o czym mówią?
- Nie.

Po krótkiej przerwie wyrażającej poważne zatroskanie, Golicyn spytał cicho:

- Dlaczego?
- Bo siedzimy na środku sali – odrzekł cierpko Władimir. – Aby unieвозмоżliwić im ucieczkę.
- Może bankier i żona Koniewicza obmyślają ucieczkę.
- Możliwe, i co z tego?
- Powiem ci, idioto. Razem z nimi znikną setki milionów dolarów.
- Dwóch naszych pilnuje drzwi restauracji, a dwóch innych stoi przed hotelem. Musieliby sforsować trzy linie. Mam paszporty Koniewiczów i ich portfele, na dodatek facet ledwie chodzi. Nigdzie nie ucieknie, daję głowę.

Milczenie.

Władimir przewrócił oczami.

- Choćby nie wiem jak próbował, jest już trupem.

Golicyn nie odpowiedział, wyrażając milczeniem swoją dezaprobatę.

- Dałem mu dwadzieścia pięć minut na podpisanie umowy – poinformował generała po dłuższej chwili Władimir. – Kiedy czas dobiegnie końca, otworzymy ogień. Minęły dwadzieścia dwie. Myślę, że zdołam go upilnować przez trzy kolejne.

- Mimo to nie jestem zadowolony.

Władimir wyobraził sobie pogardliwy grymas na twarzy Siergieja Golicyna, choć to on, Władimir, wziął na siebie ryzyko i wykonał całą brudną robotę. Zaplanował i nadzorował zabójstwa dyrektorów Aleksa, czuwał nad porwaniami i torturami, zdobył bezcenne podpisy. Wszystko to było jego dziełem, nie popełnił najmniejszego błędu. Rozpierała go duma. To dzięki niemu Golicyn



stanie się bogatym, bardzo bogaty człowiekiem. Czy choćby półgębkiem mu podziękował? Dobra robota, Władimirze? Świetnie się spisaliście?

Jeszcze bardziej irytowało go, że ten przykuty do biurka staruch odgaduje jego ruchy i go beszta. Golicyn od dawna nie wykonywał operacyjnej roboty, a wtykał wszędzie swój nos.

Mimo to obiecał mu premię w wysokości stu tysięcy dolarów, amerykańskich, jakżeby inaczej, płatnych po wykonaniu roboty, i trzysta tysięcy dodatkowo, jeśli uda się zgnać szmal nowojorczyków. Po roku skradania się w cieniu, obserwowania i mordowania pieniądze były tak blisko, że niemal czuł ich zapach. Nie dostarczy Golicynowi pretekstu, aby mu je wyrwać. Co prawda, miał po dziurki w nosie ciągłych kazań, besztania i zniewag, lecz za kilka godzin będzie po wszystkim. Jeszcze godzinka, dwie i będzie miał swoją forszę, a wówczas powie staremu, co o nim sądzi.

Opanował pokusę wykrzyczenia: „Zaniknij się i pilnuj swego nosa”, potulnie odpowiadając:

- Nie martwcie się. Zostały niecałe trzy minuty. Siedzimy w odległości kilku metrów od nich, obserwujemy każdy ruch.
- Jesteś zadufanym w sobie idiotą. Nie spieprz roboty.

\* \* \*

Gdy do terminu ultimatum pozostały niecałe dwie minuty, w restauracji zgasły światła. Cała sala pogrążyła się w ciemności.

Niemal równocześnie otworzyły się drzwi kuchni i na salę wkroczył korowód kelnerów i kelnerek, jeden po drugim, w sumie dziesięciu. Śliczna kelnerka z imponującym biustem stąpała dumnie, niosąc urodzinowy tort czekoladowy, na którym płonęło dziesięć świeczek. Kelnerzy zaintonowali *Happy Birthday* z ciężkim węgierskim akcentem, zmierzając szybkim krokiem do stolika pośrodku sali. Stanęli pomiędzy Władimirem i Katią a stolikiem przy oknie, gdzie siedzieli Aleks i Jelena z Eugene'em.

Kelnerzy się zatrzymali i przestępując z nogi na nogę, odśpiewali piosenkę wziętą żywcem z sieci amerykańskich restauracji. Aleks zerwał się, chwycił wolne krzesło i z całej siły rzucił w wielką szklaną szybę znajdującą się trzy metry od nich. Wielokrotnie przecwicył to myślach. Powtarzał sobie, że musi

zapomnieć o bólu barku i strasznym pieczeniu piersi. Mimo ogromnego cierpienia, użył wszystkich sił, aby wykorzystać jedyną szansę. Wiedział, że nie otrzyma kolejnej.

W chwili gdy cisnął krzesło, zamknął oczy, wstrzymał oddech i zaczął się modlić.

Krzesło zatoczyło łuk w powietrzu, a po chwili ogromna szyba runęła z głośnym, miłym brzękiem, rozlatując się na tysiące kawałeczków.

\* \* \*

Władimir nadal trzymał telefon satelitarny, boleśnie przeżywając rozmowę.

Katia podsłuchiwała. Oparła łokcie na stole i przekrzywiła głowę, aby słyszeć każde słowo.

Gardziła Władimirem i z przyjemnością słuchała, jak stary go straszy i upokarza. Nie pałała jednak miłością do Golicyna – egoistycznego, apodyktycznego, burkliwego starego tyrana, który budził w niej głęboką odrazę. Mimo to dla niego pracowała. Brała forszę bez narzekania i wykonywała każdą brudną robotę, którą jej zlecił. Bo i czemu nie? Pieniądze były niezłe. Właściwie ledwie zadowalające, lecz nie zamierzała narzekać. Dostawała dwa tysiące miesięcznej pensji, podczas gdy tysiące innych weteranów KGB wałęsało się bezczynnie po ulicach, myjąc szyby samochodów stojących w korkach i zebrząc o kilka kopiejek.

Oprócz tego Golicyn był przebiegły, skorumpowany, ambitny i niezwykle bezwzględny. Była gotowa się założyć, że w bezkompromisowej Nowej Rosji ekscentryczny staruszek z takim życiorysem szybko zajdzie na sam szczyt. Tłumaczyła sobie, że mogła gorzej trafić. Oprócz tego miała niewielki wybór, w dodatku niezbyt obiecujący. Przed upadkiem muru dwadzieścia lat wykonywała brudną robotę dla KGB. Niestety, posiadane umiejętności nie kwalifikowały jej do innej pracy.

W wieku dwudziestu sześciu lat miała na swoim koncie trzydzieści zabójstw na pięciu kontynentach. Zawsze czysta robota, stuprocentowo profesjonalna. Teraz skończyła trzydzieści jeden.

Jej niegdyś lśniące włosy były tyle razy tlenione, rozjaśniane i farbowane na różne kolory, że zwisały matowymi pasmami. Cera przypominała skórę werbla,

która potrzebuje natychmiastowego naciągnięcia. Długie lata pracy w gorącym afrykańskim i afgańskim słońcu sprawiły, że przedwcześnie się postarzała. Nadal miała atrakcyjną twarz, niemal piękną, lecz chłodne, obojętne spojrzenie odstraszało mężczyzn. I tak czuła większy pociąg do kobiet niż do facetów.

Właściwie seks nieszczególnie ją interesował, a życie uczuciowe jeszcze mniej.

Niestety, bijący od niej chłód nakręcał Władimira, który w ciągu minionego roku kilka razy ją nagabywał. Podobnie jak wielu mężczyzn o kuloodpornym ego nie owijał niczego w bawełnę. Bez ceregieli opisał, co chciałby z nią zrobić, wygłaszając długi, pełen przechwałek monolog. Choć większość obiecańk wydawała się fizycznie niemożliwa do zrealizowania, i tak była mocno odpychająca.

Katia kazała mu spadać, sugerując, by sam się sobą zajął.

Pewnej ciemnej nocy, kiedy obserwowali obiekt z zaparkowanej furgonetki, Władimir zrezygnował z subtelnosci. Uderzył ją dwukrotnie w głowę, zaczął dusić i próbował zgwałcić.

Trudno powiedzieć, aby ta gra wstępna szczególnie ją zaskoczyła. Walka, która się wywiązała, była krótka. Nie ustąpiła ani odrobinę. Jaja bolały go przez wiele tygodni.

Nie chowała urazy. Wszyscy wiedzieli, że Władimir to zwierzę. To zrozumiałe, że jego popęd był silniejszy od popędu większości mężczyzn. Nienawidziła go tylko trochę bardziej niż poprzednio.

Właśnie dlatego, gdy Golicyn beształ Władimira przez telefon, uśmiechała się i chłonęła łąpczywie każde słowo. Dalej, dziadygo! Nie zapomnij o mojej ulubionej części. Nazwij go idiotą.

Właśnie w tym momencie zgasły światła. Oboje byli pogrążeni we własnych myślach, dlatego zaskoczyło ich, gdy sala, która jeszcze przed chwilą była oświetlona jaskrawym światłem, gwarna, nagle pogrążyła się w ciemności, a przed ich stolikiem stanął korowód kelnerów i kelnerek. Cała wataha ludzi w białych uniformach, przestępujących z nogi na nogę i ile sił w płucach ryczących jakąś głupią piosenkę.

Po dłuższej chwili wahania chwycili pistolety i skoczyli na równe nogi. Niestety było już za późno.

Usłyszeli dźwięk pękającej szyby i wyciągnęli szyje, próbując zobaczyć, co się dzieje. Zaczęli podskakiwać jak idioci. Panujące ciemności oraz gromada pracowników kuchni i kelnerów sprawiły, że niczego nie dostrzegli.

Władimir, który uważał się dumnie za człowieka czynu, zamarł, nie wiedząc, co robić. Katia zareagowała pierwsza. Uniosła pistolet i trzykrotnie strzeliła w sufit. Skuteczne i całkiem niewłaściwe posunięcie. Pierwszy strzał okazał się błędem, a dwa kolejne wręcz katastrofą.

Brzęk rozbijanej szyby oraz huk i błysk strzałów spowodowały, że w ciemnej sali restauracyjnej zapanował nieopisany harmider. Połowa kelnerów i kelnererek padła na podłogę. Druga połowa rzuciła się do panicznej ucieczki w stronę kuchni, piszcząc, wrzeszcząc i tratując się wzajemnie. Goście skoczyli na równe nogi, przewracając stoły i krzesła, wpadając na siebie, szukając jakiegos schronienia. Wrzaski i jęki oraz odgłosy upadających ciał wypełniły całe pomieszczenie.

Po trzydziestu sekundach, które wydawały się wiecznością, ktoś zapalił światło. Władimir i Katia stali z wybałuszonymi oczami, wpatrując się w stół Aleksa.

– Uciekli! – pisnęła Katia. Rzeczywiście, nigdzie ich nie było.

Stali jak osłupiali. Nieruchomo, bez słowa, z wytrzeszczonymi oczami, zaciskając dłonie na kolbach pistoletów i gapiąc się w pusty stół. Spojrzeli na otwór, który pozostał po szybie. Dostrzegli ciężkie krzesło kołyszące się chwiejnie na okiennej ramie. Nie musieli się naradzać. Nie potrzebowali żadnej teorii, żadnej niedorobionej hipotezy. Fakty były widoczne jak na dłoni, oczywiste i niepodważalne. Zlekceważyli Koniewicza. Głupi, amatorski błąd. A jednak go popełnili. Wszystko było jasne i proste.

Najpewniej Koniewicz powiedział kelnerce, że Władimir i Katia to ich stary znajomi, którzy obchodzą rocznicę swojej znajomości. Przekonał ją, a przypuszczalnie przekupił, aby zgasiła światło i odegrała mały spektakl w celu odwrócenia ich uwagi. Przecież utykał, szedł chwiejnym krokiem, miał wybity bark. Żaden człowiek w takim stanie nie zdołałby cisnąć ciężkiego krzesła, a tym bardziej wyskoczyć błyskawicznie przez wybite okno. A jednak Koniewicz i jego żona sforsowali wszystkie linie zabezpieczeń. Uciekli, byli gdzieś tam, na ulicach Budapesztu.

Uciekali ile sił w nogach, aby ratować życie.

Katia odzyskała przytomność i wrzasnęła do Władimira:

– Za nimi! Znajdź ich! Ja zajmę się resztą!

Nie odpowiedział, by nie tracić czasu. Wyskoczył przez otwór na zewnątrz, przewracając się na kolana, na betonowy chodnik. Zaklął głośno. Ból był ostry i przenikliwy. Bardziej bolało go jednak to, że wyszedł na głupca. Skoczył na równe nogi, wyciągnął pistolet i rozejrzał się wokół.

Ani żywej duszy. Nikogo na ulicy. Nikogo na parkingu. Nikogo przed wejściem do hotelu.

Aleks i pozostała dwójka rozplynęli się w mroku.

Wejście do hotelu, którego pilnowało dwóch ludzi, znajdowało się po prawej, więc uznał za niemożliwe, aby Koniewicz uciekł w tamtą stronę. Zaciśnął dłoń na kolbie pistoletu i pokuśtykał w przeciwnym kierunku. Tym razem nie będzie żadnego ostrzeżenia. Żadnej kolejnej szansy. Zagryzł zęby i mimo bólu krwawiących kolan ruszył przed siebie.

Katia podbiegła do pary osiłków, którzy nadal siedzieli obok wyjścia, po cichu gratulując sobie, że to nie oni są odpowiedzialni za cały ten bałagan. Kiedy Golicyn się dowie, że spieprzyli robotę, polecą głowy. Dosłownie.

Krzyknęła, aby za nią pobiegli, a następnie zgarnęła drugą parę przed wejściem. Kazała tamtym dwóm pobiec za Władimirem, a sama w towarzystwie pozostałej czwórki ruszyła w drugą stronę.

Dała znak swoim ludziom, aby się rozproszyli, wydając tylko jeden stanowczy rozkaz:

– Rozwalić ich!

## 8.

Minutę po zniknięciu Władimira i Katii Aleks delikatnie odsunął długi biały obrus, uniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Kelnerka i dwaj kelnerzy stali przy wejściu do kuchni, rozmawiając z przejęciem o złych facetach, którzy zaczęli strzelać i wypłoszyli wszystkich gości. Wystraszona kelnerka płakała, a jeden z kelnerów wyglądał tak, jakby za chwilę miał stracić przytomność lub rzucić się do ucieczki.

Dźwignął się z podłogi, spoglądając tam, gdzie przed chwilą siedzieli Władimir i Katia. Na podłodze nie było żadnych ciał. Nie dostrzegł żadnych martwych kelnerów ani rannych klientów broczących krwią na drogim dywanie. Ogarnęła go tak wielka ulga, że niemal stracił przytomność. Trzy strzały, które usłyszał, zostały oddane ostrzegawczo lub chybiły celu. Doszedł do wniosku, że strzelano w wybite okno.

– Nie ma ich? – zapytała Jelena spod stołu.

– Na to wygląda – odparł tonem pełnym nadziei i wątpliwości. – Zostań tam jeszcze chwilę. – Podeszedł do kelnera stojącego przy kuchni, wysokiego młodego mężczyzny sprawiającego wrażenie mniej wystraszonego od dwóch pozostałych. Spytał, gdzie są ludzie, którzy strzelali. Wybiegli z hotelu, usłyszał. Jeden wyskoczył przez wybite okno i znikł w ciemności, a pozostali wybiegli z sali restauracyjnej. Zabrali swoich koleśków i popędzili na zewnątrz. Nie musicie się niczego obawiać, zapewnił Aleksa. Żli faceci znikli, a konsjerż wezwał policję. Za chwilę zaroi się tu od glin.

Aleks wrócił do stolika, narzucił na ramię bagaż podróżny, a następnie poinformował Jelenę i Eugene'a, że nic im nie grozi. Jelena wyszła pierwsza,

zarzucając mu ramiona na szyję. Zwolniła uścisk, gdy jęknął i skrzywił się z bólu.

Później spod stołu wylazł Eugene, hałaśliwy, rozgniewany, zdezorientowany i pełen furii. Nie przestawał zasypywać Aleksa pytaniami, czemu chwycił go i wciągnął pod stół, przycisnął do podłogi i zasłonił dłonią usta. Aleks próbował wyprowadzić go z sali, lecz ten uparł się, że nigdzie nie pójdzie, dopóki nie otrzyma przekonującej odpowiedzi.

– To długa historia, nie ma czasu nie wyjaśnienia – odparł Aleks, próbując go uspokoić, rozglądając się wokół i zastanawiając, co robić. Jego plan zaczynał się i kończył na wypłoszeniu zabójców z restauracji. Niech szukają wiatru w polu, by on i Jelena mogli odjechać trabantem Eugene'a.

W jaki sposób miał wyprowadzić trabanta z parkingu, aby nie natknąć się na Władimira i jego ludzi? Zrozumiał, że jeśli zostawi tu Eugene'a, po powrocie wylądują na nim gniew. Paplanina Amerykanina stawała się coraz głośniejsza. Aleks machnął ręką, aby się uciszył.

– Porwali nas. Skatowali mnie do nieprzytomności i zmusili do przepisania na nich wszystkich firm. Teraz chcą twoich pieniędzy.

– Mojej forsy?

– Tak, Eugene. Nie słyszałeś?

– Znasz ich?

– Poznaliśmy się dopiero dziś po południu. Zapewniam cię, że nie chciałbym mieć z nimi do czynienia. Chodź, musimy się spieszyć.

– Co to za jedni?

– Eugene, błagam, zamknij się i pomóż. Są w pobliżu. Pewnie przeczesują ulicę. Polują na nas. Za chwilę zrozumieją, że zostali wyprowadzeni w pole, i wrócą. To zawodowi zabójcy. Czy ty mnie słuchasz?

W ciągu dwóch ostatnich minut Eugene przeszedł ze stanu pijackiego upojenia do śmiertelnego przerażenia, gdy Aleks wciągnął go pod stół. W końcu udało mu się obniżyć poziom emocji do takiego, który dał się tolerować. Był wściekły. Cholernie wściekły.

– Do diabła, nigdzie nie pójdę! Czemu nie zaczekamy na policję?

– Bo policja może być w to zamieszana. To bardzo prawdopodobne. Ci ludzie mają wszędzie kontakty. Nie wyobrażasz sobie, Eugene. Nie mogę... Posłuchaj, musimy zwiezać. Ale już!

Eugene wyglądał na wściekłego i pełnego wątpliwości. Zbyt dużo było tego wszystkiego. Aleks wiedział, że ich czas się kończy, więc uznał, że trzeba użyć małego podstępu.

– Nie chodzi im wyłącznie o Jelenę i o mnie. Polują także na ciebie. Chcą cię porwać i torturować, zmusić do tego, abyś skłonił współników do przesłania pieniędzy na konta moich firm. Wymogli, abym przepisał na nich swoje przedsiębiorstwa. Teraz chcą twoich trzystu milionów. Kiedy je dostaną, zabiją cię.

Eugene poczuł mdłości.

– Chcą mnie zabić? – spytał piskliwie. Tego już za wiele.

Oparł się o stół, biorąc kilka głębokich oddechów i próbując odzyskać równowagę. Zachowanie spokoju nie wchodziło w grę.

Odnosił wrażenie, że nie jest zdolny do myślenia. Zaczął żałować, że tyle wypił. Ile było tych piw? Osiem? Może dziewięć? Nieważne ile, z pewnością za dużo.

Aleks położył mu dłoń na ramieniu.

– Tak, Eugene – powtórzył cicho. – Kiedy cię skatują i zabiorą wszystkie pieniądze, wykończą cię.

Jelena, która w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie, uznała, że czas najwyższy dorzucić swoje trzy grosze. Tylko szok mógł zmusić Eugene'a do działania, więc postanowiła go dostarczyć.

– Spójrz, co zrobili z Alekssem. Popatrz na jego twarz. Omal go nie zabili, Eugene. Katowali go godzinami i przypalali żelazkiem. Tobie zrobią to samo. Nie wolno nam tracić czasu. Rób, co mówi Aleks.

Eugene, który w końcu pojął, co się dzieje, udzielił jedynej odpowiedzi, która wydawała się właściwa – puścił potężnego pawia na podłogę. Pochylił się, odetchnął kilka razy głębiej, otarł usta rękawem ręcznie szytej, wartej tyśiące dolarów marynarki i wymamrotał pierwsze inteligentne słowa tej nocy:

– Wydostańcie mnie stąd do cholery!

Aleks podszedł do tego samego kelnera, z którym rozmawiał chwilę wcześniej, uprzejmie wyjaśnił, czego mu potrzeba, wręczył kluczyki do wynajętego pomarańczowego trabanta i wcisnął do ręki studolarowy banknot, obiecując drugi w chwili, gdy wykona robotę.



Władimir biegł długą ciemną aleją, rozpaczliwie próbując opanować lęk. Uświadomił sobie, że do tej pory powinien ich dopędzić. Przypuszczał, że po ucieczce z hotelu Koniewicz, Jelena i ich pulchny przyjaciel mogli pobiec tylko w tę stronę.

Nawet jeśli Koniewicz symulował ciężkie obrażenia, Władimir był pewien, że kulał. Osobiście grzmotnął go krzesłem w nogę. Walnął nim z taką siłą, że rozpadło się na kawałki po zetknięciu z ciałem Koniewicza. To cud, że ten facet mógł w ogóle chodzić. Bieg był wykluczony, Władimir nie miał co do tego wątpliwości.

Na dodatek towarzyszyła mu niska żona i kluchowaty Amerykanin. Władimir był fanatykiem fitnessu, dawnym żołnierzem Specnazu, który trenował godzinami na siłowni, aby utrzymać się w szczytowej formie. Biegł sprintem cztery, może pięć minut.

Zwolnił do pełnego wahania truchtu, a później zrobił kilka gniewnych kroków, zanim się zatrzymał. Ciężko dyszał. Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Spojrzał szybko na zegarek. Sześć minut.

Kulas, grubas i niska kobieta! *Żeńszczyzna!* Nie ma sposobu, aby zdołali go prześcignąć! Uznał, że to po prostu niemożliwe.

Szybko przeanalizował możliwości. Dokonał prostego procesu eliminacji, który powinien był przeprowadzić sześć minut temu. Wiedział o tym. Gdyby wyskoczyli przez otwór w szybie i zaczęli biec w drugą stronę, dwóch ludzi przy wejściu dostrzegłoby ich i otworzyło ogień. Gdyby wyszli głównym wejściem, zostaliby zgarnięci przez jeden z dwóch zespołów. Proste jak w morde strzelił!

Istniała trzecia możliwość. Najłatwiejsza dla rannego mężczyzny i, gdy się nad tym głębiej zastanowić, najbardziej prawdopodobna. Zaklął szpetnie.

Gdyby Katia nie warknęła, aby skoczył przez okno... Głupia dziwka. Spanikowała jak nowicjusz. Zasada numer jeden: upewnij się, że faktycznie jest tak, jak ci się wydaje. Powinni byli zerwać wszystkie zasłony, zajrzeć pod wszystkie obrusy.

Zobaczcie, Koniewicz i jego kompania chcą się bawić w chowanego. Cha,

cha, cha. Trzy strzały i po krzyku.

Byłoby to proste i głęboko satysfakcjonujące rozwiązanie.

Okazało się jednak, że wszyscy zaczęli bawić się w kotka i myszkę na zasadach dyktowanych przez Koniewicza. Jakby tego było mało, mysz wygrywała. Głupia sprawa. To Katia zawałiła, nie on.

Po chwili namysłu uznał, że w rzeczywistości winę trzeba złożyć na zgarbione barki Siegieja Golicyna. To on zaakceptował plan przewiezienia Koniewicza do hotelu. Co prawda zapewniałem, że będzie to proste, pomyślał, ale zawsze istniało ryzyko. Ten chciwy drań dobrze o tym wiedział, lecz chciał więcej forsy. Nic tylko forsa i forsa.

Koniewicz zarzucił przynętę, a stary dziad wgryzł się w nią wszystkimi zębami, które mu zostały.

Nagle zadzwonił telefon satelitarny zawieszony u paska. Po dłuższym wahaniu odpiął go i spojrzał z przerażeniem na słuchawkę. Dla Władimira było to nowe, zaskakujące uczucie. Pewnie Golicyn. Nie odbierze, za żadne skarby. Pozwoli, aby dzwonił, dopóki stary dziad się nie rozłączy.

Jak wytłumaczyć cały ten zamęt? Jak się usprawiedliwić? Czym wyjaśnić swoją głupotę? Dostawał mdłości na myśl o przyznaniu, że Koniewicz wystrychnął go na dudka.

A może to Katia? Może dzwoni, aby powiedzieć, że ich złapali? Że Koniewicz, ta jego mała żoneczka i otyły Amerykanin leżą się gdzieś w ciemnej alei? Może problem jest z głowy? Bardzo pragnął to usłyszeć.

Kto dzwonił? Zbawca czy diabeł? Suka czy drań?

Weisnął klawisz odbioru, przyciskając telefon do ucha.

– Dwadzieścia pięć minut dawno minęło. Zakładam, że ci uciekli – zaczął Golicyn, nie okazując żadnych uczuć.

Władimir poczuł strach graniczący z paniką. Ton szefa był lodowaty, zupełnie obojętny. Zabójca milczał chwilę. Stał bez ruchu, mając ochotę cisnąć telefon i uciec gdzie pieprz rośnie. Zacząć nowe życie w Indiach lub Zanzibarze. Wszystko jedno gdzie.

Co miał powiedzieć?

– Milczenie potwierdza moje przypuszczenia, ty kretynie. Dałeś się przechytrzyć kompletnemu amatorowi.

- Dzięki mnie zdobyliście fortunę.
- Co z tego?
- Setki milionów. Czy to nic nie znaczy?
- Nic. Po prostu nic.
- Jeszcze nam nie uciekł – rzucił Władimir, próbując przekonać szefa, że nie wszystko stracone.

- Obaj wiemy, że uciekł dawno temu – syknął Golicyn. Miał rację. – Razem z moimi trzystoma milionami. Wszystko diabli wzięli. Ulotnił się jak kamfora. To twoja wina, ty niekompetentny głupku.

Władimir spojrział w mrok. Aleja była wąska i pusta. Żadnych przechodniów, żadnych błakających się, zagubionych turystów. Nawet jednego cuchnącego pijacka drzemiącego na progu. Pociągał nosem, wiedząc, że jest już trupem. Po obu stronach ulicy ciągnął się szereg pozamykanych na noc sklepów, z opuszczonymi żaluzjami. W mieszkaniach na wyższych piętrach ponad sklepami widać było kilka świateł i słabe migotanie telewizorów. Ponura okolica jeszcze bardziej go przygnębiła.

- Przepraszam – wyjąkał, z trudem cedząc słowa, których nie wypowiedział w całym swoim życiu. Spróbował ponownie, bardziej wyraźnie, z większą służalczością i skruchą, aby złagodzić surowy głos dobiegający z drugiej strony. – Naprawdę, szefie. Bardzo, bardzo was przepraszam.

- Co?!

- Tak, szefie. Przepraszam... przepraszam was.

- Na co mi twoje przeprosiny, idioto. Przepraszasz, jak rozlejesz kroplę kawy na mój dywan. Przepraszasz mnie, że straciłeś trzysta milionów dolarów? Że pozwoliłeś Koniewiczowi czmychnąć wam sprzed nosa? Za to chcesz mnie przepraszać? – Przerwał, aby po chwili ogłosić wyrok. – Kiedy z tobą skończę, będziesz błagał, abym cię nauczył, co znaczy przepraszam.

Władimir sięgnął do pasa i wyciągnął splotkę. Wziął głęboki oddech i powiedział:

- Mylisz się. Nigdy mnie nie dostaniesz, ty stary draniu.

- Posłuchaj mnie uważnie, kretynie. Znajdę cię wszędzie. Będziesz konał całymi dniami, długimi, strasznymi dniami. Obiecuję.

Władimir się zaśmiał. Dźwięk jego głosu odbił się echem od ścian domów, pełen goryczy i pogardy. W oknach zapaliło się kilka świateł. Na ulicę wyrzały przestraszone twarze.

– Sądziysz, że to zabawne? – warknął Golicyn.

– Tak. Śmieję się, bo straciliście całą forszę. A teraz się odpieprz. – Przyłożył lufę do lewej skroni i nie odrywając słuchawki od prawej, z okrzykiem: „Żegnaj, durniu”, rozwalil sobie łeb.

## 9.

Pomarańczowy trabant stanął z piskiem opon przed głównym wejściem hotelu, w odległości kilku centymetrów od wysokiego krawężnika. Aleks, Jelena i Eugene wygramolili się przez szklane drzwi obrotowe, rozejrzeli wokół i ruszyli do samochodu. Aleks wcisnął kolejny banknot w wyciągniętą rękę kelnera, wymamrotał pospieszne „dziękuję” i wsiadł do wozu. Kluczyki były w stacyjce, silnik pracował na wolnych obrotach. Jelena usiadła za kółkiem i wcisnęła gaz do dechy.

Wóz zakrzuszył się gniewnie i parsknął, odjeżdżając od krawężnika. Szpetny i pozbawiony mocy, zgodnie z obietnicą Eugene'a. Choć opuścił taśmę produkcyjną zaledwie dwa lata temu, wyglądał na sto. Od zderzaka po zderzak, nic tylko odchodzący lakier i wgniecenia.

Aleksowi było to obojętne. Wóz nadawał się idealnie do jego celu. Każdy klekot, stukot i brzęk przeżartego rdzą tłumika przypominał najcudowniejszą muzykę. Wszystko było po prostu doskonale. Nikt nie pomyśli, że milioner będzie podróżował takim rzęchem.

Jechali pięć minut, nie mówiąc ani słowa. Aleks pograżył się w fotelu, aby ukryć swój wzrost, a Jelena wyprostowała ramiona, by wydać się wyższą.

Ostatnie trzydzieści minut przesiadzieli pod czujnym okiem łotrów gotowych ich zabić, więc byli ponurzy i zdenerwowani. Nieustannie oglądali się za siebie. Ciągłe myśleli, że ktoś za nimi jedzie, i oddychali z ulgą, gdy podejrzany samochód skręcał w boczną uliczkę. Jelena kluczyła wąskimi alejami, jadąc przed siebie bez żadnego celu. Była jak najdalej od hotelu. Była jak najdalej

od Katii, Władimira i pozostałych zbirów. W końcu, kiedy stanęli na dużym skrzyżowaniu pod czerwonym światłem, spytała Aleksa:

– Dokąd jedziemy?

– Musimy opuścić Węgry – odparł bez wahania.

– Nie tak prędko – wtrącił zatroskanym tonem siedzący z tyłu Eugene. – Powinieneś pójść do lekarza, zanim dokądkolwiek pojedziemy. – Kiedy niebezpieczeństwo minęło, ponownie doszły do głosu jego dobre maniere. – Szkoda, że nie widzisz, jak wyglądasz. Masz pewnie wstrząs mózgu, liczne złamania, krwotok wewnętrzny... kto wie, jak poważne są wewnętrzne obrażenia...

– To kiepski pomysł, Eugene. Ci ludzie mają wszędzie swoich informato-  
rów. Mówiłem ci. Na Boga, to byli agenci KGB. Jesteś Amerykaninem, nie rozumiesz, co to znaczy.

– Wyłumacz.

– Kiedyś rządzili w krajach bloku radzieckiego. Wiedzą, jak pociągać za sznurki. Nie masz pojęcia. Kiedy oprzytomnieją, postawią w stan gotowości węgierskie służby graniczne. Podadzą nasze nazwiska, rysopisy i zmyślane zarzuty, aby usprawiedliwić nasze aresztowanie. Wydostanie się z kraju będzie niemożliwe.

Eugene i Jelena zadumali się nad jego ostrzeżeniem.

– Właściwie należy założyć, że już ogłosili alarm – dodał po namyśle Aleks.

Kolejna przerwa, dłuższa od poprzedniej. Pomyśleli, że tamci mogą zorganizować ogólnokrajową obławę. Rok temu było to państwo policyjne. Jeszcze nie odmówiono modlitwy nad jego grobem.

– W takim razie dworzec kolejowy i lotnisko odpadają – zauważyła przytomnie Jelena. – W pierwszej kolejności ogłoszą alarm właśnie tam.

Aleks skinął głową.

– Myślę, że najpierw sprawdzą szpitale i przychodnie lekarskie. – Ścisnął nogę Jeleny. – Najbliższa granica lądowa to nasza jedyna szansa. Pojedziemy samochodem. – Odwrócił się do Eugene'a. – Masz komórkę?

Eugene pomacał kieszenie.

– Nie, znikła. Leżała na stole, gdy pociągnąłeś mnie na podłogę. Powinna nadal tam być.

– Szkada.  
– Mają nasze paszporty – przypomniała Jelena. – Może lepiej, abyśmy tu zostali. Znaleźli jakąś bezpieczną kryjówkę i przeczekali.

– Nie sądzę. – Aleks wyciągnął kilka małych czarnych książeczek i pomachał jej przed nosem. – Były w ukrytej kieszeni bagażu podręcznego.

Potrząsnęła głową. Inteligencja męża już dawno przestała ją zaskakiwać. Naleganie, aby zabrać bagaż podręczny do restauracji na spotkanie z Eugene'em, było zdumiewającym przejawem trzeźwego myślenia. Nie musiała o nic pytać.

Ale Eugene musiał.

– Czy to legalne?

Jelena spojrzała na niego w lusterku wstecznym.

– Kiedy Aleks towarzyszył Jelcynowi w podróżach zagranicznych, oddawał paszport, aby otrzymać wizę. Teraz Rosjanie mogą swobodnie podróżować. Siedemdziesiąt lat tłumionego zaciekawienia światem musiało znaleźć ujście. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zalała lawina podań o wydanie wizy. Wszędzie są góry papieru. Często podania o paszport giną lub są przesyłane nie tam, gdzie trzeba, i powstają zatory. Typowa rosyjska biurokracja, Eugene. To cud, że wieczorem urzędnicy odnajdują drogę do domu.

– Co jakiś czas ktoś z mojego biura dzwoni na skargę, dyskretnie powołując się na Jelcyna. Zamiast szukać igły w stogu siana, urzędnik wydaje nowy paszport z odpowiednią wizą i przesyła go kurierem. A gdy po miesiącu lub dwóch oryginał się odnajduje, odsyłają go pocztą.

– Ile ty masz paszportów? – spytał Eugene, ubawiony rosyjskim bałaganem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Strzelaj.

– Dziesięć. Kilkanaście. Może więcej.

Jelena dwukrotnie uczestniczyła w podróżach zagranicznych Jelcyna, więc miała trzy paszporty. Jeden spoczywał w tylnej kieszeni spodni martwego Władimira, lecz Aleks miał zawsze kilka dodatkowych w bagażu, na wypadek gdyby zgubił dokumenty lub został okradziony.

– Mamy dwie granice – powiedział Aleks, próbując zmusić się do myślenia. – Możemy jechać na południe do Austrii lub na wschód, do Czechosłowacji.

– Dokąd pojedziemy?

– Granica z Austrią byłaby lepsza. Znajduje się bliżej, oprócz tego jestem współwłaścicielem firmy reklamowej w Wiedniu. Prezesem jest Ilja Mieczukow. To porządny człowiek. Co ważniejsze, całkowicie mu ufam. Poza tym KGB ma tam mniejsze wpływy. – Otworzył okno i odetchnął głęboko. Noc była chłodna. Lodowaty strumień powietrza uderzył go w twarz, lecz nadal czuł się lekko oszołomiony. Przez chwilę miał wrażenie, że spaliny przedostają się do wnętrza auta. – Niestety, do przekroczenia granicy potrzebna jest wiza. Czesi i Słowacy jako dawni członkowie bloku wschodniego nadal przepuszczają turystów z rosyjskim paszportem.

– Gdzie chcesz przekroczyć granicę? – spytała Jelena, skoro Austria została wykluczona.

– Główne przejścia graniczne odpadają. Najlepsza będzie boczna, wiejska droga. Strażnicy małych placówek zostaną postawieni w stan gotowości na samym końcu.

Eugene postanowił włączyć się do dyskusji. Pochylił się i spytał z tylnego siedzenia:

– A później?

– Później? Trzeba szybko dotrzeć do najbliższego lotniska międzynarodowego. Na Słowacji – wyjaśnił Aleks.

– A później do Rosji?

– Być może.

– Myślę, że powinieneś oprotestować dokumenty, które podpisałeś, zanim ktokolwiek je wykorzysta.

– Mam teraz inne zmartwienia na głowie – odpowiedział Aleks nieobecny głosem. Zapalił lampę w suficie, jedyne urządzenie w samochodzie, które działało jak należy. Otworzył paszporty i zaczął je kartkować.

– Wiesz co... – zaczął Eugene, pochylając się w fotelu.

– Myślę, że za chwilę mi powiesz.

– Racja. Powinieneś pknąć się porządnie w głowę. Mogą oczyścić



twoje konta w ciągu kilku godzin. A za dzień lub dwa wygarnąć forszę wszystkich inwestorów, którą trzymasz w swoich bankach.

– Nie sądzisz, że wywiezienie takiej forsy nastrecza pewnych problemów? – odparł dziwnie obojętnie Aleks.

– Cholera, dobrze wiesz, co mówię. Nie udawaj. Przeleją całą forszę do banku na Azorach lub w Szwajcarii, a później roześlą do setek innych banków i znikną z radaru.

– Nie sądzę – zaprzeczył Aleks, nie kryjąc zadowolenia.

– Lepiej się zastanów.

– Ludzie, którzy zmusili mnie do podpisania tych dokumentów, nie mają zielonego pojęcia o bankowości. Aby przelać choć jednego dolara, potrzebują numerów moich rachunków i kodów bezpieczeństwa.

– Ach!

– Są w sejfie w moim biurze, pilnowane na okrągło, całą dobę. Nie wiedzieli, że trzeba je znać, a ja nie byłem w nastroju, aby ich o tym poinformować.

Jelena poklepała nogę męża, który nie odrywał nosa od paszportów.

– Jesteś geniuszem.

\* \* \*

Golicyn siedział za masywnym, ręcznie rzeźbionym biurkiem Koniewicza i spoglądał na dziesięć pełnych napięcia twarzy ludzi skupionych wokół długiego konferencyjnego stołu. Rozkoszował się faktem, że wykorzystał gabinet Aleksa do tego, aby go wyśledzić i zabić.

Przed każdym uczestnikiem spotkania stał aparat telefoniczny, żółty notatnik i kilka telefonów satelitarnych. Na blacie leżały puste styropianowe kubki po kawie. Z popielniczek wysypywały się pety. Na ścianie zawieszono dużą mapę Węgier z kilkunastoma małymi żółtymi pineskami wbitymi tu i tam. Na sąsiedniej ścianie znajdowała się inna mapa, większa od poprzedniej, przedstawiająca cały kontynent europejski i oznaczona podobnymi kolorowymi pineskami.

Mężczyźni zebrani w pokoju znali adres skromnego, pięknie położonego paryskiego mieszkania Koniewicza. Wiedzieli, w jakich hotelach zatrzymywał

się podczas podróży służbowych, znali też adresy wszystkich biur i oddziałów Koniewicz Associates poza granicami Rosji. Każdy oznaczono pineską, umieszczając w okolicy jednego lub dwóch ludzi, aby nie spuszczała go z oka. Grzyb papierosowego dymu zawisł nad stołem, tworząc rakowe zawirowania pod sufitem.

Trzy niższe piętra biurowca Koniewicz Associates były niemal opustoszałe. Garstka starannie dobranych ochroniarzy obchodziła budynek. Inni pracownicy byli w domu, zmywając po obiedzie, przygotowując go wspólnie z partnerem lub głośno chrapiąc w łóżku. Kilku pracoholików chciało zostać do późna, lecz ochroniarze przepędzili wszystkich, wyłączając telefony i komputery.

Przed frontowymi drzwiami na parterze umieszczono znak informujący o dwudniowej przerwie. Rano postawią tam kilku krzepkich ochroniarzy, którzy dopilnują, aby należycie zrozumiano wiadomość.

Po raz pierwszy od dwóch szaleńczych godzin jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę były oddechy i hałaśliwy łoskot urzędnika, którym technik i jego pomocnik próbowali sforsować drzwi sejfu. Kasiarz dwukrotnie zapewnił zebranych, że robota pójdzie „jak z płatka”. Żadnych problemów. Żadnych niespodzianek. Golicyn nie miał powodu, aby wątpić w jego zapewnienia.

Sześć miesięcy temu Aleks Koniewicz polecił zainstalować prywatny sejf w swoim gabinecie. Naturalnie zadanie to zlecono szefowi ochrony. Golicyn zwrócił się do specjalisty od brudnej roboty, który był jego dawnym podwładnym z KGB. Facet uchodził za mistrza w swoim fachu, za chodzące źródło encyklopedycznej wiedzy o sejfach i zamkach. Polecenia Golicyna były precyzyjne i zagadkowo sprzeczne.

Dla szefa musi być najlepsza marka na rynku. Coś solidnego, o imponującym wyglądem. Sejf cieszący się nieskazitelną opinią z powodu jakości wykonania, podkreślił Golicyn. Inaczej mówiąc, coś, co robi wrażenie i zmyli nabywcę.

Tylko, u licha, upewnij się, że zdołasz go sforsować. Że będziesz umiał go otworzyć w dwie godziny lub krócej.

Milczenie przerwał zastępca Siergieja Golicyna:

– Minęły trzy godziny. Co się z nim dzieje?

– Ucieka – odrzekł Golicyn, wodząc gniewnym wzrokiem po zebranych, tak że skręcały się im wewnątrzności. – Jak przerażony szarak, który próbuje ocałić skórę. – Przerwał na chwilę, aby podrapać się w brodę. – Do tej pory mu się udawało. Miał przeciw sobie bandę niekompetentnych idiotów.

Jeden z takich idiotów, facet potężnej budowy, o szyi, która poruszała się jak wieżyczka czołgowa, zabrał głos, nerwowo próbując zrzucić ciężar winy ze swych barków:

– Wysłałem dziesięciu chłopca na dworzec kolejowy w Budapeszcie. Dwudziestu kolejnych pilnuje lotniska. Po jednym przy każdej kasie biletowej. Wszyscy to dawni agenci KGB lub węgierskiej tajnej policji. Inna grupa czeka w hali przylotów lotniska Szeremietiewo, na wypadek gdyby udało im się dotrzeć tak daleko. – Chcąc zrobić na zebranych wrażenie swoją skutecznością, dodał: – Wszyscy mają kolorowe zdjęcia Koniewicza i jego żony.

– Słusznie – wtrącił kolejny kretyn, chudzielec o dziobatej twarzy, z warami pod oczami, który nie tracił czasu na przedstawianie własnych osiągnięć. – Dwie minuty temu otrzymałem telefon od wiceministra bezpieczeństwa wewnętrznego Węgier. Facet ma dwoje dzieci w prywatnej szkole i z całych sił stara się o sto tysięcy nagrody, którą obiecałem za ich schwytanie. Godzinę temu ogłoszono czerwony alarm na wszystkich posterunkach celnych. Poinformowano straż graniczną i policję, że z kraju chce uciec morderca i jego dwóch współników.

Przerwał, aby się upewnić, że wszyscy usłyszą to, co za chwilę powie.

– Katia i jej ludzie złożyli zeznania na policji. Oświadczyli, że widzieli, jak Koniewicz dźgnął w plecy człowieka na lotnisku. Powiedzieli, że rozpoznali jego twarz na podstawie zdjęć zamieszczonych w rosyjskim magazynie, lecz nie wiedzieli, czy to jakiś znany aktor, czy polityk. Potrzebowali czasu, aby się upewnić, więc dopiero teraz powiadomili władze.

To chytre posunięcie było dziełem Katii. Oczywiście, dziobaty nie czuł się w obowiązku, by o tym wspomnieć.

Następny facet, którego Golicyn przedstawił pozostałym jako Nikołą – nie wymieniając nazwiska – siedział w milczeniu, zaciągając się głęboko czarnym cygarem. Wyraźnie znudzony, próbował się rozerwać, obserwując robotę kasjarszy. Miał na sobie lśniące, czarne skórzane ubranie i eleganckie buty

motocyklowe. Jako jedyny z obecnych nie nosił dyrektorskiego garnituru. Był też jedynym, który nie należał do grona pracowników Koniewicz Associates – jedynym, który nie został zatrudniony przez Siergieja Golicyna z powodu swojej cennej wiedzy.

Ponieważ Nikoła nie pracował w KGB, nie miał zielonego pojęcia o procedurach raportowania obowiązujących w firmie.

W końcu zauważył milczenie i spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą. Zgasił cygaro o blat stołu, uśmiechnął się z rozbawieniem, a następnie przetrzymał tamtych wystarczająco długo, aby zrozumieli wiadomość. Nikoła pochodził z innego świata – świata bez idiotycznych protokołów, świata, w którym rządzi tylko jedna zasada głosząca brak wszelkich zasad.

Połowa z nich wiedziała, kim jest, chociaż nie usłyszeli jego nazwiska ani nie poznali go osobiście. Jego zdjęcie wisiało wystarczająco długo na ścianach gmazyska KGB, aby pokryć się pleśnią. Oczywiście, na zdjęciu wyglądał znacznie młodziej. Był trochę szczuplejszy, bez uroczego kucyka przyprószonego lekką siwizną, który podskakiwał w takt kroków. Miał też z pewnością mniej blizn i tatuaży na karku oraz nochał, któremu nadano kształt wygiętego banana.

Podczas swojej długiej, niezwykle barwnej kariery Nikołaj Kozyriew, herszt największego rosyjskiego syndykatu zbrodni, występował jako Nikoła, Igor, Leon, ukrywał się też pod półtuzinem innych imion.

Czy to nie ironia, że siedzieli teraz przy jednym stole, paląc papierosy i popijając kawę jak starzy kumple? W poprzednim wcieleniu długimi godzinami tropili Nikoła w mrocznych zaułkach Moskwy. Właściwie była to typowa policyjna robota z tą różnicą, że macki Nikoły sięgały do każdego rosyjskiego miasta, a jego siatka obejmowała Europę i Azję. Kozyriew otworzył nawet oddziały w Brighton Beach i Miami. Nikoła był poszukiwany przez policję od Nowego Jorku do Timbuktu. Trzech amerykańskich prezydentów i cała armia przywódców innych państw bombardowała dwóch sekretarzy KC stanowczymi zadaniami ujęcia Nikoły.

Kozyriew zajmował się porwaniami dziewcząt do domów publicznych, miał sieć wytwórni porno, handlował na czarnym rynku, uczestniczył w przemyśle broni, handlował kradzionymi samochodami, kamieniami szlachetnymi,

dzielami sztuki, heroiną i mnóstwem innych niedozwolonych środków farmakologicznych. Jeśli z czegoś można było ciągnąć nielegalne zyski, Nikoła tym się zajmował. Przez długi czas głównym przedmiotem jego działalności były zabójstwa na zlecenie. Już sam zakres, zasięg i brutalność jego operacji były zbyt duże na skromne siły milicji. Nie wspominając o grubo przesadzonych plotkach, że Nikoła miał w kieszeni połowę wyższych oficerów rosyjskiej milicji.

Bez przesady, tylko jedną czwartą.

Właśnie dlatego do jego poszukiwań zaangażowano KGB, zachęcając agentów, aby użyli każdego fortelu, który mieli w arsenale.

Niestety, mimo podjęcia wszelkich środków i wielu lat wytężonej pracy, nigdy nie udało im się do niego zbliżyć, a nawet go wyśledzić.

– Opowiedzcie mi jeszcze raz, ale dokładnie, jak facet zwał – zaczął Nikoła, patrząc z rozbawieniem na zebranych.

Dobrze wiedział, jak Koniewicz uciekł. Przecież szczegółowo wszystko omówili. Dwukrotnie. Nikoła gardził chłopakami z dawnego KGB. Słuchałby tego bez końca, ubawiony, że może ich poniżyć.

– Jakie to ma znaczenie? – warknął Golicyn, nie kryjąc irytacji. – Uciekł i już! Teraz musimy go znaleźć.

– Skoro powiedziałem, że ma, to ma.

– Doprawdy?

– Tak. Próbuję sobie wyobrazić, jak twoi pionierzy dali się zrobić w konia. – Wydał wargi, obserwując Golicyna. – Przypomnijcie mi, ile lat ma ten facet, Koniewicz? Kto zrobił z niego takiego Houdiniego? KGB? Armia?

– Wszystkiemu winien ten dureń Władimir. Sprawdziłem go, to twój człowiek.

– Tak, wypożyczyłem go wam rok temu. Też go sprawdziłem. Kiedy wysłałem wam Władimira, był prawdziwą maszyną do zabijania. Wasi kretyni go zepsuli, uczynili głupim i niezdarnym.

Golicyn wstrzymał oddech i policzył do dziesięciu. Godzinę wcześniej doinali sobie piętnaście minut. Tym razem się opanował i odrzekł jak najspokojniej:

– Powiedz, co robią twoi ludzie.

Nikoła wyraźnie się ożywił, zapominając o nudzie. Nie chciał czekać na następną okazję.

– Zgoda – odparł, tłumiąc uśmiech. – Powiadomiłem wszystkich naszych w Europie Wschodniej. Ponieważ mamy ich paszporty, będą potrzebowali nowych, nie? Co zrobią? Spróbują kupić fałszywe, prawda? Każdy fałszerz i pokątny drukarz na Węgrzech został uprzedzony i da nam cynk, gdy tylko podejmą próbę nawiązania kontaktu.

Golicyn skinął głową. Mądre posunięcie. Nikoła zapalił kolejne czarne cygaro.

– Moje zespoły kieszonkowców pracują na każdym dworcu kolejowym i lotnisku w Europie. Wiedzą, że mają wypatrywać utykającego olbrzyma, jasnolosego chuchra i bogatego amerykańskiego tłusciocha.

Facet, który przed chwilą opisał własne wysiłki mające na celu ujęcie Aleksa na dworcach kolejowych i lotniskach, pochylił się w kierunku Nikoły i życzliwie doradził:

– Dajcie im fotografie. Z naszych doświadczeń wynika, że pomoc wizualna jest skuteczniejsza od słownego opisu. – Uśmiechnął się krzywo. – Jeśli macie faksy, prześlę zdjęcia.

Natychmiast pożałował, że się odezwał.

– Faksy?! – ryknął Nikoła, udając, że za chwilę skoczy na równe nogi i udusi cymbała. – Jasne, durniu! Każdy kieszonkowiec ma faks. W tylnej kieszeni spodni. – Pozostali dawni agenci natychmiast znieawidzili głupka o grubym karku za idiotyczną uwagę. Nic dziwnego, że nigdy nie złapali Nikoły.

Nikoła oparł na stole opięte skórą łokcie.

– Posłuchaj, głupku. Nie potrzebujemy żadnych zdjęć. Kieszonkowcy są... No właśnie, jacy są? Spozrzegawczy, nie? Obserwują. Cały dzień obserwują ludzi, oceniają ich. W ciągu ułamka sekundy potrafią ustalić, który gość ma w kieszeni dziesięć dolców, a który tysiącza.

Posłał głupkowi miazdzące spojrzenie i zamilkł. Po cholerę rzucać perły przed wieprze?

Następny w kolejce, w poprzednim wcieleniu oficer łącznikowy KGB w Interpolu, wbił wzrok w błat, podrapał się w strup na nosie i cicho wymamrotał:

– Powiadomiłem dawnych kolegów, że za kilka godzin dotrze do nich

nakaz aresztowania Koniewicza.

Nadeszła jego kolej, więc nikt się nie kwapił do zabrania głosu. Cisza stała się ogłuszająca.

Mężczyzna spojrział z ukosa na Golicyna, który odpowiedział mu gniewnym skrzywieniem.

– Co robisz? – warknął Golicyn, krzywiąc się jeszcze bardziej. Nie było to pytanie, które tamten pragnął usłyszeć.

– Czekają...

– Czekają?

– No... właśnie tak. Interpol nie zrobi niczego, dopóki nie otrzyma oficjalnej prośby odpowiednimi kanałami prawnymi. Naprawdę nie mogą. Wiadomo, protokół rzecz święta. To bardzo biurokratyczna i...

– Chcesz mi powiedzieć, że Interpol nic nie zrobi?

– Nie, skądże... mówię tylko...

Pozostali pochylili się do przodu, czekając na wybuch. Daj spokój, koleś, przecież właśnie to miałeś na myśli.

– Wyjaśnij mi, co chciałeś powiedzieć – syknął Golicyn.

– Jako dyrektorzy Koniewicz Associates... nie mamy podstaw prawnych, aby domagać się aresztowania. Interpol musi mieć ważny nakaz aresztowania, zanim podejmiemy działania.

Chwyił dłońmi kolana, przyciskając je do siebie, aby nie drżały. Twarz mu poczerwieniała, serce w piersi łomotało jak wiertarka udarowa. Powiódł błagalnym wzrokiem po zebranych, szukając pomocy, najdrobniejszej oznaki wsparcia. Czegokolwiek. Wystarczyłoby chłodne pełne współczucia skinienie. Dziewięć par oczu spoglądało w drugą stronę – na stół, sufit, białe ściany.

– Zaproponowałeś pieniądze swoim ludziom? – spytał Golicyn.

– Pieniądze, kobiety, samochody i narkotyki. Tak, wszystko, czego zechcą.

Kompletna cisza.

– Kazali mi iść do diabła i rozłączyli się.

– W takim razie nie zaproponowałeś tyle, ile trzeba, głupku.

Mężczyźni zarechotali nerwowo. Wszyscy, co do jednego, mieli w pamięci wystrzał pistoletu podczas ostatniej rozmowy z Władimirem. Wystarczył

gardłowy dźwięk głosu Siergieja Golicyna, a ten twarżdziel, Władimir, wpakował sobie kulkę w łeb. Ani chybi wydarzenie godne wpisu do księgi rekordów.

Co ważniejsze, wszyscy byli świadkami reakcji staruszka. Nie wzdygnął się, nie skrzywił ani nie zaklął. Gdy usłyszał strzał, nawet się nie skrzywił, tylko uśmiechnął.

Posłał facetowi z Interpolu podobny uśmiech. Nie byłiby zaskoczeni, gdyby spowodował atak serca.

Chrupnęły stawy w dłoniach Golicyna, który powiedział władczym tonem:

– Posłuchaj, idioto! Posłuchajcie wy wszyscy, głupki! Koniewicz nie działa według planu. Improwizuje. Jeśli jakimś cudem prześlizgną się przez węgierską granicę, będą mogli wsiąść do nocnego pociągu lub samolotu i znaleźć się w dowolnym miejscu Europy. Tylko Interpol działa na terenie całego kontynentu. Tylko Interpol ma natychmiastowy dostęp do transakcji z kart rozliczeniowych. Tylko Interpol może wydawać nakazy aresztowania i przekazywać je policji i służbom granicznym całej Europy. Pojmujecie?

Facet gorączkowo gryzmolił w żółtym notatniku, choć nie dowiedział się niczego nowego. Gdyby opadł głębiej na krzesło, pewnie zniknąłby pod stołem.

Golicyn wstał i ruszył w jego stronę. Pochylił się nad nim i szepnął do ucha:

– Wracaj do telefonu i zaproponuj im więcej forsy, durniu. – Ruszył do drzwi, otworzył je i zatrzasnął z hukiem, gdy tamten wyszedł. Niemal wszyscy zebrani odetchnęli z ulgą. Wszyscy z wyjątkiem Nikoły. Obserwowanie, jak dawni oficerowie KGB wiją się i pocą, dostarczało mu nieopisanej frajdy.

Chwycili za telefony i zaczęli wydzwaniać jak oszaleli, zdecydowani za wszelką cenę odnaleźć Aleksa Koniewicza.

\* \* \*

Golicyn wchodził na górę po jednym stopniu. Skręcił w krótki hol prowadzący do małej, dobrze oświetlonej sali konferencyjnej. Młoda, zgrabna, niezwykle atrakcyjna kobieta w czerwonym biznesowym kostiumie, obcistej garsonce i prowokacyjnie krótkiej spódniczce, czekała cierpliwie na końcu długiego stołu.

Tęgi ochroniarz stał w kącie, nie odzywając się ani słowem. Podniosła głowę, gdy Golicyn wszedł do środka, witając go chłodnym uśmiechem.



– Co słyhać, Siergiej?

Niewielu miało śmiałość zwracać się do niego w ten sposób. „Generale Siergieju Golicyn” było w porządku, jeszcze lepiej po prostu „generale”. Tej formy używała jego żona i dzieci, a gdy był nieobecny, mówili o nim „pan generał”. To podkreślało jego wyjątkowość. W końcu taki miał stopień – dożywotni tytuł przesycony aurą zwierzchności i władzy. Szczególnie lubił spojrzeć na ludzi, którzy dowiadawali się, że nie służy w armii, lecz KGB.

Nieformalnego Siergieja rezerwował dla równych sobie, a tych było niewiele. Tatiana Łukina z pewnością mu nie dorównywała. Była najmłodszą wiekiem asystentką szefa kancelarii Jelcyna, jego prawą ręką i głównym doradcą.

Nie robiło to większego wrażenia na Siergieju Golicynie.

Na Kremlu więcej było asystentów niż myszy. Panoszyło się to tałatajstwo, usiłując sprawiać wrażenie, jakby byli czymś więcej od wieszaków na płaszcze, które w każdej chwili można zastąpić innymi. W odróżnieniu od nich Tatiana miała jedną bezcenną cechę. Była kochanką szefa – osobą, która szeptała mu codziennie pierwsze i ostatnie słowo. Szef kancelarii był leniwym biurokratą, człowiekiem, który kochał rozliczne przywileje swojego urzędu i pogardzał ogłupiającą codzienną harówką. Otrzymał wysoki urząd przede wszystkim dlatego, że z entuzjazmem uczestniczył w pożałowania godnych pijatykach prezydenta. Wiedzieli o tym wszyscy na Kremlu. Dlatego wszystko, co miało znaczenie, przechodziło przez ręce Tatiany, która z nawiązką kompensowała sobie gnuśną obojętność szefa.

Skończyła prawo na Uniwersytecie Moskiewskim jako pierwsza na roku. Przeprowadzone rozpoznanie ujawniło, że profesorowie, którzy nie byli pod wrażeniem jej znajomości prawa, bez reszty zostali oczarowani ciałem Tatiany. Dało jej to drugą lokatę. Pierwszą zdobył młodzieniec, który gardził snem, chłonał prawnicze książki, miał pamięć słonia i taki talent oratorski, że kaznodzieja z południa Stanów pobladłby z zazdrości. Dwa tygodnie przed ukończeniem studiów KGB otrzymało nocny donos – dzwoniła kobieta pragnąca zachować anonimowość – by przeszukać jego pokój. Pod łóżkiem tego studenta odkryto pisma pornograficzne i obrzydliwe taśmy wideo, wszystkie z amerykańskimi znakami handlowymi, co czyniło je nielegalnymi. Naturalnie gość twierdził, że nigdy nie widział ich na oczy. Następnego dnia wśród drwin i

szyderstw przemaszerował przed kolegami z tabliczką na szyi, na której widniało słowo „dewiant”. Później przewieziono go do więzienia.

Czwartego dnia został śmiertelnie pobity przez współwięźnia, który miał dwie młode córki i pałał zrozumiałą nienawiścią do zbrojców.

Po ukończeniu studiów Tatiana pracowała trzy lata jako prokurator. Nie przegrała żadnej sprawy. Ani jednej. Powiadano, że uwiodła przynajmniej dwóch sędziów, aby uzyskać wyrok skazujący dla mężczyzn, w których niewinność nikt nie wątpił. W prawniczych kręgach Moskwy aż huczało od plotek na jej temat. Szantażowała i wrabiała świadków. Niszczyła niepożądane dowody i fabrykowała te, które były jej potrzebne, nakłaniała funkcjonariuszy milicji do wymuszania zeznań i tak dalej. Golicyn wierzył we wszystkie te doniesienia. Była intrygantką, pozbawioną skrupułów przebiegłą suką, której zależało wyłącznie na tym, aby za wszelką cenę piąć się w górę. Staruszek szczerze ją podziwiał.

Tatiana miała wygląd, inteligencję i ambicję, a co najważniejsze, trzymała za jaja szefa kancelarii prezydenckiej. Jeśli o niego chodzi, mogła go nazywać Siergiejem, idiotą lub gadem. Ubolewał, że nie jest jego córką zamiast tej brzydkiej krowy.

– Spadaj – warknął do ochroniarza, zatrzasnął za nim drzwi. – Wszystko jest na właściwej drodze – poinformował Tatianę, siadając przy drugim końcu stołu. – Jedno nieoczekiwane potknięcie.

– Opowiedz.

– Koniewicz i jego uroczą żoneczka uciekli.

– Rozumiem. – Chłodna jak lód, ani śladu szoku lub hysterii. – Jak?

Golicyn krótko przedstawił sytuację. Pomiął kilka kłopotliwych szczegółów, na przykład własny niefortunny wkład w przewiezienie Koniewicza do hotelu. Nie uznał też za konieczne wspomnieć o dodatkowych trzystu milionach dolarów, które niemal były jego i które zamierzał w całości zatrzymać. Zakończył zmyśloną opowiastkę, oznajmiając:

– Rozpoczęliśmy obławę. Zaglądamy pod każdy kamień. Jestem pewien, że prędzej czy później gdzieś się pojawi.

Tatiana miała wspaniałe, gęste czarne włosy i bawiła się długim kosmykiem obok lewego ucha.

- A jeśli nie? – spytała, nie okazując szoku ani zdumienia.
- To nie.
- Dokumenty podpisał?
- Tak, po niewielkiej perswazji.
- Masz oryginały?
- Godzinę temu dostarczono je podpisane i zapieczętowane do mojego

biura.

- Poświadczone przez prawnika?
- Tak.

Najwyraźniej zaspokoila swój instynkt prawniczy.

- Czy domyśla się, że za tym stoisz?
- Jeszcze nie. Nie wpisano nazwiska nowego właściciela.
- Czyj to był pomysł?
- A jak ci się zdaje?

Uniosła brwi w podziw. Dopóki Koniewicz nie dowie się, kto za tym stoi, nie będzie miał pojęcia, z kim walczy. Czas był bezcenny. Godziny były warte połowę fortuny, a dzień, wszystko, co posiadał Koniewicz.

Genialny plan. Niech zgaduje i rozdaje ciosy na ośle, aż się zdemaskuje.

- Dokąd pojedzie?
- Jeśli jest głupcem, do Moskwy.
- A jeśli nie jest? – zapytała. W sumie retorycznie. Facet był niezwykle błyskotliwy, nieprzewidywalny. W przeciwnym razie nie byłoby w tym pokoju, o tej godzinie, by rozmawiać o jego ucieczce.

Golicyn się uśmiechnął.

- Był na tyle głupi, że mnie zatrudnił.
- Racja. – Roześmiała się.
- Myślę, że gdzieś się przyczaił – zaczął snuć przypuszczenia. – Ukrywa się na Węgrzech. Próbuje przeczekać.
- Interesujące. Czemu tak sądzisz?
- Czysta dedukcja. Zabraliśmy ich portfele. Mamy paszporty jego i żony.

Nie może wyjechać. Ograniczyłem zespół biorący udział w porwaniu do dziesięciu osób. Nie ma pojęcia, ilu ludzi jest w to zaangażowanych. Nie zlekceważymy go więcej. Torturował go jeden z ludzi Nikoły, więc może sądzić, że za

porwaniem stoi mafia. To wystarczy, aby go porządnie wystraszyć. Będzie próbował nie rzucać się w oczy. Może spróbuje jechać całą noc lub zatrzymają się w jakimś podłym hoteliku, by lizać rany. Dopóki będzie na Węgrzech, w porządku. Nieważne gdzie, jestem pewien, że pojawi się w ciągu następnych dziesięciu godzin.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- Wyjeżdżałeś ostatnio z kraju?
- Nie.
- Koniewicz wyjeżdżał, prawda?
- Przecież wiesz. Jeździł z Jelcynem i we własnych sprawach. Więcej czasu spędzał w podróży niż w Moskwie.
- W takim razie trzeba przyjąć, że ma więcej paszportów.
- Skąd wiesz?
- Zaufaj mi. Wiem i już. Sama podróżuję z Jelcynem. Mam siedem paszportów z bezterminowymi wizami.

Wzruszył ramionami, wyraźnie znudzony.

- Co z tego? Równie dobrze mógłby mieć tysiąc. Jeśli pojedzie do Austrii lub Czechosłowacji, znajdziemy go.

Tatiana wstała i ruszyła wokół stołu, zapalając papierosa i ciągnąc za sobą długi obłok dymu. Zatrzymała się w odległości kilku centymetrów od Siergieja Golicyna. Zgrabnie usiadła na stole, kołysząc nogami. Długimi, cudownymi nogami. Po chwili założyła nogę na nogę i pochyliła się nad staruszką.

Poczuł jej perfumy – grzeszny, piżmowy zapach. Pewnie francuskie, drogie, podarunek od jednego z wpływowych kochanków, pomyślał. Zauważył, że trzy górne guziki garsonki były rozpięte. Rzucił krótkie spojrzenie na zabaweczki szefa kancelarii.

Dłuższą chwilę delectował się tym wszystkim – wonią, zmysłową pozą, pojętym rozwarciem jej nozdrzy. Była doskonała. Doskonałe połączenie rasy azjatyckiej i kaukaskiej, doskonałe zęby, doskonała czerń włosów, pozbawione zahamowań spojrzenie, doskonała figura. Nachyliła się odrobinę bliżej.

- Jak sądzisz, do kogo najpierw zadzwoni? Zgadnij.

- Nie muszę zgadywać, wiem. Do Soni.
- Kim jest Sonia? Jego kochanką?
- Nie, sekretarką. Jest z nim od początku. Ma do niej całkowite zaufanie.

Traktuje starszą panią jak matkę, której prawie nie znał. – Odsunął krzesło i splótł krótkie ramiona za głowę. Był zbyt stary, zbyt zmęczony i zbyt bezwzględny, aby dać się uwieść. Czuł jednak niekłamanym podziw dla jej wysiłków.

Wiadomość została odebrana i skwitowana lekkim, zgrabnym wzruszeniem ramion. Nawet ten ruch działał podniecająco.

- Gdzie jest ta Sonia? W domu? – spytała, zaciągając się papierosem.

– Była w domu, zanim ją tutaj przywieźliśmy. Teraz siedzi przy biurku z garotą dyndającą na szyi. Jeśli Koniewicz zadzwoni, spyta go, gdzie jest, w przeciwnym razie jej nowy naszyjnik stanie się nieznośnie ciasny.

- Rzadko się mylisz, prawda?

- Bardzo rzadko, lecz jeśli nie złapię go tej nocy, jutro zaczniesz działać.

Odepcnęła się od blatu, zręcznie zapinając zakiet jedną ręką.

– Uspokój się, Siergiej. W Chinach Jelcyn próbuje naprawić tysiąc lat złych stosunków. Przez trzy kolejne dni będzie całować Chińczyków w zadek, z entuzjazmem uczestnicząc w uroczystościach i bankietach oraz upijając się do nieprzytomności przy każdej nadarzającej się okazji. Będzie nieosiągalny. – Ruszyła w kierunku drzwi. – Poradzę sobie.

\* \* \*

Malcolm Street Associates była zamożną firmą z centrum operacyjnym urządzonym tak, aby sprawiało wrażenie na gościach. Niewielu pozwolono wejść do środka, lecz ci, którzy je widzieli, z niedowierzaniem kręcili głową i gwizdali z podziwu. Na ścianach roiło się od dużych ekranów, migwały światełka, szumiały faksy, buczały komputery, a telefony urywały się od meldunków agentów. W dzień i noc huczało tam jak w ulu.

Skarbiec, jak nazywali centrum operacyjne jego zestresowani pracownicy, zajmował górne piętro londyńskiej centrali – pięciokondygnacyjnego budynku o kamiennej elewacji położonego w odległości dwóch przecznic od Trafalgar Square. Miedziana tabliczka przy wejściu informowała, że firmę założono

w roku tysiąc osiemset trzydziestym.

Ciężar podtrzymania tradycji stałego pomnażania zysków spoczął na barkach lorda Eldridge'a Pettlebone'a – ósmego z krótkiej linii wspólników zarządzających, byłego komendanta policji, a obecnie człowieka irytującego w stopniu niemal nieznośnym. Dwadzieścia minut temu do klubu, w którym przebywał Pettlebone, wdarł się kurier i zaciągnął go tutaj.

Martwy agent i zaginiony klient. Jeden lub dwóch. Nigdy nie stracono dwóch, więc w całej firmie wrzało. Pettlebone przechadzał się wokół długiego stołu, przy którym zebrali się najlepsi i najbardziej błyskotliwi pracownicy firmy, usiłując zrozumieć katastrofę, która się wydarzyła. Stłumił ziewanie i wyprostował ramiona, próbując zachować spokój wobec podwładnych.

W przeszłości miał już do czynienia z poważnymi kryzysami, właściwie było ich wiele. Niemal wszystkie rozpoczynały się późnym wieczorem. Każdy charakteryzowały punkty kulminacyjne i zwroty akcji. Pierwsze doniesienia były zawsze fałszywe, a drugie i trzecie jeszcze bardziej.

– Kto potwierdził śmierć Berniego? – zapytał, patrząc na jednego z siedzących przy stole asystentów, który wpatrywał się w niego nabiegłymi krwią oczami. Facet pracował wcześniej w jakimś ciemnym kącie MI6 i miał pecha, bo niemal płynnie mówił po węgiersku. Z tego powodu znalazł się w centrum uwagi, co przepełniało go taką wściekłością, że wykonałby każde zadanie, które zleci mu Numer Ósmy.

Młodzieniec poprawił krawat, zebrał się w sobie i wyprostował.

– Koroner budapeszteńskiej policji. Ciało zostało znalezione przez ochronę lotniska o trzynastej piętnaście czasu lokalnego. Policja przyjechała dziesięć minut później. Zwłoki Berniego zostały przewiezione do miejskiej kostnicy, a następnie umieszczone w chłodni. Przeleżały tam do osiemnastej, kiedy zjawiała się nocna zmiana. Wstępne oględziny zostały przeprowadzone przez doktora Laszla... – przerwał, zaglądając do notatek. – Laszla Massouriego.

Lord Pettlebone kiwnął głową, co nie oznaczało aprobaty. Skinął na asystenta, dając znak, by się streszczał.

– Mów dalej.

– Oczywiście, poprosiliśmy o niezwłoczne przeprowadzenie pełnej autopcji. Wykręcili się, twierdząc, że zrobią to jutro. Ot, nasi węgierscy przyjaciele.

Nawet makabryczne morderstwo popełnione na stołecznym lotnisku nie skłoni ich do zwiększenia tempa. Za wstępną przyczynę śmierci uznano – ciągnął, wertując notatki – małą ranę kłutą na plecach, przypuszczalnie od noża.

Wyciągnął rękę i palcem wskazującym niczym sztyletem nakreślił znak X lekko poniżej lewej łopatki mężczyzny siedzącego obok niego.

– Poszarpane krawędzie rany wskazują, że obrócono ostrze. Broń była przypuszczalnie długim i wąskim sztyletem. Nie jakieś tam narzędzie ogrodowe, lecz bardziej specjalistyczny instrument, który przeszył na wylot serce nieszczęsnego Berniego. – Zrobił krótką pauzę, aby po chwili ogłosić swoje następne odkrycie. – Jego źrenice były szeroko otwarte, a twarz purpurowo przebarwiona, co jest zewnętrznym objawem uduszenia. Nie znaleziono ran ani siniaków na szyi. Jak wiadomo, może to wskazywać na otrucie.

– Trzeba przyjąć, że przyczyną śmierci było jedno i drugie. Został dźgnięty zatrutym ostrzem – zawyrokował oschle Pettlebone, zanim asystent zdążył sformułować oczywisty wniosek. – Należy również przyjąć, oczywiście hipotetycznie, że zabójca był zawodowcem.

– Przepraszam. Czy wspomniałem o ciemnym siniaku poniżej mostka?

– Masz rację, zabójców było dwóch. – Spojrzał na pozostałych, którzy skinęli głową na znak akceptacji. – Jacyś świadkowie?

– Tak. Właśnie w tym punkcie sprawa zaczyna być interesująca – odparł mężczyzna z uśmiechem ulgi. Otrzymał ten smakowity kąsek zaledwie przez dziesięć minutami. – Jakies dwie godziny temu z budapeszteńską policją skontaktowała się rosyjska dama i mężczyzna podający się za jej partnera. Zznała, że widziała, jak Koniewicz dźgnął w plecy swojego ochroniarza, a następnie wybiegł na zewnątrz i odjechał taksówką.

– Klient? Klient zasztyletował osobę towarzyszącą i uciekł? – burknął Pettlebone, robiąc gniewną minę. Jego firma nie zatrudniała ochroniarzy, lecz osoby towarzyszące, które zapewniały klientowi bezpieczeństwo.

– Tak jest. Aleksander Koniewicz. Twierdzi, że rozpoznała go na podstawie zdjęć w rosyjskich magazynach. Jest tam widać znaną postacią, obrzydliwie bogaty i tak dalej.

Pettlebone zdjął okulary i przetarł oczy.

– I potrzebowała dziesięciu godzin, aby sobie o tym przypomnieć?

– Tak twierdzi.

– Pewnie nie wiemy, jak się nazywa?

Asystent zajrzał do notatek, wertując kilka kartek.

– Mam, przedstawiła paszport wydany dla Aleksandry Korżakowej. Mógł być sfałszowany. Uciałem sobie miłą pogawędkę z detektywem, który spisał jej zeznania. Powiedział, że to nie żadna dama, a babski twardziel.

– Twierdzi, że widziała, jak Koniewicz zasztyletował naszego człowieka. Czy widziała też, jak grzmotnął go w brzuch?

– Nie wspomniała o tym, choć mógł to wykluczać kąt, pod którym patrzyła.

– Tak uważasz?

– Jeśli obserwowała zajście z tyłu... Koniewicz jest wysoki, a Bernie szeroki. Szczerze mówiąc, otyły.

– Czy naprawdę tak sądzisz?

Szef nigdy nie podchodził bliżej. Asystent zamilkł. Nagle zafascynowały go migające światelka na przeciwległej ścianie. Pettlebone spojrział ponownie na zebranych.

– Czy któryś z was pamięta, aby klient zamordował jednego z naszych pracowników? Choćby jednego?

Rękawicę podniósł emerytowany współnik oparty o przeciwległą ścianę, starszy mężczyzna, któremu najwyraźniej brakowało emocji i który uznał, że lepiej być na sali, niż wałęsać się beczynnym po centrali.

– Tak, było coś takiego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. O ile dobrze pamiętam, Clyde Witherspoon został sprzątnięty przez człowieka, którego ochraniał. Przypuszczalnie Clyde miał romans z żoną klienta. Został przyłapany na gorącym uczynku i klient odstrzelił mu fiuta. – Staruszek potrząsnął głową i gwizdnął z podziwu. – Z odległości dziesięciu metrów. To był strzał! Pozwolił, aby biedny Clyde cierpiał chwilę, rozmyślając nad doznaną szkodą, a następnie wykończył go strzałem między oczy.

Pettlebone poprawił okulary.

– Tak... no cóż, dziękuję ci, Bertie.

Bertie spojrział przelotnie na młodzieńców siedzących przy stole i odpowiedział z uśmiechem:



- Do usług.
- Czy ktoś może mi wyjaśnić, czemu nasz klient miał tylko jedną osobę eskorty?
  - Obawiam się, że sam o to prosił – odpowiedział szef planowania z grymasem dezaprobaty. – Stanowczo doradzaliśmy cztery osoby. Klient nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że wywarłoby to zły wpływ na jego interesy. – Podniósł brwi i spojrzął na zebranych. – Jeśli was to ciekawi, mamy nagranie tej rozmowy.

W ich branży procesy sądowe o błąd w sztuce zdarzały się rzadko, bo potencjalni powodowie byli zwykle martwi – jeden z nielicznych plusów w sferze działalności pełnej minusów. Mimo to czasem do nich dochodziło. Osiemnaście lat temu firma została wciągnięta w sądową awanturę szeroko opisywaną w mediach. Pettlebone ruszył dalej, rad, że tyły firmy są chronione.

- Czy ktoś ma jakieś domysły na temat losu naszego klienta? Ktokolwiek?

Żaden. Najlepsi i najbardziej błyskotliwi przeglądali notatki, popijali herbatę i poprawiali krawaty.

- Rozumiem – odrzekł Pettlebone, kładąc dłonie na stole i pochylając się ku nim. – Pozwólcie, że zaryzykuję przypuszczenie.

Najlepsi i najbardziej błyskotliwi jak jeden mąż pomyśleli, wał śmiało, stary. Zawsze lubiłeś własne teorie bardziej od naszych. Pettlebone uniósł trzy długie, kościste palce.

- Uciekł z miejsca popełnienia morderstwa, został porwany lub nie żyje. – Gapili się na jego paluchy, nie mówiąc ani słowa.

Jakaś zbiorowa reakcja? Oszczędź nam tego, stary. Nawet tępy gliniarz, który dwa dni temu skończył akademię, uznałby to za oczywiste.

- Pierwsza możliwość wydaje się trochę naciągana, myślę, że wszyscy to przyznacie – rzekł, opuszczając jeden palec.

Zbiorowa reakcja? Rozgrzewasz się, ojczulku. Odrzuciliśmy tę możliwość dwie godziny temu, kiedy sączyłeś cherry z tymi twoimi żalonymi kumplami w prehistorycznym klubie.

- Jeśli chodzi o drugą możliwość, możemy jedynie posłać bukiet róż, gdy opadnie pył.

Zbiorowa reakcja? Wtedy zareagujesz w standardowy sposób – będziesz szukał usprawiedliwienia, zwał winę na podwładnych i wywalisz na bruk trzech lub czterech z nas. Pierwszy raport o śmierci Berniego nadszedł sześć godzin temu. Błyskawicznie uciekłeś do bezpiecznej nory w swoim klubie. To bardzo wygodne, że zapomniałeś zabrać pagera i komórki, które spoczywały sobie wygodnie w dolnej szufladzie biurka, ty przebiegły stary draniu.

– Czemu w takim razie porywacze się nie odezwali?

Zbiorowa reakcja? Dwanaście par oczu spojrzało w górę, w stronę sufitu. No właśnie, czemu się nie odezwali?

Wszyscy wiedzieli, że statystycznie rzecz biorąc, porywacze niemal zawsze zgłaszają żądania w ciągu kilku godzin po porwaniu. Przypominają gracza trzymającego dzokera, czemu mieliby zwlekać, czekać, aż napięcie opadnie?

Kolejne przeglądanie papierów, popijanie herbaty i poprawianie krawatów. Magnetofon na strychu w milczeniu rejestrował każde słowo. Faceci siedzący przy stole mieli już okazję uczestniczyć w dochodzeniach Pettlebhone'a i żaden nie dał się zwieść jego sokratejskimi rozważaniami. Brednie. Głupek, który wysnuje błędne przypuszczenia, zostanie nagrany, na wieki zarejestrowany przez urządzenie na strychu i pierwszy trafi na katowski pień, kiedy kryzys dobiegnie końca i rozpęta się burza wzajemnych oskarżeń.

Bertie, emerytowany wspólnik, który nie miał nic do stracenia, przyjął cios.

– Chyba można by przyjąć, że to robota kogoś z wewnątrz. Ruskich milionerów otaczają paskudne typy. Sypiają między wilkami. Nie powinni się dziwić, gdyby po przebudzeniu stwierdzili, że są głównym daniem obiadu. Jeśli to robota kogoś ze środka, winowajcy nie przyjmą pomocy z zewnątrz, prawda? Jak myślicie?

– Czy skontaktowaliśmy się z jego firmą? – zapytał Pettlebhone, świadomie ignorując teorię Bertiego. Magnetofon na poddaszu był jego błyskotliwym pomysłem. Nie miał zamiaru pozostawić magnetycznego śladu, który mógłby nie wytrzymać późniejszego badania.

Inny bystry młodzieniec siedzący pośrodku stołu odpowiedział:

– Rozmawiałem z szefem ochrony Koniewicz Associates. Trzy lub cztery razy. Z Siergiejem Golicynem, dawnym generałem KGB. Odpychający typ. Nie była to przyjemna rozmowa. Cały czas podkreślał, że poza granicami

Rosji bezpieczeństwo Koniewicza to nasza sprawa, a nie jego.

- Czy porywacze nawiązali z nim kontakt? Zażądali okupu, grozili?
- Spytałem o to...
- I?
- Wyśmiał mnie, a następnie kazał iść do diabła i przerwał połączenie.

\* \* \*

– Nie wrócimy do Rosji – oznajmił stanowczo Aleks. Zdecydował o tym po dziesięciu minutach gapienia się przez okno, przerywanego sporadycznym przeglądaniem leżących na kolanach paszportów. – To zbyt oczywiste.

– Nie rozumiem dlaczego? – spytał Eugene.

– Oni na to czekają, Eugene. Mają nadzieję, że spróbujemy. Raz mieliśmy szczęście. Nie chcę liczyć na nie ponownie.

– Kim oni są? – spytała Jelena. Dobre pytanie.

– Na pewno jest ich więcej. Nie wymyślili tego Katia i Władimir oraz ludzie, których widzieliśmy – odparł ponuro Aleks.

– Widziałeś innych? – zapytał Eugene. W końcu także jemu groziło niebezpieczeństwo. To zrozumiałe, że chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Nie, to zbyt prymitywni ludzie, aby zaplanować taką operację. Dla kogoś pracują. Może... nie, przypuszczalnie jest ich więcej. – Kto wie ilu? Mogli być z mafii albo pójść na układ z gangsterami. Wysokość stawki powodowała, że mogły być ich setki, a nawet tysiące.

Z pewnością maczał w tym palce jakiś pracownik lub pracownicy Koniewicz Associates. Ktoś znający plany podróży Aleksa. Ktoś, kto wiedział, że Eugene zadzwonił do jego sekretarki, aby ustalić, co się dzieje.

Zdawał sobie sprawę, co to oznaczało. Ten człowiek stał wysoko w korporacyjnym łańcuchu pokarmowym.

Zaczął się zastanawiać, lecz szybko się pogubił wśród potencjalnych podejrzanych. Miał na liście płac kilkuset dawnych agentów KGB. Niektórzy byli przyzwoitymi ludźmi, inteligentnymi, uczciwymi i cieszyło ich, że mogą spojrzeć w lustro bez grymasu odrazy. Wielu innych to rzezimieszki w eleganckich garniturach. Niemal wszyscy pracowali w ochronie. Niemal wszyscy mogli znać plan jego podróży. Dział ochrony był zawsze informowany o jego planowanych podróżach – niefortunny, lecz absolutnie konieczny zwyczaj. Tylko

garstka wiedziała jednak o jego telefonie do Soni.

Gdzie popełnił błąd? Aleks był dumny z tego, że osobiście zatrudnił swoich kluczowych pracowników oraz znaczną liczbę pozostałych. Firma rozwijała się jednak w tak dynamicznym tempie, a on sam musiał chwytać tyle okazji, że potrzebował coraz więcej ludzi, aby móc skutecznie działać. Od tysiąca do dwudziestu tysięcy pracowników w ciągu niecałych dwóch lat. Przypominało to dawną gorączkę złota – lwia część wędrowała do tego, kto pognał pierwszy z łopata i sitem. Rzekomo wysoko wykwalifikowani dyrektorzy byli zatrudniani na podstawie życiorysu, bez rozmowy kwalifikacyjnej, bez należytego prześwietlenia, a nawet telefonu do poprzedniego pracodawcy. Liczyła się forsa. Każda nowa okazja rodziła kolejne. Dawno zapomniano o bezpieczeństwie.

Chciwość. Pieniądze. Zarabiał je szybciej, niż na drzewach wyrastały liście. Wszyscy chcieli wyrwać coś dla siebie, wielu było pazernymi kanciarzami. Przyrzekł sobie, że gdy bezpiecznie wróci, przeprowadzi w firmie wielką czystkę. Na palcach obu rąk mógł policzyć dyrektorów, do których miał całkowite zaufanie.

– Posterunek graniczny – oznajmiła Jelena, wrywając go z głębokiego zamyślenia.

Wyciągnął dwa paszporty. Pozostałe wsunął ostrożnie pod nogę. Jelena nacisnęła hamulce i wóz stanął z głośnym piskiem opon. Wstrzymali oddech, modląc się cicho.

Droga, którą jechali, miała dwa pasy. Ruch był niewielki. W okolicy były pola i urocze wioski. Słabo obsadzony posterunek graniczny składał się z żółtej rogatki, drewnianej budki i kilku migających latarni. Pospiesznie sklecony prowizoryczny punkt założony po nieoczekiwanym wycofaniu się Rosjan i chaotycznym otwarciu granic.

Chudy młodzieniec w źle dopasowanym mundurze podszedł do samochodu od strony pasażera. Zza budki dolatywał gniewy dźwięk dławiącego się i charkoczącego generatora. Nie wymienili ani słowa. Tamten wsunął rękę do środka, a Aleks, próbując naśladować jego ospałe zachowanie, niby od niechcenia podał mu dwa paszporty. Eugene podsunął własny z tyłu.

Strażnik przyjrzał się Eugene'owi, a następnie wystękał łamaną angielszczyzną:

– Amerykanin?

– Skądże, pochodzę z Brooklynu – odparł Eugene z idiotycznym uśmiechem. Strażnik spojrział na niego podejrzliwie, najwyraźniej nie umiejąc połączyć mieszkańca Brooklynu z amerykańskim paszportem. Aleks i Jelena mieli ochotę wrzasnąć, aby przestał żartować.

Eugene wytknął głowę przez szybę i uśmiechnął się szeroko:

– Pewnie, że tak. Czemu pytasz? Lubisz Amerykanów?

– Tak, Amerykanie dobrzy. Ronald Reagan to mój wielki bohater. Każdy Słowak kocha Reagana. Kazał Ruskim pocałować się w dupę. Znasz go?

Młody strażnik uśmiechał się życzliwie. Niewielu Amerykanów przekraczało granicę w tym miejscu. Właściwie nie przypominał sobie żadnego. Ten otyły gość na tylnym siedzeniu trabanta był pierwszym Amerykaninem, którego oglądał. Był tym wyraźnie uszczęśliwiony. W lepszym świetle wyglądał na tak młodego, że powinien raczej chodzić do ogólniaka, niż bronić granic ojczyzny. Szczupłej budowy ciała, pryszczaty, o głowie wielkości dyni i dziecinnych rysach twarzy. Pewnie pomyślał, że Ameryka to mały kraj, w którym wszyscy się znają.

– Cóż... pewnie, że znam. To mój dobry kumpel. Bliski przyjaciel – zatrajkotał Eugene. – Ronnie i ja... wiesz, przyjaciele mówią mu Ronnie... jesteśmy dobrymi kolegami.

– Ronnie. To lepsze imię niż Ronald. Bardziej przyjacielskie, nie? – Młody strażnik przeglądał tylne strony paszportu Jeleny. Bez powodu, bo Rosjanie podróżowali bez wiz. – Lubisz go?

– Czy lubię?! Ja go kocham! – oznajmił donośnie Eugene, nie mijając się z prawdą. Ronnie był bogatym gościem z Wall Street, nieodczuwającym najmniejszej skruchy z powodu fortuny, której się dorobił. Nie miał cienia litości dla zdrajców z innego plemienia milionerów, demokratów, którzy robili, co mogli, aby wprowadzić do Białego Domu tych, którzy okradają naród, nakładając nań wysokie podatki. Oprócz tego uznał, że to wspaniały sposób, by odciągnąć uwagę młodzieńca od innych rzeczy. – On i Nancy wpadali do mnie na drinka tyle razy, że przestałem liczyć.

Choć nie było to do końca prawdą, z technicznego punktu widzenia nie można by uznać jego słów za kłamstwo. Kolorowa fotografia Rona i Nancy w

srebrnej ramce, z osobistym autografem i serdecznym podziękowaniem za forszę, którą Eugene wpakował w ich kampanię, stała na honorowym miejscu na kominku. Podczas rozvodu trzecia eks walczyła o to zdjęcie jak potępieniec. Wściekała się z powodu jego romansu i pragnęła na odchodnym wymierzyć mu takiego kopniaka w jaja, aby dobrze ją popamiętał. Musiał zapłacić wygórowaną cenę, aby odpuściła – ona dostała rezydencję w Hamptons, a ulubiona fotografia Eugene'a pozostała na kominku w domu przy Piątej Alei.

– Wysoki jest, prawda? – zapytał strażnik, porównując zdjęcie w paszporcie z twarzą Aleksa.

– Gdzie tam wysoki, to olbrzym. Powiedziałbym, że ma ze... z dziesięć stóp wzrostu.

Chłopak nie miał pojęcia, ile centymetrów ma stopa, lecz sprawiał wrażenie podekscytowanego. Zaczął ponownie przeglądać paszport Koniewicza, bardziej zainteresowany opowieściami Eugene'a niż robotą.

– Skoro jesteś wielkim przyjacielem Reagana, czemu podróżujesz z tymi Ruskimi? – spytał nagle tonem, który trudno byłoby uznać za łagodny.

Wypowiedział to słowo z taką pogardą, jakby miał zamiar wyciągnąć broń i wystrzelić Aleksa i Jelenę pod same bramy Moskwy.

– To starzy przyjaciele – odpowiedział Eugene, myśląc gorączkowo.

Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz zaniepokojenia. Podrapał się w brudną czuprynę i spojrzał ponuro na paszport.

– Koniewicz... gdzieś słyszałem to nazwisko.

– Na pewno – Eugene przytaknął, wyrzucając pospiesznie lawinę słów. – Aleks jest... był... znanym dysydem. To sławna postać. Pisał wspaniałe eseje o upadku komunizmu, które szmuglowano za granicę i wydawano na Zachodzie. Słuchaj, zgadnij, jak się poznaliśmy? No, zgadnij.

Chłopak wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć?

– W Białym Domu! Ronnie nas sobie przedstawił. Powiedział mi w zaufaniu, że to eseje Aleksa skłoniły go, by powiedzieć Ruskim, żeby wynosili się z Europy Wschodniej.

Strażnik pochylił się i przyjrzał uważnie twarzy Koniewicza. Fantastyczne kłamstwo Eugene'a wydało się nagle nieprzekonujące. Może spyta o obrażenia Aleksa? Może nie uwierzył w brednie Eugene'a? A może przypomniał sobie,

dlaczego nazwisko Koniewicza wydało mu się znajome? Aleks i Jelena mieli wielką pokusę, aby wyskoczyć z samochodu i czmychnąć. Rzucić się pędem w stronę najbliższego pola i mieć nadzieję, że chłopak strzela równie dobrze, jak mówi po angielsku. Ścisnęli się za ręce i zaczęli się modlić. Kontrola dokumentów przeciągała się w nieskończoność.

– Skoro jest sławny, czemu podróżuje takim gratem? – spytał w końcu strażnik, kartkując paszport Aleksa.

Jelena wskazała palcem tylne siedzenie.

– To Amerykanin – odpowiedziała, mrugając porozumiewawczo i uśmiechając najpiękniej, jak umiała. – Pomyśleliśmy, że spłątamy mu figla i pozwolimy zakosztować komunistycznej jakości. Narzekał całą drogę.

Strażnik roześmiał się, oddał paszporty Aleksowi, cofnął się i zasalutował.

– Witamy w wolnej Republice Słowackiej. Proszę jechać ostrożnie.

## 10.

Dzięki Bogu podróż na słowackie lotnisko przebiegła monotennie i bez zakłóceń. Słowacja, która przed aksamitną rewolucją wchodziła w skład Czechosłowacji, ogłosiła niepodległość. Niegdyś był to rozwinięty region przemysłowy, pełen fabryk produkujących bomby i karabiny oraz inne paskudne narzędzia wojny na potrzeby Armii Czerwonej. Kiedy interes się urwał, cały kraj zamienił się w miasteczko duchów. Na drogach było niewiele samochodów.

Zatrzymali się w przydrożnej knajpce, w której przesiedzieli kilka godzin, pijąc kawę i próbując nie zasnąć. Aleks o to poprosił. Choć Jelena i Eugene uważali, że to kiepski pomysł, żadne nie chciało się sprzeciwiać. Wystarczyło na niego spojrzeć, aby wiedzieć, że goni resztkami sił. Opadł na krzesło, ledwie mogąc utrzymać głowę. Cały czas rozcierał wybity bark i masował obolałą nogę. Nie potrafili sobie wyobrazić, jak musiała boleć i piec jego napiętnowana klatka piersiowa.

Bicie i tortury pozbawiły Aleksa jego niewiarygodnej energii. Mówił niewiele i tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Formułował krótkie, bełkotliwe zdania cichym szeptem.

Jelena martwiła się poważnie o jego stan. Na Boga, powinien leżeć w szpitalu. Należało prześwietlić mu wszystkie kości, oczyścić i opatrzyć rany, nałożyć maść przeciw oparzeniom na pierś. A później nafaszerować go cudownymi lekami, które usuną ponure spojrzenie i wygnają chichoczące duszki tańczące w jego głowie. Wiedziała, że dźwiga na swoich barkach przygniatające poczucie winy. Obwinał siebie o cały ten bałagan. O to, że był bogaty i wpływowi



ludzie chcieli go okraść. Żałował, że wciągnął w to wszystko ją i Eugene'a.

Teraz dokuczała mu świadomość, że przez niego w tym tkwili.

Przyniesiono kawę i ciasteczka. Zaczęli jeść i omawiać sytuację. Nie wiedzieć skąd Aleks odzyskał energię i podsumował położenie, w którym się znaleźli. Łatwy przejazd przez granicę mógł oznaczać, że jego obawy były przesadne. Z drugiej strony mogli mieć po prostu szczęście. Należy przyjąć bezpieczne założenie. Przypuśćmy, że nadal ich ścigają. Rozwińmy ten scenariusz. Z każdą godziną tamci będą coraz bardziej zmęczeni. Zmęczeni i niedbali. Może uznali, że zdobycz zdołała uciec dalej, niż uciekła. Będą zmuszeni rozwinąć i poszerzyć sieć, a to zwiększa szansę, że uda im się przemknąć. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, wrócą do samochodu i pojadą na lotnisko, aby się rozejrzeć. Jeśli zostało obstawione, plan ten wyrzucą na śmietnik. Wtedy obmyślą inny sposób ucieczki.

Jelena nie była pewna, czy zdoła wymyślić nowy plan, tyle sił włożył w pierwszy. Stworzenie zupełnie nowego chyba nie wchodziło w rachubę.

Siedzieli sobie, popijając kawę – trójka zdenerwowanych ludzi. Po pierwszej kawie Aleks przeprosił ich i odszedł od stołu, wyraźnie utykając. Wrócił, gdy pili czwartą. Opadł na krzesło, nalegając, aby porozmawiali o czymś wesejszym.

Eugene próbował ich zabawić barwnymi opowieściami o swoich nieudanych małżeństwach, o tym, jak zakończyły się burzliwym rozwodem. Jego historyjki były uroczo wulgarnie i całkiem zabawne. Wymyślił przydomek każdej eks, zdradzając przekomiczny talent naśladowniczy. Druga była żona Eugene'a – Dallaszilla – miała odrażający teksański zwyczaj mówienia przez nos, jadła z otwartymi ustami i nie potrafiła wydukać ani słowa bez gwałtownego wymachiwania rękami. Jąkający się wiatrak działający na najwyższych obrotach. Eugene zrezygnował ze swojego nowojorskiego akcentu, naśladowując ją w sposób, który wydał się niemal przerażający.

Była to ta sama eks, która zatrudniła prywatnego detektywa. Później zjawiała się w apartamencie Eugene'a w Plaza, przyłapując go na gorącym uczynku z kochanką. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadła Dallaszilla, wrzeszcząc i wyjąc z furią, tak jak to potrafi jedynie teksańska dama. Gwałtownie wymachiwała rękami i kochanka Eugene'a uznała, że dostała ataku

padaczki, dlatego wykręciła dziewięćset jedenaście. Eugene nie odezwał się do Dallasilli więcej ani słowem. Był wściekły. Nigdy jej tego nie wybaczył. W sądzie trzymał się starej taktyki podsunętej przez prawnika. Zaprzeczał, zaprzeczał i jeszcze raz zaprzeczał, dopóki na sali nie pojawili się trzej ratownicy medyczni i nie potwierdzili, że miał romans. Sędzia była kobietą, niewiastą po dwóch bolesnych rozwodach, bo jej mężowie uganiali się za spódniczkami, a później kłamstwem wyłgali od tego, co uważała za sprawiedliwą ugodę.

Jego prawnik zaklinał się później, że ten błąd kosztował Eugene'a dodatkowych pięć milionów dolarów.

Jelena uznała te opowiadki za przezabawne. Śmiała się do rozpuku. Przez krótką chwilę niemal zapomnieli o ludziach, którzy ich ścigali i próbowali zabić. Aleks zdobył się nawet na kilka wymuszonych uśmiechów – może słyszał te opowieści wcześniej, a może był wyczerpany lub czymś zaaferowany.

O drugiej wyruszyli dalej. Godzinę później, po tym, jak dwukrotnie zgubili drogę, zjechali z autostrady w kierunku lotniska. Jelena zahamowała i oznajmiła:

– Pochylcie się. Okrążę budynek, aby zbadać sytuację.

– Pamiętaj, aby sprawdzić samochody na parkingu – przypomniał jej czwarty raz Aleks. Obaj mężczyźni obsunęli się w fotelach, próbując ukryć się przed niepożądanym wzrokiem.

Jelena wolno objechała lotnisko, poruszając się z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę. Delikatnie hamowała, obracając głowę w prawo i w lewo. Lotnisko przypominało zapadłą dziurę – senny, mały terminal składający się z jednego budynku zamykanego na noc. W środku paliło się tylko kilka świateł. Samotny dozorca w luźnym szarym kombinezonie wodził mopem po podłodze. To wszystko. Nie dostrzegła nikogo więcej w środku ani na zewnątrz.

Kolejnych dwadzieścia metrów i szybkie spojrzenie w lewo. Na parkingu stało zaledwie kilka samochodów. Na szczęście wszystkie były ciemne i puste. Nagle w jednym z nich... tak, była pewna, że w ciemnym samochodzie dostrzegła migotanie dwóch papierosów.

Zwolniła tak, że samochód niemal się zatrzymał. Spoglądała na niego uparczywie, a następnie odzyskała rozum i przyspieszyła, wracając na drogę prowadzącą do stolicy, którą przyjechali.

– Lotnisko jest zamknięte – poinformowała Aleksa i Eugene'a, którzy wyprostowali się w fotelach. Sprawiali wrażenie rozczarowanych. – W jednym z samochodów na parkingu siedzieli jacyś ludzie. Palili papierosy. Jestem pewna, że widziałam przynajmniej dwóch.

– Sądźysz, że to oni? – zapytał Eugene, pochylając się do przodu, aby pomóc Aleksowi się usadowić.

– Myślę, że to para kochanków, którzy nie mieli pieniędzy na wynajęcie pokoju w hotelu. A jak ci się zdaje?

– Tak, myślę, że to oni – odparł Eugene.

– Zapamiętałaś samochód? – spytał Aleks.

– Nie mam pojęcia, nie znam się na markach.

– W porządku. Jaki miał kolor? To ważne, kochanie.

– Biały.

– Nie jasnobrązowy?

– Nie, biały. Jestem tego pewna.

– Duży, mały, średniej wielkości?

– Sedan, całkiem spory. Czterodrzwiowy. Wydaje mi się, że widziałam jakąś ozdobę na końcu długiej maski. Było ciemno, na dodatek czułam się przerażona. Nie mam pewności. Wóz wyglądał na drogi. Chcesz się bawić w trzydzieści pytań?

– Coś w tym stylu. Czy mógł to być jaguar?

– Nie, jestem pewna, że widziałam samochód.

Na tym skończyło się przepytывanie.

Jechali pięć minut w milczeniu. Zaczął padać słaby deszcz. Wycieraczki dziko się przesuwają tam i z powrotem, próbując usunąć wodę z szyby.

– Jeśli cięto ciekawi, terminal otwierają o siódmej. Codziennie o ósmej odlatuje samolot do Nowego Jorku – rzucił ni z tego, ni z owego Aleks.

– Wiedziałaś, że lotnisko będzie zamknięte? – spytał Eugene.

– Przypuszczałem.

– I wiedziałaś, że o ósmej odlatuje samolot rejsowy do Nowego Jorku?

– Co to ma za znaczenie?

– Pewnie żadnego.

– Do Nowego Jorku? – spytała ze zdziwieniem Jelena.

– Tak. Po pierwsze, tylko do tego kraju oboje mamy ważne wizy. Po drugie, Nowy Jork to jedyne miejsce na świecie, w którym będziemy mogli uciec przed tymi typami. Na pewien czas, dopóki nie wyjaśnię sytuacji.

– Zaprosiłbym was do siebie, lecz może być tam Maria. Mieszkanie zamieni się w strefę działań wojennych.

Aleks najwyraźniej nie był w nastroju do słuchania.

– Nie pojedziemy razem – oznajmił. – Pora się rozdzielić.

– Co? – zdziwił się Eugene.

– Szukają trzech osób, Eugene. Uważają nas za amatorów, za wystraszonych i niepewnych amatorów.

Uważają? Z pewnością byli amatorami. A jeśli „niepewnych” oznaczało „śmiertelnie przerażonych”, źli faceci mieli podwójnie rację.

– Widzisz, wystraszeni amatorzy trzymają się w zbitej gromadce. Będą szukali trzech osób. Pora wziąć rozwód, Eugene.

– Nie mógłbyś użyć innego słowa? – poskarżył się Eugene.

Jelena roześmiała się, a Eugene jej zawtórował. Zaczęło im się kręcić w głowie ze zmęczenia i ciągłego napięcia.

Aleks odwrócił się i spojrzał na Amerykanina, na którego twarzy malowało się zatroskanie.

– Eugene, jesteś celem tylko dlatego, że nam towarzyszysz. Zmarnowali szansę zgarnięcia twojej forsy. Nie da się tego odwrócić. Wiedzą o tym. Kimkolwiek są, to zawodowcy. Przestałeś ich obchodzić.

Hola, przecież mało nie dostałem kulki, ścigali mnie i tropili jacyś mafiosi, pomyślał Eugene. To najlepsza rzecz, jaką słyszałem tej nocy. Wysadź mnie o tu, przy drodze. Sumienie jednak nie dawało mu spokoju.

– Słuchaj, tkwią w tym po uszy – odparł. – Jesteście moimi przyjaciółmi. Chciałbym dopilnować, abyście byli bezpieczni. Jesteś pewien, że to dobry pomysł, Aleks?

– W tej chwili nie jestem niczego pewien.

– Oprócz tego, co przed chwilą powiedziałeś, prawda?

– Tak, nie zmienię zdania. Jestem ci winien, żebyś przynajmniej wyszedł z tego cało.

W słowach Aleksa kryła się niepokojąca niewypowiedziana myśl. Najwyraźniej kiepsko oceniał swoje szanse. Eugene spojrział na niego, myśląc, czy mu się nie sprzeciwić, lecz uznał, że to bezcelowe. Aleks najwyraźniej już postanowił.

– W porządku. Co mam robić?

– Podrzucić mnie i Jelenę do najbliższego dużego hotelu w Bratysławie. Znajdź inny hotel i zamelduj się w nim na dobę. Porządnie się wyśpij, wstąp do restauracji ze ślicznymi kelnerkami, zjedz w spokoju obiad, a następnie wróć do Budapesztu i poleć pierwszym samolotem do Stanów. Na pewno do tego czasu ludzie, którzy nas ścigają, uznają, że wyjechałeś. – Widać było, że wszystko starannie przemyślał.

– Co zrobisz, jak wrócisz na lotnisko?

– Zamówimy taksówkę z hotelu. Nie martw się, mam pewien plan.

Dwadzieścia minut później Aleks i Jelena wysiedli pod daszkiem zniszczonego hotelu w centrum Bratysławy. Patrzyli, jak Eugene odjeżdża swoim gratem, terkoczącym i strzelającym dymem z rury wydechowej.

– Teraz możemy pomówić o naszym planie – oznajmił Aleks, zwracając się do Jeleny.

– Nie mogliśmy tego zrobić w obecności Eugene'a?

– Lepiej, aby nie wiedział. Jeśli tamci go dopadną, nic nie wygada.

Stali kilka minut pod markizą. Aleks opowiedział jej o tym, co jego zdaniem się wydarzy.

## 11.

W odstępie trzydziestu minut przed budynek terminalu zajechały dwie taksówki.

Aleks wysiadł z pierwszej, o szóstej czterdzieści pięć rano.

Jelena stanęła na chodniku o siódmej czternaście, minutę wcześniej, niż zaplanowali, choć okazało się, że nie było to pozbawione znaczenia.

Plan był jasny. Jeśli Aleks nie będzie stał przed wejściem i machał ręką, powie kierowcy, aby jechał dalej, i nie obejrzy się za siebie. Jeśli schwyta ją, ona przestanie mieć znaczenie. Chcieli ją złapać tylko po to, aby dotrzeć do niego. Jeśli go złapią, ona stanie się zbędnym bagażem, na którym nikomu nie zależy. To, co pozostało z dwóch tysięcy dolarów amerykańskich, ukryli w jej staniku. Aleks powiedział, aby za te pieniądze poleciała do Ameryki, a następnie skontaktowała się z rodzicami i poprosiła o pomoc. Miała rozpocząć nowe życie, nie oglądając się za siebie.

Na szczęście Aleks stał w odległości dwóch metrów od drzwi i machał ręką do niewidocznej osoby gdzieś daleko. Minęła go i weszła szklanymi drzwiami do biura linii Continental Air. Właśnie sięgała do stanika po pieniądze, kiedy urzędniczka grzecznie oznajmiła, że bilet został już zarezerwowany i zapłacony. Ma miejsce w pierwszej klasie. Chce siedzieć przy oknie czy bliżej przejścia? Wchodzenie na pokład rozpocznie się za piętnaście minut, do tego czasu może skorzystać z sali dla VIP-ów. Nie miała pojęcia, jak Aleks to załatwił. Nie należało to do ich planu. Mimo to uśmiechnęła się uprzejmie do pani za ladą, która przygotowywała bilety i kartę pokładową.

Bilet w pierwszej klasie? Po tym, co przeszli, pomysł wielkiej ucieczki z szampanem i kawiozem wydawał się zbyt piękny, aby był prawdziwy.

Wyczuła obecność tamtego, zanim go spostrzegła. Był mężczyzną w średnim wieku, w eleganckiej szarej wełnianej marynarce. Odwrócił oczy, gdy rzuciła szybkie spojrzenie w jego stronę. Odebrała kopertę z biletem od urzędniczki Continental Air i energicznym krokiem ruszyła w kierunku sali dla VIP-ów. Przez kilka sekund stała odwrócona plecami, a następnie wykonała piruet, który na scenie zyskałby jej owację na stojąco. Spojrzała mu prosto w oczy. Mężczyzna omal nie podskoczył. Nagle uznał, że jakiś magazyn na stojaku z czasopismami interesuje go bardziej od niej.

W pierwszej chwili miała ochotę krzyknąć. Wyciągnąć rękę w jego stronę i zacząć wrzeszczeć ile sił w płucach, aż zjawi się ochrona lotniska, by ustalić przyczynę zamieszania.

Zamiast wrzeszczeć, szła dalej. W końcu była atrakcyjną kobietą. Mężczyźni często się za nią oglądali. Co z tego? Ignorowała ich. Była na krawędzi wyczerpania nerwowego. Paranoicy widzą wielkie włochate potwory z ogromnymi pazurami tam, gdzie inni dostrzegają jedynie wiewiórki. Może i tym razem nie było to nic więcej – mała, smutna, samotna wiewiórka przyglądająca się jej i marząca o czymś, co się nigdy nie ziści. Dotarła do drzwi sali dla VIP-ów i ponownie obejrzała się przez ramię. Znowu on! Bezcześnie szedł za nią. Odrobinę ostrożniejszy, zasłonił twarz magazynem. Szary garnitur zdradzał go z daleka.

Uniosła rękę, aby wydać ogłuszający wrzask, gdy poczuła silną dłoń, chwytającą ją od tyłu. Jej ciało przeszła fala lęku. Odwróciła się na pięcie, gotowa kopnąć, wałnąć i wrzasnąć ile sił w płucach. Na szczęście był to Aleks.

– Nie przejmuj się nim, kochanie. Chodźmy do środka.

Weszła na salę i podążyła z Alekssem do stołu przy ścianie, z dala od okien. Inny mężczyzna w niebieskim wełnianym garniturze siedział zwrócony plecami do ściany i chrupał fistaszki.

– Dzień dobry, pani Koniewicz – powiedział z uśmiechem, między jednym a drugim chrupnięciem. – Jestem Eric. Facet na zewnątrz to Jacob. Wolę nie myśleć o tym, co przeszliście w ciągu ostatnich osiemnastu godzin. Teraz zapomnijcie o zmartwieniach. – Wsunął do ust kolejnego orzeszka. – Jacob

obserwuje drzwi. Poczekalnia dla VIP-ów to mój teren. Dam sobie radę, bez obaw. – Delikatne stuknięcie w czoło. – Jesteśmy waszą eskortą z Malcolm Street. – Akcent i sposób bycia mówiącego był obscenicznie amerykański. Mówił przez nos, bezlitośnie katując samogłoski, miał szeroki, pewny siebie uśmiech, czarne włosy i był wysoki oraz dobrze zbudowany. Eric rozsiadł się wygodnie na krześle, próbując sprawiać wrażenie odprężonego. Jelena nie przeoczyła żadnego szczegółu. Ciało mężczyzny było napięte, gotowe do skoku, do skręcenia karku, jeśli będzie tego wymagać sytuacja. Bezwzględne niebieskie oczy nie przestały lustrować sali, gdy do niej mówił. – Niech się pani rozluźni, pani Koniewicz. Proszę się nie zamartwiać. – Przysunął jej krzesło jedną ręką, drugą podrzucając kolejnego fistaszka, który zatoczył szeroki łuk w powietrzu i bez wysiłku wylądował w jego ustach. Jego oczy ani na chwilę nie przestały lustrować pomieszczenia.

Jelena omal nie padła na kolana i nie ucałowała go. Eric w elegancko skrojonym niebieskim garniturze potrafił pewnie strzelać jednocześnie dwiema rękami, ciskać noże stopami i rozwiązać niemożliwie trudną krzyżówkę, nie opuszczając ani jednej samogłoski.

Podrzucanie fistaszków było jego ulubioną sztuczką. Na jej widok klient zawsze się rozluźniał. Uśmiechnął się ponownie, szczerząc zęby.

– Może chce pani kawy? Proszę nie zapomnieć o ciasteczkach – zasugerował, podrzucając kolejnego fistaszka i rozgniatając go potężnymi zębami.

Aleks ujął ją pod ramię.

– Napijmy się kawy i porozmawiajmy.

Podeszli do przeciwległej ściany, pod którą stał drewniany stół uginający się od ciężaru dzbanków z kawą i herbatą, ogromnych półmisków z ciasteczkami oraz dużych pojemników z jajkami, szynką, naleśnikami i kilkoma papkowatymi maziami, które zdołałby rozpoznać jedynie rodowity Słowak. Nie sposób było oprzeć się zapachowi świeżo zmielonej kawy. Jediną rzeczą, która trzymała ją na nogach, było pięć filizanek wypitych w kawiarni.

Godzinę temu kofeina przestała działać. Aleks podał jej filizankę i spodek.

– Kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniłem do centrali Malcolm Street, mieli naradę. Zastanawiali się, co robić. Na policję zgłosili się świadkowie twierdzący, że widzieli, jak zamordowałem własnego ochroniarza na



lotnisku w Budapeszcie...

- Co? To jakiś absurd, Aleks! Kto tak twierdzi?
- Kobieta. Rosjanka. Zeznanie potwierdził jej rosyjski przyjaciel.
- To absurdalne! Zamordowali twojego ochroniarza i zwalają winę na ciebie?
- Wrabiają mnie – poprawił ją.
- Oszczędź mi lekcji angielskiego, błagam. Zamordowali go?
- Tak, zatrutym sztyletem. Prawdopodobnie w chwili, gdy doszło do naszego porwania. Firma wysłała ekipę, aby wyjaśnić sprawę z węgierskimi władzami.

Jelena nałała sobie drugą filiżankę kawy. Sięgnęła po ciasteczko z tacy, lekko skubnęła i popiła dużym łykiem kawy. Nigdy w życiu nic tak jej nie smakowało.

- Przesłali Erica i Jacoba, aby nas ochraniali?
- Eric i Jacob osłaniają innego klienta w Pradze. Kazano im rzucić wszystko i przyjechać natychmiast. To oni siedzieli w białym jaguarze ostatniej nocy.

Ostrożne skubanie się skończyło. Jelena potężnie ugryzła ciastko, połykając połowę.

- To byli oni? Świątełka papierosów w samochodzie?
- Niezupełnie.
- W takim razie kto? – zapytała.
- Wolałabyś nie wiedzieć.
- Lepiej powiedz, jeśli chcesz jeszcze kiedyś pójść ze mną do łóżka. – Druga połowa ciastka znikła w ustach. Pogryzła je energicznie.
- Skoro nalegasz. Eric i jego partner przyjechali na lotnisko godzinę przed nami. Objechali terminal tak jak my. Tamci szwendali się przed budynkiem. O drugiej w nocy, przed nieczynnym lotniskiem. Nie mogli bardziej rzucać się w oczy. Ktokolwiek za tym stoi, nie ma o nas zbyt wysokiego mniemania. Eric zakradł się i zmusił ich, aby wsiedli do wozu. Świątełka papierosów należały do pary zbirów, których schwytał. Przesłuchiwał ich.
- Co powiedzieli?
- Twierdzili, że nie mają o niczym pojęcia. Szef dał im rozkaz, aby nas

załatwili.

– Jaki szef?

– Nazwisko nic ci nie powie. Nie ma znaczenia. Należeli do syndykatu zbrodni, to szeregowi bandyci, którzy wykonują polecenia.

– Co się z nimi stało? – spytała, mając nadzieję, że spoczywają na dnie jakiejś głębokiej rzeki. Liczyła, że po zamordowaniu ochroniarza, brutalnym torturowaniu jej męża i próbie dokonania trzech kolejnych zabójstw dranie umierali powolną, straszną śmiercią.

– Nie pytałem – odparł Aleks. – Nie sądzę, aby któreś z nas chciało to wiedzieć.

– Nie udawaj takiego kulturalnego. Ja bym chciała.

– Wątpię, aby powiedzieli nam prawdę.

Nagle obok nich zmaterializował się Eric. Wiem, że ich zabiście, chciała powiedzieć. Opowiedz jak, nie pomijaj żadnych szczegółów.

– Pora ruszać na pokład – rzekł Eric, uśmiechając się zachęcająco. – Jacob i ja polecimy razem z wami. Nie mamy miejsc w pierwszej klasie, lecz będziemy siedzieli za wami i mieli wszystko na oku. Rozsiądźcie się wygodnie, pijcie szampana i jedzcie, ile wlezie, aż was brzuchy rozbołają, a później utnijcie sobie drzemkę, dopóki pilot nie powie, że jesteście w Nowym Jorku.

Samolot wystartował dziesięć minut po tym, jak zajęli miejsca. Aleks i Jelena sączyli wówczas drugą lampkę szampana i mieli zamiar pić to aż do Nowego Jorku, chyba żeby się zdrzemnęli.

Jelena ułożyła się wygodnie w fotelu i spytała:

– Czy będziemy mieli ochronę w Nowym Jorku?

– Nie – odparł Aleks, dając znak stewardesie, aby napełniła jego kieliszek. – Moja firma uregulowała należność. Wczorajszej nocy ktoś z wydziału ochrony przesłał faks do centrali Malcolm Street, zrywając dalszą współpracę. Ci, którzy nas ścigają, zadbali o każdy szczegół.

Jelena zamyśliła się nad jego słowami.

– To zły znak, prawda?

– Fatalny. Ten, kto zorganizował nasze porwanie, najwyraźniej przejął kontrolę nad firmami. Przynajmniej na tę chwilę. Eric i Jacob dostarczą nas bezpiecznie do hotelu i odjadą. Później będziemy zdani wyłącznie na siebie.

– Czy ci oszuści zagarnęli wszystkie twoje pieniądze?

Aleks nacisnął plecami oparcie, rozkładając fotel. Szampan miał magiczne działanie, uwalniając go od fizycznego bólu. Zamknął oczy.

– Nie, dopóki nie zdobędą numerów kont i kodów bezpieczeństwa. Są w sejfie w moim gabinecie. Do czasu wyjaśnienia sytuacji nie będę miał jednak dostępu do pieniędzy – powiedział. – Z wyjątkiem dwóch milionów ukrytych w banku na Bermudach. Przesłałem je tam dla zabawy w pewien deszczowy dzień. Nie sądziłem, że kiedyś się przydadzą. Numery rachunków tego funduszu są w mojej głowie. Nie mogą ich tknąć bez względu na to, co się stanie.

– Tylko tyle mogłeś zrobić? – zapytała ze śmiechem.

Nie usłyszała odpowiedzi. Aleks zasnął.

\* \* \*

Trzy pary palców wystukiwały cyfry w zgodnym unisono. Golicyn nie słyszał piękniejszego dźwięku od kliknięć komputerowej klawiatury – cudna harmonia dźwięków, wspaniała symfonia.

Wykonanie transferów trwało dziesięć minut. Przypatrywał się wszystkiemu, stojąc za plecami informatyków, z rękami złożonymi na piersi. Każda minuta sprawiała mu niewymowną radość. Parę kliknięć i kolejnych pięć milionów tu, kolejnych dziesięć tam. Pieniądze wędrowały po całym świecie – potężne elektroniczne zawirowania gotówki, przekazywane z rachunków Koniewicza do banków w Szwajcarii, na Bermudach, Kajmanach i kilku wyspach Pacyfiku o tak trudnych nazwach, że nikt nie zdołałby ich wypowiedzieć. Bez znaczenia! Forsa miała zabawić tam tylko chwilę – nie zdąży się nawet zakurzyć, bo kolejny szereg kliknięć spowoduje, że znikną, przesunięte do innego banku. Ów uroczy proces miał trwać całymi godzinami.

Tego ranka, w ciągu dziesięciu minut od chwili otwarcia, ogromne zasoby gotówki Aleksandra Koniewicza rozpląnęły się w powietrzu. Niemal dwieście milionów rozsypano po całym świecie niczym czarodziejski pył. Cała operacja została zaplanowana z niezwykłą precyzją i przeciwczona tyle razy, że palce operatorów obsługujących terminale stały się sztywne i obolałe.

W południe cała forsa spocznie w jakimś mrocznym skarbcu szwajcarskiego banku, gdzie nie będzie mógł ich tknąć nikt z wyjątkiem Siergieja Golicyna.

W kieszeni miał tajny szyfr do nowego rachunku w innym szwajcarskim banku, do którego tylko on miał dostęp. Prześlizgnie się ukradkiem na górę, wprowadzi liczby na swoim komputerze, który później zniszczy, i prześle całą forszę do dziupli, której nie będzie znał nikt oprócz niego.

Ogłosił trzydziestominutową przerwę na lunch. O trzynastej spece komputerowi zbiorą się ponownie i cały proces zacznie się na nowo. Nie przeleją całej forsy. Jedynie pięćdziesiąt milionów, aby można było oskarżyć Koniewicza o okradzenie własnego banku i ucieczkę w siną dal ze swoją śliczną żoneczką.

Dwaj dziennikarze śledczy „Kommiersanta”, rosyjskiego odpowiednika „Wall Street Journal”, niecierpliwi się na dole. Obiecano im, że usłyszą historię roku o tym, jak to cudowny geniusz, Aleks Koniewicz, okazał się nędnym oszustem. Na szczęście był na tyle przytomny, aby pozostawić list przekazujący firmy i majątek swemu zaufanemu szefowi ochrony.

*Da*, oznajmi im z poważnym skinieniem głowy, przez wzgląd na dwadzieścia tysięcy pracowników i drogich klientów na całym świecie on, generał Golicyn, wzmocni nadszarpniętą reputację i zapobiegnie upadkowi firmy. Czy zauważyliście nowe logo nad głównym wejściem?

Golicyn Associates.

Księga druga

WYGNANIE

## 12.

### *Wrzesień, 1993 rok*

Z Moskwy nie zadzwoniono o dziesiątej, jak obiecano. Aleks stał przy oknie hotelowego pokoju, przyglądając się chaotycznej krzątaniu siedem piętér niżej. W morzu kłębiących się postaci wypatrywał biznesmenów – prawników, finansistów, przedsiębiorców i kanciarzy gnających ulicami hałaśliwego, wielkiego miasta w poszukiwaniu kolejnego interesu.

Myślał o ostatniej transakcji, którą przeprowadził.

Jelena leżała w łóżku, przypatrując mu się czujnym wzrokiem. Bardzo się o niego martwiła, choć starannie to ukrywała. Od wielu dni nie zdejmował płaszczka kąpielowego. Mężczyzna, który jeszcze niedawno pracował bez wytchnienia, w ciągu ostatniego tygodnia prawie nie wstawał z łóżka. Zwykle potrzebował trzech lub czterech godzin snu, aby zregenerować siły. Teraz zbliżał się do dwunastu. Posiłki przynoszone do pokoju były znakomite, co wydawało się zrozumiałe, zważywszy na cenę, którą płacili. Aleks przesuwiał jedzenie po talerzu, zamieniając wszystko w papkę i układając w chaotyczne kupki. Widelc rzadko opuszczał talerz, a jeszcze rzadziej wędrował do ust. Jelena podejrzewała, że schudł przynajmniej osiem kilogramów.

Ciężko pobity, był obrazem nędzy i rozpacz. W odróżnieniu od człowieka cierpiącego na bezsenność nadmiar snu spowodował, że Aleks stał się apatyczny i pozbawiony sił. Zmiana, która w nim nastąpiła od chwili przybycia do Nowego Jorku, niemal trzy tygodnie temu, była bardziej niż zatrważająca.

Po wyjściu z samolotu na lotnisku JFK w Nowym Jorku przeszli przez odprawę celną i złapali pierwszą lepszą taksówkę, aby jak najszybciej dotrzeć na Manhattan, gdzie zatrzymali się w luksusowym apartamencie w Park Plaza. Wzięli krótki prysznic i spali trzy godziny. Później Aleks wyciągnął ją z łóżka. Wybiegli z hotelu i odwiedzili parę sklepów w okolicy, napychając torby nowymi ubraniami, szczoteczkami do zębów, ostrzami i kremem do golenia – podstawowymi rzeczami, aby przetrwać dwa szaleńcze dni wypełnione gorączkowym działaniem.

Moskwa wabiła ich do siebie. Aleks ostrzegł ją, że dwa pierwsze dni upłyną w ponurym nastroju. Najgorszy okazał się początek pierwszego. Jelcyn mógł wysłać samolot wojskowy, aby ich przywieźć z powrotem. Czy powinien o niego poprosić? Nie krył, że się nad tym zastanawia. Nie, poprosi o samolot z silną wojskową eskortą, która powstrzyma złych facetów, opancerzony samochód, który odwiezie ich do domu, oraz armię śledczych, którzy osaczają jego wrogów. Po krótkim wypadzie do zatłoczonego sklepu z artykułami biurowymi za rogiem Aleks wrócił pełen oszalałej determinacji, obciążony papierem, notatnikami, telefonem komórkowym i laptopem. W gorączkowym pędzie znalazł nawet program komputerowy ze znakami cyrylicy.

Jeszcze tego popołudnia przypuścił zmasowany atak na Moskwę. Prowadził tę kampanię ze świetnie wyposażonego centrum biznesowego na parterze hotelu. Pieczołowicie wybrał małe biurko w odległym kącie, gdzie ruch był niewielki. Schludnie rozłożył arsenał długopisów i ołówków, notatniki i sterty papieru maszynowego. Następnie podłączył i uruchomił komputer, nie pozwalając, aby ktokolwiek wkroczył na jego teren.

Mieszkał tam siedem szalonych dni. Bombardował Moskwę telefonami i faksami. Jeśli nie miał w dłoni nowej komórki lub nie był podłączony do linii telefonicznej w centrum biznesowym, rozmawiał przez telefon stacjonarny w pokoju. Czasami prowadził rozmowy z dwóch aparatów jednocześnie. Mówił gniewnym, choć opanowanym głosem. Precyzyjnie i szybko. Za każdym razem coraz zgrabniej opowiadał, co się wydarzyło, skracając i ubarwiając relację przerażającymi szczegółami. Czasami zonglował słuchawkami, przechodząc od jednej rozmowy do drugiej. Tempo słabło jedynie wówczas, gdy Jelena wymusiła przerwanie ognia, aby lekarze i dentyści mogli naprawić szkody wyrządzone przez Władimira. Jeśli wizyta trwała zbyt długo, Aleks rzucał

przekleństwo i wychodził. Noga wolno się goiła. Zrywał się i kuśtykał od jednej lampy do drugiej. Nie mógł się doczekać powrotu na pole bitwy, wystrzelenia kolejnego pocisku z telefonu komórkowego do każdego, kto zechce słuchać, wysłania kolejnej lawiny faksów do każdego, kto obiecał je przeczytać.

Po siedmiu długich, wyczerpujących dniach szturm ustał równie nieoczekiwanie, jak się rozpoczął. Ósmego dnia doszło do małej potyczki – Aleks oddał tylko kilka strzałów bez większego entuzjazmu. W powietrzu pozostało jedynie echo rozpaczliwej, najwyraźniej przegranej bitwy.

– Wracaj do łóżka – powiedziała Jelena, poprawiając poduszkę głośnym, zapraszającym klepinięciem.

– Nie jestem zmęczony.

– Ani ja. Mieszkamy w pięknym apartamencie pośrodku wielkiego miasta. Kochaj się ze mną, Aleks.

– Nie jestem w nastroju. – Chwilę później, nie odwracając się, dodał: – Przepraszam.

– Posłuchaj mnie, Koniewicz. Mam taką ochotę, że przyłapałam się na tym, jak mrugam do bezzębego starego włóczęgi na ulicy. Nazywa się Harry. Jest gruby i brudny, ma tylko jedno oko, lecz całkiem zgrabny tyłek. Włóż do łóżka i stań na głowie, aby mnie zaspokoić, zanim przyjdzie Harry.

Nie odwrócił się. Nawet nie spojrział na skąpą czarną koszulkę, którą kupiła potajemnie w sklepie Victoria's Secret i którą dwie minuty wcześniej nałożyła w łazience. Dwa naparstki nawleczone na tasiemkę byłyby bardziej przyzwoite. Niemal dwieście dolarów za odrobinę tkaniny, lecz właśnie o to chodziło. Postanowiła się umalować, co czyniła niezwykle rzadko. Rozczesała złote loki tak, że mocno lśniły. Skropiła ciało taką ilością perfum, że gruba mgiełka przeniknęła w głąb porów. Chciała mieć pewność. Niczego nie przeoczyła, zadbała o wszystko, dopieściła każdy szczegół. Butelka absurdalnie drogiego szampana chłodziła się w oszronionym kubelku przy łóżku.

Dokładnie zaplanowała i przygotowała uwiedzenie. Zdzieliłaby go w łepotyńę drewnianym młotkiem, gdyby nabrał od tego ochoty.

W ich dotychczasowym pożyciu rzadko obywali się bez seksu dłużej niż trzy dni, jednak od czasu wydarzeń w Budapeszcie Aleks przestał być zawsze chętny i gotowy. Pogrzyżył się w depresji, wpadł w pozbawioną dna otchłań, a Jelena była gotowa zrobić wszystko, co w jej mocy, by go z niej wyciągnąć.



Wstała z łóżka i podeszła do niego z tyłu. Chwyliła go za ramię i odwróciła.

– Spójrz, co dla ciebie kupiłam. Liczyłam, że usłyszysz westchnienie zachwytu. – Mówiąc to, ruszyła przed siebie, bezwstydnie popisując się idealnym ciałem tancerki niczym wyzywająca striptizerka.

Trzy tygodnie temu zdołałaby zrobić najwyżej dwa kroki przed wylądowaniem na łóżku.

Dziesięć kroków. Dwadzieścia. Trzydzieści.

Skrzyżował ręce, ignorując zaproszenie.

Zmysłowy taniec nagle dobiegł końca. Wyprostowała ramiona, wzięła głęboki oddech i spojrzała mu prosto w oczy.

– Do łóżka, ale już! – zażądała, wskazując palcem kierunek.

– Przecież mówiłem, że nie jestem w nastroju.

– Widzę to, Koniewicz. Kupiłam tę głupią koszulkę, pomalowałam rzęsy i ogoliłam nogi, a teraz wyglądam jak dziwka. Zrobiłam to dla ciebie. Nie wykręcisz się, choćbym miała cię zabić.

Spojrzał na jej rozszerzone nozdrza, ciskające gromy niebieskie oczy i zaciśnięte pięści, a następnie dokonał jedyne go sensownego wyboru. Szybko i pokornie wycofał się do łóżka. Usiadł sztywno na krawędzi, na tyle, by ją udobruchać, a jednocześnie zasygnalizować swoją upartą obojętność.

Usiadła po drugiej stronie. Założyła nogę na nogę, przez chwilę nie mówiąc ani słowa.

– Powiedz mi, co się dzieje. To także moje życie, a ty zachowujesz wszystko dla siebie.

– Wolałbym o tym nie mówić.

– A ja wolałabym, żebyś powiedział. Nie, żądam tego!

– Czy to małżeńska sprzeczka?

– Jeszcze nie – odpowiedziała, przyciągając poduszkę i wtykając ją sobie pod plecy. – Lecz rozpętam krwawą wojnę światową, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi. Wiesz, że nie blefuję.

– Nie chciałem, abyś wpadła w depresję.

– Twoja depresja powoduje, że dostaję depresji. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, że mogliśmy stracić wszystko. Właściwie byłabym rada, gdyby w tej zatęchłej rezydencji zamieszkał ktoś inny.

– To dobrze, bo wszystko straciłem. Pieniądze, domy i firmy... wszystko.

- Sądziłam, że pieniądze są bezpieczne.
- Najwyraźniej znaleźli numery kont i kody dostępu. Byli lepiej przygotowani, niż sądziłem.
- Cóż... to tylko pieniądze, kochany.
- Jeden lub dwa miliony to tylko pieniądze, Jeleno. Dwieście milionów i papiery wartościowe na kolejnych sto pięćdziesiąt zasługują na nieco lepsze określenie niż „tylko pieniądze”, nie uważasz?

Nie miała pojęcia, że było tego aż tyle.

- Jelcyn na to nie pozwoli, przecież wszystko ci zawdzięcza, Aleks.
- Westchnął głęboko.
- Nie mam dostępu do Jelcyna. Dzwoniłem do jego biura setki razy, zalałem je setkami faksów.
  - Może jest zajęty. Wiem, że ta sprawa jest dla nas niezwykle ważna, lecz Borys Nikołajewicz może mieć na głowie kilka innych problemów.
  - Nie, unikają mnie. Kiedy dzwonię, odsyłają mnie od jednego asystenta do drugiego. Już ja wiem, co się dzieje.
  - Co?
  - Ktoś w kancelarii pociąga za sznurki. Ktoś sprytny i wpływowy unieвозмоżliwia mi dostęp do Jelcyna. Za każdym razem nowy asystent, za każdym razem muszę zaczynać wszystko od początku. Robią to na zmianę. Chcą mnie zmęczyć. Skuteczna metoda.
  - Jesteś sprytniejszy od nich, kochanie. Zmień taktykę.
  - Myślisz, że tego nie zrobiłem? Próbowałem każdej drogi na Kreml, która mi przyszła do głowy. Rozmawiałem z ministrem spraw wewnętrznych, sekretarzem rady bezpieczeństwa, ministrem finansów, merem Moskwy, nawet dyrektorem banku centralnego.
  - Co powiedzieli?
  - Że moja opowieść brzmi okropnie i że przyjrzą się sprawie. – Odwrócił się i spojrzął w okno. – Tak mówili tydzień temu. Teraz nie odpowiadają na telefony.

Wyciągnęła butelkę szampana z kubelka. W ciągu długich dni i nocy, które spędzili uwięzieni w hotelu, zdołała zaprzyjaźnić się tylko z jedną osobą, Amber Lincoln, korpulentną, serdeczną Murzynką, która prowadziła centralę telefoniczną w hotelowej piwnicy. Podczas tygodnia gorączkowej aktywności

Aleks ignorował ją i pracowników centrali, którzy rwali włosy z głowy, aby nadażyć z łączeniem rozmów do Rosji. Jelena pomyślała, że powinna podziękować za ich pomoc, przynosząc jedzenie, a od czasu do czasu butelkę wina.

Była to jej jedyna ucieczka od napadów aktywności Aleksa, a teraz od jego mrocznego nastroju.

Szampan i seks były już poważnie przeterminowane.

Delikatnymi palcami rozerwała aluminiową blaszkę i podała butelkę Aleksowi.

– Jak myślisz, kto macza w tym palce?

– Siergiej Golicyn.

– Twój szef ochrony? Ten wstrętny stary gad?

– To on za tym stoi. On i jego zbiry z dawnego KGB. Przejął moją firmę, a nawet miał dość tupetu, by nazwać ją swoim nazwiskiem. Ukradł wszystko, co zbudowałem. Wszystko! Teraz mieszka sobie wygodnie i szczęśliwie w naszym domu.

Może go sobie zatrzymać, pomyślała, lecz powiedziała co innego.

– Wszyscy wiedzą, że to twoja firma. Nie może ukraść jej jakby nigdy nic.

– Tydzień temu zwolnił wszystkich wiceprezesów. Wezwał ich do mojego gabinetu i nakazał natychmiastowe opuszczenie budynku. Uzbrojeni ochroniarze wyrzucili ich na ulicę. Pamiętasz Miszę? Powiedział, że była to najbardziej przerażająca chwila w jego życiu. Zanim zostali wezwani, zbiry Siergieja Golicyna zajęły ich gabinety. – Aleks otarł oczy, spoglądając w przestrzeń. – Wszyscy ci przyzwoici, ciężko pracujący ludzie znaleźli się na ulicy bez grosza. To moja wina.

– Jak to?

– Byłem głupi. Gorzej, lekkomyślny. Byłem tak poruszony zabójstwami, że wprowadziłem Golicyna do firmy. Od początku planował jej przejście. Jestem głupcem.

– Nie, jesteś niezwykle błyskotliwy. Jesteś najbardziej utalentowanym człowiekiem, jakiego znam. Po prostu myślisz inaczej niż oni. – Wzięła butelkę, którą kurczowo ścisnął w rękę. Chociaż nie zwykł użalać się nad sobą, znajdował się w pożałowania godnym stanie. Pomyślała, że to zrozumiałe, bo ukradziono mu wszystko i wywrócono życie do góry nogami.

Aleks odebrał butelkę. Jeden głośny wystrzał i złoty płyn zaczął spływać na dywan. Butelka kosztowała dwieście dolarów. Każda kropelka była cenna. Zeskoczyła z łóżka, pospiesznie sięgając po kieliszki.

– Pięć dni byłem na czołówkach wszystkich moskiewskich gazet. Oskarżono mnie o obrabowanie własnych banków i ucieczkę z pieniędzmi. Dasz wiarę? Ukradli pieniądze i mnie oskarżyli. Moskiewska prokuratura wszczęła dochodzenie. Zostałem wrobiony i nie mogę się bronić, bo wyjechałem. Z pewnością doprowadzą do wyroku skazującego.

Podawała mu parę wysokich kryształowych kieliszków do szampana, które pozyczyła w restauracji na parterze. Napełnił je powoli, jeden dla niej, drugi dla siebie. Chwyciła kieliszek i przysunęła się odrobinę. To, co usłyszała, nie było dla niej niczym nowym. W ciągu ostatnich dni przemykała się potajemnie na dół i dzwoniła do Rosji. Miała własne źródła, z których nie wahała się skorzystać, skoro mąż utrzymywał ją w niewiedzy.

Rodzina i garstka przyjaciół poinformowali ją, co się stało. Poznała całą ponurą opowieść. Przez kilka koszmarnych dni Koniewicz był głównym tematem rozmów mieszkańców Moskwy, a właściwie całej Rosji. Historia była tak intrygująca, że media oszalały – pokazywano relacje w telewizji, zamieszczano artykuły w gazetach i magazynach. Aleks został osądzony i skazany. Geniusz milioner stał się zbiegiem. Zdefraudował pieniądze i wyjechał z kraju. Pod zewnętrzną warstwą blichtru i splendoru, za tajemniczą fasadą geniusza okazał się zwykłym oszustem, rabusiem w eleganckim garniturze, o przerośniętym ilorazie inteligencji.

W dniu, gdy ogłoszono najnowsze wiadomości, klienci w popłochu rzucili się do banku Koniewicza. Po dwóch przerażających dniach temperatura nieco opadła i zapanowała umiarkowana panika. Rzekomo ukradziono jedynie pięćdziesiąt milionów – niewielką kroplę w morzu środków. Nadal jego bank oferował najwyższe odsetki. W telewizji pojawiły się ponownie reklamy z piękną dziewczyną uwodzącą mężczyzn odsetkami i ckliwą starszą parą z dumą spoglądającą na swojego lśniącego mercedesa. Większa część pieniędzy, które szybko wypłynęły, powróciła leniwie do banku.

Jak to zwykle bywa, pierwsze doniesienia były lakoniczne, krótkie i krzywdząco niesprawiedliwe. Znano niewiele faktów prócz podstawowego, że

Aleksander Koniewicz był kłamliwym, przebiegłym oszustem, który czmychnął z forszą. Jednak ktoś podsuwał co chwila więcej wskazówek, podsycając zainteresowanie, choć ogień wcale nie potrzebował podpałki. Artykuły stawały się coraz dłuższe, a kłamstwa coraz bardziej sensacyjne i zwodniczo toksyczne. Aleks ukradł pięćdziesiąt milionów, sto milionów. Miliard! Zaszył się gdzieś w brazylijskiej dżungli, w pałacu strzeżonym przez krwiożerczych *banditos* i teraz pokazuje wszystkim środkowy palec, wzywając, by ruszyli za nim w pościg. Posługując się fałszywymi dokumentami, zapisał się do jednej z kalifornijskich klinik odwykowych i tańczy cumbayha z naćpanymi, zamroczonymi hollywoodzkimi mętami. Albo ukrywa się w Moskwie w luksusowej tajnej rezydencji chronionej przez gangsterów i zabójców w zamian za część łupu.

Teorie na temat miejsca pobytu i motywów działania Aleksa zmieniały się z każdym dniem. Aleks nie wytrzymał presji i wybiegł z banku, śmiejąc się nieprzytomnie, z torbami na zakupy pełnymi banknotów. Aleksander Koniewicz od początku planował kradzież, wszystko, co robił, stanowiło prelude do wielkiego skoku. Jedyłą zagadką był powód, dla którego zwlekał tak długo. Aleks miał zawsze dwa oblicza i w końcu szanowany Jekyll ustąpił miejsca nikczemnemu Hyde'owi. Na czołówkach gazet trwała wojna – każde pismo starało się prześcignąć rywala najnowszymi sensacyjnymi wiadomościami, najdziwniejszymi podejrzeniami. Gazeta, która kiedyś ochrzciła go „Dziekiem o dotyku Midasa”, teraz nazywała go „Dziekiem o lepkich palcach”.

Na szczęście dla Aleksa Rosjanie byli zblazowani i podejrzliwi. Siedemdziesiąt lat manipulacji i wypaczeń komunistycznej propagandy sprawiło, że absurdalne wiadomości musiały wywołać niewiarę. Oprócz tego wymyślanie spisków jest cechą rosyjskiej duszy, a opowieść, która sięgnęła bruku, obfitowała w rozliczne możliwości. Długie lata służby Siergieja Golicyna w KGB nie okazały się dlań korzystne. Afera wyglądała tak, jakby zmajstrowali ją źli faceci z Łubianki, a powszechnie wiadomo, że stara ropucha nie zmienia dawnych nawyków. Podejrzewano nieczystą grą, chociaż nikt nie potrafił wskazać, jak Golicyn to wszystko przeprowadził.

Na dodatek absurdalny pomysł, że Aleks okradł własny bank i przed ucieczką zadał sobie trud, by zgodnie z prawem przepisać wszystko, co posiadał, nie swoim współnikom, lecz akurat szefowi ochrony – wyglądał bardzo podejrzanie. Czy miało to jakiś sens? Czemu Koniewicz miałby się przejmować

tym, kto zgarnie ędzne okruszki, które pozostawił? Dlaczego zabrał tylko pięćdziesiąt milionów? Człowiek, którego majątek szacowano na miliardy? Czemu miałyby narażać reputację dla garści drobnych? Skoro był gotów ukraść pięćdziesiąt milionów, dlaczego zostawił miliardy?

Mimo to niewielu sceptyków żalowało Aleksa. Ktoś doprowadził do upadku bogatego człowieka, wielka rzecz! Właściwie to nawet zabawne. Żył i umarł dla dolarów, taka opinia dominowała w narodzie byłych komunistów. Oprócz tego nic tak nie raduje przeciętnego Iwana, jak rzucenie na kolana możnych i bogatych. O upadku Koniewicza rozprawiano przy obiedzie, nie kryjąc zadowolenia.

– Co dalej? – spytała Jelena, pijąc szampana.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Próbowałem wszystkiego, co mi przyszło do głowy.

Przytuliła się do niego. Między kolejnymi łykami szampana i wyjaśnieniami spoglądał ukradkiem na jej skromne wdzianko. Opuściła lewe ramięczko, pozwalając, aby opadło.

– Czy może nas spotkać coś gorszego, Aleks?

– To, co nas spotkało, jest najgorsze.

– Mylisz się. Mogliśmy zginąć w Budapeszcie.

– Rzeczywiście. Nadal możemy zginąć, jeśli wrócimy do Moskwy.

– Czy mogą nas tam przewieźć siłą? Nic nam nie zrobią, przecież Stany nie mają umowy ekstradycyjnej z Rosją. Dopóki jesteśmy w Nowym Jorku, mogą nas oskarżać do woli. Jeśli spróbują, po prostu nie wyjedziemy z Ameryki.

– Nie będziesz tęsknić za Rosją?

– Troszeczkę, ale lepiej być żywym gdziekolwiek niż martwym w Rosji. Jedno będzie musiało się zmienić.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Tkwimy w tym razem. Nie mieszałam się do twoich interesów Moskwie. Nie musiałam i, szczerze mówiąc, nigdy mnie to nie pociągało. Teraz życie uległo zmianie. Wraz z nim zmieniło się nasze małżeństwo.

– Jak mam to rozumieć?

– Od tej pory informuj mnie o wszystkim niezależnie od tego, jak ponure będziesz miał wieści. Chociaż jestem przerażona, nie mam w sobie nic z

porcelanowej lalki i nie chcę, aby mnie tak traktowano.

- Przepraszam.
- Nie przepraszaj. Kocham cię i chcę pomóc.

Objął ją. Przewróciła się na plecy, pociągając go za sobą. Kieliszki potoczyły się na dywan. W pierwszym długim, uwodzicielskim pocałunku skondensowała się więziona trzy tygodnie energia i frustracja zrodzona z utraty trzystu pięćdziesięciu milionów dolarów w gotówce i papierach wartościowych.

Droga kusa koszulka poszybowała w powietrzu, lądując na abażurze lampy. Aleks przerwał na chwilę, aby zapytać:

- Kiedy ma się tu zjawić bezdomny Harry?

## 13.

Czarna limuzyna z włączonym silnikiem stała na pustym parkingu górującym nad lodowatą rzeką Moskwą. Był koniec września. Niebo zasnuwały ponure, szare chmury. Zbliżała się kolejna długa i surowa zima, zapowiadając swoje nadejście pierwszą falą chłodu. Kierowcy kazano wyjść z samochodu. Stał w ciemności, w odległości sześciu metrów od wozu, paląc papierosa, dygocząc z zimna, przestępując z nogi na nogę i co chwila spoglądając z rozgoryczeniem na ogrzewaną limuzyną.

Z tyłu siedziały trzy osoby.

Uzgodnili, że będą się spotykać co tydzień lub dwa. Łączyły ich pieniądze i pewne trwałe uczucie, które nakazuje złodziejom trzymać się razem – wyjątkowa nieufność. Z oczywistych powodów nie mogli się spotkać w miejscu publicznym, więc Golicyn wziął na siebie organizowanie potajemnych rendez-vous.

Tatiana Łukina siedziała pośrodku, zgrabnie eksponując wspaniałe nogi, na które nie można było nie zwracać uwagi. Dwaj mężczyźni obok niej – Golicyn z lewej i Nikoła z prawej strony – z największym trudem znosili swoje towarzystwo. Nikoła z zasady pogardzał wszelką władzą, a szczególnie władzą sprawowaną przez Siergieja Golicyna.

Obaj panowie byli arogancy, samolubni, bezczelni, porywcy i zepsuci do szpiku kości. Mieli ze sobą tyle wspólnego, że było to przerażające. Jeden miał inteligencję, drugi fizyczną krzepą, więc aby wszystko działało jak należy, musieli trzymać się razem. Ona była kobietą, więc potrafiła nad nimi zapanować. Bez Tatiany Łukiny w roli rozjemcy w ciągu kilku sekund zaczęliby się



dusić. Na szczęście Tatiana lubiła być potrzebna.

– Nie wiem już, ile razy dzwonił – mówiła. – Pewnie z tysiąc. Przeprowadziliśmy w biurze ankietę. Operatorzy w piwnicy otrzymali arkusz dziennych połączeń, w którym zaznaczają, kto dzwonił. Jelcyn nadal nie ma pojęcia, że Koniewicz próbuje się z nim skontaktować. Widział streszczenie doniesień prasowych i słyszał...

– Jak zareagował? – przerwał Golicyn.

– Wezwał mojego... szefa kancelarii – dodała tytułem wyjaśnienia, zwracając się do Nikoły. – Powiedział, że to niepodobne do Aleksa. Kazał go odnaleźć, chce osobiście z nim pomówić. Spytał szefa, co o tym sądzi.

Golicyn uśmiechnął się i zatarł dłonie.

– Jestem pewien, że zdążyłaś mu wytłumaczyć, co o tym sądzi.

Sprawa była tak oczywista, że nie wymagała odpowiedzi.

– Powiedział Jelcynowi, że zawsze uważał Koniewicza za przebiegłego oszusta. Czarującego i uroczego kanciarza. Oczywiście, nikt nie może dojść do takiego majątku uczciwą pracą. Taką forszę można jedynie ukraść. Dodał, że zawsze powtarzał, iż Jelcyn dopuszcza Koniewicza zbyt blisko. Niezależnie od emocjonalnych i politycznych więzi, które ich łączyły, jedynym namacalnym ogniwem były pieniądze. Koniewicz nie przekazał mu forsy z czystej dobroci serca. Na dodatek Duma roi się od wojowniczych byłych komunistów, którzy chcą go pozbawić jaj. Jelcyn balansuje na krawędzi, próbując ich ugłaskać i zadowolić sfrustrowanych reformatorów z własnego obozu. Zawsze grozili, że postawią go w stan oskarżenia i oto Aleksander Koniewicz pojawia się na czołówkach gazet. Jelcyn z pewnością nie potrzebuje takich znajomych.

Nikoła ziewnął przeciągle. Polityka śmiertelnie go nudziła. Było mu absolutnie obojętne, czy władzę sprawują demokraci, komuniści czy gołe pedały. Jego interesy były kuloodporne niezależnie od tego, jacy idioci dzierżyli władzę.

– Czy Jelcyn to kupił? – zapytał Golicyn.

– Nie, choć z drugiej strony wie, że i bez tego ma dość problemów. W całym mieście aż huczy od plotek o jego córce szlajającej się po mieście. Tatiana Djaczenko zachowuje się tak, jakby zawiesiła sobie na szyi tabliczkę z napisem „Jestem małą córeczką tatusia – postaw tutaj torby z forszą, a owinę sobie tatka wokół małego palca i zaniósł łupy do domu”.

Nikoła podniósł głowę, słysząc o korupcji na najwyższych szczeblach władzy.

– To prawda?

– Tak. Radzę ci, trzymaj się od niej z daleka – ostrzegła Tatiana, mrugając porozumiewawczo. – Nie wie, że prokurator generalny prowadzi śledztwo w jej sprawie. Zawsze łążą za nią tajniacy, wszędzie zainstalowano podsłuchy.

Nikoła roześmiał się, głośno klepiąc się po udach. Drań nie lubił ukrywać, co czuje.

Golicyn mruknął coś pod nosem. Oczywiście, wiedział o córce Jelcyna. Mógł nawet oświecić Tatianę, ile Miss Piggy ulokowała w szwajcarskim banku. Mógł podać numery kont oraz to, kto i dlaczego przekazał jej pieniądze. Była to jednak bezcenna wiedza, którą nie zamierzał się dzielić.

– Coś ci powiem, mała – oznajmił Nikoła, pochylając się nad Tatianą i kładąc jej lubieżnie lewą dłoń na udzie. – Musimy dopaść Koniewicza. Możesz ustawiać te swoje przeszkody, lecz w końcu facet znajdzie sposób, by je pokonać. Pomyślałaś o tym?

Na twarzy Siergieja Golicyna pojawił się grymas irytacji.

– Zajmiemy się tym – syknął do Nikoły.

– Naprawdę? Tak jak za pierwszym razem? – warknął Nikoła.

– Pilnuj swojego nosa.

Tatiana poczekała, aż panowie się uspokoją, a następnie zapytała Siergieja Golicyna:

– Gdzie jest forsa?

– W bezpiecznym miejscu.

– Wiem. Gdzie?

– Nie twoja sprawa.

– Jak chcesz. Udzielić ci małej rady?

– To zależy.

– Nie bądź taki, Siergiej. Spytałam dla dobra nas wszystkich.

Golicyn prychnął i spojrzął przed siebie. Brednie. Gdyby miała okazję, okradłaby go do gołego.

– Czy wiesz, dlaczego Koniewicz był tak popularny wśród Jelcyna i jego ludzi? – ciągnęła Tatiana. – Z powodu pieniędzy. Sfinansował wybór Jelcyna. Załatwił im wszystkim robotę. Dosłownie. Niedługo następane wybory. Wierz

mi, wszyscy są przerażeni. Ludzie obwiniają Jelcyna o spowodowanie całego tego chaosu. Jest tak popularny, że piszą o nim w szaletach. Trzeba będzie mnóstwo gotówki, aby go stamtąd wyciągnąć. Wszyscy tęsknią za panem Krezusem.

– Zakładasz, że za rok będzie jeszcze żył.

– Niczego nie zakładam. Mówię jedynie, że otwierają się możliwości dla kogoś, kto jest wystarczająco sprytny i bogaty. Kogoś, kto wpompuje gotówkę w wielką wyrwę, którą pozostawił po sobie Koniewicz. Czemu my nie mielibyśmy tego zrobić?

Golicyn zadumał się nad jej słowami. Właściwie czemu nie? Wystarczył milion, aby mieć ogromny wpływ. Z kilkoma milionami, we właściwym ręku i właściwej chwili, kto wie? Sprawa była oczywista – zaskoczyło go tylko to, że sam o tym nie pomyślał. Zaciągnął się kilka razy papierosem, udał, że się zastanawia, a następnie skinął głową.

– Zróbmy to.

– Dobra decyzja – przytaknęła Tatiana. – Przekaż je przeze mnie. Dopilnuję, aby wszyscy wiedzieli, skąd pochodzi forsa. – I kto na Kremlu załatwił im ten zastrzyk gotówki, choć, oczywiście, nie było potrzeby, aby w tej chwili o tym wspominać.

– O jakich pieniądzach mówimy? – spytał Golicyn, zaniepokojony o swoją forszę.

– Niewielkich. Na początek sto lub dwieście tysięcy miesięcznie. W miarę zbliżania się wyborów, zwiększymy datki. Wywrzemy realny wpływ.

Starannie wszystko przemyślała, dopracowała najdrobniejsze szczegóły – tajne konta bankowe, pośrednicy, pranie forsy i tak dalej, jednym słowem, typowa architektura łapownictwa i przekupstwa na wielką skalę. Jak na ironię pieniądze Koniewicza, którymi się posługiwali, aby go zastąpić, dla żadnego z nich nie były stracone. Właściwie Golicyn przyjechał na spotkanie z własnym pomysłem na zainwestowanie gotówki Aleksa i z niecierpliwością czekał, by go przedstawić. Sugestia Tatiany była trafna, więc pozwolił jej chwilę trajkotać.

Kiedy skończyła, powiedział:

– Zatem zgoda? Prawda, że tak będzie ładnie?

Nikoła, który wyglądał przez okno, na chwilę zapomniał o swoim przykrym

cynizmie, podniósł głowę i przytaknął:

– Tak, to uroczy pomysł.

Tatiana leciutko skinęła głową.

– Czemu mielibyśmy poprzestać na Koniewiczu? – spytał Golicyn, zmieniając pozycję i spoglądając na pozostałych. – Wokół aż się roi od małych Aleksów. Prowadzą firmy budowlane i banki zarabiające grube miliony, które tylko czekają, by je zgarnąć.

Tatiana udała, że się zastanawia, choć myślała o tym od dawna. Zaskoczyło ją jedynie, że Golicyn potrzebował tyle czasu, aby na to wpaść. Od początku traktowała Aleksa jak królika doświadczalnego, dzięki niemu mieli sprawdzić, czy zdołają zgarnąć kasę i uciec. Udała głupią.

– Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? – spytała.

– Następnym razem będzie łatwiej, wiesz, mniejsze ryzyko. Żaden z nobogackich dzieciaków nie ma tak serdecznych stosunków z Jelcynem jak Koniewicz. Wiemy, jak działa system, i mamy dość gotówki na każde przedsięwzięcie, które nam przyjdzie do głowy. Pójdzie jeszcze lepiej niż poprzednio.

– A co ja będę z tego miał? – spytał zgodnie z przewidywaniami Nikoła.

W Tatianie obudziła się prawniczka, którą była z zawodu.

– Dostałeś tyle, ile było w umowie. Masz sprawiedliwy udział w zyskach, a banki Koniewicza piorą twoją forszę. Ty i twoi kumple z syndykatu wywieracie piorunujące wrażenie. Zamieniliście Moskwę w krwawą strefę działań wojennych. Rosjanie chcą porządku i prawa. Ostatnio to bardzo drażliwy temat na Kremlu. Świat zwraca baczną uwagę na wasze hulanki i zabawy. Jelcyn ma dość wysłuchiwanie kazań od Amerykanów i Niemców, jak zapanować nad światem przestępczym.

– Gadanie, puste gadanie.

– Właśnie, że nie. Już nie. Uwierz mi.

– Najpierw będą musieli nas złapać.

– Kiedy ty się przystosujesz do nowych reguł? Teraz ludzie głosują, Nikoła. Wyrażają swoją dezaprobatę podczas wyborów. Jelcyn wie, że musi odnieść efektowne zwycięstwo na froncie prawa i porządku, i to szybko. Szykuje się wielka rozprawa. Wielu trafi do pudła, zapewniam cię.

– Wpadną najgłupszi.

- Racja, mądrzejsi, tacy jak ty, zdołają wyprzedzić zmiany.
  - Lubię swoją robotę.
  - Ile zarobiłeś w ciągu ostatniego roku? – spytała.
  - Dużo.
  - Skończ z tymi gierkami, Nikoła. Ile?
  - Miliony. Sam nie wiem. Trzydzieści, może pięćdziesiąt. – Raczej dwadzieścia, lecz nie chciał się wydać płótką w porównaniu z Siergiejem Golicynem.
  - Nieźle – skomentowała Tatiana, unosząc brwi. – A ile w tym czasie zarobił Koniewicz?
  - Domyślam się, że całkiem sporo – odpowiedział Nikoła, zaciskając zęby. – Nie mam pojęcia.
  - Około dwustu milionów. Są inni, tacy jak on, którzy wkrótce będą zgarniać miliardy. I to legalnie.
  - Miliardy?
  - Miliardy – powtórzyła chłodno, jakby słowo „miliard” nabierało tym większej wartości, im wolniej się je wypowiada. – Pora podbić stawkę, Nikoła. Wypełnić z rynsztoka. Jeśli cię to bawi, możesz sobie zachować burdele i narkotyki, lecz prawdziwa forsa jest w wielkim biznesie. Tam gra się o miliardy, Nikoła. Miliardy.
- Spodobało mu się to słowo. Tak pięknieje wymówiła, że mogła je powtarzać, ile tylko chciała.

Gawędzili jeszcze minutkę – podczas gdy szofer zaczął odmrażać sobie palce – i w końcu uzgodnili równy podział pracy i obowiązków. Golicyn zbada możliwości, wytypuje obiekty i użyje swoich pokretnych talentów, aby zaplanować porwanie. Zrobili to już raz, plan nadawał się idealnie dla następnej ofiary. Tatiana zadba o polityczny parawan i otworzy im drogę do serca ludzi Jelcyna, a Nikoła będzie się nadal zajmował dziwkami, narkotykami i kradzionymi samochodami, czekając na właściwy moment, kiedy mu powiedzą, kogo trzeba nastraszyć, wygnać z kraju lub zamordować.

Rozmowa skończyła się na tym, od kogo się rozpoczęła – na Aleksie Koniewiczzu. Nikoła chciał go wyeliminować. Wszystko jedno jak, byle szybko. Facet musiał być martwy. Działając w branży kierującej się nielicznymi zasadami, Nikoła był gorącym orędownikiem jednej: im mniej świadków, tym lepiej.

Także Golicyn pragnął śmierci Koniewicza. Chciał, aby był bardzo, ale to

bardzo martwy. Zdolny do odczuwania jedynie bezdusznej obojętności i oszalałej furii, wykształcił w sobie morderczą obsesję na punkcie Koniewicza. Wiedział, że to niezdrowe, lecz nie potrafił nad tym zapanować. Zwyczajnie lubił rozmyślać, jaką śmiercią umrze Aleks.

Chociaż żadne o tym nie wspomniało, gdyby Koniewiczowi udało się w końcu nawiązać kontakt z jego dawnym kumplem Jelcynem, wszystko mógłby szlag trafić. Pijaczyna miał ogromny dług u cudownego chłopca. Niezależnie od zabiegów Tatiany Koniewicz w końcu do niego dotrze – zbyt wiele było słabych ogniwi, podejrzanych związków, zbyt wiele dziur. Jak w każdym spisku przestępczym w nieuchronny sposób zwróciliby się przeciwko sobie. Każde z nich doskonale wiedziało, że z radością powiesiłoby dwoje pozostałych, gdyby okazało się to konieczne.

Uczciwe dochodzenie prowadzone przez choćby w połowie uczciwego i kompetentnego urzędnika mogłoby się skończyć katastrofą.

Tatiana w zaufaniu zapewniła Siergieja Golicyna i Nikołę, że przygotowała plan dla ich przyjaciela Aleksa i kazała cierpliwie czekać na sygnał.

\* \* \*

Połączenie szampana i seksu dało magiczne rezultaty. W ciągu trzech ostatnich nocy Aleks przesypiał już tylko sześć godzin. Ponownie zaczął jeść, a nawet ćwiczyć dwie godziny rano w dobrze wyposażonej hotelowej siłowni.

Wycierał się po wzięciu prysznicza po forsownych porannych ćwiczeniach. Jelena leżała na łóżku, pogryzając grzanek i przeglądając poranną gazetę. Właśnie dostarczono smakowite śniadanie dla Aleksa, złożone z jajek, bekonu, grzanek i świeżej kawy, gdy zadzwonił telefon.

– Tak, jest tutaj – odpowiedziała Jelena, podając słuchawkę mężowi. – Jakiś urzędnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Aleks odebrał słuchawkę i się przedstawił.

– Mówi pułkownik Leonid Wolewoj, specjalny doradca ministra spraw wewnętrznych – oznajmił nieznanomy głębokim, irytująco rozkazującym tonem wojskowego.

– Czym mogę służyć? – odparł uprzejmie Aleks.

– Przekazano mi numer pańskiego telefonu. Tydzień temu minister poprosił mnie, abym rozpatrzył pańską skargę.

- Proszę mu przekazać moje podziękowanie. Do jakich wniosków pan doszedł?
- Do jakich wniosków doszedłem? Cóż, natrafiłem na pewne... pewne sprzeczności i niespójności w waszej historii.
- Sądzi pan, że ją zmyśliłem?
- Proszę mi niczego nie imputować, panie Koniewicz. Dostrzegłem jednak ogromne luki w oficjalnych raportach.
- Możemy o nich porozmawiać?
- Zgoda. O piątej rano poleciełiście rejssem dwieście dziewięćdziesiąt do Budapesztu...
- Tak, ja...
- Nie przerywajcie, Koniewicz. Będę mówił, a pan będzie słuchał, dopóki nie zapytam. Jasne?

Arogancja Wolewoja była tak wielka, że facet musiał być tym, za kogo się podawał – biurokratą piastującym wysoki urząd w ważnym ministerstwie. Aleks wciągnął głęboki oddech.

- W porządku, nie będę przerywał.
- O czym to ja mówiłem? Aha... potwierdza to lista pasażerów. O trzynastej pięć zameldował się pan na stanowisku węgierskiej odprawy celnej. Nic nie wskazuje, że ponownie wjechał pan do Rosji, choć z dokumentów bankowych wynika, że o szóstej rano następnego dnia opróżniono pańskie rachunki osobiste. Kilka godzin później ukradziono pięćdziesiąt milionów waszym klientom. Z przeprowadzonego śledztwa wynika, że transakcji dokonano za pomocą terminala komputerowego w waszej centrali. – Przerwał na chwilę, a następnie spytał: – Co mam o tym sądzić?

Aleks nie znał wcześniej szczegółów kradzieży, więc potrzebował boleśnie długiej chwili, aby się z nimi oswoić. Marzył, aby Golicyn siedział teraz na krześle w jego pokoju, aby mógł zacisnąć silne dłonie na gardle starca. Zaciśkałyby je coraz mocniej, aż poznałby każdy szczegół. Jak otworzyłeś sejf? Gdzie przesłałeś pieniądze? Kto ci pomagał i gdzie teraz przebywa?

- W tym czasie byłem na pokładzie samolotu lecącego do Nowego Jorku. Wiedziałby pan o tym, gdyby przeczytał mój faks. Można to bez trudu potwierdzić.
- Zapoznałem się z tym faksem, panie Koniewicz. Nie jest to jednak jedyna

możliwość, prawda? Może miał pan współnika, który przesłał pieniądze.

– Nie miałem. Coś jeszcze?

– Tak. Otrzymałem kopie umów z banku centralnego, w których przepisuje pan swój majątek Siergiejowi Golicynowi. Jeden z naszych grafologów zbadał pana podpis.

– Proszę mówić dalej.

– Litery są poszarpane, zamaszyste. Uważa, że to pana charakter pisma, chociaż może nosić ślady dyskomfortu lub przymusu.

– Nie było mnie stać na nic lepszego po trzech godzinach bicia i tortur.

Jelena podała mu posmarowaną masłem grzanekę i filiżankę kawy. Uniósła pytająco brwi. Odpowiedział machnięciem ręki. Ugryzł duży kęs i popił kawą.

Po długiej przerwie pułkownik powiedział:

– W waszym fakcie przesłanym ministrowi znalazło się wiele prowokacyjnych pytań. Na przykład sugerujecie, że sprawcą porwania jest generał Siergiej Golicyn.

– Nie sugeruję, twierdzę z całą mocą, że to on za wszystkim stoi. Za zabójstwami moich pracowników, za porwaniem i torturami. To on wszystko ukradł.

– Rozmawiamy o bardzo szanowanym człowieku. Patriocie, który kilkadziesiąt lat dzielnie służył krajowi. To poważne oskarżenia. Muszę pana osobiście przesłuchać.

– Zgoda. Jestem w Nowym Jorku. Proszę przyjechać, odpowiem na wszystkie pytania.

– To niemożliwe. Moja jurysdykcja nie sięga poza granice Rosji. Nasi przyjaciele z wywiadu zagranicznego mają silnie rozwinięty instynkt terytorialny. Będą bardzo niezadowoleni, jeśli zapomnę, gdzie moje miejsce.

– W porządku, załatwmy to przez telefon. Proszę pytać.

– To... nie do przyjęcia.

– Doprawdy? A to czemu?

– Po pierwsze, wasza sprawa jest bardzo złożona. Po drugie, chciałbym zobaczyć twarz człowieka, którego przesłuchuję. Oczywiście, wszystko trzeba będzie zweryfikować. Przez telefon nie da się tego zrobić.

– Nie mogę przyjechać do Moskwy, pułkowniku. Ci, którzy próbowali mnie zabić, będą chcieli dokończyć robotę. Wyjaśniłem to w moim fakcie.

– Osobiście zadbam o pańskie bezpieczeństwo, panie Koniewicz. Daję



oficerskie słowo honoru.

– Nie znam pana.

– Proszę posłuchać, prokurator przygotowuje akt oskarżenia. Chcecie oczyścić swoje imię czy nie?

– Niech pan nie zadaje głupich pytań. Nie postawię nogi w Rosji, dopóki nie przeczytam w gazecie, że Golicyn i jego ludzie zostali aresztowani.

Zapadła dłuższa cisza, jakby pułkownik Wolewoj zasłonił mikrofon ręką i z kimś się naradzał. Aleks ugryzł grzanekę i pociągnął kolejny łyk kawy.

– Moglibyśmy się spotkać na neutralnym gruncie – zasugerował Wolewoj.

– Z kim się naradzaliście?

– Macie problem, by mi zaufać, Koniewicz?

– Żadnego, po prostu wam nie wierzę.

Kolejna długa pauza.

– Rozmawiałem z sekretarką. Ktoś dzwoni. Muszę odebrać. Zdecydujcie się, Koniewicz. Chcecie się spotkać czy nie?

– Musiałoby to być bardzo neutralne miejsce, pułkowniku.

– Co powiecie na Berlin? Jest wystarczająco neutralny? Na przejściu Checkpoint Charlie.

– Oczywiście.

– Zatem jutro o trzeciej. Nie spóźnijcie się.

## 14.

Pułkownik Wolewoj miał osobliwe poczucie humoru i nieco wypaczone pojęcie ironii. Posterunek Checkpoint Charlie przez cztery bolesne dekady pełnił funkcję słynnego symbolu podzielonego świata – wytyczał granicę wpływu socjalizmu i kapitalizmu, wolnego i zniewolonego społeczeństwa. Właśnie tu Wschód i Zachód dokonywały wymiany zakapturzonych więźniów, tu prowadzono dramatyczne, okryte mrokiem tajemnicą negocjacje, które miały powstrzymać obie strony przed wysadzeniem się w powietrze i zamienieniem nieprzyjaciela w stertę radioaktywnego pyłu.

Aleks i Jelena przylecieli nocnym samolotem, wylądowali na dostojnym starym lotnisku Tempelhof, a następnie szybko przejechali taksówką do skromnego pensjonatu w centrum miasta. Zameldowali się pod fałszywym nazwiskiem i zapłacili gotówką.

W niedawno zjednoczonym Berlinie panowała atmosfera ożywienia gospodarczego. W niebo wznosił się gąszcz żurawi przypominający gęsty las. Ekipy budowlane były tak liczne, że chyba dwukrotnie przewyższały liczbę mieszkańców miasta. Ceny nieruchomości w dawnym Berlinie Wschodnim rosły lawinowo, próbując dorównać wysokim cenom na Zachodzie. Niemcy z zachodnich landów stawali na głowie, aby podnieść pozycję swoich zapomnianych braci marnotrawnych ze Wschodu.

Podczas jazdy taksówką Aleks wyglądał ponuro przez okno, chcąc nie chcąc, popadając w dawny nawyk. Wokół zbijano fortuny, nowe budynki wyrastały w zawrotnym tempie, na jego oczach powstawało całkiem nowe miasto.

Myślał o dziesiątkach sposobów, w jakie mógłby odnieść sukces na tym rynku i zarobić grube miliony. Czuł się jak olimpijski sprinter, któremu amputowano nogi i który siedzi na odkrytej trybunie, obserwując debutantów wykonujących zwycięskie okrążenie. Sfrustrowany, kuśtykający, niezdolny do podjęcia rywalizacji.

O piętnastej zjawił się na zachodnim końcu Checkpoint Charlie. Opuszczone baraki straży, reflektory i bramy sprawiały wrażenie ponurych i zaniedbanych. Długi wąski korytarz zamienił się w popularną atrakcję, pułapkę na turystów. Ludzie różnych narodowości i kolorów skóry przechadzali się gromadnie tam i z powrotem, fotografując to, co pozostało z posterunku, włócząc się po muzeum minionych czasów i przystając, aby spojrzeć na stare zdjęcia przedstawiające zrozpaczonych ludzi podejmujących dramatyczne, często błyskotliwe próby ucieczki przed koszmarem komunizmu i rozpoczęcia nowego życia na Zachodzie.

Wolewoj kazał na siebie czekać dwadzieścia minut. Przesłanie było wyraźne. Jesteś dawnym bogaczem, ściganym zbrodniarzem, godnym pogardy złodziejem i nieudacznikiem. Może i jestem marnym pułkownikiem, lecz nikt inny nie da ci nadziei, więc będziesz mi całował buty lub co innego.

W końcu pułkownik Wolewoj wyszedł zza rogu niskiego szarego budynku. Był mężczyzną w średnim wieku, wysokim i szczupłym, ubranym w cywilne ciuchy i opatulonym trenczem. Towarzyszyli mu dwaj młodzi asystenci ubrani niemal tak samo jak on. Trzymali się kilka kroków za nim, jeden z lewej, drugi z prawej strony. Maszerowali równym krokiem jak żołnierze zwycięskiej armii podążający do Checkpoint Charlie ze wschodu, niewątpliwie w zamiarze urządzenia efektownego wejścia. Pułkownik zatrzymał się dwa kroki przed Alekssem. Chwilę mierzyli się podejrzliwym wzrokiem.

W końcu pułkownik wyciągnął rękę. Wymienili pozdrowienie bez większego entuzjazmu. Wolewoj wskazał swoich kompanów, którzy przysunęli się nieco bliżej.

– Kapitanowie Kaputcew i Godunow. Pomagają mi w prowadzeniu śledztwa.

– Dziękuję, że pan przyjechał – odparł chłodno Aleks. Ubrał się starannie na to spotkanie. Miał na sobie ten sam szyty na miarę garnitur, w którym uciekł, wyczyszczony i starannie odprasowany, do tego mocno nakrochmaloną

koszulę z monogramem i jedwabny krawat, który dopełniał całości. W każdym calu prezentował się jak wielki bogacz, który potrafi wstrząsnąć rynkami jednym pociągnięciem pióra.

- Gdzie pańska żona?
- W pobliżu.
- Jest pan sam?
- Pan nie jest – odparł Aleks, nie udzielając odpowiedzi na pytanie Wolewoja. – Mogę zobaczyć pańskie dokumenty?
- Ośmielacie się stawiać żądania, Koniewicz? W Rosji jesteście poszukiwani.
- Witam w nowej Rosji, pułkowniku. Jestem podatnikiem i mam swoje prawa. Proszę o dokumenty.
- Mogę was aresztować i wywieźć do Rosji. Stałbym się wielkim bohaterem.
- Witam w nowych Niemczech, pułkowniku. Pana władza nie sięga już tak daleko.

Pułkownik trzymał ręce w kieszeniach. Aleks czujnie mu się przypatrywał. Wolewoj miał szczupłą twarz, małe oczka, cienkie wargi i krótko przycięte włosy zaczesane tak, by ukryć łysinę na czubku głowy. Jego twarz nie była złośliwa ani sympatyczna, brzydka ani przystojna. Typowe kamienne oblicze zawodowego rosyjskiego biurokraty. Wypchnął do przodu rękę zaciśniętą na czymś twardym, ukrytym w kieszeni płaszcza.

– Oto cała władza, której potrzebuję. Moi asystenci są również uzbrojeni. Mógłbym pana zabić na miejscu. – Przerwał, siląc się na twardy uśmiech. – Być może to zrobię.

Aleks odpowiedział pełnym napięcia uśmiechem.

- Kiepski pomysł. Dla was i dla mnie.
- Wręcz przeciwnie, doskonały. Zabicie was rozwiązałoby wiele problemów.
- Spójrzcie tam, na duży szary blok za moimi plecami. – Oczy Wolewoja powędrowały we wskazanym kierunku. – Dalej – wyjaśnił Aleks, podążając za jego wzrokiem. – Trzecie okno z prawej. Widzi pan lufę w oknie?

Wolewoj omal nie rozdziawił gęby, kiedy jego wzrok zatrzymał się na

długim, cylindrycznym czarnym przedmiocie wystającym przez okno.

– Wygląda na coś długiego i twardego, pułkowniku – rzekł Aleks. – To jeden z trzech snajperów, których zatrudniłem do swojej ochrony. Jeśli podniosę prawą rękę, zginiecie, wszyscy trzej. Jeśli zginę, zginiecie i wy. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale... – Aleks lekko uniósł prawą rękę.

Pułkownik Wolewoj szybko ocenił sytuację, a następnie wyrzucił z siebie szybki potok słów:

– Opuśćcie! Na Boga, nie podnoście ręki.

– W takim razie proszę wyjąć dłonie z kieszeni i pokazać papiery. Może wtedy was posłucham.

Z kieszeni wysunęły się ręce z dokumentami. Aleks spojrzał z lekceważeniem na oficjalnie wyglądające dokumenty kapitanów i sięgnął po papiery pułkownika, aby przejrzeć je uważniej. Wyglądały na autentyczne, lecz nie mógł być tego pewny. Zwrócił je właścicielowi.

Wolewoj je odebrał i wsunął z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

– Nie zachowujecie się jak niewinny człowiek.

– Nie potraktowano mnie jak niewinnego.

– Przed chwilą groził pan śmiercią trzem urzędnikom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dodamy to do listy poważnych zarzutów wysuwanych pod waszym adresem.

– Nie uwierzylibyście, ile mnie to obchodzi. Macie podслuch?

– Czemu? – spytał z szyderczym uśmiechem.

– Nie musicie odpowiadać. Chciałem się tylko upewnić, że nasze częstotliwości nie będą się wzajemnie zakłócać.

– Rozumiem...

– Groził mi pan śmiercią. Nagraliśmy to. Kto pana przysłał?

Wolewoj patrzył chwilę na Aleksa, który stanął na środku posterunku z dala od ścian lub innej naturalnej osłony. Zrozumiał, dlaczego to zrobił. Wolewoj i jego pomocnicy znaleźli się w pułapce, na otwartym terenie, całkiem bezbroni. Ciekawe, ilu strzelców teraz w niego mierzyło. Zmusił się do uśmiechu i odpowiedział:

– Myślę, że niefortunnie zaczęliśmy.

Aleks skrzyżował ręce i zrobił poważną minę.

– Przyjechałem, bo obiecaliście pomoc. Pan zjawił się z bronią i groził, że

mnie zabije. Interesującą ma pan definicję niefortunnego początku.

– W porządku, zgoda, popełniłem błąd. Wielki błąd. Przepraszam. Zaczniemy jeszcze raz. – Uśmiechnął się z wysiłkiem, próbując przybrać przyjacielską pozę. – Mogę zwracać się do was Aleks?

– Jasne, czemu nie?

– W porządku. Jak wczoraj powiedziałem, chciałbym, abyście wrócili ze mną do Rosji. Jeśli jesteście niewinni, jak twierdzicie, będziecie mogli tego dowieść w sądzie.

– Nie rozśmieszajcie mnie. Nie dożyję rozprawy.

Wolewoj uznał, że szkoda czasu, by zaprzeczać. Przed chwilą sam mu zagroził na rzekomo neutralnym terenie. Obok przeszła grupka jasnowłosych, błękitnookich turystów, trajkocząc w jakimś dziwnym języku. Wolewoj mru-gnął, a następnie zauważył:

– Ta pani filmuje nas kamerą.

– Pora, aby zaczął pan zwracać uwagę na takie drobiazgi. Tak, zostaliście sfilmowani. Tak, nagraliśmy wasz głos. Tak, kilku nerwowych ludzi mierzy do was z karabinów. Przynajmniej czterech turystów, którzy się tu wałęsają, to moi ludzie. Niech pan nie próbuje niczego głupiego. Jestem bardzo przerażonym, zdesperowanym człowiekiem. Będziecie martwi, jeśli się zapomnę i otrę pot z czoła. Niech mi pan teraz szybko powie, czemu tu jesteśmy? – Aleks nagle opuścił ramiona, przysuwając je do ud niczym pingwin. – Szybciej, pułkowniku!

– Uspokój się, Aleks. Nie przyjechałem tu, aby cię zabić. Mam propozycję.

– Słucham.

– Nie ruszaj rękami, staję się przez to nerwowy.

– Mów szybciej, swędzi mnie nos.

– Dobrze już, dobrze. – Wolewoj przetarł oczy. Przygotowania powzięte przez Aleksa nie były dla niego całkowitą niespodzianką. Zapoznano go ze szczegółami jego nieoczekiwanej ucieczki z Węgier i chytrymi sztuczkami, których użył, ostrzeżono też, że może się spodziewać podstępów. Oczy Aleksa przeszywały Wolewoj a na wylot, więc trudno mu było zachować nonszalancką postawę. – Pewni ludzie są pod ogromnym wrażeniem waszych talentów finansowych. Mówiąc wprost, to wstyd, że został pan zmuszony do wyjazdu z kraju. Jest pan narodowym bogactwem Rosji. Podziwiamy rzeczy, których pan dokonał.

- Co to za ludzie?
- Wpływowe osoby.
- Podajcie kilka nazwisk.
- Nie marnujmy czasu. I tak nie znam wszystkich.
- Mówcie dalej.
- Chcieliby, abyście zarządzali ich finansami. Pieniędźmi ulokowanymi za granicą. Nie będziecie musieli przyjeżdżać do Rosji. Znacie się na tej robocie.
- Co będę z tego miał?
- Dwadzieścia procent zysku. Fundusz, o którym mowa, jest wart kilkaset milionów dolarów, a niebawem urośnie do miliardów. Oczywiście, wasz zysk będzie zależał od tego, jak dobrze je zainwestujecie. To rozsądna propozycja.
- To czyste czy brudne pieniądze? – spytał Aleks, ignorując ofertę. Wolewoj wzruszył ramionami.
- Czy w nowej Rosji jest coś czystego? W końcu, jakie to ma dla was znaczenie?
- Żadnego. Co z oskarżeniami wysuwanymi przeciwko mnie?
- Powiedziałem już, że to wpływowi ludzie.
- Jak bardzo?
- Dojdziemy do porozumienia. – Zmarszczył czoło, udając, że się zastanawia. Sięgnął dłonią, by rozmasować bolący kark. Aleks przewyższał go o dobrych piętnaście centymetrów i stał tuż przed nim. Wolewoj był wysokim mężczyzną przyzwyczajonym, że inni podnosili głowę, aby na niego spojrzeć, więc odwrócenie ról było dla niego tym bardziej bolesne. – Może się zgłosić kilku świadków i oczyścić wasze imię. Prokurator, który prowadzi sprawę, to bardzo rozsądny człowiek. W zamian za stanowisko sędziego i odpowiedni dodatek do emerytury zgodzi się umorzyć postępowanie.
- Proszę przestać kłamać. Od tygodni wypisują o mnie na pierwszych stronach gazet. Nie uwierzę, aby tak łatwo dało się wyciszyć sprawę. Pułkownik wzruszył lekko ramionami.
- Milicja i sądy są tak przeciążone, że presja na zamykanie spraw jest bardzo słaba. Na dodatek w dzisiejszej Moskwie każdy skandal przyćmiewa poprzedni. Taka już jest rzeczywistość, którą pomogliście stworzyć, Aleksie Koniewicz.

- Co z moimi pieniędzmi?
- Nie myślcie o tym w ten sposób. – Wolewoj uśmiechnął się nieprzekonująco, kładąc dłoń na ramieniu Aleksa.

Ten strząsnął ją i cofnął się o krok.

– Zostałem poturbowany, omal mnie nie zabito. Porwano i grożono mojej żonie. Skradziono mi trzysta pięćdziesiąt milionów. Moje firmy zostały doprowadzone do upadku, a ja publicznie skompromitowany. Jak mam o tym myśleć? – spytał chłodno i ostrożnie Aleks, bez śladu urazy, jak biznesmen rzeczowo wyliczający aktywa i pasywa.

– Jeśli jesteście mądrzy, uznacie to za zamknięty rozdział albo zadatek na nową przyszłość. Jesteście niezwykle utalentowanym człowiekiem, Koniewicz. Damy wam szansę powrotu.

– Uprzejmie z waszej strony.

– Dajcie spokój. Jeśli zakaszecie rękawy, za kilka lat będziecie bogaci jak kiedyś. Może nawet bogatsi.

Oferta była ostatnią rzeczą, której Aleks się spodziewał, więc potrzebował chwili do namysłu. Wszystko to było śmiechu warte. Niemal. Wolewoj był przypuszczalnie kolejnym trybikiem w maszynie spisku, który zataczał coraz szersze kręgi – spisku, który zniszczył ich życie. Teraz dawali mu szansę, by pomnażał pieniądze, które mu ukradli, inwestował i doglądał gotówki tak, by przynosiła bajeczne zyski, które uczynią ich jeszcze bogatszymi.

W zamian otrzyma ułamek tego, co już do niego należało. Nie wystarczyło, że zabrali mu wszystko. Teraz proponują, aby pilnował ich finansowych interesów. Czyste niewolnictwo.

Mieli jego pieniądze, firmy i domy, a teraz chcieli jego samego.

W sumie eleganckie rozwiązanie... dla nich. Aleks będzie przebywał za granicą, pilnując ich nielegalnych interesów, prał forszę, dbał, aby pozostawała w ukryciu i się pomnażała. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, okaże się człowiekiem do zastąpienia, oszustem firmującym ich szwindle, przyłapanym z torbą pełną forsy.

– Jesteś kłamcą, a ludzie, którzy cię posłali, to złodzieje – odparł Aleks. Udało mu się wypowiedzieć te słowa bez sentymentów, jakby stwierdzał fakt.

– Czemu miałbym wam ufać?

– Umowa stoi?



– Nie. Jak na mój gust, dyktujecie zbyt szybkie tempo.  
– Proponuję ci życie. Wiesz, co się stanie, jeśli nie przyjmiesz propozycji?  
Zacniemy na ciebie polowanie.

– Myślałem, że prowadzimy negocjacje. Pan mi grozi, pułkowniku.  
– W porządku, negocjujemy.  
– Dwadzieścia procent to za mało – zauważył Koniewicz. – Trzeba to doprecyzować. Jeśli zwiększę wartość funduszu o dziesięć procent lub mniej, dwadzieścia procent prowizji wystarczy. Jeśli jednak pomnożę go bardziej, mój procent powinien odpowiednio wzrosnąć. Trzydzieści procent zysku, jeśli wartość funduszu zwiększy się o pięćdziesiąt i więcej procent.

– A jeśli fundusz przyniesie straty?  
– Nie przyniesie.  
– Jesteście optymistą, co?  
– Podałem wam najbardziej pesymistyczny scenariusz. Każdy mądry biznesmen tworzy zachęty, aby skłonić ludzi do osiągania lepszych wyników. Jestem przekonany, że z łatwością zapewnię roczne zyski na poziomie stu procent. Dlatego chciałbym mieć dodatkowych pięć milionów premii oprócz wspomnianych trzydziestu procent.

Wolewoj i jego asystenci wymienili zaskoczone spojrzenia. Facet miał jaja.

– Jeśli nie jesteście głupcem, wiecie, że to szczodra propozycja. Idźcie do innego specjalisty o podobnych osiągnięciach, a przekonacie się, że warunki będą gorsze. Ludzie z Wall Street żądają trzydziestu procent, nawet jeśli nie zarobią ani centa. Gdyby wiedzieli, że forsa jest brudna, że budzi jakiekolwiek podejrzenia, zażądałoby przynajmniej sześćdziesięciu procent. Nie wiercie mi, popytajcie.

Wolewoj zaczął się niecierpliwie wiercić.

– Muszę to przedyskutować z przyjaciółmi.  
– Jasne, przecież jesteś tylko chłopcem na posyłki – powiedział Aleks, głębiej zatapiając nóż. – Czuję się tak, jakbym gadał do ściany. Będę rozmawiał wyłącznie z twoim szefem – dodał. – Jeśli zadzwoni kolejny nieokrzesany sługus, rozłączę się i więcej nie podniosę słuchawki.

Wolewoj zmrzył oczy. Miał wielką ochotę wyciągnąć spluwę i posłać tego impertynenckiego smarkacza do piachu. Zrobiłby to z uśmiechem, gdyby nie

przykra okoliczność, którą były wycelowane w niego karabiny.

- Przekażę komu trzeba – wymamrotał, przygryzając wargi.
- Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz.
- Co?– Po moich przygodach z tymi ludźmi, chcę jakiejś formy gwarancji, że otrzymam umówioną kwotę.
- Jakiej gwarancji?
- Jeszcze nie wiem. Pomyślę. – Cofnął się dwa kroki, a następnie przystanął i jakby od niechcienia ostrzegł: – Zrób choć dwa kroki lub podejmij jakąkolwiek próbę śledzenia mnie, choćby wyjmij z kieszeni komórkę, a nerwowi faceci z karabinami rozwalą was błyskawicznie.

Wolewoj rozdziawił usta. Grupa pięciu drabów czekała za rogiem na telefon od szefa, aby ruszyć w ślad za Koniewiczem i znaleźć norę, w której się zaszły. Mogliby tam użyć nieco silniejszej perswazji, aby skłonić Aleksa do udzielenia właściwej odpowiedzi.

Przestąpił z nogi na nogę, lecz nagle przypomniał sobie ostrzeżenie Aleksa i zamarł bez ruchu. Przez chwilę się zastanawiał, jakim cudem dał się wyprowadzić w pole zupełnie amatorowi. Zanim Aleks się oddalił, przypomniał sobie o czymś:

- Jak mamy się z wami skontaktować?
- Tak samo jak poprzednio. Przekaż szefowi, aby zadzwonił do mojego hotelu w Nowym Jorku.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył zdecydowanym krokiem na zachód, do wolności i Jeleny, która przechadzała się nerwowo za dużym szarym budynkiem, modląc się, aby tamci nie rozpoznali blefu. Ujęli się za ręce i szybkim krokiem przeszli dwie przecznice, a następnie złapali taksówkę i rozplynęli się w miejskim ruchu, by w końcu dotrzeć do pensjonatu.

Wolewoj i jego asystenci stali nieruchomo, nerwowo wykręcając palce. Ani na chwilę nie odrywali oczu od parapetu okna na szóstym piętrze. Nie ruszą się z miejsca, dopóki lufa karabinu nie zniknie. Rozchichotana gromadka japońskich turystów wzięła ich za zmęczonych starych szpiegów, którzy spotkali się po latach w miejscu dawnej chwały, wymieniając kłamstwa i wyolbrzymiając dawne przygody. Japońcy pięć minut pstrykali zdjęcia trzem gniewnym gościom w wygniecionych prochowcach. Później nadjechał autobus, wioząc kolejną grupę hałaśliwych turystów, którzy wysiedli i natychmiast zwrócili uwagę

na nową atrakcję turystyczną. Wybuchli śmiechem, wyciągnęli aparaty i przyłączyli się do zabawy. To trzeciorzędni aktorzy wynajęci w celu nadania odrobiny autentyczności temu miejscu, wyjaśnił przewodnik, a grupa zachichotała jeszcze głośniej.

– Faktycznie trzeciorzędni! – zawołał ktoś z tłumu.

Jakże Rosjanie chcieli wyciągnąć spluwy i podziurawić kulami tę hołotę.

Czuli się jak tępaki.

Po dwudziestu koszmarnych minutach zaczęli milcząco ciągnąć zapalki. Wyższy z kapitanów przegrał i ostrożnie ruszył naprzód, stawiając wolno krótkie kroczki. Po chwili zamknął oczy, zaklął siarczyście i skoczył trzema szybkimi susami. Żadnych strzałów. Żadnych ciał osuwających się na beton. Zapomnieli o środkach ostrożności i popędzili do ściany bloku. Wyciągnęli gnaty i ciężko dysząc wbiegli na szóste piętro. Ziając ze zmęczenia, znaleźli snajpera obok okna w korytarzu. Trzonek mopa leżał oparty na przewróconym do góry nogami metalowym koszu na śmieci. Przez okno wystawała zardzewiała metalowa rączka.

Popatrzyli na siebie z niedowierzaniem, czerwieniejąc z upokorzenia. Nie ma o czym mówić. Wszyscy byli zgodni, że ten drobny szczegół nie powinien się znaleźć w raporcie dla Tatiany Łukiny.

\* \* \*

Stałe przebywanie w hotelach zaczęło ich męczyć. Pragnęli wyjść na zewnątrz i zanurzyć się we wspaniałym mieście, które odegrało tak wielką rolę w historii. Spacerować uliczkami, aby poczuć duszę niemieckiego narodu. A jednak tego nie zrobili. Wiedzieli, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Nie powinni ryzykować, że zostaną dostrzeżeni przez Wolewoja lub któregoś z jego zbirów. Zadzwonili do obsługi hotelowej i zjedli spokojny obiad w pokoju.

Przy deserze i lampce wina Aleks przedstawił jej szczegóły propozycji, którą otrzymał. Jelena słuchała uważnie, powstrzymując się od zadawania pytań. Za i przeciw były oczywiste. Mieli dość ciągłego uciekania, oglądania się za siebie, kładzenia się spać wieczorem i budzenia rano z obawą przed najgorszym. Niezależnie od tego, jak intensywnie ćwiczył, był człowiekiem o niespożytej energii i niezwykłym intelekcie, które musiały znaleźć ujście. Propozycja tamtych była jednak upokarzająca, wręcz haniebna. Mimo to możliwość

zneutralizowania złych facetów, którzy próbowali ich zabić, miała swoje plusy.

- Co zrobisz, jeśli przystaną na twoje warunki? – spytała w końcu.
- Być może przyjmę propozycję.– Sądysz, że stoi za nią Golicyn?
- Wątpię, on wolałby, abym nie żył.
- W takim razie kto?

– Dobrze pytanie. Istnieje wiele możliwości. Znam tylko jeden sposób, aby się o tym dowiedzieć.

– Chcesz przyjąć propozycję i odkryć, kto się za nią kryje? – zasugerowała.

– Tak, jeśli się zgodzę, spróbuję wyprowadzić ich w pole.

– Czemu zaproponowali to akurat tobie? – spytała, sącząc wino. Dobrze pytanie.

– Pewnie nadal się mnie obawiają. Właśnie dlatego chcą mnie w to wciągnąć, zneutralizować. Czemu zadawaliby sobie tyle trudu, aby odseparować mnie od Jelcyna? Wciągnąć mnie w interes, kupić moje milczenie.

– A inne powody?

– Golicyn ma współlnika. To oczywiste. Kogoś należącego do najbliższego kręgu współpracowników Jelcyna. Jestem tego niemal pewny. Zastanów się, Jeleno. Wiemy, że jest w to zaangażowana mafia oraz Golicyn i jego kumple z KGB. Teraz pojawił się Wolewoj i jego zastępcy.

– Myślisz, że naprawdę pracuje w ministerstwie?

– Jestem tego pewny. Zadzwoń do przyjaciela w Moskwie i poproszę, aby dowiedział się czegoś na jego temat. Kiedyś pracował w KGB, lecz przeszedł na drugą stronę. Prowadzi dla mnie śledztwo.

– Spisek musi zataczać szeroki krąg.

– Który rośnie z każdym dniem. Powinniśmy się dowiedzieć, z kim mamy do czynienia.

– A gdy już się dowiemy? – zapytała Jelena.

– Znajdę inne dojście do Jelcyna. Mam nazwiska i dowody, które będę mógł mu przedstawić. Jeśli zrobili to mnie, Jeleno, mogą zagrozić każdemu. Jestem pewien, że to uczynią, a wówczas szkody będą ogromne. Już nikt nie odważy się zainwestować w Rosji.

\* \* \*

Miała na sobie długą obcisłą suknię z rozcięciem sięgającym talii. Kiedy się poruszała, rozcięcie prowokacyjnie się powiększało. Suknia nie była droga, bo i nie musiała. Mężczyźni śliniliby się na jej widok, nawet gdyby miała na sobie kuchenny fartuch. Weszła do restauracji i przemknęła między stolikami do dużej wyściełanej poduszkami kabiny, gdzie niecierpliwie czekał mężczyzna, który tego wieczoru miał być jej kompanem.

Golicyn zjawił się dziesięć minut wcześniej. Był właśnie w połowie trzeciej szkockiej – importowanej whisky, która nabrała szlachetnego smaku po latach leżakowania w piwnicach KGB.

Restauracja była najdroższym i najbardziej eleganckim lokalem w Moskwie. Przynajmniej obecnie. Najbardziej popularne miejsca w mieście zmieniały się co miesiąc, po trzech tygodniach ciągnących się bez końca kolejek i tysiąc dolarowych łapówkach, które trzeba było wręczyć właścicielowi, aby zarezerwować stolik. Wspomniany lokal zaczynał powoli popadać w zapomnienie. Przy stolikach siedzieli kanciarze i przedsiębiorcy, żrąc kawior i łożąc tyle szampana, że mogliby nim zatopić całą rosyjską flotę. Przy niemal wszystkich stolikach tłoczyły się piękne kobiety zmysłowo uczepione ramionami możnych i bogatych, chichoczące głośno z byle powodu i, ogólnie, ciężko pracujące, by przyjęcie potrwało jeszcze dzień, jeszcze tydzień, jeszcze miesiąc, zanim zostaną zastąpione przez kolejne chętne lalunie o dłuższych nogach i bardziej zaraźliwym śmiechu.

Wiwat kapitalizm!

– Ładne miejsce, masz gust – zauważyła Tatiana, uśmiechając się uroczo, choć była zgoła odmiennego zdania.

Golicyn nie podniósł się na jej widok ani nie odwzajemnił fałszywego komplementu. Bluzka Tatiany miała niebezpiecznie głęboki dekolt. Gdyby niefortunnie się potknęła lub pochyliła centymetr do przodu, piersi niechybnie by się wysunęły.

– Co słyhać na Kremlu? – spytał Golicyn.

– Jak zwykle napięta atmosfera. Katastrofa ciągle czai się za rogiem.

Przy stoliku stanął kelner. Zamówiła angielski gin, czysty, bez wody i lodu. Golicyn opróżnił szklaneczkę i skinął, by napełniono ją ponownie. W rogu sali siedział mały zespół muzyczny przebrany za kozaków, przygrywając stare

rosyjskie pieśni ludowe publiczności rozgrywającej nową rosyjską grę.

– Pozwól, że wyjaśnię ci powód naszego spotkania – poinformował Golicyń. – Słyszałem plotki.

– Jakie?

– Złe dla moczymordy.

– Jak złe?

– Siły reakcyjne szykują się do jego obalenia.

– Zapowiadają to od lat.

– Skończyli z obietnicami. Zaczynają werbować mętów z ulicy, zbroją ich i przygotowują zamach stanu.

Uniosła brwi.

– To wiarygodne pogłoski?

– Bardzo. Moi dawni przyjaciele z KGB twierdzą, że w każdej chwili może dojść do przewrotu.

– A Ruckoj? Jest w to zamieszany? – spytała cicho, mając na myśli Aleksandra Ruckiego, wiceprezydenta Rosji, bohatera wojennego z Afganistanu, którego Jelcyn dokooptował do swojej drużyny, mając nadzieję, że uspokoi w ten sposób prawicowych czubków i byłych komunistów, którzy nienawidzili go w stopniu graniczącym z obłądem. Małżeństwo to było od początku źle dobrane i z każdym dniem stawało się gorsze. Ostatnio stosunki między Jelcynem i Ruckim zaczęły się psuć w coraz szybszym tempie. Byli zupełnie różnymi ludźmi – jeden elastyczny, polityk do szpiku kości, drugi zawodowy wojskowy przywiązany do idei absolutu w każdej dziedzinie z wyjątkiem moralności. Jedynymi z niewielu rzeczy, które ich łączyły, były legendarne samochwalstwo i nienasycona żądza władzy. Dziś ledwie ze sobą rozmawiali. Ruckoj knuł z przyjaciółmi i sojusznikami w rosyjskiej Dumie, podkopując na każdym kroku reformatorskie działania Jelcyna. Ten starał się nie pozostać mu dłużny. Idąc za radą swoich amerykańskich przyjaciół, Jelcyn odsunął w cień i wyciągał zza drzwi za każdym razem, gdy na świecie odbywał się jakiś ważny pogrzeb. Nazywał go złośliwie „żałobnikiem”.

– Tkwi w tym po uszy – odparł Golicyń, dopijając szkocką.

Uśmiechnęła się, biorąc łyk ginu.

– Wiem, że go nienawidzisz, lecz obalenie Jelcyna nie byłoby nam teraz na rękę.

Ledwie słyszał jej słowa, spoglądając ponad ramieniem Tatiany Łukiny na mężczyznę, który chwiejnym krokiem opuszczał lokal. U jego ramion uwiesiło się sześć długonogich kobiet identycznego wzrostu, identycznej wagi i identycznej anorektycznej budowy ciała. Wszystkie miały włosy ufarbowane na jasnoczerwony kolor i identyczne czerwone suknie wieczorowe. W pierwszej chwili pomyślał, że w oczach mu się dwoi i troi, że pora odstawić gorzałę. Cóż za wspaniały czas na to, aby być śmiesznie bogatym, a na dodatek Rosjaninem.

– Może to dla nas okazja – zasugerowała.

Tym razem zwrócił na nią uwagę. Przekreślił się na krześle i pochylił w jej stronę.

– Jaka?

– Twoi dawni przyjaciele z KGB obsadzili Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i służby bezpieczeństwa. Jeśli dojdzie do krwawych zamieszek, będą jedyną nadzieją Jelcyna.

– Fakt, co dostaniemy w zamian?

Chciała udzielić pochopnej odpowiedzi, lecz głośna sprzeczka przy sąsiednim stoliku niebezpiecznie się nasiliła. Gorący spór o jakieś interesy, toczony przez dwóch milionerów, przybrał postać tragiczną. Obaj darli się na całe gardło o to, kto kogo wykołował. Nagle jeden z nich skoczył na równe nogi i wyciągnął pistolet. Dwie ślicznotki, które zabawiały ich tego wieczoru, zaczęły wrzeszczeć i rzuciły się na podłogę. Gość z pistoletem miał czerwoną gębę i miotał przekleństwa, mierząc w twarz drugiemu. W biznesowych kręgach Moskwy takie awantury były na porządku dziennym, więc większość gości zignorowała zamieszanie. Jedli dalej, dziewczęta się śmiały, a szampan płynął strumieniami. Na szczęście, jak niemal każda firma w tym hałaśliwym, zepsutym mieście, restauracja miała umowę ochrony z mafią. Dwóch osiłków podbiegło do obu panów i błyskawicznie pobiło do nieprzytomności faceta z gnatem, aby oduczył się złych manier, a następnie w wlekło go z sali za nogi.

Tatiana przyglądała się temu widowisku, dumając nad pytaniem Siergieja Golicyna. Kiedy sytuacja się uspokoiła, zasugerowała:

– Co powiesz na to? W zamian wyznaczmy nowego prokuratora generalnego.

Świetny pomysł. Golicyn od razu dostrzegł możliwości, które to otwiera.

Gdyby mieli swojego prokuratora generalnego, nie byłoby żadnych problemów z nowymi potencjalnymi Aleksami. Kiedy połączą następne firmy, nie będą musieli nerwowo spoglądać przez ramię. Żadnych problemów z prawem, jeśli będą mieli w kieszeni takiego ważniaka.

– Sądysz, że Jelcyn się zgodzi?

– Jeśli przedstawimy nasze żądanie w odpowiedniej chwili, nie damy mu wyboru.

– To mi się podoba. Poczekaj, aż ulicami popłynie krew, aż wrzenie osiągnie punkt kulminacyjny. Dopóki nie będzie całkiem zrozpaczony, pozbawiony wyboru.

– Właśnie. Przekonasz ministra spraw wewnętrznych?

Zachichotał. Głupie pytanie.

– Zaapeluję do jego patriotyzmu i szczerze sygnę forszą. Oczywiście, mogą zgłosić własne żądania. Powiem, żeby zrobili listę.

Kelner zjawił się ponownie. Była niemal północ, więc oboje zamówili danie dnia, zapiekanego dzika, który niemal natychmiast zmaterializował się na stole – ogromne plastry mięsa pod brejowatą mazią białego sera i gęstego sosu. Ona popijała jedzenie niewielką ilością szampana, on pozostał przy whisky, którą złapał bez przerwy. Ona ostrożnie skubała królewskie danie na talerzu, on wpychał wszystko do ust i przeżuwał z głośnym mlaskaniem.

Rozmawiali niewiele, choć była jeszcze jedna sprawa, którą musieli omówić. Delikatna sprawa, dlatego przed wykonaniem następnego ruchu chciała, aby napełnił brzuch i osłabił alkoholem swój niezwykle umysł.

Kiedy podano deser, spytała:

– Jak ci się mieszka w nowym domu?

– Wspaniale. – Nie udało mu się powstrzymać złośliwego uśmiechu. – Uwielbiam spać w łóżku Koniewicza i rozkoszować się myślą, że mu je zabrałem. Mam nadzieję, że on i ta jego uroczą żoneczka leżą na twardym przeżartym przez robaki wyrze w jakiejś walącej się norze, otoczeni przez śmierdzących pijaków i nawalonych ćpunów. I myślą o mnie.

– Jak tam interesy? – spytała, chociaż знаła odpowiedź i była pewna, że skłamię.

Odpowiedział zgodnie z jej oczekiwaniem.



- Znakomicie. Forsa wlewa się drzwiami i oknami.
- Spuściła wzrok, bawiąc się srebrnymi sztuczkami leżącymi obok talerza.
- Słyszałam, że trzy filie są na skraju bankructwa.
- Drobne straty – odparł z nieskrywanym zadowoleniem, dając znak kelnerowi, aby dolał mu whisky. – Tak czy owak, nie zamierzaliśmy się zajmować prowadzeniem hoteli i restauracji. Kiepski interes. Trzeba nieco odchudzić firmę Koniewicza.
- Dwa kolejne banki otrzymały licencję na obrót dewizami. Mamy poważną konkurencję.
- Będą musieli mi dorównać. Dopilnuję, aby nie mieli łatwo.
- Podniosłeś prowizję do pięciu procent od każdego rubla, którego wymienisz. Oni żądają dwóch.
- No cóż, mamy lepszą obsługę.

Lepszą obsługę, jasne, chciała powiedzieć. Paczka zbirów Siergieja Golicy-na z dawnego KGB wypruwała flaki z ekonomicznego imperium Koniewicza. Szybkość i skuteczność, z jaką działali, były przerażające. Jeden z tych jego cymbałów podjął żalosną decyzję, aby ich agencja turystyczna zaczęła korzystać z usług firmy oferującej tańsze przeloty lotnicze. Pierwsza grupa pasażerów zginęła w płomieniach podczas katastrofy. Co gorsza, pasażerowie sądzili, że lecą na sekwakacje do Tajlandii, podczas gdy maszyna zmierzała do podupadłego sanatorium gdzieś w Polsce.

Firmy budowlane okazały się jedną wielką katastrofą. Brak nazwiska Koniewicza na papierze firmowym sprawił, że nowe zamówienia przestały napływać. Po ostatniej wpadce nie zapowiadało się, by sytuacja uległa zmianie. Ogromny wieżowiec wznoszony na zewnętrznej obwodnicy Moskwy runął z hukiem, tworząc malowniczą hałdę gruzów. Dziesięciu robotników zginęło, dwudziestu innych trafiło do szpitala. Przyczyną katastrofy była niewiarygodna decyzja podjęta przez innego głupka: polecił użycie tańszych drewnianych belek zamiast grubszych metalowych, które wyraźnie doradzali rozwścieczeni architekci. Na szczęście Tatiana zdołała pociągnąć za kilka sznurków i doprowadzić do umorzenia śledztwa, choć szkodzie nie dało się już zapobiec. Połowa robotników odeszła, a druga zaczęła brzydko przebąkiwać o strajku.

Kolejny dureń odpowiedzialny za bank zignorował rosnącą różnicę między

oprocentowaniem obligacji państwowych a oprocentowaniem lokat, które proponowali. Wystarczyła jedna chwila, jedno mrugnięcie monitora, aby z kont odpłynęły setki milionów. Niewiarygodne.

Lista problemów nie miała końca i ciągle rosła. Firma importująca samochody dostarczyła pięćset mercedesów do niewłaściwych miast, a następnie ustaliła tak wysokie ceny, że towar rdzewiał na parkingu. Sto kabrioletów marki Mercedes, które trafiły do Jakucka, do kolonii karnej pod kołem podbiegunowym, trudno było sprzedać za jakąkolwiek cenę. Facet tłumaczył się później, że zmylił go skomplikowany program komputerowy. Jeszcze inny idiota, tym razem z branży arbitrażowej, zakupił najdroższe dwa tysiące ton żelaza w historii. Tłumaczył się, że źle odczytał kod towaru, bo sądził, że chodzi o srebro, i skutecznie pozbawił firmę wszelkich perspektyw osiągnięcia zysku w tym roku.

Kilka miesięcy takiej działalności i pójdą z torbami.

Zgodnie z umową Tatiana otrzymała jedną trzecią udziałów w Golicyn Associates – oczywiście była niejawnym współnikiem – więc po cichu gotowało się w niej ze złości. Golicyn zażądał całej gotówki Koniewicza. Podkreślał, że był to jego pomysł, jego błyskotliwy plan i jego natchnione przywództwo. Nalegał, że taka gratyfikacja słusznie mu się należy. Nie zgłaszała zastrzeżeń i nie dyskutowała, bo nie widziała powodu. Teraz gorzko tego żałowała. Z perspektywy czasu wydało się to bardzo naiwne. Po prostu głupie. W tamtym czasie jej część w akcjach dynamicznie rozwijających się firm miała wartość rzędu pięćdziesięciu milionów, a w ciągu kilku następnych lat mogła się podwoić lub potroić. Uznała je za adekwatną rekompensatę za swój udział w skoku.

Teraz wątpiła, by mogła je sprzedać za jakąkolwiek cenę. Mądra forsa błyskawicznie opuściła ich banki, a teraz nawet głupia szykowała się do wyjścia. Wytaczano im sprawy sądowe o zaniedbania, składanie fałszywych obietnic, niedotrzymywanie umów, przekraczanie terminów. Były też pozwy rozwścieczonych, pogrążonych w żalobie rodzin ofiar katastrofy samolotu linii lotniczych, z której usług skorzystał jeden z durniów Siergieja Golicyna. Kto wie, jaki wypadek zdarzy się jutro? Choć nie miała przyjaciół wśród prawników, wiedziała, że prokuratorzy bacznie śledzą działania Golicyn Associates. Ślinili się i czekali, aby urwać jakąś część dla siebie.

Tatiana była realistką. Wiedziała, że jej słowa nie zmieniają sytuacji. Golicyn, mimo błyskotliwego umysłu i sprytu, nie interesował się prowadzeniem interesów i nie miał do tego smykałki. Jego zbiry miały takie kwalifikacje do prowadzenia firmy, jak trzylatki do zabawy głowicami jądrowymi. Co innego wyrywać paznokcie bezbronnym więźniom, a co innego wyciskać gotówkę z wybrednych klientów.

– Skontaktowałam się z Koniewiczem – szepnęła prawie niedosłyszalnie.

– Co?

Pochyliła się bliżej.

– Nie udawaj, że nie słyszałeś, Siergiej. Z Koniewiczem. Wysłałam urzędnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z propozycją.

– Życie ci zbrzydło?! Jakim prawem?

– No cóż... przepraszam. Działalam w naszym wspólnym interesie. – Nawet ona nie mogła sprawić, by zabrzmiało to autentycznie.

Twarz Siergieja Golicyna poczerwieniała, oczy zmieniły się w wąskie gniewne szparki.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, Siergiej. Jaki procent dostajesz od banku, w którym ulokowałeś pieniądze?

– Nie twój interes.

– Nie będzie mi przykro, no ile?

– Mnóstwo forsy. Całą górę. Niewielki procent wystarczy.

– Jeśli to szwajcarski bank, pewnie jeden procent. Mam rację?

– Coś w tym stylu – burknął. Nie żeby się wstydził. Jeden procent od dwustu pięćdziesięciu milionów był nie do pogardzenia. Poza tym nie ulokował forsy w Szwajcarii, aby mieć z tego procenty.

– A gdyby Koniewicz mógł podwajać ten majątek co kilka lat? To geniusz. Bez trudu wprowadzimy kilka dodatkowych zabezpieczeń. Nie będzie miał dostępu do forsy. Za niewielki udział w zyskach kupimy jego złoty dotyk.

– Nie jestem zainteresowany.

– Czemu? Czyżbyś zbijał fortunę w Golicyn Associates? – zapytała, siląc się na uśmiech.

Ponieważ Golicyn Associates była firmą prywatną, nie musiała składać sprawozdań finansowych ani przysyłać oficjalnych informacji akcjonariuszom.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, jak dużo wie Tatiana Łukina. Zbyt wiele, sądząc po przebiegłym tonie. Pociągnął głębszy łyk whisky i przyznał:

– Ponieśliśmy pewne straty.

– Czy Nikola o tym wie? – spytała, wbijając nóż nieco głębiej. – Jest trzecim współnikiem, a przynajmniej był nim ostatnim razem, gdy sprawdzałam.

Golicyn machnął ręką, jakby się tym nie przejmował. Nie odczuwał radości, że poruszyła tę kwestię. Nikola należał do partnerów, których lepiej było nie rozczarować.

– Do czego zmierzasz? – spytał złośliwym tonem.

– Chcę zwrócić ci uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, Koniewicz umie robić pieniądze – powiedziała to takim tonem, aby aluzja stała się jasna i bolesna. Golicyn i jego banda głupków potrafiliby zamienić złoto w nędzny kit. – Po drugie, jeśli zatrudnimy faceta – ciągnęła – będziemy mieli go w garści. Nie będzie biegał wkoło i paplał, bo przestanie mu się to opłacać. Stanie się jednym z nas.

– Gdzie jest?

– W Nowym Jorku.

– To duże miasto. Gdzie dokładnie?

– Nie wiem.

Wiedział, że kłamała. Wargi jej drżały, więc łągała jak pies.

– Jeśli nie wiesz, gdzie przebywa, jak się z nim skontaktujesz?

– Jakie to ma znaczenie? Wchodzisz w to czy nie?

– Co będziesz z tego miała?

– Rozsądny udział w zyskach. Nic wielkiego, powiedzmy, trzydzieści procent. W końcu to mój pomysł.

Golicyn dobrze wiedział, do czego zmierza. Chciała się dobrać do forsy, poczuć gotówkę. Jego miliony. Mogła to obmyślić z Koniewiczem, a później wykombinować, jak go oskubać do gołego.

Wiedział też doskonale, czego on pragnie. Bardziej niż kiedykolwiek, bardziej od wszystkiego pragnął śmierci Koniewiczza. Chciał, aby gość po prostu był martwy. Wiedział, że doprowadzi firmy Koniewiczza do upadku – był boleśnie świadom pogłosek i plotek, które krążyły po mieście – co pogłębiało jedynie jego pogardę dla Aleksa.

Rozsiadł się wygodnie i kilka razy głęboko odetchnął, próbując oczyścić umysł. Może zabicie Koniewicza nie było najlepszym pomysłem. Może działał zbyt porywczo i krótkowzrocznie. W sumie wciągnięcie Koniewicza do spisku mogło być wspaniałym posunięciem. Po chwili pomysł wydał się jeszcze lepszy. Niech ten geniusz podwoi lub potroi jego pieniądze, niech pobrudzi sobie ręce brudną forszą. Jeśli popełni choć jeden błąd, znajdzie sposób, aby na niego donieść i ponownie go upokorzyć. Właściwie czemu nie?

Zawsze przecież będzie mógł go zabić.

- Jak przyjął propozycję? – spytał niewinnie, nie okazując zaciekawienia.
- Jest zainteresowany. Postawił kilka warunków. Nie martw się, załatwię to.
- W porządku – warknął, udając, że się waha. – Zajmij się tym. Zawrzyj umowę i bacznie go obserwuj.

## 15.

### *Początek października, 1993 rok*

Jelena nie spała, chociaż minęła północ. Oglądała stary amerykański western, aby doszlifować swoją angielszczyznę. Ostrą wymianę ognia w połowie przerwała nudna reklama pasty do zębów. Machinalnie przełączyła na CNN, aby usłyszeć, co słychać na świecie późną nocą. Wrócili do swojego apartamentu w Plaza, odliczali dni i czekali na telefon od tego, kto posłał Wolewoja.

Wyciągnęła rękę i szturchnęła męża, aby się obudził:

– Aleks, spójrz, co się dzieje.

Aleks podniósł się i przeciągnął, spojrział na telewizor i zamarł. W tej samej chwili na ekranie ukazały się czołgi ostrzeliwujące gmach parlamentu. Górne piętra płonęły. Pociski uderzały o ściany, powodując, że na betonowy chodnik sypał się deszcz rozbitego szkła i gruzu.

Niewidoczny reporter komentował wydarzenia szybkim, teatralnym głosem:

– Rada Najwyższa, rosyjski kongres, tydzień temu przegłosowała usunięcie Jelcyna i zastąpienie go twardogłowym wiceprezydentem, Aleksandrem Ruckim. Kilka godzin temu w budynku, który widzą państwo na ekranie, Ruckoj podpisał dekret przekazujący mu władzę prezydenta. Trwające miesiącami utarczki pravicowych deputowanych i członków partii komunistycznej, którzy głosowali przeciw reformom i władzy Jelcyna, a teraz opowiedzieli się za jego ustąpieniem, doprowadziły do otwartych starć ulicznych. W minionym tygodniu dochodziło do utarczek słownych w parlamencie. Teraz mamy dwóch

prezydentów Rosji. Los demokracji zawisł na włosku.

Jelena sięgnęła po telefon i połączyła się z obsługą pokojów. Zamówiła dwa dzbanki kawy i poprosiła, by do odwołania co godzinę przynoszono następny. Kolejne akty dramatu z podgrzewanymi najnowszymi doniesieniami następowały po sobie aż do świtu. Aleks i Jelena siedzieli w milczeniu. Pili kawę, chrupali grzanki, wymieniali skąpe uwagi i obserwowali z napięciem, co się dzieje. Oddziały wojska, które otoczyły parlament, podlegały Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Czołgi gotowe w każdej chwili otworzyć ogień dostarczyła uczynna armia.

W budynku wiceprezydent Ruckoj i grupa zbuntowanych deputowanych oraz duża gromada uzbrojonych zbirów okopywali się na zajmowanych pozycjach. Drugi raz w ciągu dwóch lat przyszłość Rosji zależała od ludzi zgromadzonych w tym gmachu, choć teraz role się odwróciły. Dziś to nie Jelcyn dał pstryczka w nos starcom z Kremla, lecz oni jemu. W odpowiedzi wysłał czołgi, aby stłumić opór.

O siódmej rano telewizja pokazała Ruckiego i jego upokorzonych pomocników wymachujących ponuro białą flagą i czmychających z płonącego budynku. Skuto ich kajdankami, wsadzono do oczekujących furgonetek i odwieziono do aresztu.

Amerykański prezydent wydał natychmiast oświadczenie, ogłaszając wielkie zwycięstwo demokracji oraz popierając bolesne, choć rozpaczliwe środki, które musiał podjąć jego drogi, ukochany przyjaciel Borys.

Po chwili na ekranie ukazali się komentatorzy, jak zwykle z łagodną pewnością siebie i absolutnym przekonaniem opowiadając brednie. Pewien siwiejący ekspert w dużych okularach w rogowej oprawie nawiązał do nieudanego puczu monachijskiego Hitlera. Inny piał, że Jelcyn jest Lincolnem naszych czasów, człowiekiem zdecydowanym i pryncypialnym, który ośmielił się zaдрzeć z samym diabłem i kazał mu pocałować się w dupę. Rosja została ocalona, demokracja święciła triumf. Jelcyn w jednej chwili stał się bohaterem, powtarzały jak refren stacje telewizyjne całego świata.

Aleks oglądał program z nieskrywaną odrazą.

– Ci ludzie nie mają zielonego pojęcia, co się stało – szepnęła Jelenie, która skubała zimną grzankę.

- To idioci – przytaknęła między kolejnymi kęsami.
- Widziałas, kto ocalał Jelcyna?
- Ludzie z sił bezpieczeństwa i armia.
- Inaczej mówiąc, dawne KGB. Wiesz, co to oznacza? Jelcyn poszedł z nimi na układ.
- Czekają nas poważne kłopoty? – spytała Jelena, choć знаła odpowiedź.
- Bardzo. To oznacza koniec rosyjskiego eksperymentu z demokracją. Od tej pory zaczną odbierać Jelcynowi to, czego ich wcześniej pozbawił. Ludzie, którzy ukradli nasze pieniądze, nie mają się już czego lękać. Nawet gdyby udało mi się dotrzeć do Jelcyna, siedzi im teraz w kieszeni.
- Palcem nie kiwnie, aby nam pomóc. Zaprzedał duszę – dodała Jelena, kończąc jego myśl.

\* \* \*

Zadzwonili do niego dwa dni później. Usłyszał kobiecy głos. Przedstawiła się jako Anna. Żadnych nazwisk.

Aleks dał sobie spokój z prawieniem uprzejmości, od razu przechodząc do negocjacji.

- Zna pani moje warunki?
- Tak, Wolewoj mi powtórzyl.
- Jaka jest wasza odpowiedź?
- Trzydzieści procent jest do zaakceptowania, choć trzeba to doprecyzować. Sporządę kontrakt, w którym dokładnie określimy wasz udział. – Mówiąc to, pomyślała, że wyrwie tyle punktów, ile zdoła i doda je do swojej części.
- Nie podejmę decyzji, dopóki nie zapoznam się ze szczegółową propozycją – odparł szybko Aleks.
- Rozumiem, będziecie też musieli zapomnieć o pięciu milionach premii. To wykluczone.
- Uważam, że to rozsądne żądanie. Oczywiście, nie wiem, jak duży jest fundusz, którym mam zarządzać. Wolewoj wspomniał o kilkuset milionach dolarów.
- Wysoko mierzycie. Nie winię was za to. Tak, w chwili obecnej mówimy o kwocie rzędu kilkuset milionów dolarów. W przeszłości wartość funduszu



będzie większa, znacznie większa. Po podjęciu współpracy, w zależności od wyników, które osiągnięcie, będziemy mogli porozmawiać o dodatkowej premii. Kiedy się przekonamy, czy rzeczywiście jesteście tacy dobrzy.

– Kim jesteś? – zapytał.

Anna, a właściwie Tatiana, roześmiała się zalotnie.

– Dajcie spokój, Aleksandrze Koniewiczu. Jesteście zbyt mądrzy, aby zadawać takie pytania.

Rzeczywiście, był. Był też bardzo dobrym słuchaczem. Chociaż poruszała się w granicach swoich pełnomocnictw, zdążyła zrobić poważny błąd. „Przygotuję umowę”. Aleks szybko dodał dwa do dwóch. Kobieta. Anna to przypuszczalnie fikcyjne imię. Niemal na pewno prawniczka. Głos wskazywał na dwadzieścia kilka, co najwyżej trzydzieści lat. Uznał, że przypuszczalnie pracuje na Kremlu lub zajmuje ważne stanowisko w rządowej biurokracji. Była arogancka, bezczelna i przebiegła, choć taki opis mógł pasować do niemal każdego prawnika. Z tonu głosu i triumfalnej pewności siebie wywnioskował, że była bardzo ładna, może nawet piękna.

– Jak miałyby wyglądać nasza współpraca? – spytał Aleks. – Chyba nie pozwolicie mi sprawować bezpośredniej kontroli nad pieniędzmi.

– Oczywiście, będziecie pracować za pośrednictwem zespołu księgowych i maklerów, którzy znajdują się pod moim bezpośrednim nadzorem. Poinformujecie ich, co macie zamiar zrobić, a oni zawiadomią mnie. Bez mojej zgody ani jeden cent nie opuści kont funduszu. Będziecie otrzymywać od nich codziennie najświeższe wiadomości. Zadowolony?

– Nie jest to idealne rozwiązanie.

– Nie wątpię, z waszego z punktu widzenia. Z mojego jest idealne.

– Niech pani posłucha, najkorzystniejsze decyzje inwestycyjne wymagają błyskawicznej reakcji. Na przykład, różnica między oprocentowaniem środków może trwać kilka sekund. Podobnie jest w arbitrażu. Okno decyzyjne jest bardzo wąskie. Jeśli pani nie zdąży, może zapomnieć o zyskach. Skoro liczycie na spektakularne wyniki, muszę wykorzystać czynnik czasu. Ilu ludzi będzie aprobowało moje decyzje?

– Proszę o następne pytanie.

– Gdzie są pieniądze?

- Następne pytanie.
- Ile przynoszą obecnie?
- Aleksandrze Koniewiczu, zaczynacie mnie nudzić.
- Doprawdy? Posłuchaj, nie wezmę tej roboty, jeśli Golicyn ma podejmować decyzje. Czytałem, co wyprawia z moimi firmami. To katastrofa. Facet nie zarobiłby dwóch centów, nawet gdyby z nieba lał się deszcz dolarów.

Po chwili popełniła kolejny bardzo poważny błąd. Odpowiedziała gniewnie po dłuższej, wymownej pauzie:

- To moja sprawa, kto i jak będzie podejmował decyzje. – Po krótkiej przerwie dodała: – Dajcie spokój z żądaniami. Przypominam, że jesteście bez grosza, musicie się ukrywać i jesteście poszukiwani za przestępstwa popełnione na terytorium Rosji. Dajemy wam szansę odzyskania części swoich pieniędzy.

- Wasza hojność odbiera mi mowę.

- Wiem. Chcecie tę robotę czy nie, Koniewicz?

Aleks spojrział ostrożnie na Jelenę, które leżała na łóżku, przygryzając wargi i bezskutecznie udając obojętną. Wiedział, że poprze każdą decyzję, którą podejmie.

Zdawał sobie również sprawę, że to decydujący moment. Przyjmie propozycję lub odmówi. Tak albo nie.

- Nie – odrzekł bez wahania.

- Nie bądźcie głupcem, proponujemy wam korzystny interes.

- Korzystny dla was. Z mojego punktu widzenia ta sprawa śmierdzi.

- Zastanówcie się, Koniewicz. Powinniście ochłonąć i pomyśleć jak biznesmen, przyjmując praktyczne podejście. Nie wiecie, jacy jesteśmy potężni. Jak łatwo możemy do was dotrzeć.

- Zaryzykuję.

- Pożałujecie tego, wierzcie mi...

- Miło mi się rozmawiało, lecz nie jestem zainteresowany – przerwał Aleks, kończąc rozmowę.

Kiedy słuchawka dotknęła widełek, Jelena podniosła ją i natychmiast połączyła się z centralą telefoniczną w hotelowej piwnicy.

Jej przyjaciółka, szefowa centrali, Amber, mieszkała z chłopakiem, który pracował w firmie telefonicznej łączącej hotel ze światem zewnętrznym.

Amber obiecała, że zdobędzie dla nich numer telefonu osoby, która dzwoniła przed chwilą.

Odezwała się dwie minuty później. Jelena pośpiesznie zapisała numer telefonu na hotelowej papeterii. Aleks wziął kartkę, studiował ją chwilę, a następnie wsunął do kieszeni spodni, nie rozpoznawszy, do kogo należy.

Jelena siedziała na łóżku, nie kryjąc zadowolenia, że mąż odrzucił propozycję. Choć był geniuszem w biznesie, wiedziała, że z tymi ludźmi nie miał najmniejszych szans. Do tej pory szło mu znakomicie, więc modliła się, aby nie uległ iluzji. Powodzenie Koniewicza wynikało w dużej mierze z faktu, że go zlekceważyli, oraz ze szczęścia sprzyjającego nowicjuszom. Z każdym odniesionym zwycięstwem lekceważenie coraz bardziej się kurczyło, a szczęście w każdej chwili mogło prysnąć. Powodzenie jego planu zależało od Borysa Jelcyna, ambitnego polityka, któremu nigdy w pełni nie ufała. Aleks uważał go za przygniecionego trudnościami człowieka, który pragnie położyć kres dyktaturze i wprowadzić w Rosji demokrację. Jelena była przekonana, że osobiste nadzieje Aleksa uczyniły go ślepym na poważne wady Borysa Nikołajewicza. Jelcyn był politykiem i miał wszystkie dobre i złe cechy, które się z tym wiązały. Borys Nikołajewicz złapał za ogon tygrysa, który był rozjuszony i głodny.

Chętnie rzuciłby Aleksa na pożarcie, gdyby powstrzymało to bestię przed schrupaniem jego samego.

– Co robimy? – zapytała.

– Wynajmę śledczego w Moskwie. Michaił Boroski zawsze wykonywał dla mnie znakomitą robotę. Jest niezwykle kompetentny i dyskretny. Mam do niego całkowite zaufanie.

– Wiem, że Michaił jest dobry, lecz jaki to ma sens?

– Nie będziemy wiedzieli, dopóki nie zabierze się do roboty. To, czego się dowiemy, może nam pomóc. W każdym razie mam kilka poszlak, od których będzie mógł zacząć.

– Chcesz odzyskać firmy?

Potrząsnął głową ze smutkiem.

– Nie czytałaś wiadomości gospodarczych w Internecie. To, co z nich zostało, nie przedstawia żadnej wartości. Golicyn zupełnie się nie zna na prowadzeniu interesów. W bankowości bazuje się na zaufaniu. Wystarczyły mu dwa

krótkie miesiące, aby wszystko zniszczyć.

- Po co w takim razie zatrudniać Michaiła?
- Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tych ludziach.
- To będzie wymagało czasu. Dużo czasu. Co robimy?
- Wyjeżdżamy. Natychmiast.
- Znowu mamy kłopoty?
- I to poważne. Otrzymałem ostateczną propozycję, Jeleno. Kobieta, z którą rozmawiałem, pod koniec nie zawahała się mi grozić.

– Jesteś przestraszony tak jak ja? – spytała.

– Przeżony – przytaknął Aleks.

Podszedł do szafy, wyciągnął walizki i torby, a następnie zaniósł na łóżko. Nie minęło trzydzieści sekund, a zaczęli pakować do nich ubrania i rzeczy osobiste.

– Co zamierzasz? – spytała Jelena.

– Zatrudnię prawnika i poproszę o azyl polityczny w Ameryce. Mam uzasadnione powody. Zabiją mnie, jeśli wrócę do Rosji.

– Będziemy Amerykanami?

– Czemu nie, to kraj emigrantów. Jesteśmy młodzi, przystosujemy się. Co o tym sądzisz?

Jelena próbowała włożyć jedną ze swoich nowych spódniczek, czerwoną z tyśiącem plis.

– To coś nowego... myślę, że mi się spodoba – odparła niepewnie, z lekkim smutkiem. Do tej chwili nie wierzyła, że wyjechali z Rosji na dobre. Myśl, że na zawsze zmieniają swoje dotychczasowe życie, głęboko ją zaniepokoiła.

– Wolałabyś zamieszkać gdzie indziej?

Potrząsnęła głową. Wiedziała, że będzie tęskniła za rodzicami i przyjaciółmi. Jasne, że będzie im trudno przywyknąć do osobliwości amerykańskiego stylu życia – tutejsi ludzie byli zuchwale swobodni, natrętnie bezpośredni i mieli zwariowane poczucie humoru. Kochała jednak Aleksa, a instynkt podpowiadał jej, że Ameryka to jedyne miejsce na świecie, w którym czułby się szczęśliwy. Jedyne miejsce, gdzie mógł być produktywny, jedyne miejsce, w którym byłiby bezpieczni.

– Z czego będziemy żyli?

– Zaczniemy wszystko od nowa. Założę firmę.

– Skoro potrafięś zbić fortunę w Rosji, czemu nie miałabyś zrobić tego

samego tutaj. Pomogę ci. Właściwie tutaj powinno być łatwiej. Ameryka to kraj, w którym szanuje się prawo i własność prywatną. Tutaj nie gardzi się bogatymi.

– Będziemy potrzebowali domu – powiedział.

Przytaknęła, myśląc, że powinien być zupełnie inny od poprzedniego. Mały, przytulny dom bez służących. Na tyle skromny, aby ludzie nie opluwali stojących na progu domokrażców.

Zaczęli wyliczać jego cechy. Bezpieczny, podkreśliła stanowczo Jelena. Z ochroną i portierem, gdzie mogliby spokojnie spać, nie martwiąc się o zbirów Siergieja Golicyna. Najlepiej w centrum miasta lub jego pobliżu, dodał. Nieopodal tętniącej życiem, dynamicznie rozwijającej się metropolii, w której pieniądze rosną na drzewach. Miasto nie może być zbyt duże, zaoponowała, co szybko wykluczyło Nowy Jork, Chicago i Atlantę. W Kalifornii i na Florydzie, właściwie na całym Południu i Południowym Zachodzie, było zbyt gorąco i wilgotno jak na ich gęstą rosyjską krew. Z kolei Środkowy Zachód był zbyt amerykański, zbyt prowincjonalny, więc pewnie by tam nie pasowali. W ten sposób możliwości szybko ubywało.

Nagle przyszło jej coś do głowy, a ponieważ mieli niewiele czasu i wykluczili inne ewentualności, Aleks szybko wyraził zgodę.

Waszyngton. Mogliby zamieszkać w tym czarującym mieście. Nie było za małe ani za duże, pełne wspaniałych pomników, hałaśliwych polityków i mnóstwa forsy. Im dłużej się zastanawiali, tym bardziej podobał się im ten pomysł. Mogliby znaleźć ładny dom, umeblować go, zacząć normalnie żyć i szybko, po cichu, zbić kolejną fortunę.

Na dodatek Waszyngton był miastem prawników. Powinni bez trudu znaleźć dobrego adwokata z mnóstwem kontaktów i doświadczeń w sprawach imigracyjnych, by niezwłocznie rozpocząć starania o azyl.

– Będziemy musieli zacierać za sobą ślady – ostrzegł ją Aleks.

Otrzeźwiająca myśl przerwała jej pogodne marzenia, przenosząc z wysnionej przyszłości do obecnej sytuacji.

– Będą nas tropili?

– Tak, przez jakiś czas. – Przerwał i wyjrzał przez okno. – Trzeba skierować ich na fałszywy trop. Będę potrzebował twojej pomocy.

- Czy to się nigdy nie skończy, Aleks?
- Nie, jeśli nie znikniemy i nie zostawimy ich w spokoju. Myślę, że w końcu o nas zapomną. Zapomną, gdy uznają, że szkoda dla nas czasu.

\* \* \*

O osiemnastej wynajęli samochód, zaopatrzyli się w mapy i włożyli do bagażnika wszystko, co mieli. Jak na dawnego magnata finansowego i jego żonę nie było tego dużo. W bagażniku znalazły się jedynie urządzenia biurowe Aleksa oraz trochę ubrań i przyborów toaletowych, które nabyli po przylocie. Aleks wymeldował się, zapłacił za pokój gotówką, a następnie poszedł z Jeleną do centrali telefonicznej w piwnicy, gdzie omówili swój plan z przyjaciółką Jeleny, Amber. Ignorując protesty, Aleks wcisnął jej do ręki trzy tysiące dolarów, mówiąc, aby zatrzymała dwa, a resztę rozdzieliła wedle uznania między hotelowych pracowników.

Amber pocałowała Jelenę w policzek, mocno przytuliła i życzyła obojgu powodzenia.

Czternaście godzin po ich odjeździe zjawił się zespół zabójców. Weszli do hotelu i zaczęli węszyć w holu, szukając zwierzyny. W sumie sześciu ludzi. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta, Katia, która torturowała ich w Budapeszcie. Katia przyleciała kilka godzin wcześniej nocnym samolotem z Rosji. Miała poinformować tamtych o przebiegłości Koniewicza i potwierdzić wykonanie roboty. Przynajmniej taki powód Golicyn podał swoim współpracownikom, Tatianie i Nikole. W rzeczywistości wysłał ją dlatego, że nie ufał gangsterowi i chciał, aby w operacji uczestniczył ktoś z jego ludzi.

Pozostali zabójcy byli Amerykanami rosyjskiego pochodzenia, obywatelami Brighton Beach powiązanymi z dwiema lub trzema podstawionymi firmami należącymi do rozległej organizacji Nikoły.

Bez trudu zlokalizowali numer telefonu, który Tatiana przekazała Nikole, gdy Koniewicz kazał jej iść do diabła. Wystarczyło zajrzeć do książki telefonicznej Manhattanu, aby skierować się do Park Plaza.

Byli pewni, że Aleks tam jest. Nie znali numeru pokoju, lecz wkrótce mieli się tego dowiedzieć. Dwaj zostali w holu na dole, po jednym przy każdym wyjściu, aby uniemożliwić Aleksowi ucieczkę. Reszta pognała na górę. Użyli łoża, aby dostać się do pokoju i wyrzucić Koniewicza przez okno, wprost na

ruchliwą ulicę. Gdyby pokój znajdował się na niższym piętrze, mieli użyć noży i garoty.

Pracownicy recepcji odmawiali podania jakichkolwiek informacji, chociaż Katia błagała i proponowała łapówkę. W Park Plaza poważnie traktowano zasadę nieujawniania informacji na temat gości. Wtedy zabójcy zaczęli nagabywać pokojówki i kelnerów, pracowników z dolnej części siatki płac, którzy mogli za odpowiednie wynagrodzenie lekko nagiąć zasady etyki.

Katia, dysponująca większym doświadczeniem w brudnej robocie, wpadła na lepszy pomysł. Zjechała windą do piwnicy, gdzie znajdowała się centrala telefoniczna. Drzwi były zamknięte, więc zapukała. Otworzyła jej młoda kobieta. Katia zwinnie weszła do środka, zanim tamta zdążyła ją powstrzymać. Korpulentna Murzynka, najwyraźniej kierowniczką, podniosła się z krzesła, odsunęła od konsoli i podeszła ku niej.

– Proszę wyjść. To pomieszczenie dla personelu – oznajmiła, przybierając stanowczą postawę.

Chociaż Katia świetnie знаła angielski, udała, że nie rozumie.

– Szukam młodszej siostry – powiedziała łamaną angielszczyzną. – Jestem pewna, że mieszkała w tym hotelu.

Czarnoskóra kobieta stanęła w rozkroku i skrzyżowała ręce.

– Musi pani spytać na górze. W recepcji. Goście nie mają tutaj wstępu.

– Proszę mi pomóc – odpowiedziała Katia, marszcząc czoło i udając, że nie rozumie. – Ma na imię Jelena. Jelena Koniewicz. Zatrzymała się tu razem z mężem.

Duża twarz Amber spochmurniała, przybierając nieufny wyraz.

– Jak to możliwe, że nie wie pani, gdzie przebywa jej siostra?

– Ona i jej mąż uciekli z Rosji. Aleks popełnił tam wiele przestępstw.

Ukrywa się.

– Wiele przestępstw?

– Tak, bardzo wiele. Nasza matka poważnie zachorowała. Jest umierająca. Przyjechałam, bo Jelena powinna o tym wiedzieć. – Kolejne długie, błagalne spojrzenie. – Proszę, musi pani mi pomóc.

Akurat, starsza siostrzyczka Jeleny! Za kogo ta ruska zdzira się uważa, sądząc, że mnie oszuka, pomyślała Amber. Oparła ręce na biodrach.

– Spóźniła się pani. Wczoraj wyjechali w pośpiechu. Powiedzieli, że

przenoszą się do Chicago.

– Chicago? – powtórzyła lekko zszokowana Katia.

– Tak, do Chicago. Oznajmili, że mają dość Nowego Jorku i planują zamieszkać w Chicago.

– Zostawili adres kontaktowy? Numer telefonu?

Amber wyciągnęła dużą dłoń. Katia oniemiała. Kiedy ręka ani drgnęła, zrozumiała wiadomość. Wyciągnęła z kieszeni dwadzieścia dolarów. Nadal nic. Witaj w Ameryce, zdziro. Zamknęła się dopiero wtedy, gdy znalazły się w niej cztery dwudziestki.

– Nie – odparła Amber.

– Nie zostawili ani słowa? Nic?

– Właśnie, żadnej wiadomości.

– Pojechali samochodem, pociągiem czy samolotem? – Katia był tak zdenewrowana, że zapomniała o fałszywym akcencie.

– Gdybym miała zgadywać, on i twoja siostra sprawiali wrażenie przerażonych. Będzie ich cholernie trudno znaleźć, wiesz, o co mi chodzi.

Katia patrzyła na nią dłuższą chwilę, a następnie odwróciła się na pięcie i wyszła, gniewnie zatrzaskując drzwi.

W tej samej chwili Maria Sanchez, pokojówka pracująca na górze, wsuwała do kieszeni sto dolarów, powtarzając to samo kłamstwo dwóm innym zbirom. Z całkowitym przekonaniem powiedziała zabójcom, że Koniewiczowie wyjechali do Chicago. Podслуchała, jak o tym rozmawiają, gdy dwa dni temu sprzątała pokój. Na stoliku nocnym przy łóżku leżały przewodniki po Chicago, a oni wydawali się podekscytowani wyjazdem.

Amber pomyślała, że przynajmniej kupiła Koniewiczom trochę czasu. Może kilka tygodni. W sprzyjających okolicznościach kilka miesięcy. Jeśli jednak zabójcy mieli poważne zamiary, w końcu ich odnajdą.



## 16.

John Tromble wiecznie się spieszył. Kilka lat gnał przed siebie jako prokurator federalny, a później zasuwał sprintem pięć kolejnych jako sędzia. Od dwóch i pół roku zajmował stanowisko dyrektora FBI. Szybko przypominał rozmówcom, że jest najmłodszym dyrektorem, jakiego ta instytucja miała w historii, na wypadek gdyby ktoś przeoczył ten fakt. Teraz szybko wyciągnął długie nogi i pospiesznie przebiegł wzrokiem dossier przygotowane przez jego podwładnych.

Planował spędzić jeszcze dwa lata na stanowisku szefa FBI, a następnie wzbudzić powszechną sensację i wspiąć się wyżej. Nie wykluczał ubiegania się o urząd wiceprezydenta. Fotel senatora wydawał się łatwizną. Chyba że założyłby prywatną firmę ochroniarską i szybko zbił miliony. Dysponując gotówką, mógłby zrealizować każde marzenie. Szybko czytał, szybko jadł, szybko spał, nawet pieprzył się ze zdumiewającą szybkością. Wszystko, co robił, wykonywał zdumiewająco szybko.

Ich samolot był w odległości trzydziestu minut lotu od Szeremietiewa, które znajdowało się na obrzeżach Moskwy. Gdyby to on siedział za sterami tego cholernego odrzutowca, z pewnością znalazłby sposób, aby dolecieć na miejsce piętnaście minut wcześniej.

Zasnął zaraz po starcie z lotniska w Waszyngtonie. Wstał pół godziny temu, wziął prysznic, ogolił się i włożył świeżo odprasowany garnitur. Szybko spojrzął w lustro, zanim opuścił specjalną kabinę bardzo specjalnego samolotu, aby poczynić ostatnie przygotowania do tej bardzo specjalnej podróży. W tyle

maszyny siedziało tyłu amerykańskich reporterów, ilu jego pomocnicy i kumple zdołali zwabić, skłonić pochlebstwami lub siłą zapędzić na pokład. Przedstawiciele prasy opuszczą maszynę pięć minut przed nim. Tak, będą na niego czekali. Duży, niecierpliwy tłum u podstawy schodów, rozstępujący się, gdy on będzie majestatycznie zstępował, pozując do zdjęć. Resztki niskokalorycznego śniadania leżały na tacy spoczywającej na jego kolanach. Hałaśliwie i szybko wypił wodę z butelki, nie odrywając oczu od dossier i starając się nie słyszeć rozmów.

Naprzeciw siedziała Laura Tingleman, prokurator generalny, jego rzekoma przełożona. Pracowała przez cały lot, od chwili gdy dwanaście godzin wcześniej wystartowali z Bazy Sił Powietrznych Andrews. Pogrążona w fotelu nie odrywała nosa od blackberry. Była pomarszczona i zmęczona. Rosła, korpu-lentna, nieefektowna kobieta. Miała pięćdziesiąt lat, choć wyglądała na zaniedbaną sześćdziesięciolatkę. Jakimś cudem na jej szerokiej twarzy zawsze malował się strach.

Pierwszy rok jej pracy zaczął się bardzo niefortunnie. Wszyscy wiedzieli, że była czwartą kandydatką prezydenta. Mianował ją rok po objęciu urzędu, gdy okazało się, że kandydat numer jeden zabawiał się w łóżku ze swoją nieletnią gosposią. Tromble widział tę dziewczynę i musiał przyznać, że rzeczywiście nie wyglądała na czternaście lat. Raczej szesnaście. Wyszło też na jaw, że kandydat numer dwa otrzymywał sute łapówki od nieuczciwych firm naftowych. Później okazało się, że kandydat numer trzy, sędzia sądu okręgowego w Kalifornii, zmarnował młode lata, uchylając się przed powołaniem do wojska, wymyślając gliniarzom od świń, wdychając różne podejrzone substancje i podpalając grilla amerykańską flagą. Gość miał świetne kwalifikacje na sędziego stanu Kalifornia, lecz reszta kraju nie byłaby skłonna go zaakceptować.

Po tych zdarzeniach w jakimś zapadłym sądzie okręgowym Montany od-szukano Laurę Tingleman. Była spokojną, kompetentną sędzią umiejącą prze-prowadzić większość spraw rozwodowych i drobnych sporów o ziemię. Do tego miała niewielki kontakt z wielką polityką, zero doświadczenia na arenie ogólnokrajowej oraz żadnych kontrowersyjnych decyzji ani podważonych wy-roków – Laura Tingleman wzbudzała tyle kontrowersji co talerz rosółu. Nie doszukiwano się żadnych złych przyzwyczajęń. Nigdy nie wyszła za mąż,

nigdy się nie rozwiodła. Główny śledczy zespołu FBI prześwietlającego kandydatkę wysnuł nawet przypuszczenie, że mogła być pięćdziesięcioletnią dziewczyną, jeśli coś takiego było w ogóle możliwe. Za najlepsze uznano jednak to, że Laura Tingleman była kobietą! Pierwszą kobietą mianowaną na urząd prokuratora generalnego. Feministki z całego kraju odgrażały się, że tego, kto sprzeciwi się jej nominacji, czeka sprzeciw epokowych rozmiarów.

Nie zaszkodziło również to, że była sympatyczną osobą, choć może niezbyt pewną siebie. Kobieta uprzejmą, szanującą innych i głęboko religijną, choć nie fanatyczką. Jej nominacja przeszła bez żadnego sprzeciwu.

Tromble szczerze nią gardził. W tej ekipie było miejsce tylko dla jednej prawniczej gwiazdy, jednego obrońcy Ameryki przybywającego w lśniącej zbroi, broniącego jej przed oszustami, terrorystami i dewiantami czającymi się w mroku. W końcu to on był cudownym dzieckiem, które wspięło się na szczyt trudną drogą dzięki intelektowi, mocnym łokciom i niestrudzonej pracy. Studia na Yale, później prawo na Harvardzie. Odsiedział też ile trzeba w prawniczych okopach. Ona była znikąd, sprowadzona z Montany z oczywistego i prostego powodu; nie miała żadnych dokonań, które byłyby godne uwagi. Ścisłe mówiąc, nie miała żadnych dokonań.

Chociaż jako prokurator i sędzia Tromble nie był postacią szczególnie popularną, wszyscy się go bali. Wszyscy z wyjątkiem gliniarzy, którzy uwielbiali go za to, jak dawał popalić adwokatom, wymierzając surowe wyroki. Liczba jego wygranych spraw przyprawiała o zawrót głowy.

Sędziowie nowojorskiego sądu apelacyjnego byli tak przeciążeni i zmęczeni wnioskami, które zgłaszał tydzień w tydzień, że szykowali się, by złożyć na niego skargę, gdy rozeszła się wieść, że jest na krótkiej liście kandydatów prezydenta na stanowisko dyrektora FBI. Sędziowie zastanawiali się nad wniesieniem apelacji. Spotkali się nieoficjalnie, radząc, czy powinni ostrzec władze przed sędzią, którego uważali za typowego nazistę. Nie, nie byłoby to mądre posunięcie, zawyrokował z uśmiechem starszy sędzia słynący z liberalnych poglądów. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Pozbędą się Johna Tromble'a i będą mogli ponownie umawiać się w piątek na golfa oraz wracać do domu na obiad.

W ostatnich dniach urzędowania na Kapitolu poprzednik obecnego

prezydenta, człowiek umiarkowany, który mianował dwóch umiarkowanych liberałów na sędziów Sądu Najwyższego, załatwił robotę Tromble'owi. Wepchnął go na to stanowisko, biorąc całą winę na siebie, przypominając każdą wyświadczoną przysługę, stosując groźby i wykręcając ręce, aż dźwięk łamanych kości odbił się echem w całym senacie. Była to jego najwspanialsza godzina. Gdyby tyle samo energii i determinacji włożył w rządzenie krajem, ten nędzny gubernator z Południa, który wyprzedził go w sondażach, do dziś ugaśniałby się za spółniczkami w jakiejś mieścinie.

Na odchodnym zostawił swojemu następcy kielich z trucizną. Człowieka wybuchowego, pozbawionego jakichkolwiek zahamowań, żarliwie pragnącego prawa i sprawiedliwości, który zmiótlby z drogi każdego, z czego prezydent zwierzył się, chichocząc, sekretarzowi generalnemu. Planował, że będzie sobie wygodnie odpoczywał na emeryturze, z rozbawieniem obserwując kłopoty, które John Tromble sprawi temu chłoptasiowi z Południa. Zapowiadała się niezła zabawa.

Teraz, po dwóch latach spokojnego sprawowania urzędu, dwóch latach, które, o zgrozo, nie zostały entuzjastycznie przyjęte, Tromble uznał, że pora wspiąć się szczebel wyżej. Pod jego czujnym okiem poziom przestępczości wyraźnie się obniżył, lecz przedstawiciele liberalnej prasy gardzili nim, przypisując ten fakt setkom innych czynników, takich jak spadek popytu na narkotyki, osadzeniu w więzieniu wszystkich zatwardziałych kryminalistów czy religijnemu przebudzeniu na głębokim Południu i Środkowym Zachodzie. Tromble potrzebował sukcesu, którego nie mogliby błędnie zinterpretować, pozbawiając go zasługi. Musiał się czymś chlubnie zapisać, więc zwrócił niespokojne spojrzenie na najnowsze zagrożenie dla Ameryki – zorganizowaną przestępczość, obcych oszustów na amerykańskiej ziemi i nieco dalej, na pierwszego lepszego kandydata, rosyjską mafię.

Aleks i Jelena mieli wielkiego pecha, bo ich los spoczął w rękach chwiejnej prokuratury generalnej i szefa FBI o nienasyconych ambicjach oraz kilku zgoła dziwnych wyobrażeniach na temat sprawiedliwości.

\* \* \*

Długa kolumna limuzyn stanęła na wybrukowanym placu. Pomocnicy i

asystenci Tromble'a, brygada wazeliniarzy, jak nazywali ich zatwardziali agenci operacyjni, wygramolili się z pojazdów, zbijając w bezładną masę. Natychmiast wprowadzono ich przez historyczne drzwi Kremla na dwa rzędy schodów, którymi dostali się wprost do przepastnego gabinetu Anatolija Fiedorowa, prokuratora generalnego Rosji.

Przeprowadzono pospieszną, rzeczową prezentację. Kilku anonimowych asystentów Fiedorowa o kamiennych twarzach stanęło wokół ścian. Wśród nich znajdowała się urodziwa młoda dama w zapierającej dech minispódniczce, uśmiechająca się uprzejmie, gdy procesja wchodziła do środka.

Fiedorów siedział na wysokim krześle za biurkiem, które wydawało się większe od Finlandii. Przed biurkiem ustawiono dwa krzesła, niewiele większe od niskich stołeczków. Po chwili zdumienia Tingleman i Tromble spoczęli ostrożnie na tych mebelkach. Kolana mieli niemal pod brodą, łokcie prawie na podłodze. Musieli podnosić głowę, aby widzieć Fiedorowa.

Przedstawiciel amerykańskiej ambasady stanął lekko z tyłu, z notatnikiem w jednej i długopisem w drugiej ręce. Zapewniono ich, że Fiedorów świetnie zna angielski. Tłumaczenie nie było potrzebne ani pożądane. Prawdziwym zadaniem sługusa z ambasady było sporządzanie szczegółowych notatek i baczenie na wszystko, co zawodowi dyplomaci będą musieli później posprzątać.

Ponieważ Fiedorów pełnił obowiązki gospodarza, rozpoczął spotkanie rozwlekłym górnolotnym monologiem, że jeśli pominąć interesy każdego z państw, wszyscy obecni zajmują się tym samym. A mianowicie – egzekwowaniem prawa. Że są duchowymi braćmi i siostrami połączonymi wspólną wrogością do kryminalistów i tak dalej.

Kiedy skończył, Tromble przybrał uroczysty wyraz twarzy i zanim Tingleman zdołała wydusić z siebie słowo, szybko oznajmił:

- Przybyliśmy w celu omówienia bilateralnej współpracy w dziedzinie zwalczania przestępczości.
- Zgrabnie to ujęliście – zauważył oschle Fiedorów. – Znaczy co?
- No cóż... na początek chcemy co roku zaproponować kilka miejsc naszym ludziom w Akademii FBI.
- Czemu? Jest lepsza od naszej?

Sługus z Departamentu Stanu skreślił kilka uwag w swoim notatniku,

nieporadnie ukrywając uśmieszek. Zanosilo się na niezłą zabawę.

– Cóż... przypuszczalnie tak. Cieszy się pewną renomą. Myślę, że chcielibyście mieć swoich ludzi w naszym ośrodku profilowania w Quantico.

Łokcie Fiedorowa oparły się ciężko na biurku.

– Wyjaśnijcie, o co chodzi w tym profilowaniu.

– No cóż... wiecie, to specjalistyczna metoda wykorzystująca wiedzę z dziedziny psychologii w celu przeniknięcia do przestępczego umysłu. Okazała się bardzo skuteczna. Na przykład seryjni mordercy mają skłonność do przejawiania komplementarnych wzorców zachowań. Jeśli uda się je określić, można ich odnaleźć i powstrzymać.

Fiedorów uśmiechnął się lekceważąco.

– W Rosji nie ma seryjnych morderców.

– Metoda sprawdza się bardzo dobrze w przypadku seryjnych gwałcicieli albo podpalaczy, jeśli takich macie.

– Nie, takich u nas także nie ma. To amerykańskie problemy.

Facet z departamentu zapisywał całe akapity.

Kogo ten Ruski chce oszukać? – pomyślał Tromble. Roześmiał się, przekonany, że to żart. Fiedorów z powagą zmarszczył czoło.

Lalunia w mini nagle odeszła od ściany i stanęła obok biurka Fiedorowa.

– Anatolij, okropni z nas gospodarze. Nasi amerykańscy goście odbyli długą podróż. Może chcieliby się napić kawy.

Kimkolwiek była ta osóbką, łączył ją interesujący związek z Fiedorowem, bo jego wyraz twarzy natychmiast uległ zmianie. Gniewne zmarszczenie czoła ustąpiło miejsca łaskawemu uśmiechowi.

– No tak... faktycznie, macie rację. Kto chce kawy?

Tromble poprosił o czarną, bez cukru i śmietanki. Laura zamówiła herbatę z cukrem i mlekiem. Jeden z asystentów ruszył spod ściany, aby przynieść napoje.

Młoda dama o wspaniałych nogach obeszła biurko i przedstawiła się Amerykanom, uśmiechając się promiennie i wymieniając mocny uścisk dłoni. Tatiana jakaś tam. Wyjaśniła, że nie pracuje tutaj, w biurze prokuratora generalnego, lecz na górze, u jego przełożonego. Była prawniczką, która często doradzała Jelcynowi w kwestiach prawnych. To jakby usprawiedliwiało jej obecność.

– Czemu nie mielibyśmy zasiąść przy stole konferencyjnym? – zasugerowała gościnnie.

Właściwie czemu nie. Obecne miejsce rzeczywiście było do niczego. Przeszli od stołków i biurka na wygodne krzesła ustawione wokół masywnego stołu z orzecha włoskiego przy ogromnym oknie. Tingleman i Tromble usiedli obok siebie w milczeniu.

Panna Tatiana spoczęła obok Fiedorowa po drugiej stronie długiego, lśniącego stołu. Wymienili kilka słów na temat lotu, pogody i innych nudnych tematów. Kiedy wniesiono kawę i herbatę, a napięcie na sali opadło do umiarkowanego, Tatiana oznajmiła:

– Przejdźmy do rzeczy. O czym tak naprawdę chcielibyście pomówić?

Tromble rzucił okiem na papiery, uprzedzony przez swoich jajogłowych doradców, że Ruscy to świetni negocjatorzy. Nie należy przychodzić z pustymi rękami. Trochę dać, aby uzyskać trochę w zamian. Zaczął w tym duchu, a raczej próbował zacząć. Na początek kilka hojnych ustępstw, a później prośba.

Skoro ona od razu przeszła do rzeczy, mógł i on.

– O waszej mafii.

– A konkretnie?

– Po upadku muru to wasz główny towar eksportowy. Rosyjska mafia przenika do naszych miast. Zamienili Miami w strefę ognia. Brighton Beach to istny salon pogrzebowy. – Tromble zrobił nieprzyjemną minę. – To bardzo odrażające typy.

– Wiem – przytaknął Fiedorów, kiwając głową z odrazą. – Robactwo. Najbardziej bezwzględni i brutalni kryminaliści na świecie.

– Tak, mogliśmy się o tym przekonać – odpowiedziała lekko poirytowana Tingleman, bo nie miała pojęcia, z jakiego powodu dyrektor FBI wybrał się w tę podróż. Powiedziano jej, że to czysto dyplomatyczne spotkanie, obowiązkowy protokół związany z urzędem, który piastuje, okazja wyrwania się z codziennej harówki w Waszyngtonie. – W porównaniu z waszymi chłopakami włoscy mafiosi to cywilizowani dżentelmeni. Wasi działają bez żadnej finezji, żadnych zasad, żadnej interesującej tradycji. Na dodatek zabijają z byle powodu.

– Nie jesteśmy z nich dumni – odparł skrzywiony Fiedorów, wzruszając ramionami.

– Prezydent naciska, aby zrobić coś w tej sprawie – zaznaczył Tromble, próbując przejąć inicjatywę.

W rzeczywistości prezydent nie przywiązywał wagi do niczego, co nie wpływało na wyniki sondaży. Poza Hollywood, gdzie nowe gatunki przerażających brutalni były zawsze mile witane, przeciętny Amerykanin nie miał pojęcia o rosyjskiej mafii.

Fiedorów spojrzał na niego z pełnym zrozumieniem.

– Chciałbym prosić o przysługę – ciągnął Tromble, uśmiechając się przyjacielsko. – Jak wiecie, w naszej ambasadzie w Moskwie mamy małą komórkę FBI. Jelcyn osobiście podpisał zgodę. Dwa lata temu.

Tatiana skinęła głową.

– Pozwolenie wygaśnie za kilka miesięcy.

– Właśnie. Chciałbym prosić o jego przedłużenie. Powiedzmy, na kolejnych pięć lat. Chciałbym również potroić obsadę.

– Ilu ludzi macie obecnie? – spytał Fiedorów.

– Czterech. Czterech przepracowanych, wyczerpanych funkcjonariuszy – odparł kwaśno Tromble. – Zaowocowało to dwoma rozbitymi małżeństwami, popadnięciem jednego człowieka w alkoholizm i jedną próbą samobójczą. Przykro mówić, placówka w Moskwie to najmniej popularne miejsce pracy w całym FBI.

– Dwunastu to za dużo – sprzeciwił się Fiedorów, wyraźnie niechętny temu pomysłowi. – W końcu to rosyjska ziemia.

– Wiem, wiem. Pamiętajcie, że wasza mafia to potężna organizacja, która szybko się rozwija. Nie kryją ambicji, pchają się wszędzie. Narkotyki, prostytucja, porwania, wymuszenia. Stos ciał piętrzy się coraz wyżej. Czterech agentów nawet jej nie nadgryzie. Mam nadzieję, że wspólnymi siłami rozwiążemy problem.

– Wspólnymi siłami?

– Tak, razem. Wasi ludzie radzą sobie z nimi lepiej od nas.

– Mam nadzieję.

– A gdyby tak nasi agenci rozpoczęli stałą współpracę z waszymi?

– W charakterze oficerów łącznikowych? – zasugerowała Tatiana, dyskretnie trącając Fiedorowa pod stołem.



– Ogólnie rzecz biorąc, tak. W nasze ręce wpadają wyłącznie szeregowi członkowie mafii. To nie ma najmniejszego sensu. W dzisiejszych czasach, jeśli zdejmie się z ulicy jednego, w jego miejsce natychmiast pojawi się dwóch. Przypuszczamy, że szefowie wszystkich rosyjskich organizacji przestępczych przebywają tutaj, w Rosji. – Ponieważ nikt nie sprzeciwił się temu twierdzeniu, kontynuował: – Moglibyście umieścić swoich ludzi w naszej centrali. Wymienimy się danymi wywiadowczymi. Podzielimy się wszystkim, co wiemy. Może wspólnie przeprowadzimy kilka dużych operacji.

Tatiana zachowała spokojny wyraz twarzy, choć serce jej waliło. Wspaniały pomysł. Wymienimy się danymi wywiadowczymi, im więcej informacji nam przekażecie, tym lepiej. Wyobraziła sobie, co powie Nikoła, gdy się o tym dowie. Będzie знаła wszystkie plany FBI. Pozna nazwisko każdego kreta i informatora. Dzięki niej Nikoła będzie mógł wzmocnić swoją pozycję i użyć chłopców z FBI do pokrzyżowania ich własnych operacji. Zyski urosną do niebotycznych rozmiarów. Amerykańskie oddziały Nikoły zaczną się dynamicznie rozwijać...

Oczywiście, wszystko będzie zależało od małej pocziwej Tani. Wiadomo, takie usługi słono kosztują.

Lekko skinęła Fiedorowowi, który raz po raz spoglądał w jej stronę.

– Podzielimy się nagłówkami? – spytał Fiedorów, zdradzając, że łączy go z Tromble'em pokrewieństwo dusz.

– Nie wyobrażam sobie, aby było inaczej – skłamał Tromble.

– Czemu tylko dwunastu agentów? – spytała Tatiana. – I czemu tylko na pięć lat? Nasza mafia działa od siedemdziesięciu lat. To potężna instytucja, nie sądzę, żebyśmy zdołali ją pokonać w pięć lat. Proponuję dwudziestu agentów. Trzydziestu, jeśli zechcecie. Bardziej rozsądne wydaje się też przedłużenie umowy na dziesięć lat.

Tromble wsunął dłonie pod stół, próbując uspokoić rozdygotane kolana. To wszystko, o czym marzył, a nawet dwa, trzy razy więcej. Może J. Edgar stworzył FBI i umieścił je na mapie, lecz Tromble już dawno zdecydował, że zajmie doniosłe miejsce w legendzie firmy. Obejmie amerykańską agencję bezpieczeństwa i przekształci ją w międzynarodową niszczycielską siłę. Kiedy odejdzie, FBI będzie dwukrotnie potężniejsze. Może nawet bardziej, znacznie

bardziej. Zbudują większe centrum operacyjne, istnego molocha z tuzinami oświetlonych ekranów nieprzerwanie wyświetlających najnowsze dane na temat Triady żółtków, Yakuzy Japońców, francuskich portowych szczurów i tybetańskich... jak tam się do licha zwą. On, Tromble, będzie miał duży fotel pośrodku sali, istny tron, z którego będzie nadzorował swoje falangi gromiące przestępczy świat.

Przygryzł wargi.

– Jak dla mnie brzmi to rozsądnie.

– Znakomicie. – Tatiana o wspaniałych nogach skinęła głową. Zaczęła wstawać, gdy nagle lekko stuknęła się w czoło. Opadła na krzesło, przybierając poważną minę. – Coś sobie przypomniałam. Mógłbyś wyświadczyć nam pewną przysługę, John. Bardzo ważną przysługę.

– Jaką?

Wiedziała, że to hazard, lecz czemu miałyby nie spróbować? Ciekawe, jaką wartość ta placówka ma dla Tromble'a?

– Z Rosji zbiegł pewien przestępca. Aleksander Koniewicz. Ukrywa się w waszym kraju. Prowadził duży bank, w którym prał miliardy. Pieniądze mafii. Kiedy go zdemaskowaliśmy, prysnął z setkami milionów dolarów. To oszust.

– Przebywa na terenie Ameryki?

– Tak. Ponad rok temu straciliśmy go z oczu. Trop prowadził do Chicago. Może faktycznie tam mieszka, lecz nasi najlepsi ludzie nie zdołali go wyśledzić.

– Nie ma problemu. Jutro oddeleguję do tej sprawy dwudziestu agentów.

– No cóż, John, macie swoją listę poszukiwanych... – przerwała, spoglądając mu prosto w oczy – A my mamy swoją. Koniewicz jest na niej pierwszy. To najbardziej poszukiwany przestępca Rosji. Chcemy go dopaść. Bankierzy oszuści to dla nas poważny problem. Chcielibyśmy urządzić mu wielki, publiczny proces dla przykładu innym.

– Za tydzień będzie siedział w moskiewskim więzieniu. Gwarantuję.

Przedstawiciel Departamentu Stanu chrząknął dyskretnie.

– Może być z tym problem.

– Czemu? – spytał Tromble, poirytowany tym, że mu przerywa.

– Obawiam się, że nie mamy umowy ekstradycyjnej z naszymi przyjaciółmi, Rosjanami.

– Co z tego?

Takie pytanie z ust szefa głównej amerykańskiej agencji stojącej na straży przestrzegania prawa, a na dodatek byłego sędziego federalnego, było nieco denerwujące.

– Będzie to... poważny problem prawny, jeśli Koniewicz otrzymał dyplomatyczną zgodę na pozostanie w Ameryce. Nie można wsadzić go ot tak do samolotu i dostarczyć tutaj.

Tromble pochylił się w jego stronę tak, że ich twarze znalazły się blisko siebie.

– Nie sądzę, aby to był pański interes.

Tatiana ze spokojem obserwowała wymianę zdań.

– Pan może mieć rację – powiedziała, bawiąc się kosmykiem bujnych włosów. – Chciałabym, aby sprawa była jasna. Pozostawimy waszą placówkę, jeśli Koniewicz wróci do Rosji. Bez tego nie ma mowy o współpracy. W żadnym zakresie.

\* \* \*

Duża czarna limuzyna stała na małym parkingu nad rzeką Moskwą. Był wtorek. Zwykle spotykali się we wtorki. Okna były lekko uchylone. Na zewnątrz wydobywał się dym cygar. Wóz stawał tutaj raz lub dwa razy w tygodniu. Tydzień w tydzień. Miesiąc po miesiącu.

Ich brak ostrożności dziwił mężczyznę, który obserwował to wszystko z małego, nierzucającego się w oczy samochodu zaparkowanego pół przecznicy dalej. Nie był jednak zaskoczony. Myśliwi rzadko oglądają się przez ramię. Zapalił marlboro i zwiększył ogrzewanie.

Wyśledzenie panny Tatiany Łukiny nie było proste ani szybkie.

Skojarzenie numeru telefonu, który przekazał mu Aleks, z Kremlm nie sprawiło problemu. Wystarczyło wręczyć drobną łapówkę technikowi telefonicznemu. Ale Kreml był ogromnym kombinatem pełnym najróżniejszej maści biurokratów. Ludzie ci nie należeli do szczególnie rozmownych. Miejsce ich pracy tak bardzo przypominało kłębowisko żmij, siedlisko spisku i politycznych intryg, że nawet między sobą rozmawiali wyłącznie szeptem. Obcych spławiano chłodnym wzruszeniem ramion.

Minęło kilka długich miesięcy mozolnego śledztwa. Odnalazł i błyskawicznie prześwietlił sześć kobiet o imieniu Anna. Niestety, żadna nie pasowała do ogólnego profilu. Odrzucił je szybko jako fałszywy trop. Ze zleceniem Aleksa musiał połączyć inne obowiązki, miał za sobą męczący frustrujący okres. Wpadał na wiele nowych tropów, które niebawem porzucał. Początkowo wyglądały obiecująco, lecz w końcu przynosiły rozczarowanie. Pracownicy Kremła ciągle się zmieniali, ponieważ Jelcyn wymieniał premierów i asystentów, jakby pracowali w rzeźni. Liczba potencjalnych podejrzanych zmieniała się niemal każdego dnia. Czy kobieta, której poszukiwał, jeszcze pracowała na Kremlu? Być może, podobnie jak wielu skutecznych i cieszących się poparciem polityków, przeszła do sektora prywatnego, gdzie można było więcej zarobić.

Michaił Boroski poznał Aleksandra Koniewicza wiele lat temu, zanim jego firma została przejęta przez przyczajonych w środku małwersantów. Był doświadczonym emerytowanym policjantem, obecnie prywatnym detektywem, którego wynajmowano do demaskowania oszustów. Łatwizna. Chciwi idioci jeździli do roboty lśniącymi nowiutkimi bmw 730, które nierozważnie zostawiali na parkingu. Równie dobrze mogliby umieścić znak z napisem: „Cześć! Jeśli chcesz wiedzieć, jesteśmy złodziejami, których szukasz!”.

Mimo to Aleks był pod wrażeniem. W ciągu dwóch krótkich dni Michaił potrafił podać nazwiska. Później zaczynała się mozolna praca, niemal zawsze wymagająca przeniknięcia do środka w taki czy inny sposób. Michaił wykonywał tę robotę z brutalną skutecznością.

Koniewicz nagradzał go hojnymi premiami, które zawsze bez zwłoki wypłacał w gotówce. Szybko się zaprzyjaźnili. Czasem spotykali się na obiedzie, który przeciągał się do późnej nocy. Podczas długiej służby Michaił wyspecjalizował się w zwalczaniu mafii, należał do doborowej kadry, która była stale prześwietlana i obserwowana z powodu swojej nieprzekupności i bezwzględności działania. Gromadził dane wywiadowcze i zbierał wystarczającą ilość brudu, aby można było doprowadzić do skazania oprychów i bandziorów.

Aleks lubił słuchać opowieści, które nie miały nic wspólnego z jego interesami. Nikt z Koniewicz Associates nie wiedział o ich znajomości. Michaił od początku nalegał, aby zachować wszystko w sekrecie. Dopóki trzyma się w

cieniu, przestępcy zostawiają mu wiele śladów. Płać mi osobiście, nigdy nie dzwoń z telefonu w biurze, nie wymieniaj mojego nazwiska. W ten sposób łatwiej odnajdę ich ślad.

Po pół roku mozolnej pracy i dzięki odrobinie szczęścia wpadł na trop Tatiany. Kompletny przypadek. Przesiadując w barze, zaprzyjaźnił się z dwójką podrzędnych pracowników Ministerstwa Finansów. Było to ulubione miejsce, w którym spotykali się i gawędzili szeregowi funkcjonariusze Kremla. Michaił wabił ich gorzałą i zachęcał, aby przedstawiali go znajomym.

Pewnej nocy usłyszał, jak facet przy sąsiednim stoliku narzeka, a po wypiciu czwartej wódki, głośno pomstuje na koleżankę z Kremla, która wbiła mu nóż w plecy. Nazywał babkę żalną dziwką. Michaił nadstawił uszu. Tak, niezła z niej laska, zarechotał jego towarzysz. Obelgi i kiepskie żarty podsłuchane przez Michaiła szybko zamieniły się w poważne zarzuty. Nic dziwnego, że szef gabinetu zawsze wygląda na wyczerpanego, zauważył jeden. Cha, cha, cha. Tak, to istna modliszka. Cud, że facet jeszcze ma fiuta. Cha, cha, cha.

Michaił przysiadł się do nich i zaczął stawiać kolejki. Zwolniony urzędnik okazał się pijakiem i wkrótce był zupełnie wstawiony. Facet miał pęcherz bez dna, lecz około północy powlókł się do męskiej toalety. Michaił ruszył dwa kroki za nim. Stojąc przy sąsiednim pisuarze, zaproponował mu ładnego tyśiączka, jeśli następnego ranka pokaże mu tę zdradziecką dziwkę idącą na Kreml.

Wystarczył jeden rzut oka, aby wiedział, że ją znalazł. Pasowało wszystko oprócz imienia, choć Tatiana i Anna brzmiały znajomo. Aleks zasugerował, że przypuszczalnie jest atrakcyjna. Bez wątplenia była. Prócz tego skończyła prawo. Michaił łąził za nią dwa tygodnie. Miał sporo zabawy, choć nie był to najbardziej produktywny sposób spędzania czasu. Trzy, cztery noce w tygodniu ona i jej szef spędzali w hotelu. Później wspólnie jechali do pracy, trzymając się za ręce i obściskując jak napaleni nowożeńcy. Miała też wiele dłuższych przerw na lunch w hotelach w centrum miasta, tym razem nie z pulchnym szefem w średnim wieku, lecz przystojnym, wysportowanym młodym gościem, który najwyraźniej miał jej do zaoferowania coś więcej. Michaił zrobił kilka zdjęć. Popytał tu i tam, i ustalił, że ów młodzieniec to Sasza Kamieniew, znany napastnik narodowej reprezentacji piłkarskiej. Więcej szukania i więcej brudu. Okazało się, że urodziwy Sasza i Tatiana pochodzili z tego samego miasteczka.

Już w szkole średniej flirtowali i barszkwali na tylnym siedzeniu samochodu. Moskiewskie romanse Tatiany zaczynały się i kończyły, lecz Sasza trzymał się dzielnie i przemykał do jej szatni po meczu.

Pod koniec trzeciego tygodnia zobaczył, jak Tatiana znika na tylnym siedzeniu długiej czarnej limuzyny. Zrobił zdjęcia. Wdepnął gaz i ruszył za nią. Następny przystanek przed obskurnym, podupadłym nocnym klubem na przedmieściach miasta. Znowu zrobił zdjęcia. Niski facet o dużym, wygiętym nosie i siwiejącym kucyku wypadł z klubu i wepchnął się do środka.

Jako były pogromca mafii Michaił natychmiast rozpoznał Nikołą w podejrzanej postaci w czarnej skórce. Resztę opowieści dopowiedziała tablica rejestracyjna limuzyny.

Zwykle spotkania nad rzeką trwały piętnaście, dwadzieścia minut. Dzisiejsze przeciągnęło się do godziny. Michaił domyślił się, że zaszło coś ważnego. W pewnej chwili Nikoła wysiadł, zrobił kilka niepewnych kroków, a następnie rozpiął rozporek i wysikał się. Michaił miał mocny teleobiektyw, zrobił zdjęcia. Zachichotał pod nosem.

Nikoła Kozyriew, największy postrach Rosji, miał tyciego.

Tej nocy złożył cotygodniowy telefoniczny raport Aleksowi. Zdjęcia zapakował do dużej koperty i wysłał na adres mieszkania w kompleksie Watergate.

## 17.

### *Koniec 1994 roku*

Aleks i Jelena Koniewiczowie kupili mieszkanie w domu nad rzeką, na szóstym piętrze rozległego zamkniętego kompleksu wychodzącego na brązowe, mętne wody szerokiego Potomacu, w niewielkiej odległości od majestatycznego Centrum Kennedy'ego. Choć od tego czasu upłynął rok, Aleks nie przestał być zdumiony nedorzecznie małymi rozmiarami ich lokum. Mieszkanie miało dwie sypialnie. W jednej spali, a drugą przerobili na mały zagracony gabinet, który wspólnie dzielili. Zapłacili prawie milion. Pewnie było to najdroższe siedemdziesiąt dwa metry kwadratowe w całym mieście.

Mieszkanie było bezpieczne. W słynnym budynku uwiło sobie gniazdko wielu sławnych i wpływowych ludzi. Oczekiwali prywatności i ochrony, płacili astronomiczne rachunki i otrzymywali to, czego chcieli.

Jelena lubiła prostotę ich nowego domu. Odpowiadało jej małe mieszkanie. Łatwiej było utrzymać wszystko w porządku. Aleksowi było w nim trochę ciasno, czuł się ograniczony, niemal cierpiał na klaustrofobię. Lubił rozległą otwartą przestrzeń i często przeklinał Siergieja Golicyna za to, że ukradł mu rezydencję i wysłał go na wygnanie do mieszkania, które dałoby się zmieścić w ich dawnej sypialni.

Umowę zakupu nieruchomości, telefony, samochody, ubezpieczenie i wszystko inne zarejestrowano na panięńskie nazwisko Jeleny. Koniewicz znikł z oczu. Idąc za radą Michaiła, Aleks co dwa miesiące leciał do Chicago, gdzie

otwarcie posługiwał się swoim nazwiskiem w nocnych klubach uczęszczanych przez Rosjan i dzielnicy, w której mieszkali. Podczas pierwszej wizyty zamówił nawet usługi w miejscowej firmie telefonii komórkowej oferującej zastrzeżone numery. Może źli faceci w dalszym ciągu na niego polowali?

Lepiej być ostrożnym, niż żałować, poradził Michaił.

Aleks i Jelena od roku prowadzili nowe życie. Nowe kariery zawodowe rozwijały się wspaniale. Prośba o azyl polityczny została pomyślnie rozpatrzona dziesięć miesięcy temu. Ich prawnik, Martie P. Jones, dla przyjaciół MP (w sumie także dla wszystkich pozostałych), okazał się tak dobry, jak głosiły reklamy. Nawet lepszy. MP zaczynał karierę jako prawnik zatrudniony w nędznej prywatnej kancelarii świadczącej usługi imigrantom. Świetnie wiedział, za które sznurki pociągnąć, a jego notatnik z numerami telefonów zawstydziłby nawet nowojorską książkę telefoniczną.

Wystarczyło kilka telefonów do właściwych ludzi, aby prośba Aleksa i Jeleny została ostemplowana pieczątką „pilne”. Kilka tygodni później stanęli w sterylnym pokoju przed komisją złożoną z ludzi o poważnych twarzach. Złożyli przysięgę i zostali poproszeni o przedstawienie skróconej wersji swojej smutnej historii. Początkowo komisja sprawiała wrażenie znudzonej i zniecierpliwionej, jednak sytuacja szybko uległa zmianie. Na początek Aleks rozpiął koszulę, pozwalając członkom nasycić się przyprawiającym o mdłości symbolem sierpa i młota wypalonym na piersi. Minutę później pokazał fotografie swoich obrażeń, powiększone fotosy zdjęć wykonanych przez lekarza dwa dni po wylądowaniu na międzynarodowym lotnisku Kennedy'ego. Zdjęcia były barwne. Niektóre wykonano z niewielkiej odległości. MP uzupełnił materiały wizualne równie przerażającymi opisami. W tym miejscu złamali mu nogę krzesłem. Te posiniaczone wybrzuszenia to połamane żebra. I tak dalej. Rany były przerażające. Kilku członków komisji wstrzymało oddech i odwróciło wzrok. Decyzja zapadła szybko.

Prośbę rozpatrzono pozytywnie, choć warunkowo. Witajcie w Ameryce, kraju dzielnych i wolnych ludzi, a teraz do roboty, sprawcie, abyśmy byli dumni, że jesteście Amerykanami.

Jest tylko jeden warunek. Musicie znaleźć pracę, miejsce stałego zatrudnienia, a wówczas w miejsce warunkowego zezwolenia otrzymacie prawo stałego



pobytu.

Gdyby Koniewicz podjął pracę w amerykańskiej firmie, mogliby go łatwo namierzyć, więc to rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Niewiele myśląc, skontaktował się ze swoim starym znajomym, Ilją Mieczukowem. Poznali się cztery lata wcześniej, gdy Ilja myślał o wejściu na rynek reklamowy. W Związku Radzieckim coś takiego nie istniało. A przynajmniej nie w takim znaczeniu jak na Zachodzie, gdzie wielkie korporacje co roku wydawały miliardy dolarów, aby utrzymać swoje logo na rynku. Ilja był młody, miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, i dał się omamić postępowej idei, że uda mu się zbić taką samą fortunę jak zachodnim firmom reklamowym, jego agencja zacznie się szybko rozwijać, a pieniądze popłyną wartkim nurtem.

Wspaniałe pomysł niemal natychmiast zderzył się z murem. Ilja wyglądał dziwnie. Miał haczykowany nos, niesymetryczne rysy twarzy, długie wełniste włosy i gęstą czarną brodę, która nadawała mu wygląd rewolucjonisty. Miał też wspaniałe pomysły, o których opowiadał szybko i nerwowo. Był pomysłodawcą i niezwykle twórczy. Sęk w tym, że znacznie wyprzedzał swoje czasy. Niedawni komuniści nie mieli pojęcia, o czym facet głądzi i czemu ma to znaczenie. Ludzie po prostu szli do sklepu i chwytali pierwszy lepszy towar z półki. Już sam pomysł zażartej konkurencji dezorientował, wydawał się wręcz niemożliwy. Zachwalanie własnego towaru uważano za przejaw pychy, schlebiania sobie, lekkomyślnego trwonienia pieniędzy.

Po trzech minutach prezentacji Aleks pochylił się w jego stronę:

– W porządku. To wystarczy. Kupuję was. Nie tylko wasze reklamy, was. Zainwestuję w twoją agencję, lecz będziesz musiał obsługiwać moje firmy w pierwszej kolejności. Będę szefem rady nadzorczej, a ty prezesem, dyrektorem zarządzającym i mózgiem. To twoje przedstawienie, oczekuję wspaniałych rezultatów.

Ilja zaczął się bawić brodą, rozważając niezwykle propozycję.

– Żartujesz.

– Tak, żartuję. Właśnie dlatego za chwilę wystawię czek na pięć milionów dolarów. Kupcie najlepszy sprzęt poligraficzny i filmowy na rynku, zatrudnijcie fachowców i zadzwoncie, gdy będziecie potrzebowali więcej.

Firma została zarejestrowana w Austrii, gdzie czekała ją walka z twardą

konkurencją zachodnich firm. Aleks przy tym obstawał. Rywalizacja jest zdrową rzeczą. Aby przetrwać, Ilija i jego ludzie będą zmuszeni przyswoić sobie zachodni styl działania, wyostrzyć umysł i doprowadzić do poziomu sztuki znajomość rosyjskiego rynku.

Dodatkową korzyścią było to, że Orangutan Media, jak Ilija ochrzcił nową firmę, formalnie rzecz biorąc, nie wchodziła w skład Koniewicz Associates. Aby mieć dostęp do firm konkurujących z Alekssem, agencja musiała sprawiać wrażenie niezależnej. Jedyne dokumenty prawne potwierdzające finansowe zaangażowanie Koniewicza miały austriackie władze. Dzięki temu radary Siergieja Golicyna nie zarejestrowały jej istnienia.

Aleks zaproponował, że będzie reprezentował agencję w Ameryce w okresie, który nie mógł być bardziej sprzyjający. Wielkie amerykańskie koncerny ciągnęły do Rosji. Żelazna kurtyna oddzielająca dwa światy sprawiła, że Amerykanie nie mieli pojęcia o miejscowej kulturze, potrzebach i rosyjskiej duszy. Magiczne chwytaki, które sprawdziły się na terenie starej pocziwej Ameryki, w Rosji okazywały się wielkim niewypałem. Określenie „pokolenie pepsi” w Rosji wywoływało gorączkowe drapanie się w głowę. Jak można definiować całe pokolenie za pomocą głupiego napoju gazowanego? Lekarze zachwalający jakiś lek lub terapię brzmieli nieprzekonująco. Rosyjska medycyna stała na przerażającym poziomie, a lekarzy niemal powszechnie uważano za szarlatanów i rzeźników. Wszystko, co zalecali, niezwłocznie wykreślano z listy domowych zakupów. Kolejnym niewypałem było zachwalanie produktów przez gwiazdy sportu. Kogo obchodziło, co jakiś umięśniony czub żarł, złopał lub wcierał w swoje ciało?

Aleks miał nawiązywać kontakty z wielkimi amerykańskimi korporacjami i sprzedawać im usługi Orangutan Media – w stu procentach rosyjskiej agencji wiedzącej, jak przemówić do miejscowego odbiorcy.

Jego wynagrodzeniem miała być wyłącznie prowizja. Nie chciał słyszeć o innym rozwiązaniu. Ilija rozpoczął współpracę z rosyjskimi firmami, lecz jego agencja nadal zmagiła się z problemami. Pracownicy nigdy nie byli pewni, że za miesiąc otrzymają wypłatę. Koszty produkcji w Austrii przyprawiły o zawrót głowy. Rosyjskie firmy pozostały sceptycznie nastawione do reklamy, żalowały grosza i skąpiły na każdym kroku. Nawykowo zaniżały też wartość

usług reklamowych.

W ciągu sześciu miesięcy Koniewiczowie zebrali zamówienia na wiele milionów dolarów. Przypuścili otwarty, niezwykle ambitny szturm na trzy wielkie amerykańskie koncerny samochodowe, cztery duże firmy produkujące słodczyce i dwa potężne konsorcja wytwarzające produkty domowe codziennego użytku. Wszyscy byli zainteresowani. Na początek podpisywali małe, próbne kontrakty, kiedy jednak nabrali zaufania do pozbawionej marki rosyjskiej firmy, zasypali Ilję forszą.

Aleks i Jelena rozdzielili się, aby objąć swoim zasięgiem większy obszar. Weekendy mieli zarezerwowane wyłącznie dla siebie, chociaż rzadko spędzali je w tym samym mieście. Ona nawiązała kontakt z dużym studiem filmowym w Los Angeles, on – z poważną firmą naftową w Houston. W kolejnym tygodniu Aleks był w Nowym Jorku i podpisywał dochodowe kontrakty, dzięki nim Orangutan Media miało pracować dla trzech dużych firm z Madison Avenue, które zrozumiały, że poniosły w Rosji sromotną klęskę. Dwa dni później Jelena podpisała umowę z dużym koncernem farmaceutycznym z Tennessee na reklamę produktów dietetycznych. Dzień później upolowała firmę produkującą luksusowe kosmetyki, która miała chrapkę na to, by upiększyć nową klasę rosyjskich przedsiębiorców pławiących się w nieopisanym bogactwie. I tak tydzień w tydzień. Ilja był rozpromieniony. Potroił zatrudnienie i przeniósł firmę do nowego przestronnego magazynu o powierzchni prawie sześciu tysięcy metrów. Lokal był drogi, sprawa ryzykowna, ale co tam. Pomyślał, że wyda forszę, aby zarobić jeszcze więcej. Miał problemy z realizacją zamówień, które podwajały się z tygodnia na tydzień.

Nowe życie Koniewiczów w Ameryce układało się wspaniale. W ciągu pierwszego roku zarobili milion dolarów z tytułu prowizji. Całkiem nieźle. Nie byli tym jednak usatysfakcjonowani. Obiecali sobie, że w kolejnym roku zarobią trzy. Jeśli będą mieli szczęście i zakaszą rękawy, może nawet cztery. Jelena czuła się szczęśliwa.

Aleks był jak zawsze niespokojny, lecz taką już miał naturę. Na tym polegał sekret jego uroku.

\* \* \*

Była sobota. Zjedli lunch w eleganckiej restauracji w Georgetown, a następnie odbyli energiczny spacer nad kanałem porośniętym drzewami, aby spalić kalorie. Kiedy wchodzili do domu, portier Harold spojrzął na nich zbolonym wzrokiem.

- Witam, panie K – powiedział niemal szeptem. – Ma pan gości na górze.
- Nie byłem z nikim umówiony.
- Mimo to ma pan gości. Facetów w garniturach. Mignęli odznakami i... wie pan, naprawdę próbowałem. Nie przyjęli odmowy. Czekają od pół godziny.

Aleks i Jelena spojrzeli na siebie z przerażeniem. Podbiegli do windy. Aleks wcisnął szóste piętro. Ruszyli korytarzem. Aleks delikatnie odsunął Jelena, gdy wkładał klucz do zamka. Niepotrzebnie, były otwarte. Wszedł do środka, spięty, gotowy do skoku.

W środku panował nieopisany bałagan. Powywracane kanapy, wyprute nożem materace, zawartość szuflad wysypana na podłogę, potłuczone lampy, rozdarte książki. Mieszkanie zostało przetrząśnięte z okrutnym rozmysłem. Wokół wałały się szczątki nowych mebli i sprzętów, które Jelena z taką pieczołowitością wybrała. Dwaj mężczyźni w szarych garniturach kręcili się po salonie, ignorując wspaniały widok na rzekę i podziwiając jedynie dzieło swoich rąk. Rzucili szybkie spojrzenie na Aleksa i Jelena, lecz ci ani drgnęli.

- Coście za jedni? – zapytał, nie kryjąc wściekłości.
- FBI – usłyszał w odpowiedzi. Faceci mignęli odznakami, aby po chwili schować je ponownie.
- Co tu robicie?
- Witaj w Ameryce, koleś – powiedział jeden z nich, uśmiechając się złośliwie. – Dostaliśmy cynk, że ukrywacie zbiega.
- To jakiś żart!
- Tak? A my potraktowaliśmy to całkiem poważnie.
- Macie nakaz?
- Czemu pan pyta, jest pan prawnikiem?
- Pokażcie nakaz albo się wynoście.

Zakołysali się na piętach i wybuchli śmiechem. No, rzuć się na nas, krzyczeli milcząco. Spójrz, co zrobiliśmy z twoim mieszkaniem, popatrz na

przerażoną twarz żony i zachowaj się jak prawdziwy mężczyzna. Śmiało, skocz na nas i zadaj najlepszy cios, na jaki cię stać. Skujemy cię i zabierzemy jak śmiecia. Staniesz się osobą niepożądaną i wylecisz do Moskwy na pokładzie następnego samolotu.

Aleks był tak wściekły, że pewnie by to zrobił, gdyby z ich sypialni nie wyłonił się trzeci. Aleks spojrzał na niego i zamarł. Facet był szczupły i wysoki, ubrany w pognieciony prochowiec. Trzymał w rękach ich komputer. Gość był zdumiewająco podobny do jego dawnego znajomego, pułkownika Wolewoja. Nie, to niemożliwe. Nie tutaj i nie teraz. Przecież byli w Ameryce.

– Witam państwa. – Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że gość przemawiał z arogancją Wolewoja.

Aleks wziął kilka głębokich oddechów, próbując nad sobą zapanować. Poczł dużą grudę w gardle.

– Sądziłem, że wasi przyjaciele z bezpieczeństwa zewnętrznego są terytorialni. Co tu robicie?

Odpowiedział chłodnym tonem, po rosyjsku.

– Jesteście poszukiwanym zbiegiem. Przyjechałem, aby was zabrać do domu.

– Rozczarujesz się – odrzekł Aleks po angielsku.

– Czyżby? – Wolewoj pozostał przy rosyjskim, aby federalni nie zrozumieli ani słowa. Przyjechał dwa tygodnie temu po telefonie Tatiany do Tromble'a, która poleciła mu jego kwalifikacje i usługi.

Dla Koniewicza rok ukrywania się i uników dobiegł końca. Koniec krycia się za nazwiskiem panińskim żony. Chłopcy Nikoły cały rok uganiłi się za cieniem po ulicach Chicago, kuląc się ze strachu na swoim obłożonym przyczółku i wracając z pustymi rękami. To, czego nie udało się im dokonać, FBI wykonało z niezwykłą łatwością i szybkością. Uprzejme zapytanie skierowane do INS\* pozwoliło ustalić adres Koniewicza, gdzie pracuje i jaki ma Status imigracyjny. Kolejny telefon do IRS\* ujawnił ich sytuację finansową ze wszystkimi szczegółami. FBI przekazało te informacje Wolewojowi, a ten udostępnił je Nikole za pośrednictwem Tatiany. Zabawa w chowanego dobiegła końca. Pora zacząć nową grę.

\* Amerykański urząd podatkowy.

\* Służba Imigracji i Naturalizacji.

Tak czy inaczej, żywy lub martwy, w samolocie lecącym do Rosji Koniewicz był skazany na przegraną.

– Nie sądzę, abym miał kłopoty – zaprzeczył Wolewoj, okazując pełną miarę swojej arogancji. – Zadarłeś z niewłaściwymi ludźmi. Nie dostaniesz drugiej szansy, Koniewicz. Jesteś głupcem, powinieneś być przyjąć ofertę.

– Zastanów się. Przyznano mi azyl polityczny.

– Zdecydowanie nalegam, abyście dobrowolnie ze mną pojechali. Wiercie mi, to nieuchronne. Ułatwicie sytuację sobie i nam.

– Won z mojego mieszkania! Ale już!

Przeszedł na angielski.

– Co mi zrobisz, Koniewicz? Wezwiesz policję? Policja to my – powiedział, kiwając głową w kierunku dwóch agentów stojących przy oknie.

Uśmiechnęli się i pomachali ręką. Głupki. Jelena odsoniła zęby i warknęła:

– Powiniście się wstydzić. Nawet w Rosji nie traktują tak ludzi.

– Ile zapłaciliście za to mieszkanie? – spytał jeden z agentów, nie okazując najmniejszej ciekawości. Właściwie było to oskarżenie, ba, wyrok skazujący.

– Nie twój interes! – odpowiedziała Jelena.

– Dziewięćset siedemdziesiąt tysięcy – warknął gniewnie agent. – Niemal milion dolarów. To mnóstwo forsy. Skąd ją wzięliście? – Aleks położył dłoń na ramieniu Jeleny. Celowo ją prowokowali. Odpowiadanie nie miało najmniejszego sensu, więc przygryzła wargi. – Ukradłeś je – ciągnął agent, wskazując Koniewicza długim paluchem. – Okradłeś swoich klientów. Uciekłeś z setkami milionów dolarów. Jesteście oszustami, którzy okłamali komisję imigracyjną, aby uzyskać azyl. Jesteście kłamliwymi złodziejami.

Jelena była bliska ataku wściekłości. Musiała powiedzieć, co jej leżało na sercu, bez względu na wszystko.

– To kłamstwo. Nie wiem, co wam powiedział ten człowiek, ale to oszust. Jesteście durniami, a on kłamcą. Wynocha!

Federalni tylko się uśmiechnęli. Wydatne kwadratowe szczęki, masywne ramiona, prosta odpowiedź.

Aleks postanowił położyć temu kres, zanim sytuacja się pogorszy. Spojrzał chłodno na parę agentów.

– Jestem aresztowany?

Brak odpowiedzi.

– Prowadzicie śledztwo w mojej sprawie?

Zaczęli kiwać głową, lecz ten ruch przerodził się szybko w drapanie karku, który zaczął nagle przykro swędzieć.

– Chcę zadzwonić do prawnika – oznajmił Aleks, z udawaną pewnością siebie zmierzając do telefonu.

Minęły dwie sekundy.

– Później przyjdzie na to czas – odrzekł jeden z agentów takim tonem, jakby mu groził.

Aleks się nie zatrzymał. Agenci sprawiali wrażenie nonszalanckich, lecz perspektywa wprowadzenia do gry pyskatego adwokata wyraźnie ich zdenerwowała. Nic dziwnego. Bez nakazu włamali się do prywatnego mieszkania, zniszczyli własność o wartości wielu tysięcy dolarów, a następnie zaczęli przesłuchiwać podejrzanego bez odczytania mu jego praw. Co gorsza, na przyjęcie z demolką zaprosili zagranicznego funkcjonariusza niemającego uprawnień do działania na terenie Stanów.

Prawnik z ikrą pomyślałby, że podano mu ich jaja na talerzu.

– Proszę podać swoje nazwiska. Mój prawnik będzie ich potrzebował.

Przestąpili z nogi na nogę, kuląc się w sobie. Wymienili niepewne spojrzenia.

– Pójdziemy już – wymamrotał jeden, szykując się do wyjścia.

– Proszę zostawić mój komputer – zażądał Aleks.

– Zabezpieczamy go jako dowód. Niech wasz prawnik skontaktuje się z naszym – powiedział drugi, nie kryjąc pogardy. Po tych słowach i ostatnich pogardliwych spojrzeniach wyszli szybko z mieszkania. Wolewoj rozciągnął wąskie wargi w uśmiechu, gdy przechodził obok nich.

Aleks zatrzasnął za nimi drzwi tak mocno, że zadrżały ściany.

Jelena nie mogła oderwać oczu od spustoszenia. Jedyne zdjęcie jej rodziców została wyrwana z ramek. Leżała na podłodze, rozdarta i pokryta drobnymi kawałkami szkła. Mściwość tego gestu sprawiła, że poczuła skurcz żołądka.

– Jestem przerażona.

- Ja również.
- Co to oznacza?
- Że to nie koniec.
- Czemu FBI wpuściło tego człowieka do naszego domu?
- Nie mam pojęcia.
- Musimy skontaktować się niezwłocznie z MP.

Aleks podniósł słuchawkę.

Jelena zaczęła zbierać rozrzucone przedmioty. MP był w domu. Opiekował się dziećmi. Obiecał, że wszystko rzuci i za dwie godziny spotka się z nimi w swoim biurze.



## 18.

Kancelaria MP znajdowała się na drugim piętrze siedmiokondygnacyjnego biurowca, w martwym punkcie pośrodku M Street. MP był absolwentem prestiżowej uczelni prawniczej w Georgetown, chociaż nie należał do pierwszej piątki na roku. Zrealizował wytyczony cel w bolesny sposób. Cztery lata ślęczenia nad książkami po nocach i niewolniczej harówki za dnia w dwóch robotach. Cztery lata liczenia się z każdym groszem. Cztery lata biegania z uczelni do baru sieci McDonald's, gdzie zapominał o deliktach i umowach, podając klientom big maki i tłuste frytki. Cztery lata okrutnej monotonii wypełnionej kanapkami z serem, bezsennymi nocami, rywalizowaniem ze studiującymi na pełny etat dziećmi z zamożnych rodzin i zastanawiania się, czy dokonał właściwego wyboru. Nie pomylił się.

Ukończył studia jako trzeci od końca, lecz przynajmniej nie miał na karku uciążliwego długu. Nie otrzymał też zaproszenia na rozmowę od żadnej z wielkich kancelarii prawniczych. Właściwie nie miał żadnych propozycji. Przykra sprawa. Mimo to zdał bardzo trudny egzamin w barze w DC, i to za pierwszym razem.

Urząd imigracyjny ogłosił właśnie nowy nabór, a nikt inny nie odpowiadał na jego telefony. Czemu nie, pomyślał. Pięć lat uczył się działania prawa imigracyjnego w praktyce, a później wywiesił własny szyld i miał nadzieję szybko się wzbogacić.

Teraz w firmie pracował on, dwóch innych prawników, trzech zestresowanych asystentów i jedna niezwykle opryskliwa sekretarka, która nienawidziła

tej roboty i nie mogła się doczekać, aż na horyzoncie pojawi się coś bardziej interesującego. Nazywali siebie współnikami, a swój układ – firmą. Nic dalszego od prawdy. Byli trzema walczącymi o przetrwanie, szamoczącymi się prawnikami wspólnie płacącymi czynsz, dzielącymi używane meble biurowe i kilku drugorzędnych pracowników. Nie dzielili się robotą ani tłustymi zyskami pod koniec pomyslnego roku, gdyż taki się nie zdarzał.

MP miał dwoje dzieci i atrakcyjną żonę, która była w szóstym miesiącu ciąży. Przechodziły go zimne dreszcze na myśl, że mogą się urodzić bliźniaki. Mieszkali w ciasnym, sfatygowanym domu, który wynajmowali w skromnej części South Arlington za rzeką.

Na własnej skórze nauczył się, że sprawy imigracyjne przynoszą marny zysk. Niemal wszyscy jego klienci byli biednymi, zrozpaczonymi ludźmi o niewielkich zdolnościach językowych i równie małej zdolności płatniczej. Wielu z nich było biedakami, których przydzielił mu sąd. Jego specjalnością były sprawy beznadziejne. Jego klientów regularnie wyrzucano z kraju, co nie skłaniało ich do płacenia za usługi prawne. Prawo imigracyjne było grą dla biedaków. Zamożnych klientów można było policzyć na palcach, a już naprawdę niewielu było milionerów, którzy uciekli do Stanów przed prawnymi lub podatkowymi problemami we własnym kraju. Tych bez żenady odzierał z forsy każdy prawnik imigracyjny w mieście. Zwykle przejmowały ich duże kancelarie zatrudniające tuziny prawników, którzy mogli występować w interesie klienta. MP już dawno temu stracił nadzieję na wielką wygraną. Utrzymywał się z katorżniczego przerabiania wielu spraw i często płonnej nadziei, że choć połowa klientów ureguluje należność.

Aleks i Jelena byli inni. Dziwna sprawa, pomyślał, patrząc, jak trzymają się za ręce. Byli poważnie przestraszeni. Pewnie mieli powody.

– I wtedy ci z FBI wyszli? O tak, przez drzwi? – spytał MP, wysłuchawszy uważnie ich opowieści. Na biurku leżał otwarty notatnik. Zapisał dziesięć stron gryzmołów, pytań i dyrdymałów.

– Z naszym komputerem – dodał Aleks. – Możemy go odzyskać?

– Weszli bez nakazu rewizji?

– Przecież Aleks już to powiedział – odparła Jelena. – Nie udzielili mu odpowiedzi.

– Nie musieli – stwierdził MP ze smutnym przekonaniem, które wynikało z bolesnych doświadczeń. W tym kraju imigranci mieli niewiele praw, jeśli w ogóle jakieś mieli. Policja zdawała sobie z tego sprawę i często nękała ich w sposób, który byłby nie do pomyślenia w przypadku obywateli amerykańskich. Tak, Aleks i Jelena otrzymali azyl polityczny, lecz to, co rząd dał, mógł też odebrać. MP był już tego świadkiem. To, że federalni działali tak bezwzględnie, stanowiło zły znak.

– Jesteś pewny, że nie popełniłeś w Rosji żadnego przestępstwa? – spytał MP. Rok temu powtarzał to pytanie setki razy, przygotowując się do przesłuchania w sprawie przyznania azylu. Nie zaszkodzi ponownie usłyszeć odpowiedzi. Uważnie przyglądał się ich twarzom.

– Nie – odpowiedział Aleks. – Jeden raz złamałem przepisy ruchu drogowego. Zaparkowałem w niedozwolonym miejscu i zapłaciłem mandat.

Jelena zapłonęła lekkim rumieńcem i wyznała:

– Gdy miałam szesnaście lat, należałam do paczki, która piła i zakłócała spokój mieszkańcom. Zostałam postawiona przed sędzią i zwolniona.

– Jesteś pewien, że niczego nie ukradłeś ze swojego banku? – Pytanie było najwyraźniej skierowane do Aleksa.

– Ani kopiejki. W rosyjskich mediach wspomniano o kradzieży pięćdziesięciu milionów dolarów. Ukradli je ludzie, którzy odebrali mi bank, nie ja – odparł stanowczo Aleks.

MP sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Gryzmołił bezmyślnie po kartce, zastanawiając się nad następnym krokiem.

– Moglibyście wyjść na chwilę, chciałbym zadzwonić do kilku osób?

Wyszli i usiedli w małym, ciasnym korytarzu. MP rozmawiał prawie dwadzieścia minut. Było późne sobotnie popołudnie. Dzwonił pod prywatne numery i dostawał odpowiedź, którą można było przewidzieć. Prawnicy INS obserwowali małżonki robiące zakupy, poprawiali darń przy dziewiątym dołku uszkodzoną kijem golfowym lub kibicowali dzieciom grającym w piłkę nożną. W końcu dodzwonił się do Tommy'ego Karvitz. Na komórkę.

Karvitz pracował w INS od zawsze, ze wszystkich sił unikał roboty i był notorycznym plotkarzem, którego bawiło wtykanie nosa w cudze sprawy. MP usłyszał ryk kibiców na meczu baseballu, głośny i rehotliwy, trudny do zniesienia.

– Kto wygrywa?! – krzyknął MP.  
– Niech to szlag! Z pewnością nie Orioles! Czemu na nich postawiłem?  
Jestem idiotą!

– To prawda, Tommy. – Dziewiętnaście lat w okopach INS. Powinien był zrezygnować dziesięć lat temu i zacząć żyć.

– Tak? Słuchaj, jak ci idzie? Pytam poważnie. Świetnie, nie?

– Nie narzekam. Dzieciaki uwielbiają prywatną szkołę. Terry uważa nasz dom w Great Falls za zbyt ostentacyjny, a ja chcę wymienić mojego sześciomiesięcznego jaguara na mercedesa. Jaguar ma małą rysę na zderzaku. Byłbym zakłopotany, gdyby ktoś mnie w nim zauważył. Co myślisz? Kupić pięćsetkę czy pójść na całość i wybrać sześćsetkę? Słyszałem, że mniej pali.

Tommy się zaśmiał.

– Kiepski z ciebie kłamca. Ciągłe koczujesz w tej klitce w Arlington?

– Tak. Rok temu nawaliła sprężarka klimatyzatora, lecz my, Jonesi, jesteśmy twardzielami. Będziemy wylewać siódme poty, dopóki Terry nie wygra na loterii.

– Nie licz na jej szczęście, koleś. Dała się zerznąć na czwartej randce.

– Dzięki, że mi przypomniałeś.

– Nadal jeździsz tym wgniecionym chryslerem? Grat przechodzi przez kontrolę techniczną?

– Ci faceci nie mają o niczym pojęcia. Tak czy siak jeździ. Słuchaj, obilo ci się o uszy nazwisko Koniewicz? Aleksander Koniewicz?

Długa chwila milczenia. W końcu Tommy odpowiedział szeptem, mimo głośnego ryku kibiców:

– To twój klient?

– Kto zdobył punkt?

– Cholera, pałkarz Jankesów. Pamiętasz, że kibicuję Orioles? Jest twoim klientem czy nie?

– Jest.

– Zostaw tę sprawę. Po prostu zostaw i uciekaj daleko, koleś.

– Co się dzieje, Tommy? Możesz mi zdradzić?

– Nie powiedziałbym, nawet gdybyś był moim bratem. To wielka tajemnica. Nic nie wskórasz. Facet ma *mucho* problemów. Nawet sobie nie wyobraża.

– Jakich?  
– Zażądaj, aby zapłacił ci z góry, gotówką. Facet ma szmal, wierz mi, MP. Tylko dobrze je przelicz, gość jest złodziejem.

- Kto prowadzi jego sprawę?
- Kim Parrish. Kolejna zła nowina.

Nazwisko Parrish wydało mu się znajome, chociaż budziło jedynie niejasne skojarzenia. Pojawiła się w firmie, gdy MP szykował się do odejścia. Bardziej interesowało go ujrzenie budynku INS w lusterku wstecznym niż zapoznawanie się z nowymi kolegami, których miał zamiar pozostawić w obłoku kurzu. Jak wszyscy nowi prawnicy zaczynała od prostych spraw, aby nie mogła zaszkodzić firmie. Zajmowała się imigrantami, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, dopuścili do wygaśnięcia zielonej karty lub popełnili jakieś drobne wykroczenie. W ciągu sześciu miesięcy, co można było uznać za rekord, awansowała do pierwszej ligi – brała sprawy handlarzy narkotyków, oszustów podatkowych i głośne afery zarezerwowane dla najlepszych i najbardziej inteligentnych. Karierę prokuratorską rozpoczęła stosunkowo późno, miała czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat. Z drugiej strony była inteligentna i знаła się na swoim fachu. Wyśmienicie. Samotna, bez dzieci, poślubiona prawu.

- Kto pcha jego sprawę? – spytał znacząco MP.
- Głuchy jesteś? Nie mogę powiedzieć. Przysięgam.
- Daj spokój, Tommy. Pamiętasz sprawę Gonzalesa? Tę, którą spieprzyłeś? Szef chciał wyrwać ci jaja...
- Cholera, wiem, że jestem ci winien przysługę. Nie powiem. Nie mogę.
- Rozumiem, jasna sprawa.
- Uwierz mi, gdyby było to możliwe, wszystko bym ci powiedział.

Krótką przerwę.

- O czym mi nie powiesz?
- Jesteś uparty drań, wiesz?
- Sam ledwie ze sobą wytrzymuję. Wyduś to z siebie, Tommy.
- W porządku. Nie powiem ci, że szefa cały tydzień ciągali do Departamentu Sprawiedliwości. Oczywiście nie wspomnę również o tym, że prokurator generalny i dyrektor FBI dobrali mu się do dupy, bo pozwolił, aby Koniewicz otrzymał azyl dzięki kłamstwu i oszustwu. Na pewno nie powiadomiłbym

cię, że gość ma na karku całą maszynę Departamentu Sprawiedliwości. Mam nadzieję, że mnie słyszysz. Facet jest skończony.

– Dzięki za wszystko, czego mi nie powiedziałaś, Tommy. Będę spał spokojniej, wiedząc, że to taka prosta sprawa.

– Odeślą go do domu.

– Jestem jego prawnikiem.

– Mówię ci, że wróci do domu. Nic tego nie powstrzyma.

– Przekonasz się.

– Zrobisz sobie krzywdę, kolego. Pchasz się pod walec drogowy. Facet jest skończony. Zainkasuj gotówkę i szybko zwiewaj. Nie czekaj na drugą rundę.

Chociaż Tommy się rozłączył, MP czuł się w obowiązku powiedzieć:

– Jestem ci winien przysługę.

Skinął na Koniewiczów, aby wrócili do jego gabinetu. Zmarszczki na jego czole powiedziały im wszystko.

– Jest źle, prawda? – spytał Aleks.

– Szczerze mówiąc, tak.

– Jak źle, MP?

– Dyrektor FBI i prokurator generalna chcą, abyście wyjechali. – Przerwał, aby przyswoili sobie tę wiadomość, by po chwili kontynuować: – Jestem ciekaw dlaczego. Masz jakieś pomysły?

– Tak, kilka. Moi wrogowie w Moskwie mają potężnych sprzymierzeńców na Kremlu. Najwyraźniej pociągnęli za sznurki, skontaktowali się z naszym rządem.

– Nie mogą deportować nas do Rosji, prawda, MP? – spytała Jelena, pochylając się w jego stronę i zaciskając ręce pod kolanami. – Przecież udzielili nam azylu politycznego. Wasz kraj nie ma umowy ekstradycyjnej z Rosją. Jeśli odeślą męża do domu, tamci go zabiją.

– W normalnych okolicznościach są to poważne przeszkody... – zaczął MP, kiwając głową w zamyśleniu i próbując zrównoważyć wrodzony optymizm świadomością powagi sytuacji. Musiał zwalczyć pokusę zerwania się na równe nogi i zawołania: Spakujcie manatki i uciekajcie do Kanady. I nie zapomnijcie się pomodlić.

– Ale...? – ciągnął go za język Aleks.

- Tamtym zawsze udaje się je obejść.
- Jak?
- Każda sprawa jest inna, Aleks. Nie potrafię przewidzieć, co zrobią. Razdę uporządkować sprawy. Niebawem może się zrobić paskudnie.

\* \* \*

Pierwszy cios nadszedł w poniedziałkowy rano. Jelena poszła do banku, aby zrealizować czek. Chcieli zostać i walczyć, lecz byli realistami. Ucieczka mogła się okazać jedyną możliwością. Aby uciec, potrzebowali pieniędzy. Mnóstwo gotówki, tyle, by przekroczyć granicę i gdzieś osiąść. Podjęcie kwoty przekraczającej dziesięć tysięcy dolarów wiązało się z natychmiastowym powiadomieniem IRS, a Aleks zaczął powoli tracić zaufanie do amerykańskich władz. Postanowił, że podejmą dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Kasjerka, pulchna młoda dziewczyna z uprzejmym uśmiechem, wystukała numer jej rachunku. Nagle uśmiech znikł. Spojrzała na Jelenę ze zdumieniem.

- Przepraszam, ale nie mogę zrealizować pani czeku.
- Jak to? Dlaczego?
- Pani rachunek jest zablokowany. – Wskazała monitor, którego Jelena nie mogła zobaczyć.
- Zablokowany? Czemu? – Pomyślała, że czegoś nie zrozumiała, że słowo „zablokowany” to jakiś magiczny termin używany przez bankowców, coś jak „przekroczone saldo debetowe”. Drobną niedogodność, którą z łatwością zdołają rozwiązać. – Na naszym rachunku są setki tysięcy dolarów – nalegała.
- Tak, wiem, ale policja lub ktoś inny wydał polecenie bankowi, żeby wstrzymał wypłatę środków. Przykro mi.

Miała ochotę płakać. Nie tutaj, nie w obecności nieznanym ludzi. Wybiegła na zewnątrz i zadzwoniła do Aleksa z komórki. Wyjaśniła, co się stało. Powiedział, aby się nie denerwowała, że to jakieś nieporozumienie. Zadzwoni do MP i za pomocą małej prawniczej sztuczki rozwiążą problem.

Skończyli rozmowę. Aleks natychmiast zadzwonił do banku na Bermudach, gdzie ulokował większość swoich środków. Dziękował Bogu, że nie sprowadził ich do Stanów, do jakiegoś amerykańskiego banku proponującego znacznie lepsze odsetki. Wewnętrzny głos szeptał mu, że będzie go to kosztowało tysiące

dolarów rocznie. Lekkomyślna rozrzutność. Wiele razy chciał zrobić transfer. Teraz był rad, że poszedł za głosem mrocznego instynktu.

Asystent menedżera poprosił, aby poczekał. Po chwili słuchawkę podniósł jego przełożony.

- Przykro mi, panie Koniewicz.
- Z jakiego powodu?
- Nie mogliśmy nic zrobić.
- W jakiej sprawie?
- No cóż... – słabo zakaszłał. – W sprawie pańskiego rachunku. Został za-

blokowany.

Rozmawiali pięć minut. Godzinę wcześniej gubernator Bermudów wezwał do siebie szefa banku i odczytał mu Riot Act. Przed chwilą sam zakończył rozmowę z wyższym urzędnikiem amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, który zgniótł go jak aluminiową puszkę. Chociaż prawo bankowe obowiązujące na Bermudach cechowała tolerancja, w tym wypadku zasady miały zostać zaostrzone. Panowie obrzucili się brzydkimi groźbami, lecz wynik był z góry przesądzony. Ani gubernator, ani banki na Bermudach nie chciały uchodzić za bezpieczną przystań dla brudnych pieniędzy. Nie przeszkadzało im, że były brudne, lecz śmiertelnie obawiali się przyklejenia im takiej etykiety. Turyści przestaliby przyjeżdżać, a towary eksportowe z Bermudów tkwiłyby bez końca w amerykańskich magazynach celnych, psując się i gnijąc. Gubernator wytrzymał trzy sekundy, zanim ugiął się pod nawałem gróźb.

FBI trzymało w śmiertelnym uścisku oba konta Koniewicza.

Niecałe trzydzieści minut później zadzwonił Ilja z Austrii.

- Co się dzieje, Aleks?! – krzyknął, najwyraźniej odchodząc od zmysłów.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Jak to? Wszystko wali się nam na łeb.
- Uspokój się, Ilja. Weź głęboki oddech i powiedz, co się stało.

Minęła długa chwila, zanim jego zdenerwowany protegowany zdołał uspokoić oszalałe myśli.

– Dziś rano poinformowano mnie, że nasze pozwolenie na robienie interesów z Rosją zostało cofnięte. Klienci dzwonią cały dzień, unieważniając umowy.

- Z jakiego powodu?



– FBI powiadomiło naszych amerykańskich kontrahentów, że jesteśmy przykrywką dla działalności przestępczej.

– A rosyjscy klienci?

– Nie podają żadnego powodu. Otrzymali polecenie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, aby zerwać z nami współpracę.

Aleks zaklął cicho. Komputer! Zabezpieczył hasłem swoje dokumenty i teraz, trochę poniewczasie, zrozumiał, jak złudne było jego poczucie bezpieczeństwa. FBI miało zdolnych specjalistów, którzy złamali je w kilka sekund. Próbował sobie przypomnieć, jakie informacje znajdowały się w jego plikach. Nic. Wszystko. Zbyt wiele. Nigdy nie sądził, że będzie musiał się bronić przed bezprawnymi działaniami policji. Nie tutaj. Nie w Ameryce.

– Pakuj manatki i zwiewaj, Ilja – powiedział tak spokojnie i chłodno, jak potrafił.

– Czemu, Aleks? Przecież...

– Nie zadawaj pytań, na które nie mogę odpowiedzieć. Zwiewaj. Ale już.

– Człowieku, mam trzystu pracowników. Nie mogę. A obowiązki i zobowiązania?

– Chcesz żyć?

– Jasne, ale...

– Płać gotówką, Ilja. Nie zostawiaj za sobą śladów. Nie dzwoń do rodziny i przyjaciół. Zaszuj się w tam, gdzie cię nikt nie znajdzie.

\* \* \*

Trzej mężczyźni siedzieli w białej nieoznaczonej furgonetce zaparkowanej przecnicę dalej. Ściszyli odbiornik i popijali letnią kawę. Wymieniali porozumiewawcze mrugnięcia i zadowolone uśmiechy. Byli „asystentami prasowymi” rosyjskiej ambasady, marna przykrywką dla agentów operacyjnych. Uciekaj, Ilja. Uciekaj tak szybko, jak cię nogi poniosą. Chowaj się i rób uniki, płac gotówką, zapomnij o rodzinie i robocie, zaszuj się w najciemniejszej dziurze wszechświata. A my i tak cię znajdziemy.

Wolewoj nafaszerował pluskwami niemal każdy metr kwadratowy mieszkania Koniewicza. Dwaj federalni patrzyli obojętnie, jak ukrywa urządzenia podsłuchowe to tu, to tam. Mieli to gdzieś. Otrzymali rozkaz z samej góry, aby

pozwolić Ruskiemu na wszystko. Oczywiście pod warunkiem, że nikogo nie zabije. W końcu byli w Ameryce, kraju słynącym z poszanowania prawa. Czy tortury wchodzi w grę? W końcu zdecydowali, że wszystko zależy od tego, jak duży łomot dostałby Koniewicz.

Zainstalowali podsłuch także w domowym telefonie. Goście w furgonetce zataczali się ze śmiechu, słysząc, jak zdumiona Jelena dzwoni rano z banku. Aleks, nie mamy pieniędzy. Jak zapłacimy naszemu prawnikowi, Aleks? Za co kupimy jedzenie? Wkrótce pojawią się kolejne pytania i Koniewiczowie zaczną rwać włosy z głowy. Może jeszcze tej nocy.

Inna furgonetka, podobnie wyposażona i nafaszerowana rosyjskimi „asystentami prasowymi”, stała zaparkowana w odległości przecznicy od biura prawnika Koniewiczów. Także jego telefony, prywatne i służbowe, były na podsłuchu. Dom przeszukano wczoraj, kiedy żona i dzieciaki poszli do kościoła. Agenci weszli do środka przez uszkodzone tylne drzwi. Łatwa sprawa. Biedne sąsiedztwo. Ludzie siedzieli w domach, rozmyślnie ignorując to, co się działo za drzwiami. Gabinet MP nafaszerowano sprzętem jak studio nagraniowe.

Wiedzieli, że prawnik jeszcze nie przyszedł. Pewnie nadal wałęsał się korytarzami INS, próbując ustalić, jak poważna jest sytuacja jego klienta.

Naprawdę zła, koleś. Naprawdę kiepska.

Ani prawnik, ani Koniewicz nie mieli najmniejszego pojęcia, jak paskudnie miała się skomplikować.

## 19.

Krótko po północy usłyszeli głośne pukanie do drzwi. Jelena spała z poduszką na głowie i nawet nie drgnęła. Aleks próbował zignorować łomot, lecz ten stawał się coraz głośniejszy. W końcu nie wytrzymał. Włożył szlafrok i na palcach podszedł do drzwi.

Spojrzał przez wizjer. Na zewnątrz stał mężczyzna w średnim wieku, w granatowym garniturze, nerwowo rozglądając się dookoła. Pewnie z FBI, pomyślał, choć jego zachowanie bardzo odbiegało od zachowania agentów, którzy w piątek wyrócili do góry nogami ich mieszkanie. Facet sprawiał wrażenie niepewnego, właściwie przestraszonego. Aleks otworzył drzwi.

Mężczyzna przyjrzał się mu uważnie i powiedział niskim, ochryplym szeptem:

- Jesteś Koniewicz, tak?
- Przecież wiesz, w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.
- Racja.
- Mam cię zaprosić do środka czy wolisz władować się do środka jak twoi kumple? Zostało niewiele do zniszczenia. Kilka krzesel w jadalni. Dwa zdjęcia na ścianie. Chcesz, to ci pokażę. Coś sobie wybierzesz.

- Mówi ciszej, dobrze. Wyjdźmy na korytarz. Proszę.
- Wolę wejść do środka, wtedy będziesz mnie musiał wyciągnąć.

Tajemniczy nieznajomy przysunął się bliżej i zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Zaufaj mi. Nie możemy tu rozmawiać... nie w mieszkaniu. – Wykonał

śmieszny gest, wskazując lewe ucho i próbując dać mu coś do zrozumienia.

Aleks wyszedł na zewnątrz. Agent wyciągnął rękę i delikatnie zamknął drzwi. Odszedł dziesięć kroków, a Aleks podążył jego śladem. Kiedy się odwrócił, ich twarze znalazły się obok siebie.

– Kim jesteś? – spytał Aleks.

– Mów ciszej. Wolałbym tego nie zdradzać. Czy naprawdę zrobiłeś to, o co cię oskarżają?

– Czemu pytasz? Twój ludzie już mnie o tym przekonali.

– Pytam i już, jasne? – W oddechu tamtego wyczuł cierpką woń niedawno wypalonego cygara.

– Zgoda. To wszystko nieprawda, wrobiono mnie. Przysięgam.

Agent uśmiechnął się nieznacznie. Jasne. Dlaczego ludzie nie potrafią się wysilić na coś bardziej oryginalnego?

– Nic mnie to nie obchodzi, po prostu mam dość tego, co się u nas dzieje.

– Czego?

Facet bawił się chwilę górnym guzikiem marynarki, jakby nie mógł się zdecydować. Nagle postanowił, że wyzna wszystko Aleksowi.

– W centrali panoszy się gromada Ruskich. Sprowadził ich Tromble, nasz szef. Dziesięć lat pracowałem w kontrwywiadzie, rozumiesz? Śmierdząca sprawa, czuję to. Ci goście to dawni agenci KGB.

– Pułkownik Wolewoj?

– Tak... on i trzech innych. Założyli podsłuch w twoim mieszkaniu. Wiedziałeś?

– Nie... nie miałem pojęcia.

– Pewnie zainstalowali pluskwy w waszych telefonach. Bądźcie ostrożni.

– Czemu mi to mówisz?

– Jestem zawodowcem, rozumiesz?

– Co z tego? Wolewoj też nim jest.

– To co innego. – Facet otarł dłonią czoło, najwyraźniej rozdrażniony porównaniem do chłodnego zbira z KGB. – Słuchaj, dużo ryzykuję, lecz to, co zrobiłeś w Rosji, nie usprawiedliwia tego, co się u nas dzieje. Ostrzegam cię, bądź ostrożny.

– W porządku, zrozumiałem.

Nagle agent nieoczekiwanie się ożywił. Spojrzał przez ramię, lustrując mko-rytarz wzrokiem wskazującym na wysoki poziom paranoi. Po chwili, unikając wzroku Aleksa, wyszeptał:

- Jeszcze jedno.
- Słucham.
- Rosyjska mafia dostała na ciebie zlecenie. Proszę nie pytać, skąd wiem.

Wiem i już.

Chociaż ta wiadomość nie powinna zdziwić Koniewicza, zrobiła swoje. Był zaskoczony i wyraźnie wstrząśnięty. Miła wiadomość na koniec długiego dnia pełnego zmartwień. Oparł się o ścianę, patrząc na czerwono-czarny dywan.

– To poważne zlecenie – ciągnął agent, przestępując z nogi na nogę i unikając wzroku Aleksa. – Na ponad milion dolarów. – Podniósł głowę. – Ci faceci zwykle rozwalają ludzi za pięć tysięcy. Najwyraźniej uważają, że jesteś cenny.

- Powinienem czuć się zaszczycony?
- Powinieneś srać w portki ze strachu.
- W porządku, zrobię to.
- O ile nam wiadomo, w minionym tygodniu przyjechały tu trzy zespoły.

Nie wspominając o miejscowych, których jest zbyt wielu, aby ich zliczyć.

- Wasi ludzie są tego pewni?
- Nie mówiłbym, gdyby było inaczej.
- Skąd to wiecie? Macie informatorów wewnątrz syndykatu?

Wzruszył ramionami.

– To sprawdzona wiadomość. Możesz mi wierzyć albo nie, chodzi o twój tyłek.

- Jeśli FBI o tym wie, czemu nas nie ochraniaacie?
- Bo ludzie na wysokich stanowiskach uważają, że na to nie zasługujecie.

Myślą, że zrobiłeś coś, co wkurzyło gangsterów. To twój problem, nie nasz.

- To wszystko?
- Tak.
- Dzięki.

Minęło kilka sekund, wreszcie agent wymamrotał:

- Zapomnij, co powiedziałem. Jeśli zrobi się gorąco, jeśli będziesz

potrzebował rady lub pomocy, zadzwoń do mnie. Tylko nie z mieszkania. Będzie to nasz mały sekret, dobrze? – powiedział, wciskając Koniewiczowi wizytówkę. Widniało na niej, że facet to agent specjalny Hanrahan, a poniżej wypisano numer telefonu służbowego, komórki i faksu. – Kiedy wyjdiesz na zewnątrz, pamiętaj, aby dwa razy się obejrzeć, zanim przejdziesz na drugą stronę ulicy.

Aleks skinął głową, a agent specjalny Hanrahan oddalił się szybko korytarzem, zmierzając wprost do windy. Aleks wrócił do mieszkania, na chwilę zajrzał do gabinetu, a następnie udał się wprost do sypialni. Delikatnie potrząsnął Jelenę, starając się jak najciszej ją obudzić. Następnie położył palec na ustach i podał jej notatnik z ołówkiem, biorąc drugi dla siebie.

Resztę nocy spędzili na wymienianiu się notatkami.

\* \* \*

Agent Terrence Hanrahan wysiadł z windy na parterze. Portier kompleksu Watergate zauważył, że szybko otoczyło go pięciu federalnych. Obezwładnili faceta bez zbędnych słów. Przy krawężniku stała lśniąca czarna limuzyna, której silnik pracował na wolnych obrotach.

Drzwi się otworzyły i Hanrahan został wepchnięty do środka. Mężczyzna siedzący z tyłu przeglądał dokumenty w świetle lampki do czytania. Hanrahan pomyślał, że to niemożliwe, aby gość zrozumiał choć jedną dziesiątą.

W końcu Tromble podniósł głowę.

- I jak?
- Poszło doskonale. Jest przerażony.
- Ufa ci?
- To inteligentny gość, nie sądzę.
- Myślisz, że ci uwierzył?
- Na pewno.
- Zadzwonili?
- Może, to zależy, jak będzie zdesperowany.
- Powiedziałeś mu o zleceniu?
- Tak. Czy to prawda?
- Absolutna. Moi rosyjscy przyjaciele mówią, że nie tylko zdefraudował pieniądze własnego banku, lecz ukraść miliony należące do mafii. Jakby mało

mu było wrogów. Chcą go dopaść tak samo jak rosyjskie władze. – Podrapał się w nos. – Powiedziałeś mi o pluskwach?

Hanrahan skinął głową.

– Twarz mu pobladła jak tyłek niemowlęcia. Czemu go uprzedziliśmy?

Tromble uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie chcemy, aby Wolewoj i jego ludzie mieli nad nami niesprawiedliwą przewagę, prawda?

– Jezu, rząd jego kraju, a teraz rosyjska mafia... Nie wiadomo tylko, kto dopadnie go pierwszy.

– Nie wiadomo? – powtórzył Tromble, wyglądając przez okno. – Wyprzedzimy jednych i drugich. Twoja w tym głowa, Terrence. Nie zawieź mnie.

– On i jego żona dostaną paranoi.

– Mam nadzieję. O to właśnie chodzi. Zadbaj o to, aby doszli do wniosku, że w Ameryce jest dla nich bardziej niebezpiecznie niż w Rosji.

Hanrahan zadumał się nad jego słowami. Pracował w firmie od piętnastu lat, a Tromble był piątym dyrektorem, pod którym służył. Najbardziej bezwzględny i brutalny, choć nie można było odmówić mu skuteczności.

– A jeśli się nie ugną?

– Drobiazg, zwiększymy presję. Wyprujemy sobie żyły, aby odesłać ich do domu.

## 20.

Trzej faceci w białej furgonetce przeglądali amerykańskie świerszczyki, palili papierosy, sączyli kawę i nudzili się na śmierć. Po pierwszym dniu pełnym niespodzianek i dramatycznych zwrotów akcji inwigilacja zamieniła się monotonna mordęgę.

W apartamencie Koniewiczów działo się zdumiewająco niewiele. Długie okresy milczenia przerywały co jakiś czas drętwe rozmowy o tak niedorzecznych sprawach jak pranie, ostatni durny teleturniej w telewizji lub program Oprah. We wtorek jego żona, Jelena, bez końca czytała mu na głos fragmenty *Wojny i pokoju*. W środę przyszła kolej na *Annę Kareninę*, co okazało się jeszcze gorsze. Goście w furgonetce nie wiedzieli, czy popełnić samobójstwo, czy wbiec na górę i zakneblować sukę.

Z ich obserwacji wynikało, że Koniewiczowie nie wyszli z budynku, nie opuścili nawet swojego apartamentu. Trudno było rozmawiać o tym z Wolewojem, który wpadał co jakiś czas, aby zorientować się w bieżącej sytuacji. Dopóki małżonkowie pozostawali w mieszkaniu, trójka podsłuchujących agentów tkwiła uwięziona w furgonetce. Siedzieli skurczeni wśród elektronicznego sprzętu i resztek posiłków. Wydawało się, że z każdym dniem ich przestrzeń się kurczy. Na miły Bóg, musieli nawet szczać do butelek. Tylny przedział furgonetki kipiał od teorii i domysłów. To nienaturalne siedzieć tak długo w ciasnym mieszkaniu. Przecież Koniewiczowie stracili robotę. Musieli się poważnie martwić o pieniądze, a raczej o ich nagły brak. Może odważą się wymknąć do teatru lub eleganckiej restauracji. Albo do kina. Albo jeszcze



lepiej na długi spacer brzegiem kanału, tak jak kiedyś? Ile mogło ich to kosztować?

Kiedy zapadał zmrok, sytuacja stawała się nieco bardziej intrygująca. Koniewiczowie zachowywali się jak króliki. Co noc godzinami słychać było jęki i chichoty, szelest prześcieradeł i sporadyczny okrzyk rozkoszy na koniec zabawy. Początkowo słuchali na pełny regulator, wyobrażając sobie akcję. Czemu Wolewoj nie zainstalował kamery? Przecież było to takie łatwe, szepłali. W końcu stałe uprawianie miłości pogłębiło jedynie przytłaczające uczucie przygnębienia.

Koniewiczowie zachowywali się tak, jakby wiedzieli o trzech podsłuchujących agentach i robili to celowo, aby z nich zadrwić.

Prawie przestali korzystać z telefonu. Kilka nerwowych rozmów z prawnikiem, który nie przestawał narzekać, że dawni koledzy z INS blokują jego wysiłki.

Czasem telefon do pizzerii lub chińskiej restauracji. I na tym koniec.

\* \* \*

„Co oni tam robią?” – napisała Jelena, przysuwając notatnik Aleksowi.

Spojrzał na zegarek. Dwieście. „Mam nadzieję, że zaczyna im odbijać”, nagryzłolił pospiesznie, oddając notatnik. Po dwóch dniach korespondowania w końcu opanował sztukę prowadzenia dwóch rozmów jednocześnie. Niedorzecznej paplaniny, aby uspić czujność tamtych, i pospiesznego wymieniania krótkich notatek. Było to mozolne, powolne i absolutnie konieczne. Rozmawiali po angielsku, a pisali po rosyjsku.

„Czemu nie kupiliśmy większego mieszkania?!” – nabazgrała. – Duszę się tutaj, Aleks. Ledwie mogę oddychać”.

„Przynajmniej mamy lepsze towarzystwo od nich”, odpisał. Kto wie, ilu ruskich mafiosów czai się w pobliżu, stając na głowie, by zdobyć nagrodę? Wolewoj znał ich adres. Musieli założyć, że przekazał tę wiadomość do Moskwy. Tamci wiedzieli, gdzie są, więc Aleks był pewny, że zaczęli się w pobliżu i czekają. Wyjście na zewnątrz nie wchodziło w rachubę. Początkowo próbowali opanować przerażenie, znaleźć sposób poradzenia sobie z niepokojem. Przemebłowali mieszkanie i naprawili sprzęty. Trzeciego dnia Jelena zaczęła szukać pluskiew jak oszałała. Znalazła sześć. Podejrzewali, że jest ich więcej,

znacznie więcej. I mieli rację.

Uzgodnili, że czwartego dnia będą się dwoić i troić, aby zachować pozory normalnego życia, próbując przetrwać nudo, modląc się i czekając, aż MP wyciągnie z cylindra jakiegoś prawniczego królika, który zakończy ten senny koszmar.

Nie oszukiwali się. Wiedzieli, że MP to komar walczący z olbrzymami. Ta sprawa przerastała jego siły. Mówiąc szczerze, przekraczała siły każdego prawnika. W pewnym momencie ci na zewnątrz będą mieli dość i uderzą ponownie. Aleks, trzeźwo myślący biznesmen, wiedział, że uczynią to jeszcze bardziej zdecydowanie.

Z każdym dniem sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna. Jelena próbowała czytać, oglądać telewizję, medytować – wszystko na nic. Aleks krążył bez przerwy po mieszkaniu, szukając rozwiązania. Najlepiej myślał, gdy chodził, więc ścierał skórzane podeszwy.

Nie mieli pieniędzy. Byli uwięzieni w mieszkaniu. Ucieczka nie wchodziła w grę. Nie mogli nawiązać z nikim łączności tak, aby tamci o tym nie wiedzieli. Jeśli było jakieś wyjście, musieli je znaleźć. Aleks klepnął Jelenę w kolano i napisał: „Pora spać”.

Podnieśli się i ruszyli korytarzem. Koniewicz sięgnął po kasetę z nagraniem, które przygotowali poprzedniej nocy, a następnie maksymalnie podkręcił dźwięk.

– Zdejmij ubranie – powiedział do Jeleny. – Znów mam ochotę. – Żadne nie miało najmniejszej ochoty na seks od czasu wizyty agenta Hanrahana, który przekazał im przerażające informacje o pluskwach i rosyjskich mafiosach czyhających na zewnątrz, aby ich sprzątnąć.

Myśl, że tamci słyszeli każde ich słowo, przyprowadza o mdłości.

Jelena zsunęła buty, cisnęła je o ścianę i ciężko klapnęła na brzeg łóżka, które odpowiedziało jękiem sprężyn. Zaczęło się wieczorne przekomarzanie.

- Zawsze masz ochotę.
- A ty zawsze jesteś piękna.
- Ty nienasycony zwierzaku.
- Chodź, laleczko. – Po chwili: – Zdejmij bluzeczkę.
- Ty pierwszy. Zaczynaj od koszuli... a teraz spodnie.

Rozmawiali ze sobą tak, by przyciągnąć uwagę słuchaczy. W końcu usiadł ciężko na łóżku obok niej.

Wymienili spojrzenia. Aleks bez słowa nacisnął start, uruchamiając nagranie. Z głośników rozległ się głośny dźwięk dyszenia i obmacywania.

Mało się pozabijali, przygotowując to nagranie.

Jelena przysunęła się do męża i wyszeptwała:

– Ile mamy dni?  
– Jeden... dwadzieścia... kto wie?  
– Na co oni czekają?  
– Aż się załamiemy. Aż skończą się nam pieniądze i zaczniemy głodować.

– Czemu? Co chcą w ten sposób osiągnąć?  
– Liczą, że doprowadzą nas do rozpacz. Zgarnęli nasze pieniądze i tak nastraszyli, że boimy się wytknąć nos na zewnątrz. To pułapka. Jediną drogą wyjścia jest przyjęcie ich warunków. Wyrażenie zgody na podróż do Rosji, w jedną stronę.

– Może powinniśmy spróbować uciec?  
– Jak?  
– Wymknąć się w przebraniu. Wczesnym rankiem, kiedy będą zmęczeni, a ich uwaga będzie przytępiona. Odwrócimy czymś ich uwagę. – Pocałowała go w policzek i odsunęła się. – Udało ci się w Budapeszcie, teraz też znajdziesz sposób.

– Dokąd pojedziemy, Jeleno? Mają nasze paszporty.  
– Do Montany, Idaho, Nevady. Wszystko mi jedno, Aleks. Do jakiegoś miasteczka na zadupiu. Upalnego lub chłodnego, suchego lub wilgotnego. Nic mnie to nie obchodzi. Do jakiejś, zapadłej miejsciny. W Ameryce jest mnóstwo nielegalnych imigrantów. Będziemy pracowali na czarnym rynku. Znajdziemy sposób, aby rozplynać się w tłumie.

– Ja będę strzygł trawniki, a ty będziesz służącą, to miałas na myśli?  
– Będziemy żyli i będziemy wolni.

Pochylił się i dotknął jej ramienia.

– Posłuchaj, FBI nie tropi milionów nielegalnych imigrantów. Nie znają ich nazwisk, nie mają rysopisu i nie obchodzi ich los tych ludzi. My będziemy

musieli codziennie oglądać się za siebie. Któregoś dnia obudzimy się otoczeni przez bandę facetów w szarych garniturach.

- Jestem zmęczona siedzeniem i beczynnym czekaniem.
- Mam pewien pomysł.
- Jestem gotowa na wszystko.
- Niestety, wymaga czasu.
- Ile?
- Przypuszczalnie dużo. Bardzo dużo. To absolutny hazard, poza tym milion rzeczy może pójść nie po naszej myśli.

Spojrzała w sufit.

- Milion rzeczy może pójść nie po naszej myśli... Opowiedz mi o tym.

Zaczęli szeptać, a faceci w furgonetce znudzeni zmysłowymi odgłosami dobiegającymi z apartamentu Koniewiczów przyciszyli odbiorniki i ucieli sobie drzemkę.

\* \* \*

W samochodzie zaparkowanym przecnicę dalej siedzieli dwaj mężczyźni i kobieta, obserwując przez silną lornetkę główne wejście do kompleksu Watergate. Roczne łowy na Koniewiczza w Chicago nie wyszły Katii na dobre.

Nikoła prowadził skromne, niezbyt zyskowe operacje w rejonie Chicago za pośrednictwem na pół zwariowanego, naćpanego gościa. Facet ulokował grupę zabójców i pięciu swoich ludzi w podniszczonym szeregowcu w jednej z dzielnic na południu cechującej się najwyższym poziomem przestępczości. Nazwał tę chatę bezpieczną kryjówką, choć z pewnością nie była kryjówką, a do jej opisania można by użyć wielu przymiotników z wyjątkiem bezpieczna. W okolicy grasowały gangi czarnych i Latynosów. Ci goście nie przepadali za Ruskimi, którzy usiłowali bez powodzenia wepchnąć się na miejscowy rynek.

Szeregowiec szybko zamienił się w podłe więzienie. Miejscowe gangi były liczne, wredne i bezwzględne. Na przeciwległym rogu ulicy znajdowała się mała winiarnia. Przesiadali tam w zgodzie czarni i Latynosi w różnobarwnych bandanach. Nigdy nie było ich mniej niż piętnastu. Popijali piwo z puszek, rapowali, palili papierosy i gapili się na szeregowiec po drugiej stronie ulicy. Chyba szanowali lokalne zawieszenie broni, chwilowo jednocząc siły

w walce ze wspólnym wrogiem. Od dziesiątków lat walczyli ze sobą na tych ulicach – każdy centymetr betonu, każda meta i róg obstawiony przez dziwki oznaczał zwycięstwo okupione krwią. Nie było mowy, aby pozwolili Iwanom wyrwać sobie cokolwiek. Nocą czasami ostrzelali szeregowiec zbłąkaną serią, umykając, zanim przyjechała policja, by wrócić dokładnie w chwili, gdy znikł ostatni gliniarz. Raz wrzucili przez okno dwa koktajle Mołotowa.

Ruscy spali na podłodze i czołgali się pod oknami. W kuchni stało kilka garnków, a w każdym pokoju znajdował się zestaw pierwszej pomocy.

Katia i jej ludzie wychodzili na zewnątrz tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Pewnej nocy dwóch wyszło do sklepu spożywczego i więcej nie wróciło. Może uciekli? Nikt ich o to nie winił.

Kilka tygodni później znaleźli na progu pudełko z dwoma parami uszu. Przyglądali się kawałkom skóry i długo debatowali, lecz nikt nie był całkowicie pewny, że należały do Dmitrija i Iosifa. Dmitrij miał w uszach kolczyki, a uszy Iosifa były jakieś takie duże i obwisłe. Ale kto wie?

Wspomniane okoliczności znacznie spowolniły poszukiwanie Koniewicza. Przez pierwsze miesiące Katia i jej kamraci wyslizgiwali się na zewnątrz jedynie wczesnym rankiem, próbując zmylić gangsterów. Ich wóz ostrzelano więcej razy, niż mogli zliczyć, gdy pędzili ulicą na pełnym gazie. Miejscowi ludzie Nikoły trzymali twardo łapsko na kieszeni rosyjskich imigrantów w Chicago. Właśnie tam skierowali swoją główną uwagę. Koniewiczowie musieli przecież gdzieś się pokazać.

Co jakiś czas dostawali cynk, że Aleksandra Koniewicza widziano w lokalnym klubie uczęszczanym przez Rosjan. Bydlak szastał forszą i przechwalał się imperium nieruchomości, które założył w mieście. Zachowywał się jak gruba ryba. Kiedy kilku świadków pokazało im zdjęcia, byli pewni. Sprawdzili w miejscowej firmie telekomunikacyjnej i ustalili, że gość ma komórkę. Numer był zastrzeżony, a pracownicy biura uparcie odmawiali podania adresu, na który przesyłają rachunki. Na tym koniec, chociaż Rosjanie naciskali i obiecywali całą górę dolców.

Rozlepili w różnych miejscach jeszcze więcej zdjęć Koniewiczów. Setki innych wetknęli w ręce rosyjskich ekspatriantów, nie skąpiąc gróźb i opisując, co ich czeka, jeśli nie powiadomią ich niezwłocznie, gdy zobaczą tamtych.

Po kilku miesiącach stracili zapach. Co gorsza, mieli niezłego pietra. Grupka spotykająca się w winiarni powiększała się z każdym dniem. Ruscy zaczęli trząść portkami w swoim szeregowcu, przesyłając fałszywe meldunki do Moskwy i fabrykując obiecujące tropy. Byli pewni, że kłamstwa nie wyjdą na jaw. Nikt nie odważył się zaryzykować i złożyć im wizytę.

Zgromadzili w chałupie mnóstwo prowiantu, piwa i wódki. Oglądali do znudzenia te same pornosy, żłopali wodę i kłócili się między sobą. Dziesięciu chłopów miało nad Katią przewagę liczebną, którą bezlitośnie wykorzystywali. Zmusili ją, aby była ich kucharką, praczką i służącą.

W porównaniu z Chicago nawet długi rok w Kongu wypełniony zabijaniem wydawał się przyjemny.

Znienawidziła Koniewiczów. Znikło jej lodowate spojrzenie, podkrążone oczy Katii płonęły z przerażającą intensywnością. Wszystkiemu winna ta cholerna para. Czemu dranie nie pozwolili się zwyczajnie sprzątnąć? Ułatwiliby wszystkim życie. Jak mogli być tacy samolubni?

Kiedy Moskwa zawiadomiła ich, że odnaleziono Koniewiczów i że mieszkają w Waszyngtonie, w kompleksie luksusowych apartamentów, omal się nie popłakała. O czwartej rano ona i jej ludzie opuścili podziurawiony szeregowiec, zabierając ze sobą bagaże i kryjąc się przed kilkoma kulami, które posłano w ich stronę na do widzenia.

Zaraz po przyjeździe sześciokrotnie objechała Watergate i ruchliwe ulice otaczające rozległy kompleks. Jej wyrobiony wzrok dostrzegł od razu konkurencję. Nieoznaczona biała furgonetka ze zbyt wieloma antenami. Czarne wozy FBI rozsiane wokół, jakby parkowały w samochodowym kinie. Wszyscy obserwowali, wszyscy czekali, aż Koniewiczowie wykonają pierwszy ruch.

Boleśnie się rozczarują. Nie dostaną ich. Ani kawałeczka. Są jej i tylko jej.

\* \* \*

Chociaż Edna Clarke miała dziewięćdziesiąt dwa lata, była energiczną staruszką. Mieszkała w kompleksie Watergate od dnia jego powstania. Arthur, jej mąż, był współnikiem w dużej, prestiżowej kancelarii prawniczej, zanim

odszedł, Panie świeć nad jego duszą, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat. Ostatnich dziesięć lat mieszkała sama, jeśli nie liczyć towarzystwa trzech ukochanych kotów. Czytała, robiła na drutach i cierpliwie czekała, aż dobry Bóg powoła ją do siebie. Dzieci błagały, aby pomyślała o przeniesieniu się do domu spokojnej starości. Nie chciała o tym słyszeć. Tu był jej dom, miejsce pełne cudownych wspomnień o Arthurze i rodzinie, którą wykarmiła i wychowała w czasach dobrych i złych. Zgoda, głównie dobrych. Ślubowała sobie, że opuści to miejsce wyłącznie w trumnie.

Lubiła uroczą młodą rosyjską parę mieszkającą po drugiej stronie korytarza. W dniu, gdy się wprowadzili, zapukała do ich drzwi, kurczowo ściskając butelkę dobrego czerwonego wina z jasnoczerwoną kokardą na szyjce. Parapetówka. Dzisiejsi młodzi nie bawili się w takie rzeczy, nie mieli pojęcia o dobrych manierach. Koniewiczowie wyraźnie się od nich różnili. Od razu odkorkowali butelkę i uparli się, by weszła i wypła z nimi lampkę. Później w weekendy często zapraszali ją do siebie na obiad.

Edna i Arthur mieli ciekawe życie. Poznali się w Europie podczas wojny. Arthur był jedną z prawniczych gwiazd podczas procesów norymberskich. Jadali wówczas z prezydentami i senatorami. Arthur zajmował się prawami człowieka i tuzinem innych ważnych i fascynujących zagadnień. Przynajmniej w owym czasie uchodziły za fascynujące. Teraz dla większości ludzi były to wyblakłe, stare wspomnienia. Żałosne dawne pamiątki, które nikogo nie obchodziły. Nikogo oprócz Aleksa. Był taki błyskotliwy, taki ciekawy, tak wspaniale potrafił słuchać. Siedział na brzegu krzesła i zasypywał ją pytaniami, dopóki jej umysł się nie zmęczył i nie powlokła się korytarzem do łóżka.

W dziewięćdziesiąte drugie urodziny Edny poszli na przedstawienie baletowe do Centrum Kennedy'ego. Występował zespół teatru Bolszoi. Słowo daję! Edna wcisnęła się w suknię, której nie nosiła od śmierci Arthura. Jelena była zaprzyjaźniona z kilkoma tancerzami, więc po spektaklu zaprowadziła ją za kulisy i przedstawiła. Były to uroczę, wspaniałe urodziny. Własne dzieci nie przesyłały jej prezentów. Nawet nie zadzwoniły.

Kiedy Aleks zapukał do drzwi i poprosił o pożyczenie komórki, nawet się nie zastanowiła. Obiecał, że zapłaci za rozmowy. Oczywiście nie chciała o tym słyszeć. Arthur zostawił jej więcej, niż mogła wydać. W końcu w mieszkaniu

miała dobry telefon. Tłumaczyła sobie, że kupiła komórkę z powodu funkcji głośnomówiącej. W rzeczywistości zrobiła to dlatego, że chciała się przekonać, o co tyle szumu. Szybko doszła do wniosku, że to jedynie krzykliwa reklama, wiele hałasu o nic. Prawie nic nie słyszała. Musiała krzyczeć do mikrofonu, aby usłyszeć własny głos.

Aleks sprawiał wrażenie dziwnie przywiązanego do małego aparatu. Mimo poczucia winy nie mogła oderwać oczu od wizjera w drzwiach. Całymi dniami łąził po korytarzu, gadając jak oszalały do tego głupiego urządzenia. Co jakiś czas wracał do mieszkania, aby opuścić je po kilku minutach z idiotycznym aparatem przyciśniętym do ucha.

Dziwne zachowanie! Może nawet trochę podejrzane. W taki sposób mógł zachowywać się facet, który miał potajemny romans. Natychmiast odegnała tę myśl. Taka urocza, kochająca się para. Musiał rozmawiać o interesach, zdecydowała. Był dżentelmenem i nie chciał tego robić w obecności żony. Bóg jeden wie, jak nienawidziła, gdy Arthur całymi godzinami rozmawiał przez telefon ze współpracownikami i klientami o tych wszystkich prawniczych dyrdymałach, jakby ona nie istniała.

\* \* \*

Otworzyli drzwi tuż po północy.

Weszli cicho do środka. Dwaj mężczyźni. Pierwszy, Michaił Boroski, a za nim Igor Markaszwili, inny prywatny detektyw, do którego Boroski miał całkowite zaufanie i którego czasem zatrudniał do zadań specjalnych. W minionym tygodniu codziennie rozmawiał ze swoim klientem, Aleksem. Bywało, że całymi godzinami. Sytuacja Koniewicza w Ameryce zaczęła się brzydko komplikować. Jego cierpliwość do ludzi, którzy go ścigali, dawno się wyczerpała. Próbował spokojnie koegzystować, wybaczyć i zapomnieć, lecz tamci nie chcieli o tym słyszeć. Ponownie zagrozili jego ukochanej Jelenie. Michaił wy czuł, że w przyjacielu zaszła głęboka zmiana. Miejsce chłodnej, spokojnej roz wagi zajęła tłumiona, cicha wściekłość. Po długiej rozmowie i wielu rozpacz liwych pomysłach, w końcu ustalili plan działania.

Niestety realizacja planu wymagała czasu. Przypuszczalnie kilku miesięcy, jeśli nie dłużej. Michaił zachęcał swojego przyjaciela i klienta, aby dożył jego



wykonania.

Mieszkanie było rozległe, mroczne i puste. Weszli na palcach, oświetlając sobie drogę małymi latarkami. Natychmiast się rozdzielili. Ładna chata, wysoki sufit, drewniana podłoga, drogie stare meble. Pani domu zadbała, aby panowała w nim nieskazitelna czystość. Niewiasta, o której mowa, spędzała tę noc ze swoim szefem. Michaił zajął się telefonami, podczas gdy Igor umieszczał urządzenia podsłuchowe w strategicznych częściach mieszkania. Michaił zainstalował pluskwy w aparacie stojącym w salonie i przy łóżku. Nie minęło pięć minut, a robota była skończona.

Wyszli równie cicho, jak weszli.

Pluskwy zostały wykonane przez niemiecką firmę elektroniczną. Bardzo czułe, uruchamiane dźwiękiem urządzenia, które przekazywały sygnał do małego magnetofonu ukrytego w piwnicy apartamentowca. Nie było potrzeby, aby Michaił ukrywał się w jakiejś klitce ze słuchawką przyciśniętą do ucha, próbując opanować senność i znudzenie. Wpadnie co kilka dni, zabierze starą taśmę, założy nową. Następnie usiądzie sobie wygodnie z cygarem i szklaniczką szkockiej i odsłucha nagranie, szukając brudów.

Kilka godzin wcześniej Michaił i Igor przyczepili magnetyczne urządzenie śledzące do podwozia limuzyny Siergieja Golicyna. Inne umieścili w uroczym małym kabrioletcie bmw, który generał sprawił sobie w prezencie.

Pokonanie zaawansowanego systemu bezpieczeństwa zainstalowanego w rezydencji Siergieja Golicyna było prawie niemożliwe i szczerze mówiąc, całkiem niepotrzebne. Kogo obchodzi, o czym dziad gada?

W tym stadium operacji liczyło się tylko to, dokąd się udawał.

\* \* \*

Ilja Mieczukow płał się w promieniach słońca. Wylegiwał się na składanym leżaku i gapił bezmyślnie w cień rzucany przez imponujący balkon na karaibską plażę. W ciągu trzech lat od powstania Orangutan Media nie miał ani jednego dnia wakacji. Nic tylko praca i praca. A roboty było coraz więcej, gdy Aleks i Jelena nawiązywali kontakty z wielkimi amerykańskimi koncernami.

Nie miał pojęcia, jaki był wyczerpany, dopóki nie wyjechał na wymuszone okolicznościami wakacje. Piękna mała, skąpana w promieniach słońca wyspa

oferowała wszelkiego rodzaju przyjemności, była idealnym miejscem do tego, aby się zrelaksować i zapomnieć o kłopotach. Słońce, rum i plaża, a do tego miejscowe dziewczyny i amerykańskie turystki spacerujące morskim brzegiem, rywalizujące o to, która pokaże się w cieńszym bikini. Właśnie rozkoszował się widokiem dwóch uroczych laleczek pokazujących swoje opalone na brąz ciała w cieniutkich stringach.

Nie usłyszał, kiedy weszli. Nie wiedział o ich obecności, dopóki nie poczuł garoty zaciskającej się na szyi. Ból był straszliwy, nie do zniesienia. Zaciskali ją ponad minutę. Oczy wyszły mu na wierzch, wargi posiniały, dłonie rozpaczliwie uczepliły się pętli.

Później ogarnął go mrok. Zemdlął, lecz nie umarł. Przekonał się o tym, gdy polali go zimną wodą, aby odzyskał przytomność.

– Czego... – wymamrotał, zanim ogromna pięść wylądowała na jego ustach.

Wypluł dwa zęby. Leżał na łóżku, krztusząc się i kaszląc krwią.

– Pogawędzimy. My będziemy mówili, a ty będziesz słuchał – wyjaśnił mu jakiś facet po rosyjsku. Gość był przerażającym prawie dwumetrowym olbrzymem. Rozrośnięte mięśnie idiotycznie rozciągały hawajską koszulę. Ramiona i klatkę piersiową pokrywały czarne, kręcone włosy. Ilja stwierdził, że właściwie tamtych było trzech. Dwaj pozostali nosili identyczne różowe i żółte szorty, koszule w kwiaty, czarne skarpety i skórzane sandały.

– Ładne ubranka – wymamrotał Ilja, za co nagrodzono go kolejnym ciosem pięści.

– Sprawa jest prosta. Nic do ciebie nie mamy – wyjaśnił gość w różowych szortach. – Podpiszesz oświadczenie i będziesz wolny.

– Oświadczenie? Jakie oświadczenie?

– Chcesz żyć?

– Jasne.

– W takim razie co cię to obchodzi?

Faktycznie miał to gdzieś. Podetknęli mu pod nos oficjalnie wyglądający dokument wydrukowany cyrylicą. Do ręki wcisnęli długopis.

Ledwie miał czas spojrzeć, gdy garota się zacisnęła. Zdażył jedynie zauważyć tekst, w którym była mowa, że firma Orangutan Media stanowiła

przykrywkę dla działalności przestępczej. Dostrzegł też coś o Aleksie Koniewiczu, jednak w tej samej chwili świat otaczający Ilję zaczął się zamazywać. Jakimś cudem nagryzmolił swoje nazwisko u dołu kartki, zanim ponownie pogrążył się w mrok.

Kiedy się zbudził, tamtych już nie było.

## 21.

Tromble siedział za ogromnym biurkiem, przeglądając dokumenty i udając, że czyta. Banalna wymówka, aby kazać Hanrahanowi i szefom jego zespołów czekać przy ścianie. Podły sposób okazania głębokiego niezadowolenia, że do tej pory nie udało im się złapać Koniewicza.

Po pięciu minutach spojrzał na Hanrahana.

– Minęły dwa tygodnie. Czemu Koniewicz jeszcze do nas nie zadzwonił? – zapytał tonem sugerującym, że wszystkiemu jest winien nieszczęsny agent.

– Nie wiem. – Był piątek. Godzina siedemnasta. Mieli za sobą dwa długie frustrujące tygodnie. Hanrahan był przekonany, że kiedyś nadejdzie jego szczęśliwa godzina. Odepchnął się od ściany i podszedł do wielkiego biurka. – Od czasu naszej pogawędki żadne nie opuściło budynku. Zamawiają jedzenie, skradają się na palcach po mieszkaniu, w głębokim przysiadzie. Są przerażeni na śmierć. Tylko idiota by nie był.

– Skąd biorą pieniądze? Sądziłem, że zajęliśmy rachunki.

– Pewnie mieli w mieszkaniu trochę gotówki. Nie wszyscy korzystają z kart.

– Ile im zostało?

– Nie mam pojęcia – odparł Hanrahan. – Pewnie niewiele. Odżywiają się wyłącznie pizzą i chińszczyzną. Przesłuchaliśmy kilku dostawczych. Używają kuponów. Skąpią na napiwkach. Wszystko wskazuje, że w słoiku z drobnymi widać dno. Próbują oszczędzać.

– Ale możesz się mylić?

- Tak, to niewykluczone.
- Czy to będzie się ciągnąć całymi miesiącami?
- To mało prawdopodobne, lecz możliwe.

Tatiana z kancelarii Jelcyna wydzwaniwała do niego co drugi dzień. Była grzeczna i uprzejma, lecz dawała do zrozumienia, że nie jest zadowolona. Ciągłe przypominała mu o tym, jak się przechwalał, że Koniewicz w ciągu tygodnia znajdzie się w Rosji. Przecież próbował. Wybrał dwudziestu zdolnych agentów z wieloletnim doświadczeniem w zwalczaniu przestępczości zorganizowanej i uprzedził, że niebawem zostaną przeniesieni do Moskwy. Wszystko było gotowe, brakowało jedynie tego gościa, Koniewicza.

– Co knują nasi rosyjscy przyjaciele? – spytał Tromble, odchylając się do tyłu i splatając dłonie za głową.

– Biała furgonetka ciągle tam stoi. Nasi ludzie podkradli się i przytwierdzili do karoserii bardzo czułe urządzenia podsłuchowe. Trzej faceci, którzy siedzą środkiem, nie należą do zadowolonych biwakowiczów. Zaczynają się dziwnie zachowywać. Podam przykład. Wczoraj kilkakrotnie grali w rosyjską ruletkę. – Wzruszył ramionami. – Pewnie to u nich sport narodowy.

– Co jeszcze?

– Mafia lekko zaznaczyła swoją obecność. W miniony wtorek jeden z ich ludzi kilka razy szybko objechał okolicę. Babka i dwóch gości zamieszkało w samochodzie zaparkowanym przecnicę od kompleksu Watergate. Śpią tam, jedzą i czekają.

Na twarzy Tromble'a pojawił się wyraz zniecierpliwienia. Hanrahan był starym wyjadaczem, weteranem biorącym udział w niezliczonych obserwacjach i akcjach odbicia zakładników. Wiedział, że kluczem do sukcesu jest cierpliwość. Czekali. Była to psychologiczna rozgrywka – obie strony próbowały się wzajemnie przechytrzyć. Chodziło o to, kto pierwszy pęknie. Nie można było tego przyspieszyć.

Zgodnie z przewidywaniami Tromble oznajmił:

– Musimy spróbować czegoś innego. – Po krótkiej przerwie udawanego zastanowienia kontynuował: – Dlaczego po prostu ich nie aresztujecie?

– Pod jakim zarzutem? – zapytał Hanrahan.

– Wszystko jedno. Ty mi powiedz.

Hanrahan podrapał się w głowę.

– Może za naruszenie jakiegoś przepisu imigracyjnego. Czegoś banalnego, wygaśnięcia ważności wizy. Rusczy twierdzą, że kłamał, aby uzyskać azyl. Może zatrzymać ich pod zarzutem oszustwa?

– Wolę nieważną wizę.

– To działka INS – zauważył słusznie Hanrahan.

– W końcu i tak muszą się w to zaangażować. Czemu nie teraz?

Hanrahan wolno skinął głową. Najwyraźniej nie mówiono mu wszystkiego. Szef osobiście nadzorował sprawę, lecz nie było w tym nic dziwnego. Próbuje dowiedzieć się czegoś więcej, spytał z powątpiewaniem:

– Mamy ich aresztować za zwykle naruszenie przepisów imigracyjnych?

– Później dorzucimy dodatkowe oskarżenia, które nam przyjdą do głowy.

Wprowadzimy do gry media. Skłonimy do publikacji materiałów, które obrzucą Koniewicza błotem. Chcę, aby znaleźli się już w trybach systemu sprawiedliwości.

– Oboje? – Kolejna przerwa i kolejne spojrzenie wyrażające niewiarę. – Jedno i drugie?

– Przecież powiedziałem.

– Jakie przestępstwo popełniła kobieta?

– Wyszła za niego.

Hanrahan odchrząknął, nie ustępując.

– Sugeruje pan, abyśmy użyli jej do wywarcia presji na męża? Chciałbym być pewny, że właściwie zrozumiałem.

Tromble zaczął gmerać w leżących na biurku papierach.

– Czy ja to powiedziałem?

Hanrahan nie odważył się odpowiedzieć.

Tromble podniósł jakiś dokument, udając, że czyta.

Hanrahan nie ustąpił. Już stąpali po kruchym lodzie. Teraz Tromble nakłaniał go do złamania prawa. Do emerytury zostały mu dwa lata. Wszystko już sobie zaplanował. Mały domek obok pola golfowego na Florydzie i tylko tyle prywatnego doradztwa, ile trzeba, by sobie dorobić. Nie zamierzał wszystkiego ryzykować. Chciał usłyszeć wyraźne polecenie w obecności dwóch stojących pod ścianą świadków.

Jeśli zajdzie potrzeba, będą tak tkwili całą noc. W końcu Tromble uległ.

– Wjechał do naszego kraju pod fałszywym pretekstem. Ta kobieta mu towarzyszyła, uczestniczyła w oszustwie mającym na celu uzyskanie azylu. To czyni ją współuczestniczką spisku. Ma być traktowana tak jak on.

– Zrozumiałem. Kiedy mamy ich aresztować?

– Dziś w nocy. O późnej porze. Jest piątek, do poniedziałku jego prawnik nie będzie mógł nic zrobić.

\* \* \*

O trzeciej nad ranem usłyszeli pukanie do drzwi. Aleks naciągnął szlafrok i ponownie podszedł na palcach do wejścia. Wyjrzał przez wizjer. Przed drzwiami stał zatroskany Marty Brennan, facet od prac konserwatorskich.

Otworzył drzwi.

– Co się stało, Marty...

Nagle ktoś odepchnął Brennana i do mieszkania wpadło ośmiu ludzi. Siedmiu mężczyzn i tęga kobieta w męskim stroju. Agenci rozproszyli się po mieszkaniu. Przeszukanie nie zajęło im wiele czasu, bo lokum Koniewiczów było małe.

Z sypialni dobiegł krzyk Jeleny. Aleks chciał skoczyć w tamtą stronę, lecz powstrzymali go dwaj mężczyźni o grubych barkach i mocnych dłoniach. Wykręcili mu ręce za plecami i z wyćwiczoną zręcznością skuli nadgarstki kajdanekami.

– Kim jesteście?

– Służby imigracyjne – oznajmił głos dobiegający z małej kuchni.

– Nie zrobiliśmy nic złego. Mamy azyl polityczny.

– Mielicie. Trzeba użyć czasu przeszłego – warknął jeden z mężczyzn, wracając do pokoju i stając przed Aleksem. – Został zawieszony do czasu przesłuchania.

– Rozumiem. Mamy wizy. Paszporty są w mojej teczce – powiedział Aleks, niezgrabnie wskazując brodą walizkę chwiejającą się niepewnie na stole, który miał teraz tylko trzy nogi.

Facet podszedł do teczki, otworzył ją wprawnym ruchem i wyciągnął dwa dokumenty. Przejrzał kartki, aż znalazł dwie strony z amerykańskimi wizami.

Rzucił na nie krótkie spojrzenie i po chwili gniewnie zawyrokował:

- Są sfalszowane.
- Podobnie jak amerykańska konstytucja.
- Przeszukać mieszkanie! – polecił swoim ludziom. Wszyscy z wyjątkiem gościa w kącie pokoju zaczęli wywalać szuflady i przewracać meble.
- FBI przeprowadziło już rewizję – poinformował ich Aleks. – Co spodziewacie się znaleźć?

Brak odpowiedzi. Odwrócił się od agentów siejących spustoszenie i utkwiał wzrok w opartym o ścianę mężczyźnie, który nie brał w tym udziału. Facet nosił tani szary garnitur podobnie jak tamci, lecz najwyraźniej był raczej obserwatorem niż czynnym uczestnikiem.

- Jesteś pewnie z FBI – powiedział do niego.

Facet spojrzał z wahaniem, a następnie odparł całkiem przyjaźnie:

- Zgadłeś.
- Chcę zadzwonić do mojego prawnika. Ma dokumenty dotyczące naszego azylu i statusu prawnego. Chcecie się z nimi zapoznać, prawda?
- Nie, nie tej nocy.
- A moje prawa?
- Nielegalni imigranci nie mają praw.
- Chcę to wyjaśnić, odmawia mi pan prawa do porady prawnej?

Podczas jednej z licznych rozmów, które przeprowadził z MP, adwokat uprzedził go, że coś takiego może się przydarzyć. Zignoruj obelgi i obraźliwe zachowanie, zachowaj spokój, nie daj się sprowokować, bez względu na wszystko, doradzał mu wielokrotnie poważnym głosem. Nie zabrzmi to dobrze podczas posiedzenia komisji imigracyjnej lub na sali rozpraw, jeśli Aleks, polspolity imigrant, nie okaże szacunku amerykańskim władzom. Musi pozostać uprzejmy i zdecydowany. Delikatnie przypomnij im o swoich prawach i zapamiętaj, ile procedur prawnych pogwałcą. Później wyciągniemy cały ten brud na sali sądowej.

Agentka wyglądająca jak facet przebrany za kobietę wyciągnęła z sypialni Jelenę i zaprowadziła ją do małego saloniku. Jelenia miała na sobie jedynie koszulę nocną – skromny, niemal przezroczysty ciuszek, który niewiele pozostawiał wyobraźni. Kilku agentów spojrzało na nią pożądliwie. Jelenie było



wszystko jedno. Popatrzyła na nich z takim gniewem, że czołg rozpląnąłby się ze wstydu.

Federalny rzucał na nią krótkie, ukradkowe spojrzenia, a przynajmniej robił to, dopóki Aleks nie warknął:

– Nawet KGB nie zatrudniało tylu zбочeńców. – Agent Wilson spojrzał na czubki butów i poczerwieniał. – Jest pan żonaty? – spytał Aleks. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, drażył dalej: – Ma pan żonę?

– Tak. – Facet w dalszym ciągu gapił się na swoje sznurowadła jak za-wstydzone dziecko.

– Chciałby pan, aby potraktowano tak pańską żonę?

– Jak inaczej wiedzielibyśmy, czy nie ukryła czegoś przy sobie?

– Teraz już wiecie. Gapicie się na moją żonę jak zбочeńcy. Gdyby miał pan odrobinę przyzwoitości, pozwoliby jej pan pójść do łazienki i ubrać się.

Agent Wilson nie przestawał lustrować swoich butów. Czubków, sznurowadeł, cholewek. Otrzymał jasne i stanowcze rozkazy. Upokorzyć Koniewiczów. Rozdrażnić i sprowokować Aleksa do zrobienia czegoś głupiego. Do żalostnej próby stawiania oporu, niegrzecznego potraktowania agentów lub, jeszcze lepiej, do mizernego aktu przemocy. Oskarżenia wysuwane pod jego adresem były bardzo kruche. Szczerze mówiąc, wielkie nic. Jego szef, Hanrahan, zażądał czegoś, czego sędzia mógłby się uchwycić.

Uwaga o zбочeńcach naprawdę mu dopiekła. Odwracając wzrok od niemal nagiej, pięknej blondynki, powiedział do agentki:

– Idź z nią po ubranie. Niech się ubierze w łazience.

Wyprowadzili Jelenę, stawiającą gniewne kroki w korytarzu.

Aleks oparł się o ścianę, ze zrezygnowaniem obserwując, jak funkcjonariusze INS demolują jego mieszkanie. Zniszczyli ostatnie przedmioty, które nie były zepsute, lub te, które on i Jelena tak pieczołowicie naprawili. Teraz nie będzie już można nic zrobić. Była to ciężka, ponura robota i na usprawiedliwienie funkcjonariuszy trzeba powiedzieć, że tym razem nikt się nie uśmiechał ani nie chichotał.

Po pięciu minutach oszalałego wybebeszania mieszkania usłyszeli głośnie walenie do drzwi łazienki w tylnej części apartamentu. Zamarli. Głęboki kobiecy głos przerodził się we wściekły ryk:

– Co tam robisz? Otwieraj! Mówię, otwieraj te cholerne drzwi! Nie dam się oszukać!

Wilson nagle stracił opanowanie i pognął do tylnej łazienki. Po kilku sekundach głośnego zamieszania i ignorowaniu kolejnych poleceń otworzenia drzwi Aleks usłyszał głośny trzask. W chwilę później wciągnęli Jelenę do salonu. Była teraz ubrana. Miała dzinsy, luźną bluzę i nadąsany wyraz twarzy.

- Co tam robiłaś?! – warknął agent FBI, przysuwając twarz do jej twarzy.
- Ubierałam się.
- Co jeszcze?!

Jelena nie mogła powstrzymać triumfalnego uśmiechu.

- Czy to uprzejme zadawać takie pytanie damie, która jest w łazience?

Facet z FBI przewrócił oczami i warknął do funkcjonariuszy INS:

- Przeszukajcie toaletę.

Dwie minuty później wrócił jeden z nich, z zakłopotaniem trzymając w ręku mokry telefon komórkowy.

- Schowała to w muszli.

Pytanie, czy do kogoś dzwoniła, nie miało żadnego sensu. Równie bezcelowe było pytanie do kogo. W tej chwili ich prawnik wybiegał pewnie ze swojego domu.

- Skujcie ją – polecił federalny. – Pora się zwiijać.

\* \* \*

Kiedy wyprowadzili ich drzwiami na parterze, okazało się, że ktoś zawiadomił media. Reporterzy stawili się licznie, mimo trzeciej piętnaście rano, wymieniając dowcipy o niesławnym kompleksie Watergate, popijając kawę, ustawiając oświetlenie i czekając na rozpoczęcie przedstawienia.

To był długi, nudny tydzień – smarkacze z Hollywood zachowywali się zdumiewająco przykładowie. Chociaż popełniono kilka morderstw, żadne nie było na tyle odrażające lub potworne, aby wzbudziło zainteresowanie społeczeństwa. Oczywiście, w Waszyngtonie cały czas wybuchały polityczne skandale z łapówkami i seksem, lecz ludzi przestało to bawić. Federalni zajmujący się publicity stanęli na głowie, aby wzbudzić zainteresowanie rozwijającą się w wartkim tempie historią. Nazwali Koniewicza zbiegłym rosyjskim

milionerem, najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Rosji. Obiecano przecieki i sensacyjne, pikantne szczegóły, które wzbudzą zainteresowanie ludzi i pomogą rozdmuchać historię.

Za plecami tłumu stała jasnowłosa kobieta, ściskając kurczowo duży pistolet pod garsonką i cicho przeklinając, że będzie tylu świadków. Do diabła z nimi, zakląła pod nosem. Rozkaz Siergieja Golicyna był jasny i nie wzbudzał wątpliwości. Ich śmierć ma wyglądać na wypadek. Przypadkowe ofiary napadu rabunkowego, wspólne samobójstwo popełnione przez udręczoną, zdesperowaną parę. W długiej i owocnej karierze zawodowego zabójcy żaden cel nie doprowadził Katii do takiego stanu. Najpierw upokorzenie spowodowane ucieczką Koniewiczów z Budapesztu. A później upokarzający rok w Chicago zakończony wiadomością, że ten przebiegły gnojek ponownie ją przechytrzył, ukrywając się w tym wielkim kompleksie. Dawno przestało ją obchodzić, czego chce Moskwa. Jeśli będzie miała okazję do oddania czystego strzału, nie zawaha się tego uczynić – ani na chwilę nie zdejmowała palca z cyngla. Zacznie strzelać i przestanie dopiero wtedy, gdy Koniewiczowie będą mieli więcej dziur niż ser szwajcarski. Później rozplynie się w mroku i jak najszybciej wyruszy do Meksyku. Właściwie była zadowolona, że zabójstwo zostanie sfil-mowane.

Zalutuje sobie jakoś taśmę i do końca życia będzie oglądać, jak wysłała oboje do piekła.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież. Aleks i Jelena wyszli na zewnątrz w asyście gromadki agentów i zatrzymali się w celu odegrania przed kamerami krótkiego epizodziku charakterystycznego. Flesze błysnęły, kamery poszły w ruch, a funkcjonariusze INS i FBI zostali zasypani tuzinami pytań, na które nie udzielili odpowiedzi. Katia próbowała przecisnąć się przez tłum, lecz reporterzy byli starymi wygami. Z brutalną zręcznością zawodowych graczy futbolu odsunęli ją na bok i odepchnęli w tył, aż wylądowała na siedzeniu.

Więźniów przeprowadzono przez tłum i wepchnięto na tylne siedzenie dużego granatowego sedana. Rzecznik FBI wyszedł do dziennikarzy i zaczął wygłaszać oświadczenie tak krótkie i zwięzłe, że musiało zostać wcześniej przećwiczone:

- Pan Koniewicz jest poszukiwany za popełnienie poważnych przestępstw

na terenie Rosji. On i jego żona zdefraudowali setki milionów dolarów inwestorów i uciekli do naszego kraju. W Ameryce żyli jak ludzie znani i bogaci. Zamieszkali w jednym z najbardziej luksusowych kompleksów w mieście. Ukrywali się przed rosyjskimi władzami i udawali...

W tym momencie zatrzaśnięto drzwi, więc Aleks nie usłyszał dalszego ciągu.

Po błyskawicznym przewiezieniu do gmachu urzędu imigracyjnego otoczonym nagłą niesławą Koniewiczom zrobiono zdjęcia, pobrano odciski palców, które znalazły się w systemie INS obok odcisków innych osób czekających na deportację.

Aleks otrzymał żółty kombinezon i został zaprowadzony do męskiej przebieralni. Kiedy wrócił, Jeleny już nie było. Wyprowadzono go na zewnątrz i wepchnięto do furgonetki, zaryglowano drzwi i ruszono pędem do więzienia w Alexandra, gdzie trafił do celi przejściowej, w której przetrzymywano innych nieszczęśników – zbieraninę Latynosów, Chińczyków i Albańczyków oraz różnej maści przestępców, którzy naruszyli przepisy kapryśnego prawa imigracyjnego.

## 22.

Strażnik brzęknął kluczami i zawołał do siebie więźnia Koniewicza. Aleks przepchnął się przez tłum zrozpaczonych mężczyzn i podszedł do drzwi. Nie mył się od trzech dni. Prawie nie spał. Krótką drzemkę przerywał inny osadzony, który się o niego potykał, lub nowy internowany wepchnięty do przeludnionej celi. Był nieogolony i zmęczony. Włosy miał zlepione i przetłuszczone. Cuchnął potem i moczem.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, dwaj strażnicy skuli mu ręce i stopy, a następnie zaprowadzili, dziwacznie szurającego nogami, do sali odwiedzin.

MP siedział przy stole z teczką na kolanach. Miał zmarszczone czoło i splecione dłonie.

- Wybacz, że zajęło mi to tyle czasu, Aleks.
  - Jelena zatelefonowała do ciebie w piątek wieczorem, MP. Nie pleć, że ci przykro. Co się stało?
  - Bawią się z nami w chowanego. Dzwoniłem do wszystkich w INS, których znam. Nikt nie chciał mi powiedzieć, dokąd was zabrano. Powinniście być w więzieniu okręgu Kolumbii. Tam mieszkaliście i tam was zatrzymano. Zamiast tego przewieźli was tutaj, do Alexandra, aby mnie zmylić. Jest bardzo źle?
  - Trudno to zaliczyć do przyjemności. Mną się nie przejmuj. Wydostań stąd Jelenę.
- MP odwrócił wzrok.
- Będzie z tym kłopot.

– Czemu? Załatw kaucję. Nawet mordercy wychodzą po wpłaceniu kaucji. Nasze mieszkanie jest spłacone. Użyj go jako zabezpieczenia i wyciągnij ją stąd.

– Myślisz, że nie próbowałem, Aleks? Pamiętasz reporterów, którzy czekali na was przed kompleksem Watergate? Federalni urządzili to przedstawienie. Byliście wielką sensacją weekendu. Kanały nadające wiadomości kryminalne i prawne miały używanie. Zostałeś obsmarowany w gazetach i telewizji. – Podniósł zdjęcie wycięte z jakiegoś pisma. Aleks i Jelena wychodzili z kompleksu Watergate, skuci i winni. – Chcą, aby rosyjski rząd wiedział, że ostro pogrywiają.

– Chcą mnie, MP. Jelena nie zrobiła nic złego.

– Otrzymałem odmowną odpowiedź. Mówią, że możecie uciec.

– Niech ją wypuszczą, przecież nadal będą mnie mieli.

– Aleks, nie słuchasz, co mówię. Chcą, żeby Jelena pozostała w więzieniu.

Powoli zaczął rozumieć, co chce mu przekazać MP, aż w końcu pojął to z całą siłą. Próbował przełknąć wielką grudę, którą miał w gardle. Nie udało się. Rząd Stanów Zjednoczonych używał Jeleny w charakterze zakładnika, aby zmusić go do powrotu do Rosji. Modlił się, aby przebywała w warunkach lepszych niż on. Miał nadzieję, że dostała oddzielną celę. Jego była tak brudna i przeludniona, że więźniowie musieli na zmianę spać na posadzce. Walczyli ze sobą o wejście do toalety i obrzucali się zniewagami w różnych językach, co tylko wzmacniało atmosferę frustracji. Cella była zimna i wszyscy głośno gadali. Nie mógł prawie spać z powodu ciągłego spuszczenia wody w kiblu i harmidru przerażonych mężczyzn żalących się na cały głos. Jedzenie było okropne – pozbawiona smaku papka podgrzana w kuchence mikrofalowej i podana na papierowej tace.

– Zgodnie z prawem mogą was przetrzymywać cztery dni. Później zgłosimy wniosek o zwolnienie z aresztu. Poprosiłem, by przesłuchano was jutro. Nie mogli odmówić.

– O co mnie oskarżają?

– Twierdzą, że twoja wiza wygasła.

– Będziesz mógł udowodnić, że to nieprawda?

– Oczywiście, bez problemu. Jeśli wszyscy będą trzymać się faktów, sprawa powinna być prosta.

- Wydostań stąd Jelenę, MP. Mną się nie przejmuj, ale ją stąd wydostań.
- Zrobię, co w mojej mocy.

\* \* \*

O pierwszym sygnale nadciągających kłopotów, który odebrał Jurij Chodorin, można by powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był subtelny. Pięciu dyrektorów jego firm znalazło się w kostnicach rozsianych po całym kraju. Użyto różnych metod od postrzelenia po zadżganie nożem i otrucie. Fala zabójstw sięgała od Moskwy po Petersburg. Nie można było przewidzieć, gdzie uderzą kolejny raz ani nawet czy dojdzie do kolejnego zabójstwa.

Drugiego dnia otrzymał odpowiedź – huk, którego nie można było pomylić z niczym innym. Sześciu kolejnych zabitych. Z pewnością nie był to zwykły zbieg okoliczności, akt zemsty lub tłumionego gniewu. Zabójstwa nie były przypadkowe. Zostały popełnione z premedytacją i nic nie zapowiadało, że ustaną.

Trzydziestotrzyletni Jurij Chodorin był drugim na liście najbogatszych ludzi w Rosji. Od zajęcia pierwszego miejsca dzielił go zaledwie jeden udany rok. Podobnie jak Aleks, rozpoczął wcześniej, w młodym wieku, zanim jeszcze upadek komunizmu otworzył drzwi dla dużych pieniędzy. Wystartował z bloków jak burza i stworzył wojownicze imperium zróżnicowane i rozległe, zyskowe i chciwe kolejnych profitów. Jego korporacja nosiła nazwę Central Enterprises – niewinna etykieta jak na holding obejmujący wszystko, od pól naftowych po stacje telewizyjne. W jego skład wchodziły całe miriady mniejszych firm, od sieci barów szybkiej obsługi po hotele oraz tyle innych przedsięwzięć, że nie sposób było wszystkie zliczyć. Central Enterprises każdego miesiąca zakładała lub przejmowała nowe przedsiębiorstwa, obejmując zasięgiem swoich operacji coraz bardziej osobliwy wachlarz towarów i usług.

Rankiem, po drugiej fali zabójstw, w moskiewskim gabinecie Jurija zjawili się dwóch poruczników milicji. Osobliwa para. Jeden funkcjonariusz był przypominającym piłkę tłuszczochem, drugi – chudzielcem podobnym do tyczki. Przekazali Chodorinowi złe wieści, mówiąc, że uwzięła się na niego mafia. Jest im przykro, lecz milicja nie może mu zapewnić bezpieczeństwa. Mieli tak mało ludzi, że ledwie chronili własne posterunki. Chcieli być jednak pomocni, więc

wspaniałomyślnie pozostawili wizytówkę człowieka, który z pewnością mógłby sprostać wyzwaniu.

Czwarty dzień rozpoczął się zamachami bombowymi na biurowce firm Jurija. Co dziwne, drużyny miejscowej straży pożarnej zostały wysłane pod niewłaściwy adres i wszystkie trzy gmachy spłonęły do fundamentów. Firma ubezpieczeniowa pokryła straty, lecz całe gromady zastraszonych pracowników zaczęły grozić, że przestaną przychodzić do pracy. U kresu ponurego czwartego dnia – gdy milicja ponownie odmówiła zapewnienia mu ochrony – Jurij przekazał swój problem szczebel wyżej. Wykonał rozpaczliwy telefon do prokuratora generalnego, Anatolija Fiedorowa. Zdesperowany błagał o pomoc. Fiedorów wydał całe mnóstwo współczujących odgłosów i obiecał wszelką pomoc. Co ciekawe, w niepokojący sposób powstrzymał się od podania konkretów.

Jurij wyczuł, że to puste słowa. Domysły potwierdził zamach bombowy na parkingu przed centralą korporacji, w którym zginęło trzech kolejnych pracowników.

Wieczorem, ogłuszony szokiem po brutalnych uderzeniach, Jurij siedział samotnie w swoim biurze, snując ponure rozmyślenia i spekulacje na temat przyszłości. Jeśli wypadki będą rozwijały się w dotychczasowym tempie, nie będzie żadnej przyszłości. Całymi dniami jeździł z pogrzebu na pogrzeb, próbując pocieszyć szlochające wdowy i płaczące dzieci. Był w paskudnym nastroju. Pragnął zostać sam, pograć się w żalu nad sobą.

Atak depresji przerwała sekretarka, informując, że na korytarzu czeka jakiś człowiek.

– Nie ma nazwiska? – warknął Jurij.

– Odmówił jego podania – odrzekła.

– Odeślij go do diabła!

– Niech pan się zastanowi – nalegała. – Twierdzi, że wie coś o ostatniej fali morderstw.

– Nikt nic nie wie – mruknął Jurij. – No dobrze, dawaj go tu.

Mężczyzna wszedł do gabinetu i usiadł w fotelu naprzeciw biurka Jurija. Żadnych uścisków dłoni, żadnych uprzejmości.

Michał przypatrywał się Jurijowi uważnym wzrokiem. Ciemne, krótko



przycięte włosy, okulary bez oprawki. Facet wyglądał na skutecznego, przepelnionego energią, której nie umiał kontrolować.

Bez przerwy wiercił się w fotelu, co jakiś czas obracając obręczkę ślubną na chudym palcu.

Jurij był w końcu u siebie. Niech go szlag, jeśli pozwoli, aby ktoś mu się bezkarnie przypatrywał. Odwzajemnił przenikliwe, intensywne spojrzenie Michaiła. Im dłużej patrzył, tym mniej wiedział. Gość był przeciętnego wzrostu. Anonimowy mężczyzna około pięćdziesiątki. Twarda, ogorzała twarz, ubiór swobodny, bez znaków szczególnych.

Kiedy już się sobie przyjrzeni, Michaił przełamał pierwsze lody.

– Aleks Koniewicz powiedział, że jesteście starymi znajomymi.  
– Zrobiliśmy razem dużo interesów, brakuje mi go. Rywalizacja z Koniewiczem była pasjonującą zabawą. To wasz przyjaciel?

– Dobry przyjaciel.

Jurij nieco się rozluźnił.

– Gdzie teraz jest?

– W Ameryce. W Waszyngtonie.

Jurij klasnął w dłonie, nie kryjąc zadowolenia.

– Wiedziałem. Zawsze wiedziałem, że wszystkie te doniesienia o Brazylii i klinikach odwykowych to brednie. – Twarz Jurija posmutniała. – Szkoda, że ukradł forszę. Mimo to brakuje mi Aleksa.

– Naprawdę pan w to wierzy? Sądzi pan, że uciekł z pieniędzmi? – Rok temu była to najbardziej popularna zabawa w mieście. Quiz Aleksa. Gdzie są pieniądze? Gdzie jest Aleks? Ile faktycznie ukradł?

– Jasne – odrzekł, gniewnie kiwając głową. – Przecież tak podawały media.

– Interesująca historia, prawda? A jaka jest pańska teoria?

– Jestem wielkim fanem hipotezy, że to on świsnął forszę.

– Że facetowi odbiło, nazgarniał, ile się dało, i prysnął z kraju?

– Coś w tym rodzaju. Dla mnie ma to przypuszczalnie więcej sensu niż dla pana. Prawdę mówiąc, czasami mam ochotę zrobić dokładnie to samo.

– Posiadanie takiej forsy nie uszczęśliwia?

– Całą dobę człowiek ma na głowie tysiące ludzi. Sytuacja ciągłego

kryzysu, wszystko balansuje na krawędzi katastrofy. Albo wybuchu. – Przerwał na chwilę, obracając obręczkę. – Kim pan jest i czego chce?

– Nazywam się Michaił Boroski. Prowadziłem wiele prywatnych dochodzeń dla Aleksa. Nadal to robię.

– Co z tego? Aleks poprosił, aby pan do mnie zajrzał?

– Właśnie. – Michaił wyciągnął nogi i odchylił się do tyłu. – Kazał mi obserwować, co się dzieje. Dowiedzieć się, kto będzie następny. Najwyraźniej padło na pana.

Jurij lekko się wzdrygnął.

– Następny? Co to znaczy?

– Ano to, że jest pan w pierwszej fazie obróbki, której poddano Aleksa. Z jakiegoś powodu zajęli się panem ostrzej niż nim. Są znacznie bardziej nieostrożni. Nie jestem pewien dlaczego. To przypuszczalnie nadmierna pewność siebie.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Czy odwiedziło pana dwóch detektywów moskiewskiej milicji? – Michaił zadał to pytanie takim tonem, jakby znał odpowiedź.

– Tak, wczoraj.

– Grubas i chudzielec? – W rzeczywistości nie było to pytanie. Michaił obserwował z parkingu po drugiej stronie ulicy, jak para policjantów wchodziła do gmachu Central Enterprises.

Wolne skinienie głową.

– Wręczyli panu wizytówkę, wskazując osobę, która może powstrzymać falę przemocy?

Jurij próbował ukryć zdumienie, lecz okazało się to niemożliwe. Obcy mężczyzna wiedział zbyt wiele. Wizytówka, o której mowa, leżała w zasięgu jego ręki. Trzy minuty temu był bliski wykręcenia numeru i poproszenia o pomoc.

Przesunął wizytówkę po stole. Michaił pochylił się i studiował ją chwilę. Nieznane nazwisko, które nic mu nie mówiło. W sumie bez znaczenia. Wiedział, że gdyby zadał sobie trud sprawdzenia, kto się za nim kryje, czego nie miał zamiaru robić, odkryłby długą karierę w KGB i głęboki związek z Siergiejem Golicynem.

– Rzecz jasna, słyszał pan o koniu trojańskim? – spytał Michaił, popychając

wizytówkę w kierunku Jurija.

Ten ostrożnie skinął głową.

– Jasne, kto nie słyszał?

– To wasz koń trojański – powiedział Michaił, wskazując palcem wizytówkę. – Ci dwaj gliniarze są do cna skorumpowani. Posłano ich, aby otworzyli drzwi. Kiedy zadzwoni pan pod ten numer, wrogowie wejdą do pana firm.

– Postąpili tak z Alekssem?

Michaił skinął głową i przez dwadzieścia minut opowiadał o wszystkim, co przydarzyło się Koniewiczowi. Jak przygotowano plan, porwano go, torturowano i wrobiono w kradzież wszystkiego, co posiadał. Ponura opowieść. Aby ją potwierdzić, podał Jurijowi raporty z kostnicy potwierdzające śmierć pracowników Koniewicz Associates oraz zeznania przygotowane rok wcześniej przez Aleksa i przesłane faksem do wszystkich wyższych rangą urzędników z otoczenia Jelcyna.

Kiedy skończył, rozsiadł się wygodnie, pozwalając, aby Jurij zapoznał się z dowodami, dostrzegł podobieństwa i zdał sobie sprawę, że jest celem następnego ataku.

Na długo przed zakończeniem przeglądania materiałów Jurij wyraźnie posmutniał. Wydawał się zagubiony i przerażony. Zacisnął pięści i przez długą chwilę gapił się na wizytówkę.

– Co powinienem zrobić?

– Myślę, że ma pan dwie możliwości. Możliwość pierwsza, przetransferować za granicę tyle pieniędzy, ile pan zdoła, i uciec z kraju.

Po tym, czego Jurij właśnie się dowiedział, opcja pierwsza wydawała się prawie nie do odparcia. Chrzanić opcję numer dwa. Miał miliony w szwajcarskim banku, tyle forsy, że mógłby żyć długo i szczęśliwie. Oczywiście, był to tylko niewielki ułamek jego obecnej fortuny, lecz przynajmniej pozostałby przy życiu i mógłby wydać choć część forsy. Jego odrzutowiec stał w prywatnym hangarze na lotnisku z pełnymi zbiornikami paliwa, w każdej chwili gotowy do startu. Mógłby zjeść śniadanie w swoim przestronnym londyńskim apartamencie lub spożyć lunch w ulubionym kurorcie na Azorach. Wahanie nie trwało długo. Brytyjczycy byli zawsze bardzo uprzejmi i przyjaźni wobec zaможnych rosyjskich wygnańców, którzy wpadli na śniadanie i poprosili o azyl.

Michaił pozwolił mu cieszyć się chwilę odroczeniem egzekucji, zanim ostrzegł:

– Oczywiście, możliwość pierwsza nie jest tak idealna, jak może się początkowo wydawać.

– Czemu?

– Ci ludzie nadal usiłują zamordować Aleksa. Wysłali grupę zabójców, którzy deptają mu po piętach. Udało im się oszukać FBI, skłonić, aby deportowali Aleksa do Rosji, choć już dawno przestał im zagrażać. A jednak nie dali za wygraną. Nadal chcą go sprzątnąć.

– A możliwość numer dwa? – spytał Jurij bardzo szybko i bardzo poważnie.

– Może pan z nimi walczyć.

– Niech pan nie będzie śmieszny. Jestem biznesmenem. Nie wiem, z kim miałbym się zmierzyć. Nie wiem nawet, co to za ludzie.

Michaił wstał i zaczął się przechadzać przed biurkiem.

– Właśnie dlatego tu jestem. Wiem, kto za tym stoi. Wiem też, kiedy się spotykają i dokąd jadą. Dowiem się jeszcze więcej. To wpływowi, bardzo niebezpieczni ludzie. Bardzo skorumpowani. Stworzyli rozległy spisek dysponujący ogromnymi pieniędzmi, które z miesiąca na miesiąc stają się coraz większe.

– Pan chce mi dodać otuchy?

– Tak, jeśli posłucha pan uważnie. Skala prowadzonych operacji działa obecnie na ich niekorzyść. Wspomniałem też, że po porwaniu Aleksa stali się nadmiernie pewni siebie i niewiarygodnie lekkomyślni. Proszę pamiętać, że ich plan będzie skuteczny jedynie wówczas, gdy zostanie połączony z elementem całkowitego zaskoczenia. Muszą pozostać w cieniu, być całkowicie anonimowi.

– Co w takim razie powinienem zrobić?

– Na początek zapomnieć o nazwisku na wizytówce. Dam panu numer byłego kapitana milicji. To kompetentny, twardy gość, urodzony uliczny wojownik. Proszę zadzwonić do niego jutro z samego rana, zapłacić, ile zażąda, i nie spodziewać się rezultatów w ciągu jednej nocy. Proszę oczekiwać jeszcze kilku zabójstw i zamachów bombowych. Po upływie pewnego czasu mój przyjaciel znajdzie sposób, aby chronić pana i pracowników firmy. Jeśli będzie

potrzebował pieniędzy, proszę wystawić czek bez pytania. Nie chodzi o kilku dodatkowych ochroniarzy lub dodatkowe środki bezpieczeństwa. Aleks próbował pójść tą drogą i niech pan zobaczy, do czego go to doprowadziło. Mój znajomy będzie musiał przekupić kilku ludzi, przypuszczalnie nawet kupić sobie odrobinę pomocy ze strony innego syndykatu. Ogień trzeba zwalczać ogniem.

- A co pan będzie robił?
- Pozostanę w cieniu i będę miał na nich oko. W końcu mogę zwrócić się do pana z prośbą o pieniądze. Dużą sumę, lecz obiecuję, że będą to najlepiej zainwestowane pieniądze w pańskim życiu.
- Oczekuje pan, że pozostanę twardy.
- Z tego, co wiem, wynika, że może pan być twardy lub stać się trupem.

## 23.

We wtorek o dziewiątej rano Aleks został ponownie wywołany z celi i zaprowadzony do sali odwiedzin. Jelena już tam była. Podobnie jak on miała na sobie obszerny pomarańczowy kombinezon. Łańcuch łączył kajdanki na stopach, oplatał się wokół talii i łączył z kajdankami u rąk. W pierwszej chwili pomyślał, że śmiesznie wygląda. W drugiej, że nie jest to śmieszne, lecz oburzające. Jego żonę potraktowano jak seryjną morderczynię, choć ciążył na niej jedynie zarzut braku ważnej wizy.

Strażnicy wzięli się do niego w drugiej kolejności. Dwie minuty później on i Jelena stali obok siebie w paskudnych pomarańczowych kombinezonach, skuci identycznymi łańcuchami.

Wyprowadzili ich na zewnątrz i wsadzili do długiej, pozbawionej okien furgonetki. Strażnicy przymocowali łańcuchy do uchwytów w podłodze, zanim wyszli i zamknęli drzwi.

Koniewiczowie nie rozmawiali ze sobą od tamtej piątkowej nocy.

- Przepraszam... – zaczął Aleks.
- Nie wygłupiaj się. Nie zrobiłeś nic złego.

Próbował otrzeć oczy, lecz łańcuch był za krótki, więc musiał się schylić.

- Nic ci nie jest? – spytała Jelena.
- Nie.
- Nie martw się. Nie mogą odesłać nas do domu z takiego powodu – powiedziała.

– Myślę, że mogą zrobić, co zechcą. – Nie mieli wiele czasu. Aleks unikał jej spojrzenia, rozpaczliwie próbując wziąć się w garść. Cały weekend planował,

co powie. Ćwiczył w myślach słowa. Próbował różnych wersji tego samego tematu. Sądząc, że nie ma alternatywy, wybełkotał:

– Jeleno, chcę rozwodu.

Uznała to za żart i roześmiała się.

– Mówię poważnie. Powinniśmy się rozwieść.

– Zapomnij o tym.

– Mam zamiar poprosić MP, aby znalazł dobrego prawnika rozwodowego, który to załatwi. Jeśli żadna ze stron nie będzie wnosić sprzeciwu, powinno pójść gładko. Nie spieraj się ze mną. Już postanowiłem.

– Aleks, to głupie.

– Powiedziałem, nie spieraj się ze mną Jeleno. Używają cię jako zakładniczki, aby wyrzucić na mnie presję. Kiedy weźmiemy rozwód, zapomną o tobie.

– Poznałeś kogoś w pierdlu? Jakiegoś faceta? Wiesz, do twarzy ci w tym pomarańczowym wdzianku. Nie dam się splawić z powodu jakiś weekendowej przygody. – Zaśmiała się ponownie.

– Cholera, ja...

– Zamknij się, Aleks. Po prostu się zamknij. – Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Furgonetka ruszyła. Kołysali się w milczeniu kilka sekund, które ciągnęły się w nieskończoność. – Nigdy więcej do tego nie wrócimy – powiedziała, nie otwierając oczu. – Mówię poważnie. Kocham cię, lecz zabiję, jeśli choć raz wspomnisz o rozwodzie. Przecierpimy to razem. Nie obchodzi mnie, co się stanie, dopóki będziemy razem. Kiwnij głową, jeśli zrozumiałeś. A może mam cię zabić od razu?

Aleks pochylił się do przodu, nie patrząc na nią. Milczenie nieznośnie się przeciągało.

– Tobie też dobrze w pomarańczowym – rzucił w końcu.

– Popatrz na moją nową biżuterię. – Potrząsnęła łańcuchem. Pochylili się ku sobie i pocałowali. Ponury żart, lecz żadne nie było w nastroju do radosnych dowcipów.

– Myślę, że mogą cię zwolnić za kaucją.

– Mnie? A co z tobą?

– MP nie daje większej nadziei. Jestem podobnego zdania. W obecnych

okolicznościach więzienie może być dla mnie najbezpieczniejszym miejscem. Czy tamtego wieczoru widziałaś jakąś znajomą twarz wśród reporterów?

– Tej jasnowłosej suki z Budapesztu?

Zostało im jeszcze kilka minut. Musiał omówić wiele spraw, więc zaczął szybko:

– Będziesz musiała się ukrywać. Sprzedasz mieszkanie – powiedział. – Wiem, że je lubiłaś. Przykro mi. Będziemy potrzebowali pieniędzy, aby przeżyć.

– Nienawidzę tego mieszkania. Chętnie się go pozbędę. Po czterech dniach w ciasnej celi nagle polubiłam szeroką, otwartą przestrzeń.

– Zażądaj niskiej ceny i szybko się go pozbądź. Następnie wynajmij coś taniego. Mieszkanie dostępne od zaraz. Przyda się jak najwięcej forsy. Honoraria moich prawników będą przypuszczalnie horrendalne.

– A Orangutan Media? Nie możemy zwrócić się do nich o pomoc?

– Orangutan Media to historia. Mam nowy pomysł. Lepszy od Orangutan Media. Myślałem o tym od jakiegoś czasu.

Furgonetka zaczęła zwalniać. Aleks zaczął mówić jeszcze szybciej, przedstawiając główny zarys swojego pomysłu. Zdobędzie fortunę, jeśli naładujecie wszystko przeprowadzi.

\* \* \*

Furgonetka wjechała do podziemnego garażu pod gmachem INS. Aleksa i Jelenę rozłączono i zawieziono na górę osobnymi windami, a następnie osadzono w oddzielnych celach i pozostawiono, aby mogli pobyc trochę sam na sam ze swoimi zmartwieniami.

Pół godziny później zjawił się strażnik, otworzył celę i poprowadził Aleksa szeregiem długich, słabo oświetlonych korytarzy do małej sali sądowej. Jelena już tam była. Siedziała przy stole obok MP. Ich prawnik odwrócił się plecami do Jeleny, prowadząc rozmowę z atrakcyjną, starszą, smagłą kobietą siedzącą przy stole dla oskarżycieli. Na prawo od wspomnianej pani przycupnął znacznie młodszy mężczyzna w czarnym garniturze, rozglądający się nerwowo wokół siebie.

Aleks usiadł obok MP, który szybko wskazał na niego i powiedział pani prokurator:



– Kim Parrish, chciałbym, aby poznała pani mojego klienta, Aleksa Koniewicza.

Aleks wyciągnął rękę, patrząc jej prosto w oczy.

– Jestem rad, że mogę panią poznać.

Sala była mała. Dzielił ich od siebie nie więcej niż jeden metr. Skinęła głową, lecz cofnęła się, nic nie mówiąc i rozmyślnie unikając jego dłoni. No dalej, pomyślał MP, przyjrzyj się człowiekowi, którego chcesz oskarżać. Będziesz odpowiedzialna za to, że wyląduje w trumnie. Jest młody i przystojny, a jego żona młoda i piękna. Mają przed sobą całe życie, ale nie przejmuj się, zduś w sobie głos sumienia. Doprowadź do ich śmierci.

Kim Parrish wiedziała, co knuje MP. Po długiej niezręcznej chwili nagle wbiła wzrok w czysty notatnik leżący na stole.

Sędzia wkroczył na salę bocznymi drzwiami. Żadnych typowych elementów amerykańskiej procedury sądowej, które Aleks znał z telewizji. Żadnego ogłoszenia początku rozprawy i powstania z miejsc. Żadnych długich mów lub przedstawienia prawników obu stron. Najwyraźniej sprawy imigracyjne były mniej sformalizowane.

Obradom przewodniczył sędzia John Everston IV. Facet dłuższą chwilę przyglądał się sali, aby sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak sobie życzy. Nie był przystojny, nie miał imponującego wyglądu, nawet nie przypominał sędziego. Miał pociągłą, obwisłą twarz, a grube, łukowato wygięte brwi nadawały mu surowy wygląd. Rzadkie siwe włosy i małe zaczerwienione oczy ukrywał za dwuogniskowymi soczewkami.

John Everston zaczynał karierę trzydzieści lat temu jako prokurator imigracyjny. Był dobrym, dokładnym i pracowitym prawnikiem, którego w końcu nagrodzono stanowiskiem sędziego. Wywodził się z długiej linii dobrze ustosunkowanych arystokratów z południowej Wirginii. Wbrew powszechnym wyobrażeniom gardził robotą polegającą na wyrzucaniu imigrantów i niemal zawsze wstydził się występować publicznie. Staranie ukrywał miękkie podbrzusze przed nieszczęśnikami, którzy uciekli do Ameryki z tysiąca różnych powodów i nagle odkryli, że mogą zostać wykopani z tego raj. Jeśli zostawiało się ich w spokoju, zwykle okazywali się szanowanymi obywatelami. Prawo zmuszało go do rozdzielania rodzin i deportowania uczciwych ludzi do krajów, w

których byli skazani na beznadziejną egzystencję, a czasami na pewną śmierć. Trzydzieści lat praktykowania prawa po obu stronach ławy sędziowskiej spowodowało, że z umiarkowanego liberała stał się zażartym liberałem.

Jak każdy liberalny sędzia w tym kraju – a właściwie każdy sędzia, który jego zdaniem miał choć odrobinę szarych komórek – John Everston gardził Johnem Tromble'em i uważał panią prokurator generalną za zdiurę, bo nie powiadomiła go wcześniej o sprawie. Spojrzał na sekretarza sądowego, zastępcę szeryfa i prawników obu stron usadzonych przy oddzielnych stołach oraz młode małżeństwo kulące się żałośnie w paskudnych więziennych pomarańczowych kombinezonach. W końcu jego wzrok spoczął na małej grupce z tyłu sali, w ciasnej części przeznaczony dla publiczności. Dostrzegł paru sympatycznych mężczyzn w eleganckich garniturach i młodą damę ubraną zdecydowanie bardziej swobodnie, w postrzępione dzinsy, rozerwaną koszulkę i plastikowe japonki.

Sędzia wyciągnął długi paluch w ich stronę i oznajmił:

– Rzadko mam gości na tej sali. Zanim wyrażę zgodę, zawsze staram się poznać ich osobiście. Pani wygląda mi na reporterkę – powiedział do młodej damy. Sądząc po ubiorze, nie mogło być inaczej. Dzinsy i rozdarta koszulka! John Everston traktował z pogardą prawników tylko za to, że mieli źle dobrany krawat.

Sally, stenotypistka, i Harry, woźny sądowy, wymienili zaintrygowane spojrzenia. Sędzia John Everston nigdy nie zapraszał gości, a ci rzadko pojawiali się na sali sądowej. Teraz prowadził w najlepsze rozmowę z jednym z nich.

– Tak – potwierdziła z dumą młoda dama.

– Dla jakiej gazety pani pracuje?

– „New York Timesa”. – Everston zbeształby ją publicznie za niestosowane ubranie, lecz „New York Times” było pismem tak wiarygodnym i fanatycznie liberalnym, że równie dobrze mogłaby przyjść nago.

– Ma pani szczęście – zawyrokował, przesuwając wzrok w lewo. – A pannie? – spytał, wskazując facetów kościstym palcem.

– FBI – odparł starszy, najwyraźniej zakłopotany nieoczekiwanym zainteresowaniem sędziego.

Everston odchylił głowę do tyłu i zmrużył oczy za grubymi soczewkami.

- Czemu zawdzięczam rzadką przyjemność goszczenia podwładnych pana Tromble'a?
- Przysłano nas, abyśmy... obserwowali rozprawę – odparł zapytany.
- Obserwowali?
- No... – Agent zamrugał. Co prawda ukończył prawo, lecz zaraz po szkole podjął pracę w FBI. Choć kilka razy zeznawał w sądzie w charakterze świadka, nigdy nie miał okazji zwracać się bezpośrednio do sędziego przewodniczącego obradom. – Wysoki Sądzie, interesuje nas... to jest... FBI interesuje... werdykt, który zapadnie w tej sprawie – podjął próbę wyjaśnienia.
- Interesuje was... rozumiem. Czy mogę spytać, co konkretnie wzbudza wasze zainteresowanie, agencie...
- Agent specjalny Wilson. Chodzi o...
- Proszę o wyjaśnienie, agencie Wilson. To mała sala. Muszę wyznać, że umieram z ciekawości. Od dziesięciu lat przewodniczę obradom, lecz nie sądzę, abym kiedykolwiek zdołał dostarczyć rozrywki pracownikom waszego biura. Ciekaw jestem, co powoduje, że dzisiejsza sprawa jest tak szczególna.
- Było oczywiste, że sędzia nie jest przesadnie uradowany ich obecnością. Oczy wszystkich zebranych na małej sali zwróciły się na agenta Wilsona, który poczuł rozpaczliwe pragnienie wczolganania się pod krzesło.
- Wysoki Sądzie, oskarżony jest poszukiwany za popełnienie poważnych przestępstw na terenie Rosji. Przestępstw, które są przedmiotem naszej uwagi...
- Sędzia wysunął długi palec niczym lufę pistoletu.
- Na tej sali nie jest o nic oskarżony, agencie Wilson. To nie jest proces kryminalny. Nie chcę, aby wpływał pan na moją bezstronność, usiłując wywołać błędne wrażenie. Pan Koniewicz stanął przed sądem jako osoba, której zarzuca się brak ważnej wizy.
- Tak, rozumiem...
- Czy oskarżony został skazany za przestępstwa kryminalne popełnione w naszym kraju?
- No... nie. – Wilson przerwał na chwilę. – Do tej pory nie udało się nam nic takiego ustalić – odpowiedział, dając do zrozumienia, że Koniewicz musi mieć coś na sumieniu. Uśmiechnął się z wyraźną dumą, że tak zgrabnie udało mu się odzyskać grunt pod nogami.

– Rozumiem. Nie jestem uprawniony ani nie interesuje mnie rozpatrywanie przestępstw, które mogły zostać popełnione na terytorium innego państwa. Jeśli posiadana wiedza prawnicza mnie nie myli, także kompetencje waszego biura kończą się na granicy morskiej naszego kraju – rzekł, opuszczając głowę.

– Miałem na myśli...

– Nie interesuje mnie, co miał pan na myśli. Obchodzą mnie jedynie pańskie słowa. A szczególnie precyzyjna terminologia prawnicza. Jestem pewny, że uczą was tego w Akademii FBI.

Wilson milcząco przeklinał Hanrahana za to, że polecił mu uczestniczyć w rozprawie.

Sędzia uniósł grube akta.

– Przejrzałem materiał dowodowy. Są tu wszystkie wasze zeznania. Siedmiu agentów INS i pańskie, agencie Wilson. Ośmiu osób. Ośmiu! Ośmiu osób uczestniczących w zatrzymaniu tego młodego, przerażonego małżeństwa. Nie wyglądają na szczególnie niebezpiecznych. O ile rozumiem, nie postawiono im żadnych poważniejszych zarzutów, a jedynie brak ważnej wizy. Czy coś przeoczyłem? Proszę mi powiedzieć, agencie Wilson, czy przemycili walizką bombę atomową? Czy popełnili zbiorowe morderstwo lub zbiegli z obozu w Bośni, w którym dopuszczano się odrażających gwałtów? Chyba tak. Proszę mi wyjaśnić, czy czegoś nie zrozumiałem?

Wszystko doskonale rozumiesz, pomyślał ponuro Wilson. Wszystko co do joty, ty stary capie. Naprężył plecy, z trudem patrząc na sędziego. Choć bez zmrużenia oka stawał przed mafijnymi zbirami, porywaczami i handlarzami narkotyków, wyraźnie lękał się Everstona.

– Przyszedłem na rozprawę, bo otrzymałem takie polecenie, Wysoki Sądzie.

– Kto je wydał?

– Wolałbym nie udzielać odpowiedzi na to pytanie.

– Wolałby pan nie udzielać odpowiedzi?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia oparł łokcie na ławie, podpierając na dłoniach ostro zarysowany podbródek.

– Czy zagrożone jest nasze bezpieczeństwo narodowe?

- Tak...
- Tak? – Małe oczka Everstona przewiercały Wilsona na wylot.
- No, nie...
- Proszę się precyzyjnie wyrażać, agencie Wilson. Tak czy nie?
- Nie... nie.

– Rozumiem. – Sędzia chwilę obracał długopis w palcach. W tym czasie Wilson rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę drzwi. Napiął mięśnie nóg, gotów w każdej chwili zerwać się z miejsca i uciec. Drzwi były w odległości zaledwie trzech metrów od niego. Z pewnością zdoła wybiec i dopaść samochodu, zanim sędzia zada kolejne pytanie.

Everston zdjął okulary i wychylił się jeszcze bardziej do przodu.

– Pozwólcie, że coś panu wyjaśnię, agencie Wilson. Proszę uważnie wysłuchać tego, co powiem, i powtórzyć tym, których nazwisk nie chce pan wymieniać na tej sali. Idzie o wolność i godność dwojga ludzi, którzy są gośćmi tego kraju. Skoro są naszymi gośćmi, chodzi także o reputację naszego wielkiego narodu. Jeśli dopatrzę się choćby najmniejszego śladu nieetycznych zachowań, spełnię wasze życzenie i nigdy więcej nie usłyszycie o panu i pani Koniewicz. Uważnie śledziłem medialne doniesienia z ostatniego weekendu i szczerze mówiąc, jestem głęboko zaniepokojony. Żywię głęboką nadzieję, że nikt na tej sali nie próbował upokorzyć tych nieszczęsnych ludzi lub wyrzucić na nich nacisku. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Nie żartuję, agencie Wilson. – Publiczna egzekucja dobiegła końca. Wilson wyglądał jak zбитy pies. Sędzia spojrział na MP. – Panie Jones, proszę zaczynać.

Sala odbiła echem głośne westchnienie ulgi Wilsona.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – odparł spokojnie MP, nie wstając. – Ubolewam, że marnujemy czas Wysokiego Sądu z powodu tak błahej, absurdalnej sprawy. Idzie o to, czy wizy moich klientów są ważne – oznajmił, wykonując teatralny gest i uderzając prawą dłonią w plik dokumentów spoczywających na stole obrony. – Mam tu wszystkie wymagane dokumenty, aby potwierdzić, że wspomniane wizy są aktualne. Oprócz nich zabrałem dokumentację, z której wynika, że poprosili i uzyskali jednomyślną zgodę na przyznanie prawa stałego

pobytu w Stanach Zjednoczonych. Wnoszę o niezwłoczne oddalenie zarzutów i uwolnienie moich klientów. Kim Parrish nieoczekiwanie wstała.

– Wysoki Sądzie, chcielibyśmy zmienić zarzuty.

Sędzia spojrział w sufit.

– Panno Parrish, czy słyszała pani, co przed chwilą poradziłem agentowi Wilsonowi?

– Słyszałam każde słowo.

– Czy rozumie pani, że moja rada odnosi się także do niej?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– W takim razie proszę kontynuować.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Udało się nam ustalić, że Koniewiczowie posiadają ważne wizy.

– Sądzę, że ten banalny fakt można było ustalić przed ich aresztowaniem.

– Jestem podobnego zdania, Wysoki Sądzie. – Spojrzała pogardliwie na młodszego kolegę siedzącego przy stole, jakby to on był winien głupiej pomyłce. Najwyraźniej odgrywał rolę kozła ofiarnego w tej farsie. Gość skulił się w sobie, ukrywając twarz przed jej gniewnym spojrzeniem. – Godne ubolewania przeoczenie. Zwykła administracyjna pomyłka. Dopiero wczoraj zdołaliśmy to potwierdzić.

– Czy powiadomiła pani o zmianie zarzutów pana Jonesa, który, bądź co bądź, reprezentuje oskarżonych?

MP uznał, że to idealna chwila, aby pomóc koleżance wybrnąć z trudnego położenia.

– Nie, Wysoki Sądzie. Słyszę o tym pierwszy raz. Jestem zdumiony i zaszokowany. Panna Parrish wie, że jestem przygotowany wyłącznie do odparcia zgłoszonych wcześniej zarzutów.

MP wyglądał na tak smutnego i zniesmaczonego, że nie można było nie odczuwać do niego całego ogromu współczucia.

– Co pani na to, panno Parrish?

– Próbowałam skontaktować się z panem Jonesem.

– Doprawdy?

– Tak.

– W jaki sposób?

- Telefonicznie.
- Raz? Dwa? Ile razy pani dzwoniła?
- Podejmowałam wiele prób, w dobrej wierze. Nie przypominam sobie numeru. Niestety, w jego kancelarii nikogo nie było.
- Czy ma pan automatyczną sekretarkę, panie Jones?
- Tak.
- Czy po godzinach urzędowania jest włączona?
- Tak, zawsze.
- Chce pani coś dodać, panno Parrish?
- Pewnie dzwoniłam pod niewłaściwy numer.
- To wszystko tłumaczy.

Chociaż było jasne, że kłamie, brnęła dalej.

- Stawiamy państwu Koniewicz zarzut oszustwa podczas procedury ubiegania się o azyl.
- Czy także ten zarzut ulegnie zmianie za kilka minut?
- Nie. – Parrish wyraźnie się rozgrzała i jak przystało na dobrego prawnika, sprawnie przystąpiła do rzeczy.

Aleks czuł się zagubiony. Oskarżenia i riposty padały niczym gromy, a angielski nie był jego ojczystym językiem. Pytania i odpowiedzi następowały tak szybko, że nie miał czasu odetchnąć ani się zastanowić. Nie przeoczono ani słowa, ani jednego westchnienia, ani chwili wahania. Trzech pierwszorzędných prawników toczyło ze sobą ostrą grę, w której stawką było jego życie.

Sędzia zdjął okulary i przetarł oczy.

- Sąd pierwszy raz słyszy nowe oskarżenie. Czy prokurator mógłby nam łaskawie przedstawić nieco więcej szczegółów?
- Przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych pan Koniewicz był zamieszany w działalność przestępczą na terenie Rosji. Naszemu urzędowi imigracyjnemu przedstawił się jako ofiara prześladowań politycznych. Sfabrykował fałszywe dowody, aby potwierdzić swój status. Co więcej, jako miejsce stałego zatrudnienia podał fikcyjną firmę, która okazała się przykrywką dla działalności przestępczej, między innymi prania brudnych pieniędzy. Z powodu sprzecznej z prawem działalności wnosimy o niezwłoczne deportowanie pana i pani Koniewicz do Rosji.

– Co pan na to, panie Jones?  
– Nie jestem przygotowany do odparcia tak niedorzecznych zarzutów. Są wyraźnie absurdalne i jestem pewien, że bez trudu je obalimy.

- Kiedy będzie pan gotów?
- Potrzebuję co najmniej dwóch tygodni.
- Odraczam rozprawę o dwa tygodnie.

Ponieważ to ogłoszenie kończyło obrady, sędzia zaczął się podnosić.

- Wysoki Sądzie, proszę o rozpatrzenie jeszcze jednej sprawy.

Sędzia ponownie opadł na fotel.

– Wnoszę o natychmiastowe zwolnienie moich klientów. Oskarżenia, które doprowadziły do ich zatrzymania, zostały uchylone. Nie powinni przebywać w areszcie z powodu tego, co moja koleżanka uznała za poważne uchybienie ze strony jej urzędu.

- Co pani na to, panno Parrish?

– Nie nazwałam tego, co się stało, poważnym uchybieniem. To niedopuszczalne przekręcenie moich słów.

- Proszę mi przypomnieć, jakiego określenia pani użyła.

– To zwykłe biurokratyczne niedopatrzenie. Nieszczelne granice tego kraju co roku przekraczają dwa miliony legalnych i nielegalnych imigrantów. Chociaż nasi ludzie ciężko pracują... – przerwała, patrząc ponownie na swojego nieszczęsnego kolegę – czasami zawieruszy się jakiś dokument.

Sędziowskie łokcie ponownie wylądowały na ławie.

– Panno Parrish, podziwiam pani szlachetne wysiłki zmierzające do obrody reputacji jej urzędu.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

– To godne podziwu i wzruszające. Przypominam, że przepracowałem w INS piętnaście długich lat. Nie chcę więcej słyszeć takich bredni na tej sali. Nie mam wątpliwości, że chodzi o poważne zaniedbanie. To, że INS jest przeciążone pracą i nie ma dostatecznej liczby ludzi, nie jest usprawiedliwieniem ani nie tłumaczy tego, co się dzisiaj stało. Czy zgadza się pani na zwolnienie za kaucją?

Zamrugła.

- Zdecydowanie się temu sprzeciwiamy, Wysoki Sądzie.
- Na jakiej podstawie?



– Rosyjski prokurator generalny twierdzi, że pan Koniewicz zdefraudował wiele milionów dolarów należących do inwestorów jego banku. Wyjechał z kolejnymi milionami ukradzionymi rosyjskim obywatelom. Ucieknie z naszego kraju, podobnie jak uciekł z Rosji. Ryzyko ucieczki oskarżonego przed wymiarem sprawiedliwości jest ogromne.

– Panie Jones?

MP spojrział przeciągle na swój notatnik. Zdawał sobie sprawę, że Aleks nie ma żadnych szans. Wiedział też, że nie należy irytować sędziego i ryzykować utraty jego sympatii przekonywaniem, że jest inaczej. Aleks zachowywał się tak, jakby to rozumiał. Skinął głową w kierunku Jeleny.

– Panie Jones? – powtórzył sędzia nieco głośniej.

– Sprawa zostanie rozpatrzona za dwa tygodnie. Pani Koniewicz nie postawiono żadnych zarzutów.

Everston najwyraźniej zmęczył się mówieniem, bo spojrział milcząco na Kim Parrish.

– Strona rządowa wolałaby, aby także ona pozostała w areszcie.

– Nie obchodzą mnie upodobania rządu, panno Parrish. Wolałbym poznać uzasadnienie odmowy uchylenia aresztu.

– Pani Koniewicz może uciec przed wymiarem sprawiedliwości.

– Zostawiając męża w więzieniu?

– To możliwe.

– Proszę o lepszy argument, panno Parrish.

– Brała udział w oszustwie męża. Zeznawała podczas przesłuchania, potwierdziła jego kłamstwa i była jego współniczką.

Everston wychylił się i spojrział w stronę stenotypistki, która była także jego sekretarką.

– Co robiłem w ostatnią niedzielę, Sally?

– Grał pan w golfa, Wysoki Sądzie.

– Naprawdę?

– O dziesiątej rano, jak zawsze, rozegrał pan partyjkę w Washington Golf and Country.

– Gdybyś spytała o to panią Everston, jaką odpowiedź byś usłyszała?

Sally zapłonęła rumieńcem i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Odpowiedziałyby, że był pan na zebraniu rady szkoły naszego hrabstwa.
- Czy zasiadam w radzie szkoły hrabstwa?
- Nie, Wysoki Sądzie. O ile pamiętam, nie należy pan do niej od pięciu lat. Co drugą niedzielę powołuje się pan na to samo alibi.

Sędzia Everston spojrział na Kim Parrish.

- Pani Everston i ja jesteśmy ze sobą od trzydziestu dwóch lat. Sądzi pani, że wie o tym?

– Nie mam pojęcia, nie jestem zamężna.

– Proszę pozwolić, że wyjawię pani pewien sekret. Małżonkowie, panno Parrish, nie wiedzą wszystkiego o działaniach partnera. Może mi pani wierzyć lub nie, lecz wielu oszukuje się wzajemnie, ukrywa pieniądze, niekiedy mają nawet innych partnerów. Choć może pani tego pragnąć, prawo obowiązujące w tym kraju nie obarcza automatycznie winą obojga małżonków. Nie jestem odpowiedzialny za szpetne narzuty, które szyje moja żona, by obdarować nimi biedne dzieci w święta Bożego Narodzenia. Moja małżonka z pewnością nie odpowiada za to, że trzy niedziele temu ukradkiem podrzuciłem piłkę golfową do dołka, oszukując kolegów i zmuszając do postawienia mi lunchu.

– Podrzucenie piłeczki golfowej to nie to samo co kradzież wielu milionów dolarów. Nie zgadzam się z tą analogią, Wysoki Sądzie.

– Doprawdy?

– Całkowicie.

– Wyznaczam kaucję pięciu tysięcy dolarów.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Odrzucony.

Zanim wyprowadzono Aleksa, Jelena uściśniła mu dłoń, lecz zamiast powiedzieć, kocham cię, wyszeptała:

– Interaktywne wideo?

– Tak, i skontaktuj się z Michaiłem – rzekł półgłosem, zanim wyprowadzono go z sali.

## 24.

Na blacie walały się resztki lunchu spożytego w godzinach pracy. Sekretarki miały je sprzątnąć po zakończeniu przeciągającej się w nieskończoność narady. Laura Tingleman prowadziła odprawę, siedząc na końcu długiego lśniącego stołu.

W piątkowy rano zgromadzili się przy nim czołowi urzędnicy Departamentu Sprawiedliwości. Co piątek odbywał się tutaj „spęd tygodnia”, nazywany tak dla uczczenia młodości Tingleman spędzonej w Montanie. Oczywiście, jako dziewczyna z miasta, Laura Tingleman miała trudności z odróżnieniem krowiego zadu od łba.

Dyrektor wydziału praw obywatelskich przedstawiał właśnie długi, zawity raport na temat sprawy wytoczonej przez indiańskie plemię, o którym nie słyszał nikt z obecnych na sali. Plemię domagało się prawa do pozwania każdego, kto użyje słowa „Indianin”, w dowolnej formie lub pod postacią znaku graficznego, na swoich produktach, w nazwie zespołu sportowego, szkoły lub innej instytucji i tak dalej.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat sprawa wędrowała po sądach niższej instancji. Zwycięstwo tu, udana apelacja tam. Obecnie tylko krok dzielił ją od znalezienia się na wokandzie Sądu Najwyższego. Zajmowało się nią dziesięciu prawników zatrudnionych na pełny etat, jeżdżących po kraju za każdym razem, gdy zmiana ulegała jurysdykcja. Plemię, o którym mowa, było bardzo małe. Składało się z męża i żony, osobliwej koczońniczej pary, która utrzymywała, że żyje zgodnie z tradycją przodków nomadów i nie może dłużej usiedzieć w

jednym miejscu. Twierdzili, że podążają śladem stad bizonów lub szarańczy, za ledwie wyczuwalną zmianą kierunku wiatru. Każda przeprowadzka dostarczała nowej wymówki. Co dziwne, małżonkowie zmieniali miejsce pobytu zawsze, gdy przegrali apelację lub chcieli przenieść sprawę do innego, bardziej liberalnego sądu. Stanowczo utrzymywali, że stare prawo ich ludu stoi wyżej od stosunkowo nowego prawa białego człowieka. Zdarzało się, że jakiś sędzia z ptasim mózdzkiem rozstrzygał na ich korzyść. Zdołali uzyskać prawną zgodę na nieograniczoną zmianę miejsca rozpraw i powodów apelacji.

Małżonkowie nosili niegdyś nazwisko Antonelli, zanim zgodnie z prawem zmienili je na Wodza i Panią Spoglądającą na Księżyc. Na marginesie dodam, że byli absolwentami szkoły prawniczej Yale.

Dyrektor wydziału praw obywatelskich i zastępca prokuratora generalnego podrzucali sobie tę sprawę. Wydział praw obywatelskich chciał podsunąć gorącego ziemniaka zastępcy prokurator generalnej, twierdząc, że jego gmach znajduje się w odległości splunięcia od budynku Sądu Najwyższego. Sąd jeszcze nie rozstrzygnął, czy sprawa należy do jego kompetencji, odparł zastępca prokurator generalnej, wydymając wargi. Fakt, lecz dyrektor wydziału praw obywatelskich chciał dać chwilę wytchnienia swoim dziesięciu prawnikom. Oprócz tego, gdyby małżonkowie uzyskali pomyślny werdykt, zaczęliby siać spustoszenie w majestacie prawa, domagając się miliardów dolarów odszkodowania od szkół i firm obojętnych na krzywdy wyrządzane Indianom. Koszty byłyby ogromne, a reakcja pozwanych równie gwałtowna.

Na dodatek Biały Dom naciskał, aby przeciągać sprawę. Prezydent współczuł losowi rdzennych Amerykanów i pragnął zadośćuczynić im za trzysta lat prześladowań – biali ludzie podzielili się z nimi swymi straszliwymi chorobami, ukradli ich ziemię i zdziesiątkowali dumne plemiona – czyli krótko mówiąc, potrzebował ich głosów.

W tej grze nie było wygranych.

Laura Tingleman jak zwykle odsunęła decyzję na później – niech rozwiąże się sama, ona nie będzie się w to mieszała. Szef kancelarii Laury uznał, że pora przejść do następnej sprawy, i uniósł wycinek z artykułem zamieszczonym kilka dni temu na łamach „New York Timesa”. Artykuł był poświęcony rosyjskiemu małżeństwu oskarżonemu o naruszenie prawa imigracyjnego. Zgodnie

z przewidywaniami materiał był tendencyjny i niezbyt pochlebny dla rządu. Reporterka „Timesa” podejrzanie faworyzowała adwokata oskarżonych, który kilkakrotnie użył słowa „wpakowani do pudła”.

– Czy ktoś wie, o co w tym wszystkim chodzi? – spytała Laura, patrząc na zebranych.

– Ja wiem, więc także powinnaś wiedzieć – odparł Tromble, pochylając się do przodu.

– Powinam?

– Oczywiście. Pamiętasz naszą podróż do Moskwy? To małżeństwo ukra-  
dło setki milionów dolarów i ukryło się w naszym kraju. Obiecaliśmy, że ode-  
ślemy ich do Rosji na proces.

– Coś sobie przypominam – przytaknęła Laura. Przez jej urząd przecho-  
dziło tyle spraw, że ledwie panowała nad sytuacją.

– Byłaś nieco zmęczona – odparł Tromble. – Dałaś słowo rosyjskiemu  
prokuratorowi generalnemu. Wykonuję polecenia.

– W jaki sposób sprawa przedostała się do gazet? – zapytała.

Na szczęście Tromble znał odpowiedź.

– To normalne gierki, nie ma się czym przejmować. Adwokat Koniewi-  
czów jest na przegranej pozycji. Wie o tym. Próbuje zjednać sobie media, za-  
skarbić sympatię. On i reporterka „Timesa” chodzili do tego samego college'u.  
Wyświadczyła mu przysługę.

Nikt nie zapytał, skąd to wie. Przecież i tak by nie odpowiedział. Skoro Ru-  
scy umieścili podsłuch w kancelarii prawnika, Tromble uznał umieszczenie  
własnych pluskiew za sprawę bezpieczeństwa narodowego. Pomyślał, że powi-  
nien wiedzieć tyle samo co oni.

– Czy mamy pewność wygranej? – spytał szef kancelarii Laury.

– Wszystko w rękach INS. – Tromble kłamał gładko i przekonująco. –  
Dyskretnie im pomagamy, jeśli o to poproszą. Proszę mi wierzyć, wygramy.

– Skąd ta pewność? – spytał asystent Tingleman.

Oczy wszystkich zebranych spoczęły na dyrektorze FBI. No właśnie, skąd?

Chociaż Departament Sprawiedliwości był rzekomo ponad bieżącymi poli-  
tycznymi awanturami, liberalna ekipa z Białego Domu obsadziła wyższe urzędy  
watahami zatwardziały, fanatycznych liberałów. W takim gronie Tromble

był wyrzutkiem. Samotnym gniewnym z innej bajki. Na pozór obecni na sali nim gardzili, lecz potajemnie niemal wszyscy byli przekonani, że idealnie pasuje na to miejsce – jest niezmordowanym, skutecznym, bezwzględny gościem od brudnej roboty, stojącym na czele oddziałów szturmowych w garniturach. Pod jego osłoną mogli spokojnie wygłaszać swoje nonsensy. W ciągu pierwszego roku jego urzędowania poziom przestępczości obniżył się do rekordowego poziomu dziewięciu procent.

Może gość faktycznie był nazistą, lecz także ich człowiekiem.

– Majątek tego Koniewicza – kontynuował Tromble – przed ucieczką z Rosji szacowano na setki milionów dolarów. Nikt o czystych rękach nie zbije tam fortuny. Powtarzam, nikt. Nie mam wątpliwości, że to oszust.

Słuchający skinęli głowami. Chociaż niewielu z nich odwiedziło Rosję, z zapartym tchem śledzili wiadomości i zdawali sobie sprawę z żalostnego pograżania się tego kraju w obłądnie oszustwa. Słyszeli o dzikich strzelaninach na ulicach Moskwy, o wzroście wpływu mafii i potężnych fortunach zbijanych przez garstkę sprytnych złodziei. System panujący w Rosji nie bez powodu określano mianem „mafiokracji”. Ten Koniewicz musiał być oszustem.

– Jest na pierwszym miejscu listy najbardziej poszukiwanych rosyjskich przestępców. Przypominam, że chodzi o Rosję, więc ten fakt mówi sam za siebie – ciągnął Tromble, zwracając się do potakujących mu ludzi. – Nie ma mowy, aby był niewinny. Rosyjscy przyjaciele utrzymują, że znalazł już sobie poparcie w naszym kraju.

Laura była uszczęśliwiona, że dla odmiany pojawiła się tak prosta i jednoznaczna sprawa.

– Jak mogę pomóc?

Jeden z jej doradców prawnych – o dziwo, kobieta – poruszyła się niespokojnie na krześle, spoglądając na Tromble'a siedzącego na drugim końcu długiego stołu. Po uważnym przestudiowaniu artykułu nie była pewna, czy sprawa jest przesądzona.

– Nie mamy umowy ekstradycyjnej z Rosją – oznajmiła.

– Jaką taktykę pani proponuje? – spytała szefowa.

– Amerykański sędzia będzie musiał zbadać zasadność rosyjskiego aktu oskarżenia.

– Czy trudno coś takiego przeprowadzić?  
– Robiliśmy to już wcześniej. Oczywiście, nigdy nie rozpatrywaliśmy w Stanach rosyjskiego aktu oskarżenia, choć często posługiwaliśmy się tą metodą. Na przykład, kiedy chcieliśmy, aby rząd Kolumbii wydał nam bossa któregoś z karteli narkotykowych, wysłaliśmy zespół prawników, aby urządzili małe przedstawienie przed kolumbijskim sędzią. Później bez protestów przekazywali nam więźnia.

– Potrzebujemy zespołu rosyjskich prokuratorów?

– Tak. Jeśli akt oskarżenia został właściwie umotywowany, przedstawia dowody prawnikom z INS, a nasi ludzie zajmą się resztą w sądzie. Rzecz jasna, wymaga to czasu.

– Dużo?

– Takie sprawy mogą się ciągnąć latami. Każda sprawa jest inna.

Tromble spojrział na wścibską babę wtykającą nos w jego sprawy.

– Za tydzień zarzuty zostaną ponownie rozpatrzone. Koniewicz nie ma nic na swoją obronę.

– A jeśli pan się myli? – zapytał szef kancelarii, nie dając za wygraną.

– Żaden rozsądny sędzia nie odważy się wydać werdyktu nie po naszej myśli.

– A jeśli trafimy na nierozsądnego?

– Zgoda. Skoro nalegacie, skontaktuję się z Rosjanami i sprowadzę tu ich prokuratorów – zgodził się Tromble. Oczywiście, jego ustępstwo było pozbawione znaczenia. Dyrektor FBI nie miał najmniejszych wątpliwości, że małżeństwo Koniewiczów znajdzie się w Moskwie na długo przedtem, zanim zespół rosyjskich prawników wyląduje w Waszyngtonie.

Spotkanie zakończyło się sprzeczką zastępcy prokuratora generalnego z dyrektorem wydziału praw obywatelskich. Panowie obrzucali się w kącie wyzwiskami, niemal się nie pobili, o to, kto ma się zajmować sprawą Wodza i Pani Spoglądającej na Księżyc.

\* \* \*

Gdy zadzwonił telefon, Tatiana była bardzo zajęta. Próbowwała go zignorować, lecz w końcu przewróciła się na drugi bok i przytknęła słuchawkę do ucha.

- Słucham! Kto mówi? – burknęła po rosyjsku.
- Proszę nie odkładać słuchawki, łączę rozmowę z dyrektorem FBI – poczuł ją po angielsku suchy kobiecy głos.

W chwilę później usłyszała Johna Tromble'a.

- Witaj, Tatiano. Słyszałaś najnowsze wiadomości o Koniewiczu? Głośny plusk wody po drugiej stronie oceanu?

– W jaki sposób zdobyłeś mój numer telefonu? – spytała, nie kryjąc irytacji.

– Kiedy nie mogłem skontaktować się z tobą w biurze, namierzyli go moi chłopcy z ambasady.

– Rozumiem. Tak, słyszałam, że wpakowaliście go do więzienia. Czemu nie odesłaliście go do nas?

– To skomplikowana sprawa. Nie jest to takie proste, jak sądziłem. Posłuchaj, musisz mi wyświadczyć wielką przysługę.

Zaczął wyjaśniać, że potrzebuje zespołu rosyjskich prokuratorów, a Tatiana słuchała w milczeniu.

– Czy to absolutnie konieczne? – spytała w końcu.

– Nie sądzę. Za tydzień ponownie stanie przed sądem. Nie ma sposobu, aby uniknąć ekstradycji. Z drugiej strony sędzia może się zachować jak obłąkany. Uznajmy to za dodatkowy środek ostrożności. Ubezpieczenie.

– Będziemy potrzebowali czasu, aby przygotować akt oskarżenia.

– Ile?

– Miesiąc, przypuszczalnie dwa. Może trochę dłużej.

– Sądziłem, że wszystko jest gotowe, aby pogrążyć go przed waszym sądem. W czym problem?

– Daj spokój, John. Akt oskarżenia został przygotowany dla rosyjskiego sądu, nie dla waszego. Macie inne przepisy dotyczące materiału dowodowego, będziemy musieli dopasować do nich nasze materiały. Oprócz tego są pewne dowody, których wolelibyśmy nie przedstawiać cudzoziemcom. Nie chcemy publicznie prać naszych brudów w czasie, gdy próbujemy przyciągnąć zagranicznych inwestorów. Trzeba będzie się uporać z takimi problemami.

– W porządku, rozumiem.

– Zatrzymacie go w więzieniu, prawda? Wielu wpływowych ludzi



sprzeciwia się utrzymywaniu placówki FBI przy waszej ambasadzie. Staram się, jak mogę, John, lecz to nie będzie łatwe. Nie pomoże mi w tym wyraźny brak wzajemnej współpracy.

Tromble próbował coś powiedzieć, lecz mu przerwała.

– Wczoraj prezydent Jelcyn spytał mnie o Koniewiczów – skłamała. – Bez przerwy pyta, czy nie powinien pomówić o tym z waszym prezydentem.

– Znajdziemy jakiś sposób. Jeśli będzie trzeba, przekupię sędziego lub zabiję jego żonę. Znajdę sposób.

– Zrób wszystko, co konieczne, John. Wszystko. Powołamy zespół prokuratorów i wyślemy ich jak najszybciej.

Rozłączyli się. Tatiana przeciągnęła się i przekręciła na drugi bok, przywierając do muskularnego ramienia Saszy Kamieniewa, jej chłopca maskotki, gwiazdy rosyjskiego futbolu. Odsunął się od niej.

– Kto dzwonił? – spytał nadąsany. Nie znał angielskiego i nie zrozumiał ani słowa.

– Ten idiota, dyrektor FBI.

– Z nim też się pieprzysz? – prychnął Sasza. Ostatnio zaczęły go lekko irytować ponadprogramowe igraszki łóżkowe Tatiany. Nigdy wcześniej mu to nie przeszkadzało, lecz nieoczekiwanie stał się zaborczy, gdy kilka tygodni temu odkrył siwy włos na swojej skroni.

– Jesteś uroczy, gdy się złościsz. Chodź, weź mnie – zaproponowała ze śmiechem.

Sasza skrzyżował ramiona i zrobił nadąsaną minę.

– Nie żartuję. Mam dość dzielenia się tobą z innymi.

– Głuptasie, przecież widziałeś mojego szefa. Jest łysy i gruby. Zupełnie nieinteresujący. W łóżku jest tak nudny, że muszę się czasem uszczypnąć, aby nie zasnąć. Jest tak odrażający, że później mam mdłości. Robię to wyłącznie dla nas, Saszeńka.

– Powtarzasz to od lat.

– Bo to prawda. Posłuchaj, wkrótce zbijemy fortunę. Miliardy, wiele miliardów, Sasza. Mój udział będzie wart setki milionów. Gdy tylko je zdobędę, rzucę tego starego durnia i zrezygnuję z pracy. Kupimy wielki jacht i opłyniemy cały świat. Do końca życia nie zdołamy wydać forsy. Umrzemy szczęśliwi i bogaci.

Magnetofon w piwnicy zaterkotał i nagrał każde słowo.

\* \* \*

Limuzyna od godziny krążyła ulicami Moskwy. Jeździła bez celu, bez konkretnego kierunku, pożerając kilometry, dopóki spotkanie na tylnym siedzeniu nie dobiegło końca. Na koniec podwiozła Siergieja Golicyna do jego wielkiej rezydencji i przejechała na pełnym gazie przez miasto, do nieco mniejszego domostwa Anatolija Fiedorowa, prokuratora generalnego Rosji. Gdy wysiadł, odjechała z piskiem opon.

Wypróbowany aparat Michaiła wykonał dwa zdjęcia.

## 25.

Rozprawa rozpoczęła się punktualnie o dziesiątej. Jelena przyjechała sama i zaparkowała samochód w podziemnym garażu INS. Nie miała na sobie pomarańczowego kombinezonu więziennego, lecz skromną ciemnogrnatową sukienkę, która dobrze pasowała do jej typu urody, jasnych włosów i szczupłej figury. Usiadła obok Aleksa, który miał na sobie pomarańczowe wdzianko. Zaczęli szeptać i wymieniać notatki, czekając na rozpoczęcie przedstawienia. Tym razem pozwolono mu wziąć prysznic i ogolić się. Uczyniono to jednak dopiero w odpowiedzi na osobistą interwencję MP, który zagroził władzom więzienia głośnym procesem o pozbawienie jego klienta ludzkiej godności.

Kim Parrish spoczęła za stołem z tym samym młodym asystentem, który przysiadł niespokojnie z prawej strony. Z boku w kilku dużych pudłach piętrzyły się sterty dokumentów.

Kiedy weszli, MP powitał ją ciepłym, przyjacielskim pozdrowieniem, które spotkało się z kamienną obojętnością. Nie kryła, że jest na niego wściekła z powodu tego ohydneho, podłego, jednostronnego artykułu, który ukazał się w minionym tygodniu na łamach „Timesa”. Agent Wilson powiedział jej w zaufaniu, że MP poprosił o przysługę reporterkę i urządził publiczne widowisko. Z trudem przebywała z tym draniem w jednej sali.

Tak jak poprzednio, sędzia John Everston wszedł punktualnie bocznymi drzwiami. Ponownie uważnie zlustrował salę. Tym razem nie spostrzegł żadnych reporterów. Z satysfakcją odnotował, że nie było też żadnych chłoptasiów Tromble'a. Na miejscach dla publiczności nie dostrzegł nikogo z wyjątkiem pulchnego jegomościa w średnim wieku, o długich włosach, który głośno ciągnął

przez słomkę dietetyczną colę.

– A pan kto? – spytał Wysoki Sąd.

– Jestem pisarzem – wyjaśnił mężczyzna obojętnym tonem. – Piszę thriller prawniczy, w którym pojawiają się wątki imigracyjne. Przeczytałem wzmiankę o rozprawie w „Timesie”. Pomyślałem sobie, że zajrzę, aby zebrać trochę autentycznych szczegółów.

Facet był zaniedbany, zdezorganizowany i źle ubrany. Na wytartej niebieskiej marynarce widniały duże plamy po musztardzie. Bez przerwy wiercił się niespokojnie. Sędzia Everston nie miał żadnych wątpliwości, że to pisarz.

Kiedy nie wyprosił go z sali, pisarz szybko usadowił się na krześle. Wyciągnął notatnik z bocznej kieszeni i głośno otworzył długopis. W oprawkach jego okularów zainstalowano dwie miniaturowe kamery. W kieszeni na piersi znajdował się czuły mikrofon rejestrujący każde słowo, a w małym pokoju dwa piętra wyżej trzej agenci federalni skupili się przed ekranami wideo, z rozbiwaniem obserwując przedstawienie.

Wilson roześmiał się na cały głos, grzmotnął dłońmi o uda i wykrzyknął:

– I co, stary draniu, kto tym razem okazał się sprytniejszy?

Sędzia przeszedł do sedna sprawy z typową dla siebie skutecznością.

– Panie Jones, zakończyliśmy na pańskim stwierdzeniu, że pan potrzebuje dwóch tygodni na przygotowanie obrony. Jest pan gotów?

– Tak, Wysoki Sądzie. Ponieważ w prawie imigracyjnym nie ma wymogu ujawnienia naszego stanowiska, skorzystam z prawa do wysłuchania argumentów oskarżenia.

MP nawiązał do wymogu obowiązującego w procesach kryminalnych, nakazującego obrońcom i oskarżycielom wcześniejsze przedstawienie dowodów i świadków, których strony mają zamiar przesłuchać. W sądzie imigracyjnym nie było to konieczne. Zagrywka MP była starą sztuczką. Sędzia skinął głową.

– Panno Parrish, proszę przedstawić stanowisko oskarżenia – zwrócił się do prokuratoroki.

– Zaczę od tego, że pan Koniewicz okłamał komisję imigracyjną w sprawie miejsca swojego zatrudnienia – zaczęła rezolutnie.

Skinęła głową młodemu asystentowi, który miał do odegrania inną rolę oprócz potulnego kozła ofiarnego. Młodzieniec dobył stertę materiałów i położył je na ławie.

– Oto opatrzone przypisami kopie oświadczeń, które pan i pani Koniewicz złożyli przed komisją imigracyjną piętnastego kwietnia. Napisali w nich, że byli zatrudnieni w agencji reklamowej działającej na terenie Austrii. Wspomniana firma to Orangutan Media.

Sędzia Everston poślinił palce i zaczął głośno kartkować strony.

– Proszę kontynuować.

– Są tam również trzy dokumenty podpisane przez Anatolija Fiedorowa, prokuratora generalnego Rosji. Przedstawiono w nich wyniki śledztwa przeprowadzonego przez rosyjskich agentów federalnych, ujawniające rzeczywiste działania Orangutan Media...

MP przerwał jej szybko.

– Wysoki Sądzie, nie mieliśmy okazji zapoznać się z tymi dokumentami.

– Już pan to powiedział, panie Jones.

– To prawda, chciałem jednak przypomnieć Wysokiemu Sądowi, że mój klient przybył do Ameryki z powodu prześladowań politycznych. Przedłożone dokumenty dostarczył ten sam rząd, który chce jego śmierci.

– Sugeruje pan, że oświadczenia są nieprawdziwe?

– Nie widziałem ich.

– Cóż, zostały sporządzone w języku rosyjskim. Nie mogę ich odczytać. Przypuśćmy na chwilę, że panna Parrish mówi prawdę. Czy to uzasadnione przypuszczenie panno Parrish?

– Tak.

– Panie Jones? Czy prokurator generalny Rosji kłamie?

– Przypuszczalnie. W tym momencie wolałbym powstrzymać się od wydania osądu.

Panna Parrish uśmiechnęła się cierpko do MP. Jeszcze nie skończyła, a miała pewność, że nie spodoba mu się to, co za chwilę usłyszy. Jaka szkoda, że nie ma sali twojej zaprzyjaźnionej reporterki, aby mogła zobaczyć, jak zapiera ci dech w piersiach i krztusisz się. Jej chłoptaś na posyłki podsunął sędziemu kolejne dokumenty.

– Wysoki Sądzie, to złożone pod przysięgą zeznania pracowników Orangutan Media. Potwierdzają oni przestępczą działalność firmy. Proszę zwrócić uwagę na pierwsze oświadczenie.

– Mam je przed sobą. Cóż to takiego?

- Oświadczenie podpisane przez Ilję Mieczukowa.

MP nie słyszał wcześniej tego nazwiska, więc spojrzął na swojego klienta. Aleksowi szczęka opadła. Był wyraźnie zaszokowany. Masował czoło, nie kryjąc zdenerwowania.

MP pochylił się i skreślił krótkie pytanie do Aleksa.

- Któż to taki? – zapytał Wysoki Sąd.

– Pan Mieczukow był dyrektorem naczelnym Orangutan Media. Także ten dokument sporządzono po rosyjsku. Jest w nim mowa o tym, że firma zajmowała się praniem brudnych pieniędzy należących do znanego przestępczego syndykatu oraz że pan Koniewicz był osobiście zaangażowany w ten nikczemny proceder.

Aleks skreślił krótką notatkę dla MP. „Spytaj, czy FBI było przy tym obecne!”. Zdanie kończyło się dużym wykrzyknikiem. Sędzia przejrzał kilka następnych dokumentów.

- O czym mówią pozostałe oświadczenia?

– To zeznania innych pracowników. Wszyscy potwierdzają lub rozwijają zeznania Mieczukowa.

– W jaki sposób zebrano te materiały? – spytał z boku MP. Przerwała na krótką chwilę.

- Otrzymałam je od FBI.

- FBI to duża instytucja. Od kogo konkretnie?

- Nie sądzę, aby miało to jakieś znaczenie, Wysoki Sądzie.

– Mam pani oddać swoją tokę, panno Parrish? Pytanie pana Jonesa jest uzasadnione. Choć rozprawa toczy się przed sądem imigracyjnym, zasady dotyczące gromadzenia materiału dowodowego pozostają w mocy. Skoro podejmuje pani za mnie decyzje, może zajmie pani moje miejsce?

– Wraz z poborami? – Uśmiechnęła się przelotnie i natychmiast tego pożałowała.

Sędzia nie odpowiedział uśmiechem.

- Kto z FBI je pani przekazał?

- Agent Wilson.

- Ten sam jegomość, który był na sali sądowej dwa tygodnie temu?

- Tak mi się wydaje.

- Tak się pani wydaje?

– No tak...

MP skorzystał z okazji i przerwał jej pytaniem:

– Czy FBI uczestniczyło w przesłuchaniach tych ludzi?

– Tak... tak sądzę.

Sędzia podrapał się w brodę i zapytał:

– Gdzie w przedstawionych materiałach znajdują się oświadczenia podpisane przez agentów?

– Jeśli występowali jedynie w roli obserwatorów, nie były potrzebne – odparowała.

– Zapytałem, czy agenci FBI odebrali przedstawione oświadczenia, Wysoki Sądzie.

– Słyszałam pytanie obrońcy, Wysoki Sądzie.

– Chcę usłyszeć wyraźną odpowiedź. Tak czy nie? Osobiście odebrali te oświadczenia czy tego nie zrobili? Byli obecni podczas przesłuchania czy nie? – spytał MP, patrząc z ukosa na sędziego. – Wysoki Sądzie, jeśli FBI było w jakimkolwiek stopniu zaangażowane w tę sprawę, proszę o podanie nazwisk agentów. Co więcej, chciałbym, aby potwierdzili przed sądem autentyczność tych dokumentów.

Dwa piętra wyżej agent Wilson zaklął siarczyście. Z całej siły grzmotnął w biurko i natychmiast tego pożałował. Poczul silny ból, jakby złamał sobie przynajmniej dwa knykcie. Nienawidził tych przebiegłych gnojków prawników.

– To nie ma większego znaczenia – upierała się wyraźnie rozzłoszczona Parrish, pragnąc czym prędzej zakończyć ten wątek dochodzenia. – Oświadczenia zostały złożone przed rosyjskimi organami ścigania. Powinniśmy darzyć je takim samym zaufaniem jak naszą policję.

Był to jej pierwszy poważny, a właściwie kolosalny błąd. MP skoczył na równe nogi. Zapłaci mu za to. Skierował na nią palec i powiedział:

– Panno Parrish, twierdzi pani, że rosyjska milicja jest równie wiarygodna jak nasze organy ścigania?

Ponieważ nie mogła cofnąć swoich słów, było za późno na wycofanie się.

– Tak.

– Nie słyszała pani o gułagach, sądach kapturowych, Solżenicynie,

czystkach, wioskach Potiomkinowskich, Stalinie, zimnej wojnie, procesach pokazowych...

– Dziękuję, panie Jones – przerwał mu sędzia. – Wszyscy zrozumieli.

MP wyraźnie się rozluźnił.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Mnie też zaczęło to nudzić. – Poprawił dłonią włosy i potrząsnął głową.

Był to przebiegły, zręcznie przeprowadzony atak. Nawet Everston nie mógł ukryć cienia uśmiechu.

Na twarzy Parrish pojawił się wyraźny grymas. Wiedziała, że palnęła głupstwo. Wiedziała również, że musi płynąć pod prąd.

– Nie zrozumiałam, o co chodzi panu Jonesowi. Nie sądzę, aby był to istotny szczegół.

– Panna Parrish może być jedyną osobą na świecie, która tego nie pojmuje – odparł MP ze złośliwym uśmiechem. – Proszę pozwolić, że wyjaśnię, o co chodzi. Rosyjska milicja stosuje często odrażające metody. Torturuje świadków, posługuje się szantażem i wymuszeniem, jest znana z nieuczciwości. Czasami posuwa się nawet do fałszowania dokumentów. Jeśli panna Parrish jest tak naiwna, że nie zdaje sobie z tego sprawy, mogę wezwać na świadków tuzin ekspertów z CIA i Departamentu Stanu, aby ją oświecili. Mogę też wskazać tysiące amerykańskich obywateli, którym jej urząd przyznał azyl polityczny po tym, jak rosyjska milicja brutalnie torturowała ich i ich rodziny.

– Panno Parrish, czy będzie to konieczne, czy zrezygnuje pani z tego punktu? – spytał niezwykle uprzejmie sędzia Everston.

Parrish chwilę oglądała paznokcie. Gdyby proces toczył się przed normalnym sądem, szkody były ogromne. Na szczęście chodziło o sprawę imigracyjną, która toczyła się przed sądem imigracyjnym, gdzie rozstrzygał sędzia od wspomnianych spraw. Tutaj obowiązywały inne reguły.

Kilka razy odetchnęła głęboko, a następnie podjęła dzielnie próbę odrobienia strat.

– Oskarżenie jest gotowe przyznać, że rosyjskie władze niekiedy z nadmierną gorliwością dążą do wymierzenia sprawiedliwości.

– Pewnie chodzi jej o to, że wyrywają paznokcie niewinnym ludziom i zmuszają ich do podpisywania nieprawdziwych zeznań – wyjaśnił głośno Aleks, zwracając się do MP.



– Zrozumiałem jej słowa bez pańskiej pomocy – powiedział sędzia lekko rozdrażniony. – Może pan usiąść, panie Jones.

MP usiadł.

Sędzia Everston zdjął okulary i przetarł oczy. W końcu spytał prokuratorkę:

– Czy może pani wskazać agentów FBI, którzy byli świadkami przesłuchania?

– Nie.

Zwrócił się do MP.

– Czy może pan przedstawić świadków lub dowody, że oświadczenia te są wadliwe lub zostały złożone pod przymusem?

– Nie dano mi takiej możliwości. Usłyszałem o tych dokumentach zaledwie pięć minut temu. Mój klient stanowczo zaprzecza ich prawdziwości. Będziemy musieli poprosić o czas, aby dotrzeć do tych, którzy je podpisali, i osobiście ich przesłuchać.

Sędzia spojrzął ponownie na przedstawicieli oskarżenia.

– Mam nadzieję, że przygotowała pani inne argumenty i dowody.

Tym razem asystent panny Parrish postawił na ławie dwa olbrzymie kartonowe pudła wypełnione papierami. Prokurator pozwoliła, aby Wysoki Sąd zajrzał do środka i zapoznał się z ogromem zgromadzonych materiałów. Na ich przeczytanie trzeba by co najmniej miesiąca.

– Wysoki Sądzie, to wycinki gazet i czasopism zgromadzone i przetłumaczone przez nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych, przedstawiające kulisy przestępczej działalności Aleksandra Koniewicza na terenie Rosji.

Aleks zaczął gorączkowo kreślić uwagi dla MP. Parrish paplała dalej, opisując głębiej, złożoność oraz całkowitą nikczemność intryg i przestępstw, których miał się dopuścić. Często zaglądała do notatek. Cytowała swobodnie z kilku najbardziej oskarżycielskich i potępiających artykułów. Podkreśliła odrażającą naturę machinacji Koniewicza. Wspomniała o ludziach skrzywdzonych przez tego szarlatana. O bankructwie inwestorów, którzy powierzyli mu swoje pieniądze, o tysiącach pracowników, którzy po jego ucieczce trafili na bruk. O wstrząsie, którego doznała rosyjska gospodarka i raczkująca giełda. Zażądała, aby wspomniane artykuły zaliczyć do materiałów dowodowych. MP skreślił kilka pytań, a Aleks pospiesznie nagryzmołił odpowiedzi.

W chwili gdy skończyła, MP zauważył:

– Jak pani prokurator dobrze wie, twierdzimy, że pan Koniewicz został w to wrobiony.

– Wszyscy przestępcy tak twierdzą – odparła lekceważąco Parrish.

– Wątpi pani w prawdomówność mojego klienta? – spytał MP z lekkim niedowierzaniem.

– Tak. W Rosji pan Koniewicz jest na pierwszym miejscu listy poszukiwanych. Rosyjski prokurator generalny wydał nakaz jego aresztowania. Zgromadzone doniesienia prasowe potwierdzają, co zrobił, on jednak wszystkiemu zaprzecza. Myślę, że jest w mniejszości.

MP spojrział na sędziego.

– W życiu nie słyszałem, aby włączać artykuły prasowe do materiału dowodowego.

Sędzia był wyraźnie zaintrygowany, do czego zmierza MP.

– Ani ja. Z drugiej strony jestem skłonny przychylić się do sugestii oskarżenia, że doniesienia prasowe dostarczają pewnego uwiarygodnienia twierdzeniom strony rządowej.

MP uśmiechnął się do Everstona i powiedział:

– Mógłbym nieco rozwinąć tę kwestię?

– Proszę się streszczać, panie Jones.

Adwokat zwrócił się w kierunku panny Parrish.

– Czytała pani doniesienia prasowe na temat tego procesu zamieszczone dwa tygodnie temu na łamach „New York Timesa”?

– Być może.

– Chciałaby pani, abym odczytał fragment? Mam przy sobie wycinek.

– Nie! Już sobie przypominam! Czytałam to!

– Cały artykuł?

– Już powiedziałam. Każde idiotyczne słowo.

MP podniósł wycinek tak, by sędzia mógł go zobaczyć.

– Oto mój ulubiony fragment – powiedział, uśmiechając się szeroko. – „Ten proces to parodia sprawiedliwości – zaczął cytować dumnym, donośnym głosem. – To farsa, a pani prokurator przypomina motorniczego pociągu pełnego oszustw i kłamstw, twierdzi anonimowe źródło. Jeśli deportujemy Koniewicza do Rosji, zostanie zamordowany. Jego krew będzie na jej rękach, tak jakby uśmierciła go osobiście”. Koniec cytatu. – MP uśmiechnął się uprzejmie do

urzędniczki sądowej. – Sally, proszę zanotować te słowa, a szczególnie fragment o pociągu pełnym oszustw i kłamstw. Te określenia szczególnie mi się podobają.

Parrish skoczyła na równe nogi.

– Wysoki Sądzie, sprzeciw! – wykrzyknęła z poczerwieniałą twarzą. – Te ohydne pomówienia nie mają żadnego związku z rozpatrywaną sprawą i nie należy ich wprowadzać do akt.

Everston zadumał się chwilę nad jej argumentami. Nie było wątpliwości, że przytoczone słowa stanowiły pomówienie. Parrish sama jednak prosiła, aby włączyć do sprawy wycinki prasowe. Niezależnie od tego, czy jej się to podobało, czy nie, dostarczyła pretekstu przedstawicielowi obrony. Nie mogłaby narzekać, nawet gdyby rozniósł ją w pył ogromną ciężarówką.

– Czemu nie? – odburknął MP. – Czyżby nie zgadzała się pani z przytoczonymi twierdzeniami?

– Oczywiście, że się nie zgadzam!

– Panno Parrish, to znakomity artykuł. Wyważony i głęboko przemyślany.

– To żenujący, tendencyjny i oszczerczy gniot, panie Jones. Doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę. Wiem, że reporterka, która go napisała, jest pańską przyjaciółką. Nie zadała sobie trudu zbadania stanowiska strony rządowej. Jej postępowanie ociera się o naruszenie etyki zawodowej.

MP zawahał się na ułamek sekundy. Skąd wiedziała o jego starej znajomości? Istniała tylko jedna ponura możliwość. MP zastanowił się nad nią, zanim odzyskał równowagę i zaczął drążyć dalej.

– W takim razie proszę ją pozwać – odparował, próbując zachować zimną krew. Od jak dawna nagrywali jego rozmowy? Kto je przesłuchiwał? Ile sekretów im wyjawiał?

– Mogłabym zamiast niej pozwać pana. Oboje wiemy, że to pan kryje się za tym odrażającym cytatem.

– Doskonale, proszę się nie wahać. Śmiało! – Mówiąc to, pomachał wycinkiem prasowym niczym matador czerwoną płachtą.

– Zrobiłabym to z przyjemnością. Gdyby można było udowodnić, że pan za tym stoi, puściłabym pana z torbami.

– Proszę mi oszczędzić czczych pogróżek. Gdyby tak było, każdy prawnik godny tego miana stałby się właścicielem „New York Timesa”, a mnie

posłał do przytułku dla ubogich.

– Proszę mnie nie traktować jak idiotki! Reporterka zasłoni się pierwszą poprawką do konstytucji, a pan wyłga się ze wszystkiego.

Nagle MP stał się ucieleśnieniem serdeczności i współczucia. Zgniół wycinek w kulę i rzucił na podłogę.

– Wie pani co? Zgadzam się z panią, panno Parrish. Czy może być coś gorszego od zostania obsmarowanym i oczernionym przez prasę? Od niezasłużonego zniszczenia dobrego imienia i unurzania w błocie? Jeśli tak znakomity prawnik jak pani nie ma możliwości obrony, co dopiero zwykły obywatel? Może pozwać gazetę, lecz jaką ma szansę wygranej? On może powiedzieć, że wszystko to jeden wielki stek kłamstw, lecz kto mu uwierzy? Anonimowe źródła dostarczą dowolnych przecieków pełnych kłamstwa i brudów. Im bardziej pikantne kłamstwo, tym szybciej się rozprzestrzenia. Jedna gazeta podchwytuje je od drugiej aż zamieni się w lawinę. Im bardziej zuchwałe kłamstwo, tym więcej atramentu pochłania, tym pewniej trafia na czołówki gazet, na okładki czasopism i w końcu... cóż, czyż nie jest to smutne?

Posłużenie się formą „on” nie pozostawiało wątpliwości, że MP nie miał na myśli panny Parrish. Aleks nagle wetknął mu do ręki karteczkę. „Spytaj, czyjej szef zaprosił zespół rosyjskich prokuratorów, aby przyjechali do Stanów i przedstawili dowody przed amerykańskim sądem”. MP odczytał ją uważnie, lecz nie miał pojęcia, o co chodzi Aleksowi ani skąd wpadł na taki pomysł. Z drugiej strony Aleks trafił w sedno, podsuwając mu pytanie, czy FBI było obecne podczas przesłuchania pracowników Orangutan Media. Skinął potakująco głową.

Parrish doszła do wniosku, że nienawidzi MP Jonesa. Od początku doskonale wiedziała, do czego on zmierza. Nie mogła zignorować ani odeprzeć jego ataku. Zapędził ją w kozi róg i zmusił do podjęcia ostrej walki.

Przynajmniej skończył, pomyślała z ponurą satysfakcją. Myliła się, bo MP dopiero się rozgrzewał.

– Wysoki Sądzie, skoro panna Parrish zażądała dodania tych artykułów do materiału dowodowego, chciałbym spytać, i proszę to pytanie odnotować, czy wierzy, że wszystkie słowa w nich zawarte są prawdziwe. Czy jest pewna, że te artykuły zawierają prawdę?

Everston zamyślił się chwilę nad tym istotnym pytaniem. Czy było uczciwe

i uzasadnione? Cóż, to prokuratorka chciała włączyć do materiału dowodowego wszystkie te prasowe śmieci.

– Panno Parrish, czy jest pani przekonana, że wszystkie te artykuły przedstawiają prawdziwe informacje?

Na moment zamarła. W końcu odpowiedziała niepewnym, zadumany głosem:

– Nie mogę potwierdzić prawdziwości każdego słowa lub twierdzenia, jednak ogólnie rzecz biorąc... tak, artykuły te zawierają... całkiem wierny opis godnych ubolewania machinacji pana Koniewicza. – Doskonała odpowiedź. Była z niej dumna. Była taka wyważona i doskonale sformułowana. Cieszyła się, że MP pozostawił jej pole manewru. Posłał idealną piłkę, aby mogła naprawić szkody, które sama sobie wyrządziła.

MP odpowiedział równie ostrożnie:

– Wysoki Sądzie, proszę zapytać panią prokurator, czy to prawda, że prokurator generalny Rosji ma zamiar wysłać do nas zespół prawników, aby przedstawił jej urzędowi dowody nielegalnych działań pana Koniewicza.

Parrish zaschło w gardle. Dowiedziała się o tym zaledwie dwa dni temu. Rosjan zaproszono na wszelki wypadek, gdyby sędzia nagle zgłupiał i wydał skandaliczny werdykt. Trzymano tę wiadomość w największej tajemnicy. Skąd Jones się o tym dowiedział? Kto był źródłem przecieku? Ile wiedział? W jej głowie pojawiły się setki pytań bez odpowiedzi.

– Panno Parrish?

Nie miała wyboru, musiała powiedzieć prawdę.

– Tak.

– Proszę spytać przedstawiciela oskarżenia, do czego potrzebny im taki zespół? – drążył dalej MP. Nie wiedział, jak Aleks zdobył ten smakowity kąsek, lecz był gotów w całej pełni go wykorzystać.

– Nie ja o tym zdecydowałam. Nie wiem – odpowiedziała, próbując umknąć z haczyka.

– Nie była to pani decyzja? – powtórzył Wysoki Sąd z wyraźnym niedowierzaniem.

– Zdecydował o tym szef wydziału – odparła nieprzekonująco.

MP szedł za ciosem.

– Wysoki Sądzie, proszę zapytać panią prokurator, na jakiej podstawie

podjęto taką decyzję.

Everston potarł skronie.

- Dobrze pytanie. Dlaczego wystąpiliście z taką prośbą, panno Parrish?
- Nie mam zielonego pojęcia.

MP ponownie przyszedł jej ochoczo z pomocą.

- Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, pomogę koleżance wybrnąć z tarapatów.
- Może się jej to nie spodobać, lecz mnie z pewnością przypadnie do gustu – odrzekł sędzia Everston, zapominając o powadze urzędu. Bardzo chciał ukarać Parrish za obrazę sądu. Kilka razy przyłapał ją na kłamstwie, a jej wiarygodność była bliska zeru. Teraz zwątpił nawet w to, czy pani prokurator jest przy zdrowych zmysłach.

– To oczywiście, że urząd, który reprezentuje panna Parrish, ma poważne wątpliwości w sprawie absurdalnych twierdzeń, które padają w rosyjskiej prasie na temat mojego klienta. Chociaż ona sama ma zaufanie do prokuratora generalnego Rosji, najwyraźniej jej przełożeni są odmiennego zdania. Poprosili, aby Rosjanie przyjechali do nas i dowiedli prawdziwości swoich zarzutów przed amerykańskim sądem.

– Czy to prawda? – spytał sędzia Everston, patrząc na Parrish takim wzrokiem, jakby chciał ją obedrzeć ze skóry.

Pomyślała o tysiącu odpowiedzi, których mogłaby mu udzielić. Tak, to prawda. Tyle że całkowicie wyjęta z kontekstu. W końcu uznała, że lepiej tego nie robić. Jones zapyta o właściwy kontekst, a właściwym kontekstem było to, że dyrektor FBI i prokurator generalny chcieli ekstradycji rosyjskiego małżeństwa bez względu na wszystko.

Zaczęła nienawidzić tej sprawy. Wcisnęli jej ją w ostatniej chwili, grożąc tym, co się stanie, jeśli przegra. Z drugiej strony jej rola polegała na jak najlepszym reprezentowaniu interesów rządu Stanów Zjednoczonych.

– Nie mam pojęcia – prychnęła złośliwie, zastanawiając się, co powiedzą jej przełożeni, gdy zapoznają się ze stenogramem rozprawy.

– Odraczam sprawę – odburknął sędzia, patrząc twardo na Kim Parrish. Gdyby spojrzenie mogło miażdżyć, zostałaaby sprasowana. – To najbardziej niechlujnie przygotowane oskarżenie, z jakim miałem okazję się zapoznać. Nie jestem rad z tego powodu, panno Parrish. Oczekiwała pani, że niezwłocznie uruchomię proces ekstradycyjny, choć nie mieliście do tego podstaw.

Prokurator zdobyła się na ostatni słaby przejaw odwagi.

– Rząd występuje z prośbą, aby pan Koniewicz pozostał w areszcie do czasu zbadania prawdziwości rosyjskiego oskarżenia.

Sędzia Everston odchylił się do tyłu, udając zaszokowanego.

– Panno Parrish, czy pamięta pani przestrogę, której udzieliłem dwa tygodnie temu?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– I teraz prosi mnie pani, abym w nieskończoność przeciągał areszt, gdy wy będziecie się zastanawiać, czy pan Koniewicz dopuścił się przestępstw na terenie Rosji?

– Nie wspominałam o przedłużeniu aresztu w nieskończoność. Będziemy działali tak szybko, jak to możliwe, i powiadomimy sąd, gdy tylko się przygotujemy.

– Kiedy?

– W najgorszym razie za kilka miesięcy. Może nawet tygodni. – Nie miała pojęcia, ile czasu będą potrzebować.

– Co pan na to, panie Jones?

Zgodnie z przewidywaniami MP wyglądał tak, jakby nawiercono go wiertarką udarową.

– Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby mój klient pozostał w areszcie, bo rząd kazał go aresztować na tak nieuzasadnionej podstawie. To oburzające i...

– Możemy wypuścić potencjalnego przestępcę, pozwolić, aby uniknął kary i powrócił do swego nielegalnego procederu. Oskarżony ma środki i już wcześniej uciekł przed wymiarem sprawiedliwości. Przytoczone materiały prasowe potwierdzają, że pan Koniewicz jest najsławniejszym zbiegiem w Rosji. Gwiazdą wśród oszustów. Jego proces jest uważnie obserwowany przez najwyższych przywódców tego kraju i wszystkich jego obywateli. Rosja nie kryje, że zdecydowanie zareaguje na werdykt w tej sprawie. Na terenie tego państwa przebywają tysiące amerykańskich obywateli. Będą zagrożeni. Zdajemy sobie sprawę i przepraszamy za wszelkie niewygodności, które spotykają z tego powodu pana Koniewicza. Przedkładamy jednak interes Stanów Zjednoczonych ponad jego osobisty komfort.

Duża liczba doniesień prasowych wypełniających pudła stojące w odległości

pół metra od długiego nosa sędziego nagle potężnie zaciążyła na sprawie. Everston spojrział na kartony z wycinkami potwierdzającymi, jaką niesławą Koniewicz cieszył się w Rosji. Choć raz użyła celnego argumentu.

Sędzia zdjął okulary i pochylił się ku nim.

– Z wyraźną niechęcią przychyliam się do wniosku oskarżenia. Oskarżony pozostanie w areszcie do rozstrzygnięcia sprawy.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie.

– Proszę mi nie dziękować, panno Parrish, lecz uważnie posłuchać. Chcę, aby pan Koniewicz został przeniesiony do więzienia federalnego. Proszę go zabrać z tej paskudnej celi w areszcie tymczasowym.

– Rozumiem.

– Proszę mu znaleźć ładne, wygodne miejsce. Nie chcę, aby niepotrzebnie cierpiał z powodu naszej jawnej nieskuteczności. Czy wyrażam się jasno?

– Obiecuję, Wysoki Sądzie.

Pochylił się jeszcze bliżej.

– Mam na myśli jeden z tych ekskluzywnych ośrodków rekreacyjno-sportowych za miastem, z boiskami do tenisa i dużymi telewizyjnymi monitorami podłączonymi do satelitów, dobrą kuchnią. Znajdźcie mu jakieś miłe otoczenie, gdzie pensjonariusze chodzą w niebieskich kombinezonach, bez murów i zasieków, w którym najpoważniejszymi przestępcami są oszuści podatkowi.

– Rozumiem.

– Kiedy następnym razem ujrzę pana Koniewicza, chcę, aby był odkarminiony i opalony. Niech będzie znudzony pracą w ogródku i słuchaniem grubych ryb z Wall Street przechwalających się swoimi machinacjami.

– Obiecuję, Wysoki Sądzie.

– Sprzeciw! – zawołał MP.

– Odrzucony – odparł Everston, podnosząc się z miejsca i uciekając z własnego sądu.



## 26.

Dostała tęgiego łupnia. Upokorzono ją na sali sądowej, a na dodatek otrzymała szansę osobistego poznania prokuratora generalnego i dyrektora FBI. Kiedy się na nią rzucili, zaczęła prosić Boga, aby nie spotkali się nigdy więcej. Zaciśnęła zęby i po cichu przeklinała oboje. Chociaż nie byli jej bezpośrednimi przełożonymi, uchodzili za niezwykle wpływowych ludzi. W sumie bardzo przykre przeżycie.

Jej szef stał z boku, obserwując wymianę ognia i unikając go za wszelką cenę.

Dwa tygodnie temu skończyła pięćdziesiątkę. Była w tym samym wieku co prokurator generalna. Dwanaście lat starsza od Tromble'a. Mimo to naskoczyli na nią, jakby była uczennicą, która nie odrobiła pracy domowej.

– Nie wszystko stracone – protestowała bez przekonania, unikając pełnych potępienia spojrzeń. – Nadal przebywa w areszcie. Będzie kolejna rozprawa.

– Dawno temu powinien siedzieć w samolocie lecącym do Rosji! – wrzeszczał Tromble, waląc dłońią w stół. – Wszystko pani zaprzepaściła! Sprawa była pewna, a pani pozwoliła odebrać sobie zwycięstwo!

– Zaproszenie rosyjskich prokuratorów nie było moim pomysłem. Miałam wygraną sprawę, dopóki Jones nie wykorzystał tego atutu.

– Jak się o tym dowiedział? – zapytała prokurator generalna, nie kryjąc zdumienia.

Kim Parrish wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć?

Tromble utkwiał wzrok w czubkach butów. Tego popołudnia zespół złożony z dziesięciu agentów potajemnie przesłuchał wszystkie taśmy z nagraniami podsłuchów w biurze Jonesa. Nie było żadnej wzmianki na temat prokuratorów podczas jakiegokolwiek rozmowy telefonicznej Jonesa, a nawet prywatnych rozmów prowadzonych w jego kancelarii. Żadnej wskazówki, ani jednego słowa.

Rzucił gniewne spojrzenie dyrektorowi INS.

– Wasz urząd jest dziurawy jak sito. Ten Jones chyba kiedyś u was pracował? Najwyraźniej jeden z waszych dał mu cynk.

– A może zrobił to któryś z pańskich ludzi – odparował szef Parrish, rozdrażniony oskarżeniem. – O zaproszeniu Rosjan wiedziałem tylko ja i panna Parrish. Jestem pewien, że nie powiadomiłem Jonesa.

– Kiedy przyjadą ci Rosjanie? – spytała Laura Tingleman, ucinając sprzeczkę. Nie znosiła takich konfrontacji. – Ile czasu będą potrzebowali?

– Może to potrwać kilka miesięcy – odparł Tromble i nagle wpadł na nowy pomysł.

– Minie kolejny miesiąc lub dwa, zanim przekażą informacje jednemu z naszych prawników – zaczęła kalkulować Tingleman, zwracając się do dyrektora INS. Starannie dobierała słowa, rozmyślnie unikając kontaktu wzrokowego z Parrish. Aluzja do „jednego z naszych prawników” była oczywista: albo dziewczyna lepiej się postara, albo poszukają kogoś innego na jej miejsce.

– Wygląda na to, że damy sobie radę – odparł dyrektor, nie występując w obronie Parrish.

– Zatem sprawa może się przeciągnąć do sześciu miesięcy? – zapytała Tingleman.

Tromble uśmiechnął się i skinął głową.

– Może nawet dłużej. Musi pani zadzwonić do sędziego – doradził. – Proszę mu powiedzieć, aby uzbroił się w cierpliwość. Podkreślić wagę sprawy.

Skinęła głową.

– Oddeleguję dwóch dodatkowych prawników do zespołu Parrish –

powiedział dyrektor INS. – To powinno przyspieszyć pracę.

Tromble spojrział na niego jak na idiotę.

- Nie, nie zrobi pan tego.– Dlaczego?
- Po co mielibyśmy się spieszyć, skoro Koniewicz siedzi w więzieniu?
- Jak to? Przecież stale mnie pan ponaglał? Skąd ta zmiana?

Pytanie w najmniejszym stopniu go nie speszyło.

– Panna Parrish znajdowała się pod ogromną presją. Termin kolejnej rozprawy nie zależy od obrońcy, prawda? Panna Parrish potrzebuje czasu, aby się przygotować, załatwić wszystko jak należy.

Nieoczekiwany uprzejmy ton był wysoce denerwujący. Tromble podszedł i poklepał ją po ramieniu.

– Życzę powodzenia, wygranej w kolejnym starciu.

Ku zaskoczeniu wszystkich i pełnemu szczęściu Kim Parrish spotkanie nagle dobiegło końca. Wyszła tak szybko, że omal nie zostawiła za sobą smugi dymu.

Prokurator generalna i Tromble zostali sami. Tylko ich dwoje. Samiuteńcy w wielkim gabinecie przenikniętym atmosferą przytłaczającego ciężaru obowiązków i odpowiedzialności.

Tromble odwrócił się ku niej i zauważył:

– Sędzia przekazał Koniewicza pod pani opiekę. Obiecaliśmy, że zostanie przeniesiony do więzienia federalnego.

– W Pensylwanii mamy bardzo ładny zakład karny. Jeden z tych, do którego trafiają grube ryby z Wall Street. Na wsi. Słyszałam, że okolica jest przepiękna.

– Chyba nie pozwolisz, aby jakiś drobny cudzoziemski oszust wodził cię za nos? – spytał niezbyt uprzejmie Tromble. – Tylko dlatego, że jakiś drugorzędny sędzia gniewnie warknął.

To ją ubodło, wiedziała jednak, że Tromble ma rację. Everston był niskim urzędnikiem drugorzędnego sądu imigracyjnego, a ona była w końcu prokuratorem generalnym.

- Co masz na myśli, John?
- Czy rozumiesz, jak ważna jest ta sprawa?

– Proszę mi przypomnieć.

– Rosyjska mafia opanowuje miasta na wybrzeżu. To nowe, niezbyt przyjemne zjawisko. Mają dziesięć punktów w skali brutalności. Teraz walczą z naszymi, włoską mafią i gangami czarnych, Kolumbijczykami i Meksykanami. Próbują zdobyć przyczółek. Rosjanie są bardzo dobrzy i wyjątkowo brutalni. Nauczyli się sztuki przetrwania w najbardziej totalitarnym państwie na świecie. Proszę o tym nie zapominać. Wyobraź sobie, co mogą zdziałać w naszym otwartym demokratycznym i liberalnym kraju. Jesteśmy przerażająco, bezbronni. Jeśli pozwolimy im znaleźć punkt zaczepienia, ustąpimy choćby o cal, stworzą kolejną instytucję przestępczą, która zakorzeni się na amerykańskiej ziemi. Kolejnego raka, którego nie będzie można usunąć.

– I sprawa Koniewicza ma nam pomóc w rozwiązaniu tego problemu? – zapytała, opierając się na pulchnych łokciach i bacznie go obserwując.

– Tak, Rosjanie stawiają sprawę jasno. To niebezpieczny przestępca, Lauro. Człowiek, który ukradł setki milionów dolarów. Media śledzą nasze kroki. Jeśli jakiś cholerny cudzoziemiec zacznie wykorzystywać nasz własny system prawny, oboje wyjdziemy na durniów. To bardzo delikatna sprawa.

Opadła na krzesło, a na jej czole pojawiło się dziesięć kolejnych zmarszczek. Nie trzeba dodawać, że to Tromble wydał osobiście stanowcze polecenie, aby obsmarować Koniewiczów na pierwszych stronach gazet, co ściągnęło na nich uwagę opinii publicznej. Teraz żałował tego straszego błędu, lecz kości zostały rzucone. Gdyby Koniewicz wykorzystał tę sprawę kampanii oszczerstw, na Tromble'a wylano by kubel pomyj.

Tromble położył jej dłoń na ramieniu.

– To od ciebie zależy, w jakim więzieniu wyląduje. Jeśli chce z tobą pogrywać, jego wola.

– Masz rację – odpowiedziała, odczuwając nagły przypływ determinacji.

– Wybierz najpodlejsze więzienie w systemie federalnych zakładów karnych. Umieść go razem z najgorszymi mętami. W miejscu gdzie jest gorąco jak w piekle, do jedzenia dają ochłapy i gdzie panuje bezlitosna przemoc. Niech cierpi i gnije, aż zacznie błagać, abyśmy wyrzucili go z kraju.

– Może jeśli odrobinę go zmiękczymy, zechce spojrzeć na sprawę z naszego z punktu widzenia – doszła do wniosku.

\* \* \*

Michaił ukrył ostatnie urządzenie podsłuchowe w środku ogromnej, czarnej limuzyny. Od miesięcy daremnie czekał na taką okazję. Gdyby go złapali, wszystko poszłoby na marne. Pewnego chłodnego wieczoru szofer poszedł do kawiarni, zostawiając silnik na chodzie i otwarte drzwi. Michaił umieścił jedną pluskwę w dużym wgłębieniu między poduszkami tylnego siedzenia. Dla pewności przymocował drugą pod przednim siedzeniem.

Urządzenia miały zasięg zaledwie jednego kilometra, i to w pogodny dzień. Dzięki nim zyskiwał jednak dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, mógł słyszeć i nagrywać wszystkie rozmowy. Po drugie, nie musiał obserwować wozu podczas cotygodniowych spotkań nad rzeką. Do tej pory nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, lecz Michaił zamierzał umrzeć spokojnie we własnym łóżku, na dodatek w podeszłym wieku.

Limuzyna stała po prawej stronie, kilka metrów na prawo od górującego nad rzeką miejsca, w którym się zwykle spotykali. Michaił zaparkował trzy przecznice dalej. Na kolanach położył odbiornik z wbudowanym magnetofonem, nastawiając go na pełen regulator. Popijał ostrożnie kawę z dużego termosu i bacznie nasłuchiwał. Na tylnym siedzeniu zasiadł Golicyn, a następnie Tatiana i Nikoła, w takiej kolejności jak zwykle. Odgrywali tradycyjny rytuał, popijając drinki, kłócąc się i planując kolejny wielki skok.

Nikoła był wyraźnie wkurzony.

– Mówiłeś, że sprawa będzie prosta. Ot, zwykła dziecinada.  
– Przyznaję, skłamałem. Co z tego? – odparł Golicyn.  
– Co? Dziewięciu moich nie żyje, a dwie restauracje zostały zdemolowane, ot co! Ktoś mi przeszkadza w narkotykowym biznesie. Tydzień temu jednemu z moich dilerów ukradziono pół miliona. Za każdym razem, gdy uderzę w firmę Chodorina, dostaję tęgiego łupnia.

– Dlaczego sądzisz, że stoi za tym Chodorin, Nikoła? – spytała uspokajającym tonem Tatiana, próbując załagodzić sytuację. – Przecież to biznesmen.

– Bo ciągle znajduję karteczki przy zwłokach. Zostaw w spokoju Central Enterprises, bo skopiemy ci tyłek. – Przerwał na chwilę. – Coś wam powiem, faktycznie mi dokopali.

– Nie odezwał się – zauważył Golicyn poirytowanym tonem.

– Kto się nie odezwał, Siergiej? – zapytała Tatiana.

– Jurij Chodorin. Nie zadzwonił do mojego człowieka, aby zapewnił ochronę jego firmie.

– Musiał do kogoś zadzwonić – powiedział Nikoła. – Do kogoś ustosunkowanego. Powiem wam do kogo. Do naprawdę wrednego gnojka.

– Nie możemy mu odpuścić. Nie teraz. Ten człowiek jest wart miliardy, Nikoła – przerwała mu Tatiana.

– Ciągle to powtarzasz, bo nie obrywasz. Mówię wam, to sprytny gość.

– Jak sprytny? – spytał Golicyn.

– W tym tygodniu kilku moich poszło podłożyć szczyptę dynamitu w magazynie, o którym wam wspominałem. Doszło do masakry.

Michaił roześmiał się tak głośno, że omal nie zakrztusił się kawą. Podслуchał ich plan i dyskretnie przekazał go swojemu przyjacielowi z milicji, który zajmował się bezpieczeństwem w koncernie Chodorina. Ten z brutalną skutecznością wykorzystał informację.

– Może inny syndykat wypowiedział ci wojnę? – spytała Tatiana. – Czasami dochodzi do zatargów między gangami.

– Słusznie, wcześniej o tym nie pomyślałem. – Krótka przerwa. – Nie, żaden syndykat nie zostawiłby wiadomości, abym odpuścił Chodorinowi.

– Daj spokój, Nikoła – przerwała mu Tatiana. – Zainwestowaliśmy w tę operację wiele miesięcy pracy. Central Enterprises to idealny cel. Mają pięćset milionów rezerwy w gotówce. W gotówce, Nikoła, kapujesz? Bylibyśmy durniami, gdybyśmy zrezygnowali w tym momencie.

– To jego wina – odparł Nikoła, najwyraźniej wskazując palcem Siergieja Golicyna. – Miał wprowadzić do środka swoich ludzi. I co?

Michaił miał ochotę wykrzyczeć im w twarz to pytanie.

W samochodzie zapanowało dłuższe milczenie. Michaił zachichotał. Właściwie byłby skłonny wykonywać tę robotę za darmo. Nie mógł się doczekać

chwili, w której odsłucha taśmę z kapitanem Jurczenką, świeżo mianowanym szefem ochrony Central Enterprises. Wypiją butelkę wódki, usiądą sobie wygodnie i będą się rozkoszować frustracją tamtych.

W końcu Golicyn zabrał głos, najwyraźniej pragnąc odwrócić sytuację:

– Spróbuję wprowadzić tam swoich. Co z Koniewiczem?

– Powiedziałaś, że się tym zajmiesz – powiedział oskarżycielsko Nikola zwracając się do Tatiany.

– Wszystko jest pod kontrolą. Tromble dzwonił dziś rano. Koniewicz przebywa w więzieniu federalnym w Atlancie. Dyrektor zapewnił mnie, że umieścił naszego przyjaciela w najpodlejszej dziurze w całym wszechświecie.

Nikola najwyraźniej coś o tym wiedział.

– Słyszałem, że to kiepskie miejsce.

– Pracujemy nad przygotowaniem aktu oskarżenia dla amerykańskiego sądu – oznajmiła Tatiana.

– Mam specjalistów z dziesiątkami lat doświadczeń w tej dziedzinie – wtrącił Golicyn.

– Nie uważam, aby to był najlepszy pomysł. Zespół, który sfabrykuje dowody, będzie musiał tam pojechać i przekazać materiał ich prawnikom. Jeśli chcesz kłamać, powinieneś dobrze znać własne kłamstwa, nie uważasz?

Wybuchnęli głośnym śmiechem.

\* \* \*

Trzy dni w federalnym więzieniu przejściowym w Atlancie – gdy przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości debatowali, w którym z zakładów panują najgorsze warunki – okazały się darem niebios. Mimo ponawianych prób nikt nie potrafił powiedzieć Aleksowi, dokąd zostanie wysłany.

Dwa dni po rozprawie został zabrany przez dwóch szeryfów federalnych z aresztu tymczasowego w Alexandra. Powiedzieli mu jedynie, że może się pożegnać z dobrym życiem. Siedemset trzydziestką siódmką należącą do służby więziennej przetransportowali go do prywatnego hangaru na międzynarodowym lotnisku w Atlancie, a następnie lśniącą czarną furgonetką przewieźli do olbrzymiego zakładu karnego w Atlancie. W chwili gdy trafił do więzienia

przejściowego, wiedział, że nie czeka na niego przyjemne miejsce, w którym kazał go umieścić sędzia Everston.

Zamknięto go w małej celi z wielokrotnym gwałcicielem o imieniu Ernie, który gustował w małych chłopcach, w razie konieczności zadowolając się małymi dziewczynkami, oczywiście jeśli był w odpowiednim nastroju. Nawet Aleks nie mógł się zmusić do rozmawiania z tym pokreślonym zbrojcem.

Więźniowie przechodzący przez tę bramę piekieł byli zatwardziałymi recydywistami, doświadczonymi weteranami oraz takimi jak Aleks nowicjuszami wytrzeszczonych ze zdumienia oczach, którzy niebawem mieli zostać wtrąceni do przerażającego nowego świata.

Starzy bywalcy uwielbiali przechwalać się swoją wiedzą i zachowywali się jak gadatliwe dzieciaki, które wróciły do college'u po wiosennej przerwie. Pokrzykiwali, opowiadali historyjki oraz wymieniali nazwiska znajomych z różnych zakładów karnych. Jedyny temat, który uważano za zakazany, stanowiły ich ostatnie przestępstwa. Aleks słuchał uważnie każdego słowa, każdej przechwałki. Obserwował, jak się poruszają, jakie mają zwyczaje, jak noszą więzienne stroje. Wszystko starannie odnotowywał i zwracał baczną uwagę na każdy szczegół. Trzymaj głowę spuszczoną, lecz zawsze bądź czujny. Za wszelką cenę unikaj kontaktu wzrokowego – w tym środowisku niewłaściwe spojrzenie mogło zostać odczytane jako zaproszenie do gwałtu lub czegoś gorszego. Wśród wrogów, strażników i przyjaciół, bez znaczenia, udawaj obojętność, niezależnie od tego, co by się działo. Jeszcze lepiej bądź obojętny i nikomu nie ufaj. Złotą zasadą było, aby nigdy, ale to nigdy, w żadnej sytuacji nie donosić.

Czwartego dnia go zabrali. Dwóch obojętnych strażników wyprowadziło go z przejściowej celi i zaprowadziło szeregiem korytarzy oraz bloków więzennych na duży dziedziniec, gdzie po czterech godzinach uciążliwych procedur – między innymi kolejnej kąpeli, kolejnego odwszenia i kolejnej brutalnej rewizji osobistej – został wepchnięty do swojego nowego domu.

Ernie, dawny towarzysz z celi przejściowej, powitał Aleksa na nowej kwaterze. Władze przytomnie zaobserwowały chłodną i wrogą atmosferę, jaka powstała między dwoma osadzonymi. Przebywanie w małej celi ze



zboceńcem z pewnością podwyższy o kilka stopni poziom niedoli Koniewicza.

Ernie trafił tam dwie godziny wcześniej i zdążył skromnie udekorować wnętrze. Ściany były oklejone zdjęciami małych chłopców i dziewczynek wyciętymi z magazynów.

Z najnowszych danych na temat brutalnych zachowań i przemocy wynikało, że w dziedzinie bezpieczeństwa zakład w Atlancie otrzymał zaledwie nagrodę pocieszenia. Wybrano go dopiero wówczas, gdy szef federalnych zakładów karnych dwukrotnie przysiągł, że to idealne miejsce dla Koniewicza.

W rzeczywistości pod niemal każdym względem więzienie o zaostrozonym rygorze w Atlancie miało imponującą przewagę nad swoim bezpośrednim rywalem. Trzy zabójstwa w ciągu minionego roku, osiemdziesiąt procent więcej brutalnych napaści, niemal trzydzieści dni więcej karceru oraz imponujących siedemdziesiąt procent przewagi w dziedzinie zachorowań na AIDS.

W ostatnim roku zakład o zaostrozonym rygorze w Atlancie był pod każdym względem najgorszą jednostką penitencjarną w całym systemie więzień federalnych.

Mimo to blok o średnim rygorze miał jedną ogromną przewagę, która przeżyła na jego korzyść. Z powodu średniego rygoru Aleks byłby zmuszony przebywać w otoczeniu innych osadzonych. Dwie godziny dziennie na dziedzińcu w towarzystwie zabójców, zbiorowych gwałcicieli, handlarzy narkotyków, pedofilów i wszelkiej maści kryminalistów. Dwa razy w tygodniu prysznic w otwartej łaźni przy minimalnym nadzorze. Trzy posiłki dziennie w ogromnej stołówce, w której wciąż dochodziło do aktów przemocy.

Koniewicz na pewno wpadnie w przerażenie. Bogaty rosyjski lalusz, rozpieszczony pławieniem się w niewyobrażalnym luksusie. Żaden element z przeszłości Aleksa nie przygotowywał go na takie doświadczenie. Na pewno ulegnie panice i zacznie błagać o miejsce w następnym samolocie odlatującym do Moskwy. Albo popadnie w konflikt z innym więźniem i odeśle go do domu w trumnie. Kogo to obchodzi? W końcu Rosjanie nie powiedzieli, że ma wrócić żywy.

Dodatkową atrakcją była duża liczba kubańskich przestępców. W zakładzie

istniała typowa zabójcza mieszanka kalifornijskich gangów, Cripsów i Bloodsów, duże, butne bractwo aryjskie i całe mnóstwo mniejszych band skupionych pod rozmaitymi sztandarami i podziałami społecznymi. Jednak prym wiodli Kubańczycy, którzy terroryzowali inne grupy, poniewierali strażnikami oraz pobierali haracz od wszystkich czarnorynkowych i narkotykowych transakcji – krótko mówiąc, robili, co chcieli.

Trzonem Kubańczyków była grupa trzydziestu rzeźmieszków osiadających długie wyroki, wysłanych specjalną łodzią przez Castro podczas Mariel Boatlift\*. Służby imigracyjne zostały potajemnie ostrzeżone o ich przybyciu przez kubańskiego skazańca, który miał nadzieję, że w ten sposób zaskarbi sobie względy. Był to największy numer Castro, ostrzegł amerykańskie władze. Facet nie przesadzał. Do Stanów wysłano bandę starannie dobranych, niedających się zresocjalizować przestępców – ludzi, którzy już w pieluchach mordowali, gwałcili i kradli. Należeli do najgorszych szumowin wśród wszystkich społecznych mętów. Gdyby znaleźli się na amerykańskich ulicach, zaczęliby siać niewyobrażalne spustoszenie.

Zgarnęli ich, gdy tylko postawili stopę na uroczej plaży na południe od Miami, i wysłali do więzienia w Atlancie. Było to nie do końca najszcześniejsze posunięcie, ponieważ jednak odmówiono im okazji popełnienia przestępstwa na amerykańskiej ziemi, nie istniało żadne prawne uzasadnienie umieszczenia ich w zakładzie o zaostrzonym rygorze, gdzie faktycznie było ich miejsce.

Drugiego dnia pobytu Aleksa w więzieniu strażnik, działając na polecenie naczelnika, dał cynk Kubańczykom, że nowy chłopak z celi D83 jest wart kupę szmalu. W trzecim tygodniu pobytu Koniewicza w nowym zakładzie Chór Chłopców Mariel, bo tak ich nazywano, uznał, że czas najwyższy zaznajomić się z nowym przybyszem.

\* Tytuł filmu, a jednocześnie nawiązanie do ucieczki do USA stu trzydziestu tysięcy Kubańczyków w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku.

\* \* \*

Aleks brał prysznic, gdy otoczyło go trzech mężczyzn. – Co mogę dla was zrobić, chłopaki? – spytał, siląc się na ton grzecznej obojętności, choć każda

komórka jego ciała krzyczała, aby rzucił się do ucieczki. Zwiewaj. Nie oglądaj się za siebie, nie oddychaj, po prostu spieprzaj.

Herszt trójki, mały, żyłasty gość o przetłuszczonych czarnych włosach, z bliznami od noża na czole i lewym policzku, przysunął się bliżej.

- Za co siedzisz? – spytał z wyraźnym kubańskim akcentem.
- Za nic.
- Za nic? Wpadłeś z wizytą?
- Dobra, wrobili mnie.

Facet zgrzytliwie zarechotał, jakby ktoś przesunął kredą po tablicy.

- Jasne, tak jak nas wszystkich.
- Mówię serio. Jeszcze nie miałem procesu.
- Jesteś Ruski – odrzekł tamten, pomijając zwyczajową więzienną gadkę i

przechodząc do sedna.

- Byłem. Teraz jestem Amerykaninem.

Kubańczyk przysunął się bliżej, stając w odległości trzydziestu centymetrów od Aleksa.

– Ja jestem Kubańczykiem – oznajmił, dumnie wypinając pierś. – Nienawidzę Ruskich. To największe gnojki na świecie. Dzięki wam ten drań Castro pozostaje przy władzy.

Więźniowie stojący w pobliżu Koniewicza zaczęli nagle zdejmować czepki kąpielowe i gnać do pokoju z ręcznikami. Alarm pożarowy nie opróżniłby tak szybko pomieszczenia. Trzej faceci otaczający Aleksa mieli na sobie więzienne kombinezony i trzymali łąpska w kieszeniach. Cuchnęli starym potem i tysiącem wypalonych papierosów.

Aleks, choć się bał, w dalszym ciągu mydlił się pod pachami.

– Mylisz się, to komuniści utrzymywali go u władzy – odparł, rozglądając się wokół. Zachowuj się obojętnie, przypomniał sobie. Nie okazuj przerażenia, nie uśmiechaj się, panuj nad oddechem. Udawaj, że stanie nago przed trójką zbirów jest równie bezpieczne jak spacer po więziennym dziedzińcu.

Aleks zauważył, że strażnik szwendający się obok wejścia nieoczekiwanie zniknął.

- Co? Niby nie byłeś komuchem?

Potrząsnął głową.

- Nie, nie byłem.
- A to co? – Kubańczyk wskazał palcem sierp i młot wypalone na piersi Aleksa.
- Prezent od kilku wkurzonych starych komuchów – wyjaśnił, spoglądając na dwóch pozostałych, którzy lekko się przesunęli, blokując z obu stron drogę ucieczki.
- Za co?
- Za to, że za pomocą moich pieniędzy pomogłem Jelcynowi sięgnąć po prezydenturę.
- Ty? – Rzucił krótkie szydercze spojrzenie swoim kumplom. – Sam jeden, co?
- Tak. Dałem mu pieniądze, aby mógł pokonać Gorbaczowa.
- Sądził, że w ten sposób załagodzi atmosferę konfrontacji, lecz Kubańczyk uśmiechnął się paskudnie.
- Poznajmy się, jestem Napoleon Bonaparte. Ty obaliłeś komunizm w Rosji, a ja... ja jestem tym małym gnojkiem, który podbił Europę.
- Zaśmiał się z własnego głupawego żartu, a kolesie przyłączyli się do niego. Od ścian odbiło się echo głośnego rechotu. Aleks zmusił się do uśmiechu.
- Naprawdę nazywasz się Manuel Gonzalez, ale mówią ci Manny. Urodziłeś się w małej wiosce, Maderii. Masz czterdzieści sześć lat, z czego trzydzieści sześć przesiedziłeś za kratkami. Zabijałeś pistoletem, sznurem i nożem, lecz wolisz to robić gołymi rękami. Lubisz kawę z dwoma kostkami cukru, bez śmietanki. Twój ulubiony serial to *Policjanci z Miami*, choć podejrzewam, że zawsze stoisz po stronie złych facetów. – Przerwał na chwilę i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Mam powiedzieć o tobie więcej?
- Manny na ułamek sekundy rozdziawił usta, lecz natychmiast odzyskał pewność siebie i uśmiechnął się złośliwie.
- Bystry z ciebie gość, co?
- Popytałem tu i tam – odparł Aleks, odkładając mydło na metalową mydelniczkę z takim spokojem, na jaki potrafił się zdobyć.
- Ty też mógłbyś się czegoś dowiedzieć. – Wyciągnął do niego rękę. – Aleks Koniewicz. Niech jeden z waszych poczyta o mnie w Internecie.
- Już to zrobiliśmy – odpowiedział, ignorując wyciągniętą dłoń. – Jesteś

bogaty, Koniewicz. Obrzydliwie bogaty. Nakradłeś setki milionów. Zaimponowałeś mi. Właśnie dlatego tak miło sobie gawędzimy. Pytanie, czy umiesz być hojny?

- Użyłeś niewłaściwego czasu, Manny.
- Kiepski ten mój angielski, o co ci chodzi?
- O to, że banda zbirów z dawnego KGB ukradła mi forszę i firmy. A FBI zajęło marną resztkę, która pozostała. Inaczej mówiąc, byłem bogaty, bo teraz jestem splukany.

Manny nie wydawał się szczególnie uradowany tą wiadomością. Przynął twarz do twarzy Aleksa.

- Nie jestem facetem, którego się okłamuje.
- Wiem.

Wyglądał tak, jakby za chwilę miał zamiar wyciągnąć to, co trzymał w kieszeni.

- Tak? W takim razie...
- Spokojnie, Manny. Zastanów się. Czy gość mający setki milionów siedziałby w tym zakazanym pierdłu? Jesteśmy w Ameryce, kraju wolnych i dzielnych ludzi, gdzie otrzymujesz taką sprawiedliwość, na jaką cię stać. Bogaci faceci wpięprzają steki i opalają się w klubach za miastem. Ja jestem tutaj, razem z tobą. Dodaj dwa do dwóch.

Manny nie odpowiedział, lecz spojrzął na gościa stojącego po lewej stronie Aleksa, potężnie zbudowanego, włochatego przyjemniaczka o imieniu Miguel. Pomijając wygląd zewnętrzny, Manny był brutalnym osiłkiem, a Miguel – mózgiem bandy. Byli starymi *compadre* z Kuby, przybyli do Stanów tą samą nędzną łajbą i od niemal dwudziestu lat dzielili tę samą ciasną, cuchnącą celę na drugim piętrze. Manny spał na górnej pryczy i trzymał się z przodu. Zajmował się zastraszaniem, wymuszaniem, przekupywaniem strażników i sianiem postrachu wśród członków innych gangów. Miguel ulokował się na dole i spędzał większość czasu w bibliotece, obmyślając intrygi i przekręty. To on zbadał przeszłość Aleksa po otrzymaniu cynku od strażnika.

Po chwili Miguel przynął się do przodu i włączył do rozmowy:

- Naprawdę byłeś skarbonką Jelcyna? – Nie było o tym żadnej wzmianki w artykułach, które czytał w Internecie.

Czując, że sytuacja uległa pewnej poprawie, Aleks zwrócił się do Miguela:

– Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł.

– A nie był?

– Może i nie. Spójrz, do czego mnie to doprowadziło – odparł Aleks, wzruszając obojętnie ramionami, jakby ich towarzystwo sprawiało mu taką samą przyjemność jak przebywanie w otoczeniu gromadki dam w kusych bikini w jakimś kurorcie na Karaibach. – Dranie z KGB, którzy ukradli mi forszę, zatroszczyli się, abym tu trafił.

– Czemu wsadzili cię do tego pierdła?

– Liczą, że poproszę, by odesłali mnie do Rosji, gdzie będą mogli mnie dopaść. Może mają nadzieję, że tu zginę.

– Naprawdę? – Miguel oparł duże cielsko o ścianę, w zamyśleniu bawiąc się małą kozią bródką. Wyjawiając prawdę, wysoki Rosjanin popełnił fatalny błąd. W głowie Miguela pojawiły się dziesiątki myśli. Czy Rosjanie zapłaciliby za jego sprzątnięcie? Z kim Miguel i jego kumple powinni się skontaktować? Ile mogła być warta śmierć Koniewicza? Oto wielkie pytanie. Tę sytuację na pewno da się jakoś wykorzystać.

Aleks zaczął się czuć nieco niezręcznie. Był nagi, bezbronny i ociekał wodą. Kto wie, co tamci pochowali w kieszeniach? Każdy z tych zwierzaków z radością poderznąłby mu gardło i obojętnie obserwował, jak się wykrwawia. Wyciągnął rękę i zakręcił kran.

– Przeszkadzałoby wam, gdybym poszedł po ręcznik i się wytarł? – spytał.

– Nie krępuj się – mruknął Miguel. – Ktoś cię powstrzyma?

Aleks zaczął go ostrożnie obchodzić, kierując się w stronę pokoju z ręcznikami.

– Na co wam pieniądze? – spytał przez ramię. – Przecież jesteście w więzieniu. Co z nich tu za pożytek?

Kubańczycy dreptali za nim krok w krok.

– Jesteś tu nowy, prawda? – odpowiedział Miguel, nadal dumając, ile może być warta śmierć Rosjanina. – Za pieniądze możesz mieć wszystko. Nie ma różnicy tu czy na wolności. Możesz mieć dobrych prawników, papierosy, narkotyki, panienki, a nawet strażników.

Aleks udał, że się zastanawia. Nagle zmienił temat i zapytał:

– Słyszeliście o AOL? America On-line?

Manny i trzeci bezimienny mężczyzna wymienili zdumione spojrzenia. Nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi. Miguel podejrzewał, że mógł o tym słyszeć. Coś sobie przypominał, nie chciał jednak wyjść na durnia, więc skinął głową.

– Jasne i co z tego? – spytał takim tonem, jakby mógł napisać podręcznik na ten temat.

– To nowa sprawa. Firma internetowa, która bardzo szybko zarabia pieniądze. W ciągu kilku następnych lat jej majątek może wzrosnąć czterokrotnie.

Miguel spojrział na kolegów.

– Rada od oszusta, który zrabował w Rosji miliony. Facet ma nas za głupków?

– O czymś zapomniałeś. Nie pamiętasz, że zarobiłem setki milionów?

Nieznaczne skinienie głowy.

– Chodzi o to, że tracicie okazję – kontynuował Aleks, biorąc ręcznik i owijając się w pasie. – Na giełdzie wrze, a wy próbujecie wycisnąć kilka marnych groszy z przegranych facetów, którzy tu siedzą. Łatwa forsa jest na zewnątrz, duża forsa. Całkowicie legalna i uczciwa.

– Więźniowie nie mogą kupować akcji – wtrącił się gniewnie Manny, jakby miało to położyć kres dyskusji. Po tym, co Miguel powiedział mu na temat Rosjanina, oczekiwał wielkiej życiowej szansy, której wypatrują wszyscy skazańcy. Ostatniej nocy Manny nie spał, lecz pocił się w upale, śniąc o forsie i tym, co z nią zrobi.

Podobnie jak reszta Chłopców Mariel Manny złożył wniosek o zwolnienie, który wędrował po sądach. Połączyli środki i wspólnie zatrudnili prawnika, dalekiego kuzyna jednego z członków gangu. Kuzyn zaproponował im dużą zniżkę, pysznił się licznymi sądowymi zwycięstwami i składał mnóstwo szumnych obietnic. Niestety, okazał się całkowitym niewypałem. Oddawał się alkoholowym libacjom i hazardowi, a tracił z oczu ich sprawę. Jediną rzeczą, w której okazał się dobry, było zapominanie o ostatecznym terminie składania odwołań.

Pan Nieudacznik musiał odejść.

Miguel szukał, dopóki nie znalazł idealnego rzecznika. Pan Doskonały był rzezimieszką z Miami, który brał czterysta dolarów za godzinę i potrafił czynić cuda. Należał do Kolumbijczyków, tych jarmarcznych krzykaczy, którzy byli znani z tego, że ich zabójcy, kurierzy narkotykowi i handlarze nigdy nie trafiali do pierdła. Mniejszą częścią sekretu ich powodzenia była mistrzowska znajomość prawa, większą – wiedza o tym, którym sędziom i prokuratorom należy pomóc w spłacie hipoteki domu lub uregulowaniu czesnego za college dzieci. W wolnych chwilach pozwalali facetowi dorabiać na boku.

W najlepszym razie posunięcie to można by uznać za ryzykowne. Pan Doskonały był drogi. Liczba godzin konsultacji szybko rosła. Sprawa mogła się ciągnąć latami. Na dodatek w przypadku tak dużej grupy, całej bandy zbirów, którzy definitywnie nie zaliczali się do wzorowych więźniów, łapówki musiałyby być horrendalne.

Z drugiej strony Pan Doskonały był ich jedyną nadzieją. Kubańczycy bez końca rozmawiali o wyjściu na wolność i przejściu na emeryturę w jakimś małym, leniwym miasteczku na południu Florydy. Mieliby tam dobre życie. Przejeliby kontrolę nad kilku klubami ze striptizem i lombardami, żłopali cerweżę od świtu do zmierzchu, zabawiali się z panienkami i zostawili daleko w tyle stare ponure dni.

Aleks nie spuszczał z oczu Manny'ego, który wydawał się rozszłoszczony i sfrustrowany tym, że ich cel ma takie płytkie kieszenie. Chwycił kolejny ręcznik i zaczął energicznie wycierać włosy.

– Chciałeś pewnie powiedzieć, że nie możecie inwestować pod własnym nazwiskiem – poprawił Manny'ego spokojnym głosem. – Wynajmijcie prawnika, aby rozporządzał waszymi pieniędzmi. Reprezentował wasze interesy. Facet nie będzie mógł puścić pary. Składa przysięgę, że tego nie zrobi.

Miguel rzucił Manny'emu spojrzenie, które mówiło: Ciekawie gada, wyluzuj na chwilę.

- Jak mogłoby to wyglądać? – spytał.
- Prosta sprawa. Pewnie macie już jakiegoś prawnika.
- Pewnie i mamy – odparł Miguel, oglądając się na kumpli.
- Mam przyjaciela, który założy wam konto. Zakładam, że macie sposób porozumiewania się ze światem zewnętrznym. Musi być szybki i niezawodny.



Będziemy codziennie sprzedawali i kupowali. Zainwestujecie w to całą forszę, którą macie. Mogę wskazać akcje dziesięciu firm, których ceny w najbliższym czasie poszybują w górę. Różnice w cenach towarów nigdy nie były bardziej korzystne.

– Jaką mamy pewność, że nie stracisz naszej forsy?

– Wiesz, co to takiego polecenie sprzedaży akcji w chwili osiągnięcia ceny minimalnej?

Miguel udawał, że wie o rzeczach, o których nigdy nie słyszał. Wolno skinął głową.

– Dokonując każdego zakupu akcji, określicie najniższą cenę, którą makler wprowadzi do swojego komputera. Jeśli cena spadnie do tego poziomu, będzie musiał natychmiast je sprzedać. – Aleks wcisnął palcem niewidzialny klawisz. – Jeden ruch i pozbędzie się wszystkiego.

– I nic więcej?

– Przecież mówiłem, że to łatwe, Miguel – powiedział, aby facet podumał chwilę nad interesującym pytaniem, skąd wie, jak ma na imię. Przecież nie zostali sobie przedstawieni. Ile Koniewicz wiedział o Chłopcach Mariel? Kubańczyk zaczął podejrzewać, że Rosjanin oczekiwał wymuszenia z ich strony, może nawet przygotował się do tego.

Nie, nikt nie jest taki sprytny.

Aleks podszedł do szafki z ubraniami, sięgnął po bieliznę i brudny kombinezon, a następnie zaczął się ubierać.

– Nie martw się – ciągnął. – Akcje, które wybiorę, nigdy nie spadną do poziomu sprzedaży. Powiedz swojemu prawnikowi, aby obserwował je przez miesiąc. Jeśli spodoba mu się to, co zobaczy, będzie mógł się przyłączyć do zabawy. Poradzę wam coś lepszego, zawrzyjcie z nim układ. Niech poprowadzi waszą sprawę w zamian za zajęcie się jego inwestycjami.

– A ty? – spytał Manny. – Co ty będziesz z tego miał?

– Ochronę – odparł Aleks, zawiązując sznurówki. – Użyjecie także swoich wpływów, aby załatwić mi nowego towarzysza celi. Nie trawię Erniego. Zmęczyłem się zrywaniem ze ścian zdjęć małych dzieci.

– Prosta sprawa – odparł Miguel za wszystkich trzech. – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Wal śmiało.

W miejsce przyjaznego uśmiechu pojawiła się ponura, groźna mina.

– Wiesz, co się stanie, jeśli stracisz nasze pieniądze, cwaniaczku?

– Tak, czy wyglądam na zmartwionego?

Nie wyglądał. W najmniejszym stopniu.

\* \* \*

Pod koniec pierwszego miesiąca zaczęła się czuć jak w domu w wynajętym mieszkaniu w South Arlington.

Rynek nieruchomości w okręgu Kolumbii miał wyśrubowane ceny. Agentka nieruchomości błagała ją, aby nie spuściła nawet stu tysięcy z żądanej ceny. W końcu ich apartament był w kompleksie Watergate. Czemu miałyby wyrzucać pieniądze w błoto? Sąsiedzi nigdy by jej tego nie wybaczyli, nie wspominając o agentce nieruchomości, która straciłaby na tym około siedmiu tysięcy. Jelena zaparła się i nie ustąpiła. W ciągu dwóch dni ustawiła się kolejka dziesięciu małżeństw skuszonych atrakcyjnym rabatem. Rozpoczęła się krótka, zażarta licytacja. Ceny szybko poszybowały pod sufit. Pył opadł, gdy cena wzrosła o sto dwadzieścia tysięcy, o dwadzieścia przewyższając przeciętną wartość ciasnego apartamentu z dwiema sypialniami w Watergate.

Zwycięzcami okazała się młoda boliwijska para bez dzieci, za to z mnóstwem forsy i szczerym pragnieniem opowiedzenia znajomym, że należą do kręgu lokatorów Watergate. Jelena twardo negocjowała do końca. Sto tysięcy zaliczki w gotówce, przed sprawdzeniem tytułu własności i finalizacją w zawrotnym jak dotychczas tempie. Młoda para tylko raz krótko się zawahała, gdy Jelena wspomniała, jak bardzo podobają się jej warunki zaproponowane przez tych, którzy przegrali licytację. W końcu sto tysięcy gotówką wylądowało na stole.

Do tej pory interesami zajmował się Aleks. Była dumna, że tak sprawnie sobie poradziła. Niezwłocznie wydała dwadzieścia tysięcy dolarów na najwyższej klasy serwer zbudowany przez firmę Sun Microsystem i tanie używane meble biurowe. MP pomógł jej znaleźć mieszkanie w okolicy swojego zniszczonego domu w kiepskiej dzielnicy. Siedemset dolarów za miesiąc było kwotą do przyjęcia. Jelena podpisała umowę najmu jako Ellen Smith. Kilku klientów

MP doskonale znających się na takich sprawach szybko załatwiło jej prawo jazdy i kartę ubezpieczenia na nowe nazwisko. Karty kredytowe można było namierzyć, dlatego uznali je za zbyt niebezpieczne. Przynęła, że będzie płacić za wszystko gotówką.

Właściciel mieszkania nie dał się oszukać. Nic go to nie obchodziło. Połowa jego najemców była nielegalnymi imigrantami. Dopóki płacili w terminie, dolarami, mogli utrzymywać, że są Billem Gatesem. Usługi telefoniczne, numer domowy i komórka zostały zamówione i opłacone przez kancelarię MP.

Jedynym śladem Jeleny Koniewicz było ubezpieczenie samochodu. Zadzwoiła do firmy, od której go wynajęła, i wyjaśniła, że się przeprowadziła, podając biuro MP jako swój nowy adres.

Zabójcy czaili się w pobliżu. Wiedziała, że teraz, gdy Aleks siedzi w więzieniu, tylko do niej mogli dotrzeć. Byli zawodowcami i mieli ogromne doświadczenie. Znali niezliczone sposoby odnalezienia jej i byli gotowi zajrzeć pod każdy kamień. Pierwszy raz była zdana wyłącznie na siebie. Musiała podejmować wszystkie decyzje. Powinna być ostrożna i zdyscyplinowana.

Na studiach Jelena miała zajęcia z programowania komputerowego i była w tym całkiem dobra. Odbyła błyskawiczną podróż do miejscowej księgarni i jej mieszkanie szybko zapełniło się książkami z dziedziny programowania i innych ezoterycznych obszarów informatyki.

Została jej do zrobienia tylko jedna rzecz. Sącząc herbatę, otworzyła karteczkę, którą Aleks przekazał jej w sądzie. Wykręciła zapisany numer i cierpliwie czekała na połączenie.

– Michał Boroski, prywatne biuro usług detektywistycznych – usłyszała męski głos.

– Witaj, Michał. Mówi Jelena Koniewicz. Aleks prosił, abym do ciebie zadzwoniła.

– Rozumiem. Dowiedziałem się właśnie, że jest w więzieniu – odparł Boroski. – Jak się miewa?

– W porządku. Jest tam przypuszczalnie bezpieczniejszy niż na wolności.

– Po krótkiej przerwie dodała: – Od tej chwili dzwoń i przesyłaj wszelkie informacje na adres Ellen Smith. – Szybko podała mu namiary nowego mieszkania i adres poczty elektronicznej, a następnie wyjaśniła: – Materiały, które

wcześniej przesłałeś, umieściliśmy w skrytce bankowej. Przejrzałam je trzy dni temu.

- Niesamowite, prawda?
- To ty jesteś niesamowity, Michaił.
- Aleks wpadł na ten pomysł, to on jest niesamowity.

Uznali, że na pewien czas wystarczy tych niesamowitości.

– Sytuacja uległa zmianie – oznajmiła rzeczowym tonem. – Teraz ja będę się tym zajmowała. Aleks wyjaśnił mi ogólnie, co robisz. Mógłbyś wprowadzić mnie w szczegóły?

- Może to zająć trochę czasu.
- Aleks siedzi w więzieniu, więc mam go aż nadto. Zacznij od początku.

## 27.

Po godzinie jęków i zawodzenia oraz daremnych prób zaprzeczenia towarzyszących gromom i niewybrednym groźbom rzucanym na posłańców długi korowód księgowych w końcu spakował księgi i prawie wybiegł z jego gabinetu. Golicyn oklapł w fotelu, wbijając wzrok w puste białe ściany. Był przygnębiony i wściekły. Spece od liczb byli nieubłagani. Nie darowali mu ani jednego ciosu, nie odpuścili ani jednej rundy.

Bank eksportowo-importowy, perła imperium Golicyn Associates – jedna z ostatnich firm, które przetrwały – balansował na krawędzi przepaści finansowej. Drogocenny monopol na wymianę obcej waluty wygasł dawno temu. Pojawiła się konkurencja, podstępnie proponując korzystniejsze ceny. Przez kilka miesięcy pięcioprocentowa opłata, którą pobierał, pompowała zyski i pozwalała ukryć złe wieści. Klienci odchodzili od nich całymi stadami.

Później nagle zupełnie znikli, w ciągu jednej nocy. Jeszcze wczoraj napływali drobni oszuści, a później, bez żadnego ostrzeżenia, zapanowała ostra anoreksja biznesowa. Golicyn podjął zdecydowane kroki, obniżając wyśrubowaną prowizję do czterech, trzech, a następnie dwóch procent. Tydzień temu sięgnęli marnego jednego procentu. Przy takiej cenie trzeba by setek milionów klientów przepychających ogromne fortuny przez jego sejfy, aby nie musieli zwinąć interesu. Żadnego odzewu. Żadnych nowych klientów. Nawet starzy nie wrócili. Drzwi jego banku zaczęły zasnuwać się pajęczyną.

Zaczął wątpić, że zdołałby zwabić klientów, nawet gdyby to on płacił im pięć procent.

Niepowetowana szkoda spowodowana jednym niefortunnym posunięciem! Jeden z jego starannie wybranych wiceprezesów, znakomity specjalista od kontrwywiadu w dawnym KGB, nabrał przesadnej pewności siebie. Wyluzowany z powodu rozporządzania bankową forszą i uginający się pod ciągłą presją Siergieja Golicyna, który pragnął zysków, podjął dziwaczną decyzję zaangażowania się w grę spekulacyjną. Śmiało postawił miliard na niestabilnego angielskiego funta. W ciągu kilku godzin niemal cała kwota zniknęła. Ten podły amerykański spekulant, Soros, wyśledził jego ruch i przyładował tysiącfuntowym młotem. Stracili siedemset milionów zdaniem tych zezowatych księgowych, którzy godzinę wykładali mu bezlitośnie, dlaczego powinien jak najszybciej ogłosić upadłość. Siedemset milionów!

Golicyn nie umiał znaleźć szczypty pociechy nawet w tym, że spekulant idiota dokończy swój żaloszny żywot na wózku inwalidzkim, sącząc płyny przez rurkę. Dwie rzepki kolanowe rozbite na miazgę. Twarz tak zmieniona, że gościa nie rozpoznałyby nawet własne dzieci. Wielka rzecz! Trudno to uznać za odpowiednie zadośćuczynienie – siedemset milionów odpłynęło w siną dal. Cóż za strata!

Po roku wypełnionym złymi wiadomościami nadeszły jeszcze gorsze. W końcu Golicyn stanął przed ostateczną decyzją – bolesną i upokarzającą. Była ona jednak konieczna, praktyczna i ogromnie spóźniona. Zarządzanie firmą nie było jego mocną stroną. Szczerze mówiąc, nie było już czym zarządzać. Kilka wychudłych szkieletów pośród otchłani zniszczenia. Firma budowlana ogłosiła bankructwo kilka miesięcy temu. Agencja brokerska pogrzyżyła się pod ciężarem dziesięciu tysięcy ton lichej północno-koreańskiej rudy żelaza o tak marnej jakości, że nikt nie chciał jej wziąć za żadną cenę. Padła także firma zajmująca się importem samochodów. Hotele i restauracje trafiły pod młotek kilka miesięcy temu, aby pokryć zobowiązania innych chwiejących się oddziałów koncernu.

Co gorsza, rozpaczliwa walka o utrzymanie na powierzchni firm Koniewicza odwróciła uwagę Siergieja Golicyna od daru, który otrzymał od Boga. Cóż za niepowetowana strata! Niezliczone godziny zmarnowane na spotkania biznesowe, wysłuchiwanie żalosznych kłamstw i wymówek podwładnych, którzy próbowali ukryć przed nim swoją głupotę. Niekończące się pasmo kryzysów

wywoływanych przez żalonych głupków, których miał pod sobą. Od tej chwili skupi całą swoją błyskotliwą uwagę na tym, na czym powinna być skupiona – na rabowaniu majątków i firm innych ludzi.

Wyszedł z gabinetu, zszedł po schodach i usiadł na tylnym siedzeniu swojej wielkiej czarnej limuzyny. Warknął do kierowcy, aby ruszył i jeździł po mieście, dopóki nie otrzyma innego polecenia. Ruch odświeży mu umysł. Nie zaszkodzi też ociupinka lekarstwa. Wyjął butelkę importowanej whisky z barku w przednim siedzeniu i odkręcił nakrętkę. Ostrożnie postawił przed sobą szklanekę. Zdecydowanym ruchem przechylił flaszkę i napełnił naczynie po brzegi.

Pełen determinacji podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer gabinetu na Kremlu, pociągnął spory łyk szkockiej i czekał. Tatiana odebrała po trzecim sygnale.

Stracili kilka minut na ironiczne wymienianie grzeczności i obowiązkowe ploteczki o polityce. Premier miał lada chwila pójść w odставку. Nędzny idiota od składania podpisów, pozbawiony pomysłów na ożywienie kulejącej gospodarki. Wszyscy byli zgodni, że facet jest stuknięty. Poprzedni premier, którego odsunięto wcześniej – gość stuknięty jeszcze bardziej – otrzymał ponowną propozycję objęcia urzędu.

Golicyn bębnił palcami i czekał. Tatiana najwyraźniej cieszyła się możliwością powtarzania jarmarcznych plotek, więc pozwolił jej chwilę trajkotać, zanim przeszedł do interesów.

- Nie jesteś ciekawa, czemu Jurij Chodorin nie przyjął naszej propozycji?
- To twardy orzech do zgryzienia – przytaknęła Tatiana. – Nikoła dostał tęgie lanie.
- Nie on jeden. W końcu udało mi się wprowadzić dwóch agentów do jego firm. Jakimś sposobem obaj zostali zdemaskowani.
- Skąd wiesz?
- Zadbali o to. Otrzymałem bardzo wyraźną wiadomość. Jednego znaleziono w jego samochodzie z podejrzanym gardłem, drugi zaginął bez wieści. Pewnego dnia wyszedł do pracy i nie widziano go od trzech tygodni.
- Musieli być nieudolni – odparła chłodno.
- Wybrałem ich bardzo starannie. Obaj byli doświadczonymi agentami.

Mieli doskonałą przykrywkę.

– Co podejrzewasz?

Po krótkiej przerwie rozległo się kolejne głośne siorbnięcie.

– Chodorin został ostrzeżony – oznajmił Golicyn. – Nie ma innego wytłumaczenia.

– To dobre wyjaśnienie, choć nie jedyne. Jeśli masz rację, kto miałby to zrobić?

– Aleks Koniewicz.

– Niemożliwe.

– Czyżby? Byli kiedyś przyjaciółmi. Konkurowali ze sobą, lecz mimo to się kolegowali.

Tatiana zastanowiła się nad tą hipotezą, a następnie, jak zwykle, zaczęła szukać dziury w całym.

– Jak mógł go powiadomić? Przecież gnije w więzieniu, Siergiej?

– Co z tego? Solżenicyn szmuglował na Zachód całe powieści, choć siedział w najbardziej zapadłym syberyjskim gułagu.

– Czytałam o tym. Spisywał je na papierze toaletowym czy coś w tym rodzaju.

– Wszystko możliwe.

– W jaki sposób Koniewicz odkrył, że dobieramy się do Chodorina?

– Może Chodorin się z nim skontaktował? Może obserwował sytuację?

Nie wiem. Nie ma to większego znaczenia.

– Dwukrotnie użyłeś słowa „może” – zauważyła bez przekonania Tatiana, nie zapominając, że jest prawnikiem.

– Nie mam wątpliwości. Z Chodorinem próbowaliśmy tych samych sztuczek. Włamania do systemu komputerowego, zabójstwa, zamachy bombowe, wizyty milicji, wprowadzenie do środka naszych ludzi... w przypadku Koniewicza przyniosło to spodziewane rezultaty. Chodorin był przygotowany na każde nasze posunięcie. Zaczął grać w naszą grę. To nie szczęście nowicjusza ani pomyślny zbieg okoliczności.

Tatiana zrzuciła buty i oparła stopy o biurko.

– Co sugerujesz?

– Nic wielkiego.

– W takim razie musi istnieć proste rozwiązanie.



– Bo istnieje. Koniewicz musi umrzeć – oznajmił Golicyn. – Im szybciej, tym lepiej. – Szklanka była pusta, więc napełnił ją ponownie. Czuł się wspaniale, wróciwszy do gry, gotów przechytrzyć przeciwnika. W skrytości ducha cieszył się już widokiem wywieszki z napisem „zamknięte” dyndającej na drzwiach jego banku. Jakże miło będzie przebudzić się ponownie i zostawić w tyle wszystkie zmartwienia. Zdecydował, że osobiście ją tam umieści. Krzyżyk na drogę. – Gdzie przebywa obecnie twój cudowny chłopiec? – spytał, próbując ukryć, że z lekka kręci mu się w głowie.

– W więzieniu federalnym w stanie Illinois. Po siedmiu miesiącach spędzonych w Atlancie. Władze uznały, że zbyt dobrze się tam zaaklimatyzował. Poczul się za wygodnie.

– Za wygodnie?

– Tromble twierdzi, że doskonale przystosował się do więziennego życia. Jakiś gang Kubańczyków wziął go pod swoją opiekę. Żyje jak król. Sporządzono szczegółowy raport. Ma w celi hotel, a w więziennej kantine przygotowują mu specjalne posiłki. Dasz wiarę?

Tak, był skłonny w to uwierzyć. Aleks Koniewicz dawno temu przestał go zaskakiwać. Dawno temu przestał też go lekceważyć. Pomyślał, że to tłumaczy, jak przestrzegł przed nimi swojego starego kumpla, Chodorina. Korzystając z pomocy wewnątrz, Koniewicz mógł na milion sposobów porozumiewać się ze światem.

– Nie udało ci się przykręcić mu śruby – stwierdził, lecz uczynił to bez charakterystycznej dla siebie złośliwości.

On również miał do przekazania złe wieści. Złe wieści dla niej. Nie było powodu, aby niepotrzebnie dodatkowo ją irytować.

– Formalnie rzecz biorąc, zawalił Tromble, nie ja. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Zespół naszych prokuratorów wyjechał kilka miesięcy temu. Koniewicz powinien był dawno temu stanąć przed amerykańskim sądem. Sprawa jest wygrana.

– W porządku – zgodził się nad wyraz łatwo Golicyn. – Wszystko to wina Tromble'a.

Nieoczekiwana dobroć Siergieja Golicyna wzbudziła jej podejrzliwość.

– Ukrywasz coś, Siergiej? – prychnęła gniewnie.

Siergiej Golicyn pograżył się w miękkim skórzanym siedzeniu i uśmiechnął do siebie. Bystra *diewoczka*. Szybko opowiedział jej ponurą historię o draniu spekulancie giełdowym, który pograżył ich bank eksportowo-importowy. Jutro o dziewiątej rano zwiną interes. O dziesiątej w całej Moskwie będzie huczało od plotek. Niegdyś potężne imperium Koniewicza wykrwawiło się na śmierć.

Stopy Tatiany uniosły się z biurka i wylądowały na podłodze.

– No, cudownie – jęknęła. – Twoi idioci mnie zrujnowali. Moje akcje są bez wartości.

– Moje również.

– Oszczędź mi tego biadolenia, Siergiej. Masz pieniądze Koniewicza, jego rezydencję i luksusowy apartament w Paryżu. A co mam ja?

Korciło go, by powiedzieć jej prawdę. Zostało ci sto tysięcy pozbawionych wartości udziałów, jesteś splukana i zrozpaczona, musisz żyć z marnej rządowej pensji. Jestem twoją jedyną nadzieją, dlatego potrzebujesz mnie bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Zamiast tego zaczął bębnić palcami w siedzenie, spokojnie popijając szkoczką, podczas gdy ona przeklinała i wylądowywała swoją furię.

W końcu podsunął jej lek na wszystkie zgryzoty:

– Tym bardziej powinniśmy dobrać się do skóry Chodorinowi. Tym razem podzielimy się gotówką. Obiecuję. Każdy otrzyma pięćset milionów, po równo, trzecią część. Podobnie zrobimy z jego papierami wartościowymi. Tym razem sprzedamy wszystko tak szybko, jak to będzie możliwe. Z łatwością zgarniemy kolejny miliard lub więcej. – Przerwał na chwilę, pozwalając jej oswoić się z sytuacją. Była załamana, lecz się nie poddawała. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, już niedługo będzie mogła przypalać papierosy tysiąc dolarowymi banknotami. – Najlepszym sposobem dobrania się do Chodorina jest sprzątnięcie Koniewicza – zasugerował.

– Trudna sprawa. Facet jest poza naszym zasięgiem, za kratkami.

– Trudna, lecz możliwa. Jeśli Chodorin chce z nimi pogrywać, trzeba mu dać surową nauczkę. To niemożliwe, aby z nami wygrał.

– Masz rację – wymamrotała. W końcu pojęła błyskotliwość sugestii Siergieja Golicyna. – Spełnij nasze żądania, w przeciwnym razie osaczymy cię jak zwierzę. Jeśli rząd Stanów Zjednoczonych nie zdołał ochronić Koniewicza, nie ma dla ciebie nadziei. Chodorin się ugnie.

Po krótkiej rozmowie telefonicznej z Nikołą i długim spotkaniu z kilkoma specjalistami z amerykańskiego Departamentu Spraw Zagranicznych Tatiana warknęła do kremlowskiej operatorki, aby za wszelką cenę połączyła ją z dyrektorem FBI. Trzej operatorzy potrzebowali trzydziestu minut, aby do niego dotrzeć. Tromble był w okręgowym biurze FBI na północy Jersey. Siedział wraz z grupą agentów, którzy właśnie rozbili duży gang fałszerzy. Rok temu umieścili w nim swoją wtyczkę. W przeciwieństwie do wielu innych operacji za urzędowania Tromble'a śledztwo było wzorem profesjonalizmu i powściągliwości. Przestrzegali najdrobniejszych wymogów prawa, w żadnym punkcie nie szli na skróty. Dowody były przytłaczające i w opinii ekspertów Departamentu Sprawiedliwości nie do podważenia w sądzie.

Trzech fałszerzy zatrzymano godzinę wcześniej. Tromble przyjechał w samą porę, aby zdążyć na konferencję prasową, ogłosić swoje zwycięstwo i płać się w chwale. Ustawiono podium, a duże stado reporterów i kamerzystów niecierpliwie kręciło się w pobliżu.

Przed chwilą asystent przekazał mu dość szczegółowych informacji, aby zdołał przekonać prasę, że osobiście nadzorował każdy etap śledztwa i zadał mistrzowski cios przestępcom. Asystent przyłożył dłoń do ucha i dał znak szefowi. Tromble zaklął, wyszedł z sali i odebrał telefon komórkowy, który mu podano.

- Co z Koniewiczem? – wypaliła prosto z mostu Tatiana.
- Przykro mi, bez zmian – odparł, spoglądając na zegarek i niecierpliwie oczekując na konferencję prasową. Zjawiły się wszystkie wielkie stacje telewizyjne i przedstawiciele najważniejszych gazet Wschodniego Wybrzeża. – Nadal przebywa w Chicago. Wierz mi, to paskudne więzienie. Jedno z dwóch najgorszych, jakie mamy.
- Siedzi tam już od dwóch miesięcy, John.
- Prawie od trzech – poprawił.
- Minął niemal rok od czasu, gdy obiecałeś go nam przekazać.
- Wiem, przepraszam. Jest twardszy, niż sądziliśmy.
- Jakie są doniesienia z Chicago?
- Niezbyt obiecujące, ale też bardzo intrygujące. W jakiś sposób skumał

się z gangiem czarnych.

- Przecież jest biały. Przestali dyskryminować białych?
- Nie... gość potrafi zdumiewająco dobrze się przystosować...
- Słuchaj, miałeś swoją szansę – warknęła agresywnie. – Teraz ja chciałabym spróbować.
- Co ty pleciesz?
- Przeprowadziłam rozmowę z naszymi ekspertami od waszego więzienia. Chcę, abyście znaleźli mu coś gorszego. Znacznie gorszego i bardziej przerażającego.

Wyprowadziła go z równowagi i nie zamierzał tego ukrywać.

- Znam nasze więzienia lepiej od tych waszych ekspertów! Zakłady penitencjarne w Atlancie i Chicago są najgorsze!
- To najgorsze z więzień federalnych. Z pewnością nie są najgorsze ze wszystkich. Żadną miarą.
- Może to i prawda, lecz mam władzę jedynie nad zakładami federalnymi.
- O ile wiem, wasz Zarząd Więziennictwa czasami korzysta z usług stanowych zakładów karnych – ciągnęła niespieszona.
- Tak, czasami, aby uniknąć nadmiernego zagęszczenia. Czasami korzystamy chwilowo z ich pomocy, do momentu osadzenia skazanego w docelowym zakładzie. Co z tego?
- Słyszałam, że więzienie stanowe w Yumie jest niewyobraźalnie potworne. Pełne przemocy, zabójstw i gwałtów.
- Fakt... nie jest tam najprzyjemniej. Parchmann w Missisipi jest przepysznie jeszcze gorsze...
- Czy ty mnie słuchasz, John?! Teraz moja kolej, czy ci się to podoba, czy nie.

Tromble opanował gniew.

- Czego chcesz?
- Przenieś go do Yumy. Natychmiast.
- Jest w Chicago zaledwie trzy miesiące.
- Zbliży się lato, a w Yumie nie działa klimatyzacja. Chcę, aby pocił się w temperaturze czterdziestu stopni, zamknięty w ciasnej celi z jakimś socjopatą. Niech przebywa z innymi więźniami, podle się odżywia i ustawicznie martwi. Chcę, aby jego życie stało się godne pożalowania, jak nigdy dotąd.

- Myślę, że da się to załatwić.
- Gdybym chciała mieć swoich agentów w Moskwie, osobiście bym tego dopilnowała. Wprawiliś mnie w zakłopotanie wobec przełożonych, John. Jesteś mi to winien za rok upokorzeń i kiepskich wymówek.

Rozłączyła się, zanim Tromble zdołał odpowiedzieć. Odchyliła się w fotelu i położyła stopy na biurku. Zakład w Yumie został wybrany przez Nikołą. Siedziało tam dziesięciu Rosjan, a trzech z nich było płatnymi zabójcami o imponujących referencjach. Nikoła zaklinał się na wszystkie świętości, że jeden z nich wykona robotę.

Dzięki uprzejmości Siergieja Golicyna i jego tłustemu portfelowi złożono hojną propozycję – pięćset tysięcy dla tego, kto sprzątnie Koniewicza. Znajdą sposób, aby wiadomość przedostała się do środka i nie trzeba będzie długo czekać na efekty.

Następny pomysł był dziełem Tatiany Aby skłonić chłopaków do szybszego działania, co miesiąc nagroda miała ulegać obniżeniu o sto tysięcy.

## 28.

Naczelnik Byron James odchylił się w fotelu, kontemplując lśniące czubki swoich wypolerowanych butów. Spojrzał na odbicie twarzy agenta specjalnego Terrence'a Hanrahana i oznajmił:

- Nie powinno nam to zająć dużo czasu.
- Jest pan pewny?
- Jak cholera. Proszę popytać. Nasze więzienie to najobrzydliwszy kanał ściekowy w Ameryce – oznajmił głośno, cmokając i promieniując dumą z powodu tej przechwałki.

- Gdzie go umieściliście?

Byron James uśmiechnął się z wolna.

- Na początek daliśmy gościa do karceru. Siedział tam tydzień.

Dzisiaj przenosimy go do skrzydła D.

- Co to za część? O podwyższonym rygorze?

Naczelnik opuścił nogi na podłogę i nachylił się do przodu.

- Poprzestanę na stwierdzeniu, że nie przebywa w najlepszym towarzystwie.

- Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej.

– Skrzydło D jest przeznaczone dla osób niepożądanych. Znanych handlarzy narkotyków, uczestników gwałtów zbiorowych, mafijnych bandziorów i krnąbrnych facetów, którzy nie poddają się resocjalizacji. Na dodatek ma nowego kolegę w celi. Bitchy'ego Beatty'ego.

- Czy ta ksywa powinna mi coś mówić?
- Gdybyś był jednym z więźniów... jak najbardziej.

Hanrahan wyczuł, że lepiej byłoby nie wiedzieć. Gdyby został wezwany do sądu, najlepszą obroną byłyby całkowita niewiedza. Mimo to ciekawość wzięła górę.

- Opowiedz mi o tym... Bitchym...
- Bitchym Beattym. Nazywali go też Bennym Beattym. Może to nazwisko jest ci lepiej znane.
- Ach... ten Beatty.
- Właśnie. Tak go nazywali przed tamtą brutalną napaścią. – Hanrahan przypomniał sobie niejasno sprawę sprzed trzech lat.

Beatty, zawodnik jednego z college'ów w Kansas, grający wówczas drugi rok w zawodowej drużynie futbolowej Arizona, wpadł do szatni Jetsów z Nowego Jorku z kijem baseballowym, po tym jak jego drużyna dostała wycisk w meczu o mistrzostwo. Przeszedł przez szatnię niczym tańczący derwisz, raniąc brutalnie piętnastu graczy przeciwnej drużyny. Kiedy go obezwładniono, szatnia była pełna wybitych zębów i pogruchotanych kości. Zmiażdżył trzy rzepki kolanowe i utoczył tyle litrów krwi, że nikt nie zliczył.

Otrzymał wyższy wyrok, choć za jego przestępstwo groziło od dziesięciu do dwudziestu lat więzienia. Sędzia był zagorzałym kibicem Jetsów. Okazało się, że do odtworzenia zespołu będą potrzebowali od pięciu do dziesięciu lat. Sędzia wpadł we wściekłość, zignorował zalecenia kodeksu i wymierzył Beatty'emu dwukrotnie wyższą karę. Apelacja była w toku. Podstawy były mocne, lecz z wszystkich sądów wniosek obrony miał rozpatrywać akurat sąd apelacyjny w Nowym Jorku. Prawnicy Beatty'ego nie byli optymistami.

- Skąd się wzięła jego ksywa?
- To skrót od *bitchmaker*, męski gwałciciel. Staremu Beatty'emu bardzo brakuje fanek. – Naczelnik James uśmiechnął się szeroko do obecnych w pokoju. – Traktuje kolegów z celi jako ich namiastkę.

Dwaj agenci specjalni, którzy stali oparci o ścianę, zarechotali. Zrobili to bez przekonania, wymuszenie. Tylko tyle, ile wymagała uprzejmość.

Trzecie więzienie w ciągu roku. Trzeci zadufany naczelnik pewny, że bez trudu złamie Koniewicza. Rosjanin przystosowywał się do nowego zakładu szybko i ze zdumiewającą łatwością. Bez dwóch zdań.

Jako więzień federalny korzystał z jednego prawa, którego bardzo pragnęli go pozbawić – comiesięcznych odwiedzin ślicznej żony, która zjawiała się

punktualnie jak w zegarku. Niezależnie od tego, gdzie go przenieśli, niezależnie od tego, w jakim sekrecie to trzymali, w jakiś sposób dowiadywała się, gdzie przebywa. Federalni śledzili jego korespondencję, co było stosunkowo łatwe, zważywszy na to, że nie było żadnej – przychodzącej ani wychodzącej. Wścibscy prawnicy zasypywali władze więzienne pytaniami o miejsce jego pobytu, lecz na żadne nie udzielono odpowiedzi. Mimo to Jelena Koniewicz zawsze wiedziała.

Koniewicz odwiedzał bibliotekę ze zdumiewającą regularnością. FBI dotarło do dokumentów i z głębokim zainteresowaniem śledziło literackie pasje Aleksa. Książki prawnicze były typową lekturą osadzonych. Żadnych niespodzianek. Wszyscy więźniowie pragnęli pójść śladem Clarence'a Darrowa i sprawić się lepiej od tych niekompetentnych głupków, którzy pokpili ich sprawę i przez których wylądowali w pudle. Co drugi dzień brał książki o komputerach i językach programowania, Fortranie i Cobolu, oraz Internecie, na którego punkcie bzikowały dzieciaki. Kilka razy w tygodniu dopadał stojący w bibliotece komputer i pisał z taką prędkością, że klawiatura niemal dymiła. Nie mieli pojęcia, czemu to robi.

Hanrahan podkreślił z naciskiem, zwracając się do ściany, jakby nie mówił do nikogo konkretnego:

- Wie pan, jakie to dla nas ważne...
- Oczywiście, dostałem telefon z centrali. Powiedzieli, że waszemu szefowi, panu Tromble, cholernie na tym zależy.

Hanrahan mówił dalej, nie odwracając wzroku od ściany, jakby nie rozmawiał z naczelnikiem:

- Proszę znaleźć sposób ograniczenia jego praw. Dokręcić mu śrubę tak szybko i mocno, jak pan zdoła.

Naczelnik odpowiedział w podobnym stylu.

- Cóż, gość mógłby się niegrzecznie zachowywać lub coś w tym rodzaju – zaczął snuć przypuszczenia, nie patrząc na Hanrahana, lecz na jakiś niewidzialny punkt sufitu. – Musiałbym wówczas zastosować środki dyscyplinarne.

- Tak, jakie?
- Kilka dni odosobnienia powinno do niego przemówić.
- To na nic, proszę mi wierzyć. Próbowano tego w dwóch poprzednich więzieniach. Facet przybiera jakąś pozycję jogi i zapada w trans. Właściwie



wydaje się rad z samotności.

– Dwóch...? Sądziłem, że gość wcześniej nie siedział.

– Przepraszam, że nie wspomniałem... wasze więzienie jest trzecie. W dwóch poprzednich wykazał się rzadką umiejętnością zawiązywania koalicji i wynajdywania ludzi, którzy mogliby go chronić. Jest sprytny. Nie mamy pojęcia, jak tego dokonał.

Naczelnik odchylił się na krześle i splótł dłonie za głową.

– Wasz chłoptaş nie miał szczęścia trafić na mnie – oznajmił tonem przechwałki. – Spytajcie ludzi. Władze zawsze przysyłają mi najgorszych twardzieli. Mam swoje sposoby, by ich złamać.

Dwaj agenci oparci o ścianę wymienili uśmiechy. Słyszeli podobną gadkę, niemal słowo w słowo, od dwóch poprzednich naczelników. W każdym z zakładów karnych po kilku tygodniach Koniewicz bratał się na wybiegu z najgorszymi pieprzonymi gnojkami, dostawał dodatkowe porcje w stołówce oraz wszystkie hojne dary i przywileje, nawet od strażników.

Chociaż mieli nadzieję, że tym razem będzie inaczej, obawiali się, że Aleks Koniewicz ponownie znajdzie sposób, aby przechytryć tego napuszonego durnia.

\* \* \*

Bitchy usychał z tęsknoty za futbolem. W sumie w więzieniu nie było tak źle, a życie tu nie różniło się tak bardzo od życia na wolności. Tak czy inaczej spędzał czas podobnie jak za wspaniałych czasów w NFL, obzerając się ile wlezie, podnosząc ciężary na dziedzińcu i rozwalając łby, gdy przyszła mu na to ochota. Ponury nastrój sprawił, że dodał kolejnych osiemnaście kilogramów do stu dwudziestu, które ważył w chwili przybycia. Wszystko to były twarde mięśnie.

W college'u miał fatalne oceny, ale nie dlatego, że był głupi. Wręcz przeciwnie. Nieźle mu się żyło – mógł mieć wszystkie śliczne małe cheerleaderki, jakie chciał, i bystre małe ochotniczki, gotowe odrabiać za niego pracę domową. Jaki sens trzymać nos w książkach, skoro wokół czaiło się tyle pokus? Podobnie jak wiele gwiazd futbolu, poza boiskiem był ustawicznie psuty i hołubiony, więc nie powinno nikogo dziwić, że miał kilka poważnych problemów z kontrolowaniem impulsów. Tak czy inaczej, władze college'u postanowiły, że bez względu na

wszystko ukończy szkołę jako członek stowarzyszenia Phi Beta. Nawet jeśli w ogóle nie pojawi się na zajęciach, co mu się często zdarzało.

Nowy chłopak leżał na dolnej pryczy z nosem wetkniętym w książkę o tworzeniu stron internetowych. Był śliczny, naprawdę uroczy. Może ciut za wysoki jak na jego gust, lecz w życiu, kurna, przyda się odrobina różnorodności, nie? Przekręcił ogromne cielsko na bok i spojrzął w dół.

- Słyszałem, że niedawno cię przenieśli – zagaił.
- To moje trzecie więzienie w tym roku.
- Za co cię wpakowali do tego wstrętnego pierdła?
- Za poważne okaleczenie.
- Kurna, a co to takiego?
- Poważnie okaleczyłem jednego gościa. Nie zabiłem go, choć później pewnie żałował, że tego nie zrobiłem. – Aleks niby od niechcenia przewrócił kartkę, kontynuując czytanie.

Bitchy podrapał się w głowę.

- To dla mnie coś nowego.
- W kodeksie karnym poważne okaleczenie jest pomiędzy napaścią pierwszego i drugiego stopnia. Rozumiesz, w tym waszym amerykańskim prawie wszystko zależy od zamiaru. Ja, widzisz, nie miałem zamiaru tamtego zabić.

- Jesteś prawnikiem czy co? – Bitchy nienawidził prawników. Żałowny błazen, który go bronił i brał pięćset doliczów za godzinę, nawet nie pisnął, gdy sędzia wymierzył mu podwójną karę. Chętnie przeleciałby jakiegoś adwokata.

- Skądże.

Bitchy zeskoczył z pryczy i z kocią zwinnością wylądował na posadzce. Był tak cholernie duży i zwalisty, że przeciwnicy zwykle nie doceniali jego szybkości, zmysłu równowagi i zręczności. Kiedy Bitchy dostawał ich w swoje olbrzymie łapska, wszystko stawało się nagle przerażająco jasne.

Położył rękę na rozporku, pragnąc przedstawić nowemu koledze pana Johnstona.

Aleks spokojnie zamknął książkę i spojrzął na niego.

- Wykastrowałem jednego gościa – poinformował Bitchy'ego chłodno i rzeczowo. – Facet próbował mnie zgwałcić pod prysznicem. Kiedy zasnął, obciąłem mu fiuta, a gdy wił się z bólu, pociąłem go w drobne kawałeczki.

Wiesz czemu, Benny? – przerwał, aby Benny mógł się zastanowić nad tym intrygującym pytaniem. – Aby nie mogli mu go przyszyć.

Dłoń Bitchy'ego odsunęła się od rozporka i zagłębiła w kieszeni.

– Mówili, że byłeś zawodowym futbolistą – ciągnął Aleks.

Dziwnie to ujął, lecz Bitchy przytaknął:

– Tak, co z tego?

– Dobrze płacili?

Zaczynało się robić jakoś dziwnie.

– Gdzie tam dobrze, wspaniale.

– Ile?

– Pięć milionów za podpisanie kontraktu, trzy miliony rocznej pensji.

Czemu pytasz?

– Co zrobiłeś z forszą?

– Nie twój pieprzony interes.

Aleks odłożył książkę i oparł się plecami o ścianę.

– Pewnie wydałeś wszystko na prawników.

Bitchy przywarł plecami do muru. Miał ochotę na męskie amory, lecz odniósł wrażenie, że tamten chciałby chwilę pogawędzić, zanim przejdą do rzeczy. Przynajmniej nie wrzeszczał i nie miotał się po celi jak jego ostatni towarzysz. Na dodatek jego rosyjski akcent był naprawdę spoko.

– Mam miliony. Kiedy zostaną trzy, prawnicy będą mogli się walić. Zrezygnuję z apelacji.

– Mądry ruch. Jak je zainwestowałeś?

– Forsa jest w banku, a niby gdzie miałyby być?

– Nikt ci nie powiedział, że to głupie?

Bitchy odepchnął się od ściany. Wyciągnął dłoń z kieszeni, zaciskając ją w ogromną pięść.

– Uważaj, co mówisz. Jesteś głupcem, jeśli nazywasz mnie głupim.

– Wyluzuj, Benny. Nie powiedziałem, że jesteś głupi. Powiedziałem, że lokowanie pieniędzy w banku jest grupie.

– Będą tam nadal, gdy wyjdę. To niby ma być głupie?

– Mogłoby czekać na ciebie znacznie więcej. Czy tak nie byłoby mądrzej, przyjacielu?

– W porządku, cwaniaczku, co niby byłoby mądrzejsze?

– Zainwestowanie forsy we właściwe akcje, dzięki czemu znacznie się pomnożą. Dobrze i bezpiecznie jest także inwestowanie w nieruchomości.

– Nie znam się na tym.

– Słyszałeś o Qualcomm, Benny?

Bitchy zarechotał.

– Jasne, kupuję to w aptece, gdy dostanę grzybicy. – Zarechotał jeszcze głośniej.

– Można ich porównać do dostawcy grzybów. Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Qualcomm to coś, co rośnie znacznie wolniej... mam na myśli długoterminowe inwestycje – wyjaśnił Aleks bardzo poważnie. – To firma, która opatentowała fantastyczny sposób przesyłania kablem lub światłowodem dźwięku i informacji. Wartość ich akcji wzrośnie czterokrotnie. Rozumiesz różnicę między multipleksowaniem TDM a CDMA?

Mogę sobie darować takie pytania.

– Pozwól, że wyjaśnię ci sytuację. Jeśli będziesz chciał mnie zgwałcić, przypuszczalnie nie zdołam cię powstrzymać. Oczywiście, później będziesz musiał spać z jednym okiem otwartym. Będziesz się zastanawiał, kiedy ten stuknięty Ruski obetnie mi fiuta. – Aleks machnął ręką. – Z pewnością to zrobi... tylko kiedy?

Powiedział to takim rzeczowym tonem, że Bitchy nie poczuł się urażony. Dodatkowo pomogło użycie formy trzeciej osoby, dzięki czemu groźba stała się nieco mniej osobista.

– Mogę też – ciągnął Aleks – zostać twoim doradcą inwestycyjnym. Podwoję lub potroję twój majątek. Nawiasem mówiąc, to bardzo ostrożny szacunek. Tak się składa, że doskonale znam rosyjski rynek. Bardzo mądrym posunięciem będzie zainwestowanie gotówki w amerykańskie kwity depozytowe. Ostatnio opłacalne są też instrumenty pochodne.

Aleks klepnął materac. Szerokie siedzenie Bitchy'ego wylądowało na przy- czy obok niego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Właśnie dlatego mnie potrzebujesz, Benny.

– Chcesz to zrobić tylko za to, że cię nie zgwałcę?

– W więzieniu jest wielu atrakcyjnych mężczyzn. Rób, co chcesz, tylko nie ze mną, zgoda?

- Będę musiał cię chronić?
- Nie, nie będzie to częścią naszej umowy.
- Jeśli zarobisz dla mnie tyle szmalu, zarznę każdego, kto się do ciebie zbliży.

Aleks wzruszył obojętnie ramionami.

- Na twoim miejscu postąpiłbym podobnie.
- Jak to zrobisz?
- Łatwiej, niż myślisz. Na oddziale jest pewnie z piętnaście lub dwadzieścia przemyconych telefonów komórkowych, mam rację?

Bitchy skinął głową, choć przypuszczalnie telefonów było pięćdziesiąt. Klawisze na nie polowali, lecz urządzenia stawały się coraz mniejsze, więc coraz łatwiej było je ukryć. Bitchy wiedział przynajmniej o czterech ukrytych w więziennej pralni. Kolejnych sześć było w kuchni. Wystarczyło wykręcić kilka rąk i będzie miał wszystkie.

– Załatw mi trzy, Benny. Baterie szybko się zużywają, a w celi trudno je doładować. Pokryjesz koszty. Wierz mi, będzie cię na to stać. Będę ich używał do zarządzania twoją forszą i dzwonienia do tego, do kogo zechcę.

- A jeśli pokpisz sprawę i stracę forszę?
- Będę na dolnej pryczy. Jeśli nie dotrzymam umowy, nie będziesz do niczego zobowiązany.

Bitchy złożył ręce na piersi i spojrzał na przeciwległą ścianę. Z całej chmary zawodowych „doradców inwestycyjnych” spoglądających chciwie na najnowszą partię dwudziestodwuletnich, niewykształconych milionerów, żaden chciwy papla nie złożył mu propozycji, która choćby nieznacznie przypominała ofertę Koniewicza. Na dodatek, gdyby wszystko stracili z powodu swojej niekompetencji, powiedzieliby tylko, trudno koleś, *sayonara*.

Ilu doradców inwestycyjnych powiedziałoby, że jeśli nie dotrzymają obietnicy, potulnie przyjmą karę?

- Zgoda – rzekł Bitchy, wyciągając dłonie z kieszeni.
  - Coś jeszcze. Nauczę cię, jak to robić. Skoro zarobię dla ciebie tę forszę, nie chcę, abyś ją stracił, kiedy tylko się odwrócę.
  - Będzie bolało?
  - Odrobinę, Benny.
- Zarechotał.

- Jeszcze jedno – odparł Aleks, wracając do przerwanej lektury.
- Co?
- Zawiadom innych więźniów. W dwóch ostatnich zakładach karnych połączyliśmy forsy i znacznie zwiększyliśmy naszą siłę nabywczą. Im więcej forsy, tym lepiej.

\* \* \*

Po jedenastu miesiącach od dnia procesu Koniewicza Kim Parrish ponownie stanęła do długo odwlekanego pojedynku.

Sześć miesięcy wcześniej przybył zespół rosyjskich prokuratorów. Czterej mężczyźni nosili topornie skrojone garnitury z bliżej nieokreślonego taniego materiału. Tylko jeden mówił słabo po angielsku, znał słowa w rodzaju „proszę”, „dziękuję” i „tak”, choć częściej posługiwał się słowem „nie” i zdumiewającą gamą ordynarnych przekleństw.

FBI zapłaciło za różne drobiazgi i ulokowało przyjezdnych w śródmiejskim Hiltonie. Rosjanie natychmiast wszczęli zgilek, narzekając na podłe zakwaterowanie. Aby uciszyć krzyki, przenieśli ich kilka przecnic dalej do Madison, do zdecydowanie bardziej reprezentacyjnego apartamentu. Skargi nie ustały, dopóki nie zrezygnowano z mieszkania w Madison i nie przeniesiono każdego do osobnego apartamentu, którego miesięczny czynsz sięgał tysiąca dolarów.

Panowie jadali śniadania, lunchy i obiady w najdroższych restauracjach Georgetown, wypożyczyli dwa mercedesy, odlotową czarną corvette i lśniącego czerwonego maserati. Spędzali pięciodniowe weekendy, siejąc postrach w Kalifornii i na Florydzie, aby w końcu zapalać głęboką miłością do Las Vegas i okolicznych zalegalizowanych burdeli. Oczywiście wszystkimi rachunkami obciążali FBI. Bilety lotnicze pierwszej klasy, wydatki na dziwki i przegrane w kasynach szybko urosły do ogromnych rozmiarów. Weksle wystawiali na federalnych. Pili do świtu, wszczynali bójki w barach, czterokrotnie zostali zatrzymani za prowadzenie samochodu po pijanemu, rozbili maserati, przytarli mercedesa, także tym dobrodziejstwem obarczając FBI.

Przybyli do Stanów z dwoma tuzinami dużych skrzynek wypełnionych dokumentami. Oczywiście wszystkie były po rosyjsku.

Każde słowo trzeba było zmusić i skrupulatnie przetłumaczyć na angielski.

Kim straciła dwa tygodnie na znalezienie kompetentnego tłumacza. Kiedy okazało się, że dokumenty to istny labirynt rosyjskiego prawa, tłumacz się wycofał. Kim przeprowadziła rozmowę z tuzinem innych. Z kilkoma absolwentami amerykańskich college'ów, których życiorysy nie były nawet w przybliżeniu tak imponujące jak ich rzekoma biegłość językowa, i pięcioma rosyjskimi emigrantami, którzy oblali test z angielskiego. W końcu wybrała emerytowanego redaktora, który przełożył dwa tomy opowiadań Tolstoja, uznając, że ten będzie najlepszy. Facet rzucił okiem na dwanaście skrzyń i czmychnął.

Wreszcie panna Parrish przejechała na drugą stronę rzeki do rozległej centrali CIA w Langley. Uprzedziła o swoim przybyciu i została powitana przez pracownika sekcji rosyjskiej. Zwięźle przedstawiła problem w ogromnym marmurowym holu na parterze. Pan Szpieg uśmiechnął się pocieszająco i stwierdził, że zna odpowiedniego człowieka. Na kartce papieru zapisał nazwisko i numer telefonu rosyjskiego ekspatrianta, Piotra Arbatowa, byłego majora KGB, który uciekł do Stanów. Piotr ukończył prawo na Uniwersytecie Moskiewskim, a w ciągu piętnastu lat pobytu w Ameryce uzyskał tytuł doktora na Uniwersytecie Katolickim. Gość brał sześćset dolarów za godzinę – stawka wywarłaby wrażenie nawet w najdroższej firmie z Nowego Jorku. Upierał się, że nie przełoży „da” na „tak” nawet za centa mniej. Cena była oburzająca, znacznie przewyższająca tę, którą Parrish była skłonna zapłacić. W końcu na nią przystała.

W końcu Piotr prześle wszystkie rachunki FBI. Jeśli federalni przelknęli wydatki rosyjskich kowbojów szalejących niczym bogaci arabscy playboye, nie powinni mrugnąć z powodu uzasadnionych kosztów prawnych.

Kim wynajęła skromne umeblowane mieszkanie na czwartym piętrze, przy Connecticut Avenue. Wciągnęli skrzynie, podwinęli rękawy i zaczęli się przedzierać przez gąszcz dokumentów. Piotr okazał się rzadkim okazem chłodnego profesjonalisty – niskim, szczupłym, małomównym mężczyzną, bez reszty skoncentrowanym na swojej pracy. Jadł tylko jeden posiłek dziennie – wodnisty wywar, który przynosił z domu i ostrożnie wsuwał łyżką do ust.

Zważywszy na skąpą ilość strawy, można było uznać za cud, że żyje, a za jeszcze większy to, że daje sobie radę z takim nawałem pracy. Obłożył się rosyjskimi i angielskimi słownikami, przekładając każdy dokument słowo w słowo.

On dyktował, ona pisała. Ponieważ płacili mu sześćset dolarów za godzinę, unikali kosztownych pogaduszek. W zawrotnym tempie przełożyli trzy czwarte materiału, bo niczego nie marnotrawili – czasu ani słów. Po czterech miesiącach i dwudziestu dniach pracy po osiemnastu godzin dziennie nie miała pojęcia, czy Piotr jest żonaty, ma raka, dzieci, jest biedny, bogaty lub mieszka na ulicy.

Była niezmiernie zdumiona, gdy pewnego dnia rzucił na stół jeden z dokumentów i odwrócił się w jej stronę.

– Musimy pomówić.

– O czym?

– Chcesz wiedzieć, czym zajmowałem się w KGB, Kim? Nigdy o to nie pytałaś.

– Byłeś prawnikiem?

– Coś w tym rodzaju. Byłem prawnikiem w pojęciu KGB.

– Co to znaczy?

– Pracowałem w sekcji prawnej, która zajmowała się wyjątkowymi sprawami.

– Co z tego? Wszyscy w czymś się specjalizujemy. Moją specjalnością jest prawo imigracyjne.

– Spytaj o moją.

Postanowiła, że mu dogodzi.

– Jaką miałaś specjalność, Piotrze?

– Wrabianie. Wrabiałem ludzi, Kim. – Pozwolił, by to przyprawiające o mdłości wyznanie do niej dotarło, i kontynuował. – Tylko najważniejsze obiekty. Byłem w tym najlepszy, Kim. Byłem utalentowanym, wyróżniającym się prawnikiem. Mógłbym oskarżyć każdego, przygotować materiał pozbawiony prawnych wad. Sekretarza generalnego, zasłużonego marszałka Związku Radzieckiego, poetę, który otrzymał Nagrodę Nobla. Bez znaczenia. Dosłownie każdego, Kim. Dawali mi nazwisko, a ja zabierałem się do roboty. Kiedy skończyłem, każda ława przysięgłych lub sędzia byliby skłonni uwierzyć, że oskarżony to kapitalistyczna świnka z dziesięcioma milionami na szwajcarskim koncie, że uprawiał seks z własnymi dziećmi i żył tylko po to, aby niszczyć *rodinu*.

– Czy dlatego uciekłeś? Z powodu wyrzutów sumienia?



Odwrócił głowę.

– Żałuję, że nie mogę przytaknąć – odpowiedział, garbiąc się. – Obawiam się, że nie jestem taki szlachetny.

– Co się stało?

– Pewnego dnia poszedłem do kolegi z mojej sekcji. Był moim dobrym przyjacielem od dwudziestu lat, pracował troje drzwi dalej. Na chwilę wyszedł do ubikacji. Zrobił coś niewiarygodnie głupiego, nie zamknął za sobą drzwi. Musisz wiedzieć, że było to niezgodne z obowiązującą procedurą. Coś niewyobrażalnie lekkomyślnego. Wszedłem do środka. Wszędzie leżały dokumenty. Na biurku, podłodze... wszędzie. Najwyraźniej pracował nad tym od dawna.

– Nad czym?

– Rozpracowywał mnie, Kim. Przygotowywał sprawę przeciwko mnie. Przynęła się bliżej, tak że niemal dotknęła jego twarzy.

– Dlaczego?

Odwrócił wzrok.

– Godzinę później obejmowałem agenta CIA z waszej ambasady, błagając go o pomoc. Płakałem, Kim. Obiecałem, że dam mu wszystko, czego zażąda jego szef. Wszystko. KGB chciało mi zrobić to, co zrobiłem tyłu innym. Byłem sparaliżowany ze strachu. Zdradziłbym wszystkie tajemnice. Wywieźli mnie następnego ranka. – Zrezygnowanym tonem dodał: – Nie miałem okazji spytać starego druha, czemu to zrobił.

– Musiałeś mieć jakieś podejrzenia.

– Pewnie chodziło o rywalizację. Widzisz, Kim, byłem najlepszy. Potrafiłem zamienić świętą w nierządnicę, papieża w stręczyciela, w kogo tylko chcieli. Właśnie otwierał się wakat na stanowisku szefa sekcji. Obaj mieliśmy na niego chrapkę. Większy gabinet, auto z szoferem, dwa tygodnie w roku w zaniedbanym pensjonacie KGB na Ukrainie. Tak działają ludzie z KGB.

– Rozumiem.

Przynął krzesło w jej stronę i oparł kościste łokcie na chudych kolanach.

– Nie traktuj pogardliwie mojej pracy. Nie masz pojęcia, ile fachowej wiedzy i artyzmu wymagała. Wszystko musiało idealnie wyglądać, Kim. Sfałszowane dokumenty miały odpowiednie daty, były wydrukowane odpowiednią

czcionką, nosiły identyczne podpisy. Wszystkich świadków trzeba było przyuczyć, odpowiednio zaaranżować zeznania. Cała ta milicyjna i prawnicza robota, cały ten teatr spoczywał na moich barkach. Musiałem wymyślić przestępstwo, wysać je z palca, Kim. Później trzeba było wykopać fosę i zbudować niezdojany zamek. Trzeba było uwzględnić wszystkie szczegóły, połączyć wątki. Było to znacznie trudniejsze od sformułowania autentycznego aktu oskarżenia opartego na faktach.

– Nie pomyślałabym o tym.

Piotr podniósł dokument i zaczął go czytać od nowa, przenosząc się z przeszłości do chwili obecnej. Upłynęła niemal godzina, zanim ponownie podniósł głowę i spytał od niechcienia:

– Co sądzisz o akcie oskarżenia przeciwko Koniewiczowi?

Odłożyła czytany dokument i spojrzała na niego znad kartki papieru.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Sądziłam, że ci czterej głupcy, których nam przysłali, to nędzne pijaczyny. Ludzie całkiem bezużyteczni.

– A teraz?

– Myślę, że byłam w błędzie. Są dobrzy. Naprawdę dobrzy. Wykonali swoje zadanie.

– Czy te materiały przekonają waszego sędziego?

Kim się uśmiechnęła.

– Koniewiczowie wrócą do Moskwy w mgnieniu oka. – Po chwili spytała:

– A ty, co o tym sądzisz?

– Przypuszczalnie masz rację.

– Żałuję, że nie miałam tych materiałów podczas pierwszego procesu.

Piotr skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że rozumie.

– Jak sądzisz, jaki los czeka ich w Rosji?

– To nie mój problem.

– Przepraszam, nie chciałem cię obrazić. Nie możesz się przejmować losem ludzi, których wykopiesz z kraju.

Wrócili do roboty, do poprzedniego stylu pracy, ignorując się przez kolejną godzinę. Piotr wertował swoje ukochane słowniki i kreślił długie, bezładne notatki na marginesie jakiegoś dokumentu. Kim podniosła głowę znad

klawiatury, mozolnie zapisując kolejny przetłumaczony dokument na twardym dysku, a przynajmniej próbując to zrobić. Popępiała błąd po błędzie. Poprawiała jakiś fragment, a następnie korygowała wprowadzoną poprawkę, by ponownie popełnić ten sam błąd. Umysł i palce sprawiały wrażenie zupełnie oddzielonych.

Rzuciła głośne przekleństwo i odepchnęła się od biurka. Przesunęła się na krzesło, stając w odległości kilkunastu centymetrów od Piotra.

– W porządku, co się z nimi stanie?

– A jak sądzisz? – spytał cicho, zamykając gruby słownik.

– Zostaną postawieni przed sądem i najprawdopodobniej skazani. Nikogo nie zabili, więc pewnie skończą w więzieniu. – Nie odpowiedział. – Popatrz tylko, wszystkie te skrzynie zawierają dowody dostarczone przez Rosjan – powiedziała z naciskiem, okazując coraz większe zdenerwowanie. – Czy nie jest to dowodem ich zamiarów? Czemu mieliby zadawać sobie tyle trudu, gdyby nie zamierzali postawić ich przed sądem?

– Skoro tak uważasz – odparł z lekkim uśmiechem. Odpowiedź była bardziej niż oczywista. Wiedziała o tym. Po miesiącach mozolnej pracy i ciągłych nacisków ze strony przełożonych mogła jedynie nie dopuszczać jej do siebie, ale nie było to łatwe. Pojawiły się dokuczliwe niejasności i dręczące pytania.

Frustracja ją zabijała.

– Cholera, Piotr, Koniewiczowie ukradli pieniądze. Facet jest winny jak cholera. Obrabował własny bank. Wyprowadził z niego setki milionów.

– Naprawdę?

Wskazała ręką skrzynie ustawione schludnie w kącie pokoju.

– Dokumenty bankowe, zeznania pracowników. Komputerowe wydruki transakcji, raporty milicyjne, wyniki trzech śledztw przeprowadzonych przez trzy agencje rządowe. Czego więcej chcesz?

– Masz zupełną rację, Kim. Czego więcej chcesz? Wszystko tam jest.

– Właśnie.

– Cudowna mała przesyłka owinięta w kolorowy papier i podana na srebrnej tacy. – Chudy mały prawnik, który niegdyś zarabiał na życie przygotowaniem nieskazitelnych aktów oskarżenia, nie dawał za wygraną.

– Są zbyt doskonałe, prawda? – spytała, pochylając się ku niemu i pocierając czoło.

– Powiedz mi, ile spraw prowadziłaś?

– Setki, sama nie wiem.

– Czy w jakiejś sprawie wszystkie szczegóły tak doskonale do siebie pasowały? Wszystkie daty są zbieżne, każdy świadek mówi to samo, inspektorzy dochodzą do identycznych wniosków. Wszystko tworzy doskonałą, idealnie spójną całość? Jak na błyskotliwego człowieka Koniewicz pozostawił mnóstwo dowodów.

Nagle ogarnęło ją przygnębienie. Nie mogła przed nim uciec. Z trudem opanowała łzy.

– Żaden akt oskarżenia nie jest tak doskonały.

Piotr milczał chwilę, pozwalając, aby w pełni uświadomiła sobie koszarne rozmiary swojego odkrycia. Amerykanie byli w tych sprawach bardzo naiwni.

– W Rosji wyroki nigdy nie zapadały na sali sądowej – wyjaśnił. – To była robota kogoś innego, Kim. Przygotowywaliśmy niepodważalne dowody i przekazywaliśmy je innym, prawnikom procesowym, którzy nas uwielbiali. Kochali nas za wspaniałe prezenty, które im dawaliśmy. Nie mogli przegrać.

– Nie rozumiem... Czemu przekazywaliście je komuś innemu? Powiedziałeś, że byłeś świetnym prawnikiem. Ponieważ przygotowałeś akt oskarżenia, znałeś materiał dowodowy lepiej od innych.

– Często o tym myślałem, Kim. Nigdy nam tego nie wyjaśnili. Może uważali, że człowiek, który skonstruował gilotynę, nie powinien być zmuszany do ciągnięcia za dźwignię i patrzenia, jak głowa stacza się do kosza. Komuniści potrafili być absurdalnie ludzcy w absurdalnie nieludzki sposób.

Miała ochotę zerwać się z krzesła i uciec. Uciec jak najdalej od tej sprawy. Tak szybko, jak ją nogi poniosą. Przynął krzesło i położył dłoń na jej kolanie.

– Zamordują ich, Kim. Może przeprowadzą sfingowany proces... a może nie, lecz ich zamordują. To tak pewne jak to, że ty i ja siedzimy tu razem.

Musiała zadać jeszcze jedno pytanie, rozwiązać jeszcze jedną mroczną zagadkę.

- Przecież Koniewicz może być winny, prawda?
- Wiesz, jaka złota zasada obowiązywała w mojej dawnej sekcji KGB?

Z wysiłkiem spojrzała w jego ciemne, smutne oczy, aby usłyszeć mądrość z ust człowieka, który dawno temu zaprzedał duszę.

- Nigdy nie wrabiaj winnego.

\* \* \*

Do pierwszej próby zamordowania Aleksa Koniewicza doszło wkrótce po wschodzie słońca. Trzy tygodnie po tym, jak opuścił ciemną więzienną furgonetkę na terenie zakładu karnego w Yumie. Wszystko rozegrało się w dużej dusznej sali pełnej spoconych mężczyzn, minutę po tym, gdy jak zwykle nałożył na tacę rozmięktłą francuską grzankę i wodnistą jajecnicę, zaledwie sekundę po tym, jak usiadł na swoim miejscu, przy tym samym stole co zwykle.

Tydzień temu łysiejący, rozglądający się nerwowo klawisz, o imieniu Tim, przesznuł Rosjanom zlecenie. Tim, podwójny rozdwojony mający długie hazardowe, był winien swojemu bukmacherowi, Marty'emu, pięć tysięcy dolarów po tym, jak jego koń pewniak wywrócił się na ostatniej prostej. Przed zgłoszeniem zakładu przez głowę przemknęła mu myśl, że bukmacher jest związany z mafią. Okazało się, że instynkt go nie mylił. Anthony Cardozzi, zwany „Rozgniataczem”, był dalekim krewnym Marty'ego, jego długoletnim wspólnikiem – człowiekiem głęboko przekonany, że ludzie powinni spłacać zaciągnięte długi. Tim od miesiąca ociążał się ze zwrotem pieniędzy i teraz zaczął się poważnie zastanawiać, czy stanowe ubezpieczenie zdrowotne pokryje koszty ewentualnego leczenia. Kiedy Marty złożył mu propozycję – ofertę wyświadczenia przysługi jego bliskiemu przyjacielowi – Timowi spadł kamień z serca.

Darują mu pięć tysięcy dolarów, a prócz tego nadal będzie miał dwie nieuszkodzone rzepki kolanowe – zdumiewająca hojność za przekazanie prostej wiadomości. Nie ma problemu, odparł Tim.

Propozycja wywołała poważną sprzeczkę między Rosjanami. Do tej pory członków tej luźnej grupy łączyły dwie wspólne cechy – wszyscy mówili po rosyjsku i wszyscy byli w jakiś sposób powiązani z rosyjskim światkiem przestępczym. Wielkim, a właściwie jedynym pytaniem było to, kto pierwszy

dostanie szansę sprzątnięcia Koniewicza?

Po dwóch dniach wymiany coraz ostrzejszych grypsów Rosjanie zbili się w małą gromadkę w dalekim końcu dziedzińca, aby omówić sytuację. Pół miliona dolców dla tego, kto sprzątnie Koniewicza w ciągu trzydziestu dni. Wraz z każdym miesiącem nagroda miała topnieć. Rozmawiali głośno po rosyjsku, nie zważając na to, że ktoś mógłby ich podsłuchać.

Im szybciej go zamordują, tym lepiej, szybko uzgodnili podstawowy i oczywisty fakt. Czemu mieliby zwlekać i stracić sto tysięcy dolców? Drugi punkt był równie łatwy do rozstrzygnięcia – pierwsza próba będzie stanowiła najlepszą okazję. Powinni dopaść Koniewicza, zanim odkryje, że chcą go sprzątnąć. Dopaść go, gdy będzie najbardziej bezbronny, zanim zacznie się mieć na bacności.

Jeśli im się nie powiedzie, kolejne próby będą coraz trudniejsze.

Najbardziej doświadczony płatny zabójca hałaśliwie oznajmił, że to jemu powinien przypaść wspomniany zaszczyt. Zamordowanie człowieka nie jest tak proste, jak się zdaje, wyjaśnił drugi. Pozostali panowie skinęli z powagą głowami, wyrażając uroczystą zgodę. Amator nieznający się na tej robocie mógłby zrobić coś niewyobrażalnie głupiego. Dwaj weterani wyznali, jakie błędy popełnili, wykonując swoje pierwsze zlecenie. Pozornie nic nieznaczące szczegóły urosły nagle do wielkich problemów. Niewłaściwe spojrzenie, lekomyślnie rzucone słówko i obiekt stawał się czujny. Nachodząca w ostatniej minucie drzączka powodowała, że człowiek zamieniał się w paralytyka. Wiele rzeczy mogło pójść źle i zwykle szło.

Złodzieje, handlarze narkotyków i porywacze nie chcieli im uwierzyć. Cóż w tym trudnego? Przecież wystarczyło przedziurawić jakiś ważny narząd ostrym narzędziem. Też mi problem! To równie łatwe jak pokrojenie steku. Sprzeczka przybrała na sile i lada chwila mogło dojść do bójk. Na szczęście Igor, sprytny księgowy obdarzony talentem prania brudnych pieniędzy, wpadł na pomysł kupienia spokoju. Pomniejszą nagrodę o sto tysięcy dolców, które zostaną równo podzielone między tych, co nie będą mieli okazji osobiście dźgnąć Aleksa.

Początkowo chcieli się spierać, lecz pokusa kompromisu była nieodparta. Zgoda.

Teraz wszyscy odniosą jakąś korzyść, każdy będzie zainteresowany, aby akcja się powiodła.

Liczba uczestników loterii szybko zmalała do czterech. Trzej wiedli dostatnie życie na wolności, utrzymując się z zabijania ludzi. Czwarty był chwalipiętą, który głośno przyznał się do dokonania dwóch morderstw, wulgarnie je opisując i chełpiąc się swoją robotą. Podejrzewali, że kłamie, i mieli rację, lecz nikt nie mógł tego dowieść. Kiedy doszli do zgody w tym punkcie, pojawił się kolejny powód do sprzeczki.

Nikt nie był zaskoczony, gdy propozycja padła z ust Lwa Titowa, niezaprzeczalnie najbardziej skutecznego zabójcy w tej grupie, jeśli nie w całym więzieniu. Lew oznajmił, że zgodnie ze zdrowym rozsądkiem pierwszą okazję powinien otrzymać ten, który zdobył najwięcej skalpów. Titow zaczął bardzo wcześnie, w wieku czternastu lat, spełniając marzenie każdego ucznia i dusząc swoją nauczycielkę matematyki. W ciągu kolejnych lat Lew zgromadził imponującą kolekcję trofeów. W pewnych kręgach uchodził za żywą legendę. Był pozbawionym wyrzutów sumienia zabójcą, który mordował bez żadnego stylu, bez żadnej charakterystycznej metody. Zabijał dla siebie, dla armii radzieckiej, dla mafii, a gdy gorący temperament pozbawił go najlepszych ludzkich cech, dla czystej przyjemności. Był pedantyczny i drobiazgowy, umiał mordować za pomocą niezwykle różnorodnych narzędzi, od talii kart po skomplikowane bomby. Kiedyś zabił faceta, którego podejrzewał o oszukiwanie podczas partii szachów, wpychając mu do gardła króla, który dostał mata. Jego podpisem były brak przewidywalności i bałagan, który po sobie zostawiał.

Szybko przeprowadzili głosowanie. Ośmiu za, jeden wstrzymał się od głosu. Tylko chwalipięta był przeciw.

Zatem wypadło na Lwa.

Setka miała zostać rozdzielona równo między dziewięciu pozostałych, a czterysta tysięcy – trafić na rachunek wskazany przez Titowa. Chociaż Lew rzadko się uśmiechał, nie mógł opanować radosnego grymasu. Do końca odsiadki pozostało mu siedem lat, będzie mógł przynajmniej marzyć o małej sterce złota u kresu tęczy.

Kiedy Aleks położył tacę na stole i swobodnie opadł na twardą metalową ławę, Lew nawet się nie obejrzał. Po co niby miałby to robić? Obserwowaniu

i studiowaniu celu poświęcił cztery dni, mógłby napisać książkę na temat kulinarnych nawyków Aleksa. Wiedział, że będzie spokojnie sączył letnią kawę, czekając na swojego wielkiego kompana z celi. Aleks lubił jajka, a jego koleś – francuskie grzanki. Mieli swoją rutynę, jak stare małżeństwo. Wielkolud zgarbiał wodnistą jajecznicę na talerz Aleksa, a ten przekładał mu grzankę. Później przystępowali do jedzenia.

Pozostałych dziewięciu Rosjan rozsiadło się w strategicznych miejscach, w koncentrycznych kręgach zgodnie z precyzyjnym rysunkiem, który Lew wręczył każdemu z nich. Teraz uniósł zaciśniętą pięść, dając znak, aby zaczęli. Jego koledzy rzucili tace w powietrze i zaczęli okładać bez różnicy wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu ciosu. W klaustrofobicznej sali pełnej spoconych, gburowatych mężczyzn o silnej skłonności do przemocy do wybuchu wystarczyła jedna iskra. Rezultat był przerażający. Bójka rozpoczęła się od ostrej wymiany ognia, setek ciśniętych w powietrze tac. Następnie czterystu mężczyzn przyłączyło się do orgii boksowania, kopania, rzucania się na siebie, gryzienia, wrzeszczenia, popychania i ogólnie mówiąc, siania spustoszenia.

Lew, który siedział za plecami Aleksa, przyglądał się temu z cichym rozważaniem. Nie ruszył się, dopóki bójka nie rozgorzała na dobre. Nagły wybuch przemocy zaskoczył strażników, którzy przestępowali z nogi na nogę, bezradnie obserwując to, co się dzieje. Lew wiedział, że ma trzy minuty, zanim przybędą posiłki uzbrojone w pałki i inny sprzęt do tłumienia burd i położą kres zabawie.

Podniósł się wolno i rozprostował kości. Wciągnął głęboki oddech i opanował nerwy. Z prawej kieszeni spodni wyciągnął trzydziestocentymetrowy brzeszczot, śmiercionośne cacko, które czule naostrzył w więziennym warsztacie. Miało spiczasty czubek i krawędzie tak ostre, że ogoliłbyś nimi pupę niemowlęcia. Rękojeść broni była ładnie owinięta szorstką bawełnianą tkaniną, na której nie pozostawały odciski palców. Tym prowizorycznym nożem można było cisnąć lub dźgnąć i pozostawić go w ranie, do czego się szczególnie nadawał. Z powodu ogólnego zamieszania szybki, cichy cios nie zostałby dostrzeżony w morzu przemocy. Szansa, że ktoś zauważy, co się stało, była bliska zeru, jeszcze mniej prawdopodobne było to, że gość doniesie na Lwa.

Wstał od stołu i kilkanaście szybkimi ukradkowymi krokami podszedł do



Aleksa. Cel stał odwrócony plecami, przyglądając się hałaśliwemu zamieszaniu. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że tę małą imprezę urządzono na jego cześć. Lew trzymał nóż nisko. Zdecydował, że najlepiej będzie zadać cios w górę, przez klatkę piersiową ku sercu lub płucm.

Kiedy zaczął podnosić ostrze, coś twardego i mocnego uderzyło go w ramię. Usłyszał brzydkie trzask i ramię opadło bezwładnie. Brzeszczot wysunął się z ręki i zginął w dzikiej płataninie nóg. Koroner hrabstwa miał później odnotować, że kość promieniowa i łokciowa zostały zgruchotane. Do złamania doszło równocześnie, było też dużo odłamków kości. Mogło je spowodować uderzenie dwuręcznego młota lub niesłychanie rzadki cios jednego z wielkich mistrzów karate.

Jedno było pewne, cios zadano z siłą dziesięciu stopni w skali Richtera.

Lew zaskowyczał z bólu, ledwie mając czas obejrzeć się w lewo. W sumie i tak nie zdołałby się obronić. Wielkolud uniósł go za głowę olbrzymimi łapskami. Błyskawicznie szarpnął w prawo. Kolejny trzask, tym razem karku Titowa. Rosjanin osunął się na podłogę jak worek kości.

Ciało mimowolnie zadrgało, lecz Lew nie czuł niczego. Nie odczuwał bólu, mrowienia ani nawet najdrobniejszego uczucia ulgi po wypróżnieniu jelit i pęcherza.

Wielkolud pochylił się i spojrzał mu w oczy.

- Znałeś faceta, Aleks? – spytał przez ramię.
- Nigdy go wcześniej nie widziałem.
- Kurna, a on cię znał. Chciał cię dźgnąć.
- Wezwijcie lekarza – wychrypiał po rosyjsku Lew. Wielkolud spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Kogo?

Aleks odsunął go na bok i pochylił się nad leżącym.

- Kim jesteś? – spytał po rosyjsku.
- Wezwij lekarza, błagam, nie czuję własnego ciała.
- Jak się nazywasz?
- Nie mogę oddychać – wystękał. Twarz zaczęła mu sinieć, co było objawem wstrząsu rdzeniowego. – Pospiesz się.
- Czemu właśnie ja? – spytał Aleks.
- Dla pieniędzy – wyznał Titow.

– Kto za tym stoi? – zapytał Aleks, nie ruszając się z miejsca i nie czyniąc najmniejszego ruchu, aby go ratować.

– Nie wiem... – wyjąkał Lew, próbując złapać oddech, lecz jego płuca przestały funkcjonować.

Olbrzym szarpnął Aleksa za ramię.

– Chodźmy, nie możemy tu stać, kiedy nadejdą strażnicy.

– Mam ostatnie pytanie – obiecał Aleks, wpatrując się w oczy umierającego. – Jest was więcej?

Lew nie odpowiedział. Nie chciał, aby ostatnią rzeczą, której dokonał w swoim nędznym życiu, było doniesienie na kolegów. Nie da Koniewiczowi tej satysfakcji.

Udzielił jej jednak swoim wzrokiem.

Tak, zabójców z pewnością było więcej.

\* \* \*

Nie rozmawiali ze sobą, dopóki nie wrócili do cuchnącej prywatności swojej ciasnej celi. Usiedli na dolnej pryczy, zdjęli buty i przez chwilę udawali, że nic się nie stało. Benny nie zabił przed chwilą człowieka. Nikt nie próbował wykonać egzekucji na Aleksie. Życie było równie dobre jak wczoraj, a jutro będzie jeszcze lepsze.

W końcu Aleks nie wytrzymał.

– Benny, zawdzięczam ci życie.

– Bronilem tylko swojej inwestycji – mruknął Bitchy, jakby nic się nie stało. Zdradził go wyraz twarzy. Był wyraźnie uradowany.

– Skąd wiedziałeś?

– No wiesz, doszło do rozruchów. Zawsze to robią przed zabójstwem.

– Skąd wiedziałeś, że o mnie chodzi?

– Nie miałem pojęcia. Żyłem z osłaniania naszego rozgrywającego w dużym tłumie. Jeśli nie masz dobrego oka, nie dostaniesz kontraktu. Kim był ten gość?

– To Rosjanin, nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Czemu chciał cię dźgnąć?

– Dla pieniędzy, Benny. Ktoś wyznaczył za mnie nagrodę.

– Dużą?

- Przypuszczalnie całkiem sporą.
- Kiepska sprawa.
- Nie musisz mi mówić.
- Masz pojęcie, kto sypnął groszem?
- Tak.
- Możesz go skłonić, aby zrezygnował?
- Oczywiście, gdy będę martwy.
- Ktoś jeszcze o tym wie?
- Takie mam wrażenie. Na pewno ci, którzy wszczęli awanturę.

Przez chwilę wpatrywali się w ścianę. Benny dumał nad tym, w co się wpackował, kumając się z Alekssem, za którego Rosjanie wyznaczili pokaźną nagrodę. Aleks najwyraźniej zastanawiał się nad tym samym. Jak Rosjanie go znaleźli? Po chwili odpowiedź pojawiła się sama. Powiadomił ich ktoś z amerykańskiego rządu. Inne możliwości nie miały sensu. Dlaczego? Czemu chcieli zamordować go tutaj, w tej nędznej namiastce więzienia? Przebywał w pudle, czekając na proces. Według wszelkiego prawdopodobieństwa za kilka dni sędzia wyrazi zgodę na jego błyskawiczną ekstradycję. Nie stwarzał absolutnie żadnego zagrożenia, a przynajmniej nie powinni zdawać sobie z tego sprawy.

Gdyby poczekali kilka miesięcy, mogliby go zgładzić w wolnej chwili w Moskwie, w małej celi więzienia, które sami wybrali. Zabić go, jak zechcą, wolno lub szybko, wiedząc, że nikt nie zapyta. Czemu akurat teraz?

Benny przerwał przedłużające się milczenie.

- Spróbują ponownie?
- A jak sądzisz?
- Myślę, że powinienem poszukać innego towarzysza celi.
- Dobry pomysł. Nie będę chował urazy.

Kolejna chwila milczenia. Aleks wpatrywał się w swoje bose stopy. Bitchy wstał, rozprostował się i głośno ziewnął.

– Jesteś w pułapce, Aleks – zauważył Benny, wyciągając ogromne ramiona nad głowę. – Możesz się ukrywać trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku, a trzysta sześćdziesiątego piątego dopadną cię pod prysznicem, w kiblu lub idącego na spotkanie z prawnikiem. Gra jest skończona. – Po chwili dodał, jakby Aleks go nie słuchał: – To proste.

- Jestem przerażony, Benny. Dzięki, że mnie pocieszyłeś.
- Uważałem, że powinieneś wiedzieć.
- Teraz wiem.

\* \* \*

O dwudziestej pierwszej, tej samej nocy, Kim i Piotr zostali w końcu wpuszczeni na salony władzy. Inkwizytorzy rozsiedli się wygodnie na krzesłach. Po trzydziestu minutach dyskusji w małych grupach, co zrobić z niesfor-  
nym prokuratorem INS, który zagroził buntem, podjęli decyzję.

Tromble siedział pośrodku stołu, bębniąc długopisem w blat i kipiąc ledwie tłumioną wściekłością. Po lewej stronie skupili się szef INS i zastępca dyrektora okręgowego, który miał wątpliwy zaszczyt bycia bezpośrednim przełożonym Kim. Po prawej siedział lekko wstawiony szef zespołu rosyjskich prokuratorów, pułkownik Wolewoj, wysłany pospiesznie przez Tatianę po niepokojącym telefonie Tromble'a.

Wszyscy siedzieli po jednej stronie stołu konferencyjnego, z cierpkim wyrazem twarzy. Druga strona pozostała pusta.

Naprzeciw nich, pośrodku pokoju ustawiono dwa krzesła, co nasuwało skojarzenia z sądem kapturowym. Całkiem słuszne. Kim i jej tłumacz zostali wprowadzeni jak więźniowie przez agenta FBI, jednego z chłopców na posyłki Tromble'a, który przedstawił się chłodno w korytarzu jako Terrence Hanrahan.

Wygląd pokoju miał ją przerazić, sprawić, że włosy na karku staną jej dęba. Rzeczywiście wywołał taki efekt, lecz okazał się krótkotrwały.

Kim usiadła nieśmiało na jednym z krzeseł, Piotr na drugim obok, ze smutnym, zrezygnowanym wyrazem twarzy. Dyrektor INS rozpoczął spotkanie, patrząc na nią miażdżącym wzrokiem:

- Panno Parrish, czy zdaje pani sobie sprawę, ile czasu, pieniędzy i wysiłku włożono w to dochodzenie?

Niepewnie skinęła głową.

- Oczywiście, nikt nie włożył w nie tyle trudu co ja.
- I teraz informuje nas pani, że chce zrezygnować z prowadzenia tej sprawy.
- Tak jest.
- Bo jest zbyt doskonała... – dodał, spoglądając na pozostałych z niedowierzaniem i sceptycyzmem. – Ta sprawa to jedno wielkie oszustwo.

Koniewicza wrobili ci ludzie – powiedziała, wskazując palcem dwóch Rosjan siedzących przy stole.

– W czym problem? Czyżby dowody były niewystarczające?

– Wręcz przeciwnie, jest ich za wiele. Wszystko jest zbyt gładkie, zbyt uładzone. To oczywiste, że materiał został sfabrykowany.

– Słyszałem o ludziach, którzy rezygnowali z prowadzenia sprawy z powodu braku dowodów. Im więcej dowodów, tym lepiej, czyż nie? – Potrząsnęła głową, przybierając groźną minę. – To najgłupsza wymówka, jaką w życiu słyszałem.

Piotr i dwaj Rosjanie siedzący po przeciwnej stronie stołu spoglądali na siebie gniewnym wzrokiem. Szef zespołu prokuratorów nagle nie wytrzymał, pochylił się do przodu i warknął:

– To on się za tym kryje. – Oprócz pomysłowych przekleństw były to jedyne angielskie słowa, które Kim usłyszała od niego w ciągu czterech ostatnich miesięcy. Mówił doskonałą angielszczyzną z ledwie wyczuwalnym akcentem.

– Co to za jeden? – spytał Tromble, patrząc na chudą, drobną postać skuloną na krześle.

– To jego wina! – ryknął Rosjanin, wskazując drżącego człowieczka po drugiej stronie stołu. – Tłumacz! Zdrajca! Uciekł z kraju piętnaście lat temu! Jego życiowym powołaniem jest szkodzenie ojczyźnie. Ta kobieta zwariowała, jeśli mu wierzy. Nie ma wątpliwości, że to on zatruł jej mózg.

Wolewoj natychmiast mu zawtórował i dwaj Rosjanie trzy minuty miotali zniewagi pod adresem rodaka. Piotr znosił wyzwiska ze zjadliwym uśmiechem.

Krytyka szybko znużyła zebranych. W końcu Tromble nie wytrzymał, pochylił się nad stołem i skierował ogień na właściwy cel.

– Podobno jest pani prokuratorem, prawnikiem, panno Parrish. Proszę nie zapominać, na czym polega pani rola. Wyrok proszę pozostawić sędziemu.

Sędziemu? Miała po dziurki w nosie ludzi, którzy wywierali na nią nacisk.

– Moim moralnym obowiązkiem jest przedstawienie uczciwego aktu oskarżenia. Ten to istna farsa. Powinniście się wstydzić, że bierzecie stronę tych nieuczciwych ludzi.

– Jedynymi ludźmi, którzy zostali oszukani, są miliony biednych rosyjskich obywateli, którzy zaufali Koniewiczowi. Dowody są przygniatające. Proszę zgadnąć czemu. Bo Koniewicz jest winny. To zdemoralizowany, odrażający oszust, który zasłużył na to, co go czeka. Kiedy Rosjanie przyjechali, aby to udowodnić, pani mówi, że wykonali swoje zadanie zbyt dobrze. Czy zdaje pani sobie sprawę, jak śmiesznie to brzmi?

– Zapoznał się pan z dowodami? – spytała wyraźnie sfrustrowana Kim, wiedząc, jak słabe i żałośnie głupie muszą się wydać jej argumenty. Można było odnieść wrażenie, że odrzuca tę sprawę, ponieważ dowody są zbyt mocne, zbyt niepodważalne.

– Nie i nie mam takiego zamiaru! – Tromble oparł łokcie na stole, składając dłonie w piramidkę. – Czemu miałbym to robić? Przecież sama pani twierdziła, że argumenty są niezbite, wolne od wszelkich wad prawnych. Żadnych luk, żadnych sprzeczności lub braków.

– Chyba wyraziłam się jasno.

– W takim razie ja również to zrobię. Będziemy kontynuowali z panią lub bez pani. Proszę podjąć decyzję.

– Rezygnuję, proszę mnie kimś zastąpić, znaleźć innego prawnika.

Zastępca dyrektora, bezpośredni przełożony Kim, wydawał się zaniepokojony szybkim obrotem spraw. Za chwilę siedem miesięcy pracy spłynie do rynsztoka. Będzie musiał przydzielić w jej miejsce innego prawnika. Kolejne stracone miesiące, bo nowy będzie potrzebował czasu, by zapoznać się ze sprawą. Na dodatek Kim Parrish była jego najlepszym prokuratorem. Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nie podejmuj pochopnych decyzji, Kim. Jesteś znakomitym prokuratorem. Masz świetny dorobek. Czeka cię obiecująca, wspaniała kariera. Proszę, poprowadź tę sprawę do końca, zostaw ją za sobą.

– Mam również prawo odmówić udziału w sprawie, którą uważam za oszukańczą i haniebną. Proszę o przydzielenie mnie do innej sprawy.

Tromble miał dość owijania w bawełnę. Nie przywykł do tego, by kwestionowano jego polecenia. Tego wieczoru otrzymał zaproszenie na wielki bankiet zorganizowany przez Biały Dom, a jego żona nie mogła się go wprost doczekać. Gardził prezydentem i uczucie to było w pełni odwzajemnione, więc nie

oczekiwał, by taka okazja miała się powtórzyć. Pani Tromble wydała już dwa tysiące na suknię, wyrzuciła kolejnych pięćset dolarów na stylistę i zagroziła mu dwoma latami wstrzemięźliwości seksualnej, jeśli spóźni się choć minutę. Czas najwyższy, by wetknął między drzwi swój wielki bucior.

- Proszę wziąć tę sprawę, bo zostanie pani zwolniona.
- W takim razie odchodzę.
- Nie odchodzi pani, zwalniamy panią.
- Nie może pan mnie zwolnić. Nie pracuję dla pana.

Dyrektor INS miał ostatnią szansę ocalenia niezależności swojego urzędu, nie wspominając o własnych prerogatywach i prestiżu. Tromble pogwałcił właśnie jedno z najbardziej uświęconych praw obowiązujących w Waszyngtonie – nie włąź na cudze podwórko.

- Szef Kim zebrał się na odwagę, spojrzał jej prosto w oczy i wymamrotał:
- Jesteś zwolniona.

## 29.

Jelena zjawiała się o dziesiątej, jak co miesiąc. Przyjechała wypożyczonym samochodem, który odebrała na miejscowym lotnisku – ciasnym fioletowym autkiem klasy ekonomicznej z małym silnikiem. Robili to z Alekssem czterem razy. Różne zakłady karne, różne stany, różni strażnicy. Stara sztuczka. Rzadko zmieniali rutynę. Później miała zostawić samochód, wejść na pokład samolotu lecącego do Atlanty, błąkać się kilka godzin po ogromnym terminalu, próbując zgubić ewentualny ogon, a następnie w ostatniej chwili wskoczyć na pokład innego samolotu lecącego na Środkowy Zachód. Za wszystko płaciła gotówką. Powrót do domu zajmie jej dwa dni, lecz Aleks podkreślał, że dodatkowy czas i pieniądze są tego warte. To nie przelewki. W pobliżu krążyli ludzie próbujący ją zabić. Żadne środki ostrożności nie były przesadne.

Sprawdzili jej dokument tożsamości, zrewidowali ją, postawili pieczętkę na dłoni i teraz siedziała spokojnie na plastikowym krześle, czekając na przyjście Aleksa. W szklanej szybie, która ich oddzielała, wywiercono kilkanaście małych otworów. Uznali to za pewien postęp, bo w ostatnim więzieniu musieli niezręcznie szeptać przez słuchawki interkomu. Mieli paranoję na punkcie urządzeń podsłuchowych i to znacznie utrudniało rozmowę.

– Pięknie wyglądasz – zaczął Aleks, nie wspominając o ciemnych podkowach pod jej oczami. Wyglądała na wyczerpaną i znużoną czterem miesiącami ustawicznej pracy, ukrywania się i wyskakiwania z łóżka z powodu najmniejszego skrzypnięcia podłogi. Starł się nie pokazywać, jak bardzo czuł się winny z tego powodu.



– Kocham cię – odpowiedziała jak zwykle.

Nie musiała pytać, jak się miewa, jak mu się żyje w nowym więzieniu, jak go traktują. Aleks dzwonił niemal co wieczór z jednego z trzech telefonów komórkowych. Rozmawiali do późna w nocy. Wiedziała o Bennym Beattym, o „wzajemnym funduszu”, który Aleks prowadził dla ciągle powiększającego się grona więźniów i strażników. Wszystko tak jak w dwóch poprzednich więzieniach. Jelena notowała dyspozycje i zarządzała środkami za pośrednictwem maklera z Wirginii, którego wybrała z powodu wiarygodności i skuteczności działania. Począt napływało coraz więcej czeków od nowych klientów Aleksa. Przekazywała je natychmiast maklerowi, który bezzwłocznie inwestował środki. Co wieczór Aleks dzwonił z nowymi dyspozycjami, które makler wykonywał następnego ranka. Sprzedać te akcje, kupić pięć tysięcy tamtych. Zmniejszyć liczbę jednych, zwiększyć drugich. Na giełdzie wrzało. Wartość funduszu rosła, a „klienci” Aleksa byli wniebowzięci. Nie mógł przejść dziesięciu kroków na dziedzińcu, aby nie podszedł do niego jakiś zakapior z błagalną prośbą, by mógł się przyłączyć.

Strażnik, który przekazał pod opiekę Aleksa czterysta jeden tysięcy dolarów oszczędności, każdego ranka dostarczał mu do celi najnowszy numer „Wall Street Journal” i „Investor’s Business Daily”.

Nawet makler Jelena lokował swoją forszę tak jak Aleks.

- Co z Bitchym? – spytała Jelena.
- W porządku. Za miesiąc apelacja.
- Ma jakąś szansę?
- Pomogłem mu napisać list do sądu. Powinno pomóc.

Od roku Aleks opisywał jej ludzi, których poznał w więzieniu. Była zdumiona, jak dobrze umiał się dostosować do tych szumowin, łotrów i gangsterów. Do Chórku Chłopców Mariel, którzy ustawicznie kombinowali, jak znaleźć prawnika, który pomoże im wyjść na wolność. Do Mustafy, przerażającego herszta Czarnego Bractwa z Chicago, który złowrogo przypominał „Braciszкови Konebitchie”, co się stanie, jeśli inwestycje przyniosą straty.

Najbardziej zagadkowym z nich był jednak Bitchy Beatty. Nie wiedzieć czemu on i jej mąż się polubili. Dziwni towarzysze dzielący wspólne łóżko, choć uznała, że lepiej byłoby unikać tego określenia.

- Co napisałeś?
- Że głęboko żałuje bólu i cierpienia, które spowodował. Że odnalazł Boga, a Bóg odnalazł jego. Że gdy wyjdzie na wolność, zamierza przekazać każdemu z ludzi, których poturbował, czek na sto tysięcy dolarów.
- Ładnie to zabrzmiało, będą pod wrażeniem.
- Napisałem ten list i podrobiłem jego podpis. Benny nienawidzi Jetsów za to, że ukradli mu mistrzowski sygnet. Nie żałuje ani trochę.

Uśmiechnął się, a ona się roześmiała.

Aleks pochylił się bliżej i powiedział szeptem:

- Strażnik z tyłu, wysoki blondyn. Nazywa się George. To twój człowiek.
- Jelena opadła na krzesło, odczekała chwilę, a następnie obejrzała się szybko przez ramię. Zauważyła trzech strażników, lecz George był niezwykle łatwy do wypatrzenia. Wysoki gość o jasnych włosach, oparty o ścianę, udający zdumienie. Zauważył spojrzenie Jeleny i mrugnął porozumiewawczo.

Kiedy skończą, George wyprowadzi ją do dużego przedpokoju, gdzie odbierze płaszcz i torebkę. Otrą się o siebie na krótką chwilę. Jelena poda George'owi kilka CD-ROM-ów dla Aleksa. To George zainwestował w fundusz czterysta jeden tysięcy dolarów. Dostarczał Aleksowi w zamian wszystko, o co ten poprosił.

- Jacyś nowi klienci? – spytał Aleks, nawiązując do ich nowego przedsięwzięcia biznesowego.
- Kilku. Wczoraj zgłosiło się General Motors. Wyszłam zaraz po ich telefonie. Nie zdążyłam cię powiadomić.
- Dobra robota, pani Koniewicz.
- Gdybym umiała pisać szyfrem choć w połowie tak szybko jak pan, panie Koniewicz, miałabym tysiące nowych klientów.

Biorąc pod uwagę okoliczności, rozmowę tę można by uznać za romantyczną. Nowy biznes rozwijał się dynamicznie. Cały świat Internetu dostawał bzika na punkcie nowych firm, które wyrastały niczym mak na żyznych polach Afganistanu. Żadna nie dorównywała jednak błyskotliwemu przedsięwzięciu Aleksa – interaktywnej reklamie w trybie on-line. Najpiękniejsze było to, że Jelena szybko trafiła do tych samych klientów, których pozyskała dla Orangentan Media. Te same kontakty, jedynie stawka była wyższa. Aleks przysunął się bliżej, niemal dotykając szyby wargami.

– Co mówi MP? Masz coś nowego?

– Nie, sytuacja nie uległa zmianie. Jest wściekły. Mówi, że w życiu czegoś takiego nie widział. Ciągle powtarza, że to hańba.

Aleks sprawiał wrażenie rozczarowanego, choć próbował to ukryć za wymuszonym uśmiechem.

– Powiedz, żeby się odprężył. To nie jego wina. Ma przeciwko sobie amerykański i rosyjski rząd. Nie sądzę, aby jakikolwiek prawnik zdołał z nimi wygrać. Nie mógłbym być z niego bardziej zadowolony.

– Jest przynębiony, Aleks. Czuje się za to odpowiedzialny. Napisał długą, pełen rozgoryczenia list do sędziego. Ten sam temat co sześć miesięcy temu. Co się stało ze skierowanym do prokuratora poleceniem, aby umieścić cię w przyjemniejszym miejscu?

– Wszystko jest w porządku, Jeleno.

– Nie kłam, przecież widzę...

– Uspokój się, nic mi nie jest. Wczoraj wieczorem dostałem wino do obiadu. Podali mi do celi duszone mięso z warzywami, świeżą kukurydzę i ziemniaki. Przyrządziła je żona strażnika. Tylko Benny i ja, przy blasku świateł. Nawiasem mówiąc, nadal uważa, że jestem uroczy.

– Bo to prawda, choć czuję, że coś się stało, Aleksie Koniewiczu. Nie próbuj mnie oszukać. Żyjesz wśród morderców, gwałcicieli i członków gangów. Jakiś zwariowany morderca może cię dopaść pod prysznicem, bo nadepnąłś mu na odcisk.

– Dorwać – poprawił ją Aleks.

– Zamknij się. – Kilka miesięcy temu Jelena zrobiła coś, czego później bardzo żałowała. Nie mogła tego jednak wymazać. Zaszalała i obejrzała wszystkie filmy, których akcja rozgrywa się w więzieniu. Co do jednego, do późna w nocy, dzień po dniu. Później całymi miesiącami dręczyły ją senne koszmary. Budziła się w środku nocy, zlana potem i drżąca ze strachu. Stale powracały obrazy brutalnych zabójstw, chaotycznych bijatyk i gwałtów. Jej ukochany mąż tkwił uwięziony w środku straszego budynku pełnego ludzkich bestii gotowych zabić dla paczki papierosów.

Aleks próbował zbyć wszystko żartem. To hollywoodzkie bzdury, tłumaczył żonie. Czysty nonsens, brednie mające zaszokować, wyrzucić wrażenie na naiwnej publiczności.

Wiedziała, że kłamie.

Na szczęście nie miał żadnego tatuażu, a przynajmniej żadnego nie udało się jej dostrzec. Kto wie, co chowa pod koszulą? Pod tymi obszernymi portkami? Jego wygląd uległ wyraźnej zmianie. Aleks stwardniał, zaczesywał do tyłu długie przetluszczone włosy, zbierając je ściśle w kucyk. Był też mniej rozmowny, mniej skłonny do śmiechu. Stale rozglądał się wokół, czujny w sposób, który rozdzierał jej serce. Nawet chodził inaczej. Nie poruszał się już dawnym sprężystym i energicznym krokiem, aby zyskać kilka sekund – raczej włókł się, niż szedł, powolny, przygarbiony i leniwy, nie wyjmując rąk z kieszeni. Powłóczył nogami, jak ktoś kto przeżył katastrofę, komunikując, że na niczym mu nie zależy.

Nie była z tego zadowolona, chociaż go rozumiała. Musiał się przystosować, wmieszać w tłum więźniów, aby nie stać się przynętą dla najsilniejszych zwierząt w klatce.

W więzieniu była tylko jedna dobra rzecz – mógł spać i ćwiczyć do woli. Co innego miałyby robić? Do ostatniej wizyty Aleks zawsze sprawiał wrażenie niezwykle wypoczętego i sprawnego. Ostatnio musiał przeżyć kilka trudnych nocy, bo wyglądał na bardzo wyczerpanego. Pod nabiegłymi krwią oczami utworzyły się duże worki. Nie spał dobrze od kilku dni, może nawet tygodni.

– To jakiś obłąd, Aleks – powiedziała cicho.

– Masz rację, Jeleno. Bądź cierpliwa.

– Byłam cierpliwa cały rok. Chcę, abyś spał ze mną, tam gdzie twoje miejsce. Mam dość samotności.

– Ja też mam dość sypiania z Bennym. Wiesz, jak chrapie zawodowy futbolista?

– Przestań.

– A wiesz, jak cuchnie? Całe to jego wielkie cielsko? Kiedy wraca do celi po ćwiczeniach na dziedzińcu farba odpada ze ścian.

Jakby on, Aleks, pachniał niczym irlandzka róża. Wszyscy więźniowie cuchną. Przywykli do więziennej woni, lecz Jelena omal nie zemdląła od smrodu panującego w sali odwiedzin. Chciała zabrać Aleksa do domu i zeskrobać z jego skóry cuchnącą woń roku spędzonego w więzieniu. A później zaciągnąć go do łóżka, by nadrobić rok pełen nieszczęść, frustracji i samotności.

– Aleks, jesteś pewny, że wszystko w porządku? – powtórzyła pytanie, tym razem z większym naciskiem. Była jego żoną. Najwyraźniej próbował coś przed nią ukryć, żartując. Wiedziała, że stało się coś złego.

Spuścił głowę i bawił się chwilę palcami. Lewa powieka nieznacznie zadrdzała, mięśnie napięły się niedostrzegalnie. Wiedziała. Pochyliła się, przyciskając twarz do szyby.

– Przestań kłamać. Co się dzieje?

– Wczoraj ktoś próbował mnie zabić.

– Wczoraj... co się stało?

– Jakiś facet rzucił się na mnie, gdy grałem w kosza na dziedzińcu. Trzymał w ręku prymitywną siekierę zrobioną w więziennym warsztacie. Głupi niezdara. Nie miał żadnych szans.

Jelena zamarła bez ruchu. Ten senny koszmar prześladował ją od dawna.

– Miałem szczęście – oznajmił Aleks, próbując jej nie przestraszyć, komunikując to takim tonem, jakby dostał złe karty. – Dwaj skazańcy z mojej drużyny są inwestorami funduszu. Rzuciłem mu piłką w twarz, rozbijając nos. Gość zwolnił, a wówczas tamci go rozbroili. Nie wyglądało to groźnie. – Pominął to, że jego kumple poturbowali zabójcę, gruchocząc mu dłonie i łamięc oba ramiona, aby mieć pewność, że więcej nie spróbuje.

– Kim był? Czemu chciał cię zabić?

– To Rosjanin, płatny mafijny zabójca, który nie radził sobie najlepiej z siekierą.

– Czemu chciał cię zabić? – powtórzyła.

Na chwilę zapanowało milczenie.

– Najwyraźniej ludzie w Moskwie zaferowali pokązną nagrodę temu, kto mnie sprzątnie. – Po dłuższej przerwie podjął bolesną decyzję, że wszystko jej powie. – To była druga próba.

– Rozumiem. Kiedy doszło do pierwszej?

– Dwa miesiące temu.

– Dwa miesiące? Czemu mi wcześniej nie powiedziałeś?

– Staram się uważać, Benny wszędzie za mną łązi. Przy każdym posiłku otacza mnie spora grupka inwestorów. Kilku stoi na warcie, gdy biorę prysznic i chodzę do biblioteki. Nie chcą, aby ktoś zarznął kure, która znosi złote jaja. Jestem w niebezpieczeństwie jedynie wtedy, gdy opuszczam celę.

Jelena cofnęła się, próbując opanować przerażenie.

– Zadzwońię do MP i poproszę, aby wymógł na władzach przeniesienie cię do innego więzienia. Poruszmy niebo i ziemię. Zwołamy konferencję prasową...

Aleks potrząsnął głową, zanim skończyła.

– Wszystko przemyślałem. Nie rób tego. Nawet nie próbuj.

– Czemu?

– Jeszcze żyję, bo udało mi się stworzyć sieć. W nowym miejscu będę potrzebował na to od trzech tygodni do miesiąca. Do tego czasu będę całkiem bezbronny.

Skrzyżowała ręce, lecz nie odpowiedziała uśmiechem.

– Jeśli tu zostaniesz, twoja śmierć będzie jedynie kwestią czasu, prawda? Wystarczy, że jeden z twoich nowych przyjaciół odwróci na chwilę głowę lub w niewłaściwym momencie zacznie zawiązywać sznurówki. Może ktoś doda ci trucizny do jedzenia lub dźgnie w plecy małym nożem.

– Faktycznie, wiele może się wydarzyć – przyznał Aleks, pocierając skroń. – Kilka razy porządnie się wystraszyłem. Tydzień temu, w bibliotece, zanim zasłonili mnie przyjaciele. Pięć dni temu, pod prysznicem, w moją stronę zbliżyło się trzech mężczyzn. Na szczęście strażnik zjawił się w samą porę.

– Rozumiem.

– Słuchaj, nie będę udawał, że nie jestem przerażony. To brutalni ludzie, zabójcy. Obserwują mnie nieprzerwanie, czekają na odpowiednią okazję. Wiem, jaką mam szansę.

– Musisz stąd wyjść, Aleks.

– Wierz mi, sam o tym myślałem. Przez ostatnie tygodnie niemal mieszkam w dziale prawnym naszej biblioteki.

– Musi istnieć jakieś rozwiązanie. Nie możesz pozwolić, aby ci ludzie cię zabili.

Dwie kabiny dalej wybuchła głośna sprzeczka między więźniem i jego żoną. Kobieta była jeszcze dzieckiem, miała nie więcej niż dziewiętnaście lat. Ubrana była w kusą czarną skórzaną spódniczkę, czarne kabaretki i top bez pleców, który więcej odsłaniał, niż ukrywał, a jej sztuczne rzęsy łopotały jak para skrzydeł ogromnego motyla. Warstwa kosmetyków, którymi pokryła

twarz, była tak gruba, że można by nią zamaskować okręt wojenny, pod warunkiem że nie poszedłby na dno. Jeszcze przed chwilą ona i jej mężulek przyciskali twarze do szyby, szepcząc czułe słówka, jakby byli gotowi zrzucić ubranie i *zacząć* się obmacywać przez przegrodę. Nagle mąż się cofnął, niemal przewracając krzesło na podłogę.

– Tak, dobrze usłyszałeś! Z twoim bratem bliźniakiem! – ryknęła.

– Z moim bratem! Sypiasz z moim bratem! – zawył facet, waląc pięściami w szybę.

– Wiesz, chciałam... aby to zostało w rodzinie. Wiem, ile znaczy dla ciebie to słowo. Przynajmniej tym razem.

– Ty dziwko! Zdziro! Zdradziecka ladacznico!

Wstała i przytknęła twarz do szklanej przegrody.

– W końcu to zauważyłeś, głupku?! Idę do łóżka z każdym, kto spojrzy na mnie dwa razy. Zastanawiają się, czy nie nazwać materaca od mojego imienia. No co mi zrobisz? – szydziła.

Do tej chwili trzech strażnicy przyglądali się małżeńskiej kłótni z rozbawieniem i lekkim znudzeniem. Stary numer, znana historia, kolejny szczęśliwy dzień w sali odwiedzin. Żona zdradzająca zapuszkowanego mężusia. Co w tym nowego? Oklepana scena, którą oglądali w tysiącach odmian. Większość małżeństw rozpadała się przed upływem roku, inne wytrzymały dwa, lecz bardzo niewiele wytrzymało trzy lata separacji.

Istniała jednak pewna nienaruszalna zasada, którą ten więzień pogwałcił na wszystkie możliwe sposoby. Zerwał się na równe nogi i zaczął wrzeszczeć z całych sił, próbując sforsować szklaną przegrodę. Dwaj strażnicy nagle się ożywili i przystąpili do działania. Odciągnęli go od szyby, wykręcili ręce za plecami i skuli. Kiedy wywlekali go z pokoju, nie przestawał miotać wyzwisk na żonę.

Kobieta wstała i zaczęła chodzić po pomieszczeniu z założonymi rękami, obserwując wszystko z uśmiechem zadowolenia.

W ostatniej chwili, gdy wywlekali jej małżonka za drzwi, uniosła top, odslaniając dorodne piersi.

– Hej! – zawołała do męża. – Czy je jeszcze pamiętasz? Tej nocy twój braciszek będzie się nimi bawił. Wiesz, co zrobię, jak się nim znudzę? Zaciągnę do łóżka twojego starego!

Opuściła top i odwróciła się na pięcie, a następnie wyszła z sali, triumfalnie stukając wysokimi obcasami.

– Biedny facet – zauważyła ze współczuciem Jelena, gdy zgiełk opadł.

Aleks pochylał się ku niej i potrząsał głową.

– To Eddie Carminza. Wsadzili go za bigamię. Dostał dziesięć lat. Ta babka była jedną z czterech jego żon.

– Boże, to istny dom wariatów, Aleks. Musimy cię stąd wydostać.

– Możemy spróbować pewnego rozwiązania. Trzeba przenieść sprawę z sądu imigracyjnego do federalnego. Może się to okazać przedwczesne i jest niezwykle ryzykowne.

– Jeśli nie spróbujemy, możesz tu przedwcześnie umrzeć.

– Wiem. Trzeba rozwiązać dwa problemy. Poważne problemy. Po pierwsze, sąd federalny oznacza inne zasady i procedury. MP nie jest specjalistą od prawa karnego. Nie zna się na systemie federalnym. Mają tam inne zasady dotyczące materiału dowodowego, surowsze są też reguły dopuszczalności dowodów. Na dodatek jest za późno, aby zastąpić MP.

– Da radę?

– Nie wiem, czy jakikolwiek prawnik dałby radę. Do tej pory MP nie miał szczęścia. Kto wie, co nasi rosyjscy przyjaciele przekazali prokuratorowi w ciągu ostatniego roku.

– A Michaił?

– Michaił nie znalazł jeszcze złotej kuli. Nie ma niepodważalnego dowodu, że moje pieniądze zostały skradzione. Dowodu na to, że mnie wrobili. Niczego, co zapobiegłoby deportacji do Rosji.

– Rozumiem, a drugi problem?

– Jeśli skierujemy sprawę do sądu federalnego i przegramy, natychmiast odeślą mnie do kraju. Można spróbować apelacji, lecz to zwykle ciągnie się latami. Do tego czasu przypuszczalnie będę martwy...

– Zatem mamy wybór pomiędzy złym i bardzo złym rozwiązaniem?

– Raczej między śmiercią pewną i prawdopodobną.

– Masz jakiś pomysł?



– Moglibyśmy się odwołać do *habeas corpus*\*. Formalnie rzecz biorąc, jeśli przeniosą mnie do więzienia federalnego, stworzą lukę, którą możemy wykorzystać. Rząd będzie musiał podać przyczynę przetrzymywania mnie w więzieniu. Jeśli sędzia przyjmie nasz wniosek, proces odbędzie się bardzo szybko.

\* Ustawa zakazująca więzienia kogokolwiek bez prawomocnego wyroku odpowiedniego sądu.

– Jak szybko?

– W ciągu trzech dni od wniesienia sprawy będziemy na sali sądowej.

– Tak szybko? – Jelena zapatrzyła się w swoje buty. – Czy to możliwe?

– Oczywiście – zapewnił ją Aleks. – Mamy wielu wrogów, tutaj i w Rosji.

Wszystko musi się odbyć błyskawicznie i zakończyć powodzeniem albo, jak mówi mój przyjaciel Benny, gra będzie skończona. Michaił powinien przyspieszyć swoje działania. Trzeba się też zacząć modlić o cud na sali sądowej.

– Od dawna na niego czekamy.

– To nie tak. Musimy się postarać o własny cud.

– Zadzwoń do Michaiła, gdy tylko stąd wyjdę.

– Czekaj cię pracowity weekend. Pora powiedzieć o wszystkim MP i modlić się, aby to wystarczyło.

## 30.

Osiemnastego września, po upływie czternastu miesięcy od osadzenia Aleksa w więzieniu federalnym, MP wchodził po schodach sądu federalnego okręgu Kolumbii, jednego z najładniejszych, najbardziej imponujących gmachów, wypełnionego marmurowymi posągami. Tego dnia było na przemian chłodno i gorąco, co wskazywało, że długie wilgotne lato, które zagościło w zbudowanym na mokradłach mieście, zbliża się ku końcowi. Towarzyszyła mu Jelena i tęgi asystent prawny, dźwigający pudło z dokumentami.

Dwa dni wcześniej Jelena zadzwoniła, prosząc o pilne spotkanie. MP rzucił wszystko i na nią czekał. Przyjechała blada, zmęczona, rozdrażniona i pełna wścieklej determinacji. Przedstawiła mu pomysł Aleksa, a MP natychmiast przytoczył setkę wątpliwości.

Proces odbyłby się za szybko. To zbyt ryzykowne. Sąd federalny nie był jego poletkiem. Oprócz tego, kto wie, co upichcili rosyjscy prokuratorzy i INS. Ile oskarżycielskich materiałów przygotowali na Aleksa? Jelena nie dawała za wygraną. Aleks ma podobne obawy, wyjaśniła. Dyskusję zakończyła informacją o czterech nieudanych zamachach na jego życie. MP zadzwonił do swoich klientów, których sprawy miał prowadzić w następnym tygodniu, i przekazał ich akta innym specjalistom od prawa imigracyjnego.

Szli nerwowym krokiem szerokimi, dobrze oświetlonymi korytarzami, wprost do gabinetu urzędnika federalnego. MP złożył podpis w księdze odwiedzin leżącej na biurku sekretarki i przeszedł do tylnej części sali, cierpliwie czekając z Jelena i asystentem wśród innych podenerwowanych prawników, aż wywołają jego nazwisko.

Niemal podbiegł do biurka sekretarki. Dumnie położył dokument i oficjalnym tonem oznajmił:

– W imieniu mojego klienta, Aleksa Koniewicza, składam wniosek, powołując się na *habeas corpus*. Zwracam się do sądu o pilne rozpatrzenie skargi pana Koniewicza. Władze bez końca przetrzymują go w areszcie, powodując ogromne cierpienia mojego klienta.

Urzędniczka, duża zadziorna Murzynka, podniosła podanie MP i mechanicznie wrzuciła je go do głębokiego drewnianego pudła na pisma przychodzące.

– Nie był pan tu nigdy wcześniej, prawda? – spytała, nie podnosząc głowy.

– No... nie.

– Nie jest pan na sali sądowej. Może pan mówić do mnie normalnym językiem.

MP wyglądał na nieco speszonego.

– Odwołujemy się do sądu na podstawie *habeas corpus*. – Sekretarka energicznie żuła gumę, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. Tabliczka na biurku sugerowała, że nazywa się Thelma Parker.

– Słyszałam – zauważyła Thelma. – Od jak dawna pana klient siedzi w więzieniu?

– Od czternastu miesięcy.

– Rozumiem. – Thelma nie wydawała się przesadnie poruszona. – W jakim zakładzie?

– Obecnie, zgodnie z umową zawartą przez władze federalne, w więzieniu stanowym w Yumie. To jego trzeci zakład karny.

Jej reakcja była nieco opóźniona, lecz w końcu oderwała wzrok od monitora i skierowała go na MP.

– Trzeci? W ciągu roku? Czy dobrze usłyszałam?

– Ściśle mówiąc, w ciągu czternastu miesięcy.

– Co zrobił? Zabił strażnika?

– Zarzucono mu, że ma nieważną wizę.

– Co pan? Proszę nie żartować!

– Przysięgam na grób matki.

– To sprawa imigracyjna, co pana klient robi w więzieniu federalnym?

- Chcielibyśmy, aby rząd nam to wyjaśnił.
- Jest obywatelem amerykańskim?
- To jeden z punktów spornych. Władze najpierw to potwierdzały, a teraz zaprzeczają.

Przytknęła ołówek do brody.

- Słyszałam, że więzienie w Yumie to straszne miejsce.
- Aleks twierdzi to samo. Zamknęli go w skrzydle D z najgorszymi bandziorami.

Pochyliła się ku niemu, niemal kładąc się na biurku.

- Gadaj prawdę, kogo wkurzył twój klient? – wyszeptła porozumiewawczym konspiracyjnym szeptem.

MP podchwycił grę. Nachylił się ku niej i szeptem odpowiedział:

- Johna Tromble'a.
- To ważniak. – Wyjęła pismo MP ze skrzynki i przejrzała je, marszcząc czoło i zastanawiając się chwilę nad wnioskiem. – Mam kuzyna w FBI – zauważyła w końcu.

MP poczuł przenikliwy ból w piersi. Ależ z niego idiota. Czemu nie trzymał gęby na kłódkę?

Po chwili Thelma Parker dodała:

- Nienawidzi Tromble'a. Mówi, że to najgorszy szef, jakiego mieli od czasu, gdy J. Edgar zaczął kombinować z naszym Martinem Lutherem. Słuchaj, coś ci powiem, robiłeś to już kiedyś?

Siedziała przy tym biurku piętnaście lat i widziała tysiące prawników wchodzących do tego gabinetu i z niego wychodzących. Wystarczyło pociągnąć nosem, aby wyczuć nowicjusza.

- Zwykle występuję przed sądem imigracyjnym – wyjaśnił skromnie MP.
- Tak sądziłam. Zatem nigdy tego nie robiłeś?
- Właśnie.

Podparła brodę pięścią.

- Nie martw się. Powiem ci, jak to działa. Twój wniosek powędruje do sędziego. Może będziesz miał szczęście i trafi do przegródki... powiedzmy sędziemu Eltona Willisa. To sprawiedliwy człowiek, który przestrzega prawa. Jeśli na wniosku przystawię pieczęć „pilne” – mrugnęła porozumiewawczo

do MP – co może nastąpić w ciągu trzech sekund od chwili, gdy stąd wyjdiesz... rząd będzie miał trzy dni na odpowiedź. Kapujesz?

- Trzy dni – powtórzył MP, odpowiadając mrugnięciem.
- Później zacznie się przedstawienie i ogłoszą werdykt. Takie sprawy załatwia się szybko. Jesteś przygotowany?
- Skopiemy im tylek jak nigdy dotąd. Wyniosą Tromble'a na noszach.
- Uhm... – Skinęła wolno głową. – Masz kogoś do pomocy? Mam nadzieję, że tak.
- Pacevitcha, Knowltona i Riversa. Kolega ze studiów jest współnikiem w jednej z tutejszych kancelarii. Będą mi pomagać *pro bono*.
- To bardzo ładnie – odparła, na chwilę zatrzymując wzrok na sfatygowanej marynarce zwisającej luźno na szczupłym tułowiu MP. Cmoknęła wargami i rzekła: – Bez urazy, ale będziesz musiał wyłożyć kilka tysięcy na ciuchy.

\* \* \*

Borys Jelcyn wygłaszał najważniejszą mowę w swojej dotychczasowej karierze politycznej, w której dramatyczne chwile przeplatały się z długimi okresami śmiertelnej nudy. Przynajmniej tym razem był trzeźwy, co można uznać za rzadką i miłą odmianę, pomyślał szef jego kancelarii, kołysząc się na piętach i przełotnie taksując wzrokiem tłum. Niemal wszyscy spoglądali nerwowo na zegarki. Kilku chyba spało na stojąco. Przyjrzał się im dłużej i bardziej uporczywie, lecz, na miły Bóg, nie dostrzegł nikogo, kto słuchałby szefa.

Stary lubił go za to. Przede wszystkim miał w nim wiernego kompana do kieliszka, który będzie mu towarzyszył w długiej drodze powrotnej na Kreml. Poza tym bez wątpienia zaufany szef kancelarii skłamię i powie, że mowa była pasjonująca i głęboko zainspirowała słuchaczy. Kłamstwa swobodnie szybowwały w powietrzu i lądowały bezpiecznie.

Nagle przed szefem kancelarii wyrósł facet w czarnej skórzanej marynarce. Torował sobie drogę łokciami, przysuwając się coraz bliżej.

Niespodziewanie się odwrócił, spojrział na niego i zagaił, jakby coś sobie przypomniał:

- Czy nie widziałem was ostatniej nocy z Tatianą Łukiną?
- Z kim?

– Tatianą Łukiną. Wiesz, tą, która dla ciebie pracuje. – Facet uważnie przyglądał się jego twarzy i kontynuował: – Jestem pewny, że z tobą była. Wchodziliście razem do hotelu przy Bulwarze Piotra Wielkiego. Do tego, w którym spędzacie wszystkie wtorki i czwartki.

– To jakaś pomyłka – ni to syknął, ni wyszeptał, daremnie próbując się odsunąć.

– Jaka pomyłka? Mam tutaj wszystko. – Tajemniczy mężczyzna wsunął plastikową teczkę do rąk szefa kancelarii. Wszelkie ślady fałszywej niepewności znikły. – Sądzę, że wolałbyś to odsłuchać w samotności – powiedział z szyderczym uśmiechem. – Możesz mi wierzyć, nie będziesz sobie życzył niczyjego towarzystwa. Dowiesz się o wielu przykrych sprawach.

Zanim zdążył zareagować, Michaił podbiegł do stojącego w pobliżu samochodu i odjechał.

Szef kancelarii miał ochotę wyrzucić teczkę, cisnąć ją jak najdalej. Zapomnieć o niej i odejść jakby nigdy nic. Zamiast tego otworzył ją i zajrzał do środka. Dwie nieoznaczone taśmy magnetofonowe i kilka zdjęć. Wetknął je do wewnętrznej kieszeni płaszcza i postanowił, że się ich pozbędzie, gdy tylko wróci do domu. Kto wie, co na nich jest? Po co miałyby ryzykować, że dostaną się w niepowołane ręce? Jakie obciążające materiały mogły się na nich znajdować?

Wrócił do siebie o dwudziestej pierwszej, napełnił dużą szklankę wódką i zdjął płaszcz. Wyczuł dłonią plastikową teczkę. Niemal o niej zapomniał. Wyciągnął ją z wewnętrznej kieszeni i ruszył do kosza na śmieci. Wrzucił ją do środka i na chwilę zatrzymał wzrok. Zdecydował, że powinien przesłuchać taśmy. Może człowiek, który mu je dał, był szantażystą? Kto wie?

Kiedy je wyciągał, zdjęcia wypadły na podłogę. Postanowił ich nie podnosić, dopóki nie zorientuje się, o co chodzi. Sięgnął po pierwszą kasetę i wsunął ją do magnetofonu stojącego na biurku. Rozsiadł się w fotelu i pociągnął spory łyk wódki.

Taśma kręciła się chwilę bezgłośnie, a później nadąsany męski głos spytał:

– Kto dzwonił?

– Ten idiota, dyrektor FBI. – Nie miał wątpliwości, że to Tatiana. Wyciągnął rękę i zwiększył siłę dźwięku.

– Z nim też się pieprzysz?

– Jesteś uroczy, gdy się złościysz. Chodź, weź mnie. – Roześmiała się głośno. Poznał jej śmiech.

– Nie żartuję. Mam dość dzielenia się tobą z innymi.

– Głuptasie, przecież widziałeś mojego szefa. Jest łysy i gruby. Zupełnie nieinteresujący. W łóżku jest tak nudny, że muszę się czasem uszczypnąć, aby nie zasnąć. Jest tak odrażający, że później mam mdłości. Robię to wyłącznie dla nas, Saszeńka.

– Powtarzasz to od lat.

– Bo to prawda. Posłuchaj, wkrótce zbijemy fortunę. Miliardy, wiele miliardów, Sasza. Mój udział będzie wart setki milionów. Gdy tylko je zdobędę, rzucę tego starego durnia i zrezygnuję z pracy. Kupimy wielki jacht i opłyniemy cały świat. Do końca życia nie zdołamy wydać forsy. Umrzemy szczęśliwi i bogaci.

Szef kancelarii zakrztusił się i głośno zakaszał. Wódka popłynęła mu nosem, zaczęła kapać ustami na podwójny podbródek.

Zerwał się z fotela, wcisnął stop, przewinał taśmę i odsłuchał ponownie, a następnie powtórzył tę czynność trzy razy.

Na koniec wcisnął pauzę i opadł na fotel, pocierając skronie. Czuł, że nadciągą potworny ból głowy. „Jest odrażający”, „nudny w łóżku”, „mam mdłości”. „Łysy i gruby. Zupełnie nieinteresujący”. Poczul, że na usta ciśnie mu się potok niecenzuralnych słów. Ból głowy nasilił się szybko.

Co za dziwka! Kłamliwa, oszukańcza, niewierna, bezczelna dziwka!

Uspokój się, nakazał sobie na głos w dużym pustym pokoju. Rozluźnij się, odetchnij głęboko. Na Boga, weź się w garść. Podszedł do stołu i ponownie napełnił szklankę wódką, a po niej drugą i trzecią. Ciut więcej nigdy nie zawadzi. Zaniósł szkło na biurko i ostrożnie ustawił. Kiedy wszystko było gotowe, wcisnął start i opadł na fotel, aby odsłuchać wszystko do końca. Wiedział, że czeka go koszmar. Przysiągł sobie, że zapamięta każde słowo.

W połowie podbiegł do kubła na śmieci i podniósł zdjęcia z podłogi. Pierwsze przedstawiało uśmiechniętego, przystojnego młodzieńca w koszulce narodowej reprezentacji piłkarskiej. Nie miał pojęcia, co to za gość, a jedynie silne podejrzenie, że to właściciel jęikliwego dyszkantu z pierwszej taśmy. Na drugiej fotografii widać było zdjęcie ministra sprawiedliwości przyjmującego plik dolarów od faceta, którego twarz rozpoznał.

Godzinę później, po dwukrotnym przesłuchaniu kolejnej taśmy, wiedział o Tatianie Łukinie więcej niż do tej pory. To, co go spotkało, było tak banalne, że nie umiał się z tym pogodzić. Okazał się jeszcze jednym durniem w średnim wieku, któremu przyprawiono rogi. Rozczulił się nad sobą, kipiąc z gniewu i żalu. Co gorsza, ta kobieta od początku go wykorzystywała. Słyszał, jak się przechwala przed chłopakiem, że prowadzi całą kremlowską kancelarię, podczas gdy jej szef, otyły pijaczyna chla ze swoim wielkim towarzyszem Borysem. Przytyków było zbyt wiele, by zdołał zapamiętać, zbyt wiele, aby potrafił zapomnieć.

– Poczekaj no, dziwko – mruknął gniewnie, wlokąc się do łóżka po schodach. – Jutro się zabawimy.

\* \* \*

Dziewczyna była blondynką o długich nogach, które chyba sięgały nieba i ślicznych niebieskich oczach. Miała przynajmniej czterdzieści lat mniej od niego. Była młodsza od dwóch jego wnuczek. Skoro nie miało to dla niej znaczenia, a był tego całkowicie pewny, nie miało również dla niego. Chwyliła go za ramię, przyciskając obfite piersi do jego miękkiego, zwiotczałego ramienia.

– Jest pan taki zabawny, generale. Taki milutki...

– Wiem – wybelkotał skromnie Golicyn, gdy szli, zataczając się i podtrzymując wzajemnie, do jego lśniącego małego kabrioletu stojącego na parkingu. Lokal o wdzięcznej nazwie Ledo – najmodniejsza moskiewska knajpa, do której ściągali nowobogaccy w niez mordowanym poszukiwaniu najlepszej orgii w mieście – pozostał daleko w tyle. Dziewczyna przykleiła się do niego gdzieś pomiędzy piątą a ósmą szkocką. Nie wiedział dokładnie, bo zamazało mu się wszystko w pamięci. Pomiędzy dziesiątą a dwunastą kolejką, w bliżej nieokreślonym momencie, uznał, że są w sobie głęboko zakochani.

– Przypomnij mi, jak masz na imię – poprosił.

– Nina. Proszę, nich je pan zapamięta, generale. Powtarzałam je dziesiątki razy. Naprawdę nie chcę, aby pan mnie zapomniał.

Golicyn przypatrywał się długim nogom, które zdawały się sięgać pach, gdy w ciemnej alei stanęło trzech ludzi. Dwaj ruszyli w jego stronę. Jeden wykręcił mu ręce za plecami, drugi wetknął do ust brudny knebel i szybko zarzucił



na głowę ciemny, szorstki kaptur. Dziewczyna zaczęła się cofać i krzyczeć, dopóki trzeci nie zasłonił jej ręką ust.

– Zamknij się, dziwko! – warknął, wyciągając nóż, aby pokazać, że nie żartuje.

Nagle jakby spod ziemi pojawił się czarny sedan i stanął obok z piskiem opon. Wepchnęli Golicyna na tylne siedzenie i zajęli miejsce obok niego. Trzeci puścił Ninę. Cofnęła się, patrząc na niego. Rzucił jej groźne spojrzenie, zanim rozpląnął się w mroku. Kiedy zajął fotel obok kierowcy, samochód ruszył.

Dwadzieścia minut później i trzydzieści kilometrów dalej wciągnęli go gdzieś przez duże drzwi, poprowadzili czterdzieści stopni w górę, a następnie rzucili na twarde drewniane krzesło. Szybko i mocno skrępowali mu ręce za plecami, a pulchne nogi przywiązali do nóg krzesła.

Zdjęli kaptur i rzucili go na podłogę. Wypluł głośno brudny knebel, lecz jego oczy potrzebowały chwili, aby przywyknąć do mroku. Kolejną chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że jest ich pięciu. Skupili się pośrodku dużego, pustego magazynu o dachu z blachy falistej i poplamionej olejem podłodze. Mieli na sobie czarne dżinsy i czarne skórzane kurtki. Otoczyły go brutalne twarze. Tatuazy, kolczyków i blizn na twarzach było więcej, niż zdołałby policzyć. Kilku miało połamane nosy.

Siepacze jakiegoś syndykatu, nie ma się czym przejmować, powiedział sobie Golicyn.

Popelnili błąd, wielki błąd. Pospolici porywacze zarzucili sieć na ślepo i w swojej głupocie wyciągnęli najbardziej krwiożerczego rekina w mieście. Strzelili wielką gafę i gorzko tego pożałują. Postanowił, że z miejsca ich o tym powiadomi.

– Wiecie, gnojki, z kim zadarliście? – spytał, rzucając swoje najbardziej przerażające spojrzenie.

– Gnojki?! – Głowa Golicyna przekręciła się w bok. Z nosa trysnęła krew.

– Nie waż się ponownie mnie uderzyć, ty...

Padły jeszcze trzy ciosy.

– Dobrze... już dobrze... wystarczy – poprosił Golicyn.

I jeszcze dwa.

– Proszę... przecież powiedziałem, że mam dość.

Jeden z nich przyciągnął sobie krzesło, odwrócił i usiadł naprzeciw niego. Ich twarze znalazły się w odległości kilkunastu centymetrów. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, był starszy od pozostałych i zachowywał się, jakby on tu dowodził. Twarda, zniszczona twarz. Ciemne, przesywające oczy.

– Posłuchaj, Siergiej, możemy to załatwić po dobroci lub w bolesny sposób. Rozumiesz?

Ten gnojek powiedział do niego Siergiej. Znał jego imię! Zatem nie było to przypadkowe porwanie. Przez chwilę miał ochotę pouczyć drania, by zwracał się do niego „generale”. Z drugiej strony może pomysł zmuszenia do pracy jego mięśni nie należał do najszcześniejszych. Może nawet był fatalny? Ostatnie uderzenie pozostawiło po sobie rozdzierający ból głowy.

– Możemy porozmawiać? – spytał przymilnym i rzeczowym tonem.

– Jasne, Siergiej. – Tamten przysunął się bliżej. – Wyjaśnię ci, jak będzie wyglądać nasza rozmowa. Ja będę mówił, a ty będziesz słuchał.

Czterej pozostali uderzyli dłońmi o uda i zarechotali. To miało być zabawne? Golicyn nie dostrzegł w jego słowach niczego śmiesznego. Gnojki aż się prosiły o łupnia.

– Mogę spytać, jak masz na imię?

– Tej nocy możesz mi mówić Władimir – odparł facet na krześle. – Nie ma sensu zawracać sobie głowy tym, co będzie jutro. W końcu, Siergiej, musisz nas przekonać, abyśmy pozwolili ci żyć tak długo.

– Groźby są zbędne. Czego chcecie?

– Zacznijmy od najprostszego. Gdzie jest forsa?

– Jaka forsa?

Przeciągłe westchnienie.

– Naprawdę chcesz przez to przechodzić, Siergiej?

– Jestem zwyczajnym emerytowanym oficerem, który ma na utrzymaniu rodzinę. Dostaję państwową emeryturę. Ledwie wiążemy koniec z końcem. Nie mam wiele, lecz może jakoś się dogadamy.

Ktoś uderzył go z tyłu. Trzy razy.

– Przestańcie! Wystarczy! – zaskomlał.

– Forsa, Siergiej, gdzie jest forsa?

– Jaka forsa?

– Dwieście pięćdziesiąt milionów. Pieniądze, które ukradłeś. Gdzie są?

Skąd wiedział, ile tego jest? – pomyślał Golicyn. Wiedziało o tym tylko kilka osób. Tatiana, Nikoła i Koniewicz, lecz ten siedział w pudle, więc się nie liczył. Gnił w pierdłu, odliczając dni, które dzieliły go od powrotu do Rosji.

– Może... – zasugerował, wciągając szyję i kuląc ramiona, by uniknąć kolejnego ciosu – może udałoby się nam dość do porozumienia, gdybyście powiedzieli, dla kogo pracujecie.

Na próżno pochylił głowę i ugiął ramiona. Miał wrażenie, jakby sześć rąk uderzyło go w tył głowy. Usłyszał, jak jęczy i błaga, aby przestali.

W końcu łomot ustał, lecz Władimir nie pozwolił mu zebrać myśli.

– Posłuchaj, Siergiej, udzielę ci bezcennej rady. Nigdy nie miałeś okazji być po tej stronie, zawsze stałeś z boku, obserwując i ciesząc się przedstawieniem. Pięćdziesiąt lat słuchałeś jęków torturowanych, błagających o szybką śmierć. Czy ty mnie słuchasz, Siergiej? Rozumiesz, co mówię?

Głos stał się chłodny i beznamiętny, nieświadomie zniewalający. Zdumiewające, jak hipnotyzujący staje się głos człowieka, który może zadać ci ból.

Ileż to razy Siergiej był świadkiem tego samego scenariusza – rok w rok parzył, jak jedna ofiara po drugiej cierpi i wrzeszczy, by w końcu się poddać i podpisać wszystko, co jej podsuną, i położyć kres bólowi. Nieszczęśnicy byli gotowi oskarżyć własną matkę, wydać wyrok na dzieci, przyznać się do grzechów, których nigdy nie popełnili. O tak, doskonale rozumiał.

Wolno skinął głową.

– Wiesz, jak może być nieprzyjemnie, prawda?

Kolejne skinienie. Pewnie, że wiedział. Po tłustych policzkach popłynęły łzy.

– Będzie coraz bardziej bolało, Siergiej. Nie chcę, aby cię to zaskoczyło. Zaczyniesz żałować, że żyjesz. W końcu będziesz błagał, abyśmy położyli kres twoim cierpieniom. Nie zabijemy cię. Martwy nie będziesz odczuwał bólu. Wiem, że to przykre, lecz chcemy, abyś wszystko czuł.

– Poczekajcie! – Coś go zaniepokoiło. Cała ta gadka o torturach oraz imię okrutnego nieznanego... To imię musiało coś sugerować.

- Czemu mielibyśmy czekać? Chcesz powiedzieć, gdzie ukryłeś forszę?
- Powiedziałaś, że jesteś Władimir? Tak! Władimir! Jak ten Władimir, który dla mnie pracował?

Mężczyzna odwrócił wzrok.

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

Golicyn pochylił się do przodu.

- Był twoim kumplem? Czy to dlatego? Bardzo boleję nad tym, co go spotkało. Biedak się zastrzelił. Popiełnił samobójstwo. To straszne.

Władimir zerwał się z krzesła. Odwrócił się do pozostałych, wskazał jednym palcem i rozkazał:

- Przyniesz aparat do mierzenia ciśnienia i sprawdzaj, jakie ma ciśnienie. Jest stary i otyły. Nie chcę, aby nam wykorkował.

Facet popędził, by wykonać rozkazy.

- Przyniesz narzędzia – rzucił drugiemu, który rozpląnął się w ciemności podobnie jak pierwszy. – Wyglądacie na znudzonych. Popracujcie nad nim, dopóki tamci nie wrócą – polecił dwóm pozostałym.

Podeszli do Golicyna i okładanie zaczęło się na nowo. Żadnych silnych ciosów, wyłącznie razy zadane otwartą dłonią – niekończąca się kanonada kłasnien przypominających dźwięk policzka wymierzonego przez kobietę. Najwyraźniej chcieli go upokorzyć.

Władimir poszedł w róg dużego hangaru, wyciągnął komórkę, wprowadził numer i przystawił urządzenie do ucha.

Golicyn czuł się jak zbity pies. Piekły go policzki, tył głowy i uszy. Jęczał i skowyczał, błagając, aby przestali. W końcu broda opadła mu na pierś, a głowa zaczęła się bezwładnie poruszać to w jedną, to w drugą stronę wraz z kolejnymi uderzeniami.

Zagryzł wargi i powstrzymał się od krzyku, udając, że stracił przytomność. Modlił się, aby przestali się nad nim pastwić. Po chwili jego prośby zostały spełnione. Na chwilę dali mu spokój.

- Władimir, gość zemdła! – zawołał jeden z nich.

– Nie przejmujcie się – odrzekł Władimir, wracając do przerwanej rozmowy.

Golicyn próbował zapanować nad oddechem, udawać nieprzytomnego. Władimir zaczął mówić głośniej, jakby nie zdawał sobie sprawy, że generał może podsłuchiwać.

– Nie, nie martw się... Dopiero zaczęliśmy. – Dłuższe milczenie. – Słuchaj, już to robiłem, facet... – Kolejna pauza. – Nikoła, gwarantuję ci, że wszystko wyśpiewa. Tak jak każdy. Kiedy zaczynamy odcinać różne części ciała, wszyscy zaczynają... – Po krótkiej przerwie rozległ się paskudny rechot. – Wiem, wiem, Nikoła. Kiedy nie będzie już miał żadnego palca u rąk i nóg, a jego rzepki kolanowe zamienią się w krwawą miazgę, wyśpiewa, gdzie jest forsa... tak, w porządku, rozumiem.

Zamknął kłapkę telefonu i wrócił na miejsce tortur. W głowie Siergieja Golicyna rozległ się bezgłośny krzyk. Nikoła! Ten nędzny skurwysyn! Kłamliwy, oszukańczy, zdradziecki draniu! Zrozumiał, że tamci byli jego ludźmi. Z trudem opanował pragnienie, aby nie krzyknąć i nie zagrozić bydlakom z całą wściekłością, na jaką potrafił się zdobyć.

Po chwili jeden z mężczyzn wrócił, niosąc aparat do mierzenia ciśnienia. Szybko umieścił opaskę na prawym ramieniu Golicyna i mocno zacisnął. Po nim nadszedł drugi, taszcząc duży czarny sakwojaż, który ostrożnie postawił na podłodze.

– Przygotuj instrumenty – polecił Władimir.

Generał usłyszał szcęk otwieranych zamków i odgłos wieka opadającego na betonową posadzkę. Wołał nie wiedzieć, co jest w środku. Nie odczuwał pragnienia oglądania makabrycznych narzędzi ukrytych we wnętrzu tej przekłętej walizki. Zacisnął powieki. Postaraj się nie zwracać uwagi, powiedział sobie. Na próżno. Ciekawość okazała się silniejsza. Musiał się dowiedzieć, zobaczyć, co dla niego przygotowali. Powoli otworzył prawą powiekę. Tylko odrobinę. Dostrzegł niewielki fragment walizki i szeroko wybałuszył oczy.

Władimir i dwaj jego ludzie pochylali się nad walizeczką, grzebiąc wśród instrumentów i dumając, których użyć w pierwszej kolejności.

Dobry Boże! Nie! Dranie mieli mnóstwo narzędzi tortur. Trzy lub cztery ostre piłki różnego kształtu i wielkości – ponure cacka, lśniące i ostre. Dostrzegł mały palnik i żelazko, podobne do tego, którym Władimir wypalił znak sierpa i młota na piersi Koniewicza. Zauważył całą masę narzędzi

chirurgicznych nadających się do wszystkiego, od wylupienia oczu do miażdżenia jąder. Golicyn znał nazwę i zastosowanie każdego z nich. W pamięci miał żywy obraz rozmaitych zastosowań.

Ileż to nocy z chorą fascynacją obserwował, jak jego chłopcy wynajdowali nowe niezwykle pomysłowe sposoby ich użycia w piwnicy budynku przy placu Dzierżyńskiego? Znał każdy z tych instrumentów, jak mechanik samochodowy zna narzędzia swojego fachu.

Zacisnął powieki, a potem zęby. Jęk strachu przecisnął się przez krtań i wydobył ustami, rozsuwając zaciśnięte wargi.

W jego stronę spojrzęło pięć par oczu.

– Witaj, Siergiej. – Władimir się uśmiechnął. – Widzę, że wróciłeś. – Słuchaj, nie mogę się zdecydować – powiedział, robiąc zakłopotaną minę, jakby był lekko sfrustrowany. – Od czego powinniśmy zacząć?

– Trzymajcie z dala ode mnie to cholerstwo!

– Co ty, Siergiej? Przecież już o tym rozmawialiśmy. Daj spokój, nie widzisz, że chcę być uprzejmy? – Zarechotał, a pozostali przyłączyli się do niego.

– Co wybierasz?

– Przysięgam, nie mam forsy.

– Nic a nic?

– Wydałem wszystko.

– Wszystko? Dwieście pięćdziesiąt milionów? – zapytał sceptycznie.

– Tak, wydałem. Co do centa. – Bez względu na wszystko nie miał zamiaru przekazać Nikole swojej fortuny. Jeśli chcą, mogą go posiekać na kawałeczki. Bydlak nic nie dostanie.

Władimir pochylił się nad walizką, przyjrzał jej zawartości i podjął decyzję. Piłka.

– Masz pecha.

– Błagam, uwierz mi. Byłem głupi i chciwy. Wydałem fortunę na masę idiotycznych rzeczy. Nic nie zostało.

Tamten stanął w odległości pół metra. Sprawdził palcem ostrze i przysunął się bliżej. Dwaj inni ustawili się za Siergiejem, unieruchamiając ramiona i głowę. Próbował się wykręcić, lecz tamci jedynie wzmogli uścisk.

– Od czego by tu zacząć? – zamyślił się Władimir, taksując ciało generała

badawczym wzrokiem. – Może od palców stóp? – spytał. – Zaczniemy od dołu, od małego palca i będziemy stopniowo pięć się w górę. – Pochylił się i zdjął Golicynowi buty, a następnie skarpetki. Pulchne białe palce zaczęły się ruszać, próbując ukryć się pod stopami. Władimir starannie wybrał wielki paluch prawej stopy, chwycił go mocno i spojrział w górę lekko skruszonym wzrokiem: – Muszę cię ostrzec, że potrafisz się zapomnieć. Kiedy obetnę jeden palec, mogę się zatrzymać dopiero, gdy ciachnę wszystkie dziesięć. Nie mam pojęcia dlaczego, pewnie z moją głową coś jest nie tak.

– Dobrze... zgoda, mam pieniądze. Błagam... zostaw mój palec. – Władimir lekko uszczypnął generalski paluch. Golicyn omal nie spadł z krzesła. – W Szwajcarii... w szwajcarskim banku... – wymamrotał pospiesznie.

– Nie okłamałbyś mnie, prawda? Wiesz, nie znoszę kłamców.

– Coś ty, nie kłamie! Przysięgam! Forsa jest w Szwajcarii.

– W jakim banku?

Widząc, że generał lekko się zawahał, Władimir chwycił mocno u podstawy palucha.

– Lucerne National. Zdeponowałem tam wszystko co do centa.

– Ile?

– Dwieście milionów.

Piłka zbliżyła się do skóry.

– Dobrze, już dobrze... dwieście dwadzieścia.

– Zdażyłeś wydać trzydzieści milionów? – spytał Władimir takim tonem, jakby miał zamiar za chwilę odjąć mu palec. W jego głosie nie było niewiary, lecz jedynie gniew.

– Przykro mi...

– Nie wątpię, Siergiej. Gadaj prawdę!

Golicyn nie mógł oderwać oczu od piłki.

– Powiesz czy mam ciąć?

– Nie, błagam... Wszystko powiem.

– Numer konta i hasło. Skoncentruj się, Siergiej. No?

– Nie pamiętam. Mam w biurze... Musimy pojechać do mojego biura.

Spadły na niego trzy ciosy.

– Jezu, nie! – Z jego ust popłynął szereg cyfr.

Gdy mówił, mężczyzna ukryty w tylnej części hangaru wprowadzał dane do przenośnego komputera, przesyłając je niczym błyskawica łączami Internetu wprost do dużego serwera w Zurychu. Nie minęły dwie minuty, a pieniądze – całutkich dwieście pięćdziesiąt milionów zielonych wraz z odsetkami – przepłynęły na konto w innym szwajcarskim banku, nawiasem mówiąc, oddalonym zaledwie dwie przecznice od Lucerne National.

Gość wytknął głowę z dużym kucykiem za drzwi, dając znak Władimirowi uniesionym kciukiem.

– Co ze mną zrobicie? – spytał Golicyn.

– Czemu mielibyśmy coś ci zrobić?

– Nie zabijecie?

– Coś ci powiem, w tym punkcie polecenia, które otrzymałem, nie były precyzyjne. – Władimir pogładził brodę, udając zakłopotanie. – Jesteś spłukany. Pozostała ci jedynie skromna państwowa emerytura i tragiczne wspomnienie, że kiedyś byłeś bogaty. Czemu mam się tobą przejmować?

– Właśnie, nie ma najmniejszego powodu. Masz rację, jestem zrujnowany. Nic mi nie zostało, jestem skończonym bankrutem. Nie wiem nawet, kim jesteś – skłamał.

– Nie jestem tego pewny. – Wsunął dłoń do kieszeni kurtki, jakby czegoś szukał. Zapalniczki albo noża. – Może na wszelki wypadek powinienem...

– Błagam, nie rób mi krzywdy – zaskomlał Golicyn, wyrzucając z siebie potok słów. – Wyjadę z Rosji, obiecuję. Następnym pociągiem. Zniknę i nigdy więcej mnie nie ujrzycie. Proszę, pozwól mi żyć.

Władimir patrzył na niego chwilę nieprzeniknionym wzrokiem, aby w końcu wzruszyć masywnymi ramionami.

– To oszczędzi nam problemu pozbycia się twoich tłustych zwłok.

– No właśnie! – Golicyn omal nie jęknął z ulgi. – Nie chcę być dla was ciężarem.

– Około dziewiątej rano robotnicy z fabryki po drugiej stronie ulicy będą szli do roboty. Krzycz głośno, Siergiej. Kto wie, może tutaj zajrzą i cię ocalą.

W ciągu pięciu minut Władimir i jego chłopcy spakowali narzędzia do walizki, zgasili światło i rozplnęli się w mroku.



Przez pół godziny Golicyń próbował zamknąć oczy i zasnąć. Bardzo potrzebował snu. Lęk i przerażenie minęły, a ich miejsce zajęło wyczerpanie. Mimo to nie potrafił zamknąć oczu. Gniew i wściekłość narastały. O dziewiątej trzydzięci rano Nikola słono zapłaci za każde jego upokorzenie, za każdego skradzionego dolara. Nie był jeszcze pewny, jak to zrobi. Kara musiała być powolna i straszna. I bardzo bolesna, przysiągł samemu sobie. Zwiesił głowę i zaczął marzyć o śmierci Nikoły.

\* \* \*

Pogłoski zaczęły krążyć od wczesnego rana. Podziemny świat Moskwy kochał plotki, im bardziej soczyste, tym lepiej. Ta poruszała się z prędkością królika, któremu podpalono ogonek. O północy znano ją we wszystkich burdelach, spelunach i melinach handlarzy narkotyków. Powtarzali ją sobie kieszonkowcy i klientela barów odwiedzanych przez szefów moskiewskich gangów, którzy o tej porze rozpoczynali nowy dzień.

Ktoś dybał na życie Nikoły Kozyriewa. Ktoś bardzo wpływowy. Wpływowo w sposób, który liczył się tu najbardziej. Na tyle wpływowo, aby poprzeć swoje intencje wielkimi pieniędzmi. Ten fakt sprawił, że od pogłosek huczało całą noc. Pięć milionów dolców. Pięć milionów za to, że serce Nikoły przestanie bić. Bez żadnych warunków, wedle życzenia zabójcy. Wszystkie chwytły dozwolone, żadnych ograniczeń. Gość mógł zginąć od kuli lub trucizny, wyzionącej ducha w wypadku samochodowym. Wszystko jedno. Rodzaj śmierci nie miał znaczenia. Pięć milionów doskonałych powodów, aby Nikola Kozyriew pożegnał się z życiem.

Czeczeński gang wynajęty przez hojnego anonimowego sponsora skontaktował się z hersztami trzech moskiewskich syndykatów. Ze zrozumiałych przyczyn dobroczyńca wolał pozostać w ukryciu. Zaproszono wybraną grupę świadków do małego mieszkanka w centrum miasta, a następnie wyciągnięto z szafy pięć walizek pełnych gotówki i okazano do wglądu, choć forsę było zbyt dużo, by ktoś pofatygował się ją policzyć. Wyglądało, że jest tego aż nadto. Dokładnie pięć milionów, zapewniono. Tak wygląda pięć milionów, możecie się z bliska przekonać. Żadnych pustych obietnic, żadnego blefu, uczciwy interes. Wróćcie do swoich i rozgłoście wiadomość.

W mieście, gdzie za pięć tysięcy dolców można było każdego ukatrupić, oferta pięciu milionów musiała wywołać istną gorączkę złota wśród zabójców.

Kilku bukmacherów zaczęło się zastanawiać nad ogłoszeniem zakładów. Wykluczone, czemu ludzie mieliby obstawiać wynik? Szansa, że Nikoła wyjdzie z tego cało, graniczyła z zerem. Prosta sprawa, nie ma o czym mówić. Pięć milionów nagrody spowodowało, że Nikoła już był trupem.

O trzeciej nad ranem szef ochrony Nikoły – najbardziej zaufany z jego współpracowników i długoletni przyjaciel, który dorastał razem z nim na tej samej biednej uliczce w Nowogrodzie – cicho otworzył drzwi sypialni szefa. Trzy długie szczęśliwe dekady gwałcili, zabijali i handlowali narkotykami. Wymykali się policji i KGB, oszukiwali, mordowali i bili ludzi tyle razy, że nie sposób spał pamiętać. Mieli całe mnóstwo wspólnych wspomnień. Wślizgnął się cicho do środka, przywarł do ściany i zaczął się wolno skradać, nie odrywając stóp od dywanu. Nikoła lubił mroczne pomieszczenia. Za nic nie zasnąłby w pokoju z oknami, a ten, w którym znajdował się obecnie, przypominał kryptę. Głośne chrapanie odbijało się echem od ścian. Dziewczyna rozciągnięta w jego nogach była tak nafaszerowana heroiną, że nie usłyszałaby czołgu T-80, nawet gdyby ten przejechał tuż obok niej.

W prawej ręce trzymał pistolet z tłumikiem, w lewej małą latarkę, którą zamierzał zapalić na chwilę przed oddaniem strzału. Zostały mu trzy metry, półtora. Podniósł lufę. Gdy był w odległości pół metra od Nikoły, poczuł, że coś uderzyło go w klatkę piersiową. Runął w tył, rozplaszczając się na ścianie. Osunął się na podłogę, krwawiąc obficie. Zabawna sprawa, pomyślał. Usłyszał strzał ułamek sekundy po tym, jak kula wyrwała mu lewe płuco.

Nikoła pochylił się, spoglądając mu w oczy w ciemności.

- Bolało?
- Taaak... jak cholera.
- Dlaczego? – zapytał.
- Pięć milionów – wydusił z siebie najlepszy druh.
- Kto zapłacił?
- Kto wie? Jakie to ma znaczenie?
- Naprawdę?
- Tak... Nikoła.
- Czemu właśnie ty?

- Głupie pytanie.
- No tak, pięć milionów.
- Właśnie, jesteś już trupem.

Nikoła wpakował dwie kulki w usta przyjaciela, wyprostował się, a następnie wyprowadził z pokoju pograżoną w stanie śpiączki towarzyszkę.

Zamknął za nią drzwi i zatarasował wejście dużą komodą. Na chwilę się zatrzymał. Kto wyznaczył nagrodę za jego głowę? Kto tak bardzo go nienawidził? Kto miał motyw? I pieniądze?

Nie musiał długo myśleć. Golicyn. Wszystko jasne. Sięgnął po komórkę i wprowadził numer, który znał na pamięć.

- Grigorij, to ja – oznajmił.
- Cześć, słyszałem, że jesteś w poważnych tarapatach. – Grigorij się rozśmiał.

- Widzę, że wieść się rozeszła.
- Pięć milionów, Nikoła. Gadają o tobie na mieście.
- Dziękuję. Mam do ciebie sprawę, Grigorij. Pamiętasz, że wiesz mi dwa miliony za ostatnią partię narkotyków?

- Jasne, masz dostać forszę dopiero jutro wieczorem.
- Nie ma o czym mówić.
- Poważnie?
- Poważnie. Rozpuść wiadomość, że ktoś zapłaci półtora miliona za sprzątnięcie Siergieja Golicyna. Resztę możesz sobie zatrzymać.
- Może sam go sprzątnę i zachowam całą forszę.
- Jak chcesz, Grigorij. Lepiej, aby Golicyn był martwy, w przeciwnym razie będziesz następny. – Na tym zakończyli pogaduszki.

Nikoła wrócił do łóżka i usiadł na jego krawędzi, kładąc pistolet na kolanach. Pięć milionów!

Jego najlepszy kumpel nie kłamał. Był już trupem. Za godzinę, za dzień, może za tydzień. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, że był żywym trupem.

\* \* \*

O ósmej rano Tromble wezwał do siebie cały zespół. W typowym składzie. Dwóch uległych chłopców na posyłki, agenci Hanrahan i Wilson, pułkownik

Wolewoj, szef ekipy rosyjskich prokuratorów, kilku prawniczych asów z INS oraz, w charakterze posiłków, dwóch entuzjastycznych młodzieńców z Departamentu Sprawiedliwości.

– Można się było tego spodziewać – zauważył Bill, jeden z młodzieniaszków przysłanych przez Departament Sprawiedliwości. Nawiasem mówiąc, jego specjalnością była dowolna sprawa, która wypłynęła pięć minut temu.

– Nie spodziewałem się tego – rzucił Jason Caldwell, ocierając resztki kremu do golenia z prawego ucha. Po brutalnym wyrzuceniu Kim Parrish dyrektor INS wybrał go osobiście do prowadzenia tej sprawy. Ściągnięto go z biura okręgowego w San Diego, gdzie stał się żywą legendą, specjalistą od wykopywania z kraju Meksykanów. Caldwell był hałaśliwym samochwałem nieodczuwającym ani krztyny współczucia dla ludzi, których oskarżał. Słyszał ze skuteczności działania. Brał najtrudniejsze, najbardziej ambitne sprawy, nie przejmując się prawdą ani konsekwencjami własnych działań.

Nie krył swoich ambicji przed kolegami, wśród których nigdy nie cieszył się szczególną popularnością. Traktował państwową posadę w INS jako kolejny szczebel w karierze. W przyszłości zamierzał się ubiegać o miejsce w Kongresie i zostać dyrektorem urzędu imigracyjnego. Kiedy osiągnie cel, kumple ustawią się w kolejce, by pocałować go w dupę. Wedle wszelkiej miary był idealnym człowiekiem do tej roboty.

Cały miesiąc przeglądał tony dowodów zebranych, przełożonych i uporządkowanych mozolnie przez Kim i Piotra. Ostatni miesiąc poświęcił na dumne stąpanie przed dużymi lustrami, ćwiczenie i wygładzanie kwestii, które zamierzał wygłosić, podziwianie swojej dumnej postawy i zbieranie sił, by skopać tyłek temu Ruskiemu.

Wiść o odwołaniu się do *habeas corpus* i przeniesieniu sprawy do sądu federalnego walnęła w niego jak grom z jasnego nieba. Bez ostrzeżenia. Podstępny atak MP jednak ani trochę nie wyprowadził go z równowagi. Właściwie z niecierpliwością oczekiwał na dzień rozprawy, rad z decyzji Aleksa i jego prawnika. Był zadowolony, że sprawę takiego kalibru przeniesiono z drugorzędного sądu imigracyjnego do sądu federalnego z pierwszej ligi. Nazywał się Jason Caldwell. Gdyby ten Koniewicz wiedział, że będzie musiał stanąć przed „Biczem na Meksykanów”, osobiście zarezerwowałby sobie bilet do Moskwy.

Tromble szybko przywrócił porządek. Wygłosił kilka uwag na temat znaczenia sprawy i przypomniał o potrzebie odniesienia zwycięstwa za wszelką cenę. Spojrzał twardym wzrokiem na zebranych, rozmyślając o konieczności wysłania Koniewicza do domu, by zapłacił za swoje liczne grzechy.

Rosjanie słuchali w milczeniu. Wolewoj gardził Ameryką. Rozpaczliwie pragnął wrócić do Rosji, gdzie w dowód zasług spodziewał się generalskich szlifów. Z kolei szef rosyjskich prokuratorów miał nadzieję, że Caldwell spieprzy sprawę. On i trzech jego kumpli mieli przyjaciółki w Vegas – całą gromadkę piersiastych tancerek, które bez przerwy balowały i nie były szczególnie wybredne w doborze partnerów. Po przepuszczeniu niemal stu tysięcy w kasynach (oczywiście, rachunki zapłaciło FBI) on i jego kumple w końcu zaczęli się odgrywać.

– Ty, kto będzie przewodniczył? – zapytał Tromble, mrużąc oczy i wskazując palcem drugiego młodzieńca z Departamentu Sprawiedliwości, którego nazwiska nie zapamiętał i które, mówiąc szczerze, zupełnie go nie obchodziło.

– Elton Willis – odparł Bill, dumny, że może siedzieć w biurze samego dyrektora FBI.

Tromble spojrział na niego tak, jakby ktoś wepchnął mu cytrynę do gardła.

– Nie, tylko nie Willis.

– Sędzia Willis cieszy się znakomitą reputacją – zaoponował Bill, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co chodzi.

W krótkim okresie sprawowania urzędu sędziego Tromble i Willis brali wspólnie udział w kilku konferencjach prawniczych. Przy pewnej okazji, którą Tromble pamiętał, wdali się nawet w ożywioną debatę na temat swobód obywatelskich. Była to jedna z licznych kwestii prawnych, w których ich poglądy diametralnie się różniły. Debacie przysłuchiwali się inni sędziowie, więc jej wynik od początku dało się przewidzieć. Willis był inteligentny, metodyczny, wyważony, a swój stosunek do prawa wyniósł ze szkoły jezuitów. Mówiąc ogólnie, naukowcy i sędziowie obecni na widowni nie pojęli subtelności wywodów Tromble'a. Wygwizdali go nie po raz pierwszy ani ostatni, lecz z pewnością najgłośniej.

– To lewicowy mięczak – warknął Tromble, aby nikt nie ośmielił się mu sprzeciwić. Rozparł się w fotelu i strzelił palcami. – Jesteś przygotowany do

przedstawienia? – spytał Caldwell.

– Sprawa jest pewna. Uporamy się z nią w jeden, najwyżej dwa dni.

Tromble wymienił spojrzenia z Hanrahanem.

– Czy czegoś nie przeoczyliśmy?

Hanrahan nie miał pojęcia.

– A publicity i prasa? Najnowsze wiadomości o Koniewiczu powinny się ukazać na czołówkach gazet.

Caldwell był zachwycony.

– Wspaniały pomysł – przytaknął zupełnie głośno. – Jeśli tego nie zrobimy, robi to za nas obrona. Lepiej ich uprzedzić.

– Nasi rosyjscy przyjaciele muszą się przekonać, że mamy poważne zamiary. Chociaż sprawa ciągnie się ponad rok, nie zapomnieliśmy o nich.

– Mógłbym zorganizować kilka konferencji prasowych – zgłosił się na ochotnika Caldwell.

– Zobaczmy, czy będziemy pana potrzebowali. – Tromble odchrząknął.

– Hanrahan, powiedz chłopakom na dole, aby wprawili maszynę w ruch. Niech sprawdzą, czy „Hightline” lub „Good Morning America” mogą mnie zaprosić. I niech zadzwonią do tej blondynki, prawniczki z Fox News... wiesz której. Tej, która zawsze ma dla mnie czas.

– Zostało go bardzo niewiele. Mamy tylko dwa dni, szefie.

– Powiedz im, że zapowiada się najważniejszy proces roku.

– Może to poskutkuje, a może nie... – odparł Hanrahan, wpatrując się w blat.

Wiedział, że dziennikarze i reporterzy mieli dość Tromble'a i jego ciągłych prób wykradania farby drukarskiej i czasu antenowego. Szef FBI uwielbiał występy przed kamerą, był prawdziwym mistrzem prezentowania się w świetle reflektorów. Ludzie z działu publicity pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, lecz kończyły się im już kłamstwa i pokusy mające przyciągnąć uwagę prasy.

– Dobrze. – Tromble skinął głową, wpadając na nowy pomysł. – Powiedz im, że będę zeznawał podczas procesu. Że zapowiada się historyczne wydarzenie. Nigdy wcześniej dyrektor FBI nie występował w sądzie w takim charakterze.

## 31.

Schody sądu federalnego wyglądały tak, jakby w gmachu odbywał się koncert. Kilka ekip telewizyjnych, reflektory, kamery gotowe do rozpoczęcia filmowania. Reporterzy prasowi kręcili się bez celu, zwabieni buczeniem imponującej maszyny publicity FBI.

W środku, w tylnych rzędach sali, przycupnęło już kilkunastu dziennikarzy – reporterów gotowych wybiec i podzielić się z mniej uprzywilejowanymi braćmi dramatycznymi i pikantnymi wieściami.

Przy jednym ze stołów siedziała grupka pięciu prawników na czele z Jasonem Caldwellem, który prezentował się naprawdę okazale w nowym wartym pięćset dolarów garniturze od Brooks Brothers, zakupionym dla uczczenia tego przełomowego debiutu. Ubranko pasowało do jego niebieskich oczu i świetnie prezentowało się przed kamerą. Na lewo przycupnęło dwóch kolegów z INS, a na podłodze pomiędzy nimi ustawiono duży stos dokumentów. Dwaj kolejni chłoptasie z Departamentu Sprawiedliwości, których rola stanowiła zagadkę nawet dla nich samych, zostali zesłani na daleką wąską krawędź.

MP wiódł poważną naradę z dwójką dobrze ubranych prawników z kancelarii Pacevitch, Knowlton i Rivers – jednej z kilku wpływowych firm w mieście, w którym liczba prawników przewyższała liczbę zwykłych mieszkańców w stosunku trzy do jednego. Po prawej stronie MP siedział Matt Rivers, kolega ze studiów prawniczych, który pełnił funkcję drużby podczas pospiesznie zaaranżowanego ślubu MP z jego oblubienicą będącą już wówczas w wyraźnej ciąży.

Na trzecim roku, jako jeden z czołowych studentów, otrzymał propozycję

pracy od wielkich firm z Nowego Jorku i Chicago. Wybrał PKR, bo kancelaria ta była powszechnie znana. Skusiła go sława firmy, która nie cofnie się przed niczym, wzbudzająca lęk siłą oraz liczbą oddziałów zajmujących się wszystkim od prawa korporacyjnego po kryminalne, z biurami w sześciu amerykańskich miastach i dziesięciu krajach na świecie. Wiadomość, że PKR zaangażowała się w jakąś sprawę, wywierała zwykle piorunujący skutek nawet na najbardziej krnąbrnych przeciwnikach, którzy niezwłocznie chcieli pójść na ugodę. Niepisane motto PKR brzmiało „przeginać pałę”, co wyrażało gotowość firmy do oddelegowania setek prawników do trudnej sprawy. Niezależnie od tego, ilu przedstawicieli wystawiła strona przeciwna, PKR podwajała ich liczbę i zwiększała godziny pracy, ogłupiając konkurenta chaotyczną krzątaniną i obserwując, jak pada z wyczerpania. Delikatnie mówiąc, PKR nie lubiła przegrywać. Cecha, która zdecydowała o konkurencyjnej przewadze Matta – jego instynkt zabójcy – została wcześniej dostrzeżona i starannie pielęgnowana. Kultywowanie wspomnianego daru polegało między innymi na zaproponowaniu mu pozycji wspólnika po pięciu latach pracy, trzystu tysięcy dolarów rocznie, premii i samochodu służbowego.

Chociaż różnił ich styl życia i majątek, Matt i MP co kilka miesięcy jadali wspólny lunch, dzieląc się opowieściami z przeciwnych krańców prawniczej profesji. Przestrzegali ściśle tylko jednej zasady: Matt wybierał knajpę i płacił za żarcie. Wprowadzili ją dawno temu, gdy MP zaciągnął Matta do Taco Bell. Jego żołądek, odwykły od takiego jedzenia, zbuntował się okrutnie.

Zgodnie z życzeniem Aleksa MP kilka miesięcy temu poprosił starego kumpla o przysługę. MP musiał stawić czoło przeważającym siłom wroga, więc Aleks nalegał, by poszukał wsparcia. Dysponowali ograniczonymi środkami, więc ów pomocnik musiał wyrazić gotowość współpracy w zamian za reklamę, której mógł dostarczyć udział w głośnym procesie. Ponieważ Tromble jak rzadko kto umiał zagwarantować publicity, Matt przekazał sprawę MP zarządowi swojej firmy. Zwrócił się ze skromną prośbą – oddelegujcie do tej sprawy *pro bono* jednego lub dwóch prawników. Główną robotę miał wykonać MP. Zależało mu jedynie na tym, aby ludzie PKR byli na sali i wzbudzali bojaźń w sercach rywali. Zwyczajna sprawa imigracyjna nie wzbudziła entuzjazmu członków zarządu, dopóki Matt nie przedstawił fascynującej historii Aleksa



Koniewicza oraz dziwnej natury jego rzekomych przestępstw. Zainteresowanie uległo wzmocnieniu i w końcu wspólnicy zasiadający w zarządzie zapalili się do tej sprawy.

Dwa lata temu PKR przyłączyła się do żywiołowego pędu zachodnich firm na otwierający się rynek demokratycznej Rosji. Założyli oddział w Moskwie, który jakiś czas próbował utrzymać się na powierzchni. Chłopcy PKR oddelegowani do Rosji zostali natychmiast wynajęci przez nową firmę nafciarską, zagrożoną wrogim przejściem przez podejrzane konsorcjum mające świetne koneksje w rządzie. Któregoś dnia, po pierwszym posiedzeniu sądu, rosyjskie Ministerstwo Sprawiedliwości powiadomiło PKR, że jej prawnicy utracili swoje uprawnienia, a oddział firmy nie jest już mile widziany w tym kraju. Prawników wykopano, a firma nafciarską dwa dni później została wchłonięta przez rywala.

Szefowie kancelarii uznali, że nadarzyła się okazja, by pokazać rosyjskiemu rządowi wielki śródkowy paluch. Jednym ze szlachetnych przymiotów PKR było to, że nigdy niczego nie zapominała.

Po prawicy Marta zasiadł Marvin Knowlton (K z PKR), dystyngowany osiemdziesięcioletni dżentelmen, legendarny „Golibroda”, który wrócił na tę rozprawę z emerytury. Głęboka brązowa opalenizna entuzjastycznego golfisty z Florydy ładnie kontrastowała z długą, srebrzystą grzywą. Obecność starego lwa w sądzie była ważnym ostrzeżeniem dla każdego, kto raczył to odnotować. Za dawnych czasów Marvin specjalizował się w pozwach o zniesławienie oraz naruszenie praw i dóbr osobistych. Potrafił pozwać człowieka do sądu z byle powodu i rzadko przegrywał.

Strategia obrony była prosta. Odwołując się do *habeas corpus* – i zmuszając rząd do wskazania konstytucyjnej podstawy przedłużającego się więzienia Koniewicza – Aleks i MP przenieśli sprawę z sądu imigracyjnego do federalnego, do systemu, który gwarantował większą ochronę praw oskarżonego. W systemie federalnym istniała również możliwość odwoływania się, co stwarzało szansę drugiego, a nawet trzeciego rozpatrzenia sprawy. MP miał przeprowadzić pierwszy atak w obronie Koniewiczów. Gdyby ten się nie powiódł, do akcji wkroczą wyjadacze z PKR, oddelegują do sprawy kilkunastu dodatkowych prawników i rozpoczną rzeź.

Tymczasem Matt i Marvin mieli jedynie siacę postrach w szeregach wrogów, przysłuchiwać się argumentom MP i być gotowi do wkroczenia, gdyby sprawa przybrała zły obrót, co po zapoznaniu się z materiałem dowodowym wspólnie uznano za wielce prawdopodobne.

Za MP siedziała Jelena ubrana w prosty granatowy spodniom i białe czółenka, ściskając mocno ręce i modląc się żarliwie. Co jakiś czas przestawała rozmawiać z Bogiem, by rzucić nienawistne spojrzenie w kierunku stołu oskarżenia na ludzi, którzy tak okrutnie prześladowali jej męża.

W ostatniej chwili dwóch rosyjskich zastępców szeryfa wprowadziło Aleksa bocznymi drzwiami. zaproponowano mu, by wziął prysznic i włożył coś bardziej stosownego, na przykład garnitur i krawat. Uprzejmie odmówił. Miał na sobie te same brudne białe spodnie, brudną białą koszulę i niechlujne japonki, w których zabrano go do więzienia. Na policzkach wyrósł gęsty, ciemny, przynajmniej czterodniowy zarost. Przetłuszczone włosy upięł w ciasny kucyk.

MP był temu przeciwny, lecz Aleks się uparł – niech sędzia i reporterzy zobaczą, co z nim zrobiono. Ujrzenie go w tak nędznym stanie spowoduje, że przestanie być postrzegany jak nadziany milioner. Niezależnie od tego, kim kiedyś był, teraz stał się zwykłym facetem okrutnie uciskanym i prześladowanym przez państwo.

Powlókł się w kierunku swojego miejsca, przybrał zbolałą minę i zaczął delikatnie siadać. Pani w trzecim rzędzie odwróciła się do kogoś w tyle i głośno szepnęła, nie kryjąc oburzenia:

– Widziałas? Te zwierzęta urządziły biedakowi gwałt zbiorowy!

Idealny sygnał! MP i Matt przyskoczyli do Aleksa, ostentacyjnie pomagając biedakowi wygodnie się usadowić. Jelena wydała stłumione łkanie, który odbiło się echem od sądowych ścian. Jakby nie widziała męża od miesięcy.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi i na salę wkroczył John Tromble, pełen energii po kilku krótkich wywiadach przeprowadzonych na schodach sądu. Rozejrzał się po sali, skupiając wzrok na oskarżonym siedzącym przy stole obrony. Pierwszy raz zobaczył Aleksa Koniewicza z bliska osobiście. Pierwszy raz rzucił okiem na irytującego faceta, który w ciągu ostatnich czternastu miesięcy kosztował go tyle czasu i uwagi. Widząc więzienny strój, ciemny zarost, niechlujny kucyk i zmęczone oczy, zareagował mimowolnym uśmiechem.

Reporterzy siedzący w tylnych rzędach zauważyli jego reakcję i zaczęli głośno szeptać między sobą.

Dyrektor podszedł dumnym krokiem do przedniego rzędu, gdzie asystent zarezerwował mu miejsce. Nie był w sądzie od swoich sędziowskich czasów, lecz czuł, że jego obecność zostanie uznana za ważny sygnał.

Chwilę później otworzyły się boczne drzwi i na salę wkroczył sędzia Elton Willis, szeleszcząc czarną togą. Kiedy zajął miejsce, woźny oznajmił jego przybycie. Wszyscy powstali, a gdy sędzia spoczął, ponownie usiedli na swoich miejscach.

Elton Willis miał pięćdziesiąt dziewięć lat, śniadą cerę i delikatne rysy twarzy, był zdumiewająco niski. Ten dawny jezuita przebudził się pewnego ranka i uznał, że woli bożej nie da się realizować w Kościele, lecz na ulicach, gdzie szalała prawdziwa wojna dobra ze złem. Zdjął sutannę i pięć lat podawał wodnistą zupę w jadłodajniach dla biedoty oraz uczył czarnoskóre dzieci z pełnych przemocy slumsów Waszyngtonu, by w końcu całkowicie zniechęcić się do tego rodzaju działalności. Narkotyki, broń palna i bezlitosna przemoc panująca na ulicach pogrzebały resztki iluzji, że zdoła zbawić świat. Tyle dzieci ginęło lub staowało przed sądem, nie mogąc liczyć na odpowiednią pomoc prawną. Kończyły w więzieniu, do którego wracały do końca życia. Uznał, że pora rozpocząć walkę gdzie indziej. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Wirginii, gdzie postać byłego jezuitę studiującego prawo budziła powszechną wesołość kadry profesorskiej. Później wrócił do Waszyngtonu, gdzie zyskał reputację adwokata, z którym należy się liczyć. Nie brał spraw bogatych klientów. Jeśli drzwi kancelarii przestąpił ktoś w garniturze, natychmiast wypraszał go na zewnątrz.

Jako sędzia federalny kontynuował odwieczną walkę dobra ze złem. Jezuiści słynęli z wielkiej inteligencji. Elton Willis okazał się twardszy i mądrzejszy od większości z nich.

Rozejrzał się po sali i cichym głosem streścił sprawę na wokandzie, a następnie nieco głośniej przypomniał o kilku podstawowych zasadach. Nie był to proces sądowy, lecz rozpatrzenie odwołania do *habeas corpus* w obecności sędziego. Nie robią na nim wrażenia teatralne gesty, więc prosi obrońcę, aby wnosił sprzeciw jedynie wówczas, gdy będzie to absolutnie konieczne. Podkreślił też, że więźność jest najbliższa pobożności.

Prawnicy obydwu stron wygłosili krótkie mowy wstępne. Jason Caldwell zaczął pierwszy, nie mógł się powstrzymać. Po kilku miesiącach strojenia się i szykowania był jak hollywoodzka gwiazdeczka na pierwszej premierze. Dumnie paradował po sali. Połowa jego uwag była adresowana do sędziego, druga do ziewających reporterów w tylnych rzędach. Niestety, Caldwell był również świetnym prokuratorem dysponującym ciętym językiem i silnym materiałem dowodowym. Już w połowie jego przemowy Aleks Koniewicz wyglądał na ucieleśnienie zła. Facet zasłużył na więzienie, może nawet powinien zostać stracony, a przynajmniej czym prędzej odesłany do swojej ojczyzny na długo odwlekane spotkanie ze sprawiedliwością.

Na koniec błysnął w uśmiechu bielutkimi zębami reporterom w tylnych rzędach i wrócił na miejsce.

MP podniósł się i oznajmił:

– Mój klient spędził czternaście strasznych miesięcy w więzieniu, chociaż nie został za nic skazany. Domagamy się jego niezwłocznego uwolnienia.

Usiadł. To wszystko. Nic więcej. Małeńka kropla w ogromnym oceanie, który wołał o długą, pełną oburzenia mowę.

Caldwell miał ochotę wstać i przyjąć oklaski. Rozniesie tego MP Jonesa w pył. Zanosilo się na łatwą sprawę. Wstał i wezwał pierwszego świadka, pułkownika Leonida Wolewoja.

Pułkownik podszedł do ławy dla świadków niczym Perry Mason bez inwalidzkiego wózka.

– Jakie stanowisko pan zajmuje?

– Jestem doradcą specjalnym rosyjskiego ministra bezpieczeństwa wewnętrznego.

– To odpowiednik naszego FBI?

– Można to tak ująć. – Wolewoj odchylił się do tyłu i skrzyżował nogi.

– Jaki związek łączy pana z dochodzeniami prowadzonymi w sprawie pana Koniewicza?

– Prowadziłem śledztwo z ramienia naszego ministerstwa. Zarzucane mu przestępstwa były tak poważne i dotyczyły tylu dziedzin, że w końcu powierzono mi nadzór nad dochodzeniem trzech urzędów państwowych.

Caldwell odwrócił się i skinął głową jednemu z prawników INS, stłoczonych

przy stole. Ten chwycił garść papierów i stanął przy nim. Caldwell wybrał jeden z dokumentów.

– Może nam pan powiedzieć, co to za dokument?

Wolewoj pochylił się w jego stronę.

– To angielski przekład sprawozdania ze śledztwa Ministerstwa Sprawiedliwości.

– A to?

– Przekład raportu Ministerstwa Finansów.

– A to?

– Raport z mojego dochodzenia.

– Czy trzy wspomniane dochodzenia doprowadziły do podobnych wniosków?

– Identycznych.

– Mógłby pan je w skrócie podsumować?

– W skrócie? Koniewicz ukraść dwieście pięćdziesiąt milionów. Wybebeżył i doprowadził do bankructwa własne firmy. Jednym pociągnięciem ręki zniszczył wiarygodność nowej rosyjskiej gospodarki. Trudno to ująć w jednym prostym zdaniu.

Caldwell odwrócił się od Wolewoja, posyłając rozpromieniony uśmiech widowni.

– Wyobrażam sobie! Czy wyniki śledztw różnią się od siebie w jakimś istotnym punkcie?

– Nie. Fakty są proste do ustalenia. Dowody przytłaczające. Niemal stu śledczych doszło do identycznych wniosków.

– Że Koniewicz jest oszustem?

– Złodziejem, kłamcą i oszustem.

– Czy proszono go, aby wrócił do Rosji?

– Tak, prosiłem go o to osobiście. Dwukrotnie, przy dwóch różnych okazjach. Zapewniłem, że będzie miał sprawiedliwy proces. Gdyby był niewinny, mógłby oczyścić swoje imię.

– Dwukrotnie?

– Tak.

– Jak zareagował?

– Roześmiał mi się w twarz. Powiedział, że nasze kraje nie podpisały umowy ekstradycyjnej. Przytknął mi palec do piersi i oznajmił, że ukryje się za waszą flagą.

Caldwell nie mógł się oprzeć okazji:

- Ukryje się za naszą flagą? Za gwiazdzystym sztandarem?
- Właśnie.

Oskarżyciel podniósł kolejny dokument.

- Może pan powiedzieć Wysokiemu Sądowi, co to takiego?

Pułkownik ponownie zmrużył oczy.

– To akt oskarżenia przeciwko Aleksandrowi Koniewiczowi. – Nachylił się bliżej, jakby musiał go dokładniej obejrzeć. – Podpisany przez Anatolija Fiedorowa, rosyjskiego odpowiednika waszego prokuratora generalnego.

Caldwell spojrział na sędziego.

– Wysoki Sądzie, przedstawiamy wyniki dochodzeń i akt oskarżenia na dowód, że Aleks Koniewicz dopuścił się poważnych przestępstw na terenie Rosji, a później skłamał i ukrył je przed naszymi władzami imigracyjnymi.

Dokumenty przekazano urzędnicze, która szybko opatrzyła je numerami, a następnie ułożyła starannie na biurku. Aleks siedział spokojnie, nie okazując zdumienia ani zatroskania z powodu powagi zarzutów.

Wysoki Sąd spojrział na MP.

- Chce pan przesłuchać świadka?
- Nie, Wysoki Sądzie.

Wolewoj był wolny. Kolejnym świadkiem był szef zespołu rosyjskich prokuratorów. Rosjanin przedstawił się i został zaprzysiężony.

Caldwell podszedł do niego, gdy tylko usiadł na miejscu.

- Może pan opisać swoją rolę w śledztwie?
- Prokurator generalny nakazał mi przygotowanie materiałów procesowych i aktu oskarżenia przeciwko Aleksowi Koniewiczowi.
- Koniewicz jest w Rosji poszukiwany listem gończym, czy tak?
- Jest pierwszy na liście poszukiwanych.
- Jesteście przekonani o jego winie?
- O tym zdecyduje sąd.
- Pan Koniewicz utrzymuje, że wasze sądy są niesprawiedliwe.
- Śmieszny zarzut. Może było tak za dawnych komunistycznych czasów.

Teraz mamy demokrację. Nasze sądy są równie sprawiedliwe jak wasze.

- Czy mógłby wynająć prawnika?
- Tylu, na ilu mógłby sobie pozwolić. Gdyby nie było go stać, otrzymałby obrońcę z urzędu.
- Czy mógłby przedstawić dowody przemawiające na jego korzyść?
- Tak jak tutaj, panie Caldwell. Byłby uważany za niewinnego, dopóki nie dowiedziono by mu winy.
- Czy jest pan świadomy, że niektórzy Amerykanie mają złe wyobrażenie o waszym systemie wymiaru sprawiedliwości?
- A czy pan jest świadomy, że niektórzy Rosjanie mają podobne wyobrażenie o waszym?
- Słusznie. – Caldwell postanowił zaryzykować. Spojrzał na Aleksa i zapytał: – Czemu pan Koniewicz sądzi, że nie miałby w Rosji sprawiedliwego procesu?

Rosjanin zwrócił wzrok na Aleksa, który skinął uprzejmie głową, zachowując zupełną obojętność.

- Może uczciwy proces jest ostatnią rzeczą, jakiej pragnie?

Caldwell przerwał, jakby spodziewał się głośnego i nieuniknionego sprzeciwu ze strony MP Jonesa. Wyraźnie sugerował świadkowi odpowiedź. Otwarcie podsuwał przypuszczenia. Skąd szef zespołu prokuratorskiego mógł wiedzieć, co myśli Aleks?

Milczenie. MP gryzmołił coś w swoim notatniku, sprawiając wrażenie śmiertelnie znudzonego. Siedzący obok Aleks analizował jego gryzmoły z takim zaciekawieniem, jakby były dziełem Leonarda da Vinci lub Picassa.

- Dziękuję – Caldwell zwrócił się do świadka, a następnie, chwilę gapił sufit, jakby czekał, aż Bóg przypomni mu następne pytanie. Pstryknął palcami i ciągnął: – Jeszcze jedno pytanie. Ile pieniędzy ukradł pan Koniewicz? Czy udało się wam to ustalić?

Szef zespołu prokuratorów spojrział na Aleksa.

- Częściowo. Udało nam się wysledzić kilka milionów ukrytych w banku na Bermudach.

Inny z asystentów Caldwell'a podbiegł, pokazując dokument świadkowi.

- Czy o tę kwotę chodzi? – spytał, udając zaciekawienie. A o cóż innego mogłoby chodzić?

– Tak – przytaknął Caldwell po starannym obejrzeniu dokumentu.  
– Ile pieniędzy znajduje się obecnie na tym rachunku?  
– Dwa i pół miliona dolarów.  
– To wszystko?  
– Tak, dokładnie.  
– Sądziłem, że ukradł dwieście pięćdziesiąt milionów. Co się stało z resztą pieniędzy?

– Nie są to pieniądze Koniewicza.  
– Nie? – Caldwell spojrzał na niego ze zdumieniem. – W takim razie czy je?

– To pieniądze, które ukradł biednym rosyjskim obywatelom. Zaufali mu, a teraz są bankrutami. Nie będziemy wiedzieli, gdzie są, dopóki nie sprowadzimy go do domu i nie skłonimy do wyznań. Dopiero wtedy będzie można zwrócić pieniądze ludziom, którzy mu je powierzyli.

Caldwell przerwał na chwilę, pozwalając, aby zebrani się nad tym zastanowili. Nieszczęsne ofiary machinacji Koniewicza cierpią z głodu i chłodu gdzieś w Rosji, czekając, aż Koniewicz zwróci ich pieniądze.

– Czy słyszał pan o firmie Orangutan Media?  
– Tak.  
– Co pan o niej wie?  
– Dwa lata temu policja wszczęła śledztwo w jej sprawie.  
– Z jakiego powodu?  
– Otrzymaliśmy poufną wiadomość od naszego informatora w jednej z rosyjskich organizacji przestępczych... czeczeńskiej mafii zajmującej się porwaniami, narkotykami i zabójstwami.

– To coś takiego jak nasza mafia?  
– Powinniście się uważać za szczęściarzy. W porównaniu z Czeczenami wasi gangsterzy przypominają skautów. Kiedy otrzymaliśmy cynk, zainstalowaliśmy podsłuch. Policja nagrała, jak Koniewicz wydaje polecenia płatności i transferów gotówki. Wykorzystywał Orangutan Media do prania brudnych mafijnych pieniędzy.

– Czym oficjalnie zajmowała się Orangutan Media?  
– Była agencją reklamową. Firmę założono w Austrii, aby umknęła naszej



uwagi. Mafijne pieniądze wpływały pod przykrywką należności umownych. Orangutan Media zwracała pieniądze firmom kontrolowanym przez gangsterów, którzy byli ich podwykonawcami. Na zewnątrz wszystko wyglądało bez zarzutu.

– Odnoszę wrażenie, że był to skomplikowany proceder.  
– Nie, to typowy przekręt. Dziecinada dla człowieka o tak błyskotliwym umyśle jak Koniewicz.

– Czy nagraliście rozmowy pana Koniewicza z przedstawicielami syndykatu?

– Taśma leży na pańskim stole – powiedział, wskazując stół oskarżenia. – Oczywiście, rozmowę prowadzono po rosyjsku, więc oryginalna taśma została w Rosji. I tak byłaby dla was niezrozumiała. Poprosiłem o wykonanie transkrypcji dla waszych służb.

– Widzę. – Asystent Caldwell'a podał mu plik kartek i taśmę. – Oto przekład transkrypcji rozmowy oraz oświadczenia rosyjskich prokuratorów, którzy zebrali zeznania od pracowników Orangutan Media, opisujących przestępczą działalność swojej firmy.

Wstrzymał oddech, czekając, by Jones zerwał się z krzesła. Bez oryginalnego nagrania nie można było ustalić, czy transkrypcja jest wierna ani nawet czy taśma w ogóle istnieje. Tym razem musiał paść sprzeciw. Był pewien, że za chwilę rozlegnie się głośny, podsycony wściekłością protest.

I rzeczywiście, Jones wyglądał tak, jakby chciał skoczyć na równe nogi, dopóki Aleks nie chwycił go za ramię i nie szepnął czegoś do ucha. MP ustąpił i opadł na miejsce, wracając do gryzmolenia czegoś w notatniku.

Caldwell pogratulował sobie po cichu błyskotliwego posunięcia. Powołanie na świadka szefa zespołu prokuratorów najwyraźniej pokrzyżowało strategię zdyskredytowania oskarżenia, którą Jones zastosował w sądzie imigracyjnym. Witaj w ekstraklasie, kolego.

– Nie mam więcej pytań do świadka – oznajmił triumfalnie.

Wysoki Sąd spojrział ze swojej grzędę na MP, lecz ten był tak skoncentrowany na notatniku, że tego nie zauważył.

– Panie Jones, czy chce pan zapytać o coś świadka?

MP podniósł głowę.

- Przepraszam?... Nie, dziękuję, Wysoki Sądzie.
- Jest pan pewien?
- Tak, Wysoki Sądzie.

Willis przetarł oczy ze zdumienia.

- Słyszał pan zeznania świadka?
- Tak.

– I jest pan pewny, że nie chce mu zadać kilku pytań?

– Tak, całkowicie.

– Czy występuje pan pierwszy raz w sądzie federalnym, panie Jones?

– Tak, Wysoki Sądzie. To mój pierwszy raz. Nawet mi się tu podoba.

– Jestem rad, że przypadliśmy panu do gustu. Czy zna pan obowiązujące u nas procedury?

– Mam nadzieję, że tak, Wysoki Sądzie.

– Kiedy zwolnię świadka, nie będzie można powołać go ponownie.

– W takim razie proszę to niezwłocznie uczynić. Nie wiem, jakie jest zdanie Wysokiego Sądu, lecz według mnie świadek staje się nudny.

Uwaga Jonesa wzbudziła cichy chichot w rzędach reporterów. Sędzia najwyraźniej nie zrozumiał żartu.

– Radzę panu, Jones, aby myślał pan raczej o pytaniach dla świadka niż zabawianiu nas swoimi dowcipami.

– Czy mogę być szczerzy, Wysoki Sądzie?

– Słucham, panie Jones.

– Nie chcę marnować czasu Wysokiego Sądu.

– Panie Jones, jestem tu, aby wysłuchać racji obu stron.

– Cóż, nie chcę nakłaniać świadka do wygłaszania kolejnych kłamstw.

– Rozumiem, świadek jest wolny.

Caldwell podniósł się z miejsca, aby powołać kolejnego świadka, lecz sędzia uniósł rękę.

– Proszę poczekać. – Spojrzał na Aleksa. – Mógłby pan wstać?

Aleks posłusznie podniósł się z miejsca.

Sędzia Willis pochylił się do przodu, opierając tułów na łokciach.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że pański obrońca nie ma doświadczenia w sądownictwie federalnym?

– Tak, zwrócił mi na to uwagę tydzień temu.  
– Sądziłem, że zależy panu na tym, aby jak najszybciej opuścić więzienie. Zastanawiam się, czy to przesłuchanie nie jest przedwczesne.

– Wysoki Sądzie, przedwczesne było moje aresztowanie i uwięzienie.

– Czy wie pan wystarczająco dużo o naszym systemie prawnym?

Aleks spojrzął na Tromble'a, który siedział ze skrzyżowanymi nogami.

– Od czternastu miesięcy jestem przetrzymywany w więzieniu, bez wyroku. Ośmielę się stwierdzić, że miałem dość czasu, aby zaznajomić się z tą procedurą prawną. Radzieckie prawo działało podobnie.

Willis zmarszczył nos, z trudem opanowując grymas niezadowolenia.

– Czy jest pan zadowolony z prawnika, który pana reprezentuje? To pytanie trafi do akt, panie Koniewicz. Jeśli będzie pan chciał się odwołać od mojej decyzji z powodu niewłaściwej reprezentacji prawnej, będzie jasne, że świadomie wybrał pan Jonesa.

MP kilkakrotnie zamrugał, słysząc publiczną reprimendę. Co gorsza, strategia postępowania opracowana przez MP i chłopaków z PKR opierała się twierdzeniu, że interesy klienta były kiepsko reprezentowane. Do tej pory MP skorzystał z każdej okazji dowiedzenia swojej całkowitej niekompetencji. Miał pozwolić, aby prokuratorowi uszło wszystko na sucho, po prostu cicho siedzieć i udawać głupka.

Wspaniała koncepcja, przynajmniej teoretycznie, nagle zaczęła się sypać.

– Jestem zadowolony z moich prawników – oświadczył wyraźnie Aleks.

Pozostała część ranka upłynęła podobnie. Po godzinnej przerwie na lunch Caldwell wrócił do powoływania kolejnych świadków, którzy potwierdzali i kwiecicie rozwijali niezaprzeczalny fakt, że Aleks Koniewicz jest oszustem, że ryzyko ucieczki jest ogromne oraz że oskarżony powinien pozostać w areszcie, w przeciwnym razie ucieknie i słuch o nim zaginie. Miejsca dla świadków zajęli dumnie trzej agenci FBI oraz dwaj urzędnicy służb zagranicznych, specjaliści od spraw rosyjskich, którzy potwierdzili, jak wielką furorę wzbudziło zniknięcie Koniewicza razem z pieniędzmi.

MP grzecznie i stanowczo odrzucił możliwość ich przesłuchania. O szesnastej trzydzieści Wysoki Sąd zwolnił ostatniego świadka oskarżenia.

Sędzia Willis spojrzął na zegarek:

– Zapraszam do mnie przedstawicieli obu stron.

MP, Caldwell i Wysoki Sąd zbili się w małą gromadkę obok ławy dla świadków.

Sędzia spojrzął gniewnie na MP.

– Czy to nie pan wnosił o rozpatrzenie sprawy na podstawie *habeas corpus*!

– Ja, Wysoki Sądzie – odparł szeptem MP.

– Dlaczego pan to zrobił, panie Jones?

– Dlaczego? Mój klient jest od czternastu miesięcy przetrzymywany w więzieniach federalnych. Przenoszono go do trzech zakładów karnych, coraz bardziej podłych i niebezpiecznych. Kilkakrotnie wtrącano do karceru, celowo dawano za towarzyszy więźniów zaliczanych do wyjątkowo niebezpiecznych. Bez wątpienia Wysoki Sąd zdaje sobie sprawę, że osadzeni zyskują wątpliwy zaszczyt zaliczenia do tej grupy, dopiero gdy dowiodą, że stwarzają poważne zagrożenie dla innych osadzonych i strażników. Krótko mówiąc, ktoś z rządu federalnego chciał, aby mój klient został zamordowany lub dobrowolnie poddał się natychmiastowej ekstradycji.

– To poważne oskarżenia.

– Nie sądzę, abym przesadził.

– Czy teraz ja mogę sobie pozwolić na odrobinę śmiałości?

MP skinął głową.

Sędzia wyładował szeptem gniew, który się w nim nagromadził.

– Skoro złożył pan wniosek, powinien pan coś zrobić, zamiast beczynnie siedzieć i gryzmolić w notatniku, panie Jones. Amerykański system prawny ma antagonistyczny charakter. Pana obowiązkiem jest sprzeciwianie się twierdzeniom, które można podważyć, przepytywanie świadków strony przeciwnej oraz wskazywanie braków w argumentacji, która pańskim zdaniem jest wątpliwa lub nieuzasadniona. Jestem zbulwersowany pana zachowaniem. Uważam je za zuchwałę i niekompetentne.

– Przepraszam, obiecuję być bardziej zaangażowany.

– Jestem pewny, że pański klient to doceni.

Zwrócił się do Caldwell, który przygryzł wargi, starając się ukryć uśmiech. Ledwie potrafił się powstrzymać. Szef ostrzegał go, że Jones jest przebiegły, twardy i nieobliczalny. W końcu to ten gość wykopał Kim Parrish z boiska. I co powiesz teraz, kolego? Kto jest prawdziwym twardzielem, miał ochotę spytać „Bicz na Meksykanów”. Kusilo go, by przysunąć twarz do twarzy Jonesa i wybuchnąć śmiechem.

– Panie Caldwell, czy ma pan innych świadków?

Po południu planował przesłuchać jeszcze trzech, lecz uznał, że świetnie sobie bez nich poradzi. Po ogromnych spustoszeniach, które uczynił, nie było sensu dodawać kolejnych upokorzeń do tej olbrzymiej niedoli. Ludzie, których zamierzał powołać, mieli jedynie potwierdzić wiarygodne fakty. Sędzia był najwyraźniej gotów wydać werdykt po jego myśli.

– Jeszcze jednego. Możemy z tym poczekać do rana.

– W takim razie, jeśli żaden z panów nie zgłosi zastrzeżeń, odroczę posiedzenie do dziewiątej jutro rano.

Żaden z prawników nie zaproponował.

Wysoki Sąd spojrział ponownie na MP. Można by powiedzieć o nim wszystko, tylko nie to, że było uprzejme i współczujące.

– Proszę przeprowadzić tej nocy mały rachunek sumienia. To pan wniósł sprawę. Jeśli jutro rano nie zauważę gorączkowych zabiegów w obronie klienta, ukarzę pana za obrazę sądu.

\* \* \*

W chwili gdy sędzia przerwał obrady i zniknął za bocznymi drzwiami, na sali zapanował harmider. Caldwell ruszył do wyjścia, jakby usłyszał strzał sygnalizujący rozpoczęcie wyścigu. Pognał szerokimi korytarzami, otworzył ogromne drzwi i niemal stracił równowagę, zanim zaczął pisać na wielkich schodach prowadzących do gmachu.

W jednej chwili otoczyły go trzy tuziny kamerzystów i reporterów. Caldwell poprawił włosy i posłał przyjaznym kamerom jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

– Panie i panowie, nazywam się Jason Caldwell, reprezentuję oskarżenie w tej sprawie. Jestem pewien, że mają państwo mnóstwo pytań. Proszę po kolei. Pamiętajcie, aby nie przerywać.

Tromble wypadł na zewnątrz, gdy Caldwell rozgrzał się na dobre. Nie oglądając się za siebie, oskarżyciel gładko oznajmił:

– Jestem pewny, że wszyscy państwo poznajecie naszego ukochanego dyrektora FBI. Służył mi pomocą w tej sprawie. Pomoc ta okazała się w pewnym stopniu przydatna. Chciałbym mu podziękować. Jeśli państwo tego jeszcze nie wiedzą, pan Tromble będzie pierwszym świadkiem, którego jutro powołam.

Tromble miał ochotę walnąć go w łeb, ucapić za gardło i zacząć dusić. Zamiast tego zmusił się do uśmiechu, składając kamerom energiczny, kurtuazyjny pokłon, a następnie pognął do swojej limuzyny, wołając przez ramię:

– Przepraszam państwa, nie mam czasu odpowiadać na pytania!

Caldwell stał na schodach jeszcze dwie godziny. Żadne z pytań nie było zbyt błahe, aby nie udzielił na nie odpowiedzi. Żaden reporter zbyt mało znający, aby nie posłał mu zachęcającego uśmiechu, po którym następowała długa przemyślana riposta. dzielnie stawiał czoło ożywionemu zainteresowaniu, dopóki reporterzy nie przypomnieli sobie o terminach i nie rozproszyli w mroku, który zaczął spowijać Waszyngton.

## 32.

Nazywali go carskim apartamentem. Przestrzeń czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych umeblowano cennymi, wspaniałymi antykami i wyłożono marmurami i drzewem tekowym, aż po krokwie wypełniając zdumiewającą różnorodnością luksusowych przedmiotów. W apartamencie były dwie oddzielne łazienki – każda tak duża, że pomieściłaby stado spoconych koni. Za przeszkloną ścianą rozciągał się cudowny widok na rzekę Moskwę i mieniącą się światłami stolicę.

Świetny kucharz przygotował wystawny obiad, który dostarczyli trzej kelnerzy, czekając dyskretnie w pobliżu. Gotowi byli pokroić mięso i nakarmić łyżeczką zepsutych klientów. Wystarczyło, aby ci czegoś sobie zażyczyli, a porcja natychmiast lądowała na talerzu nałożona złotą chochlą. W chwili gdy wypili wino, natychmiast napełniano na nowo kryształowe kielichy.

O dwudziestej drugiej szef prezydenckiej kancelarii i jego kochanka byli już najedzeni, lekko wstawieni winem i szampanem, i gotowi spocząć na okazałym wyściełanym poduszkami łożu w gargantuicznej sypialni. Mężczyzna odprawił kelnerów, wręczając im suty napiwek.

Tatiana pieściła w dłoniach kieliszek sherry, spoglądając tęsknie przez okno na rozgwieżdżone niebo.

- To był cudowny pomysł – powiedziała.
- Naprawdę?
- Najbardziej romantyczna rzecz, jaką zrobiliśmy.
- Co mam powiedzieć? Przecież wiesz, że cię kocham.
- Ja też cię kocham.

- Serio?
- Oczywiście! Kocham! Kocham! Kocham!

Spojrzał na nią znad stołu.

- Wyjdiesz za mnie?

– Chciałabym.

- Jesteś pewna?

– Tak, tylko... nie teraz.

- Czemu?

– Jelcyn mnie potrzebuje, a ojczyzna potrzebuje ciebie. Odrywałabym cię od ważnych obowiązków.

- Poradzę sobie. W końcu widzujemy się w pracy.

Kłócili się o to setki razy. Wracali do tematu małżeństwa tak często, że stał się zupełnie nieświeży. Rzuciła swemu lubemu krótkie, pełne miłości spojrzenie.

– Nie jestem pewna, czy ja bym sobie poradziła. Gdybyś nie pamiętał, kochany, ja również jestem bardzo zajęta.

Oparł łokcie na stole.

- Jesteś pewna, że w twoim życiu nie ma nikogo innego?

– Absolutnie – prychnęła. Wydęła wargi, przybierając nadąsaną minę. – Zachowujesz się jak zazdrosny idiota.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął zdjęcie i od niechcienia rzucił je na stół.

- Poznajesz?

Spojrzała i nie wzdrygnęła się ani nie mrugnęła okiem.

- Nie.

- Przyjrzyj się mu dokładnie. Jesteś pewna, że nie znasz gościa?

Podniosła fotografię.

- Kto to taki? Całkiem przystojny.

– Nikt szczególny. Sądziłem, że możesz go znać. Do wczoraj był gwiazdą piłki nożnej, członkiem reprezentacji narodowej.

- Był?

Szef kancelarii zaczął się bawić małym widelczykiem.

– No właśnie, był. Zdarzył się przykry wypadek. Wpadł na innego zawodnika i złamał nogę. Uszkodził też więzadła kolanowe... obu nóg. Tak mi



przynajmniej powiedziano... Później ktoś przebiegł po nim korkami, łamiąc biedakowi nos i odrywając ucho. Nieszczęsny facet. Wiesz, Taniu, piłka nożna to taki brutalny sport. Jego kariera piłkarska jest definitywnie skończona.

Tatiana ścisnęła fotografię.

– Pomyślałem, że możesz go znać, a przynajmniej pamiętać – kontynuował przyjacielskim tonem.

– Nie jestem fanką futbolu. Czemu miałabym go znać?

– Mam wrażenie, że chodził do tej samej podstawówki i ogólniaka co ty.

Pochodzi z tej samej małej wioski, jest w tym samym wieku...

– Jak się nazywa?

– Sasza Kamieniew.

– Chyba słyszałam to nazwisko. – Udała, że zaczyna go rozpoznawać. – Tak, pucółowaty mały chłopak o przyszczatej twarzy. Dziś pewnie wygląda inaczej. Wtedy byliśmy tacy młodzi.

Szef pociągnął sherry i zacisnął wargi.

– Co powiesz na odrobinę muzyki, zanim udamy się na spoczynek?

– Może coś romantycznego. – Ostrożnie piła sherry, starając się nie wymiotować. Biedny Saszeńka. Spoglądała na światła miasta, próbując nie myśleć, jak musi wyglądać jej maskotka z rozbitym nosem i jednym uchem. Po prostu zawiodła. Obraz ukochanego nie chciał zniknąć jej z oczu.

Szef kancelarii podszedł do wieży, zgrzytnął zębami i wcisnął przycisk odtwarzania. Magnetofon już czekał, gotowy wydać z siebie romantyczną melodię.

Chwilę później rozległy się dźwięki towarzyszące Tatianie i jej niedawno okaleczonemu Saszy baraszkującym w prześcieradłach i paplającym o tym, jak odrażającym i wzbudzającym obrzydzenie idiotą jest jej przełożony.

Tatiana odwróciła się na pięcie. Spojrzeli na siebie – on zmrużył oczy, ona otworzyła usta ze zdumienia. Przekłeta taśma kręciła się nadal.

– Co to ma być, do cholery?! – krzyknęła, choć bardzo dobrze wiedziała. Ktoś założył podsłuch w jej mieszkaniu. Jakiś wścibski gnojek ich podsłuchiwał, a co gorsza, nagrywał. Od jak dawna? Kto? Jak bardzo była nieostrożna? Ile brudów było na tych taśmach?

Szybko przerwała rozmyślania pytaniem, które w takich chwilach zadają sobie wszyscy prawnicy: Na ile zostałam okantowana?

– Co to ma być?! – powtórzył, zwiększając głośność. – Ano to, że jesteś zwolniona.

– Co?! Nie możesz!

Uśmiechnął się.

– Zapewniam cię, że mogę. To zaczyna być zabawne. Pozwól, że powtórzę, jesteś zwolniona. – Zatrzymał taśmę i spojrzął na nią, by po chwili wypowiedzieć te słowa ponownie, tak bardzo pokochał ich dźwięk: – Jesteś zwolniona.

Kieliszek wysunął się jej z dłoni, padając na marmurową posadzkę i rozbijając się w drobny mak. Trafna metafora tego, co stało się z jej życiem. Podniosła się z krzesła, zrobiła krok i powiedziała:

– Nie bądź głupcem. Beze mnie nie przeżyjesz dwóch minut. Od trzech lat odwalam za ciebie całą robotę.

– Nie zaprzeczę.

– Kto zajmuje się prowadzeniem kancelarii, gdy ty i twój koleś, Jelcyn, próbujecie utrzymać na powierzchni monopol spirytusowy?

– Temu też nie zaprzeczę. Tyrałaś jak wół.

Próbowała zmusić się do uśmiechu.

– Posłuchaj, kochany, możemy to wszystko puścić w niepamięć.

– Już to zrobiłem. Dziś po południu zatrudniłem na twoje miejsce kogoś innego. Bystrego młodzieńca pełnego energii i o niezwykłych zdolnościach organizacyjnych. Jutro rano z radością zasiądzie za twoim biurkiem.

– Ty draniu!

– Ty dziwko!

Chwyliła płaszcz i ruszyła do wyjścia, głośno stukając obcasami. Otworzyła je głośno i została otoczona przez trzech mężczyzn w niebieskich mundurach. Odwrócili ją, skuwając ręce kajdankami. Nie próżno się rzucała i krzyczała.

Szef kancelarii obserwował tę scenę z wściekłą satysfakcją, a następnie powiadomił dawną kochankę:

– Przepraszam, czyżbym zapomniał wspomnieć o drugiej taśmie?

Drugiej taśmie? Była już pewna, że zwymiotuje.

– Przekazałem ją nowemu prokuratorowi generalnemu. Zawiera nagrania rozmów z twymi przyjaciółmi o waszych ciemnych machinacjach. – Zaśmiał się, naśladując ją szyderczo. – Słuchaj, czyżbym zapomniał nadmienić, że ten twój pacholek, Fiedorow, został wylany dziś po południu?

– Ty nędzny draniu!

– Wyślij do mnie kartkę z więzienia. Napisz, gdzie wylądowałaś.

\* \* \*

Na niewielkim obszarze dwóch przecznic zebrało się ich tylu, że przypominało to konwent morderców. Byli wśród nich zawodowcy mający doświadczenie w ekstraklasie, gwiazdy świątka płatnych zabójców, trzeciorzędni mafijni żołnierze gotowi do wykonania pierwszego zlecenia i garść młodych ambitnych amatorów liczących na łut szczęścia. Każdy mężczyzna lub kobieta – bo wśród czających się w mroku typów znajdowało się również kilka żądnych krwi przedstawicielek słabszej płci – był zdany wyłącznie na siebie.

Tkwili w zaparkowanych samochodach i furgonetkach, paląc papierosy i sącząc kawę, obserwując kryjówkę Nikoły i czekając, aż coś zacznie się dziać. Wejście do środka byłoby karygodną głupotą. Jakiś zuchwały idiota próbował tego bez większego powodzenia, dopóki nie przegnał go grad kul. W kryjówce czaiło się około dwudziestu ochroniarzy Nikoły, gości uzbrojonych po zęby i zazdrośnie strzegących swojego terytorium. Kłusownicy nie byli mile widziani. Kilku snajperów przycupnęło na dachu, stawiając czoło chłodowi. Blok stojący naprzeciw twierdzy Nikoły, istna ruina, został nagle zasypany ofertami podnajmu. Kiedy mieszkańcy słyszeli głośnie walenie i otwierali drzwi, jacyś twardele wciskali im do rąk tysiące rubli, obiecując, że proszą jedynie o krótką dyslokację. Mieszkania w drugim końcu korytarza, które nie wychodziły na kryjówkę Nikoły, nie zdołały przyciągnąć uwagi za żadną cenę.

Przy wspomnianej uliczce znajdowała się tylko jedna knajpa, ciasna, zaniedbana buda prowadzona przez pulchną *babuszkę* o bezzębny uśmiechu i milionie zmarszczek. Teraz ni stąd, ni zowąd nie mogła się opędzić od podejrzanych typów zamawiających kawę dzień i noc. Zawarła umowę z jadłodajnią sprzedającą zupę i kanapki sześć przecznic dalej. Kupowała u nich towar, potrajała cenę i zarabiała jak nigdy dotąd. Do niedawna tylko ona próbowała

zbić tu forszę. W skrytości dopingowała Nikołą, mając nadzieję, że zdoła się utrzymać jeszcze kilka tygodni.

We wtorek, późnym wieczorem, do zabójczej gromadki dołączył nowy wóz. Przy krawężniku zatrzymał się lśniący czarny mercedes i godzinami pracował na wolnych obrotach. Wyglądniałe rekiny natychmiast odnotowały, że do gry o Nikołą przyłączył się nowy zawodnik. O czwartej rano wyszli z niego czterej faceci, rozprostowali kości i rozejrzeli się wokół. Wszyscy mieli na sobie eleganckie garnitury, które raczej nie pasowały do rodzaju prowadzonej tu gry.

Chwilę później z wozu wyłonił się piąty i stanął na chodniku. Gość był niski i otyły, miał na sobie dwurzędową marynarkę z setką złotych guzików, które lśniły w świetle księżyca. Rozprostował zdrętwiałe nogi, szybko rozejrzał się wokół, a następnie ruszył w kierunku kawiarni. Czterech tamtych powlokło się za nim w dyskretnej odległości. Wyraźny szacunek dla szefa powodował, że gość rzucił się w oczy jak wieloryb pluskający wśród płotek.

Golicyn zabląkał się w groźne rewiry. Nie miał pojęcia, że jego zdjęcie z informacją o półtoramilionowej nagrodzie na odwrocie krążyło w gęsto zaludnionym podziemnym świecie miasta. Koroner miał później problem z ustaleniem, która z blisko setki wystrzelonych na oślep kul go zabiła. Najbardziej pewnymi kandydatkami było pięć kul, które przeszły serce, choć pewne argumenty przemawiały na korzyść dziesięciu, które dosięgły mózgu.

Sześć ze wspomnianych dziesięciu wystrzelono z różnej broni, o różnym zasięgu, na dodatek pod różnym kątem. Niestety, z mózgu pozostało zbyt mało, aby można było rozstrzygnąć, który pocisk uderzył pierwszy lub spowodował największe obrażenia. Fragmenty substancji szarej, które rozprysły się na betonie, były zbyt małe, aby mogli je zebrać.

Po trzech dniach bombardowania pytaniami, dniach pełnych szeptanych gróźb i próśb, jeden z zabójców zaproponował wyjście z impasu – przekaze koronerowi połowę nagrody, jeśli ten wskaże na niego. Po niej poszły kolejne, lecz żadna nie przebiła trzeciej !

Trzy czwarte półtora miliona dolców!

Ostatnie wątpliwości koronera rozwiały się w jednej chwili w jasnym obłoku pewności.

Po trzech dniach siedzenia w bunkrze Nikoła miał dość. Trzy dni i noce spędzone w ciemnej norze z gnatem na kolanach, upływające na odliczaniu kolejnych godzin i dumaniu nad tym, jak to wszystko się skończy. Trzy dni oczekiwania na nieuchronne. Jego ochroniarze robili sporadyczne wypadki. Nikoła słyszał, jak dodają sobie otuchy, a wodą i prochami próbują ukoić skołatane nerwy.

Wczesnym rankiem drugiego dnia usłyszał chaotyczne zamieszanie przy drzwiach. Głupią, nieporadną próbę sforsowania wejścia. Nikoła opróżnił magazynek, uśmiechając się z satysfakcją na każdy jęk i skowyt bólu.

Tej samej nocy doszło do kolejnej próby. Tym razem byli mądrzejsi. No, może ciut bardziej przebiegli. Jeden z tych durniów przyczołgał się do drzwi, oparł o nie granat ręczny, wyjął zawleczkę i czmychnął ile sił w nogach. Nikoła był zdumiony i przygnębiony głupotą osobiście wybranych ochroniarzy. To cud, że przeżył tak długo. Przewidzenie ich kolejnego ruchu było dziecinnie proste. Przystawił do drzwi wszystko, co znajdowało się w środku, meble i materace. Sterta śmieci przyjęła falę uderzeniową i odłamki. Kiedy chłopcy wytknęli głowy, Nikoła ponownie opróżnił magazynek. Ponownie rozległ się melodyjny chórek jęków i skowytów. Nikoła śmiał się jeszcze długo po tym, jak wycofali się w bezpieczne miejsce.

Oduczył ich głupich i lekkomyślnych sztuczek. Żadnych kolejnych samobójczych ataków na drzwi, żadnego wleczenia korytarzem zwłok nafaszerowanych kulami i kombinowania, co by tu z nimi zrobić. Postanowili, że go przeczekają. Jedna chwila drzemki i będzie martwy. Wyznaczyli warty i nasłuchiwali odgłosów chrapania. W pokoju Nikoły nie było zapasów jedzenia. Łazienka znajdowała się po drugiej stronie korytarza, więc doskwierał mu również brak wody. Z drugiej strony heroiny i kokainy miał w bród, więc co godzinę wciągał świeżą działkę. Co cztery godziny robił sobie zastrzyk w żyłę. Siedział odurzony na podłodze i zaśmiewał się delirycznym chichotem, który odbijał się echem od ścian korytarza.

Ciało jego najlepszego druha spoczywało metr dalej, wzdęte niczym nadmierne nadmuchany balon. Smród był nieznośny, lecz nozdrza Nikoły były tak zatkałe białym proszkiem, że nie zdawał sobie z tego sprawy.

Pod koniec trzeciego dnia w jego wyczerpanym, zamroczonym narkotykami umyśle zaświtał pewien pomysł. Im dłużej się nad nim zastanawiał, tym bardziej mu się podobał. Gdzie tam podobał, Nikola wprost go uwielbiał. Będzie to ostatnie mistrzowskie posunięcie w jego pełnym genialnych pomysłów życiu! Jeszcze długo po jego odejściu będą podziwiali głośny końcowy akord.

Ostatni raz pokaże im środkowy palec. Pochylił się nad ręką martwego przyjaciela i wyciągnął latarkę z zaciśniętej pięści. Znalazł kartkę papieru i nagryzmolił lakoniczną wiadomość.

Następnie, trzymając ją w jednej ręce, włożył lufę do ust i po chwili wahania rozwalił sobie mózg.

Ochroniarze odczekali godzinę, a następnie przystąpili do ciągnięcia słomek. Wysłali przodem straceńców, spłoszonych skautów, którzy rozproszyli się przy drzwiach, modląc się, by Nikola nie rozwalił ich na kawałki. Wszyscy słyszeli ostatni strzał. Sprzeczki i kłótnie były hałaśliwe i gwałtowne. Po prostu nie mieli pewności.

Nikola był taki przebiegły, taki diaboliczny. Mógł sfingować swoje samobójstwo, aby podstępem zwabić kolejne ofiary.

W końcu podkradli się na palcach korytarzem, wyłamali drzwi i wpadli do środka. Ktoś zapalił światło. Rozkładające się zwłoki i podłoga zamieniona przez Nikołą w ubikację sprawiły, że odór ich odrzucił. Zatkali nosy i pochylili się nad ciałem szefa opartym o ścianę.

Martwa dłoń kureczowo ścisnęła kartkę z wiadomością: „Ja, Nikola Kozyriew, domagam się pięciu milionów za własną śmierć. Wy, gnojki, macie ustalić, który z moich bękartów jest pierwszy w kolejce. Przekażcie forszę jemu. Lub jej. Mam to gdzieś”.

## 33.

Kolejny dzień rozprawy zaczął się zgodnie z planem. O dziewiątej piętnaście zaprzysiężony John Tromble siedział już na miejscu dla świadków, czekając niecierpliwie, aby ten gnojek prokurator, który podkradał mu czas antenowy, zabrał się wreszcie do rzeczy.

To była doniosła, historyczna chwila. Bezprecedensowa. Żaden dyrektor FBI nie zasiadał dotąd na miejscu dla świadków lub wyrażając się precyzyjnie, żaden, którego nie oskarżono o popełnienie jakiegoś przestępstwa. Kolejne przełomowe osiągnięcie, które zostanie dodane do jego coraz bardziej imponującej legendy.

Wczorajsze wieczorne wiadomości przypominały festiwal poświęcony Aleksowi. Każda gazeta Zachodniego Wybrzeża zamieściła historię zbiegłego rosyjskiego milionera wywleczonego siłą ze swojego apartamentu w kompleksie Watergate – bądź co bądź amerykańskiego symbolu narodowego – który sprzeciwiał się swojej deportacji oraz długo odwlekanemu spotkaniu ze sprawiedliwością w ojczyźnie. Gadające głowy kołysały się w wieczornych i nocnych programach talk-show. Eksperci byli tam nadal, popijając kawę i biadoląc w audycjach porannych. Może przesпали ostatnią noc w rozgłośniach telewizyjnych.

Wszyscy byli zgodni, że zespół prawników Aleksa dostał tęgie lanie. Jedyne zastrzeżenie zgłosił wielki radykał, powszechnie szanowany profesor szkoły prawniczej Harvardu, który wyraził przewrotny pogląd, że Aleks Koniewicz jest obcym obywatelem i amerykańskie sądy nie mają nad nim jurysdykcji. Kiedy został wyśmiany w dwóch programach, podwinął ogon i wrócił na uczelnię.

Aleks zasiadł ponownie przy stole obrony. Wydawał się jeszcze bardziej przybity i zaniedbany niż wczoraj. Zarost miał gęstszy, ciemniejszy, bardziej wyraźny. Ciemne podkowy pod oczami zdradzały długą, nieprzespaną noc.

Tromble spojrział na niego, tłumiąc kolejny uśmiech. W kilku artykułach zamieszczonych w porannej prasie wspomniano o jego mimowolnej reakcji, gdy wkroczył na salę i pierwszy raz ujrzał Aleksa. Wzmianki te trudno było uznać za nadmiernie pochlebne.

Uroczy chłopiec podszedł do ławy dla świadków.

– Czy mógłby pan podać Wysokiemu Sądowi swoje nazwisko i zajmowane stanowisko?

Pytanie było głupie i bezmyślne, lecz Tromble podjął pałeczkę.

– Sędzia John Tromble, dyrektor FBI.

– Czy oznacza to, że jest pan najważniejszym urzędnikiem zajmującym się egzekwowaniem prawa w tym kraju?

– Formalnie rzecz biorąc, zaszczyt ten przypada prokuratorowi generalnemu – odparł Tromble, uśmiechając się z wyższością, jakby wszyscy powinni o tym wiedzieć.

– Czy jest pan przekonany, że Aleks Koniewicz popełnił w Rosji przestępstwa, które usprawiedliwiają jego ekstradycję?

– Nie będę się wypowiadał na temat przestępstw, sprawę rozstrzygnie rosyjski sąd.

– Zapoznał się pan ze stawianymi oskarżonemu zarzutami?

– Zrobili to moi ludzie. Przeczytałem podsumowanie. – Kolejne głupkowane pytanie. Przecież było powszechnie wiadome, że Tromble ma na głowie ważniejsze sprawy od osobistego zapoznawania się z jakimiś materiałami.

– Czy dowody są przekonujące?

– Przygniatające.

– Co by się stało, gdyby pan Koniewicz uciekł? – Nieznaczne zmarszczenie brwi. – To jest, gdyby uciekł ponownie?

Tromble udał zamyślenie, jakby nigdy wcześniej nie brał pod uwagę tej możliwości.

– Cóż, byłaby to katastrofa.

– Dlaczego?

– Ponieważ znaczna część działalności przestępczej ma w dzisiejszych



czasach charakter międzynarodowy. Syndykaty zbrodni przekraczają granice, podobnie jak wielkie korporacje. Siły policyjne na świecie muszą ze sobą współpracować.

– Czy sądzi pan, że ucieczka pana Koniewicza zagroziłaby tej współpracy?

– Oskarżony jest w swoim kraju poszukiwanym przestępcą. Jeśli pozwolimy mu uciec, Rosjanie nam o tym przypomną na milion przykrych sposobów. Utrudni to również walkę na ulicach naszych miast z nową falą rosyjskich przestępców.

– Ma pan na myśli zasadę wzajemności?

– Można to i tak ująć. Jeśli chcemy, aby przekazywali nam naszych oszustów, musimy robić to samo. Jeśli chcemy, aby pomogli nam w zwalczaniu przestępczości w Stanach, my również powinniśmy im pomagać.

– Wydaje się to zrozumiałe – zauważył Caldwell, jakby ktokolwiek był odmiennego zdania. – Proszę powiedzieć, dlaczego pan Koniewicz został osadzony w zakładzie federalnym? – Uniknięcie słowa „więzienie” było zgrabnym posunięciem. Słowo „zakład” brzmiało o niebo lepiej. Aleksa spotkała jedynie drobna niewygoda, gdy oni zastanawiali się, co zrobić.

– Chyba nakazał to sędzia sądu imigracyjnego. Do niego powinien pan adresować swoje pytanie.

– A pan jak uważa?

– Z federalnych zakładów penitencjarnych znacznie trudniej uciec niż z ośrodków stanowych – odparł po kolejnej chwili zadumy. – Rosyjscy przyjaciele powiadomili nas, że Koniewicz uciekł z setkami milionów dolarów. Muszę ze smutkiem stwierdzić, że z takimi pieniędzmi mógłby kupić sobie wolność w większości więzień tego kraju. Gdyby ponownie zniknął, nie popełniłby po raz drugi tego samego błędu, zaczęłby się ukrywać. Sądzę, że uciekłby z kraju, zmienił nazwisko i znalazł państwo bardziej przyjazne przestępcom, na przykład Brazylię lub wyspy Pacyfiku. Ma dość pieniędzy ulokowanych w różnych bankach, aby kupić sobie przychylność i ochronę. Wówczas jego odnalezienie i postawienie przed obliczem sprawiedliwości mogłoby się okazać niemożliwe.

– Czy powinien pozostać w więzieniu? Jako były sędzia federalny powinien pan bez trudu odpowiedzieć na to pytanie.

Sędzia Willis nie wytrzymał, raptownie odwracając głowę w lewo. Pytanie Caldwell'a było ordynarnym i bezczelnym naruszeniem obowiązującego protokołu. Fakt, że facet stawał pierwszy raz przed sądem federalnym, lecz powinien o tym wiedzieć. Nie wspominając o Tromble'u. Gdyby ten udzielił jakiegokolwiek odpowiedzi, dopuściłby się niewybaczalnego pogwałcenia zasad obowiązujących na sali sądowej. W końcu to Willis miał wydać werdykt. Sędziowie, nawet tacy, którzy obecnie nie sprawowali tej funkcji, nie powinni sugerować wyroków, zniechęcać lub zachęcać do konkretnego rozstrzygnięcia sędziego przewodniczącego sprawie. Z pewnością nie powinni tego robić publicznie, a nade wszystko poza własnym sądem.

Tromble udał, że nie widzi Willisa lub nie rozumie zniewagi, choć zdradził się nieznacznym uśmiechem.

– Uważam – powiedział – że wypuszczenie Koniewicza z aresztu przed ustaleniem jego statusu imigracyjnego byłoby niedopuszczalną pomyłką. Tylko głupiec dopuściłby taką możliwość.

Willis przesunął wzrok z Tromble'a na MP Jonesa. W milczeniu zachęcał adwokata do powstania i zgłoszenia głośnego gniewnego sprzeciwu. Na Boga, wstań, człowieku! Niech drań popamięta! Pytanie i odpowiedź aż się prosiły o sprzeciw. Willis go potrzebował. Tak mocno pragnął dopaść Tromble'a w obecności całego sądu, że sam niemal wykrzyczał słowa protestu.

Jones siedział jakby nigdy nic, z obojętną miną, słuchając uważnie, z szeroko otwartymi oczami. Tym razem nie gryzmolił przynajmniej idiotycznych rysunków w tym swoim durnym notatniku. Nie powiedział jednak ani słowa. Nawet nie unióśł brwi ani nie otworzył ust.

– Nie mam więcej pytań do świadka – zakomunikował Caldwell, idąc na miejsce.

Sędzia Willis nadal gniewnie wpatrywał się w MP. Ponurym głosem, wyrażającym jednocześnie dezaprobatę i żal, powiedział:

– Wyobrażam sobie, że pan Jones nie ma pytań do świadka, bo chce oszczędzić nam czasu.

MP podniósł się wolno z miejsca.

– Będę miał kilka pytań, Wysoki Sądzie.

– W takim razie... – Sędzia zamarł ze zdumienia. – Proszę zaczynać...

MP nie wyszedł z za stołu. Spojrzał na Aleksa, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, właściwie czemu nie?”.

– Panie Tromble – zaczął, otwarcie ignorując jego tytuł – pańska obecność w sądzie sugeruje, że sprawa ta jest dla pana niezwykle ważna.

– Ważniejsza od jednych, mniej ważna od drugich – odparł z uśmiechem Tromble, zajmując wyważoną pozycję.

– W ilu procesach uczestniczył pan osobiście jako dyrektor FBI?

Tromble potarł palcem dolną wargę, jakby odpowiedź wymagała sporego namysłu.

– Chyba w żadnym.

– W jaki sposób dowiedział się pan o tej sprawie?

– Nie przypominam sobie.

– Czyżby? Przecież jest pan dyrektorem FBI, uważałem pana za inteligentnego człowieka. Niczego pan sobie nie przypomina?

– Nie.

– Nie przypomina pan sobie żadnych rozmów z przedstawicielami rządu rosyjskiego w sprawie Aleksa Koniewicza?

Tromble podrapał się w czoło.

– Niczego takiego dokładnie nie pamiętam.

– Może być niedokładnie.

– Nie pamiętam i już.

– W takim razie czy możemy przyjąć, że odbył pan takie rozmowy, lecz o nich zapomniał?

– Nie, nie możemy.

– Spytałem ponownie, panie Tromble. Czy rozmawiał pan o sprawie Koniewicza z przedstawicielami rządu rosyjskiego? Tak czy nie?

– Nie, a jeśli już, była to krótka wzmianka.

MP podniósł ze stołu kartkę, udając, że czyta. Następnie irytującym tonem, sugerującym, że wszystko wie, zapytał:

– W jaki sposób ten rosyjski pułkownik i szef zespołu prokuratorów przyjechali do naszego kraju?

Była to stara sztuczka prawnicza mająca rozżłościć świadka. Tromble, kiedyś spozstrzegawczy sędzia, oglądał ją tysiące razy. Udzielił chłodnej odpowiedzi, odchylając się do tyłu:

– Rosjanie byli żywotnie zainteresowani tą sprawą. Przysłali swoich ludzi, aby pomóc nam doprowadzić do ekstradycji.

– Ekstradycji? Przecież nie mamy umowy ekstradycyjnej z Rosją.

– Przepraszam... przejęczyłem się.

– A może powiedział pan to, co miał na myśli?

W przeciwieństwie do MP Caldwell nie miał żadnych zahamowań przed zgłaszaniem sprzeciwu.

– Sprzeciw! – ryknął, zrywając się z krzesła.

– Podtrzymuję.

MP zwrócił się do świadka i potrząsnął głową.

– Dobrze, panie Tromble. Proszę opisać rolę, jaką pan odegrał w wyborze więzień, w których osadzono pana Koniewicza.

– Decyzję podjęła prokurator generalna.

– Czy miał pan na to jakiś wpływ?

– Może mi pan wierzyć lub nie, lecz jestem dość zajęty kierowaniem FBI.

Więzienia federalne to nie moja działka.

MP przewrócił oczami.

– To kolejne z kłopotliwych pytań, na które chciałbym uzyskać twierdzącą lub przeczącą odpowiedź, panie Tromble.

– Zgoda. Nie, nie miałem.

MP wrócił do osoby pułkownika Wolewoja i zespołu rosyjskich prokuratorów.

– Kto zapłacił za ich podróż? Kto pokrywał wydatki?

– Skąd mam wiedzieć?

– Zamierzałem spytać o to za chwilę – odrzekł sceptycznie MP.

Tromble kierował się dewizą głoszącą „lepiej dawać niż brać”, więc pogardliwy ton tego durnia zaczął mu działać na nerwy. Chwycił oparcie krzesła i warknął:

– Czy to miało być pytanie?

– Jeśli niezręcznie panu odpowiadać, wrócimy do niego później.

MP kontynuował przesłuchanie świadka dwie godziny, przeskakując z pytania do pytania i rzucając tyle insynuacji, ile mógł. Czasami wracał do starego tematu, zmuszając Tromble'a do ponownego zaorania tej samej ziemi. Podobne pytania nieco inaczej sformułowane, wypowiedziane z narastającym tonem niewiary.

Caldwell zgłaszał sprzeciw, gdy tylko nadarzyła się okazja. Często tylko po to, aby zakłócić tok argumentacji obrońcy. W końcu sędzieja musiał go upomnieć, aby się uspokoił.

Po dwóch godzinach Tromble miał już dość siedzenia na tym samym drewnianym krześle. Był zmęczony bezczelnym prawnikiem, rosyjskim oszustem, który odwlekał powrót do Rosji, i niegrzecznymi pytaniami. Miał po dziurki w nosie sędziego i całej tej sądowej rutyny. Zaczął żałować, że zgodził się wystąpić w roli świadka. Na próżno wiercił się na krześle, próbując znaleźć wygodną pozycję.

Nagle MP wyszedł zza stołu obrony i stanął w odległości pół metra od Tromble'a. Przerwał na chwilę, a następnie pochylił się i spytał:

– Panie Tromble, mam kiepską pamięć. Czy składał pan przysięgę, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę? – Przerwał, aby podkreślić wagę swoich słów. – Całą prawdę bez wykrętów, niedomówień i kłamstw?

No, tego już było za wiele. Tromble pochylił się naprzód i niemal splunął w twarz Jonesowi.

– Proszę nie prawić mi kazań o uczciwości, adwokacino! Jestem szanowanym urzędnikiem publicznym. Nie pozwolę, aby tak się do mnie zwracano. Jeśli ma pan więcej pytań, proszę tytułować mnie „sędzią” lub „panem dyrektorem”.

MP uśmiechnął się szeroko.

– Może pan odejść, panie Tromble.

Tromble odchylił się do tyłu, zaparł nogami i ani drgnął. Nie pozwoli, aby jakiś trzeciorzędny adwokat nieudacznik nim pomiatał.

Po chwili sędzieja Willis pochylił się w jego stronę i bardzo głośnym, stanowczym tonem powiedział:

– Panie Tromble, jeśli w ciągu trzech sekund nie opuści pan miejsca dla świadków, ukarzę pana za obrazę sądu.

\* \* \*

Przerwa na lunch została przyjęta z prawdziwą ulgą. Aleksa i Jelenę zaprowadzono do małej sali konferencyjnej i pozwolono spożyć skromny posiłek sam na sam. Drzwi pilnowało dwóch zastępców szeryfa. Na długim stole konferencyjnym w papierowych torbach czekały kanapki z szynką, pikle, chipsy

i zimne puszki z napojami kupione i dostarczone na zamówienie sądu.

MP i jego kumple z PKR jedli lunch w innej sali konferencyjnej. Uznali, że po czternastu miesiącach separacji Aleks i Jelena zasługują na odrobinę prywatności. Nie wspomnieli, że mogły to być ich ostatnie chwile razem.

MP trzymał w zanadrzu kilka smakowitych prawniczych kąsków dotyczących materiałów dowodowych, które zamierzał wykorzystać z pomocą kolegów ze znanej kancelarii. Jones nabrał kilku złych nawyków w sądzie imigracyjnym, które w sądzie federalnym mogłyby spowodować, że oberwałby książką. Tego popołudnia mieli stoczyć rozstrzygającą bitwę – wóz albo przewóz – więc chłopcy z PKR chcieli wykorzystać wszelkie wątpliwości.

Wiedzieli, że Caldwell je lunch z reporterem „Posta” w eleganckiej restauracji kilka przecznic dalej, przedwcześnie ogłaszając swoje błyskotliwe, nieuniknione zwycięstwo. Prywatny detektyw zatrudniony przez kancelarię PKR nie odstępował go na krok, gdy tylko opuszczał gmach sądu, i przez komórkę na bieżąco informował o wszystkim swoich pracodawców. Łatwa robota, bo prokurator INS sprowadzony z Zachodu był zbyt naiwny, aby rozumieć, jak się gra w ekstraklasie. Wścibski detektyw siedział kilka stolików dalej, popijając colą cheeseburgera. Caldwell głośno się przechwalał, a wynajęty tajniak szeptał do mikrofonu każde ważne słowo, powtarzając je młodszemu współnikowi z kancelarii adwokackiej. Ten pognał ile sił w nogach, by poinformować swoich przełożonych w sali konferencyjnej. PKR grała ostro.

Caldwell nie miał pojęcia, co go czeka. Powinien był toczyć napiętą, ożywioną naradę z najlepszymi i najzdolniejszymi prawnikami Departamentu Sprawiedliwości, aby przygotować się do odparcia ataku, którego obmyślenie zajęło Aleksowi ponad rok. Podczas gdy prokurator przeżuwał sałatkę z ogórków, sączył dużą dietetyczną pepsi i paplał o swoim prawniczym geniuszu, tamci obmyślali niespodziewany atak.

Można by to określić mianem ostatniej rozpaczliwej próby, dramatycznym rzutem na taśmę, na który nigdy by się nie zdobyli, gdyby mieli do czynienia z bardziej doświadczonym człowiekiem. Był to pomysł wywołujący gęsią skórkę, z rodzaju tych, na które mógł wpaść jedynie całkowity prawny amator – czyli sam Aleks.

Po pięciu dniach bolesnych narad najbardziej doświadczeni chłopcy z PKR ostrzegli, że należy to uczynić jedynie w sytuacji najwyższej konieczności.

Była to ostatnia szansa przyłapania rządu.

\* \* \*

Gdy zamknęli za nimi drzwi, objęli się i pocałowali. Po chwili Jelena cofnęła się i zakomunikowała:

– Michaił dzwonił dziś rano. Mamy dobre wieści z Moskwy.  
– Jak dobre?  
– Golicyn i Nikoła Kozyriew zostali zabici wczorajszej nocy.  
– Jak? – Żadnego uśmiechu, żadnego grymasu zadowolenia. Lakoniczne „jak”.

– Michaił zrobił wszystko, co kazałeś. Poprosił Jurija Chodorina, aby wyznaczył pięć milionów dolarów nagrody za głowę Nikoły. Poszło jak z płatka. Tak jak mówiłeś. Jurij miał dość tego, że Nikoła Kozyriew morduje jego ludzi i wciąż próbuje zniszczyć mu firmy.

– Kto go zabił?  
– Sam się zastrzelił.  
– Jakie to poetyckie... A Golicyn?  
– Znam jedynie domysły Michaiła...

Aleks skinął głową.

– Nikoła dowiedział się o nagrodzie wyznaczonej za jego głowę. Miał się o tym dowiedzieć, prawda? Miał pomyśleć, że stoi za tym Golicyn.

– Między złodziejami nie ma zaufania. Pozwól, że zgadnę. Kozyriew od wzajemnił przysługę?

Skinęła głową.

– A Tatiana Łukina? – zapytał po chwili. – Co z nią?  
– Została zwolniona i trafiła do więzienia. Taśmy i zdjęcia, które Michaił przekazał jej dawnemu kochankowi, zdziały cuda. Facet zwolnił także prokuratora generalnego.

Aleks w końcu się uśmiechnął. Doprowadził do dwóch zgonów i zniszczył dwa życia. Oczywiście tamci próbowali go zabić, i to wielokrotnie, na dodatek uprzykrzali mu życie, jak umieli. Uśmiech był jednak daleki i chłodny. Ponury uśmiech człowieka, który w ciągu kilku lat całkowicie się zmienił.

- Na tym koniec – skwitował. – Nie mamy w Moskwie więcej wrogów.
- Nigdy nie byliśmy tak bezpieczni, Aleks. Pozostał jedynie ten proces. Wpatrywał się chwilę w czubki swoich butów.
- Ile czasu nam zostało? – zapytał.

Spojrzała na zegarek.

- Około czterdziestu pięciu minut.

Podszedł do stołu i podniósł krzesło. Zaniósł je do drzwi i cicho zablokował, wsuwając pod dużą miedzianą gałkę. Odwrócił się i spojrzał na Jelenę.

- Jesteś głodna?
- Nie, a ty?

Odsunęli torby z jedzeniem. Jelena zdjęła spodnium w dwie sekundy. Zsuniecie więziennego kombinezону zajęło jeszcze mniej czasu. Wylądowali na blacie stołu, wkładając całe serce i duszę w to, by w ciągu czterdziestu pięciu minut nadrobić czternaście miesięcy rozłąki.

Choć tego nie powiedzieli, oboje rozumieli, że może to być ich ostatni raz.

\* \* \*

MP wezwał swojego pierwszego świadka.

Otworzyły się drzwi i między rzędami energicznie przeszła Kim Parrish. Caldwell odwrócił głowę tak szybko, że omal nie skręcił sobie karku. Wymienił spojrzenie z Tromble'em, który siedział teraz tuż za jego plecami.

Żaden nie ucieszył się z jej widoku.

Panna Parrish została przedstawiona i zaprzysiężona, a następnie spoczęła nieruchomo na ławie dla świadków, obserwując, jak MP się rozgrzewa.

- Jest pani prokuratorem?
- Tak.

– Czy pracowała pani w biurze prawnym INS?

– W tym samym co pan. W biurze okręgu Kolumbii.

– Czy prowadziła pani kiedyś sprawę Aleksa i Jeleny Koniewiczów?

– Byłam głównym prokuratorem prowadzącym ich prześladowania...

przepraszam, przesłuchania – odparła Kim, celowo myląc słowa.

Aleks spojrzał na nią, dziękując skinieniem głowy.

- Czy nadal pani się nią zajmuje?



– Nie.

– Dlaczego? Czy to normalne, że odsunięto panią od sprawy, którą pani sama przygotowała i przedstawiła w sądzie imigracyjnym?

– Takie przypadki zdarzają się niezwykle rzadko. Poprosiłam, aby przydzielono mnie do innej sprawy.

MP uniósł brwi.

– Sama pani o to prosiła? Chciała pani zrezygnować z takiej głośnej, prestiżowej sprawy? Każdy prokurator INS oddałby życie za taką okazję. Pan Caldwell jest tak podekscytowany, że ledwie może usiedzieć.

– Sprzeciw! – ryknął Caldwell, patrząc na MP wściekłym wzrokiem.

– Podtrzymuję.

MP zignorował Cawdella i zachowywał się tak, jakby protest oskarżyciela był bez znaczenia.

– Czemu poprosiła pani o przydzielenie innej sprawy, panno Parrish?

– Ponieważ... ponieważ w miarę upływu czasu byłam coraz bardziej przekonana, że pan Koniewicz został...

– Sprzeciw! – ryknął ponownie Caldwell, omal nie spadając z krzesła.

– Na jakiej podstawie?

– Panna Parrish zdradza poufne informacje przekazane przez klienta.

– Proszę do mnie przedstawicieli obu stron – mruknął sędzia.

Skupili się w ciasnej gromadce obok jego fotela.

MP wziął ze sobą Matta, a Caldwell, nie chcąc, by rywal miał nad nim przewagę liczebną, zaprosił Billa, jednego z bezużytecznych chłoptasiów z Departamentu Sprawiedliwości, który starał się okazywać gniewne niezadowolenie i ukrywać swoje ogólne zagubienie. Nie miał zielonego pojęcia, kim jest ta pani, a tym bardziej, jaką rolę odgrywa w sprawie.

Sędzia przyjrzał się im uważnie i szepnął Caldwellowi:

– Proszę przedstawić swoje argumenty.

– Świadek uzyskała te informacje, gdy była zatrudniona przez jej klienta, rząd Stanów Zjednoczonych.

– Panie Jones?

– Panna Parrish została zwolniona. Może zeznawać, co zechce.

– Pozostaje związana przysięgą prokuratorską, którą złożyła – upierał się Caldwell.

– Powinniście byli o tym pomyśleć, gdy wywalaliście ją na bruk – odparł MP.

– Jestem skłonny zgodzić się z panem Caldwellem – przerwał mu sędzia, chociaż pragnął zrobić coś zgoła przeciwnego. Nie mógł naginać prawa na korzyść MP.

– Ograniczę zakres pytań – oznajmił MP, próbując ukryć rozczarowanie. Matt skinął potakująco głową. Dobry ruch.

– Powinna zostać wykreślona z listy świadków – rzucił Caldwell.

– Panna Parrish jest obecnie prywatną osobą. Może zeznawać – przypomniał mu Wysoki Sąd. – W rozsądnych granicach. Proszę postępować rozważnie, panie Jones.

– Będę miał na ciebie oko. – Caldwell uśmiechnął się, patrząc szyderczo na MP.

– Obserwuj uważnie – odburknął MP. – Lubię uważnych słuchaczy.

Po tej przyjaznej wymianie zdań wrócili na swoje miejsca. MP poświęcił chwilę, by na nowo uporządkować myśli, a następnie spytał:

– Panno Parrish, czy przypomina sobie pani zespół rosyjskich prokuratorów, których wysłano do nas w tej sprawie?

– Tak. Przyjechało pięciu. Śledczy i czterech prokuratorów.

– Czy pamięta pani, kto za to zapłacił?

– FBI.

– Za wszystko?

– Tak, FBI pokrywa wszystkie wydatki. Goszczą w naszym kraju od roku.

– Gdzie się zatrzymali? Czym się zajmują, gdy przebywają tak daleko od domu? Nie nudzą się?

Kim zmrużyła oczy. Jej odpowiedź przypominała raketę poślaną w kierunku Tromble'a:

– Mieszkają w hotelu Madison. Cała czwórka, każdy w oddzielnym apartamencie, w którym noc kosztuje około tysiąca dolarów. Niemal od roku. Uzbierały się ogromne sumy. Ci panowie jadają w najdroższych restauracjach, co tydzień latają do Vegas pierwszą klasą, chodzą na dziwki, uprawiają hazard

i pochłaniają niewiarygodne ilości alkoholu. Wszystkie rachunki są przesyłane FBI.

– Czy mogłaby pani z grubsza oszacować, ile FBI wyrzuciło na tych oszukańczych błaznów?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Podtrzymuję. Proszę pilnować języka, panie Jones. Ile na nich wydano, panno Parrish?

– Miliony. Wiele milionów z pieniędzy podatników. Są tu od roku i szastają pieniędzmi jak książęta.

MP wrócił na miejsce.

Caldwell nie miał powodu, by przesłuchać Kim Parrish. Jego wcześniejszy, zgłoszony w porę sprzeciw, założył pętlę na szyję MP i zablokował jej atak. Nie wyrządziła im żadnej szkody. Kogo obchodzili Rosjanie? Mogą sobie zapłodnić połowę tancerek z Vegas i narazić na szwank finanse państwowe. Wielka rzecz! Ta sprawa nie miała nic wspólnego z kwestią, czy Koniewicz powinien pozostać w więzieniu.

Z drugiej strony był wściekły, że Kim Parrish zgodziła się zeznawać przeciwko własnemu urzędowi. Dopuściła się zdrady, a on wiedział, jak jej za to odplacić. Pora na małe zdyskredytowanie.

Wstał i zapytał:

– W jaki sposób została pani świadkiem obrony?

– Nie rozumiem pytania.

– To proste, czy skontaktował się z panią pan Jones, czy pani z nim?

– Zadzwoiłam do niego. Po tym...

Caldwell przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć zdanie.

– Czy jest pani nadal zatrudniona w INS, panno Parrish?

– Nie, złożyłam rezygnację.

– Chciała pani powiedzieć, że została zwolniona. Zadzwoiła pani do pana Jonesa, ponieważ była rozgniewana i pragnęła zemsty.

– Chciałam powiedzieć, że złożyłam rezygnację. Dopiero później pan Tromble mnie zwolnił.

– Skądże, została pani zwolniona przez dyrektora INS.

– Nie przypominam sobie, aby uczestniczył pan w tej rozmowie. Zostałam zwolniona przez pana Tromble'a, ponieważ zrezygnowałam z prowadzenia

sprawy, którą uznałam za tanie oszustwo.

Caldwell poczerwieniał. Spojrzał na sędziego.

– Żądam wykreślenia tej odpowiedzi z protokołu.

– Świadek odpowiedział na pańskie pytanie – odparł sędzia. – Sam pan prosił, aby panna Parrish rozwinęła swoją myśl. Udzieliłem na to pozwolenia.

Głupi błąd. I co z tego? Szkoda była niewielka. Niejednoznaczna mała wpadka w obliczu oczywistego, przygniatającego zwycięstwa. Jego w porę zgłoszony sprzeciw zapobiegł prawdziwym zniszczeniom.

Kim została zwolniona, a MP wezwał następnego świadka. W przejściu między rzędami minął ją skromnie ubrany, drobny człowieczek wlokący się wolno w przeciwnym kierunku.

Piotr Arbatow został zaprzysiężony i zajął miejsce dla świadków.

MP pomógł świadkowi uchylić rąbka jego przeszłości. Poświęcił nieco czasu, by dokładnie ją opisać. Świadek pracował w KGB dwadzieścia lat, aby później nieoczekiwanie uciec z kraju. Ukończył prawo na Uniwersytecie Moskiewskim. Nie wspomniał, że był również absolwentem Uniwersytetu Katolickiego.

MP nie zapytał, a Piotr pominął ten fakt.

Tłum chłonął łączywie każde jego słowo. Poza nielicznymi wyjątkami, nikt nie widział wcześniej prawdziwego agenta KGB osobiście, a na dodatek z tak niewielkiej odległości. Piotr był pierwszym żywym, oddychającym agentem KGB, jakiego mieli przed oczami... Gość był niepozorny, jakiś taki drobny, przybity i smutny... Czy to możliwe, aby był groźnym demonem ukazującym w kinowych thrillerach i powieściach szpiegowskich z okresu zimnej wojny? Czemu u licha Stany nie wygrały zimnej wojny trzydzieści lat wcześniej?

Następnie MP zadał kilka pytań, aby świadek się rozluźnił. W jaki sposób zetknął się ze sprawą, jak poznał Kim Parrish i tak dalej.

– Zlecono panu wykonanie przekładu dokumentów, które INS otrzymało od FBI, czy tak?

– Obecnie w taki sposób zarabiam na życie. Tłumaczę dokumenty dla amerykańskich koncernów, które robią interesy w Rosji.

- Czy nadal jest pan adwokatem?
- Nie, przestałem wykonywać zawód szesnaście lat temu.
- Dlaczego?
- Pracowałem wówczas dla KGB. To pozostawiło pewien niesmak.
- Czym konkretnie pan się zajmował?

Piotr rozejrzał się po sali, pozwalając, aby napięcie wzrosło.

– Moja praca, panie Jones, polegała na wrabianiu ludzi – odparł wolno, przeciągając słowa.

Piotr mówił cicho, więc reporterzy pochylili się do przodu, chłonąc każde słowo. Opisał swoją prawniczą specjalność. Fascynująca sprawa. Ludzie siedzieli na brzegach krzeseł, lecz żaden ani drgnął. Mówił o tym, jak wrobić niewinnego człowieka, opisał dziesięć kroków, których wykonanie zagwarantuje klientowi podróż do gułagu.

– Do jakiego wniosku pan doszedł po przejrzeniu aktu oskarżenia Koniewicza?

- Sprzeciw! – warknął Caldwell.
- Na jakiej podstawie? – spytał sędzia Willis, opierając brodę na pięści.
- Byłoby to... ujawnienie poufnych informacji przekazanych przez klienta.

Sędzia spojrzął na Piotra.

- Proszę mi przypomnieć, czy jest pan nadal praktykującym adwokatem?
- Nie, nie jestem nim od wielu lat. Obecnie pracuję jako prosty tłumacz.

MP spytał śmiało:

- Czy podpisał pan zobowiązanie, że nie ujawni tego, czego się dowie?
- Nie, wymieniłem jedynie cenę swoich usług, a panna Parrish mnie wynajęła.

– Oddałam sprzeciw – oznajmił sędzia. – Proszę udzielić odpowiedzi na pytanie obrony.

Piotr spojrzął na Aleksa siedzącego przy stole.

– Zapoznawszy się z aktem oskarżenia i materiałem dowodowym, doszedłem do wniosku, że pan Koniewicz został wrobiony.

- Dlaczego?
- Sfabrykowane sprawy śmierdzą, panie Jones.

– Śmierdzą? Nie rozumiem.

Piotr wskazał pułkownika Wolewoja siedzącego w jednym z tylnych rzędów w charakterze oficjalnego obserwatora.

– Weźmy na przykład tego pana, panie Jones. Powie panu, że jest urzędnikiem Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego, lecz wcześniej z pewnością pracował dla KGB. Będzie utrzymywał, że stoi jedynie na straży przestrzegania prawa, lecz jego ręce są splamione krwią. Cuchną tak, że nie zmyje tego żadna kąpiel.

Cała sala spojrzała na Wolewoja. Gdyby gość był bardziej inteligentny, mógłby uśmiechnąć się rozbrajająco lub nerwowo roześmiać... a przynajmniej z niedowierzaniem potrząsnąć głową, lecz Wolewoj świdrował Piotra swoimi małymi, podłymi oczkami.

Dobry Boże, nie mieli żadnych wątpliwości. Toż to facet z hollywoodzkich dreszczowców – *szpion* KGB, z krwi i kości.

– A dokumenty? – pytał dalej MP. – Czy faktycznie cuchnęły?

– Widzi pan, zlecono im sfabrykowanie doskonałego aktu oskarżenia. Czterej prokuratorzy, których ściągnęło wasze FBI, to specjaliści w tej dziedzinie. Zrobili to, czego od nich oczekiwano.

MP zadawał kolejne pytania, a Piotr opisywał, jak skonstruować akt oskarżenia na podstawie kłamstw, oszustwa i sfalszowanych dowodów.

Później MP zmienił temat i spytał:

– Nawiasem mówiąc, czy był pan świadkiem zwolnienia panny Parrish?

– Tak, byłem świadkiem tego zdarzenia. Panna Parrish nie została zwolniona.

– Prokurator twierdzi, że ją zwolniono.

– Myli się lub kłamie. Zgłosiła rezygnację.

– Dlaczego?

– Powiadomiła swojego przełożonego, że akt oskarżenia został sfabrykowany. Że to oszustwo. Lipa.

– Co się wówczas stało?

– Panna Parrish to honorowy człowiek, panie Jones. Zrobiła coś, na co ja nigdy się nie zdobyłem.

– Na co?

– Chciała doprowadzić do wycofania sprawy.

MP udał zdumienie.

– Prokurator prowadzący sprawę chciał doprowadzić do jej wycofania?

– Tak.

– Czemu do tego nie doszło?

– Wezwano ją do pokoju, w którym znajdował się ten człowiek – wskazał palcem Tromble'a, który rozpaczliwie próbował go zignorować – i jej przełożony z INS. Oznajmiła, że chce zrezygnować z prowadzenia tej sprawy. Odmówili w niegrzeczny sposób. Wówczas poprosiła, aby przydzielić ją do innej sprawy. Każdy prokurator ma do tego prawo, a jednocześnie obowiązek, jeśli uważa, że oskarżenie jest fałszywe. Wtedy zaczęli na nią krzyczeć. Ona złożyła rezygnację, a ten człowiek – oskarżycielski palec skierował się ponownie na Tromble'a – zaczął krzyczeć, że jest zwolniona.

MP podziękował mu i odszedł. Piotr siedział w milczeniu, patrząc na Aleksa. Ten odwzajemnił jego spojrzenie, kiwając głową z wyrazem milczącego podziwu dla starego rodaka, który odzyskał sumienie.

Caldwell zrezygnował z okazji przesłuchania świadka. Nie wiedział prawie nic o Piotrze Arbatowie, a rozmowa z nim mogłaby być wyjściem na pole minowe.

Uznał, że Rosjanin zadał im niewielkie straty. Wszyscy wiedzieli, że Tromble jest podły. Może i trochę nałgał w zeznaniach, lecz był to jego problem, a nie Caldwell.

Szczerze mówiąc, Caldwell nawet się cieszył. Po tej stronie sprawy było miejsce tylko dla jednego rozbuchanego ego, a ten drobny, umęczony człowieczek właśnie wysadził z siodła Tromble'a.

W końcowej mowie podkreśli, że rosyjski „ekspert” przedstawił jedynie swoją opinię – nie fakty, lecz pozbawioną podstaw ekspertyzę opartą na kruchoj przesłance, że akt oskarżenia sprawia wrażenie zbyt idealnego. W dodatku Arbatow był w mniejszości. Słowo jednego człowieka, który przyznał się do wrabiania niewinnych ludzi, przeciw opinii całego rosyjskiego rządu. Zreformowanego, demokratycznego rządu, czego nie omieszka podkreślić. Nie dawnej, skorumpowanej dyktatury, w której imieniu ten Piotr Arbatow posyłał ludzi na szubienicę.

Drobny Rosjanin został zwolniony. Gdy przechodził między rzędami, wymienił nienawistne spojrzenie z Wolewojem. MP oznajmił, że nie ma więcej świadków.

– Mógłbym prosić o chwilę przerwy, Wysoki Sądzie?

– Ile pan zechce – odparł sędzia Willis, dając wyraźnie do zrozumienia, że czas nie gra na jego korzyść.

Po chwili przyłączyli się do niego Aleks i Matt. Stanęli w ciasnej gromadce, naradzając się przyciszonymi głosami.

– Co sądzisz? – spytał MP Aleks.

– Jesteśmy w tarapatkach... poważnych tarapatkach – odparł bez ogródek adwokat. – Kim była naszym głównym świadkiem, lecz Caldwell uniemożliwił jej złożenie najbardziej obciążających zeznań.

– Sądzisz, że Piotr tego nie naprawił?

Matt miał doświadczenie w głośnych procesach kryminalnych, więc odpowiedział za nich obu:

– Caldwell go rozniesie w mowie końcowej. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. Mamy słowo jednego człowieka, który przyznał się do wrabiania ludzi, przeciwko słowu całego rządu. To kwestia wiarygodności, Aleks.

MP przytaknął tej trafnej obserwacji.

– Z pewnością to zrobi.

– W takim razie wywalmy kawę na ławę – zdecydował stanowczo Aleks.

MP i Matt spojrzeli po sobie. Obaj mieli nadzieję, że uda się uniknąć propozycji Aleksa. Z prawnego punktu widzenia była to droga najeżona trudnościami. Po chwili Matt zauważył:

– Chociaż sędzia dobrze to ukrywa, mam wrażenie, że jest nam przychylny.

MP skinął głową. Przytaknął, aczkolwiek bez entuzjazmu.

– Wszystko albo nic – powiedział Aleks. – Blefuj tak dobrze, jak potrafisz.

– Mam nadzieję, że jesteś szczęściarzem – odparł Matt, pewny, że ruch, który zamierzają wykonać, to czyste szaleństwo.

– Nie siedziałby tutaj, gdyby był szczęściarzem – zauważył oschle MP.



Aleks i Matt usiedli na swoich miejscach. MP stał nadal. W końcu, z pewnym wahaniem oznajmił:

– Chciałbym przedstawić nowy materiał dowodowy.

Matt podał mu magnetofon marki Bose z małymi, lecz mocnymi głośnikami. Aleks ustawił urządzenie na stole, kierując głośniki w stronę stołu prokuratora, podczas gdy urzędnik sądowy podał mu przedłużacz wetknięty do kontaktu. Matt wręczył Aleksowi pojemnik z około dwudziestoma kasetami. Ten zaczął je przeglądać, by w końcu wybrać jedną. MP odebrał od niego taśmę i wsunął ją zgrabnie do kieszeni magnetofonu. Palec Aleksa zawisł na przycisku odtwarzania, a MP oznajmił:

– To nagranie rozmowy przeprowadzonej przy użyciu telefonu komórkowego przez pannę Tatianę Łukinę, asystentkę szefa kancelarii Kremla. Pani Łukina jest również doradcą prawnym Borysa Jelcyna. – Aleks nacisnął przycisk.

Usłyszeli dzwonek telefonu.

– Słucham! Kto mówi? – z głośników doleciał poirytowany kobiecy głos mówiący po rosyjsku.

– Proszę nie odkładać słuchawki, łączę rozmowę z dyrektorem FBI – kolejny kobiecy głos, znużony, przemawiający po angielsku.

– Witaj, Tatiano. Słyszałaś najnowsze wiadomości o Koniewiczu?

– W jaki sposób zdobyłeś mój numer telefonu? – spytała, nie potrafiąc ukryć irytacji.

– Kiedy nie mogłem skontaktować się z tobą w biurze, namierzyli go moi chłopcy z ambasady.

– Rozumiem. Tak, słyszałam, że wpakowaliście go do więzienia. Czemu nie odesłaliście go do nas?

– To skomplikowana sprawa. Nie jest to takie proste, jak sądziłem. Posłuchaj, musisz mi wyświadczyć wielką przysługę.

– John, obiecałeś mi Koniewicza.

– Posłuchaj, niektórzy z naszych sędziów to ptasie mózdzki. Musisz mi przygotować akt oskarżenia.

– Dlaczego?

– Dlatego że nie mogę ot tak wsadzić go za dupę do samolotu. Słuchaj,

Tatiana, nie obchodzą mnie szczegóły. Rozumiesz? Daj spokój, wasi ludzie są dobrzy w takich sprawach.

– Co masz na myśli, John?

Długie milczenie.

– Przekaż mi, co chcesz, dopilnuj tylko, aby brzmiało przekonująco.

– Czy to absolutnie konieczne? – spytała w końcu.

– Tak sędzę. Za tydzień ponownie stanie przed sądem. Nie ma sposobu, aby uniknąć ekstradycji. Z drugiej strony sędzia może postąpić jak obłąkany. Uznajmy to za dodatkowy środek ostrożności. Ubezpieczenie.

Caldwell w końcu otrząsnął się z osłupienia i zrobił coś, co powinien był uczynić minutę wcześniej.

– Sprzeciw! Sprzeciw! – krzyknął.

Aleks zwiększył maksymalnie siłę dźwięku, zagłuszając wołania Caldwell. Głośniki ryknęły na całą salę.

– Będziecie mogli zatrzymać go w więzieniu, prawda? Wielu wpływowych ludzi sprzeciwia się utrzymywaniu placówki FBI przy waszej ambasadzie. Staram się, jak mogę, John, lecz to nie będzie łatwe. Nie pomoże mi w tym tak wyraźny brak wzajemnej współpracy.

Tromble zaczął coś bełkotać, lecz mu przerwała.

– Wczoraj prezydent Jelcyn spytał mnie o sprawę Koniewiczów. Bez przerwy pyta, czy nie powinien pomówić o tym z waszym prezydentem.

– Znajdziemy jakiś sposób. Jeśli będzie trzeba, przekupię sędziego lub zabiję jego żonę. Znajdę sposób.

Caldwell skoczył na równe nogi, z całych sił wykrzykując słowa sprzeciwu.

Aleks zatrzymał taśmę. Rozejrzał się wokół, lustrując twarze zebranych.

Tromble wyglądał tak, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim.

Zdezorientowany Caldwell miotał się w przerażeniu. W końcu oznajmił, tym razem nieco ciszej:

– Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw.

– Proszę do mnie – oznajmił sędzia, podnosząc się z ławy. Tym razem do MP i Marta dołączył Aleks. U boku poczerwieniałego z wściekłości Caldwell stał ponownie jeden z chłopców z Departamentu Sprawiedliwości.

– To narada prawników – warknął Caldwell, wskazując palcem Aleksa. – Nie ma tu dla niego miejsca.

– Jego obecność jest konieczna w celu ustalenia pochodzenia taśm – odparł słodkim głosem MP. – To przesłuchanie, a nie proces. Co na to Wysoki Sąd?

– Słuszna uwaga – odparł sędzia Willis nadal lekko zaszokowany tym, co usłyszał.

– To nielegalna taśma, która nie może być włączona do materiału dowodowego! – wybuchnął Caldwell, zwracając się do sędziego, MP i wszystkich, którzy znajdowali się w zasięgu słuchu.

– Wręcz przeciwnie – argumentował MP, udając pewność siebie. – Taśma jest legalna i stanowi dopuszczalny materiał dowodowy.

– Czy rozmowę nagrano za zgodą uczestniczących w niej osób? – spytał Caldwell.

– To amerykańskie prawo – odparował MP, próbując blefować.

– Nagrano ją na terenie Rosji – wtrącił szybko Aleks. – Rosjanie chętnie wykorzystują takie materiały. Nie zakazuje tego żadne prawo. Szczerze mówiąc, to nasza ulubiona rozrywka narodowa.

Caldwell nie miał pojęcia, czy facet mówi prawdę.

– Wysoki Sądzie, proszę – błagał. – To niedopuszczalne. Taśmę uzyskano w drodze nielegalnego podsłuchu.

Sędzia spojrzał na MP.

– Co pan na to?

– Wczoraj prokurator poprosił o włączenie do materiału dowodowego taśmy dostarczonej przez szefa zespołu rosyjskich prokuratorów. Miała dotyczyć rzekomych działań firmy Orangutan Media. Nie zgłosiłem wówczas sprzeciwu, dlatego jestem zdumiony, że prokurator w ogóle sięga po taki argument. Sam stworzył precedens. Powinniśmy mieć takie same prawa.

– Ma pan więcej takich taśm, panie Koniewicz?

– Przy sobie mam około dwudziestu. Kolejnych pięćdziesiąt znajduje się w sejfie bankowym.

– Chce pan nam puścić wszystkie?

– Nie – odparł Aleks. – Wspólnie z żoną wybraliśmy najbardziej obciążające.

- Czy są to nagrania rozmów Tromble'a z tą panią?
  - Tylko jedna – odparł MP, zarażając się pewnością siebie od Aleksa. – Chciałbym ją odtworzyć. Tromble chwali się Łukinie, do jakich ciężkich więzień wysłał Aleksa. Obiecuje, że będzie się nad nim znęcał tak długo, aż ten pięknie i zacznie błagać, aby odesłano go do Rosji.
  - Co znajduje się na pozostałych?
  - Rozmowy Tatiany Łukiny z dwoma... nazwijmy ich... współnikami w interesach...
  - Proszę mówić dalej.
  - Z Nikołą Kozyriewem, znanym szefem jednej z rosyjskich organizacji przestępczych. Teczek, które zgromadził na jego temat Interpol i rosyjska milicja, starczyłoby do zapelnienia całej biblioteki. Drugim z rozmówców jest Siergiej Golicyn, były generał KGB, którego Aleks zatrudnił na stanowisku szefa ochrony.
  - Czy to rozmowy telefoniczne?
  - Tylko niektóre – odrzekł Aleks. – Większość przeprowadzono w luksusowej limuzynie Golicyna.
  - Jaką rolę ci panowie odgrywają w naszej sprawie?
  - Cieszę się, że pan o to spytał – odparł MP, uznając, że pora, by do akcji włączyli się prawnicy. – Ci ludzie ukradli Aleksowi Koniewiczowi jego pieniądze i firmy. Później go wrobili. To oni stali za jego prześladowaniami w naszym kraju.
  - Czy taśmy potwierdzają te zarzuty?
  - Niech Wysoki Sąd sam to rozstrzygnie.
  - Jak wszedł pan w posiadanie tych taśm?
  - Dostałem je od mojego klienta.
  - Jak pan je zdobył? – spytał sędzia, zwracając się do Aleksa.
  - Wynająłem prywatnego detektywa.
- Po chwili namysłu sędzia zasugerował:
- Powiem panu, co mnie niepokoi, panie Jones. Pański klient mógł sfabrykować te taśmy, zatrudniając zawodowych aktorów.
- Nadeszła pora na Matta Riversa, który rozpoczął mocnym uderzeniem.
- Nasza firma oddała taśmy pana Koniewicza do analizy. W miniony weekend zbadano je w powszechnie szanowanym instytucie. Porównano

fragment wywiadu telewizyjnego udzielonego przez Tromble'a z zapisem dźwiękowym rozmowy, którą słyszał pan przed chwilą. Pasują idealnie. Ta sama charakterystyka głosu. Wyniki analizy dołączyliśmy razem z taśmami.

– Rozumiem.

– Porównaliśmy również głos Tatiany Łukiny z przedstawionego nagrania z materiałem utwalonym na pozostałych taśmach. Ta sama osoba rozmawiała z Tromble'em i ludźmi planującymi spisek.

– Czy wspomniane rozmowy były prowadzone po rosyjsku?

Matt ponownie zabrał głos:

– Wynajęliśmy trzech zawodowych aktorów, aby odczytali dialogi z podziałem na role. Dołączyliśmy również oryginalne taśmy, aby Wysoki Sąd mógł sprawdzić poprawność przekładu. Nie szczędziliśmy kosztów. Nagrania są bardzo dobre.

Matt nie mógł się doczekać, aby sędzia zaczął je odsłuchiwać. Zatrudnieni aktorzy byli zawodowcami wynajmowanymi przez nowojorskich wydawców do nagrywania książek do słuchania. W ciągu długiego weekendu pracowali nad tym całymi godzinami. Nie tylko odtworzyli dialogi z zaangażowaniem, przekonaniem i płynnością, lecz zdołali oddać pewne ważne niuanse, które nadały nagraniu pozory prawdopodobieństwa, na przykład gniewne prychnięcia Nikoły lub ton groźby w głosie Sergieja Golicyna. Aktorka odtwarzająca partię Tatiany wspięła się na wyżyny sztuki, przemawiając tak miękkim i zmysłowym głosem, że słuchacze mogli sobie niemal wyobrazić jej uwodzicielski czar.

Caldwell wyglądał jak zbity pies. Nie było wątpliwości, w którą stronę skłania się sędzia. Mógł jedynie patrzeć, jak przegrywa sprawę. W żaden sposób nie potrafił temu zapobiec. O zgrozo, sam umierał z ciekawości, aby usłyszeć nagrania.

– Zapoznam się z nimi w moim gabinecie, zanim ogłoszę werdykt. Chcę, aby obaj panowie byli przy tym obecni – powiedział, spoglądając na prawników. – Pana to nie dotyczy – dodał, zwracając się do Aleksa. – Sprawę muszą rozstrzygnąć prawnicy.

Trzy minuty później sędzia ogłosił przerwę w obradach. Na koniec wydał złowróżbne polecenie: Tromble ma być obecny, gdy sąd zbierze się ponownie. Uczucie, które nim kierowało, trudno było uznać za chrześcijańskie, lecz odczuwał niewielkie wyrzuty sumienia z tego powodu – Tromble nigdy się z nim

nie cackał, więc postanowił odwzajemnić mu uprzejmość.

Sędzia i przedstawiciele obu stron znikli w gabinecie Eltona Willisa, a reporterzy pognali do swoich kolegów czekających na schodach wiodących do gmachu, by podzielić się z nimi sensacyjnymi wydarzeniami, które rozegrały się tego ranka, i przekazać jak najwięcej informacji, zanim sąd zbierze się ponownie. Niebawem gadające głowy ponownie zagodziły w telewizyjnych studiach, dzieląc się najnowszymi wiadomościami oraz przekazując opinie i prognozy wszystkim, którzy chcieli słuchać. Zdania były podzielone.

Połowa uważała, że sędzia zrobi wyjątek, bo było to w końcu jedynie przesłuchanie w sprawie *habeas corpus*, gdzie wątpliwości zwykle rozstrzygano na korzyść oskarżonego. Połowa twierdziła, że obrona nie ma żadnych szans.

Sąd zebrał się cztery godziny później. Reporterzy zostali o tym uprzedzeni, więc wpadli na salę, walcząc ze sobą o najlepsze miejsca czy choćby kawałek podłogi za rzędami. Czy sędzia dopuści pierwszą taśmę jako materiał dowodowy? Jeśli tak, co się stanie z pozostałymi? W powietrzu wisiało również wielkie pytanie dnia: Kto wrobił Johna Tromble'a, dyrektora FBI? Zaciekawienie sięgało zenitu. Stacje telewizyjne domagały się informacji, gdy tylko zapadnie werdykt.

Adwokat i prokurator wmaszerowali na salę z poważnymi twarzami i zajęli miejsca. Po nich wprowadzono Aleksa, który usiadł przy stole obrony po czterech godzinach oczekiwania w celi. Tym razem wziął prysznic, ogolił się i ściał włosy, nałożył również garnitur i krawat. Zdecydował, że pora, aby ludzie zobaczyli, jak prezentował się kiedyś.

Kontrast pomiędzy sponiewieranym przestępcą a wysokim, ogolonym i ostrzyżonym przystojnym mężczyzną był uderzający. Spójrzcie, co ze mną zrobiliście, krzyczało jego stare ja – popatrzcie, jak wyglądałem, zanim państwo zwróciło przeciwko mnie całą swoją maszynę.

Otworzyły się boczne drzwi. Willis podwinął togę i usiadł na swoim miejscu. Sprawiał wrażenie smutnego i rozgniewanego, wstrząśniętego i lekko podenerwowanego.

Szybko uciszył zebranych i przystąpił do rzeczy. Długą chwilę wpatrywał się w sufit, jak zwykle przed ogłoszeniem werdyktu. Podniosły moment – dawny ksiądz szukający kierownictwa i mądrości u Najwyższego. W przeciwieństwie do Willisa Tromble wyglądał żałośnie, wiercił się na krześle, nie

mogąc znaleźć sobie miejsca.

Sędzia spuścił wzrok.

– Po zapoznaniu się z taśmami i rozważeniu sprawy podjąłem decyzję zaliczenia ich do materiału dowodowego.

Aleks odchylił się do tyłu, a Jelena pisnęła z radości.

Ponieważ w sądzie odsłuchano tylko jedną taśmę, uzasadnienie tej decyzji pozostało tajemnicą. Reporterzy nie zareagowali ani słowem.

Sędzia spojrzał na Aleksa.

– Czy oskarżony mógłby wstać?

MP ścisnął ramię Aleksa i ten się podniósł.

– Na wstępie proszę przyjąć moje najgłębsze przeprosiny... – Przerwał na chwilę i poprawił togę. – Proszę pozwolić, że udzielę panu osobistej rady. Mam nadzieję, że pan i jego adwokat złożycie prywatny pozew przeciwko FBI i Departamentowi Sprawiedliwości. Wyrządzono panu wielką krzywdę. Wiem, że żadne pieniądze tego nie zrekompensują, lecz z drugiej strony nie zaszkodzą.

Tromble siedział na swoim krześle targany sprzecznymi emocjami – z jednej strony chciał sprawiać wrażenie pewnego siebie i władczego, z drugiej pragnął zapaść się pod ziemię.

Sędzia zwrócił się do zgromadzonych głośno i wyraźnie, aby nawet najdalej stojący reporterzy nie uronili ani słowa lub prawnego niuansu. Zaczął od długiego podsumowania materiału zawartego na taśmach. Miał notatki, lecz zaglądał do nich jedynie sporadycznie, wtedy gdy ważne było przytoczenie konkretnych sformułowań. W Moskwie doszło do zawiązania spisku o przerażających rozmiarach. Pierwszą jego ofiarą padł Koniewicz. Poddano go brutalnym torturom, a następnie ograbiono z majątku i przejęto jego firmy. Spisek sięgał najwyższych kręgów na Kremlu. Sami mieliśmy podobne problemy, wspominał na marginesie, cytując afery Teapot Dome, Watergate i Iran-Contras. Ta sprawa to kolejny skandal o historycznych rozmiarach.

Wymienił spiskowców, męcząc się z rosyjskimi nazwiskami, i przedstawił zarys spisku. Następnie opisał, jak wprowadzono w błąd amerykańskie organa stojące na straży prawa, czyniąc z nich narzędzie w ręku konspiratorów. Aby wprowadzić kogoś w błąd, trzeba znaleźć człowieka, który byłby na to podatny.

Okazał się nim dyrektor FBI. Szybko opisał *quid pro quo* – oni dostaną Aleksa bez względu na cenę, a Tromble będzie mógł wysłać do Moskwy kilku następnych agentów. Następnie podsumował niezliczone przepisy i procedury, które pogwałcił szef FBI, gnębiąc małżeństwo Koniewiczów. Naruszeń było tyle, że sąd nie zdołał ich zliczyć, jednak pełne sprawozdanie zostanie przygotowane przez kompetentne osoby mające dość czasu, aby zapoznać się ze wszystkimi taśmami i innymi dowodami.

W rezultacie INS, FBI i Departament Sprawiedliwości – instytucje reprezentowane przez osoby zasiadające przy stole oskarżenia – stały się narzędziem koterii zawiązanej przez nikczemnych ludzi działających w obcym kraju. MP podczas narady z sędzią wskazał kilka najbardziej rażących przykładów: przenoszenie oskarżonego do kolejnych więzień, aby uprzykrzyć mu życie, nielegalne rewizje, bezsensowne zniszczenie domu i własności, zajęcie kont przez władze federalne, doprowadzenie do zamknięcia i bankructwa ich firmy.

Chociaż mówił dziesięć minut, wszyscy słuchali z najwyższą uwagą, nie zdradzając najmniejszej oznaki znudzenia. Dyrektor FBI dwukrotnie próbował ukradkiem opuścić salę, lecz za każdym razem wracał na miejsce po surowym, gniewnym ostrzeżeniu sędziego.

Jason Caldwell opadł na krzesło, obserwując, jak jego świetlana przyszłość wali się w gruzy. Wyobrażał sobie wieczorne wiadomości. Zdjęcia pokazujące, jak rozpromieniony wybiega z gmachu, staje na schodach i z najwyższym przekonaniem ogłasza błyskawiczne, druzgocące zwycięstwo, a następnie studio telewizyjne pełne tych osłów, ekspertów prawnych, analizujących jego sromotną klęskę na sali sądowej. Wiedział, że będzie to straszne. Absolutnie przerażające.

Nie mylił się.

Sędzia Willis zakończył swoją przemowę kolejnymi długimi przeprosinami skierowanymi do Aleksa, a następnie nakazał jego natychmiastowe uwolnienie.

Po tych słowach ujął w dłonie togię i opuścił salę.

Tromble skoczył na równe nogi i popędził do drzwi, odpychając reporterów, którzy bombardowali go pytaniami.

- Czy mają tu boczne wyjście? – spytał woźnego.
- Oczywiście – odparł tamten z uśmiechem.
- Gdzie?
- Sam sobie poszukaj, kutasie.



\* \* \*

Pocałunki, uściski i westchnienia ulgi oraz wyrazy uznania – wraz ze zwyczajowymi gratulacjami składanymi kolejno przez Aleksa, Jelenę, MP, Marta i Marvinina – trwały pięć minut. W końcu Marvin uniósł prawicę i wszystkich uciszył. Stary wyga położył ramię na barku Aleksa i uroczyście oświadczył, że osobiście zajmie się pozwami przeciwko FBI, Departamentowi Sprawiedliwości i INS.

Będą trzy oddzielne sprawy, trzy niezależne szanse, obiecał z błyskiem w oczach.

Aleks, biznesmen z krwi i kości, zapytał o prawdopodobieństwo wygranej i termin wypłaty odszkodowania.

Marvin uśmiechnął się i zatarł dłonie.

– Nie pytaj czy i kiedy, tylko ile – odrzekł. Będzie się domagał zasądzenia dziesięciu milionów odszkodowania, a po przelaniu morza krwi przystanie na pięć.

– *Pro bono!* – zapytał Aleks.

– Zapomnij o tym. – Marvin uśmiechnął się bezlitośnie.

– Nie licz na to, że jak zwykle dostaniesz trzecią część – wtrąciła stanowczo Jelena. – Zadowolisz się dwudziestoma procentami albo przysięgam, że jeszcze dziś zatrudnię inną firmę.

Wystarczyło na nią spojrzeć, aby wiedzieć, że nie żartuje.

– Zgoda.

Tłum reporterów przepuścił ich dopiero wtedy, gdy MP uroczyście przysiągł, że całą noc będzie odpowiadał na pytania na schodach sądu. Będą mogli pytać do woli, a on będzie zaspokajał ich ciekawość, dopóki na niebie nie ukaże się księżyc. Przed zmrokiem otrzymał zaproszenie do pięciu talk-show i odebrał telefony od sześciu agentów literackich oraz dyrektorów pięciu wytwórni filmowych.

Marvin skrzyknął swoich prawników, którzy zbili się w ciasną gromadkę, wymieniając pomysły i planując następny ranek, który zapowiadał się bardzo burzliwie.

Kiedy skończyli, Aleksa i Jeleny już nie było.

## 34.

Suchy śnieg miał około metra grubości. Choć była dopiero wczesna jesień, pługi pracowały pełną parą, a turyści napływali do Aspen szerokim strumieniem. Ani Aleks, ani Jelena nie zbliżali się wcześniej do nart, a tym bardziej nie nakładali ich, byli jednak dobrymi sportowcami. Po trzech tygodniach nauki mistrzowsko opanowali tę sztukę i śmigali po ośnieżonych zboczach, jakby były ich własnością.

Jelena nalegała, aby wyjechali do jakiegoś ciepłego kraju. Najlepiej na jakąś małą, uroczą, zapomnianą wyspę Karaibów, zamieszkaną przez przyjaźnie usposobionych tubylców niemających zielonego pojęcia, kim są, i całkiem na to obojętnych.

Możliwością numer dwa był jeden z prywatnych strzeżonych kurortów na Florydzie z gęstymi gajami palmowymi, tysiącem dołków golfowych, dobrze zaopatrzonym barem oraz plażą, na której mogliby beztrosko popijać rum i pina coladę, opalając się na ciemny brąz.

Jednak Aleks doświadczył ostatnio tyle ciepła, że nie chciał nawet o tym słyszeć. Najpierw więzienie federalne w Georgii, później w centrum Chicago, a następnie niemiłosierny letni skwar upalnych miesięcy w Yumie.

Rosyjska dusza wołała z utęsknieniem, by pojechali tam, gdzie przy nosie tworzą się sople lodu. Wykorzystując jej pragnienie prywatności, zaproponował udział w arktycznej ekspedycji, lecz Jelena nie przyjęła ciepło tego pomysłu. W toku zażartej dyskusji w planach przesuwali się wolno coraz dalej na południe, ku Alasce, a następnie, krok po kroku, przeszli przez kolejne prowincje Kanady. Gdy dotarli do Kolorado, Jelena nie ustąpiła ani o jeden stopień.

MP zadzwonił pod koniec drugiego tygodnia. Słuchawkę podniosła Jelena. Aleks przyłączył się do rozmowy na drugiej linii.

- Słyszeliście wielkie nowiny? – spytał MP.
- Przez cały tydzień używaliśmy gazet wyłącznie do rozniecania ognia – wyjaśniła szczęśliwym głosem Jelena.
- Prokurator generalny złożyła dziś rezygnację!
- A Tromble? – zapytał Aleks.
- Widzę, że faktycznie żyjecie na jakimś odludziu. Został zwolniony pięć dni temu. Poleciał do Puerto Rico i nie odbiera telefonów.
- Jak się miewasz, MP? – spytała Jelena.
- Wspaniale. Mam przed sobą ofertę PKR. Mogę zostać ich współnikiem. Chcą, abym zorganizował dział zajmujący się prawem imigracyjnym.
- Przyjmiesz propozycję?
- Nie sądzę. Rozmawiałem z Terrym. Oferta jest niezwykle hojna, lecz mam wątpliwości, czy będę do nich pasował.
- Nie żal ci forsy? – spytał jak zawsze praktyczny Aleks.
- Myślę, że sobie poradzę. Zgiełk wokół was spowodował, że podniosłem stawkę do trzystu doliczów za godzinę. Jeszcze nikt nie odmówił.

Obiecali, że zjedzą razem obiad, gdy Aleks i Jelena znudzą się Aspen lub skończą się im pieniądze. Szczerze mówiąc, żadne nie miało dość. Zabawa była wspaniała, a restauracje i bary liczne i znakomite.

Bitchy odwiedził ich dwa dni wcześniej. Przyleciał z Chicago, zamknąwszy swoje sprawy na północnym wybrzeżu. W sądzie apelacyjnym, który rozpatrywał jego wniosek, podjęli właśnie pracę dwaj nowi sędziowie – zagorzali kibice Giantsów, którzy szczerze współczuli sądowej niedoli ich charakternego brata z drużyny Jetsów. Żaden nie był zaszokowany brutalnym atakiem Beatty'ego. Na dodatek list, który ten przesłał sądowi, był tak pełen skruchy i hojności, że sędziowie doznali głębokiego wstrząsu... Podobnie jak zawodnicy zaatakowani kiedyś przez Bitchy'ego.

Bitchy wysiadł z żółtej taksówki, która przywiozła go z międzynarodowego lotniska w Denver. W elegancko skrojonym trzyczęściowym garniturze od Brooks Brothers przypominał bankiera z Wall Street – a raczej czterech lub pięciu bankierów wciśniętych w jedno ubranko. Podniósł Jelenę jedną ręką i dał jej potężnego całusa. Po wielu miesiącach dzielenia celi z Aleksem

wiedział o niej prawie wszystko. Objął Aleksa, chcąc wyciągnąć także jego, lecz ten wyraźnie się sprzeciwił.

Po długim obiedzie Bitchy szczęśliwie oznajmił, że prowadzi rozmowy z drużyną Bearsów, a jego prawnicy wiodą spory z federacją futbolu, aby został przywrócony i mógł wziąć udział w wiosennym zgrupowaniu. Bitchy promieniował optymizmem. Komisja piętrzyła przeszkody, lecz wszyscy wiedzieli, że robi to na pokaz. W końcu Bitchy był przez dwa lata gwiazdą zawodowego futbolu, a na dodatek dawnym skazańcem... Połączenie tych dwóch elementów mogło zdziałać cuda w dziedzinie telewizyjnej oglądalności i frekwencji na meczach. Bitchy był też przekonany, że Bearsi dorzucą kolejny milion do jego starego, wartego trzy miliony kontraktu. W końcu jego reputacja była tego warta, nie? Jaka drużyna zastanawiałaby się dłużej, czy nie wzmocnić siły uderzenia zaangażowaniem Beatty'ego?

Jelena zaprosiła go po południu na narty, lecz Bitchy grzecznie podziękował i teraz odpoczywał w swoim pokoju hotelowym. Bitchy za nic nie zbliżyłby się do wyciągu. Cierpiał na lęk wysokości.

W ten sposób byli sami na szczycie ogromnej góry, z której rozciągał się widok na dolinę. Słońce zaszło za chmury, śnieg błyszczał i migotał. Setki narciarzy w dole robiło wszystkie głupie rzeczy, które wyczyniają ludzie, gdy balansują na dwóch cienkich deskach – przewracają się, gnając na złamanie karku, próbują wstać i czasem doprowadzają do przykrej kolizji.

Aleks nie spieszył się z rozpoczęciem zjazdu. Usiadł, obserwując, jak słońce sunie ospale po niebie. Jelena przysiadła obok. Wzięli się za ręce. Wiedzieli, że nadszedł czas na poważną rozmowę. Odkładali ją przez dwa tygodnie, niemal uśmiercając się olbrzymią dawką seksu, wina i szampana, ignorując pracę i przypominając sobie, czemu darzyli się tak ogromną miłością. Mimo to czuli, że coś uległo zmianie. Dwa lata ciągłego uciekania i życia w strachu, a później długiego przymusowego rozdzielania wycisnęły na nich piętno. Ich związek potrzebował czasu, aby się do tego przystosować.

Rok spędzony w samotności sprawił, że Jelena stała się bardziej samodzielna, niezależna i uparta. Umiała sama się utrzymać, założyła dynamicznie rozwijającą się firmę i wyprowadziła w pole ludzi, którzy próbowali ją zabić. Nie była już taka jak kiedyś i nawet tego nie chciała.

Na Aleksie odcisnęły ślad brutalne tortury i czternaście miesięcy więzienia. Nie potrafił o nich zapomnieć. Jelena nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdoła to uczynić. Rzadko się uśmiechał, bez przerwy rozglądał się nerwowo. Nieufnie spoglądał na obcych, bacznie śledząc ich ręce. Wiedziała, że wypatruje noża.

- Chcesz tu zostać? – spytał w końcu Aleks.
- W Ameryce? – odpowiedziała pytaniem.
- Są inne kraje... moglibyśmy wrócić do Rosji...
- Mam tam rodzinę i przyjaciół.
- To ważny czynnik.
- Nie byłoby to dobre dla ciebie, prawda?
- Chyba tak. Rosja się zmienia, Jeleno. Oszuści i KGB wracają do władzy. Jelcyn jest nieudacznikiem, figurantem, który będzie trwał, dopóki tamci nie zdecydują się na kolejny ruch.

- Czy ponownie mogłoby nas to spotkać?
- Tym razem będziemy mądrzejsi.
- Oni również.
- Fakt. Możesz wybrać. Jeśli o mnie chodzi, potrzebuję jedynie miejsca, w którym można zarabiać pieniądze.

- Na tym polega twój problem, Aleksandrze Koniewiczu.
- Nie wiedziałem, że mam jakiś problem.
- Patrzysz na to inaczej niż ja. Pomyśl o miejscu, w którym moglibyśmy je wydawać.

- Nie jesteśmy na to dość bogaci, kochanie. W banku mamy zaledwie dwa i pół miliona. To nie wystarczy do końca życia.

- Możemy uzyskać odszkodowanie w wysokości pięciu lub nawet dziesięciu milionów.

- Rząd nie odpuści. Będą walczyć do końca. Proces może się ciągnąć dziesięć lat. Poza tym możemy przegrać.

- MP mówi, że na książce i filmie moglibyśmy zarobić kolejnych dziesięć milionów.

- Praca nad książką zajmie przynajmniej dwa lata, a zysk może okazać się znikomy. Jeśli zaś idzie o kontrakty z wytwórniami filmowymi, mają taką wartość jak papier, na którym je spisano.

- Jesteś pesymistą.
- Raczej realistą.

Po chwili Jelena wskazała małą wioskę w dole.

- Piękna, prawda?
- Bardzo, jakby ktoś przeniósł małą francuską lub niemiecką osadę i umieścił ją w niebie.

- Może kupilibyśmy tam dom?
- Ciasny apartament z dwiema sypialniami kosztowałby co najmniej milion. Po czternastu miesiącach w celi potrzebuję przestrzeni.

Przyjrzała się miastu leżącemu w dole. Wskazała grupę dużych domów w stylu alpejskim na zachodnim zboczu. Były ogromne, oddalone od siebie, z sosnami górującymi wysoko ponad dachami, w odległości nie więcej niż dziesięciu minut drogi od podnóża.

- Co powiedziałbyś na te?
  - Kosztują przynajmniej dziesięć milionów.
- Położyli się na śniegu, trzymając za ręce i patrząc w niebo.

- Aleks...
- Słucham.
- Zapomniałam ci coś powiedzieć.

Uściskał ją za rękę.

- Michaił rozmawiał z Siergiejem Golicynem dzień przed jego śmiercią.
- Wiem. Otrzymał takie polecenie. Miał drania porządnie nastraszyć.

Przekonać, że za wszystkim stoi Nikoła.

- Poprosiłam, aby pomówił z Siergiejem Golicynem o czymś jeszcze. Michaił zabrał ze sobą kilku przyjaciół, a ci... zachęcili generała do zwierzeń na temat naszych pieniędzy. – Przerwała, by podziwiać niebo. – Nie masz pojęcia, jak przekonujący umie być ten Michaił...

Aleks odwrócił się i spojrzał na żonę.

- Znalazł naszą forszę?
- Pozwoliłam mu zatrzymać pięć milionów. Dobrze na nie zapracował, prawda?
- Gdzie są?

- W Szwajcarii, przestałam ufać bankom na Bermudach, a ty?
- Wstał i kilka minut patrzył w dolinę. Po chwili przyłączyła się do niego. Stali w milczeniu, dopóki nie zapytał:
- Powiedz mi, który dom kupiłeś?
- Ten wielki, w połowie zbocza. – Wskazała ręką. – Z czterema wielkimi kamiennymi kominami.
- Duży?
- Sąsiedzi nazywają go Koloseum. Poprzedni właściciele używali krótkofalówek, aby się w nim odnaleźć.
- Ładny?
- Ma kryształowe żyrandole, sześć lub siedem ogromnych kominków, przestronną piwnicę z winem i domowe kino na dwadzieścia miejsc. Jeśli lubisz takie miejsca, powinien ci się spodobać.
- Ile sypialni?
- Nie jestem pewna. Sześć, siedem może osiem. Są od siebie nieco oddalone. Trudno zliczyć.
- Dostaniemy go razem z dziećmi?
- Nie, obecna właścicielka twierdzi, że sami musimy się o nie postarać.
- Twardo negocjuje.
- Tak, jest bardzo stanowcza w tej sprawie.
- Kiedy?
- Dziecka nie można nabyć pod wpływem impulsu. Termin dostawy jest zwykle długi. Słyszałam, że trwa to do dziewięciu miesięcy.
- Kocham cię – powiedział po chwili.
- Ja też cię kocham.
- Ścigamy się, kto będzie pierwszy na dole?
- Nałykasz się kurzu, Koniewicz.
- Śniegu, kochanie. To ty się go najesz!
- Zamknij się i spróbuj mnie doścignąć!

## Od autora

Kilka lat temu, za pośrednictwem mojej strony internetowej, otrzymałem interesującą propozycję od rosyjskiego ekspatrianta, który zasugerował, że jego życie mogłoby stanowić kanwę interesującej książki. Po przeczytaniu mojej trzeciej powieści, *Spisku*, uznał, że rozumiem dzisiejszą Rosję i był ciekaw, czy jestem właściwą osobą do opowiedzenia jego historii.

Niebawem poznałem Aleksa i jego żonę, Jelenę. Szybko mnie ich historia zaciekaowała, byłem dla nich pełen podziwu, a także oczarowany i zachwycony.

Prawdziwy Aleks i Jelena Konanychinowie zainspirowali mnie do napisania tej książki, stali się siłą, która ją ożywiła. W rzeczywistości przeżyli piętnaście strasznych lat, których nie życzyłbym najgorszym wrogom – i modłę się, by oni również mi tego oszczędzili. Stanowili uroczą parę. On wysoki, o śniadej cerze, ona olśniewająca blondynka, drobna, żywa i wesola. Oboje byli niezwykle inteligentni, zakochani i zdumieni tym, przez co musieli przejść. Aleks napisał znakomitą rzecz z literatury faktu, *Defiance* (Opór), opisującą jego długi, zdumiewający proces – ponurą i wesolą, wciągającą i inspirującą książkę. Powieść, którą trzymacie w rękach, jest fikcją literacką, podobnie jak wszystkie występujące w niej postacie. Mam nadzieję, że Aleks mi to wybaczy.

Niestety, rok temu Jelena, która wytrwała tyle ponurych i radosnych dni u boku męża, walczyła o jego uwolnienie, wspierała jego błyskotliwy umysł, przekonywała o jego niewinności, ryzykowała życie i spędziła pewien czas w więzieniu oraz zniosła strach i niedostatek, których większość z nas nie zdołałaby sobie nawet wyobrazić, nieoczekiwanie odeszła. Dwa tygodnie później Aleks wysłał do mnie e-mail.



„Konam z bólu”, tylko tyle zdołał napisać.

Jak pewnie zauważyliście, dedykowałem tę książkę pamięci Jeleny. Głęboko ubolewam, że nie zdążyłem jej skończyć, zanim nas opuściła.

Dedykuję ją również Aleksowi, rad, że mogę go nazywać Amerykaninem. I moim przyjacielem.

## Spis treści

Podziękowania	7
Księga pierwsza	
SKOK	9
Księga druga	
WYGNANIE	161
Od autora	461